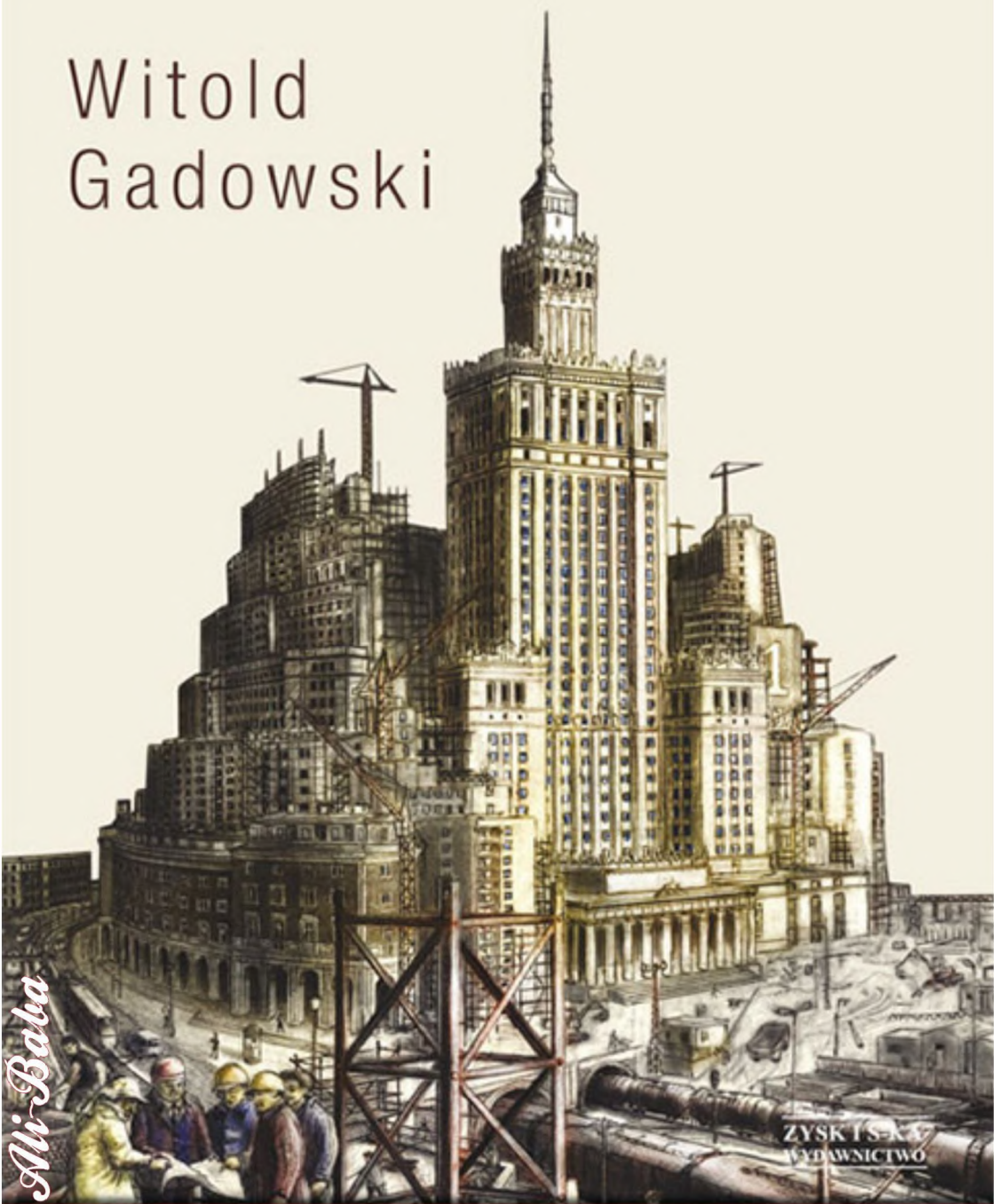


Witold  
Gadowski



*Mi-Baba*

ZYSK I S. K.  
WYDAWNICTWO

**WIEŻA KOMUNISTÓW**

Copyright © Witold Gadowski 2012

*All rights reserved*

Redaktor prowadzący  
Tomasz Zysk

Redaktor  
Aleksandra Kubisiak

Aranżacja okładki  
Anna M. Damasiewicz

Ilustracje  
Stanisław Dzieciół

*Niniejsza książka jest fikcją literacką. Postaci, miejsca i zdarzenia stanowią wytwór wyobraźni autora i wszelkie podobieństwo do autentycznych osób, żywych lub zmarłych, przedsiębiorstw bądź zdarzeń jest całkowicie przypadkowe lub zostało użyte w sposób całkowicie fikcyjny.*

ISBN 978-83-7785-908-7

[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

*Tym, którzy wiedzą, jak jest, i myślą, że są sami...*

Witold Gadowski

WIEŻA  
KOMUNISTÓW

Wydawnictwo Zysk i  
S-ka

## Rozdział I

Georg nagle poczuł suchość w ustach, ukradkiem otarł z czoła krople potu. Rozpiął kołnierzyk nienagannie wyprasowanej koszuli i rozluźnił węzeł krawata.

Wydarzenia sprzed wielu lat znów stanęły przed jego oczami.

— Pani Noro, proszę do mnie przyjść! — zawołał matowym głosem.

Drzwi gabinetu natychmiast się uchylily.

Młoda, atrakcyjna brunetka błyskawicznie spełniła polecenie szefa. Po chwili na biurku Georga stała srebrna taca z czterema pękatymi lampkami napełnionymi trunkiem, którego aromat powoli roznosił się po całym pomieszczeniu.

Georg przytrzymał sekretarkę za ramię i nakazał jej zaparzyć dużo czarnej, mocnej kawy.

Kiedy wyszła, badawczo spojrzął na swojego gościa.

— Jesteś pierwszym Polakiem, który mnie odnalazł — powiedział z uśmiechem do siedzącego naprzeciw szczupłego mężczyzny. — Wybacz, jeśli cię dotknę, ale muszę o coś zapytać...

Nie spuszczał oczu z przybysza. Dostrzegł jego zaciekawienie, więc wypalił bez ogródek:

— Po jaką cholere tu przyszedles? Nie masz własnych klopotow?

— Jestem dziennikarzem — odrzekł cicho Polak.

— To żadne wytłumaczenie, normalni dziennikarze piszą o gwiazdach show biznesu, biorą pieniądze od dużych korporacji za pochwalne artykuły, ale nie wtykają nosa w nie swoje sprawy. — Kravczik mówił spokojnym głosem, tak jakby rozważał jakiś matematyczny problem. — Wlazes na sciezke pełną węży, a nie wyglądasz na takiego, który by sobie z gadami radził. Jeszcze mozesz się wycofać.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do ogromnego okna. Stał w bezruchu i zaczął cicho bębnić palcami po para-pecie.

Szczupły mężczyzna, siedzący w rogu gabinetu na białej skórzanej sofie, pozostał nieporuszony. Spokojnie wyciągnął

przed siebie nogi. Na kilkanaście minut zapadła cisza.

Naraz gość energicznie klepnął się w kolano.

— Jeśli pan myśli, że jechałem tu tylko po to, aby sobie towarzysko porozmawiać, to mocno się pan myli. Wiem, co robię...

Georg nie wyczuł w jego głosie nawet nuty wahania.

— Dobrze, w końcu nie jesteś moim synem, twoje kłopoty, twoja sprawa — mruknął.

Nadal wpatrywał się w widok za oknem. Sprawiał wrażenie, jakby myślami odbiegł gdzieś daleko.

Po szybie spływały krople drobnego jesiennego deszczu.

Z okien biura rozciągał się rozległy widok na rzekę i wysoką sylwetkę wieży telewizyjnej. Düsseldorf zanurzał się w sinych światłach zapadającego zmierzchu.

— Dobrze. Zatem czeka nas długa rozmowa. — Kravczik odruchowo zatarł dłonie. — W Polsce był proces, prawda?

— Tak. — Andrzej Brenner nieznacznie skinął głową.

— Ile zarzucono oskarżonym?

— Ile? — Polak zdziwiony uniósł brwi.

— Jak wielką kradzież im zarzucono?

— Bajońską sumę, jakieś pięćset milionów dolarów. — Dziennikarz przygryzł wargi, jakby tym grymasem chciał złagodzić wymowę wypowiedzianych przez siebie słów.

Georg wybuchnął krótkim, tubalnym śmiechem.

Nagle urwał i spojrzał Andrzejowi prosto w oczy spojrzeniem człowieka, który właśnie przestał się wahać. Błękitne, wodniste oczy spoglądały na przybysza z Polski nieruchomo, bez cienia emocji.

— Przez moje ręce poszedł ponad miliard, a takich jak ja było na świecie kilku! — Niemiec wyraźnie bawił się osłupieniem gościa.

Andrzej zastygł w milczeniu. Zbaraniałym wzrokiem wpatrywał się w twarz gospodarza.

— Przepraszam. — wyjąkał. — Czy może pan powtórzyć kwotę? — wymamrotał po minucie.

— Miliard dolarów przeszedł przez moje ręce. — Georg

nieznacznie się uśmiechnął. — Nie byłem sam, oni mieli kilku takich finansistów. — Jego ton nieco złagodniał. Widać było, że zdumienie rozmówcy sprawiło mu satysfakcję.

Andrzej wyjął ze starej skórzanej torby notatnik i dyktafon.

— Pozwolisz, że będę notował? — niespodziewanie przeszedł z Niemcem na ty.

— Rób, co chcesz. Opowiem ci, jak to wyglądało, ale w two- im kraju pewnie nikt ci nie uwierzy. — Georg ujął kieliszek w dłoń. — Najpierw jednak napijmy się za nasze spotkanie. Mam już osiemdziesiąt lat i nie przypuszczałem, że jeszcze komuś będę opowiadał tę historię.

Stuknęli się kieliszkami.

— Miałem wtedy polski paszport dyplomatyczny. W War- szawie byłem przyjmowany jak książe. Apartament w „Vic- torii", rano limuzyna, którą wieziono mnie do siedziby Ra- dy Ministrów. Po południu przejażdżka dorożką i bankiet w dworku pod Warszawą. Stoły ugięły się od jedzenia i na- pitków. Zawsze czekało na mnie kilku ministrów. Byli jak sprzedajne dziewczyny. Jeden przez drugiego oferowali mi swoje usługi. — Twarz Kravczika skrzywiła się, jakby przełknął coś wyjątkowo niesmacznego. — FBG, to był ciekawy pomysł.

— Fundusz Budowy Gospodarki — powtórzył po chwili z naciskiem. — Nigdy wcześniej ani nigdy później nie widziałem, aby polecenia przelewania kilkudziesięciu milionów dolarów podpisywane były na kawiarnianych serwetkach. — Urwał i kolejny raz spojrzął Andrzejowi w oczy. — To były ogromne pieniądze. Tak ogromne, że mogły zabijać!. — szepnął.

— I zabijały! — Andrzej, pomimo rosnącego podniecenia, wytrzymał to spojrzenie.

Niemiec wstał od stołu i podszedł do okna.

— A za tymi pieniędzmi stały następne pieniądze. Miliony, poukładane jak domino. Tu, w tym mieście, jest kilku ludzi, którzy dzięki FBG stali się krezusami. — Wyciągnął dłoń w kierunku szyby i zatoczył nią koło. — Najważniejsi jednak nie mieszkają w Düsseldorfie. Są w USA, Izraelu i oczywiście

w Rosji.

Andrzej opuścił głowę i zapisał coś w notatniku.

— Mam dużo czasu — mruknął sam do siebie.

Za jego plecami skrzypnęły drzwi, sekretarka wniosła półmisek ciasteczek.

— Dziękuję, pani Noro. — Georg nawet nie odwrócił się w jej stronę.

Palił jedno cygaro za drugim. Gabinet powoli spowijała ciężka tytoniowa mgła.

Mężczyźni siedzieli w półmroku, który rozświetlało jedynie punktowe światło lampki, wydobywające z ciemności leżące na biurku stosy dokumentów.

Sekretarka dyskretnie spytała o coś Kravczika i bezszelestnie opuściła biuro.

Ulica ucichła.

Mijały kolejne godziny. Noc za oknem błyszczała sodowymi lampami, które zapaliły się na ulicy. Słysząc było jedynie dźwięk syren karetek pogotowia i wyjące z oddali alarmy samochodów.

Andrzej rozpiął na piersiach koszulę, był spocony, miał zmierzwiłone włosy. Georg zdjął marynarkę i dystyngowanym gestem rozwiesił ją na krześle przy biurku.

Jego droga koszula pozostała jednak nieskazitelna.

Przy jej mankietach połyskiwały brylantowe spinki.

Polak czuł napływające do mózgu fale gorąca.

Momentami przestawał się kontrolować i wykrzykiwał:

— To niemożliwe!

— Możliwe, możliwe. Wtedy też myślałem, że śnię, ale forsa, śliczne, okrągłe sumki, zamykały mi usta — odpowiadał mu z dobrotliwym uśmiechem Georg.

Dolewał kawy i podróżowali dalej, przez dziesiątki dokumentów, zdjęć, rachunków.

Wczesnym rankiem ulica leniwie ożyła. Kierowca, rozwożący bułki do pobliskich sklepów, ze zdziwieniem spostrzegł, że z biura szacownego doktora Georga Kravczika



wyszedł szczupły mężczyzna w średnim wieku. Pod pachą ścisnął pękatą teczkę.

„O tej porze nikogo tam nie ma, czyżby coś się stało?” — pomyślał dostawca. Zaniepokojony spojrzał w szerokie okno biura i dojrzał w nim gospodarza, który posłał mu ciepły uśmiech.

Uspokojony zabrał się więc za wyładowywanie skrzynek. Zajęty swoją czynnością nie zauważył, jak w ślad za mężczyzną z teczką podążył cień, który wysunął się zza załomu ściany szarego budynku naprzeciw biura finansisty. Zmęczony i niewyspany Andrzej Brenner też nie był w stanie go dojrzeć.

*Dwadzieścia lat wcześniej*

Gabinet generała Kazimierza Ogorzelskiego przypominał przedział kolejowy.

Co chwila wpadali do niego kolejni oficerowie, a inni z trzaskiem obcasów odmeldowywali się i wybiegali.

Na koniec szef II Zarządu Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego zamknął się u siebie wyłącznie w towarzystwie oficerów z tajnej sekcji „Y”.

— Zarówno my, jak i towarzysze radzieccy, jesteśmy pewni, że zmiany w Europie są tylko kwestią czasu. Musimy się przygotować do nowej sytuacji. Co w nowym ustroju daje władzę? — Ogorzelski powiódł po obecnych srogim spojrzeniem.

Większość z tych twarzy znał od wielu lat. Kilku pułkowników, trzech młodych majorów, Grzegorz i jeden kapitan. Miał do nich absolutne zaufanie. Każdego z nich miał w rękę. O każdym wiedział wystarczająco dużo, aby słuchali go bez mrugnięcia powiek.

— Obywatelu generale, tak mi się wydaje, że najważniejsze są pieniądze — wyrwał się gruby pułkownik o czerwonej, spoconej twarzy.

Mielejczyk, zwany „Dużym Budyniem”, był swoistą maskotką sekcji „Y”. Umysł miał równie lotny jak sylwetkę i właściwie nikt nie wiedział, jak trafił do sekcji. Był jednak nieszkodliwy i pocieszny, więc cała reszta traktowała go z wielką wyrozumiałością. Poza tym nikt inny nie potrafił tak

jak „Duży Budyń” z poważną miną wznosić najbardziej lizusowskich toastów na cześć przełożonych. Był funkcjonalny, wykonywał za nich najbardziej obrzydliwe obowiązki.

Ogorzelski pokiwał głową.

— Tym razem, „Budyniu”, trafiłeś w samo sedno. Nasz nowy koń jest maści zielonej.

— Koń?. Ja nie bardzo. — Mielejczyk stropiony mrugał powiekami.

Przez gabinet przetoczył się tubalny śmiech. Ogorzelski też z trudem ukrywał wesołość.

— Dolary, pieniądze, i to nie takie, jakie zarabiali rajdowcy Jaroszewicza czy te męty z „jedenastki” od Kiszczaka. Tu chodzi o prawdziwe pieniądze, które zbudują. hm. — zawahał się i spojrzał na swoich oficerów — zbudują nam nowe życie. Nam, czyli patriotom — dokończył ściszym głosem.

Bardzo lubił, gdy jego słowa wywoływały na twarzach wy-raz napięcia. Miał słabość do patetycznych przemów.

— To nie będą złodziejskie sztuczki Milewskiego. Tu chodzi o stworzenie systemu, który będziemy trzymać w ryzach przez wiele lat.

Twarze oficerów były skupione. W ciszy wpatrywali się w twarz szefa. Weterani wywiadu wojskowego. Żaden z nich nie miał czystych rąk.

— Jestem po rozmowach z Rosjanami — ciągnął Ogorzelski. — Oni działają w innej skali, chcą obrobić Bank Światowy!

W pomieszczeniu słychać było jedynie głębokie oddechy i brzęczenie objajającej się o szybę muchy.

— My zrobimy to na naszą skalę, inteligentnie i w rękawiczkach, tak jak zawsze — westchnął Ogorzelski. Był wyrażnie niezadowolony z wrażenia, jakie na obecnych wywarła jego oracja.

Ogorzelski nie powiedział swoim oficerom wszystkiego.

Od kilku miesięcy krążył pomiędzy Berlinem, Moskwą, Pragą i Budapesztem. Brał udział w tajnych spotkaniach, na których starannie wyselekcjonowani przez dwóch generałów z Zarządu Finansowego i V Zarządu KGB oficerowie z państw

Układu Warszawskiego omawiali plan „Raboczaja tietrad”. Nazwa wzięła się od przekazanego Gorbaczowowi przez Jurija Andropowa zwykłego szkolnego zeszytu, w którym zapisane były aktywa wywiadu sowieckiego rozmieszczone w różnych krajach. Konta bankowe, nazwiska biznesmenów-figurantów, kupionych polityków.

W „zeszycie” znajdował się też pracowicie rozrysowany pomysł transformacji krajów Bloku Wschodniego, które, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kolejno miały się przemienić w pełnoprawnych członków kapitalistycznego świata.

Jurij Andropow miał niezwykłą zdolność do obmyślenia intryg i tzw. przedsięwzięć operacyjnych, był mistrzem obliczonych na dziesiątki lat tajnych gier. Przed śmiercią zdążył urzeczywistnić część planu swojego życia, planu, który za kilkadziesiąt lat, gdy historycy zajrzą do archiwów, da mu miejsce w pierwszym szeregu największych umysłów świata.

Andropow stworzył krąg ludzi, którzy niezależnie od zmieniającego się kierownictwa KPZR pieczołowicie realizowali jego pomysły. W Związku Sowieckim byli to ludzie z elity tajnego działu finansowego KGB i V Zarządu zajmującego się zbieraniem informacji o grupach politycznych i wyznaniowych oraz o dysydentach. Równie starannie wyselekcjonowano oficerów w Czechosłowacji i NRD, tam jednak wybrano ludzi ze służb cywilnych.

W Polsce sytuacja była inna. Od 1981 roku, kiedy ministrem spraw wewnętrznych został generał Czesław Kiszczak, jedynie służby wojskowe zasługiwały na zaufanie ludzi Andropowa. Jednym z jego wybrańców był właśnie generał Ogorzelski.

Dzień przed naradą w warszawskim sztabie generał wrócił z Berlina, gdzie w willi Stasi niedaleko Alexanderplatz uczestniczył w egzotycznym spotkaniu.

Przy dużym prostokątnym stole zasiedli naprzeciw siebie ludzie z wywiadu Markusa Wolfa, dwóch oficerów z XXII oddziału MfS zajmującego się sprawami terroryzmu oraz przedstawiciele mafii tureckiej.

Ogorzelski został tam zaproszony, bowiem Warszawa od dłuższego czasu słynęła z produkcji najczystszych chemicznie tabletek LSD i ekstazy.

Agenci Stasi z grupy „Warszawa” od dawna donosili swojemu szefowi Markusowi Wolfowi, że syntetyczne narkotyki z Polski produkowane są w Centralnym Laboratorium Kryminalistyki Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej w Warszawie.

Rozprawiali je potem agenci z departamentu pierwszego MSW i ludzie z sekcji jedenastej.

Produkcję narkotyków kontrolowali jednak wojskowi z grupy Ogorzelskiego i tylko oni znali ostateczne przeznaczenie „produktu”. Oni zbudowali trasy kurierskie na zachodzie Europy i trzymali w ręku wszystkie kawałki tej skomplikowanej układanki.

Organizatorzy spotkania uznali więc, że Ogorzelski może być bardzo pomocny w rozmowach o uruchomieniu potężnego kanału przerzutu heroiny z tureckiej Anatolii do Holandii. Jak oceniali Turcy, taka działalność powinna przynieść dochód ponad dwóch miliardów dolarów w ciągu dwóch lat.

Spotkanie przy Alexanderplatz utwierdziło Ogorzelskiego w przekonaniu, że stał się ważnym elementem największej w Europie maszyny do robienia pieniędzy.

Nawet przedstawiciele włoskiej 'Ndranghety, proszący go w Warszawie o opiekę nad siecią pizzerii, którą zamierzali uruchomić w Polsce, pokornie uznali, że nie są w stanie konkurować z „siecią Andropowa”. Włosi grzecznie oddawali wojskowym trzydzieści procent osiąganego w Polsce zysku.

Teraz Ogorzelski spoglądał na swoich ludzi z satysfakcją, to był doskonały zespół. Właściwie zastanawiał się tylko nad jedną kwestią — jak wytrzymają ciśnienie ogromnych pieniędzy, które w ciągu najbliższych miesięcy posypią się na ich głowy.

Szczególnie uważnie przyglądał się niewysokiemu majorowi o kwadratowej, pospolitej twarzy.

Na pewno był najbardziej niechłujny w tym gronie — przepocony pod pachami mundur, braki w uzębieniu

i niedokładnie ogolony podbródek — jednak to właśnie on najlepiej nadawał się do odegrania w planie Ogorzelskiego głównej roli. Był inteligentny, nieprzemakalny i patologicznie wręcz uczciwy.

— Grzegorz!

Major Grzegorz Okrzemek się wzdrygnął. Głos przełożonego wyrwał go z intensywnych rozmyślań.

Właśnie zastanawiał się nad czwartym ruchem w korespondencyjnej partii szachów, którą toczył z profesorem Hanauskim, znanym kryminologiem z Krakowa, który, o czym mało kto wiedział, namiętnie rozwiązywał szachowe zagadki.

Okrzemek pierwszą partię przegrał w dwunastu ruchach, teraz zanosilo się jednak na bardziej wyrównane starcie. Major bardzo dynamicznym otwarciem w stylu Bobby'ego Fischera zyskał przewagę i inicjatywę. Pierwsza linia Hanauska została zepchnięta do defensywy. Ostatnie posunięcie, które profesor przesłał mu wraz z bardzo miłym listem, wprawilo Okrzemka w lekkie zdumienie. Od kilku godzin zastanawiał się nad pułapką, jaką przygotował mu krakowski naukowiec. Być może jakieś znaczenie miała dołączona do listu kopia siedemnastowiecznej ryciny, przedstawiającej kobietę wlewającą wodę do studni.

„Cie choroba, woda do studni, pozorowana obrona i atak z drugiej linii.” — głowił się Okrzemek.

— Grzegorz, kurwa! — dotarł do niego głos zniecierpliwionego generała. — Czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

— W ciemnych oczach Ogorzelskiego zapaliły się ogniki gniewu.

— Panie generale, gotów na każde wezwanie! — wrzasnął Okrzemek, zrywając się do przyjęcia postawy „na baczność”. Wystającym brzuchem przewrócił dwie stojące na stole butelki z wodą mineralną.

Gabinetem znów wstrząsnął tubalny śmiech oficerów. Wesolość udzieliła się nawet poirytowanemu Ogorzelskiemu.

— Spocznij, majorze! Spocznij! — wydusił z siebie pomiędzy kolejnymi wybuchami śmiechu.

Okrzemek niepewnie rozglądał się po sali. Nie bardzo

rozumiał, co się stało.

Zdażył jeszcze umoczyć połę munduru w niedopitej „kawie-zalewajce”.

— Dziękuję wam. Na dziś to wszystko. — Generał machnął ręką w kierunku oficerów, tak jakby chciał im powiedzieć: „Z nim, niestety, tak zawsze.”.

— Grzegorz! — Teatralnie zmarszczył brwi. — Ty, zostań! — dokończył, gdy napotkał spojrzenie rybich oczu majora schowanych za grubymi szklami okularów.

Okrzemek zrezygnowany klapnął na krzesło i zajął się ścieraniem plamy z munduru.

Oficerowie opuszczali gabinet szefa w doskonałych humorach. Szycowała się ciekawa robota, a do tego Okrzemek nieświadomie przejął od tępego Mielejczyka rolę dyżurnego błazna.

Lubili Okrzemka. Był roztrzepany, potrafił jednak tak zajmująco mówić o teorii gier, że często wypuszczali go na takie spontaniczne prelekcje.

Pierwszy w ich gronie przeczytał, robiącą coraz większą karierę w świecie psychologów i ludzi służb, książkę amerykańskiego badacza Erica Berne’a *W co grają ludzie*.

Opowieści Okrzemka o wynikach badań Berne’a bardzo szybko stały się tak popularne, że zaprosił go na rozmowę sam szef szefów — generał Kiszczak, o którym na korytarzach Sztabu Generalnego mówiło się nabożnym, ściszym tonem.

Major odwiedził gabinet generała przed kilkoma miesiącami. Szef miał na sobie nienagannie odprasowaną koszulę i pachniał tak, jak Okrzemek wyobrażał sobie, że pachną ludzie z wielkiego świata. Grzegorza zdziwił jedynie fakt, że szef szefów był niewiele wyższy od niego. Oglądając Kiszczaka w telewizji, zawsze wyobrażał sobie, że jest potężny jak tur.

— Grzegorz! — donośny głos Ogorzelskiego ostatecznie przywołał go do rzeczywistości.

Byli sami, a adiutant generała właśnie wniósł karafkę koniaku i termos pełen świeżo zaparzonej kawy.

Okrzemek odruchowo ściągnął ku sobie łopatki i lekko

zmrużył oczy. Spodziewał się solidnej reprimendy. Oby to tylko nie był „kosmiczny opierdół”, legendarny ochrzan, jedyny w swoim rodzaju stek inwektyw, z których słyszał generał Ogorzelski.

— Chciałbym, żeby to, o czym teraz będziemy mówili, pozostało tylko między nami. Tego nie może wiedzieć nawet twoja żona, ani tym bardziej kochanka.

— Nie mam kochanki, obywatelu generale — zachnął się Okrzemek.

— Więc nawet twoja przyszła kochanka — mruknął generał, powstrzymując uśmiech. — Nie wiem. Nie wiem, cholera, czy dobrze zrobiłem, wybierając ciebie — w jego głosie pobrzmiwała nuta wahania.

— To nie o opierdół chodzi? — mruknął z nadzieją Okrzemek. Wyglądał przy tym jak żółw wynurzający się ze skorupy, aby sprawdzić, czy zagrożenie minęło.

— Nie. — Generał odsapnął. — Pamiętasz, jak opowiadałeś mi o twoim pomysle wykupienia wszystkich długów Polski? — starał się, aby Okrzemek nie mógł wpaść mu w słowa. — Rozmawiałem z pewnymi towarzyszami. To jest realne — wypowiadał zdania tak, jakby przedstawiał swojego podwładnego do odznaczenia.

— A, to. Przecież mówiłem, że to proste — burknął zdziwiony Okrzemek.

— No. niby tak. W każdym razie, obywatelu majorze, zostaliście wybrani do wykonania bardzo tajnej misji. — Generał protekcyjnie położył Okrzemkowi dłoń na pagonie.

— No i pewnie nowa belka ci tu wpadnie — dokończył uroczystym tonem.

— Tak, tak. Można — mruczał wyraźnie roztargniony Okrzemek.

W głębi duszy pragnął, aby to spotkanie jak najszybciej się skończyło. W tyle głowy zaświtało mu właśnie odkrycie, prawdziwy plan profesora Hanauska. „Chytry ten profesorek jak diabeł” — pomyślał z satysfakcją, a głośno wyskandował:

— Panie generale, jestem do usług, proszę mną dysponować.

— Zapomniałeś dodać: ku chwale ojczyzny. nowej ojczyzny. — Generał zagadkowo świdrował go spojrzeniem.

— Nowej? — Tym razem duch Okrzemka całkowicie zespolił się z ciałem. Major był szczerze zaskoczony.

— Będziesz jednym z tych, którzy ją stworzą, gamoniu.

— Generał nie spuszczał z niego wzroku. Pomarszczone czoło świadczyło, że nie wszystko mu jeszcze powiedział. Wydał usta i nadal uważnie przyglądał się podwładnemu.

Na policzki Okrzemka wypełzły krwiste rumieńce. Widać było, że nie gardzi alkoholem. Siedział sztywno i nabożnie wpatrywał się w twarz przełożonego. Ogorzelski w milczeniu nalał sobie koniaku do szklanki i wychylił ją bez poruszenia grdyki. Major z ciekawością spoglądał na taki sposób picia.

„Bez przełykania, prosto w gardło. stara frontowa szkoła” — pomyślał z podziwem.

— Uff, dobra. zaczynamy, majorze. — Głos generała był łagodny i spokojny. — Jeszcze raz opiszesz mi swój pomysł kupowania naszego długu za granicą, ale dokładnie, i tak, żebyś niczego nie pominął. Szczególnie chodzi mi o sposób przesyłania pieniędzy za granicę, a potem przekazywania tej forsy na kupowanie polskich długów. Musisz opisać te wszystkie banki, o których mówiłeś — generał przerwał i nad czymś się zastanowił. — Zostaniesz, Grzegorzu, dyrektorem banku! — zakończył, ponownie wwiercając swoje spojrzenie w rozszerzone z zaskoczenia źrenice Okrzemka.

— Jaaa? — Okrzemek był przerażony.

— Tak. Zostaniesz dyrektorem Banku Handlowego w Luk-semburgu.

— To ten ruski bank, o którym mówiłem? — Major zdążył już ochłonać z pierwszego szoku.

— Tak, ten sam. Dotychczas puszczaaliśmy przez niego pieniądze dla naszych „biznesmenów” na Zachodzie, aby kradli technologie i pomagali nam obchodzić embargo COCOM-u, a teraz tam będzie nasza baza dla operacji. No, jak ją, Grze siu, nazwiemy? — Generał rozlał kolejną porcję gruzińskiego koniaku i podsunął Okrzemkowi jego przydział.



— „Trzecia Rzeczpospolita”, obywatelu generale! — ryknął Okrzemek, wychyliwszy koniak do dna.

— Jakoś tak podejrzenie to brzmi. — Ogorzelski skrzywił się, jakby trunek trafił nie tam, gdzie miał wylądować.

— Panie generale, była Druga Rzeczpospolita, sanacyjna, to my możemy zrobić Trzecią Rzeczpospolitą, też wojskową, ale naszą — uśmiechnął się Okrzemek.

— Może ty i masz rację. — Generał zawiesił głos. — Nasza, mówisz. — Podparł twarz kulakiem. — Wiesz, ty masz intuicję, racja! Bo w końcu czyja ma być, tych posrańców? Nasza ma być, żołnierzy, patriotów! — Koniak zaczął działać i głos dowódcy stawał się coraz bardziej miękki. — Jutro pakujesz się i jedziesz do Luksemburga. Zaczynamy projekt „Trzecia Rzeczpospolita”, panie prezesie. — Ogorzelski kordialnie poklepał Okrzemka po dłoni.

Wypili resztę koniaku i generał wręczył Okrzemkowi dwie pękate teczki.

Zawierały najtajniejsze opisy lokat zagranicznych, które w rzeczywistości były zarządzane przez wywiad wojskowy.

— Na jutro napiszesz mi tajny raport o szczegółach naszego pomysłu — Ogorzelski specjalnie mocno wyartykułował słowo „naszego”.

Wieczorem, siedząc w ciemnej gierkowskiej kuchni, Okrzemek wyjął czerwony flamaster i równym, starannym pismem wykaligrafował na teczkach, które wręczył mu szef, ten sam napis:

„III Rzeczpospolita — Fundusz Budowy Gospodarki”.

Dwa dni później generał Ogorzelski odpoczywał w siedemnastowiecznym fotelu i popijał doskonały armeński koniak.

Za oknem widział wartowników w stalowoszarych mundurach i hełmach, które nieodmiennie przywodziły mu na myśl Wehrmacht.

Niemcy zorganizowali spotkanie w słynnym Taschenbergpalais w Dreźnie. Oficjalnie odbywała się tu

konferencja na temat nowych technologii upraw pszenicy, prelekcje wygłaszali przedstawiciele amerykańskiego koncernu Cargill. Nikt postronny nie miał wstępu do niewielkiego barokowego zameczku, zbudowanego kiedyś specjalnie dla uczczenia uroków hrabiny Cosel i odbudowanego z dużą pieczołowitością przez komunistów po drugiej wojnie światowej.

— Drezno jest specjalnym miastem. W NRD ma status miejsca, gdzie organizujemy specjalne akcje i operacyjne pieniądze. — Wysoki, szczupły oficer Stasi, który pełnił honory gospodarza, mógł mieć najwyżej czterdzieści lat. Lekko łysiejący, trzymał się prosto i mówił donośnym, pewnym głosem.

— To Manfred Drecha, nasz najmłodszy generał MfS — szepnął Ogorzelskiemu do ucha pułkownik Harry Dahl z wydziału do spraw przeciwdziałania terroryzmowi enerdowskiej bezpieki.

Krażyły słuchy, że Dahl osobiście wspierał akcje palestyńskiego „Czarnego Września”, grupy „Carlosa”, Abu Nidala i RAF. Język rosyjski brzmiał w jego ustach tak, jakby żelazny wóz jechał przez brukowany kamieniami dziedziniec, jednak Ogorzelski powoli nabierał wprawy w komunikacji z enerdowskimi sojusznikami.

— A kim jest ten Ruski, który siedzi obok waszego Manfreda? — spytał konspiracyjnie.

Dahl obojętnie wzruszył ramionami.

— Nie wiem, to ich rezydent w Dreźnie, kumpel Drechy.

— Dziwny jakiś. Rudawy i nie pije. — mruknął Ogorzelski. — Nowy narybek KGB. Ponoć specjalnie szkoleni.

— Dahl skrzywił się, jakby wypił sok z cytryny. — Co mnie to zresztą obchodzi, Drecha go przyprowadził, więc pewnie wie, co robi. — Udał, że nagle zainteresował go duży nagłówek w „Neues Deutschland”: „O dalszy wzrost dobrobytu ludzi pracy. Towarzysz Erich Honecker ogłosił nową politykę gospodarczą”.

Ogorzelski przypomniał sobie wizytę Honeckera w Warszawie. Spoglądał na nią z pozycji oficera

odpowiedzialnego za kontrwywiadowcze zabezpieczenie rozmów pierwszych sekretarzy partii. Kilka dni wcześniej opuściła go żona, zabrała ze sobą ich syna. Generał był rozgoryczony i obolały. Być może właśnie dlatego spoglądał na otoczenie innym, bardziej krytycznym wzrokiem. Wtedy chyba po raz pierwszy dotarło do niego, że ogląda teatr kukiełek. Niedołężnych starców i głabów, którzy nie byli w stanie kontrolować swoich słów. Władza była za kulisami, nie w rękach Leonida Iljicza Breżniewa, Honeckera i im podobnych kacyków. Wtedy po raz pierwszy Ogorzelski pojął, że nitki władzy są także w jego dłoniach.

Nigdy nie był ideowym komunistą, przymusowe zajęcia z marksizmu traktował jak dopust boży. Nie wierzył ani w komunizm, ani w Boga. Wierzył w siłę gry, siłę, którą daje ukryte życie służb. Ukryte, ale o ileż realniejsze niż otaczająca go rzeczywistość pozoru. Coraz mocniej zdawał sobie sprawę z faktu, że jest wyrachowanym sukinsynem, wyrachowanym inteligentnym sukinsynem. Nie wzdragał się przed takim obrazem samego siebie. Przeciwnie, wierzył, że dopiero siła gry, świadomość jej reguł daje możliwość świadczenia pomocy innym. „Prawdziwa władza uszlachetnia, władza iluzji, władza kukiełek ośmiesza” — pomyślał.

— Towarzysze! — znajome zakłęcie, wypowiedziane mocnym tonem, przywróciło go do rzeczywistości. — Towarzysze! — kontynuował młody oficer Stasi. — Nasz plan zaczyna przynosić pierwsze sukcesy. Jeszcze kilka miesięcy i będziemy mieli pieniądze, które pozwolą nam myśleć o szczerych rozmowach z Helmutem Kohlem. Będą to jednak rozmowy, w których „Kapusta” będzie musiał spuścić z tonu. Mamy ciche udziały w Siemensie, Boschu i Volkswagenie. Udało nam się zainwestować na terenie NRD dwieście milionów dolarów należących do ludzi 'Ndranghety z San Luca. Chodzą na naszym sznurku jak wierne pieski. Jeden z nich skarżył się, że nie widział takiej mafii jak my, cha, cha, cha!

Jowialny śmiech prelegenta skierował na niego oczy wszystkich obecnych.

— Jako ciekawostkę podam także i to, że za te same

pieniądze uruchomiliśmy sieć pizzerii w Duisburgu — Drecha z uśmiechem zwrócił się do Ogorzelskiego. — W tej sprawie chcielibyśmy zrealizować jeszcze jeden duży projekt razem z polskimi towarzyszami. Jeśli pan generał pozwoli, to chciałbym spotkać się z panem w cztery oczy zaraz po naszym zebraniu. Będę czekał w intymnym gabinecie hrabiny.

Drecha wydawał się ujmujący, jednak zimny błysk w jego oczach kazał mieć się na baczności. Ogorzelski uprzejmie skinął głową. W tej samej chwili poczuł, że ktoś intensywnie mu się przypatruje.

Sowiecki major nawet nie drgnął, gdy Ogorzelski przyłapał jego badawcze spojrzenie.

Przez chwilę mocowali się, spoglądając sobie otwarcie w oczy, po czym Rosjanin skrzywił usta w udawanym uśmiechu i wykonał nieznaczny gest, który oznaczał salutowanie.

— Jak się nazywa ten major? — Ogorzelski trącił w ramię Dahla.

— Nie pamiętam, jest w Dreźnie od kilku miesięcy. Musisz zapytać Drechę, to jego wynalazek — odburknął niemiecki pułkownik.

Gabinet hrabiny Cosel kiedyś musiał być przytulnym buduaem, teraz jednak sprawiał wrażenie, jakby był wykorzystywany do intymnych schadzek przez pozbawionych wyobraźni dygnitarzy. Miękkie tkaniny, którymi obite były ściany w czasach hrabiny, ustąpiły miejsca fabrycznie produkowanym tapetom.

Lampy, firanki, bibeloty — wszystko zostało zdegradowane do poziomu wrażliwości lokalnego sekretarza SED.

Ogorzelski otworzył ciężkie dębowe drzwi, prawdopodobnie jedyną pozostałość z czasów saskich elektorów, i znalazł się w pomieszczeniu urządzonej jak ciasnawy pokój w pięciogwiazdkowym hotelu.

Za masywnym bukowym biurkiem, wyprodukowanym prawdopodobnie w fabryce mebli w Lipsku, siedział urzędowo uśmiechnięty generał Manfred Drecha.

Ogorzelski dojrzał, że na wprost miejsca dla gościa,

który musiał usiąść po przeciwnej stronie biurka, przytwierdzono do ściany ogromne, prostokątne lustro. „Prymitywne weneckie lustro, nigdy nie oduczą się tych pruskich, hitlerowskich sztuczek” — zżymał się w duchu.

— Panie generale, nie będę się bawił w kurtuazyjne ceregiele. Obaj jesteśmy w tym zawodzie już wystarczająco długo, aby cenić sobie czas. — Drecha podsunął mu pudełko z cyga-rami.

— Dziękuję, wolę swoje. — Ogorzelski demonstracyjnie odpalił carmena.

— Rzecz w tym, że bez waszej pomocy będzie nam bardzo trudno przeprowadzić pewną operację. Otóż mamy kontrahentów, którzy nie liczą się z pieniędzmi i są skłonni zainwestować we wskazane przez nas miejsca. Chcą też oddać te aktywa w zarząd wskazanym przez nas ludziom. Jest tylko jeden mały szkopuł. — Drecha zawiesił głos i wpatrywał się w strużkę dymu sączącego się z papierosa Ogorzelskiego.

— Skoro tak pan to ujmuje, to sądzę, że chcecie coś od nas wyciągnąć. — Ogorzelski, podobnie jak jego rozmówca, nie zamierzał bawić się w zbędne gierki słowne.

— Otóż to — odsapnął z ulgą Niemiec. — Nasz partner reprezentuje firmę z Argentyny. Jest tylko jeden maleńki problem, właściciel tej korporacji jest Niemcem i ma pewien wstydlivy epizod w swoim życiorysie. Był wtedy młody i bardzo nieostrożny. Dziś obawia się, że przeszłość uniemożliwi mu rozszerzenie interesów na Europę.

Ogorzelski uśmiechnął się pod nosem i sięgnął do swojej torby.

Wyjął z niej białą papierową teczkę przewiazaną szarą wstążką.

— „Reinhardt Steiner, syn Julity i Otokara. Urodzony w Opolu w roku 1920”.

— Tak, to ten człowiek — przerwał mu Drecha.

Widać było, że jest zaskoczony i nawet nie stara się tego maskować.

— „W styczniu 1945 roku osobiście zastrzelił pięciu żydowskich więźniów w katowni Podhala «Palace» na

dzisiejszej ulicy Chałubińskiego w Zakopanem. Ostatni raz widziany w Szwajcarii w 1962 roku. Cichy właściciel korporacji «Chemical Agrocorp», zarejestrowanej w Buenos Aires, ale największe interesy prowadzącej w Kolumbii. Oficjalnie firma Steinera nadzoruje wprowadzanie najnowocześniejszych technologii uprawy zbóż, w rzeczywistości zmodernizowała kolumbijską uprawę kokainy i sprawiła, że zbiory w ciągu ostatnich dziesięciu lat wzrosły o ponad dwieście procent. Drugim źródłem dochodów «Chemical Agrocorp» jest handel bronią pochodzącą z krajów Układu Warszawskiego" — Ogorzelski czytał beznamytnie, kątem oka sprawdzał jednak, jakie wrażenie robią na rozmówcy kolejne zdania rozpracowania, które trzymał w dłoniach. — Ciekawe, kto zarabia na sprzedaży karabinów z naszego Radomia i amunicji z Pionek — mruknął pod nosem, udając zamyślenie.

— Wie pan, panie generale, czego dotyczy moja wyjątkowo delikatna prośba? — Drecha zawiesił głos i spojrzał na Ogorzelskiego, jakby starał się wyczytać odpowiedź z jego oblicza.

Polak zachowywał jednak niewzruszoną minę.

— Mam wam wyciągnąć oryginał teczek Steinera?

— W samej rzeczy.

— Przecież Kiszczak urwie mi za to jaja! Miał już raz taką aferę z samym Erichem Mielke, wtedy handlowaliście z ludźmi w RFN aktami nazistów i ściągaliście je z wszystkich demoludów. Tylko Kiszczak was rozpracował. Awantura w Poczdamie, pamięta pan, generale? Na każdej teźce zarabialiście ponad dwieście tysięcy marek, myślę się?

— Nie. Pana informacje są nadzwyczaj ściśle. Chylę czoła. — Drecha był coraz bardziej zakłopotany.

W gabinecie zapanowała niezręczna cisza.

— Słucham. — Ogorzelski założył dłonie na kark i bezczelnie spojrzał w oczy Drechy.

— Tak? — bąknął roztargnionym tonem Drecha.

— Słucham propozycji — spokojnie wyjaśnił polski generał.

— Wiem, że planujecie dużą operację finansową. Może-

my wam wskazać kilku ludzi w świecie, przez których bezpiecznie można to zrobić. To propozycja gratis. Po tym, co teraz usłyszałem. Nie wiedziałem, że polski wywiad działa na tak imponującym poziomie. — Drecha odzyskał już pewność siebie.

— Nie docenia pan polskiego wojska, panie generale. — Ogorzelski zachował kamienną twarz.

— Od dziś to się na pewno zmieni — Drecha uprzejmie skłonił głowę.

— Dobrze. Rozumiem, że za te akta skierujecie waszych Włochów także do Polski i oddacie nam zarząd nad ich firmami. Jednym słowem, kontynuujemy naszą wspólną ścieżkę w sprawie tabletek, a ja dostaję namiary na zaufanych ludzi w świecie oraz materiały, które pozwolą mi skłonić do współpracy czystych, niezależnych maklerów i sprawią, że wyleczę ich ze zbędnych skrupułów. — Ogorzelski zapalił drugiego papierosa.

— Czy pan nas nie przecenia, drogi generale? — zachnął się Drecha.

— Wręcz przeciwnie. — Ogorzelski wstał i wyciągnął do Niemca rękę.

— Interesy z panem to czysta przyjemność, generale. — Drecha wstał i skwapliwie uścisnął dłoń Ogorzelskiego.

— Jedziemy na wspólnym wozie, generale — mruknął Ogorzelski i uchylił drzwi na korytarz.

— Tak, tylko że my jesteśmy bardziej z brzegu — dobiegła go smętna sentencja Drechy.

„Hm, Europa jeszcze nie wie, że właśnie zaczynamy ją zmieniać. To może być dla niej zaskakujące”. — Ogorzelski uśmiechnął się do swoich myśli.

Był jednym z ostatnich gości narady.

Powoli schodził marmurowymi schodami, z przyjemnością myśląc o tym, że otaczający go przepych już niedługo stanie się udziałem ludzi, których on wskaże, na których będzie miał kaprys wskazać. Czuł siłę planu, w którym już teraz odgrywał rolę kogoś więcej niż statysty.

Wiedział, że obfita struga pieniędzy sprawi, że on,

Ogorzelski, jak mityczny król Midas, będzie mógł swoim dotykem przemieniać jałowe miejsca w cudowne oazy.

Był przekonany, że na to zasłużył. Zdawał sobie sprawę, że jest inteligentniejszy niż tępe typy promowane w wojsku przez Moczara, a później przez Jaruzelskiego. Znał obce języki, potrafił dobierać sobie myślących i lojalnych współpracowników. I najważniejsze, znał reguły gry — gry, której Europa dopiero się nauczy.

Teraz on będzie wskazywał przyszłych krezusów, a ci będą jedli mu z ręki.

W doskonałym nastroju wsiadł do służbowej wołgi i kazał zawieźć się do klubu oficerskiego. Miał ochotę spotkać się z generałem Witalijem Pawłowem.

Pawłow był w Dreźnie na jakiejś naradzie. Umówili się w klubie. Ogorzelski chciał pokazać Rosjaninowi listę „dysydentów”, którzy w ciągu najbliższych miesięcy zagrają pierwsze skrzypce w odnowionej „Solidarności”. Musiał dopilnować, aby ludzie „wojskówki” zajęli tam najbardziej strategiczne pozycje. Nie mogły się powtórzyć ekscesy ruchu „Wolność i Pragnienie”, kiedy to cywilna bezpieka próbowała od środka rozsadzić armię, używając do tego niczego nieświadomych, pacyfistycznie nastrojonych studentów-obdźektorów.

Trwał wyścig o to, kto zajmie najlepsze pozycje przed startem, najlepiej przygotuje się na moment, kiedy Rosjanie podniosą bombę w górę i rozpoczną się „niekontrolowane rewolucje antykomunistyczne”.

Spoglądał na migające za oknem latarnie. Był spokojny, ostatnie dni przyniosły mu nowy grunt pod nogami. Myśli o przyszłości powodowały miły dreszczyk emocji.

Czuł się jak ukryty w cieniu pająk, który rozpiął sieć życia i spokojnie czeka, aż zaczną w nią wpadać najbardziej smakowite, tłuste kaski. Nie była to może największa sieć, ale wystarczająca, jak na polskie możliwości wystarczająca.

Od narady w gabinecie generała Ogorzelskiego minęły



dwa tygodnie.

Grzegorz Okrzemek z ciężkim sercem wyciągnął spod szafy starą tekturową walizkę i spakował do niej kilka koszul, książki, szczoteczkę do zębów, sweter, pamiętający jeszcze przyjęcie ślubne garnitur i szczoteczkę do zębów. Żona przyglądała się temu ze złośliwym grymasem.

Zdzisława Okrzemek, magister chemii organicznej, pracująca w wojskowym laboratorium w Legionowie, nie mogła zrozumieć, dlaczego jej mąż godził się na częste wyjazdy za granicę, z których nie potrafił przywieźć nawet pięciu zaoszczędzonych dolarów.

— Jesteś najgłupszym facetem w mundurze jakiego znam. Najgłupszym w ogóle, durniejszym nawet od kalesonowców — syczała, poprawiając papiloty.

Kalesonowiec — w ustach Zdzisławy była to najgorsza obelga. Od dzieciństwa nie znosiła facetów noszących pod spodniami kalesony. Jak miała dobry humor, to wtajemniczała go w swoją teorię, dzięki której znalazła główny powód klęski Napoleona pod Moskwą. Twierdziła, że faceci, „którzy najbliższej wacka noszą pantaloney, nie są w stanie sprostać tym, którzy nie boją się odmrozić sobie jaj”.

Grzegorz w zamyśleniu przyjrzał się plamom na jej wатовanym, bułgarskim szlafroku. Przywiózł go, jako niespodziankę, ze szkolenia wywiadów państw Układu Warszawskiego w Burgas. Zdzisia nie rozstawała się z tym porannikiem przez większą część soboty i niedzieli. Na co dzień chodziła w garsonce, którą przywiózł jej z Pragi.

Na osiedlu imienia Dąbrowskiego byli znaną parą, sąsiedzi często złośliwie komentowali ich niezmienny styl, polegający na noszeniu tych samych ubrań aż do ich technicznej śmierci. Gdyby jednak zajrzeli do pokoju gościnnego Okrzemeków, czekałoby ich nie lada zaskoczenie.

Duży pokój od podłogi po sufit wypełniony był książkami w pięciu językach.

Zdzisława biegle władała włoskim i rosyjskim, Grzegorz wyspecjalizował się w angielskim, niemieckim i jeszcze lepiej niż małżonka posługiwał się rosyjskim.

— Dwidziu, jadę na kilka tygodni i na razie nie mogę ci powiedzieć dokąd, ale zobaczysz, że tym razem nie pożałujesz

— szepnął niepewnie Okrzemek.

— Będzie tak samo jak dwa lata temu, gdy wysłali cię do Berlina i dostałeś parchów, bo zakwaterowali cię w najgorszej robotniczej dziurze. Potem znów będę musiała ci zrobić maść.

— Dwidziu!. — Grzegorz zmarszczył brwi. — Swoją drogą, gdybyś ty te wszystkie maści, którymi smarujesz osiedlowe kundle, opatentowała, to byłibyśmy Rockefellerami

— dokończył, drapiąc żonę za uchem.

— Osiedlowe kundle i mój rozkoszny mężulek. Jedź, tylko nie przywlec mi znów parchów do domu. Z Bogiem.

— Dwidziu, przecież my wyznajemy światopogląd naukowy — upomniał ją, domykając kolanem walizkę.

— Idź już, dziadu przebrzydły! Światopoglądem będzie mnie straszyl — najeżyła się Zdzisława.

— Ja też cię kocham, kuciapko — rzucił jej na pożegnanie.

\*\*\*

Okrzemek przyleciał do Luksemburga po południu. Na pokładzie samolotu czytał Oscara Wilde'a — Dorian Gray zawsze wzbudzał w nim dreszcz, trudno powiedzieć, strachu czy fascynacji. Intrygował go, a czytany w oryginale zaspokajał wszystkie duchowe apetyty.

W Luksemburgu świeciło słońce. Wszystko przebiegało zgodnie z otrzymaną od Ogorzelskiego instrukcją. Miał przesiadkę we Frankfurcie, potem dwa razy zastosował sowiecką pieriewierkę, niezawodną metodę sprawdzenia, czy nie wlecze za sobą „ogona”. Zrobił to bardziej z rutyny i nudów, komu bowiem mogło przyjść do głowy, aby śledzić przysadzystego, lekko niechlujnego dżentelmena z Polski.

Okrzemek nie lubił szpiegowskich zabaw, był jednak na tyle wyszkolony, że rutynowe procedury przychodziły mu bez trudu. Na lotnisku był sam, nikt nie interesował się ani jego bagażem, ani nim samym.

Wezwał taksówkę i podał kierowcy karteczkę z nazwą

hotelu.

— Ruski? — spytał łamaną angielszczyzną kierowca.

— Pilnuj drogi! — warknął Okrzemek.

Grubiaństwo nie było w jego stylu, zatem wysiadając, wręczył kierowcy sowity napiwek. „To ci wyleczy zły humor” — pomyślał, wyciągając z bagażnika odrapaną walizkę.

Zameldował się w hotelu „Simoncini”, położonym w biznesowym centrum miasta przy Rue Notre Dame 2240. Budynek wyróżniał się idealnie białymi ścianami, które wyraźnie kontrastowały z feerią barw śródmieścia Luksemburga.

Niewielki, wygodny hotelik składał się jedynie z trzydziestu pięciu pokoi. Miał wyraźnie artystyczny i dyskretny charakter. W hallu i na ścianach korytarzy wisiały oryginalne płótna znanych europejskich malarzy. Z okien pokoi widać było Gelle Fra, wspaniale połyskującą w słońcu statwę „Złotej Damy”, symbolizującą luksemburski ruch oporu z czasów pierwszej wojny światowej. Okrzemek z przyjemnością spoglądał na katedrę Notre Dame, w niczym nie ustępowała słynnej francuskiej siostrze.

Apartament, który ludzie Ogorzelskiego wynajęli Okrzemkowi na miesiąc z góry, składał się z obszernego salonu, kuchni, pokoju gościnnego i wielkiego, południowego tarasu. Jego pobyt w Luksemburgu opłaciło konsorcjum „Pegasus” zarejestrowane w Panamie. Konsorcjum często było wykorzystywane jako płatnik przykrywający koszty działań polskiego wywiadu wojskowego.

Oficjalnie należało do Henryka Wytrychowskiego, byłego gońca z Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim.

Wcześniej Wytrychowski często finansował działania majora Bolesława Gerschiny, polskiego asa wywiadu, który, jak często opowiadał Czesław Kiszczak, stanowił dziewięćdziesiąt procent polskich aktywów wywiadowczych w Niemczech Zachodnich.

Gerschina był nałogowym uwodzicielem, który sztukę rozpalać sekretarek z ambasad krajów należących do Paktu

Północnoatlantyckiego doprowadził do perfekcji. W krótkim czasie nie było w Berlinie szyfrantki czy sekretarki przed czterdziestką, która nie przeszłaby przez łóżko „pięknego Bola”.

Wytrychowski był jego nadwornym płatnikiem.

Firmy Wytrychowskiego, zarejestrowane w kilku rajach podatkowych oraz w Niemczech i w Hiszpanii, trudniły się także kradzieżą patentów dla polskiego przemysłu zbrojeniowego, petrochemicznego i farmaceutycznego. Śmiało można powiedzieć, że począwszy od polopiryny, a skończywszy na kremie „E 25”, wszystkie „polskie” patenty pochodziły od „genialnego” inżyniera Wytrychowskiego.

Wytrychowski miał oczywiście swoje tajemnice, których nie ujawniał nawet oficerom „wojskówki”. Jedną z nich były seksualne upodobania jego syna. Niestety i ten sekret swojego agenta przeniknął generał Kiszczak.

Chcąc nie chcąc, Wytrychowski musiał więc jak pies spełniać polecenia swoich panów z Warszawy. Kiszczak darzył go jednak nieskończoną pogardą, mówiąc o nim per „pyłek”, „kluczowy” czy „kapciowy”. „Biznesmen” zdawał sobie sprawę z faktu, że jego los zawisł na wątej nici kaprysu Czesława Kiszczaka.

Na zlecenie II Zarządu Sztabu Generalnego zajmował się także kradzieżą i nielegalnym wwożeniem do PRL programów komputerowych, związanych z działalnością nowych systemów radiolokacyjnych, oraz części do nowych rakiet scud.

Oficjalnie jego fortuna urosła na handlu polskim runem leśnym – jagodami, grzybami i ziołami, które rozprowadzał po całej Europie Zachodniej.

Okrzemek był nieco onieśmielony przepychem apartamentu, jaki pozostawiono do jego dyspozycji.

Dotąd mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu spółdzielczym na warszawskim Muranowie i w zupełności wystarczał mu extra mocny wypalany na malutkim balkonie szarego bloku mieszkalnego z epoki wczesnego Gierka.

– Trzeba to będzie jakoś przetrwać – mruczał,

rozpakowując swoje skromne bagaże.

Z przyjemnością stwierdził, że w barku, obok wykwintnych koniaków i wódek, stoi także solidna flacha żytniej. „Zawsze coś swojskiego” — pomyślał i poczuł, jak lżej mu się robi na jego steranej podróżą duszy.

— A, machnę sobie maluszka, to się człowiek odpręży — mruzczał jak kocur, nalewając sobie solidny stakanik.

Wódka nappełniła wyniesiony z łazienki kubek, który zwykle służył do płukania zębów.

— Mmmm, mmmm. — Opadł na obszerną sofę i masował się po wystającym z rozpiętej koszuli brzuchu.

Miał przed sobą kilka godzin lenistwa. Dopiero wieczorem czekało go spotkanie z Henrykiem Wytrychowskim, który specjalnie na tę okoliczność zjechał z Niemiec do Luksemburga.

Wytrychowski miał wtajemniczyć Okrzemka w szczegółowe zasady działania Banku Handlowego.

Major nalał sobie jeszcze łyk wódki i wyciągnął z walizki londyńskie wydanie książki Społeczeństwo otwarte i jego wrogość Karla Poppera.

Od wielu tygodni głowił się nad tą książką, szukał luki w bardzo precyzyjnym rozumowaniu autora. Berlin, Arendt i Popper sprawili, że miał do przemyślenia na nowo wiele kwestii związanych z marksizmem.

Okrzemek przez długie lata uważał się za marksistę, jednak od kiedy pieczołowicie przestudiował Główne nurty marksizmu, naszyły go poważne wątpliwości. Chcąc bowiem podać w wątpliwość sądy „rewizjonisty” Kołakowskiego, zaczął badać teksty źródłowe Marksa i ze smutkiem stwierdził, że ten „londyński Żydek” Kołakowski ma rację.

Karol Marks był niekonsekwentny, co więcej, na starość sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o swoich fundamentalnych pracach.

— Nowe czasy, nowi święci — mruknął sam do siebie zamyślony Okrzemek.

Marks, brodata ikona młodości majora, szarzał i pogrążał się w cieniu.

„Świata nie da się wytłumaczyć Marksem, zgoda, ale czy da się go wytłumaczyć masońskimi piramidkami i wszytkowidzącym okiem ze świętych obrazków Zachodu, dolarów?" — dyskutował sam ze sobą.

## Rozdział II

Andrzej Brenner szedł przed siebie, machinalnie odsuwając nielicznych, wpadających na niego przechodniów. Nigdy wcześniej tak się nie czuł. W głowie gorzał mu wielki ogień.

Polska, kraj, do którego zawsze miał wiele zastrzeżeń — ludzie, których w większości nie darzył sympatią i ich grubiańska religijność, ohydna pogoda, smętne jesienne krajobrazy — Polska, na którą był skazany, Polska, którą kochał, została bezczelnie okradziona! Potraktowana jak dziwka. Oszukana i przejęta. Śmiertelnie niebezpieczny pasożyt wydrążył jej ciało.

Dziś, po tylu latach, nie sposób już było stwierdzić, co jeszcze jest Polską, a co już tylko ułudą, wydrążonym kształtem, czymś obcym!

„Cholerny korytarz, na którym zawsze albo przeciąg ze Wschodu, albo z Zachodu, albo Kałmuki, albo Szwaby, albo rzeź, albo życie na pełnym trupów ściernisku” — tłukło mu się w głowie. „Jak już zdarzy się trochę spokoju, to albo chłopci obedną trupy do gołego, albo aferzyści-ścierwojady rozkradną to, co uda się zebrać na pogorzelsku”.

Splunął z wściekłością pod nogi. Był zmęczony, zmarznięty i zniechęcony.

Jak teraz stawić ma czoła sprawie, która przerastała jego siły już pierwszego dnia, gdy za nią ruszył? Chciał się gdzieś schować, zaszyć i w milczeniu przetrwać wszystko, co usłyszał i zobaczył w gabinecie Georga Kravczika.

Nigdy nie przypuszczał, że historia, którą przyniosła do redakcji starsza kobieta w szaroburym płaszczu, będzie miała tak wielkie rozmiary, że potrafi zmienić jego myślenie o dziejach III Rzeczypospolitej, kraju, w którym żył. „Co mam teraz robić? Jak mam o tym wszystkim opowiedzieć ludziom? Przecież nikt mi nie uwierzy.”.

„To będzie kolejna oszołomska, spiskowa opowieść, po której wyślą mnie do stu diabłów i każą zapisać się do PiS-u” — bił się z myślami. Nie darzył partii braci Kaczyńskich sympatią.

Miał im za złe nieskuteczność, fanfaronadę i fatalny dobór ludzi, a najbardziej raziła go hipokryzja ich ugrupowania. Pod hasłami walki z komuną bardzo chętnie przygarniali pod swoje skrzydła ludzi, którzy byli wcześniej mocno z komuną powiązani.

Od kilku lat nie mógł nigdzie zagrzać miejsca. Zmieniał redakcje i tytuły, w których publikował. Odchodził zawsze, gdy czuł, że zawisa nad nim ręka właściciela i ktoś zaczyna mu tłumaczyć, że dziennikarstwo jest bardzo ważne, ale są ważniejsze sprawy.

Teraz był „wolnym strzelcem”, żyło mu się marnie, ale był zadowolony. Napisał ostatnio kilka tekstów, które wywołały wrzenie w Warszawie.

Pewnego dnia zgłosiła się do niego starsza kobieta. Wyglądała niepozornie. Miała na sobie szarą chustkę i bury, wyblakły płaszcz.

— Nie zabiorę panu wiele czasu, zresztą i tak pan nie uwierzy w to, co powiem — zaczęła.

Dalsze jej słowa sprawiły, że natychmiast zaprosił ją na kawę i spędził z nią całe popołudnie. Pierwsze z wielu, które jej poświęcił.

Rezultatem rozmowy z „szarą damą”, jak ją nazwał w myślach, był jego przyjazd do Düsseldorfu.

Nawet nie zauważył jak pieszo dotarł do maleńkiego hoteliku „Empire”.

Dwupiętrowa, secesyjna kamieniczka, która przycupnęła na rogu niewielkiej uliczki w centrum miasta, wydała mu się upragnionym azylem.

Dopiero teraz naprawdę poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Wilgotne, zimne powietrze wciskało mu się za kołnierz.

Starsza, uśmiechnięta recepcjonistka bez słowa podała mu klucz do pokoju 23.

Była Bawarką. Dzień wcześniej, po przyjeździe do miasta, długo z nią rozmawiał. Obszernie opowiadał jej o okolicach Wizny, miejscu, gdzie w czasie kampanii wrzesniowej zginął jej starszy brat. Nigdy nie odważyła się tam



pojechać, więc słuchała z wypiekami na milej twarzy.

Teraz przesłała mu jedynie porozumiewawczy uśmiech.

Z ulgą zanurzył się w ciepłym pokoju. Zaciągnął firanki i już miał się w ubraniu rzucić na łóżko, gdy coś go tknęło i zerwał się na równe nogi.

Wziął pod pachę swoją teczkę, teraz pełną dokumentów i odręcznych notatek i wyszedł z pokoju.

W korytarzu chwilę stał niezdecydowany, po czym delikatnie odchylił stare, zakurzone drzwiczki wnęki, która kiedyś prawdopodobnie służyła do przechowywania środków czyszczących, a teraz sprawiała wrażenie kompletnie zapomnianej.

Wrzucił do niej torbę i starannie przymknął drzwiczki z powrotem. Miejsce to przykrył jeszcze starym kocem, który leżał złożony obok.

Uważnie spojrzął na rezultat swojej pracy i zadowolony wrócił do pokoju.

Intuicyjnie wyczuwał, że dokumenty od Kravczika są unikatowe i na tyle cenne, że powinien je zabezpieczać tak, jakby miał na głowie tuzin ścigających go agentów. Obawa była irracjonalna, w agentów nie wierzył, ale uspokojenie sumienia było konieczne.

Teraz należał mu się solidny odpoczynek.

Zrzucił do kąta nasiąknięte wilgocią buty i po kilku minutach zapadł w głęboki sen.

Musiało mu się śnić coś bardzo niepokojącego, bowiem postać, która wślizgnęła się do jego pokoju pół godziny później, widziała jak rzuca się na posłaniu i jęczy.

Postać przetrząsnęła ubranie Andrzeja, zajrzała do butów, przejrzała kieszenie, szybko sfotografowała wyjęte z kieszonki marynarki dokumenty. Dziennikarz nie zareagował nawet w chwili, gdy zaglądała za jego podkoszulek i majtki.

Spał kamiennym snem.

Ciemna postać zajrzała jeszcze do łazienki i wsadziła palec do kubka na przybory toaletowe, w kilku miejscach nacisnęła też tubkę pasty do zębów. Bez rezultatu.

Polak niczego tam nie ukrył.

Gdy zwinny czarny cień zamknął za sobą drzwi pokoju Andrzeja, natychmiast zdjął z wysokich butów celofanowe ochraniacze, podobne do tych, które zakłada się na wizyty w szpitalach. Ochraniacze powędrowały do kieszeni ciemnego płaszcza wykonanego z bezwonnego, gumowanego materiału.

Postać bezszelestnie spłynęła po schodach, wyczekała aż recepcjonistka wyjdzie na zaplecze i spokojnie opuściła hotel.

Przecnicę dalej stał niebieski Volkswagen mikrobus, ciemna postać zniknęła w jego wnętrzu, samochód niespiesznie odjechał.

Andrzej zbudził się o drugiej po południu. Czuł się nadspodziewanie rześko.

Postanowił nic nie robić do końca dnia. Włożył lekki dres i udał się do klubu bokserskiego, który zauważył dzień wcześniej na tej samej ulicy co jego hotelik. Brakowało mu ruchu, wysiłku fizycznego, prawdziwego potu.

W przestronnej salce ćwiczyło kilka osób. Jedną z nich, dobrze zbudowany Murzyn, sprawiała wrażenie, jakby boks był dla niej chlebem powszednim.

— Ćwiczył pan już kiedyś? — spytał drobny, żylasty trener.

— Owszem, zdarzało mi się. — Niemiecki Andrzej zdradzał obcy akcent.

— Rosjanin? — spytał trener, podając mu rękawice.

— Polak.

— Aaa. Tiger Mikalseski! — Trener wyraźnie był dumny ze swojej erudycji. — Chodź do mnie, chłopaku — przywołał do siebie spoconego Murzyna i gestem nakazał mu, aby zajął się przybyszem.

Półgodzinna rozgrzewka sprawiła, że Polak cały spływał potem.

— Ufff, odpocznijmy. — wydyszał.

— I tak jesteś dobry, myślałem, że nie przetrwasz dziesięciu minut. — Murzyn kordialnie poklepał go po mokrym ramieniu.

Trening bokserskich technik trwał ponad czterdzieści minut. Brenner starał się dorównać wytrenowanemu i na oko o

kilkanaście lat młodszemu Murzynowi, który narzucił spore tempo wykonywania kolejnych technik.

Skończyli na ćwiczeniu dynamicznych uników i wtedy okazało się, że szybkość czarnoskórego boksera jest dla Andrzeja zabójcza. Co drugi cios Murzyna lądował na czole albo szczęce dziennikarza z Polski.

Andrzej był nieco zamroczony, gdy poczuł na ramieniu mocny uścisk.

Machinalnie odwrócił głowę i ujrzał. Georga Kravczika.

— Przykro mi, że pana tu widzę. — Głos Kravczika był pełen niepokoju.

— Nie jest to najmiłsze powitanie, jakie słyszałem w życiu. — Andrzej zdążył się już otrząsnąć z pierwszego zdumienia.

— Niech pan się pośpieszy. Czekam w szatni — odparł zimno Kravczik.

Andrzej powoli odwinął z dłoni przepocone taśmy bokserskie, spakował do torby mokry dres i uściśnął dłoń swojego sparingpartnera.

— Masz tu poważne znajomości. — Murzyn spoglądał na niego z wielkim szacunkiem.

— Poważne?. — Andrzej zawiesił głos.

— Z najwyższej półki, *my friend*, ale nad kondycją i szybkością musisz jeszcze pracować. — Murzyn powoli uniósł pięść do brody.

Andrzej poszedł do szatni, aby zmienić buty. Zastał tam Kravczika w towarzystwie barczystego siwego mężczyzny.

— Do hotelu już nie możesz wrócić! — Kravczik pamiętał, że poprzedniego wieczora przeszli na „ty”.

— Co się, do cholery, dzieje?! — Andrzej był zniecierpliwiony rozkazującym tonem, którym przemawiał do niego niemiecki makler. — Jak mnie tu znalazłeś?

Kravczik wskazał podbródkiem na swojego towarzysza.

— Moje oczy cię znalazły. Mam udziały w tym klubie, więc ciągle poruszasz się po moim terenie. Wychodzimy! — Georg Kravczik uchwycił Andrzeja pod ramię i pociągnął za sobą. Jego uścisk był nadspodziewanie silny.

Milczący mężczyzna, który stał teraz za plecami dziennikarza, klepnął go w łopatkę, dając mu do zrozumienia, że propozycja Kravczika nie podlega negocjacjom.

Bocznymi drzwiami wyszli na zagracone podwórze.

Wokół unosił się zapach gnijących resztek jedzenia. Kosze na śmieci po brzegi wypełnione były resztkami z pobliskiej restauracji. Andrzej wzdrygnął się, gdy spod nóg szurnała mu uciekający w panice szczur.

— Jest w takiej samej sytuacji jak ty — mruknął Kravczik.

— Nie jestem twoim podwładnym! — Andrzej był coraz bardziej rozdrażniony.

— To moja historia, a od wczoraj, niestety, także twoja. Coś nas więc łączy, panie ciekawski. — Kravczik otworzył niepozorne drzwi od podwórza.

Weszli do niedużego biura, w którym siedziała młoda dziewczyna.

Ujrzawszy Kravczika, poderwała się zza biurka i dyskretnie wyszła.

— Prosiłem cię, abyś natychmiast wyjechał. A ty sobie śpisz w najlepsze w hotelu, włóczysz się po salach bokserskich. Jesteś kompletnie nieodpowiedzialny. Gdyby nie Stasch... — makler zawiesił głos i wzrokiem wskazał na milczącego towarzysza — leżałbyś teraz w kanale jako pokarm dla szczurów — dokończył.

— Pan Georg nie przesadza. — Głos siwego mężczyzny był niski, basowy.

— Może wtajemniczycie mnie. — Andrzej nie dokończył, zobaczył, jak Kravczik i Stasch wymienili porozumiewawcze spojrzenia. — Czekam — zachnął się, kierując spojrzenie na mrukliwego siwego mężczyznę.

— Od chwili wyjazdu z Polski był pan nieustannie obserwowany. Przyjechali za panem do Düsseldorfu. — Głos siwego zdawał się wypełniać całe pomieszczenie.

— Kto? — przerwał mu Andrzej.

— „Wir”. — Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyjął z niej czerwony paszport. — „Andrzej Połabiński. Polak, lat

czterdzieści dziewięć" — odczytał.

— Kto to jest? — Andrzej poderwał się podekscytowany.

— Jaki to, do cholery, ma związek z moim przyjazdem? — pytał niecierpliwie.

— Ten człowiek śledził pana w czasie, gdy zjawił się pan w biurze pana Kravczika.

— Jak jego paszport znalazł się w pańskiej kieszeni? — Głos Andrzeja był coraz mniej pewny.

Siwy skromnie spuścił oczy.

— Stasch to moje oczy, czasami jednak także pięść. Pan Połabiński obudzi się pewnie dziś wieczorem w Bremie. Wpakowaliśmy go na ciężarówkę wiozącą tam ziemniaki — zachichotał Georg Kravczik. — Oni do tej pory nie zblizali się do nas, mieli za dużo do stracenia. Przyjazd polskiego dziennikarza do Düsseldorfu był jednak dla nich zbyt niebezpieczny. Ostrzegalem cię, ale ty pewnie pomyślałeś, że to brednie starego neurotyka. Zgodziłem się na współpracę z tobą, ale to będzie na moich warunkach. Inaczej nigdy więcej się nie spotkamy. Do hotelu nie wrócisz. Dam ci pieniądze i natychmiast stąd wyjeżdżaj.

Głos Kravczika był spokojny. Widać było, że jest absolutnie świadom tego, o czym mówi.

Gestem ręki uciszył Andrzeja.

— Strach jest twoim największym wrogiem, ale nie twój strach. Ich strach. Oni boją się tej historii i nie pozwolą na to, abyś ją opisał. — Kravczik podał Polakowi kopertę z pieniędzmi. — Powinno starczyć na powrót. Aha, tu masz swoją zgubę. — Rzucił w stronę Andrzeja torbę z dokumentami. — Wnęka z hydrantem przeciwpożarowym nie jest najlepszą skrytką, ale chwala ci za to, że nie miałeś tego pod łóżkiem. Połabiński nie był sam. — Kravczik uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili spotkania w bokserskiej salce.

Andrzej był skołowany. Nadal nie rozumiał, dlaczego Georg Kravczik i jego towarzysze są tacy nerwowi. Nie rozumiał, kim są „oni”, ani jak Kravczik znalazł dokumenty, które Andrzej pieczołowicie ukrył poprzedniego wieczoru. W okolicy czoła czuł pulsujący ból. Nie był pewien, czy jest to rezultat

ciosów Murzyna, czy też informacji, z którymi przyszedli do niego Niemcy.

— Pozwólcie mi chociaż zebrać myśli. Kim jest ten „Wir”? Skąd, do diabła, wziął się ten Połabiński? Kim jest pana współpracownik? Kto mnie ściga, jacy „oni”? — Pytania wyrzucał z siebie z szybkością karabinu maszynowego, musiał mieć jednak bardzo niepewną minę, bowiem obaj jego rozmówcy głębiej rozsiedli się w fotelach, a Georg Kravczik spokojnie odpalił cygaro.

— Rzeczywiście, kilka rzeczy powinienś wiedzieć, skoro już wdepnąłeś w sprawę Funduszu Budowy Gospodarki. Ja jestem w Niemczech bezpieczny, nie mogą tknąć mnie palcem. Obecny tu Stasch dba o moje bezpieczeństwo. Kiedyś pracował w waszym wywiadzie, a teraz jest moim, nazwijmy to, doradcą. — Kravczik demonstracyjnie uklonił się swojemu towarzyszowi, czym wywołał jego szeroki uśmiech.

— Moje dokumenty są w pewnej kancelarii i gdyby coś mi się przydarzyło, natychmiast trafiają do BND. W niemieckim wywiadzie mam natomiast zbyt wielu znajomych, aby moja niedyspozycja komukolwiek uszła płazem. — Makler z lubością wypuścił chmurę śmierdzącego dymu. — Teraz o grupie „Wir”. — Odwrócił się do swego mężczyzny.

Ten rozpiął pod szyją kołnierzyk koszuli i założył okulary. Z kieszeni marynarki wyjął złożoną na pół szarą kopertę.

Zaczął czytać:

— „My, ludzie honoru, stajemy przed sobą w prawdzie. Wobec towarzyszy broni mamy czyste intencje. Przysięgamy zawsze działać we wspólnej Sprawie, wspierać naszych ludzi i bezwzględnie tępić zdrajców. Od dziś Organizacja jest ponad każdym z nas i każdy musi Organizacji służyć. Przysięga nie kończy się nigdy.”.

Siwy mężczyzna przerwał czytanie i spojrzał na Andrzeja.

— Trochę to pompatyczne, ale zaręczam panu, że ci, którzy tę przysięgę składali, nie są harcerzami.

— Kim zatem są? — wtrącił rozgorączkowany dziennikarz.

— Członkami organizacji „Wir”, skupiającej elitę polskich służb specjalnych z okresu PRL. Najbardziej tajnej i jednocześnie najsprawniejszej grupy, jaka dostała się Polsce w spadku po komunizmie. Słyszał pan o „Pershingu”, „Masie”, „Kielbasie”, „Wańce”, „Baraninie”?

— Pewnie — przytaknął Andrzej.

— Nigdy nie ukradliby nawet roweru, gdyby nie wsparcie „Wiru”. Większość z nich to byli agenci manewrowi tak zwanego Inspektoratu Ochrony Funkcjonariuszy, dziś „Wiru”. Im więcej będzie pan wiedział o tej grupie, tym trudniej będzie panu uwierzyć w jej istnienie. W świecie podwójnych lusterek nigdy nie wiadomo, co jest prawdziwym kształtem, a co jedynie odbiciem, wyobrażeniem, które widzimy, ale nie możemy sprawdzić, czy istnieje.

— Naczytaliście się chyba złej literatury. — Andrzej był co-raz bardziej zmieszany i usiłował żartem rozładować atmosferę.

— Moje życie to niezbyt wyszukana literatura. Nie obchodzi mnie to, czy pan mi wierzy. Pracuję dla pana Kravczika, skoro on panu zaufał, ja też muszę. Ten Połabiński kiedyś tropił opozycję na południu Polski, potem założył dużą agencję detektywistyczną. Zawsze pracował dla „Wiru”. Był jego członkiem.

— Skąd pan to wie? — fuknął na niego Andrzej.

— Z życia, drogi panie, z życia, a życie ma to do siebie, że zwykle można je sprawdzić.

— Skąd pan tyle wie o tej dziwnej organizacji? Ja żyję w Polsce wiele lat, a nigdy nie słyszałem o żadnym „Wirze”! — przerwał mu Andrzej.

— O „Wirze” wiedzą tylko ci, którzy byli w środku.

— Więc pan był w „Wirze”? — Andrzej nie ustępował.

— Chłopie, nie patrz w to lustro, bo oślepniesz! — Siwy mężczyzna złożył trzymane w dłoniach dokumenty i z powrotem wsadził je do kieszeni marynarki.

Otrzeptał wielkie dłonie, jakby pozbywał się

niewidocznego brudu, i zastygł w wyczekującej pozie.

— Kiedyś dowiesz się więcej, a teraz daj mu spokój. Uwierz na słowo — mruknął Kravczik, gasząc cygaro w olbrzymiej, żeliwnej popielniczce.

— To nie wszystko. „Wir” nigdy nie działa bez zabezpieczenia. Obok Połabińskiego, który oficjalnie pana śledził, musiał być ktoś, może nawet cała ekipa, kto sprawdzał przebieg akcji. Tej drugiej linii nie wykryliśmy. — Siwy mężczyzna zmarszczył czoło, jakby nad czymś się nagle zastanowił. — Poznał pan kogoś nowego w ciągu ostatnich dwóch tygodni?

Andrzej przecząco pokręcił głową.

— To mogła być kobieta, starzec. daleki krewny, dziwka — dopytywał siwy.

— Nie, nie zawarłem żadnych nowych znajomości — stanowczo odpowiedział dziennikarz.

— Zastosowali więc wariant „pętli” — stwierdził półgłosem siwy.

— Jakiej „pętli”, czy wy przypadkiem obaj nie jesteście chorzy?! — prychnął zaniepokojony Andrzej.

Kravczik wybuchnął beztróskim, szczerym śmiechem. Jego brzuch podskakiwał w rytm pogłębiającego się ataku wesołości. Nastrój udzielił się także siwemu mężczyźnie, który w szerokim uśmiechu odsłonił złotą dwójkę. Po kilku minutach siwy przyłapał wreszcie pytające spojrzenie Andrzeja.

Dotknął wskazującym palcem złotego zęba.

— Pamiątka z instytutu języków w Moskwie, lata osiemdziesiąte. jak się wejdzie między wrony. — wyjaśnił, parszkając na koniec gardłowym śmiechem.

— Co was tak, do diabła, bawi? — Andrzej spąsował na twarzy.

— Spokojnie, spokojnie. To nie ma nic wspólnego z tobą. Chciałbym być chory na urojenia i nigdy nie przestąpić progu Funduszu Budowy Gospodarki. Niestety tak nie jest, a Stasch jest najbardziej rzeczowym facetem, jakiego znam. Słuchaj go, bo w Moskwie i w Afryce poznał świat, o którym my nigdy nie będziemy mieć pojęcia. — Twarz Kravczika spoważniała.



Siwy wstał i położył rękę na ramieniu Andrzeja.

— Na zewnątrz czeka na pana czarne volvo. Zawiezie pana na dworzec. — Spojrzał na zegarek. — Za dwadzieścia minut odjeżdża międzynarodowy pociąg do Bratysławy, stamtąd ma pan już blisko do swojego Krakowa. Po drodze niech pan nie poznaje żadnych ludzi. Licho nie śpi. Odezwiemy się.

Jego ton był rzeczowy, nie zmienił się nawet w momencie, gdy Andrzej z oburzeniem spojrzał na własne ramię i spoczywającą na nim dłoń. Dziennikarz czuł, że siwy nieraz bywał w konfliktowych sytuacjach i doskonale potrafi zapanować nad emocjami.

— Odezwę się do ciebie w ciągu dwóch tygodni, moje obietnice zostaną wypełnione, a ty, cóż, właśnie zmieniłeś swoje życie. — Kravczik mocno uściśnięła dłoń Andrzeja. — Tu jest coś dla ciebie, myślę, że nie będziesz już żałował ciuchów z hotelu. — Zdjął z wieszaka pokrowiec i wydobył z niego nowy, idealnie skrojony garnitur w kolorze stalowogranatowym, spod ławki wyjął nowe buty i skarpetki.

Andrzej spojrzał na swój dres i adidas, wyglądał jak typowy Polak, który szuka pracy w Zagłębiu Ruhry. Zakłopotany dotknął rękawa marynarki, cieniutka wełna była przyjemna w dotyku.

— Ermenegildo Zegna. Mam oko do rozmiarów, więc to wszystko powinno pasować. Jeszcze koszula i na pewno w czasie podróży będziesz się czuł komfortowo.

Dziennikarz szybko zrzucił dres i już po chwili przypominał młodego człowieka sukcesu, zmierzającego na ważną konferencję.

— A mój paszport?

— Proszę. — Stasch podał mu czerwoną książeczkę w foliowym woreczku.

Musieli wejść do jego pokoju i dokładnie go przeszukać.

Andrzej ujął pod pachę torbę z papierami Kravczika, wstał i bez słowa uściśnięła dłonie maklera i jego towarzysza.

— Tym razem już naprawdę spływam.

— Nie ma innego wyjścia. Czekaj na informacje i uważaj

na siebie. — Głos Kravczika był nadspodziewanie ciepły.

Makler otworzył przed nim boczne drzwi, które zwykle służyły dostawcom jarzyn.

— W Krakowie odwiedzi cię twój dawny znajomy, lubisz go. tym razem posłuchaj go i zrób, co powie — zza pleców dobiegł Andrzeja głos siwego. Zaintrygowany przystanął.

— Kto?

— Zorientujesz się. — Siwy machnął mu dłonią na pożegnanie.

Na zewnątrz czekał duży ciemny samochód z milczącym kierowcą w środku. Kiedy wyjechali na ulicę, kierowca odruchowo spojrzął w lusterko wsteczne.

Chrząknął uspokojony i zmienił bieg.

Za nimi jechało kilka samochodów. W bezpiecznej odległości, tuż za jasnym volkswagenem polo, w którym siedziała efektowna blondynka, toczył się ciemny volkswagen furgon. Przez wszystkie przecznice, aż do dworca kolejowego, skręcał w te same ulice co volvo wiozące Andrzeja. Zawsze jednak pomiędzy wysłanym przez Kravczika samochodem i volkswagenem furgonem był inny pojazd zmierzający w tym samym kierunku.

Jazda na dworzec trwała niecały kwadrans, w tym czasie nic nie wzbudziło niepokoju kierowcy.

Andrzej spieszył się, więc bez zastanowienia wziął od niego bilet i pobiegł na peron trzeci, skąd za cztery minuty miał odjechać pociąg do Bratysławy.

Miał do swojej dyspozycji cały przedział pierwszej klasy, mógł więc spokojnie przemyśleć wydarzenia ostatnich godzin.

Wiedział, że wkłada palec między drzwi, co więcej, z chwilą wyjazdu do Düsseldorfu spodziewał się narastającej fali kłopotów, ale tanie, szpiegowskie sztuczki?

Opowieści o mitycznej organizacji „Wir”?

To zdecydowanie przekraczało jego poczucie realności. Ktoś tu miał źle w głowie.

Po co esbecy mieliby ponosić szalone koszty? Tylko po to, aby za mało znanym dziennikarzem wysłać do Niemiec ekipę zawodowych szpiegów?

Opowieści o jakimś Połabińskim — przecież to zakrawało na scenariusz marnego filmu, eksploatującego do granic nieprzyzwoitości wątki z Bonda.

Andrzej nigdy nie lubił powieści sensacyjnych, gdyż zawsze w czasie czytania przeżywał smutny moment rozczarowania, kiedy autorowi nie starczało inwencji i rozsądku, aby utrzymać historię w pobliżu ziemi i bohaterowie odlatywali w tanią przestrzeń uproszczeń i pomysłów niepodlegających regułom logiki. Odkładał wtedy książkę i przyrzekał sobie, że już nigdy więcej nie da się skusić na przetrwanie cudzych fantazji.

Kiedy po raz pierwszy usłyszał o Funduszu Budowy Gospodarki wiedział, że jeśli w tej opowieści jest choć ziarno prawdy, to czeka go temat życia.

Zył jednak w Polsce, kraju, w którym służby potrafiły co najwyżej napisać jakiemuś dziennikarzynie tekst lub zaprojektować audycję — tu kończyły się ich kompetencje. Byli tak samo nieudani i skorumpowani, jak każde inne znane mu środowisko. Nieraz pił wódkę z oficerami UOP czy WSI i nie potrafił sobie wyobrazić, aby ci rozpici degeneraci potrafili wymyślić coś więcej niż szytą grubymi nićmi doraźną intrygę.

Utworzenie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego niczego, w jego przekonaniu, nie zmieniło. Ludzie służb byli egoistyczni, skorumpowani i niezmordowani w podlizywaniu się rządzącym politykom. Nie znał ani jednej akcji polskich służb, która wzbudziłaby jego uznanie. Nawet słynne wywiezienie amerykańskich agentów z Iraku, przypisywane generałowi Czekalskiemu, nie było niczym więcej jak wykorzystaniem istniejących kanałów i alkoholu. Kiedyś pisał o tej sławetnej akcji i ze zdumieniem obserwował jej bohaterów — niegrzeszących inteligencją, rozpitych.

Trudno było mu wyobrazić sobie, że ludzie dawnej bezpieki mogą być zdolni do kunsztownej, rozłożonej na wiele lat gry operacyjnej. Nigdy nie słyszał o organizacji „Wir”, kojarzyła mu się z hitlerowską „Odessą” i natychmiast ogarniał go pusty śmiech.

„Nie, ktoś tu, cholera, zwariował. «Wir», «Odessa»,

Połabiński, szpiedzy. to jakiś marny scenariusz" — zżymał się w myślach.

„Miliardy są jednak zupełnie realne, miliardy ukradzione Polsce.” — ta myśl przywracała go do rzeczywistości, ostrze gała, że skoro istnieją takie pieniądze, mogą istnieć także ludzie, którzy skłonni są dla nich rozgrywać skomplikowane partie.

Desperacja, jaka napelniała go poprzedniego wieczoru, minęła. Sprawa FBG powoli nabierała realnych rozmiarów i wszechogarniający spisek komunistów, jak widział to jeszcze wczoraj, coraz bardziej wydawał mu się projekcją zmęczonego umysłu. Ot, kilku cwaniaków wykorzystano nadarzającą się okazję. Tak na to teraz spoglądał.

Wiedział także, że skomplikowane partie toczą się tylko tam, gdzie nie da się zastosować prostszych środków. Logika podpowiadała mu, że kiedy człowieka można zdmuchnąć jak świeczkę, wystarcza zwykły wypadek samochodowy, niespodziewany zawał, a w ostateczności ołowiany pocisk.

Nie miał jeszcze planu działań. Wiedział jednak, że nie chce być zdmuchniętą świeczką. „Jakoś to będzie” — pocieszył się w myślach.

Za oknem krajobraz zanurzał się w atramentowej barwie wieczoru.

Andrzej przez chwilę kontemplował swoje odbicie w niewielkim lustrze wiszącym na ścianie przedziału. Musiał przyznać, że garnitur wręczony mu przez Kravczika prezentował się imponująco. Skrojony tak, że eksponował jego szerokie ramiona i wąską talię. Idealnie układał się na dobrze wysklepionych mięśniach klatki piersiowej.

— Stary ma gust i doskonale oko, kupił garnitur szyty wprost na mnie — mruknął zadowolony.

Wystarczyło jednak spojrzenie za okno, aby znów pogrążył się w niewesołych rozmyślniach. Za szybą majestatycznie przesuwały się ogromne, zbudowane z cegły koszary wojskowe. Spośród rzadkich drzew wylaniały się monotonne hangary, kryjące zapewne pojazdy pancerne, i budynki, przy pominające rozrzucone na trawniku

prostokątne pudełka, w których kwaterowali żołnierze.

„Teren armii niemieckiej” — informował czerwony napis zawieszony na wysokiej drucianej siatce zwieńczonej zwojami drutu kolczastego.

„Gdyby nie ta szara kobieta, pewnie nie zabrałbym się za rozplątywanie tajemnic tej cholernej wojskowej kombinacji” — zamyślił się Andrzej.

Dokładnie pamiętał popołudnie, gdy odebrał od niej telefon.

— Uchodzi pan za dobrego dziennikarza, na dodatek mó- wią, że nie jest pan świnia. Chciałabym, aby posłuchał pan historii o tym, jak z ludzi robi się zera — brzmiał w słuchawce niski głos kobiety, która na pewno nie miała dwudziestu lat, za dużo paliła i bez wątpienia uważała, że świat nie jest najlepszym dziełem Pana Boga. W Pana Boga też pewnie nie wierzyła.

Andrzej od dzieciństwa miał przedziwny dar odczytywania ludzkich głosów. Nie słów, tylko tego, co pod tymi słowami się kryło. Rzadko się mylił. Tym razem też był przekonany, że dokładnie wie, z kim ma do czynienia.

Instyngt eksperymentatora nakazał mu umówić się z tą kobietą na spotkanie. Sprawdzić, czy intuicja nadal nieomylnie podsuwa mu właściwe diagnozy.

Miał w nosie jej historię. Chciał jedynie po raz kolejny dowieść sobie, że należy do nielicznej grupy magów, którzy dostrzegają to, co dla innych pozostaje niewidoczne.

Dla własnej wygody umówił się z nią w redakcji, gdzie przez kilka godzin miał załatwiać zmiany w swoim najnowszym reportażu.

Przywiązywał do tego tekstu wielką wagę, był to bowiem zapis jego doświadczeń z pierwszych trzech miesięcy niepod ległości Kosowa. Kolejna bałkańska historia, jakich wiele opublikował już w różnych gazetach. Tym razem jednak miał do tekstu bardzo osobisty stosunek. Chciał w nim pokazać, jak i dlaczego przestał wierzyć w nowe państwo. Chciał wysłać do Europy ostrzegawczy sygnał: „Uważajcie, na waszych oczach powstało państwo mafii. To państwo rozpieprzy wasz spokój!”.

Kłótnia o każde słowo w tekście trwała już ponad cztery godziny, gdy do sekretariatu redaktora naczelnego weszła kobieta ubrana w szarobury płaszcz. Miała smutną, zmęczoną twarz. Gdy na nią spojrział, poczuł ukłucie tryumfu — nie mylił się, dokładnie tak ją sobie wyobrażał, gdy słuchał w słuchawce jej głosu.

Szara, złamana, pewnie lekko ześwirowana.

Rozmawiała z nim w korytarzu, nerwowo paliła papierosa i wyrzucała z siebie krótkie zdania.

— Wiem, że mi pan nie uwierzy. Chcę mieć czyste sumienie — mówiła, odsłaniając poślizgnięte od nikotyny zęby.

A on myślał o tym, aby jak najszybciej ją spławić i powrócić do zażartej kłótni o najważniejszy akapit w jego reportażu. Chcieli mu wyciąć z tekstu krytykę decyzji prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który w imieniu Polski oficjalnie uznał niepodległość Kosowa. Sekretarz redakcji upierał się, aby zawęzić reportaż jedynie do warstwy faktograficznej i wyciąć z niego wszelkie zdania autorskiego komentarza.

Andrzej walczył o każdy akapit jak lew i sytuacja wydawała się tyleż męcząca, co patowa.

W końcu jednak interweniował naczelny i krytyka decyzji Kaczyńskiego znalazła się w tekście.

Brenner się zastanowił. Wiedział, że bardziej nie zmiękczy już sekretarza redakcji. Mógł się jeszcze spierać, ale ściana była blisko.

„Może pojawiła się akurat w porę” — pomyślał o nieznajomej. Poczuł, że los daje mu możliwość honorowej kapitulacji. Krakowskim targiem dogadał się z pąsowym ze zdenerwowania sekretarzem redakcji, że zostanie tylko jeden, podsumowujący cały tekst, komentarz autorski.

Zaprosił kobietę do kawiarni. Była zdenerwowana, kątem oka zauważył, jak nieustannie zaciska dłonie, drgały jej ką- ciki ust.

Kiedy usiadła naprzeciw niego przy małym kawiarnianym stoliku, śmiało spojrziała mu prosto w oczy.

— Nie jestem żadną histeryczką, maniaczką,

nimfomanką. — powiedziała niskim, skrzypiącym od tysiąca wypalonych papierosów głosem. — Jestem tu, bo nikt inny nie może pomóc mojemu mężowi. Siedzi w kryminale, a ja nigdy nie miałam pieniędzy nawet na zagraniczne wakacje. — Zacisnęła ze złością wargi. — Wie pan, ile on ukradł? — Rzuciła mu krótkie, badawcze spojrzenie.

— Nie — odpowiedział zaskoczony.

— On ukradł pięćset milionów dolarów! Wyobraża pan sobie, ile waży taka fura pieniędzy? Ponad pięćset kilogramów. — Zamilkła. — Kurwa, ukradł pół tony siana, a my nigdy nie mieliśmy nawet nowej lodówki. Taką, kurwa, starą, od teściów mamy — mówiła zdenerwowanym głosem.

Zapaliła papierosa, niepewnie zwróciła spojrzenie w stronę Andrzeja.

— Chce pan? — Podsunęła mu paczkę czerwonych caro.

Zapalił, bardziej z grzeczności niż z potrzeby. Dawno nie czuł gryzącego smaku polskiego tytoniu.

— Mam jeszcze ze starych czasów. Muszę też Grześkowi sztangi nosić do pierdla. Tam mu ciągle ktoś podkrada.

Andrzeja coś tknęło. Uważniej przypatrzył się twarzy rozmówczyni.

— Czy pani nazywa się?. — zapytał niepewnie.

— Tak, tak. nazywam się Zdzisława Okrzemek, ale może pan do mnie mówić największa frajerko Trzeciej Rzeczypospolitej — przerwała mu. — Jestem żoną największego złodzieja, Grzegorza Okrzemka. — Ze złością zgmiotła papierosa w popielnicze. — Całe życie mieszkamy w jednym i tym samym mieszkanku. Jeździmy dwudziestoletnim fiatem. Mój mężulek nie chodzi na kurwy, nie chła w lokalach na mieście, nie gubi pieniędzy. Teraz wreszcie zaoszczędzimy, bo karmi go państwo.

Andrzej chciał coś powiedzieć, ale Zdzisława Okrzemek niemal zasłoniła mu dłonią usta.

— Nie, nie. siedziałam jak pustelnica w tym mieszkaniu i myślałam. Zaczęłam pisać. Nie o wszystkim wiem, ale chcę, żeby pan się tym zajął. Spodobało mi się, jak pisał pan o krzywdzie Serbii i operetce z niepodległym Kosowem. Ma pan

zdrowy rozsądek i jaja, dlatego właśnie do pana się zgłosiłam. Opowiem panu o Funduszu Budowy Gospodarki, wielkim złodzieju Grzegorz Okrzemku i śmierdzących chujach, którzy tym wszystkim się nazarli. Proszę, żeby pan mnie posłuchał.

Miała w sobie tyle determinacji, że nie usiłował nawet oponować. Machinalnie zapalił kolejnego caro i słuchał.

— Na początek opowiem panu pewną historyjkę, która pozwoli panu zrozumieć, kim jest mój mąż. — Głęboko zaciągnęła się kolejnym papierosem. — Jednym z naszych sąsiadów był pewien znany kiedyś piłkarz. Po tym jak przestał być piłkarzem, zaczął być pijakiem. Lał żonę i dzieciaki, wielokrotnie widziałam, jak leżał oszczany na placu zabaw, a jego dzieciaki ciągnęły go do chałupy. My nie mamy dzieci i Grzesiek całymi wieczorami gadał o dzieciakach tego piłkarza. Pewnego dnia facet skopał żonę w ciąży, poroniła i ją sparaliżowało. Zdębiałam, gdy Grzesiek zaczął gotować codziennie obiady. Zanosił je tym dzieciakom. Mieszkali tylko z babcią. Śliczne dzieci, takie blondynki. Ojciec w kryminale, matka sparaliżowana. Najmłodszy wylał na siebie wrzątek, potrzebne były pieniądze na operację w Siemianowicach Śląskich. Grzesiek wypłacił wszystkie nasze pieniądze i zapłacił za leczenie. Dzieciak umarł. Ta rodzina miała naprawdę posrane los. Grzesio robił, co mógł, ale to było tak, jakby mocował się z falą, która i tak przepłynie. Wtedy pierwszy raz widziałam, jak płakał.

Kobieta umilkła i wbiła spojrzenie w stół.

— Gdy go zamknęli w kryminale, to przez miesiąc z nikim nie gadał. Zrobił sobie z chleba szachy i grał sam ze sobą. Mówi, że jest ofiarą historii i nic na to nie poradzi. Gada o losie i o tym, że tak jak nieodwracalnie rodzina piłkarza miała przesrane, tak on też musi przetrwać chude lata i przeczekać fatum. Ale ja, kurwa, nie wytrzymuję! Jestem sama jak palec z tymi pieprzonymi książkami i czterema ścianami.

Zacisnęła dłonie na blacie.

— Są tacy ludzie, którzy upaśli się jak krowie bąki na tym, co robił Grzesiek. Widzę ich w telewizji, jak gardłują o moralności. Nie będę do końca życia ich kryła. To takie



nazwiska, że pan nie uwierzy. Widzę tych opojów, kurwiarzy, narkomanów, którzy mówią, że porobili fortuny swoją pracą, a ja wiem, że ciągnęli z Funduszu Budowy Gospodarki, ile tylko się dało. Jak końskie pijawki. Kradli.

Spojrzała badawczo na Andrzeja. Palił trzeciego papierosa. Wynik testu wypadł chyba po jej myśli, bo ciągnęła dalej:

— Taki Kubat z Poznania, menda, pedał i drobny szwindlarz. był na każde skinienie Grzegorza, łasił się, aby tylko wylizać parę złotych. Wylizwał znacznie więcej!.

— Kubat? — Andrzejowi ze zdumienia oczy omal nie wyszły z orbit. — Przecież prymas wychwalał go jako przykład chrześcijańskiej etyki biznesu — wybąkał ciągle mocno zdumiony.

— To jeden z pierwszych. Inni są jeszcze ciekawsi. Przyniosę panu moje notatki, to dopiero się pan zdziwi.

— Pani Zdzisławo, zacznijmy od początku. Jak pani mąż znalazł się w Funduszu Budowy Gospodarki? — zapytał, starając się, aby jego głos brzmiał jak najbardziej łagodnie.

— Dostał rozkaz. To pan nie wie, że on jest majorem? — prychnęła, wypuszczając z ust obłok dymu.

Przez chwilę spoglądał na jej rozmytą w tytoniowej mgłę twarz i miał wrażenie, że ogląda scenę ze starego filmu sensacyjnego. Ta niepozorna kobieta miała w sobie ładunek wybuchowy. Wierzył jej i zaczął przeczuwać, że jeśli opowie mu o kulisach powstania FBG i on to opisze, to albo zamkną go w domu wariatów, albo polską rzeczywistością targnie eksplozja.

Tak, zdecydowanie wolał tę drugą możliwość. Chciał wysadzić w powietrze ten śmierdzący chlew. Tak myślał o elicie polskiej polityki. Nigdy nie słyszał z rozwagi, pakował się w najtrudniejsze sprawy. Ostatnio więcej czasu spędzał na Bałkanach niż w rodzinnym Krakowie. Od młodości był nierozważny, głosił swoje opinie na temat otaczającego go świata tak niewyparzonym językiem, że nigdzie dłużej nie zagrzał miejsca. Ostatnio nieco złagodniał, ale etykieta „człowieka trudnego” sprawiała, że nigdy nie był zapraszany na

uczone konwentykle, nie dostawał nagród, nie miał zbyt wielu przyjaciół.

— Niech pan mnie dobrze zrozumie. Nie wierzę ani w sprawiedliwość, ani w Boga. Nie chcę się mścić, ale tak mnie w środku ściska. Czuję się jak stara, skopana suka — szepnęła, ściskając mu nerwowo dłoń na pożegnanie. — Suka ma jeszcze zęby i potrafi gryźć padlinę.

Zapłacił rachunek i gdy odwrócił głowę w stronę baru, szarej kobiety już w kawiarni nie było. Nerwowo sięgnął do kieszeni. Skrawek papieru z zapisanym na nim numerem telefonu był na swoim miejscu.

Z zamyślenia wyrwał go nagły hałas na korytarzu wagonu. Otworzył drzwi przedziału i wyjrzał na korytarz. Dwóch pijanych młodzieńców w biało-czerwonych szalikach na szyjach przepychało się z konduktorem.

— Dawaj, kurwa!. Wyjebimy go z pociągu! — bełkotliwie wydierał się niższy z napastników.

Starszy konduktor rozpaczliwie usiłował przeciwstawić się dwóm osiłkom. Na szczęście zasyczały drzwi w przejściu pomiędzy wagonami i naraz pojawiło się tam dwóch barczystych słowackich policjantów.

Młodzieńcy natychmiast uspokoili się i uderzyli w ton pokory.

— Panowie, no dajcie spokój. My tylko chcieliśmy mu wytłumaczyć, że jedziemy na mecz polskiej reprezentacji. My jesteśmy patrioci, a on nas nie zrozumiał — perorował dalej kibic.

Policjanci bez słowa obalili obu „patriotów” na podłogę i skuli im ręce kajdankami.

— Za pięć minut będzie stacja, tam czeka już patrol i zawiezie ich do izby wytrzeźwień — poinformowali pasażerów.

Konduktor, wyraźnie już uspokojony, obmacywał rosnący pod okiem siniec.

Andrzej spąsował, cicho schował się do przedziału.

— Polacy. — mruknął do siebie i zmiął w ustach

przekleństwo.

Zamierzał właśnie opisać największą aferę, opowiedzieć ludziom o ich najnowszej historii. W myślach widział nawet swoich czytelników. a tu bycze karki. „Komu? Komu opowiadać? — zastanowił się. — Tym facetom o pękających łydkach wychodzących ze spodenek «trzy czwarte», z byczymi karkami i baniastymi łbami? Hreczkosiejom? Przecież oni nie wiedzą nawet gdzie są, po co są. Pokolenie obniżek w «Tesco»”.

Męczył sam siebie. Poczul się jak ostatni frajer. Komu ma prostować życie? Kogo informować o stanie państwa? Bezmózgą i chorą na pryszczycę hołotę, której do szczęścia wystarczy tanie piwo, goła dupa w telewizorze i „kilka tyśi” na pierwszego.

Czuł się Polakiem, a jednak nie potrafił wyzbyć się głębokiej odrazy do tego, co teraz kojarzyło mu się ze statystyczną „polskością”.

Przypomniał sobie swoją babcie — elegancką szefową biblioteki dla emerytów w Bochni. Zawsze nienaganna fryzura, oprawki okularów dobrane do koloru sukienki. Papierosy palone w specjalnej lufce, bo jak mawiała, papierowe filtry pasują tylko ulicznicom. Dziesięć lat tułania się po syberyjskich łągach. Mąż ukatrupiony w Katyniu.

Babcia, adoratorka Piaseckiego i Ossendowskiego, świetnie mówiąca w jidysz. Polka, ziemianka. Ona by mu wytłumaczyła, gdzie jest ta ważniejsza Polska.

Gdyby żyła.

Gdzieś w głębi duszy buntowała się w nim ta inna Polska. Szlachetna, honorowa. przedwojenna jakaś.

Tylko, że ta przedwojennosc tak naprawdę chyba nigdy nie istniała.

Do Bratysławy pozostało sto kilometrów. Postanowił wypić coś gorącego w wagonie restauracyjnym.

Kiedy wszedł tam w swoim nienagannym garniturze, oczy wszystkich obecnych natychmiast zwróciły się w jego stronę. Na szczęście o tej porze siedziały tam zaledwie trzy osoby. Zastygły w niedbalej pozie kelner odziany był także

w garnitur. Kiedy jednak spojrzął na Andrzeja, w jego oczach błysnęła melancholia. Uniform kelnera uszyły szwaczki w Ołomuńcu i do Zegny było mu tak daleko, jak Krawczykowi do Franka Sinatry.

Pod ścianą siedziało starsze małżeństwo. Dwa stoliki dalej ktoś się uśmiechał.

Usiadł przy wolnym stoliku i wtedy zdał sobie sprawę, że ten uśmiech jest dla niego.

Podniósł wzrok i pochwycił spojrzenie dużych brązowych oczu. Pełne usta, lekko garbaty, mały nosek.

„Zaraz, zaraz, skądś znam tę buzię. — zamyślił się. — Anna? Ale co ona u diabła robi w tym pociągu?”.

Wstał i podszedł do roześmianej kobiety.

— Ania Halicka? — zapytał.

— Tak, Andrzeju. Nic się nie zmieniłeś. Poznałam cię od razu, jak tu wszedłeś.

Przypomniał sobie jej miły głos o głębokiej barwie.

Studiowali razem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Była najładniejszą dziewczyną na roku. Przez wiele miesięcy beznadziejnie się w niej podkochał, aż w końcu dopiął swego i przez rok mieszkali razem w akademikowym pokoju. Potem wyjechała na stypendium zagraniczne i od tego czasu widywali się już tylko sporadycznie. Romans zgasł.

Anna pozostała piękną kobietą, lata dodały jej szyku. Musiała mieć szalone powodzenie wśród mężczyzn. Ubrana z wytworną elegancją, dyskretnie pachniała drogimi perfumami.

Piła kawę i z figlarnym ognikiem w oczach przypatrywała się zaskoczonemu Andrzejowi.

— Co ty tu, Aniu, robisz? — wypalił z niezbyt mądrą miną.

— Równie dobrze mogę cię o to zapytać. Piję sobie spokojnie kawę i tu nagle, wielkie nieba!. Mój rycerz wchodzi.

— Zaśmiała się swobodnie.

— Wracam z Niemiec, sprawy zawodowe — wyjaśnił zmieszany.

— A ja wracam z kongresu we Francji i po drodze

zatrzymałam się u znajomych. Teraz mam ważne spotkanie w Bratysławie i najwygodniej było mi pojechać pociągiem. Wystarczy, panie śledczy? — Najwyraźniej bawiła się zmieszaniem dawnego kochanka.

— A tam. — Andrzej machnął ręką. — Bardzo się cieszę, że cię spotkałem. Jesteś piękną kobietą. Kurczę, stanęły mi przed oczami te wszystkie nasze chwile — paplał, czując, że zaczyna się płatać.

— Jak zwykle jesteś szarmancki. Latka lecą, jestem już poważną panią. Pracuję dla francuskiej korporacji kosmetycznej. Wiesz, jak to jest. więcej czasu spędzam w podróży niż w domu.

— Z twoim francuskim mogłaś startować od razu. Gratuluję, wyglądasz kwitnąco i do tego stałaś się prawdziwą damą. Ciekawe, gdzie podziała się moja. — ugryzł się w język — wesoła Ania — dokończył.

Czuł, że plecie banały, jednak obecność Anny działała na niego deprymująco. Chyba nigdy nie pozbył się sentymentu do dziewczyny, w której kiedyś był zakochany po uszy.

Anna roześmiała się nagle.

— A pamiętasz zupę grzybową? — spytała.

Chwilę później nieliczni podróżni ze zdziwieniem spoglądali na młodą, szykowną damę i eleganckiego mężczyznę zanoszących się spontanicznym, żywiołowym śmiechem.

Gdyby nie ubiór, wyglądaliby jak para beztroskich studentów.

To był trzeci rok ich wspólnych studiów. Oboje mieszkali w „Bursie Jagiellońskiej”, akademiku Uniwersytetu Jagiellońskiego na krakowskim Podgórzu. Andrzej, wraz z kolegą, przez tydzień był zapraszany na obiady przez Annę i jej koleżankę. Po tygodniu zbuntowane dziewczęta zażądały rewanzu. Andrzej zapowiedział więc, że ugotuje dla wszystkich zupę grzybową.

Kazał koledze kupić jarzyny i zagotować je w wielkim garze, zwykle używanym wówczas do rozrabiania krochmalu. Sam poszedł na Krzemionki i w parku łączył pokażny worek ślimaków winniczków. Ślimaki wypłukali i wrzucili do wywaru

z jarzyn razem z trzema zupkami w proszku o smaku pieczarkowym. Potem poświęcili się wyjmowaniu skoruppek i zbieraniu łyżką szlamu.

Andrzej usiadł przy stole tak, aby mieć oko na wszystkich biesiadników, i z ledwie tłumionym chichotem obserwował, jak dziewczyny zjadały się „pyszną grzybową”.

Kiedy wszyscy wypucowali do czysta swoje talerze, wyjął z garnka jednego ślimaka, który wyglądał jak śliski grzybek, i chrząknął, aby wszyscy skupili uwagę na tym, co robi.

— I zacząłeś kroić, a jak zapytaliśmy, co kroisz, odpowiedziałeś, że różki — Anna ciągle zanosila się śmiechem.

— Ty pierwsza wybiegłaś do łazienki — chichotał Andrzej.

Spojrzeli na siebie. Znów przez chwilę byli rozbrykanymi dzieciakami.

Wtedy, w „Bursie Jagiellońskiej”, po prostu bardzo się kochali i wydawało im się, że tak będzie wiecznie. Oboje nie mieli wtedy nic i to ich najbardziej zbliżało. Mieli siebie i wierzyli w przyszłość. Chodzili razem do Parku Bednarskiego, kochali się łapczywie w kinie, na ławce, na wycieczce nad Dłubnię.

Przypomniał sobie, jak w styczniu wysiadło ogrzewanie i okryci kocem czytali razem podziemne wydanie Doktora Żywago. Jak po raz pierwszy ją pocałował, a potem tulili się do siebie.

Bali się fizycznej bliskości, a jednocześnie bardzo jej chcieli. Byli dla siebie jak dziewczę, nowo odkrywane wyspy. Pisał dla niej swoje pierwsze wiersze i bardzo starał się myśleć tak, jak doktor Jurij Żywago, ich wspólny, doskonały bohater.

Nawet nie spostrzegł, jak za oknem wagonu zaczęły przesuwać się bezkształtne, szare bloki przedmieść Bratysławy.

Kelner poprosił o zapłacenie rachunku. Andrzej zmarszczeniem brwi powstrzymał rękę Anny.

Na peronie niepewnie pocałował jej dłoń. Pomachała mu na pożegnanie.

— Odwiedzę cię w tym twoim zapyziałym Krakowie, poszalejemy po klubach. Opowiesz mi trochę o sobie! —

zawołała.

— Tak, tak. będzie. — Głos uwiązał mu gardle.

Był zaskoczony, nagle spotkanie z Anną zupełnie wytrąciło go z równowagi.

Tak dawno zamknął ten rozdział w swoim życiu. Wydawało mu się, że to już wystygły popiół. Dojrzał, zmądrzał, przestał wierzyć w cuda.

Wszystko na nic. Spotkanie z „Brigitte” uświadomiło mu, że tamte lata w szarym, odrapanym akademiku na Śliskiej były najlepsze, zostawiły po sobie niezatarty ślad.

Wszyscy na roku nazywali ją „Brigitte”, bo miała słodko wydęte usta, tak jakby dąsała się na cały świat. Jak młoda Brigitte Bardot z filmów jej męża Rogera Vadima.

Dziś także usta Anny łobuzersko wyzywały, chociaż z upływem lat nabrały wyrazu. Teraz to była „madame Brigitte”.

Kiedy pociąg wjechał na szary krakowski dworzec, była już głęboka noc.

Zaspany Andrzej wysiadł z pociągu i machinalnie zapalił papierosa.

— Tu się nie pali! Chyba, że ma się pozwolenie — usłyszał z boku.

Odwrócił głowę i ujrzał brudnego, zarośniętego człowieka. Spory drab, okutany w wielką ortalionową kurtkę, wyglądał jak umorusany zwierz.

— Jakie pozwolenie? — spytał roztargniony Brenner.

— Polskie. — Głos włóczęgi brzmiał jak długa, nienapisana historia występków.

— Co znaczy polskie? — Tym razem uważniej spojrzął na natręta.

Zaciągnął się papierosem, włóczęga zaczynał go irytować.

— W Polsce, jak na wszystko kładziesz łagę, to stajesz się niewidzialny. Wszystko ci wolno. Więc ja mogę, a ty nie! — Drab chuchnął mu przetrawionym alkoholem prosto w twarz.

— Zaraz strzelę cię w pysk i wtedy nauczysz się nowej zasady. — Andrzej prowokująco spojrzął w kaprawe ślepia.

— Jakiej? — Włóczęga pogardliwie wyduł wargi, jednak odsunął się o pół kroku.

— Nie śmierdź! A jak już śmierdzisz, to wstydz się tego.

— Andrzej pstryknął w bok papierosem i odwrócił się, chcąc odejść.

Włóczęga usiłował podłożyć mu nogę.

— No trudno. — mruknął dziennikarz i trzasnął rozmówcę szybkim ciosem w nos.

Jego lewa pięść wylądowała dokładnie w miejscu, gdzie kość nosowa przechodzi w elastyczną chrząstkę. Czuł, jak pod palcami coś mu chrupnęło. Wyższy o pół głowy natręt głucho zwałił się na peron.

— Potraktuj to jak spóźnioną lekcję języka polskiego. Gdy na drugi raz ktoś ci powie: odejdz! — to grzecznie posłuchaj.

Andrzej stanął nad niezdarnie gramolącym się z posadzki włóczęgą i o czymś intensywnie myślał.

Po chwili schylił się i syknął mu wprost do ucha:

— To państwo ciągle cię karmi, męcie!

Drab pluł krwią i cicho międlil w ustach przekleństwa.

Tym razem Zdzisława Okrzemek przyjechała do Krakowa. Chciała jak najszybciej spotkać się z Andrzejem.

Odebrał ją na dworcu i zaprosił do „Café Rio” na ulicy Świętego Jana. Nie wiedział, dlaczego akurat tam. Może Okrzemkova po prostu tam właśnie mu pasowała.

W południe za witryną „Rio” nie było żywego ducha. Kawiarnia wyglądała na pogrążoną w głębokim śnie starości.

— Co pan narobił w tych Niemczech? — wybuchła Okrzemkova, gdy Andrzej postawił na stoliku dwie filiżanki gorącego naparu.

Zrobił zdziwioną minę.

— Byli u mnie — powiedziała ściszym głosem.

— Kto? — spytał bez refleksji, jak automat.

— Jak to kto? Zieloni. gnoje, które wsadziły mojego Grześka w bagno, a teraz pilnują, żeby nigdy nie wyszło, jak to



było naprawdę, żeby nie wychylił głowy z błota. — Przerwała i ukradkowo rozejrzała się po małej, zaniedbanej salce kawiarni. — Dobrze, że rozmawiamy w Krakowie, tu jest tak.

— zastanowiła się — przytulniej.

Siedzieli przy jedynym w „Rio” stoliku, mikroskopijnym, z dwoma stołeczkami. Za plecami mieli wysokie blaty i barowe stolki, takie same jak te w „Vis-a-vis”, peerelowskie.

Andrzeja rozpieszczała ciekawość. Chciał jak najszybciej usłyszeć, co żona Okrzemka wie o jego podróży do Düseldorfu. Starał się jednak nawet najmniejszym gestem nie zdradzić swojego podniecenia. Milczał i spokojnie wpatrywał się w swoją filiżankę.

W czarnej tafli parującej kawy widział obicie nosa i okularów rozmówczyń.

— I co? — Okrzemkowa badawczo spojrzała w oczy dzien- nika.

Andrzej zrobił obojętną minę i udawał, że interesuje go zakurzony landszaft na ścianie.

W środku ciekawość wwiercała mu się już w żołądek. Czuł, że za chwilę nie wytrzyma i zasypie ją gradem gorączkowych pytań.

— Nie jest pan ciekawy, skąd wiem o pana wyjeździe?

— Jestem! Jestem. i to jak cholera! — Andrzej nie wytrzymał i aż nerwowo poprawił się na krześle.

W oczach Okrzemkowej, zalsnił błysk rozbawienia. „A więc jednak jest normalny” — pomyślała z ulgą.

— Cztery dni temu przyszedł do mnie do pracy taki stary przyk, pułkownik. Teraz to chyba jest na emeryturze, ale wtedy był pułkownikiem. Grzesiek znał go z „operacji cieszyńskiej”. Kiedyś panu opowiem, o co chodziło. Nazywa się Delszewski, czy jakoś tak podobnie. Pracował w Zarządzie Zwiadu Wojsk Ochrony Pogranicza. Jak pamiętam, to nawet pisywał pod pseudonimem Irena Stuglik w „Granicy”. Tak. — Przerwała. — Tak, na pewno nazywał się Delszewski. Pisał w tym tygodniku i kilka razy odwiedził Grześka. Dlatego go zapamiętałam.

— Gdzie? — przerwał jej.

— Co gdzie? — mruknęła niezadowolona, że jej

przerywa.

— Gdzie pisał?

— No tak. Pan jest zbyt młody, aby to pamiętać. Były takie dwa kolorowe pisma. WOP miał „Granicę”, a milicja — „W służbie narodu”.

Andrzej kiwnął głową i dłonią dał jej znak, aby opowiadała dalej.

— Przyszedł do mnie do pracy i wyciągnął do kawiarni „Rozdroże” na koniak. Niby chciał się dowiedzieć, co z Grzesiem, jak się czuje i takie tam pitu-pitu, ale po chwili zaczął mnie wypytywać, czy rozmawiałam ostatnio z kimś o „sprawie”. Normalnie zaczął mnie przesłuchiwać! Kiedy powiedziałam mu, żeby się odpieprzył i chciałam odejść, to zaczął mnie, cham jeden, straszyć!

— Jak to straszyć? — Żrenice Andrzeja jeszcze mocniej rozbłysły z ciekawości.

— Taka ich normalna gadka-szmatka: My wiemy wszystko, tylko tobie to po co? Nie lepiej spokojnie żyć? Przecież co się stało, to już i tak się nie odwróci, a tak możecie wszystko stracić — Okrzemkowa cichym szeptem parodiowała głos oficera. — Jakbym ja mogła jeszcze coś stracić! Palant. — Zamilkła i spojrzała w witrynę kawiarni. — „Rio”. Tu kiedyś siedzieli sami cinkciarze, „matki” i agenci. Wiem to, chociaż nie jestem z pańskiego miasta. — Zawiesiła głos i spojrzała w oczy Andrzejowi. — A teraz te kurwy też siedzą w Rio, ale w tym pod rączkami Jezusika — wypaliła.

Zapadła cisza.

Andrzej przyglądał się dłoniom Okrzemkowej. Były pełne blizn, pocętkowane czerwonymi plamami. Miała żółtawe, zniszczone paznokcie. To nie były dłonie damy — duże, kanciaste, chropowate. Jedyne połyskujący na serdecznym palcu prawej dłoni pierścionek z dużym kryształem Svarovskiego oprawionym w białe złoto burzył ten obraz. Nie pasował.

— Psi kutas — prychnęła.

— Kto? — spytał wyrwany z zamyślenia.

— Ten Delszewski. — Lekko się uśmiechnęła. —

Powiedział mi, że było już kilka osób, które grzebały w tych klockach, aż w końcu mogły sobie wygrzebały. — Przygryzła wargę. — Aha. i powiedział, że chodzenie do pismaków jest szczególnie niezdrowe.

— Mówił coś o mnie? — spytał Andrzej, wyciągając jej z paczki ostatniego papierosa.

— Tak, właśnie mówił, dlatego przyjechałam do pana. Po- wiedział, że pan ma u nich szczególnie nagrabilone za wcześniejsze pisanie o agentach bezpieki i o wojskówce. Mówił jeszcze, że na Ukrainie też był taki facet i teraz to nawet jego matka nie wie, gdzie jest jego ścierwo — znów parodiowała głos pułkownika Delszewskiego. — Wyjaraleś mi wszystkie fajki i jak teraz pociągnę? — fuknęła rozsierdzona.

— Już kupuję! — Pokornie zerwał się od stołu.

— Guzik kupisz, takich już nie ma — gderala, wyciągając z torebki kolejną paczkę caro.

Wraz z nią wyjęła także małą karteczkę. Oddarła jej część i podała Andrzejowi.

— Nie miałam ochoty robić żadnej afery. Żyję już zbyt długo, aby wierzyć, że to coś zmieni, ale ta szuja mnie tak wkurzyła, że pieprzę, niech też mają pod dupą ciepło. Dlaczego jak owieczka mam patrzeć na to, co wyprawiają z Grześkiem?!

— Tym razem jej głos był już spokojny.

Andrzej ostrożnie rozprostował świstek:

Jako minister pełnomocny rządu polskiego polecam wypłace nie panu Edwinowi Lazurowi z Chicago dwudziestu milionów dolarów z konta Funduszu Budowy Gospodarki. Pieniądze te w części (pięć milionów) mają być przekazane braciom Andrzejowi i Pawłowi Wydrom z Wiednia.

Pod odręcznie napisanym poleceniem podpisany był Grzegorz Okrzemek.

— To niemożliwe! — Andrzej podrapał się w głowę.

— Ciiiicho, chłopie. To jest oryginał. Tak szły pieniądze. Nikt nie bawił się w potwierdzenia. Grzesiek dostawał rozkaz i wypłacał pieniądze temu, kogo wskazali.

Zdzisława spokojnie dopijała kawę.

Sprawiała wrażenie, jakby zdziwienie Andrzeja mocno ją

rozbawiło.

Zapaliła kolejnego papierosa.

— Przecież to są miliony dolarów. Jak można było tym tak dysponować?! Bez kwitów bankowych, kontrasygnat? Przecież to niemożliwe! — szeptał rozgorączkowany.

To, co przed chwilą zobaczył, w całości jednak potwierdzało informacje, które dostał od Georga Kravczika.

— Nie zostawiali śladów, a kiedy Grzegorz krzyczał, że to kryminał, mówili mu, że tak się buduje gospodarkę kapitalistyczną. Ja sama widziałam, jak przynosił czasem do domu całe walizki „zielonych”. Zawsze mówił, że to wojskowe pieniądze, a skoro wojsko nimi rządzi, to będzie ucziwie. No i teraz ogląda słoneczko przez pepitkę. — Okrzemkowa zaśmiała się cierpko.

— I nigdy nie wziął dla was pieniędzy? — Andrzej bezceremonialnie sięgnął po kolejnego papierosa i zapalił.

— W końcu wziął. — Zamyśliła się. — Ja mu kazałam! Ukradliśmy dla siebie trochę. On pewnie by nie wziął, ale mnie taka kurwica wzięła, że powyrywałabym mu kłaki. No to on wziął trochę tych pieniędzy. Kupiliśmy ziemię, chcieliśmy zaszyć się w głuszy, tak aby wszyscy o nas zapomnieli. Może potem uciec do Izraela.

Zamilkła i uważnie spojrzała na Andrzeja.

— Pewnie myślisz, jaka ze mnie kurwa?

— Nie, nie. — zbyt gorliwie zaprzeczył.

— Myślisz, myślisz. jestem kurwa. Głupia, chciwa kurwa. Gdybym nie była kurwą, to takie gnoje jak ten pułkownik, nie miałyby do mnie podejścia. Ty uważaj, on mówił mi, że ci, którzy jeżdżą do Niemiec, mogą skończyć w piecu. — Tym razem spojrzenie Okrzemkowej wyrażało niekłamaną troskę. — Nic mi się już nie chce, ale wciągnęłam cię w nasze życie, bo jestem to winna Grześkowi. Przyniosę panu jeszcze inne kwity, pokażę ludzi, z którymi trzeba gadać. Mam w nosie ich pogróżki, ale pan niech się pilnuje. Nie będę do pana chodziła z kwiatami.

— Z kwiatami? — podchwycił. Był lekko zdenerwowany, jednak jej niezdecydowanie, jak ma się do niego zwracać, lekko

go rozbawiło.

— Tak, przecież z gorzałą nie chodzi się na groby.

Tydzień później posłaniec przyniósł do mieszkania Andrzeja sporą paczkę.

Znajdowało się w niej kilkaset kwitów i faktur dokumentujących działalność Funduszu Budowy Gospodarki, pamiętnik Grzegorza Okrzemka, krótki list od jego żony oraz ogromna, wyglądająca na średniowieczną, cegła.

Zdzisława Okrzemek napisała:

*Ma Pan dwie możliwości. Albo opisze Pan FBG i tym samym napyta sobie biedy, albo też, na podstawie tych dokumentów, wyludzi Pan sporo forsy od „wielkich biznesmenów”. Sama o tym myślałam, chi, chi. Jeśli jednak okaże się Pan uczciwym człowiekiem, tak jak o Panu mówią, niech Pan zostawi sobie tę cegłę. Kiedy będzie już bardzo źle, zapakuje Pan to wszystko w paczkę, dołoży cegłę i pieprznie tym do Wisły. Jest szansa, że uwierzą w Pana chorobę psychiczną i odpuszczą. Wszystkiego najlepszego.*

*Zdzisława Okrzemek, Sodoma, wiosna 2009.*

Przez kilka dni nie wychodził z mieszkania. Kiedy skończył mu się zapas grant'sa, poczłapał do osiedlowego sklepiku po kilka butelek ulubionego trunku.

Wracając, postanowił usiąść na ławce i ogrzać się w wiosennym słońcu. Zapalił papierosa i poddał się rozleniwiającej terapii ciepłych promieni.

Z masy nazwisk i dat zawartych w dokumentach powoli wyłaniał się wyraźny kształt. Andrzej zaczynał kojarzyć miejsca, szeregować postaci według ważności i ról, jakie odegrały w działaniach Funduszu Budowy Gospodarki. Ze zdziwieniem zauważył, że rozdrażnienie i niepokój ostatnich dni, w miarę postępów, jakie czynił w studiach nad FBG, ustępują poczuciu perwersyjnej fascynacji.

W gąszczu poplątanych faktów i liczb zaczął dostrzegać krystaliczną logikę. Czuł, że zbliża się do zrozumienia mechanizmu operacji niespotykanej w dziejach nowożytnej

Polski.

Owszem, czytał czasami o globalnych spiskach i ponadnarodowych korporacjach, które ponoć sterują losem świata, ale te fikcyjne konstrukcje nawet w części nie dorównywały klasą pomysłowi Funduszu Budowy Gospodarki. Coraz mocniej przekonywał się o tym, że bez FBG nie byłoby współczesnego polskiego kapitalizmu.

Gdy grzebiąc w dokumentach, natrafiał na kolejne znane nazwisko, uśmiechał się jak badacz, który obserwuje przebieg eksperymentu i utwierdza się w swojej naukowej teorii.

Z FBG wyszło kilka drużyn. W myślach ponadawał im nazwy. Byli tam więc: „płomienni rewolucjoniści” — dziś „autorytety moralne”, „pionierzy kapitalizmu” — dziś „najwięksi inwestorzy” i „twórcy wielkich fundacji charytatywnych”, „legendy dziennikarstwa” — dziś dyżurni komentatorzy wszystkiego. Była tam także kasta, która sprawiała mu największe kłopoty definicyjne — „politycy”, z wszystkich partii, od PiS-u do SLD.

Nie dostrzegał znaczącej grupy politycznej, w której nie dałoby się znaleźć chociaż jednego człowieka „pasionego” pieniędzmi z FBG.

Chwilami ze złością rzucał dokumentami.

Rozczarowanie — to było najczęstsze uczucie, jakie towarzyszyło mu w czasie lektury. Powstająca w jego głowie prywatna historia Funduszu Budowy Gospodarki nie oszczędzała nikogo, z zimnym okrucieństwem obnażała kolejnych swoich bohaterów.

Beneficjentami ukradzionych państwu pieniędzy byli zarówno szanowani duchowni, jak i prymitywni gangsterzy. Największą grupę stanowiła tu jednak kadra oficerów z dawnych wojskowych służb specjalnych oraz jej najbardziej zaufani agenci.

Ciągle miał jednak spore trudności w rozeznaniu, kto naprawdę zarabiał pieniądze, a kto jedynie firmował transfery swoim nazwiskiem.

— Przyjemnie — czyjś głos wyrwał go zamyślenia.

Obok, na ławce usiadł niewysoki, krępy mężczyzna.

Andrzej zamrugał zdziwiony.

Człowiek miał znajomą twarz, której jednak przybyło sporo zmarszczek. Maks Rozler. Tak, to był Maks Rozler, tylko kilkanaście lat starszy.

— Poznajesz, pismaku? — Głos Rozlera nie zestarzał się, był tak samo dźwięczny jak w czasach, gdy stali po dwóch stronach barykady i spotkali się po raz pierwszy.

— Poznaję, psie! — Na twarz Andrzeja wypełził szczerzy, szeroki uśmiech.

Zerwali się z ławki i padli sobie w ramiona.

— Zaprosisz? — Rozler wskazał podbródkiem na wystające z torby butelki whisky.

— Chodź, stary diable. Mam w domu coś, co przewróci cię podwoziem do góry.

Poklepał Maksa po szerokich plecach i popchnął w stronę bloku, w którym mieszkał.

Istnieje pewna prawidłowość psychologiczna, która sprawia, że ludzie zagłębiający się w studiach nie potrafią jasno tłumaczyć dziedziny, którą się zajmują. Taka łatwość przychodzi dopiero w momencie oświecenia, kiedy niespodziewanie dla samych siebie odkrywają uniwersalną zasadę, wedle której cały skomplikowany dotąd świat ich badań nagle staje się uporządkowany, prosty i logiczny.

Andrzej ciągle nie złapał jeszcze „złotej zasady FBG”. Zanim zdążyli wypić pierwszą flaszkę chaotycznie opowiedział Maksowi o swoich przygodach z Funduszem Budowy Gospodarki. Rozler był jednym z niewielu ludzi, do których mógł mieć zaufanie.

Był 1984 rok, esbecy zabili Popiełuszkę. Andrzej wraz z kolegami z akademika przygotował ulotki, które wydrukowali na „sicie” w piwnicy. Wzywali w nich do wyjścia na ulicę i zorganizowania powstania, które zbrojnie zmiecie komunę. Byli młodzi, nie mieli żadnego pojęcia o polityce. Uznali, że zabójstwo legendarnego księdza to zbrodnia, która powinna

zakończyć żywot zbrodniczej junty Jaruzelskiego.

Naczytali się Kropotkina i Bakunina — wierzyli, że losy Polski rozstrzygną się na ulicy.

Po latach historycy piszący o krakowskiej opozycji nazwali ich grupą „Bursa”.

Na wielkiej manifestacji po śmierci Popiełuszki, bezpieka wyłapała całą „Bursę” — raptem czterech chłopców i jedną dziewczynę.

Andrzej został sprany pałą. W ten sposób, w czasie przesłuchania na ulicy Mogilskiej, gdzie mieścił się Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Krakowie, przypomniano mu, że „władza ludowa” może czasem stracić cierpliwość.

Potem trafił do celi przejściowej z dwoma złodziejami i śmierzącym rzeźmieszkiem.

Po dwóch dniach uznano go za przywódcę grupy i sprawę skierowano do sądu.

Gdy wrócił do akademika, przyjęto go jak bohatera. Teraz dopiero mógł zacząć organizować grupę rewolucyjną. Kilka miesięcy później utworzył klub polityczny „Okop”. Schronienia udzielił im w „Beczce” na ulicy Stolarskiej legendarny dominikanin, ojciec Ludwik Wiśniewski.

Pewnego dnia zaczął go na ulicy młody, krępy człowiek. Ostrzegł, że wszyscy jego współpracownicy w grupie „Bursa” i w klubie „Okop” są płatnymi agentami Służby Bezpieczeństwa. Poinformował go też, że jest kompletnie samotny, osaczony i SB zamierza go wpakować za kratki na długie lata.

Jeszcze tego samego dnia Andrzej spakował się i uciekł do Trójmiasta, a stamtąd, dzięki pomocy szwedzkich emigrantów, czmychnął do Sztokholmu.

Młody człowiek, który uratował mu kilka lat życia, nazywał się Maks Rozler.

Następnym razem spotkali się w latach dziewięćdziesiątych. Andrzej pisał wówczas o pierwszych polskich gangach i znów los, a raczej sprytny oficer UOP, postawił na jego drodze Maksa. Rozler miał już wówczas za



sobą dwuletni pobyt w więzieniu. Był oskarżony o podkładanie bomb w dojrzewalniach bananów.

Ich spotkanie zostało tak sprytnie zaaranżowane, że w każdym wypadku musiało mieć wynik korzystny dla UOP.

Albo Rozler zabije dociekliwego dziennikarza i tym sposobem UOP pozbędzie się kłopotów wywoływanych przez jego publikacje, albo dziennikarz tak „opracuje” niewygodnego Maksa Rozlera, że ten, po jego artykułach, znów trafi do więzienia — tylko że tym razem z długoletnim wyrokiem.

Rozler nie był mile widziany w UOP, gdyż kilkakrotnie pokrzyżował plany dwóch sitw oficerskich. Doprowadził także do ujawnienia założonego przez kilku czynnych oficerów domu publicznego, który rzekomo miał być miejscem operacyjnego pozyskiwania informacji, a w rzeczywistości był źródłem sporych dochodów dla kilku prominentnych oficerów policji i UOP.

Wielka afera wisiała wtedy w powietrzu i tylko bezwzględne użycie dawnych agentów SB w środowisku dziennikarskim doprowadziło do jej zatuszowania.

Sprytny oficer UOP, który doprowadził do ich spotkania ostatecznie okazał się jednak amatorem.

Nie wiedział o epizodzie z 1984 roku, nie przypuszczał także, że były esbek i solidarnościowy dziennikarz znajdą wspólny język i, co więcej, rozgryzą całą misternie przygotowaną przez niego intrygę. Maks Rozler był bowiem oficerem Służby Bezpieczeństwa!

Był też jedynym esbekiem, któremu Andrzej Brenner bez wahania podawał rękę.

W następnych latach Rozler kilkakrotnie wyciągał niesfornego dziennikarza z kłopotów.

Raz nawet ocalił go od absurdałnego wyroku śmierci, który na Andrzeja wydał gang mokotowskiego gangstera „Korka”. „Korek” był tak wściekły na autora reportażu opisującego jego kokainowe interesy, że zlecił swojemu adiutantowi „Daksowi” „odpalenie” pismaka.

W tym wypadku Rozler interweniował osobiście. Kilku gangsterów przeczytało wówczas swoje dokumenty z czasów

PRL-u i usłyszało definicję tego, kto jest „psem”, a kto „ogonem”.

Dziennikarz wyszedł z opresji suchą stopą, jeśli nie liczyć tygodnia przymusowo spędzonego z Maksem, którego finałem był ciężki trans alkoholowy.

Andrzej nie był typem salonowego lwa. W środowisku dziennikarskim miał opinię człowieka trudnego. Chadzał własnymi ścieżkami, nie ścielił się dywanikiem przed „sławami” i nie ulegał zbiorowym histeriom.

Miał jednak jedną cechę, która okazywała się śmiertelnie niebezpieczna dla „bohaterów” jego śledczych reportaży. Od dzieciństwa posiadał zdolność precyzyjnego analizowania faktów. Stwórca obdarzył go także intuicją, która nieodmiennie wiodła go po nitce do kłębka, a w konsekwencji. w tarapaty.

Zagadki kryminalne wyjaśniał z pasją rasowego szaradzisty.

Każde rozwiązanie było jednak dopiero początkiem prawdziwych kłopotów.

Przez jego reportaże ludzie tracili fortuny, a kiedy przepadają miliony, żarty się kończą.

Stąd też dziennikarz nieustannie nękany był procesami i nigdzie nie mógł zagrzać miejsca na stałe. Kolekcjonował oszczercze anonimy, unikał ciemnych zaułków.

W środowisku dziennikarskim funkcjonowali ludzie, którzy etatowo wieszali na nim psy.

Krótkotrwali szefowie, którym dane było pracować z Andrzejem, po rozbiciu się o pierwsze rafy spuszczeni z tonu i dawali mu do zrozumienia, że nie mogą dłużej tolerować jego obecności. Po każdym jego raporcie odzywały się bowiem nożyce i wydawcy pisma dostawali ultimatum: albo Brenner, albo pieniądze z reklam!

Nieoczekiwanie pojawiały się też problemy z drukarnią i kolportażem, które po odejściu Andrzeja natychmiast rozwiązywały się same.

Teraz siedzieli z Maksem przy stole w malutkim mieszkaniu Andrzeja i flegmatycznie delektowali się miło łaskoczącym podniebieniem grant'em. Maks ponad godzinę

szłuchał opowieści Andrzeja, która przeplatana była prezentacją kolejnych partii starannie uporządkowanych dokumentów.

— Fundusz Budowy Gospodarki to silnik antypaństwa. To napęd komunistycznej mafii — gorączkował się Andrzej.

W miarę trwania wykładu na twarz Rozlera wypełzał ironiczny uśmieszek.

— Ani silnik, ani siła, ani mafia — mruknął w końcu, z wysiłkiem powstrzymując ziewnięcie.

Andrzej spojrzał na niego osłupiały.

— Czy ty wiesz chociaż, o czym mówisz? — parsknął zniecierpliwiony.

— Mylisz narzędzia z ręką. FBG był tylko bardzo użytecznym narzędziem, w tym sensie masz trochę racji, można na to patrzeć jak na silnik. — Maksa zupełnie nie poruszył nagły wybuch rozmówcy. — Złapałeś latarkę i bredzisz, że to, co widzisz, jest słońcem.

Rozler sam nalał sobie kolejną szklanekę whisky.

— Przemądrzały esbol — mruknął Andrzej, wychylając swoją porcję.

— Tak, tak, dużo zdrowia, przyda ci się — odpowiedział mu kompan.

— Co wy wszyscy z tym zdrowiem? Powariowaliście? — Mina Andrzeja wyrażała najwyższe stadium obrzydzenia.

Wyglądał jak bakteriolog oglądający krętka bladego.

— Czy wszyscy, tego nie wiem, ale Georg Kravczik na pewno życzy ci końskiego zdrowia — mruknął Maks.

Oczy Andrzeja zrobiły się niemal okrągłe ze zdumienia.

— Czy moje życie jest przedmiotem jakiejś esbeckiej pracy doktorskiej? Kurwa, skąd ty wiesz o Kravcziku?

— Nie mówił ci, że cię odwiedzę? — Maks udał zdumienie.

Andrzej zrezygnowany machnął ręką.

— Zdaje się, że przez ostatnią godzinę zupełnie niepotrzebnie robiłem z siebie idiotę — mruknął rozeźlony.

— Tak bym tego nie ujął, ale rzeczywiście znam już skądś ten film. — Maks flegmatycznie uniósł butelkę i spojrzał przez nią pod światło. — Oryginalna. Gdzie kupujesz to чудо?

— Zebrało ci się, kurwa, na gadki o gorzale?! — Andrzej nadal był nastroszony.

— Temat zasługujący na poemat — usłyszał w odpowiedzi.

— Kiedy przestaniesz się bawić?! — atakował dziennikarz.

— Jak tylko dopuścisz mnie do słowa. — Rozler strzepnął z obrusu niewidoczny pyłek. — Georg zapowiedział ci, że będziesz miał odwiedziny.

— Tak. — Andrzej uważnie wpatrywał się w Maksa.

— No to jestem.

— Co ty masz wspólnego w Georgiem Kravczikiem?

— To długa i mało ciekawa historia. Pozwól, że przekażę ci przygotowaną przez niego przesyłkę oraz opowiem kilka historyjek, o których powinieneś wiedzieć — Maks wydobyl z torby kilka opasłych teczek oraz plastikowe pudełko zawierające kasety magnetofonowe.

Przez następną część wieczoru omawiali każdy nowy dokument. Największy z nich zajmował pół podłogi w niewielkiej kuchni Andrzeja.

Był to wykonany przez Kravczika wykres przepływów finansowych, do jakich doszło w Funduszu Budowy Gospodarki. Kravczik narysował najważniejsze firmy przez jakie płynęły polskie pieniądze.

— Najpierw do FBG pchali wszystkie pieniądze, jakie były na rachunkach dewizowych państwowych przedsiębiorstw, potem szły na to pieniądze z prywatyzacji. Po cichu pompowali państwowe pieniądze na rachunki zagranicznych firm założonych przeważnie przez ludzi związanych z II Zarządem Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego — Maks mówił to z obojętną miną, „zakąszając” kolejnymi łykami herbaciano połyskującej whisky.

— Sami zieloni — mruknął Andrzej.

— No, było tam też kilka firm związanych z wywiadem cywilnym. Zwykle pieniądze potajemnie przesyłane były na rachunek firmy X. Firma X, należąca do agenta, księgowała je jako swój zysk, a potem przekazywała na wykup polskich

przedsiębiorstw. Firmy te często nazywały się podobnie jak wielkie światowe koncerny. W Polsce nikt się w tym nie łąpał. Formalnie te pieniądze miały być przeznaczone na potajemne wykupywanie polskich długów na Zachodzie, naprawdę były używane do budowania finansowej potęgi układu agentury i jej nadzorców. Wykorzystywano do tego nasze centrale handlu zagranicznego i firmy, którymi zawiadywała Stasi. Najmniej pewnym ogniwem w tym łańcuchu było trzech zachodnich maklerów, przez których puszczano tę forszę. Tylko oni mogli zawieść albo zdradzić.

Rozler przerwał i ukroił sobie kromkę chleba.

Powoli smarował ją masłem. Sprawiał wrażenie, jakby nic sobie nie robił z wierzącego się na stołku dziennikarza.

— Ten Szwab cię wynajął? — wypalił w końcu rozdrażniony Andrzej.

— Jednym z tych ludzi był Georg Kravczik. — Maks otarł z ust okruszki i zmęczony napił się whisky. — Z tego, co zostało w tej chwili wyliczone, tak przeprano ponad dwa miliardy dolarów. Tu masz narysowany przez Georga schemat. Sumy są na pewno większe. Dwa lata przed FBG działał tak zwany mały FBG, głęboko utajniony. Zajmowali się tym jedynie oficerowie wojska, którzy zostali zaprzysiężeni w Moskwie. Tam przygotowywano nawet rabunki i napady, ale na dużo większą skalę niż w przypadku braci Janoszków i tzw. „Afery Żelazo”. Na temat małego FBG nic jeszcze nie wiemy. Zakopali to zbyt głęboko, nawet jak dla nas.

— Kto to wszystko wymyślił? Przecież nie Grzegorz Okrzemek? — nerwowo zapytał Andrzej.

— To był rosyjski patent, wymyślony przez zespół ludzi, którzy grali w szachy na poziomie arcymistrza. Pamiętaj, że Ruscy, nawet jak nie mają co żreć, to i tak grają w szachy, podczas gdy na drugiej półkuli rozepchani popcornem Jankesi wierzą, że wszystko można osiągnąć techniką.

Maks miał teraz swój specyficzny wyraz twarzy, który był mieszanką gorzkiego rozczarowania i piekielnie dobrej zabawy. Była to jedyna znana Andrzejowi twarz, która potrafiła wyrażać jednocześnie wesołość i ból.

— A Polacy? — Andrzej pytał jak dziecko, któremu dano do ręki nową, nieznaną mu dotąd zabawkę.

— Twórczo rozwinęli sowiecką metodę — usłyszał w odpowiedzi. — Okrzemek tego nie wymyślił, ale genialnie zrealizował. Bez pudła. Rosjanie wiedzieli, że jest szachistą-pasjonatem. Tacy są najlepsi. Fascynuje ich gra, której szczytu i tak nie osiągną.

Rozler zakrztusił się alkoholem i wysoko uniósł ręce.

Dziennikarz z satysfakcją przyglądał się jego nabiegającej krwią twarzy.

— No!. Klepnij mnie wreszcie — wycharczał były esbek.

Andrzej teatralnie walnął go w plecy.

— Wódę trza umieć pić! — ryknął, naśladowując sposób mówienia swojego gościa.

Maks prychnął śliną na podłogę. Wracał mu naturalny kolor policzków.

— Nawet proces był taki, że nikt z tego nic nie zrozumiał. Okrzemek mógł ich roznieść na strzępy, a nie pisnął nawet słowa. Długo musieli typować takiego gościa. Idealnie wyselekcjonowany. Miał wszystkie cechy, których im było potrzeba. — Niespodziewanie dla samego siebie Maks zaczął z coraz większymi emocjami angażować się w rozmowę z Andrzejem.

— Tu masz kasety, które wyjaśnią ci tło, klimat, w jakim to od początku hulało. Tych kaset było sto sześćdziesiąt cztery, ale większość z nich została przesłana do prokuratury w Lublinie, tam toczyło się jakieś śledztwo przeciwko międzynarodowej szajce przemytników alkoholu. Jak możesz się spodziewać, przemytników nie złapano, a kasety zwyczajnie zginęły — Maks parsknął gorzkim śmiechem. — Zginęły. Ciekawe, kiedy potem prokurator wybudował sobie dom. — dodał matowym głosem.

Andrzej wziął w dłonie pudełko z kasetami.

— Trzymasz w rękach kawałek historii, w którą nikt nie uwierzy, a jak dowiedzą się, że masz te kasety, to sfajczą ci mieszkanie. Rozkoszne. — Rozler rozlał resztkę whisky do szklanek. Obaj mieli już dobrze w czubie. — Jest taka mała

grecka wyspa. Mieszka na niej mój półpierzdolnięty wujek. Pewnego dnia obudzi się i będzie miał dodatkową parę rąk do pracy na kutrze. Od tej chwili będziesz musiał radzić sobie sam.

— Wzrok Rozlera stał się szklisty. — Mam do ciebie prośbę — mruknął po chwili.

— Proś, o co chcesz, panie Zorba. — Brenner teatralnie skłonił się w kierunku Maksa i w tym momencie stracił równowagę.

Runął na podłogę tuż przed ostatecznie wyrwanym z greckich marzeń Rozlerem.

— Ja mówię poważnie — wycodził były esbek.

— Przecież w Grecji nawet wielka katastrofa warta jest tańca — zachichotał Andrzej.

Niezdarnie gramolił się z podłogi. Był już mocno pijany.

— Nie wpierdalaj się w „Wir” — warknął nagle Rozler.

— O, to mamy tu jakąś rzekę? — bełkotał dziennikarz.

— Ale ty jesteś buc — powiedział Rozler łagodniejszym głosem. Spojrzał z troską na rozmemłanego przyjaciela, po czym zarzucił go sobie jak worek na ramię i zaniósł do łóżka.

— Jaamas! — wydierał się Andrzej.

Rozler rzucił niemrawo gestykulującego dziennikarza na łóżko i przykrył go kocem. Następnie wyszedł do łazienki i przyniósł duży, plastikowy kubeł, który zwykle służył do składowania brudnej bielizny.

— Jak zbyt daleko zajedziesz, to tu możesz sobie ulżyć.

Zgasił światło w pokoju i wyszedł.

Po pięciu minutach z kuchni dobiegło jego miarowe chra- panie.

W kuchni zagwizdał czajnik.

Andrzej niechętnie otworzył oczy. Przez okno sączyło się mdłe światło pochmurnego dnia.

— Jajecznicza czy na twardo? — zza drzwi dobiegł wesoły głos Maksa Rozlera.

— Jesuuu — jęknął Andrzej, podnosząc się z łóżka.

„Jak na drugi raz zobaczę Rozlera, to schowam się

w piwnicy" — przyrzekł sobie w myślach.

Maks bez słowa podał mu szklankę z rozpuszczoną tabletką Alka-Seltzer.

— Bestia — zipnął Andrzej.

— Co? Myszka nie czuje się najlepiej? — Rozler rozbawiony spojrzał na zmiętą twarz gospodarza. — Puszczę ci coś, co na pewno cię rozweseli.

Podszedł do stojącej na lodówce wieży i włożył do niej opisaną po niemiecku kasetę magnetofonową.

Andrzej wypił lekarstwo i zaciekawiony usiadł przy stole.

Z głośników popłynęły chropowate, trudne do określenia dźwięki. Nagle wszystko ucichło i rozległ się zdenerwowany, męski głos:

*Jak długo, kurwa, jeszcze będziecie się z tym bawić. To już są jaja!* — nieznany mężczyzna ostro strofował kogoś po drugiej stronie słuchawki.

*Andrzej, przecież wiesz jaki tu panuje burdel. Każdy tylko chce brać forszę za nic. Nic kutasy nie zrobią i już ustawiają się w kolejce, jak po swoje.* — Drugi głos był starszy i brzmiał pół oktawy niżej.

*Nie po to, kurwa, daliśmy tyle siana, aby dać się teraz wyje bać. Myślisz, że nie wiem, że ten makaroniarz maści wojsko wych? W całej Polsce pozakładał te swoje gówniane stacje. A my co? Nic... Jak się wkurwię, to skończy się wam balanga...*

Maks wyłączył magnetofon i spojrzał na zbaraniałą minę dziennikarza.

— To pierwsza rozmówka, nazwijmy ją grą wstępną.

— Ale co to jest? — gorączkował się Andrzej.

— To jest rozmowa poważnego biznesmena z jeszcze bardziej poważnym politykiem.

— Kto ich podsłuchiwał? — Andrzej zapalił papierosa.

— Porządne służby. Austriacki EDOK. Podłączyli się do telefonów braci Wydrów w Wiedniu i sprawdzali szlaki przerzutu gorzały. Przy okazji nagrali coś, czego za cholere nie mogli zrozumieć, więc przekazali to polskiemu UOP-owi i wtedy ja troszkę tego sprywatyzowałem. — Maks uśmiechnął



się niewinnie.

Andrzej myślał bardzo powoli. Ślady wieczornego pijaństwa nie ustępowały. Czuł, jakby komórki jego mózgu przykryła warstwa mułu.

— Zaraz. — Podrapał się w głowę. — Ten drugi głos wydaje mi się znajomy. Czyżby to poseł Marduła? Były szef Głównego Urzędu Celnego?

— Bingo, Andrzejku. Nie jest z tobą tak źle.

— Ale Marduła strzelił sobie trzy razy w łeb i wykitował.

— Andrzej zmarszczył brwi i nad czymś intensywnie się zastanawiał.

— Pomogę ci. To było jeszcze przed snajperskimi wyczynami Marduły.

— On podobno knuł coś z Pruszkowem. — Andrzej podrapał się pod pachą.

— Pudło — triumfował Maks. — To jest nagranie o tym, jak bracia Wydrowie załatwiali koncesję na prywatną telewizję.

— Rozler miał minę niewiniątka.

— Dla Diebowa?! — Andrzej walnął się dłonią w czoło. — To Wydrowie za tym stali?

— Nie tylko oni. To było całe czerwone konsorcjum. Odprysk Funduszu Budowy Gospodarki. — Maks postawił przed dziennikarzem patelnię ze smakowicie pachnącą jajecznicą na boczku. — Chcesz posłuchać dalej tego longpleja?

— Pewnie — prychnął Andrzej z ustami pełnymi jajecznicy.

— Ale pamiętaj, słuchasz wyłącznie na swoją odpowiedzialność. Dalsza treść może być przyczyną wielu skomplikowanych chorób, z paranoją na czele. — Maks znów podszedł do lodówki, na której stała wieża i demonstracyjnie stuknął w klawisz.

Tym razem jeden z braci Wydrów rozmawiał z kimś znacznie młodszym.

*Jak tam?*

*Spokojnie, mamy nad wszystkim kontrolę.*

*Zenek się już bardzo denerwuje. Za długo to trwa.*

*Lepiej niech już otwiera szampana. Zaraz Władek*

wyjdzie z zebrania Krajowej Rady i wyniesie dla niego nowiutką koncesję. Jeszcze nieużywaną.

He, he... dobre. Aleśmy se, kurwa, urządzili życie. Miodzio.

A żebyś wiedział. Nikt nam nie podskoczy. Możesz szybko wać kapuchę.

Będzie koncesja, będzie premia. Zenek wynajął salę w „Holi dayu”. Pobawimy się jak ludzie. Przyjedzie Lazur. Będzie git, zobaczysz.

Połączenie się skończyło i w głośnikach zapanowała cisza.

— Diebow jest z tej samej parafii co Wydrowie i Lazur.

— Maks uniósł dłonie, jakby odprawiał mszę świętą.

— Jakiej, do cholery, parafii? Przecież ty jesteś antychrystem.

— Twój — zarechotał Maks. — Przepraszam. Geoga Kravczika, Okrzemka i teraz trochę też twojej. — Z twarzy nie schodził mu lisi uśmiešek. — Tu masz dwie nagrane kasety, które pokazują, jak została załatwiona koncesja dla telewizji „Redstar” i przy okazji koncesja dla śląskiego radia „Plush”. Dalej posłuchasz sobie o interesach ze stalą i węglem. O tym, jak oszukali Hutę Częstochowa. Jest tu jeszcze rozmowa z jednym z prezydenckich ministrów. Ja to zrzucam ze swojego garba, niech teraz ciebie parzy w paluszki. — Maks ohydnie siorbał herbatę.

— Tego nie ma w dokumentach Kravczika i Okrzemkowej. Przeczytałem już prawie wszystko, ale nigdzie nie było o załatwianiu telewizji! — Andrzej nie ukrywał, że wysłuchane przed chwilą nagrania zrobiły na nim ogromne wrażenie.

— Kurwa! — zaklął nagle.

Maks podniósł na niego pytające spojrzenie.

— Przecież to już nie wygląda nawet na pajęczynę. To jakaś cholerna maź, oblepiająca i ogłupiająca. To coś, czego nie da się nigdy wysprzątać — mruczał Andrzej sam do siebie. — Mam ochotę się zrzygać! — warknął.

— Trzeba było wczoraj mniej chlać — usłyszał

w odpowiedzi.

— Nie! To się musi wreszcie skończyć! — Twarz dziennikarza poczerwieniała.

— Trzeba było nie słuchać tych kaset. Uprzedzałem. — Maks bębnił wesoło po blacie stołu. — Chyba ci trochę zaszkodziło. Wyglądasz na bardziej skacowanego niż w momencie, gdy wstawiałeś z łóżka.

„Właściwie to mogłem nigdy nie przestępować progu biura Kravczika i nigdy nie słuchać Okrzemkowej” — przeleciało Andrzejowi przez głowę. Maks Rozler, najedzony, rozparł się na krześle i bezczelnie mu się przyglądał.

— Nie bądź takim cwaniakiem, sam wiele razy zostałeś przez nich zrobiony w bambuko — w głosie Andrzeja rosła irytacja.

— Ja od zawsze miałem kłopoty z moralnością. To przecież ty wiecznie gadasz, że żyję w świecie ześwinionych. Pewnie, nie miałem pojęcia o tym, że Fundusz Budowy Gospodarki tak skurwił Polskę, ale powiem ci szczerze.

Andrzej gniewnym fuknięciem przerwał Rozlerowi.

— Sam jesteś tym przerażony, więc nie udawaj! — Nawet nie zauważył, że zaczął na Rozlera krzyczeć.

Maks spuścił głowę i nad czymś się zastanawiał. Wyglądał, jakby nie słyszał wybuchu Andrzeja.

Naraz spojrzął dziennikarzowi prosto w oczy.

— Gdybym wtedy wiedział, jak działa Fundusz, pewnie przysłałbym do nich i teraz siedziałbym spokojnie w świetnym domu i śmiał się z telewizyjnych wiadomości. — Teraz, gdy się wkurwiamy, trudno mi rozeznąć, czy tak naprawdę nie zazdrościmy tym cwaniakom. Może sami chcielibyśmy być na ich miejscu? — dodał cichym głosem. Na jego twarzy nie było już uśmiechu.

W kuchni zapanowała cisza, w której słychać było jedynie siorbanie Maksa Rozlera i nerwowe pociąganie nosem Andrzeja. „Ten kac zapewne zakończy się deprechą” — niespodziewanie przyszło do głowy Brennerowi. Ze zdziwieniem spostrzegł, że ta myśl dodała mu otuchy.

Przypomniał sobie rozmowę z pewnym dominikaninem,

który prosto wytłumaczył mu, na czym polega sens życia. „Życie ma boleć. Człowiek po to ma ciało, żeby bolało, i po to ma mózg, żeby wiedział, dlaczego” — to zdanie, cicho rzucone w ciemność pustego krużganka klasztoru przy ulicy Stolarskiej w Krakowie, głęboko utkwiło Andrzejowi w głowie.

Było oczywiste i prawdziwe.

Od tego czasu potrafił dostrzegać w bólu jego ukryte przesłanie, optymistyczną wiadomość mówiącą: „Żyjesz, a więc wszystko jeszcze jest możliwe”.

Czuł, że teraz wszystko boli go z poczucia bezsilności, z wściekłości na przewrotny los, który oddał komunistom wszystkie możliwe przysługi, a porządnych ludzi wydał na ich pastwę.

Bolała go głowa, ale jednocześnie bolała go dusza. Cierpiało jego dziecięce poczucie sprawiedliwości. Ten ból uświadomił mu jednak, że wiele może dziać. Powinni się go bać, bo jednak wierzy w to, co robi.

Jest potrzebny.

### Rozdział III

Od kilku dni nie wychodził z domu. Odżywiał się konserwami, zupami w proszku i potrawami gotowanymi z tego, co miał pod ręką.

Zmiótł z półek w kuchni stare zapasy mąki, ryżu, makaronu i torebek z chińskimi daniami o smaku niczego. Wysmażył cały boczek, zjadł jaja. Właściwie było mu obojętne, co zje, byleby tylko ssanie w żołądku nie rozpraszało mu myśli.

Godzinami wysiadywał na stolku przy oknie i stukał w rozłożony na drewnianym stole laptop. Pisał jak wściekły. Pracował tak, jakby czuł, że uciekną mu myśli.

Często zrywał się na toporne zdania, które wychodziły spod jego ręki. Krzyczał wtedy na siebie, łajał się za brak precyzji i umiejętności dokonywania czystej, zrozumiałej dla wszystkich syntezy. Bywało, że nad jedną stroną tekstu spędzał kilka godzin tylko po to, aby po krótkim odpoczynku wykasować ją z niesmakiem.

Czuł, że to, co początkowo miało być tylko dziennikarską przygodą, zaczęło nad nim panować. Historia, którą opisywał, była jak grymaśna kobieta. Im więcej poświęcał jej czasu, tym większe miała wymagania. Była coraz bardziej zaborcza. Żądała absolutnego skupienia na sobie. Była zazdrosna o każdą chwilę, gdy uwaga Andrzeja odrywała się od świecącego ekranu i uciekała za okno.

Kiedy przyglądał się buszującemu na parapiecie zmokniętemu gołębiowi, już czuł na sobie pełne wyrzutu spojrzeń „Historii Funduszu Budowy Gospodarki”.

Wielokrotnie podnosił do ucha komórkę i wydzwaniał do znajomych: oficerów, naukowców, polityków. Sprawdzał kolejne informacje, pytał o opinie, ważył w myślach prawdopodobieństwo relacjonowanych wydarzeń.

Piątego dnia, gdy opisał już skład tajnej grupy oficerów, którzy opracowali i nadzorowali operację powołania do życia Funduszu, usłyszał głośnie pukanie do drzwi.

Wcześniej przezornie unieruchomił dzwonek. Sprawilo mu to wielką ulgę. Nienawidził dźwięku dzwonka i dopiero jak

całkowicie zepsuł obrzydliwy mechanizm, poczuł się wolny.

„Nikogo nie zapraszałem. Popuka i pójdzie w diabły. Pewnie jakiś domokrażca” — pomyślał.

Nie ruszył się spod okna i na przekór okolicznościom próbował sklecić kolejne zdanie. Pukanie jednak nie usta-  
wało.

Było coraz bardziej natarczywe. Nie pozwalało się skupić.

Andrzej rozdrażniony zerwał się od stołu i podszedł do drzwi. Ktoś pukał metodycznie i cierpliwie, niezrażony trwającym już ponad kwadrans oczekiwaniem na odpowiedź.

— Kto?! — warknął Andrzej.

— Przecieka u pana rura, przyszedłem ją naprawić —  
dobieg- ło zza zamkniętych drzwi.

— Jaka rura, do cholery? — spytał, nie zmieniając  
agresywnego tonu. — Przecież nie kąpałem się ostatnio.

— To chyba w pana toalecie, sąsiedzi się skarżyli. — Głos  
zza drzwi nadal był uprzejmy.

„Cholera, w kiblu rzeczywiście jest jakby bardziej  
mokro” — zastanowił się.

Pomyślał o starszej pani, która mieszkała piętro niżej.  
Zawsze była dla niego miła. Skoro kapąło jej z sufitu, to  
należało temu zapobiec.

Otworzył drzwi i wpuścił do środka otyłego, spoconego  
mężczyznę, ubranego w brudnoniebieski kombinezon.  
Fachowiec miał ze sobą podręczną walizeczkę z najbardziej  
potrzebnymi narzędziami.

Andrzej wrócił do pisania i przestał zwracać uwagę na  
czynności robotnika.

— Jeśli pan myśli, że za to zapłacę, to jest pan w błędzie  
— rzucił po chwili w kierunku toalety.

— Spokojnie, za wszystko płaci administracja —  
odpowiedział mu głos znad pękniętej rury.

Andrzej był mile zaskoczony.

Zaczął pogwizdywać wesołą melodyjkę i z powrotem  
zagłębił się w opowieści o FBG. Opisywał właśnie pierwszą  
wizytę Georga Kravczika w Warszawie:

Okrzemek wybrał Kravczika pod wpływem sugestii Henryka Wytrychowskiego. Wytrychowski twierdził, że Niemiec jest dobrze ustosunkowanym w sferach finansjery fachowcem i czło wiekiem niezmiernie dyskretnym. Wcześniej Kravczik ułatwił Wytrychowskiemu kilka dużych transferów finansowych do Panamy i Delaware w USA.

Biuro Kravczika zrobiło na Okrzemku doskonale wrażenie. Antyczne meble, wiekowy, znakomicie zakonserwowany par kiet, miła, dostojna sekretarka. Wszystko znakomicie pasowało do charakterystyki niemieckiego maklera, którą przekazał mu Wytrychowski.

W wyobrażeniach Okrzemka tak właśnie powinien wyglą dać solidny „szwabski finansista”.

Kravczik był człowiekiem, który od pierwszego kontaktu wzbudzał zaufanie. Ubrany nienagannie, choć bez ostentacji, dobrze po pięćdziesiątce, mówił po angielsku ze starannie wypie łęnowanym oksfordzkim akcentem. Na pierwszym spotkaniu wypili butelkę znakomitego koniaku.

Następnego dnia Grzegorz Okrzemek przesłał przez kuriera do Warszawy drobiazgową charakterystykę Kravczika. Doku ment przeznaczony był wyłącznie dla generała Ogorzelskiego. Po tygodniu do luksemburskiego apartamentu Okrzemka nade szła odpowiedź. Ogorzelski poinformował go, że po drobiazgo wym sprawdzeniu ludzie z Drugiego Zarządu Sztabu Generalnego LWP wyrażają zgodę na to, aby Okrzemek nawiązał współpracę z Georgiem Kravczikiem.

Okrzemek zdążył polubić kafejki otaczające hotel „Simon dni”, stąd też ociągał się przez dwa dni, w końcu jednak wyje chał do Düsseldorfu. Zgodnie z otrzymaną z centrali instrukcją nie zwolnił jednak apartamentu w luksemburskim hotelu. W czasie jego nieobecności miał z niego korzystać „nielegal” operujący na co dzień w krajach Beneluksu.

Okrzemek podejrzewał, że polski oficer wykorzysta pokój jako „gniazdko miłości” i przywiezie ze sobą młodą kochankę. Nie podobała mu się taka perspektywa, ale nic nie

mógł na to poradzić. Postanowił, że po powrocie nakaze gruntowną wymianę pościeli.

Zamieszkał w północnym Düsseldorfie, wynajmując kawa lerkę na nazwisko Simon Ebbinghaus. Przez następne dwa tygodnie spędził z Kravczikiem mnóstwo czasu.

Przeglądali dokumenty, rozmawiali o przemianach w Euro pie Wschodniej, grali w szachy. Kravczik okazał się twardym przeciwnikiem i zwycięstwa nad nim przychodziły Okrzem kowi z największym trudem. Wygrał jednak wszystkie partie. Wskrytości ducha podziwiał wdzięk i spokój, z jakim Kravczik przyjmował te porażki. Polubił tego zasadniczego i powściąg liwego Niemca.

Kravczik oficjalnie został maklerem polskiego Funduszu Budowy Gospodarki. Założył trzy specjalne konta w Banku Handlowym w Luksemburgu oraz dwa konta na wyspie Man. Wyspiarskie konta formalnie należały do założonej drogą tele foniczną na Cyprze firmy „Georghina”. Na jej konta miały wpływać „fundusze operacyjne”, które oficjalnie nie powinny podlegać księgowaniu.

Cypryjską firmę obsługiwał długoletni współpracownik wojskowego wywiadu PRL – Gheorgiu Tan.

Tan był synem jednego z przywódców komunistycznej par tyzantki w Grecji. Skończył studia w Sofii i wrócił do Nikozji. Na studiach został przeszkolony przez bułgarską SD i zgodnie z moskiewską instrukcją przekazano go Polakom.

Na wszystkie konta w Luksemburgu zaczęły napływać pierw sze wpłaty: z Panamy, z kantonu Zug w Szwajcarii, z Curaçao oraz z wysp na kanale La Manche.

Setki tysięcy dolarów przychodziły nawet z Delaware w Sta nach Zjednoczonych.

W ciągu miesiąca od podpisania współpracy z Okrzemkiem Kravczik zaczął dysponować kilkudziesięcioma milionami dolarów. Początkowo nie wiedział, jak wygląda rzeczywisty mechanizm obiegu księgowanych przez niego pieniędzy.

Doświadczone oko finansisty już po trzeciej wpłacie była pało jednak prawdziwe źródło pochodzenia płynącej na



konta FBG rzeki dolarów.

Wystarczyło porównać SWIFTy wpisywane przy księgo waniu przepływów pieniędzy, aby wylapać fakt, że większość firm, z których nadchodzą końcowe wpłaty, zarejestrowana jest w rajach podatkowych. Kiedy Kravczik zestawiał nieostrożne słowa, jakie czasem wypowiadał mocno podпиты Okrzemek, z charakterystycznymi cechami księgowanych przez siebie doku mentów, był niemal pewien, że miliony dolarów pochodzą z polskich przedsiębiorstw.

Przeważnie były to dolary należące do państwowych central handlu zagranicznego i tzw. „domów agenturalnych”, repre zentujących w krajach bloku wschodniego interesy zachodnich koncernów. Tylko należące do państwa firmy przedstawiciel skie mogły legalnie reprezentować największe koncerny kapi talistyczne.

Okrzemek legitymował się dokumentami stwierdzającymi, że jest ministrem pełnomocnym, mogącym bez ograniczeń dysponować środkami założonego w Luksemburgu Funduszu Budowy Gospodarki.

Miesiąc po przyjęciu oferty Okrzemka Georg Kravczik po raz pierwszy przyjechał do Warszawy.

Zamieszkał w hotelu „Victoria”. Po nieprzespanej nocy, w czasie której rozmyślał o czekającym go spotkaniu z polskim premierem, obudził go... lokaj w srebrnej liberii.

Zaspany Kravczik uszczypnął się w policzek, aby upewnić się, że nie śni.

— Panie Kravczik, proszę nie jeść śniadania, na dole czeka na pana dorożka — lokaj przemawiał do niego, posługując się doskonałym berlińskim akcentem.

Kravczik z trudem ukrył rozbawienie. Szybko umył zęby, ubrał się i zaciekawiony zbiegł po schodach do hallu, gdzie czekał na niego srebrny lokaj.

Czuł na sobie badawcze spojrzenia nielicznych o tej porze klientów.

Życzliwie uśmiechnięci portierzy także dyskretnie przewier cali go rozpalonym z ciekawości wzrokiem. Lokaj w srebrnej liberii wzbudziłby zapewne zainteresowanie

w większości hoteli na świecie.

Kravczik, udając, że nie zauważa sensacji, jaką wywołuje jego przewodnik, podążył za nim do wyjścia.

Tuż przy szklanych drzwiach hotelu czekała na niego bogato inkrustowana karetka. Jak się później dowiedział, została wypożyczona z muzeum w Wilanowie.

Drzwi karetki otworzył mu uśmiechnięty wiceminister finansów Włodzimierz Salicki.

W dłoniach trzymał dwa kieliszki do szampana. Usiadł na pluszowej kanapie. Lokaj z uprzącią otworzył francuski Moët. Woźnica smagnął batem konie i pojazd ruszył z miejsca.

Zapręg majestatycznie potoczył się ulicami Warszawy.

Przechodnie zaciekawieni przystawali i zadzierali głowy, obserwując złocony dach karetki, po którym malowniczo ślizgały się promienie słońca. Dorodna para gniadych koni dudniła kopytami po warszawskim bruku.

Drogę torowała im para policjantów jadących na motorach z włączonymi kogutami.

Starsze panie na Krakowskim Przedmieściu były przekonane, że przyglądają się zdjęciom do nowego filmu kostiumowego.

— Sanacja wraca, daj dobry Boże — głośno przeżegnała się brzuchata przekupka.

Jej klienci przykładali dłonie do czoła, aby osłonić oczy przed słońcem i dokładnie obejrzeć intronizację starychnowych czasów.

Gdzieś niedaleko odezwały się dzwony kościelne.

Karetka godzinę paradowała ulicami Warszawy zanim ona sama za jej oknami ucichła. Kravczik ujrzał, że mijają znowu zieleń przedmieścia stolicy Polski. Kolejną godzinę spędził w słodkiej drzemce, ku której nastroił go wypity wraz z ministrem szampan.

Kiedy ocknął się, dojrzał jak Salicki rozmawia przez wielki, walizkowy telefon komórkowy.

Długa antena dźgała dach karetki.

Kraveczyk nie znał polskiego, ale z tonu głosu ministra wnosił, że ten nieustannie wydawał komuś polecenia.

— Ma być na tiptop, tiptop, kurwa! — usłyszał, i choć nie rozumiał ani słowa, to jednak spodobała mu się melodia tego zdania i zapamiętał je w całości.

W przerwach pomiędzy kolejnymi komendami Salicki sztucznie uśmiechał się do Kraveczyka i zapewniał go, jak wiele zależy od powodzenia zleconej mu przez polski rząd misji.

— Pan jest twórcą historii, to jedna z najważniejszych ope racji polskiej gospodarki — powtarzał gorliwie.

— Czy Okrzemek nie za swobodnie dysponuje pieniędzmi Funduszu Budowy Gospodarki? — zapytał niepewnie Kraveczyk.

— To naprawdę trudna misja. Dotychczas chyba tylko Bra zyljczycy próbowali postępować w ten sposób, ale omal nie wywołali międzynarodowego skandalu. My jesteśmy lepiej przygotowani — uspokajał Salicki. — Nie możemy stosować pełnej, formalnej księgowości. To jest operacja wywiadowcza i gdyby ludzie z Klubu Londyńskiego i z Klubu Paryskiego dowie dzieli się o tym, co robimy, to zapewne wybuchłby wielki skan dal, a na to na pewno nas nie stać. Proszę wierzyć naszemu czło wiekowi, wie co robi. — Salicki był opanowany i przekonujący.

— Moglibyście jednak wyznaczyć choć najbardziej podsta wowe reguły. Gdyby Okrzemek miał instrukcję, że może za dolara polskiego długu zapłacić najwyżej trzydzieści centów, a jeśli utarguje coś więcej, to jest już czysty zysk FBG, wtedy nasze działania byłyby bardziej sformalizowane i przejrzyste. Mniej zależałoby od widzimisię jednego człowieka — nie ustę pował Kraveczyk.

— Proszę się rozluźnić, mamy taki piękny dzień. Niech mi pan wierzy, wszystko jest pod kontrolą. — Wiceminister mach nął ręką.

Kareta wolno wtoczyła się na okazałe wzgórze. Zatrzymali się na malowniczej polance, naprzeciw stojącego w zenicie słońca. Pod lasem w równym rzędzie stało dziesięciu kelnerów odzianych w dziewiętnastowieczne stroje,

w rajtuzach i butach ze złotymi klamrami.

Drzwi karety otworzył mężczyzna w siwej peruce.

— Panowie, zapraszam na skromny poczęstunek! —  
wykrzyknął i teatralnie skłonił się w pas.

Kravezik znów był całkowicie zaskoczony. Zeszywniały siedział na pluszowym siedzeniu i z miną dziecka, które po raz pierwszy zobaczyło morze, mrugał powiekami, spoglądając na lansady człowieka w peruce.

— Czas na nas, panie ambasadorze. — Salicki delikatnie ujął go pod ramię i wyprowadził z karety.

— Jaki ambasadorze? — Kravezik był coraz bardziej oszołomiony.

— Nadzwyczajny i pełnomocny. — Polski minister się uśmiechnął. — Od dziś będzie pan miał polski paszport dyplomatyczny — dodał, widząc osłupienie Kravezika.

Dotknął dłoni Niemca i wskazał mu postać, która zbliżała się do nich od strony szpaleru kelnerów. Niezbyt wysoki, sprężysty, w nienagannym garniturze i okularach.

— To mój szef, minister Szmalewicz — szepnął Kravezikowi do ucha Salicki. — On tylko z grubsza jest wprowadzony w arkana naszej operacji — mrugnął okiem.

— Jak to? — zachnął się Kravezik.

— To nowa ekipa. Muszą się jeszcze sporo nauczyć, ale proszę się nie obawiać. Władze wiedzą o wszystkim.

— Ten pan nie jest władzą?!

Kravezik poczuł, że zaczynają mu drżeć koniuszki palców. Od dzieciństwa reagował w ten sposób w chwilach dużego zdenerwowania.

Teraz czuł się tak, jakby nagle znalazł się na zebraniu jakiegoś tajnego bractwa czy rodziny mafijnej. Ci ludzie nie zacho wywali się jak politycy. Teatr, tania ostentacja...

Naszła go myśl, aby natychmiast wypowiedzieć pełnomocnictwo Polakom i jak najszybciej zniknąć z tego dziwnego kraju.

— Niepotrzebnie się pan denerwuje. — Salicki utkwił w nim badawcze spojrzenie. — To zwyczajna transakcja finansowa, a na interesach z polskim rządem może pan

zarobić doskonałą prowizję.

— Kto jest tym polskim rządem?! — twardo przerwał mu Kravczik.

— My — odparł niezmiyszany Salicki.

Szmalewicz miał mocny uścisk dłoni i twarde wejrzenie. Był kostyczny i oficjalny.

— Miło mi pana poznać, panie Kravczik. Mam nadzieję, że nasza współpraca przyniesie dobre owoce — wyrecytował nieco szkolnym angielskim. — Mój zastępca zajmuje się szczegółami tej sprawy, ale gdyby miał pan jakieś kłopoty, proszę mnie natychmiast zawiadomić — dodał.

— Pan minister ma teraz na głowie całą gospodarkę. Wpro wadzamy rewolucyjne reformy. Pewnie kiedyś nasze rządy będą nazwane okresem Szmalewicza. — Salicki uśmiechnął się przymilnie do swojego szefa.

Cała trójka podeszła do stojących w karnym szyku kelnerów, z których każdy trzymał w górze srebrną tacę.

— Nie lubię takich szopek, ale zapewniłi mnie, że to wyjątkowe spotkanie. — Szmalewicz sprawiał wrażenie rozdrażnionego.

— Za powodzenie! — Salicki, w przeciwieństwie do szefa, nie tracił dobrego humoru.

Szmalewicz niechętnie uniósł swój kieliszek. Kravczik ledwie umoczył wargi.

Przyglądał się tym ludziom, jakby chciał uzyskać odpowiedź na pytanie, gdzie kryje się istota tej przedziwnej operacji. Po co ta cała maskarada.

Z drugiej strony miał świadomość, że wszystkie jego dzia łania są legalne i mają pokrycie w zaświadczeniach wysta wianych przez polski rząd, a rząd to przecież nie Cosa Nostra czy 'Ndrangheta.

Nieco uspokojony na powrót usiadł do egzotycznego po jazdu, którym przywieziono go na wzgórze. Naprzeciwko usiadł zamyślony Szmalewicz. Jego czoło przecinała wyraźna, pio nowa zmarszczka.

Kravczik nie polubił ministra, ale musiał przyznać, że ten niepozorny człowiek sprawia, że jego rozmówcy muszą

mieć się na baczności. Sposobem bycia wymuszał skupienie i powagę.

Już w Niemczech słyszał na jego temat wiele pochlebnych opinii. Mówiono, że Szmalewicz jedyny ma pomysł na wypro wadzenie polskiej gospodarki z komunistycznego chaosu.

Minister był młody, zdążył jednak w latach osiemdziesiątych zapisać się do PZPR.

Studiował na SGPiS, był na jednym roku z Józefem Oleksym, Bogusławem Kottem, Dariuszem Rosattim i Wiktorem Całuską.

Zapisane przez asystentkę finansisty nazwiska niewiele Kravczikovi mówiły, z tego grona znalazł jedynie Wiktora Cału skę. Spotkał go w Wiedniu. Całuska był wiceprzewodniczącym Rady Polonijnego Biznesu. Szefem tej polskiej organizacji był wówczas Henryk Wytrychowski.

Kravczik robił z nimi niewielkie interesy. Z ciekawością przyglądał się Całusce, który potrafił z dnia na dzień „orga nizować” ogromne ilości gotówki. Załatwiając swoje interesy w Erste Banku w Wiedniu, na własne oczy widział, jak Całuska zapłacił pięćdziesiąt tysięcy marek dwóm młodym niemieckim architektom.

Polonijny biznesmen wprost z przyniesionej mu walizki wydobyl stosiki pachnących farbą banknotów opatrzone ofi cjalnymi banderolami.

Kravczik zamyślony potarł gładko wygolony podbródek. „Ci Polacy, nikt ich nie zrozumie.”.

Czuł się jak podróżnik badający grząski, nieopisany nigdzie grunt. Perspektywa łatwego zysku była jednak zbyt kusząca, aby nagle porzucić kontakty z tymi ludźmi.

Szampan na polanie był jedynie wstępem do tego, co czekało Kravczika, gdy kareta zjechała w dolinę. W stylowym dworku, dyskretnie zanurzonym w liściastym zagajniku, stoły uginały się pod ciężarem jadra i napitku. Długie dębowe ławy rozstawiono w ogrodzie. Pyszniły się na nich dostarczone z okolicznych bartni miody, domowe nalewki i przywiezione od zakonników w Strzyżycu klasztorne piwo.

Zapach wędzonego mięsiva i ryb niósł się na całą okolicę.

Niemiec zjadł posiłek w towarzystwie połowy polskiego rządu.

Każdy z ministrów prosił o chwilę uwagi, szeptał mu na ucho o swoich pomysłach na prywatne wykorzystanie pieniędzy z FBG.

W żadnej z rozmów nie usłyszał, że są to państwowe pieniądze, nikt też nie troszczył się o to, aby środki z Funduszu Budowy Gospodarki służyły do zmniejszenia polskiego zadłużenia za granicą.

— Daj spokój! Chuj wie, co stanie się z tym krajem. Teraz jest ważne, aby urwać dla siebie najsmaczniejsze owoce z tej gałązki i wypierdalać. Z nami nie zginiesz, ostatecznie zawsze możemy zwać do starszych braci. — Tęgi wiceminister spraw wewnętrznych oblesnie puścił do niego oko. Ślina spływała mu po zażółconej brodzie. Był tak pijany, że nie potrafił podnieść się z obrzyganej w kilku miejscach ławy.

Inny z polskich oficjeli, dystyngowanie wyglądający starszy pan w muszce, o którym Kravczik zdążył się już dowiedzieć, że jest miłośnikiem młodych chłopców, wskazał na pijanego brodacza i konfidencjonalnym szeptem przestrzegł Niemca:

— To wyjątkowa szuja. Wykładał na kursach dla SB, zakłada teraz jakieś fundacje z bandziorami z Wiednia. Odwiedza go niejaki Kerszman. Niech pan nie rozmawia z tym typem!

Dystyngowany mężczyzna namawiał go do zainwestowania pieniędzy z FBG w łańcuszek firm chemicznych należących do niemieckopolskiego przedsiębiorcy Waldemara Schlezwiga.

Kravczik znał interesy Schlezwiga i dobrze wiedział, że szanujący się finansista nie powinien się do nich zbliżać. Schlezwig od wielu lat uchodził bowiem za „szupa” sowieckich służb specjalnych.

— Ten facet to były agent Stasi — ostrzegł go Salicki, który pilnie śledził każdy ruch Kravczika i pił najmniej

z uczujących przy ławie przedstawicielei nowej polskiej elity.

— Nosi muszkę, ale ciągnie się za nim taki gnój, że kombajnem byś nie wywiózł. — Wiceminister finansów kordialnie poklepał go po plecach.

Kątem oka Kravczik dostrzegł, jak Salicki posłał facetowi w muszce przymilny uśmiech.

Po kilkunastu kolejkach Kravczikowi było już wszystko jedno. Machnął ręką i przestał słuchać cisnących się do niego mini strów, generałów i biznesmenów.

Alkohol przyjemnie szumiał w głowie, rozleniwił. „Co mnie to wszystko obchodzi. Widocznie wschód Dżyngis Chana sięga aż do Warszawy. Mają w nosie państwo, ale nie lekceważą teatru władzy. Wygląda na to, że tu, jak się jest na szczycie, to można nie spoglądać w dół. Dopóki łba nie zetną, można płać w przywilejach. Wrócę do Niemiec i wszystko przybierze normalne rozmiary” — pocieszał się w myślach.

Miał wrażenie, jakby powoli zanurzał się w bezkształtnej, oblepiającej mazi, grzęzawisku, z którego wydostają się tylko ci, którzy są blisko brzegu. Kiedy wydobędą się z bagniska, natychmiast topią tych, którzy gramolą się za nimi. Wszyscy jednakowo uświnieni śmierdzącym błotem.

Zrobiło mu się niedobrze.

W ostatniej chwili wpadł do ciemnej komórki. Wymiotował długo i intensywnie, do ostatniej kropli żółci.

Dopiero gdy przetarł zażawione oczy, dojrzał, że obrzygał szynki, kiełbasy i boczki, ciasno upakowane w niewielkiej szafce.

Kiedy biesiada przybrała bardziej plebejski charakter i pano wie rozpoczęli uganianie się za wiejskimi dziewczuchami, uznał, że nadszedł czas, aby wrócić do hotelu.

Dyskretnie wezwał taksówkę, wymknął się z nabuzowanej alkoholem i muzyką sali i spokojnie odjechał.

Rankiem stwierdził, że pobyt w Warszawie kosztował go o wiele drożej niż mógł przypuszczać.

W taksówce zostawił piętnaście tysięcy marek, notes



*i oku lary. Najbardziej żałował okularów. Nosił specjalne szkła, które zawsze musiał specjalnie zamawiać u Franza Weklera, najdroższego optyka w Düsseldorfie.*

*Niepocieszony wyjechał na Okęcie i odleciał do Frankfurtu nad Menem...*

Andrzej skończył pisać tekst o pierwszym pobycie Kravczika w Polsce.

Postanowił wysłać go do redakcji „Rzeczywistości”. Miał być zwiastunem cyklu ujawniającego „kulisy jednej z największych machinacji finansowych w dziejach nowożytnej Polski” — taką zapowiedzią opatrzył tekst.

Hydraulik zdążył już dawno wyjść. Andrzej nawet nie zwrócił uwagi na moment, kiedy pozostał sam w swoim mieszkaniu.

Za oknem panowała głęboka noc.

Kliknął myszką w ikonkę „wyślij”.

Sekundę później tekst popłynął do redakcji. Nie chciał go ani poprawiać, ani zmieniać.

Czuł, że pierwszy impuls, który prowadził go przy pisaniu, był najbardziej szczerzy. Korektę gramatyki i stylu zrobią sobie sami w redakcji.

Dopiero teraz poczuł, że jest wściekle głodny.

W lodówce miał tylko niezbyt świeży kawałek pizzy. Założył więc kurtkę i poszedł nad Wisłę, w kierunku cumującego obok Wawelu statku, przy którym zwykle wiślane piaskarki prezentowały się jak stylowe okręty.

Obrzydliwa knajpa na wodzie należała jednak do znajomego Andrzeja, wiedział więc, że na zapleczu śpi nietrzeźwy kucharz, który przyrządzi mu gargantuicznego schabowego.

W środku nocy miał ochotę właśnie na dobrze wysmażonego schaboszczaka z wielką chochlą zasmażanej kapusty.

Godzinę później siedział rozparty na czymś, co miało zapewne uchodzić za górny pokład, a było jedynie ciasnym

pięterkiem upiornie brzydkiej łajby.

Napełniony panierowanym świńskim kotлетem spokojnie ćmił papierosa i spoglądał w rozjarzone gwiazdami niebo.

Miał przeczucie, że to jeden z ostatnich spokojnych wieczorów.

Jego tekst mógł przynieść mu jedynie kłopoty. Był na nie przygotowany.

\*\*\*

Pułkownik Białecki niechętnie sięgnął do kieszeni marynarki. Wyjął wibrujący telefon komórkowy i przytknął go do ucha.

— Tak? — warknął.

— Słyszę, że nie jesteś w nastroju. Niestety, jeszcze bardziej ci go spierdołę. — Słowa zupełnie nie pasowały do kobiecego głosu o przyjemnej, kuszącej barwie.

Były wypowiedane z tak eleganckim akcentem, że mogły pochodzić jedynie z ust osoby obdarzonej nieprzeciętną inteligencją i erudycją.

— Błagam. — Głos Białeckiego wyraźnie złagodniał.

— „Rzeczywistość”, Kravczik, Okrzemek, upierdliwy pismak — płynęło ze słuchawki.

— Kurwasz mać! — Białecki poczerwieniał na twarzy jak burak. — Kiedy? — ryknął do telefonu.

— Dziś w nocy — usłyszał w odpowiedzi. — Dziękuję, jesteś naszym najlepszym wywiadowcą i takie tam pierdoły. — Jego rozmówczyni ironicznie zakończyła połączenie.

Pułkownik chwilę stał nad ogromnym bukowym biurkiem, tłukąc pięścią o pięść.

— Nienawidzę tych jebanych pismaków! — wrzasnął.

Słowa odbiły się od obrazów Malczewskiego i Boznańskiej, którymi zapełnione były ściany pustego o tej porze gabinetu.

Białecki był koneserem sztuki, jednak płótna wiszące w gabinecie nie należały do jego kolekcji. Były rezultatem kilku ostatnich akcji oddziału „Y” II Zarządu Sztabu Generalnego

LWP. Zostały tu, bo Białecki uznał, że „są całkiem ładne”.

Usiadł w fotelu i ścisnął dłońmi skronie. Musiał natychmiast działać.

Należało uruchomić agenturę w redakcji i natychmiast poszukać haków na tego cholernego pismaka z Krakowa.

Zadzwoił do siedziby zaprzyjaźnionego tygodnika.

— Józek? — zapytał pro forma. Głos naczelnego tygodnika „Śmieć” był zbyt charakterystyczny, aby jego właściciela można było pomylić z kimś innym.

— Nie ma czasu. Pamiętasz tego gówniarza z Krakowa?

— Tak, Andrzeja jakiegoś tam. Coś tam kiedyś grzebaliście koło niego. Pobił kogoś i miał jakąś lewą babę.

— Tak, tak. nie będę ci teraz wszystkiego tłumaczył. Ubierz to w jakieś malwersacje, może jakieś małe zboczenie. Wiesz, sugestie, niedomówienia. Przecież nie będę cię, stary, uczył. Załatw chuja na amen, może tak, jak upierdoliliście tego durnia z PC. Tego Sterna, wiesz.

— No, super, puść jakiegoś pieska do Krakowa.

— Spotkamy się w sobotę u Olka, to przyniosę ci dobrą łychę. Podrzucę ci też wszystkie papiery, jakie wygrzebią mi u nas w archiwum. Cześć, stary diable!

Białecki z ulgą odłożył słuchawkę.

Był w dużo lepszym humorze. Zapalił papierosa i spojrział w okno.

Tej nocy niebo było wyjątkowo rozgwieżdżone.

## Rozdział IV

Józef Uchlanz, naczelny tygodnika „Śmieć”, uchodził za największego w Polsce cynika.

Z cynizmu i ostentacji uczynił swój znak firmowy. Jego pismo atakowało kościół katolicki i każdy przejaw patriotyzmu. Zerując na perwersyjnym masochizmie pewnej części Polaków i gorączkowym poszukiwaniu tożsamości przez rzesze byłych członków PZPR, którym leninowski grunt bezpowrotnie usunął się spod stóp, Uchlanz dorobił się wygodnej willi i nowobogackiego jaguara.

Swojemu kierowcy kazał wozić się godzinami po ulicach Warszawy. Szczególną satysfakcję czerpał z przyglądania się biedzie emerytów i robotników.

— Zachciało się „Solidarności”, no to żryjcie tynk ze ścian. — mruczał wtedy jak kocur rozkoszujący się perspektywą zjedzenia upolowanej myszy.

Galaretowaty, odpychający fizycznie, słynął z wielu seksualnych podbojów. Głośno mówił przy tym, że choćby nie miał nogi, i tak byłby atrakcyjniejszy od „gołodupnego adonisa”.

— Babom robi się wilgotno na widok kilku setek dolców, a nie mięcha w spodniach — powtarzał, rechocząc.

Intensywnie domagał się hołdów ze strony lewicy, a tych, którzy nie podzielali jego sprośnego poczucia humoru, tępił bezlitośnie.

Uchlanz miał już sporą praktykę w kompromitowaniu niewygodnych postaci polskiego życia publicznego. Wraz ze swoim kumplem, byłym majorem SB Lisiakiem, który swoją obecną służbę w Urzędzie Ochrony Państwa zawdzięczał jedynie wsparciu kilku znanych działaczy peerelowskiej opozycji, doprowadził do powstania książki Polityka spod łóżka, w której zaszczuł jednego z najbardziej prominentnych polityków prawicy.

Do napisania książki Lisiak i Uchlanz wykorzystali rozpitego dziennikarzynę, który często służył jako pióro do opracowywania i wydawania wspomnień byłych prominentów

PRL.

Na kanwie książki powstał także film fabularny, wyreżyserowany przez uznanego reżysera, będącego długoletnim agentem SB.

Uchlanz lubił takie zabawy. Lubił „świnić pięknoduchy”. Osobliwą przyjemność sprawiało mu namawianie ludzi uznawanych za autorytety do czynienia rzeczy podłych. Płacił za to bajońskie honoraria. W wolnych chwilach rozkoszował się kolekcją występków, do których przywiódł znane gwiazdy.

Na telefon Białeckiego zareagował więc tak, jakby ktoś znów wsadził go na ulubionego konia.

Po rozmowie z pułkownikiem Uchlanz zadzwonił do Marty Potockiej, najbardziej atrakcyjnej dziennikarki współpracującej z jego tygodnikiem. W rzeczywistości nazywała się Marta Wycisk, ale gdy przyjechała na studia do Warszawy, wymyśliła sobie legendę zaginionej córki Potockich.

Uchlanz nakazał jej, aby wczesnym rankiem zajrzała do jego gabinetu.

— Dostaniesz specjalne zadanie, za które zapłacę ci podwójnie — powiedział kusząco, po drugiej stronie słuchawki nie usłyszał jednak spodziewanego wybuchu entuzjazmu.

— Chcesz, żeby twój kochaś pojechał na placówkę? — Ton głosu zmienił się nagle w zimny i metaliczny.

— Tak. — W głosie kobiety nie było już wahania.

— Więc widzę cię, kurwa, jutro u siebie! — warknął Uchlanz i odłożył słuchawkę.

— Głupia dziwka — zasyczał, opadając bezwładnie na ogromny, tapicerowany delikatną koźlęcą skórą fotel.

Andrzej cały poranek spędził na telefonicznych kłótniach z sekretariatem redakcji „Rzeczywistości”. Zarzucono mu, że w swoim tekście zawarł stwierdzenia, na które ma niewiele dowodów.

Był wściekły. Na razie napisał jedynie oszczędną relację zawierającą fakty z dokumentów, które otrzymał od Okrzemkowej i Kravczika. Potwierdził je w rozmowach ze

swoimi bohaterami i kilkoma innymi świadkami. Spisał opowieści ludzi, którzy uczestniczyli w wydarzeniach związanych z powstawaniem Funduszu Budowy Gospodarki.

Nie dywagował, nie snuł teorii, nie zdążył jeszcze nawet przejść do sedna sprawy, a już nożyce bezlitośnie brzęczały i ręce oportunistów zatrudnionych w redakcji pracowicie kroily jego tekst. Ludzie z „Rzeczywistości” już trzęśli portkami.

Redakcja nie odrzuciła jednak jego propozycji. Wręcz przeciwnie, zastrzegła sobie, że kupuje cały cykl tekstów o FBG i zaoferowała całkiem dobrą cenę.

Właściwie powinien być zadowolony. Niezależnie od tego, co puszczą, przecież zapłacą mu zagwarantowaną stawkę.

W pewnym momencie zdał sobie jednak sprawę, że kupując od niego całą serię, jednocześnie blokują mu możliwość opublikowania historii FBG w innej gazecie.

Musiał wysłać „Rzeczywistości” plan następných publikacji i pobieżny konspekt serii.

Okolo południa ostatecznie uzgodnił, w których miejscach pierwszy tekst zostanie skrócony i machnął ręką na dalsze rozmowy.

Uznał, że skoro kupują początek, to później będzie miał większą swobodę i w końcu opowie całą historię.

Poczuł się rozgrzeszony, nie miał poczucia kapitulacji, a to w kontaktach z „Rzeczywistością” było sporym osiągnięciem.

Postanowił zrobić sobie prezent i resztę dnia spędzić w kawiarniach na Rynku Głównym, pijąc kawę i przyglądając się nogom przechodzących kobiet.

Uwielbiał ten szczególny krakowski rytuał polegający na słodkim marnotrawieniu czasu i snuciu planów na przyszłość — planów, które były zbyt wielkie, aby kiedykolwiek realnie ujrzeć światło dzienne.

Kraków dawał jednak komfortowe złudzenia, poczucie celowości egzystowania. Krakowskie egzystowanie było sensowne już przez sam fakt unoszenia filiżanki do ust, spoglądania na innych ludzi i opowiadania. Właśnie opowiadania. Oralne historie były specjalnością tego wiecznie krztuszącego się złym powietrzem miasta. Nikt nigdy nie

napisał tak jędrnych epopei jak te, które co noc opowiadano sobie w krakowskich pubach.

Rozkoszne bujanie w obłokach, upijanie się w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. „Dopiero kiedy wyjeżdżasz poza opłotki tego cholernego miasta, czujesz jak beczelnie wystrychnęło cię na dudka. Z tego bezwonnego pyłu daremnych pomysłów i planów są wszakże utkane jego ulice i mury. Kraków jest miastem zgnuśniałych marzycieli i bezpłodnych kochanków, żyje dla samej atmosfery, która w naszym pokoleniu śmierdzi już kazirodztwem” — tak rozmyślając, powoli zbliżał się do „przedpokoju”, czyli ulicy Zwierzynieckiej. Zawsze tak o niej myślał, uznając, że Rynek Główny i Mały Rynek to pokoje jego wymyślanego, duchowego mieszkania.

Andrzej znał Kraków na wylot i uwielbiał tworzyć na jego temat występne teorie, które były z ducha bardziej krakowskie, niż pierwotnie zakładał. Niczego nie wyjaśniały, a ich sens mógł zrozumieć jedynie ktoś, kto tak jak on upajał się wonią zgniłych liści zmieszaną z zapachem gołębiego guana.

Najpierw wypił setkę w „Vis-a-vis”. Nie pozwolił, aby przysiadł się do niego znajomy cudak. Nie miał ochoty wdawać się z nim w dywagacje na temat czystej sztuki, które ostatecznie i tak zmierzały do rozwiązania w postaci kolejnej setki czystej wódki. Zamówił dla niego pół szklanki „żołądkowej” i gestem nakazał, aby usiadł osobno, przy figurce Piotra Skrzyneckiego na zewnątrz. Cudak zrozumiał, że jest to warunek konieczny do zamoczenia ust w napoju wabiącym ożywym zapachem. Bez protestu dał się wygonić za witrynę, tak aby Andrzej, siedząc na wysokim stołku w knajpie, mógł mieć go na oku.

— Kochany, ale tam kobuchy nasrają mi do wody życia.

— cudak usiłował jeszcze nieśmiało protestować, ale zdecydowany gest Andrzeja pozbawił go ochoty na dalszą polemikę.

Kobuchy nie nasrały, a Andrzej spokojnie ruszył w kierunku klubu „Pod Gruszką”.

Tam zamierzał wypić ulubioną kawę z ekspresu z delikatnym nadzieniem w postaci pięćdziesiątki gruzińskiego

koniaku.

Chudy, lekko podпиты kelner bez słowa podał mu kawę z „gruzińskim prądem”. Andrzej wreszcie miał chwilę, aby zebrać myśli. Alkohol przyjemnie rozgrzewał mu tętnice i spowalniał kojarzenie.

A więc wdepnął w to z własnej woli. Był w pełni świadomy konsekwencji. Czuł także, że powoli traci kontrolę nad wydarzeniami. Z chwilą, gdy wysłał do redakcji pierwszy tekst o aferze Funduszu Budowy Gospodarki, nie był już w stanie przewidzieć, co stanie się dalej, z której strony przyjdzie cios. Mógł jedynie, jak wytrawny bokser, postawić gardę i sprawić, aby najważniejsze dla życia organy zostały osłonięte przed pierwszym uderzeniem. Skurczona, ściągnięta do wewnątrz sylwetka — tylko tyle mógł zrobić.

Wiedział, że na tym ringu nie ma żadnych reguł i cios poniżej pasa nie powinien być dla niego żadnym zaskoczeniem.

— Koniak z kofeiną. to musiał wymyślić jakiś bezsensny geniusz — mruknął do siebie i przymknął oczy. Piekły, czuł piasek pod powiekami. „To tylko zmęczenie” — pomyślał. Naraz poczuł, jak czyjeś zimne palce spoczęły na jego karku.

— Ty chyba nigdy nie zmienisz swoich przyzwyczajzeń — usłyszał.

Odwrócił głowę i ujrzał nad sobą uśmiechniętą twarz „Brigitte” — Ani Halickiej.

— Ty tutaj? — Musiał zrobić wyjątkowo głupawą minę, bo kobieta zaniósła się głośnym śmiechem. — Wyglądasz, jakbyś zobaczył śmierć. Aż tak źle ze mną? — spytała, ciągle chichocząc.

— Nie, nie, nie o to chodzi, tylko tak nie wiadomo skąd się tu zjawiałaś. — mamrotał.

— Jak mnie zaprosisz do stolika, to ci opowiem. — Spojrzała na niego wyczekująco.

— Ależ tak, tak, siadaj!

Poderwał się od stolika, zawołał kelnera i kazał przynieść dwa kieliszki brandy.

— Jestem w Krakowie, bo otwieramy tu przedstawicielstwo naszej firmy i muszę zadbać o szczegóły. Ot



i cała tajemnica. A „Pod Gruszkę” wpadłam, bo jeszcze z dawnych czasów pamiętam, że lubiłeś tu bywać. Zajrzałam i proszę, instynkt mnie nie mylił — mówiła swobodnie, uśmiechnięta i kusząca.

Wpatrywał się w nią i czuł znajome ukłucie w żołądku. Lata dodały jej uroku. Była piękna, elegancka i pewna siebie.

Przez następne dwie godziny żartowali, przekomarzali się i wspominali. Gdy opuścili restaurację tuż przed jej zamknięciem, odprowadził Annę pod hotel „Pod Różą” na ulicy Sławkowskiej.

— Tu mieszkam, jak przyjeżdżam do Krakowa. Dawniej w „Bursie”, a teraz „Pod Różą”. — Pomachała mu dłonią na pożegnanie.

— Andrzej! — usłyszał po przejściu kilku kroków w swoją stronę.

Odwrócił się zaskoczony.

Anna stała przed złoconym wejściem do hotelu.

— Co byś powiedział na jeszcze jeden kieliszeczek... u mnie? — spytała z niewinną miną.

Pokusa była zbyt silna.

Kochali się namiętnie i bez chwili snu, aż za oknem rozległy się pierwsze dzwonki porannych tramwajów.

Idąc do domu, czuł się lekki i zamroczony niespodziewanym szczęściem. Zdał sobie sprawę z faktu, że przez wiele lat, w tajemnicy przed samym sobą, ciągle za nią tęsknił. Chyba nigdy nie przestał jej kochać. Może właśnie dlatego był sam, a wszystkie związki z kobietami rozpadały się bez jakiegokolwiek protestu z jego strony. Koniec każdego romansu przyjmował z głębokim oddechem ulgi.

W tej chwili wiedział, że tak naprawdę na żadnej mu nie zależało, na żadnej poza Anną Halicką, poza daleką i nieosiągalną „Brigitte”.

14 kwietnia Andrzej zbudził się o szóstej rano. Właściwie tej nocy niewiele spał. Był podniecony, następnego dnia w „Rzeczywistości” miał się ukazać jego pierwszy tekst o

Funduszu Budowy Gospodarki. Pierwszy tekst na temat FBG zawierający nie sugestie i hipotezy, ale fakty, dokumenty i wywiady.

Rzetelnie udokumentowane opracowanie, będące zapowiedzią wyjaśnienia sprawy. Dotychczas Fundusz był traktowany w Polsce jak nawiedzona teoria, UFO. Coś się zdarzyło, był proces, ale tak naprawdę nikt nie wiedział kto, kiedy i gdzie ukradł pieniądze i czy w ogóle ukradł.

Nie mógł spać, starał się przewidzieć ruch przeciwnika, przygotować się na zarzuty. Powziął stanowcze postanowienie, że nie da się wyprowadzić z równowagi, zachowa zdrowy rozsądek, nie da z siebie zrobić oszołoma.

Rankiem szybko się ubrał i popędził do kiosku. Kupił „Rzeczywistość”. Na pierwszej stronie nic nie było. „Widocznie przestraszyli się i ukryli to wewnątrz numeru” — tłumaczył sobie. Nerwowo przeglądał następne strony. Nigdzie nie było jego tekstu. Rozgorączkowany postanowił wrócić do domu i jeszcze raz dokładnie przejrzeć zawartość gazety.

Pijąc nerwowo kawę, kolejny raz odwracał strony porannego wydania dziennika. Nigdzie, nawet na najmarniejszej szpalcie, nie było śladu jego tekstu o FBG. Znalazł za to całokolumnowy reportaż o tajemniczych zgonach ludzi, którzy badali sprawę Funduszu. Reportaż napisał Bernard Wrzaskliwiec, dziennikarz, z którym Andrzej kiedyś pracował, a potem zerwał wszelkie kontakty. Podejrzewał, nie bez pewnych podstaw, że Wrzaskliwiec konsultował swoje teksty z wysokimi oficerami służb. Uznał zatem, że dla własnego zdrowia i zawodowej higieny powinien zakończyć tę znajomość.

A teraz właśnie Wrzaskliwiec napisał reportaż o FBG. „Przypadek?” — pytał Andrzej sam siebie.

Był wściekły, tak wściekły, że nie był w stanie przeczytać tekstu Wrzaskliwca. Litery skakały mu przed oczami. Trząsł się z wściekłości.

— To, kurwa, za proste! Tak po prostu nie puścić, zamienić, nie, za proste! — gadał sam do siebie.

Otworzył szeroko okno.

— Powietrza! Cholera, zaraz mnie szlag trafi! — ryczał i z wściekłości walił pięściami po udach. — Jebane gnoje!

Wychylił się z niezapalonym papierosem za okno.

Kiedy poczuł, że oddech wyrównał mu się na tyle, że będzie mógł spokojnie utrzymać w dłoniach gazetę, usiadł przy kuchennym stole i dokładnie przeczytał tekst autorstwa Wrzaskliwca. Znalazł w nim wiele opisanych przez siebie faktów, tyle tylko, że każdy z nich był starannie podważony przez opinie liczących się ekspertów. W tekście pojawił się też nieznany dotąd polskiej opinii publicznej Georg Kravczik. Przez umiejętny dobór faktów i zręczne figury stylistyczne został jednak przedstawiony jako człowiek stary, mający kłopoty z pamięcią i psychiką, a w przeszłości wmieszany w podejrzaną machinację finansową. „Kravczik był przesłuchiwany w jednym z dużych śledztw finansowych prowadzonych w latach dziewięćdziesiątych przez prokuraturę w Köln.” — pisał Wrzaskliwiec.

— Pewnie, że był przesłuchany, i to w sprawie FBG, o której sam doniósł do prokuratury w Köln, ale o tym już nie piszesz, gnoju! — syczał do siebie Andrzej.

Wymowa artykułu była zgodna z jego tytułem: „Kolejni «świadczenie» rozdmuchanej afery”.

Autor tekstu całą odpowiedzialnością za, jak to ujął, „w istocie kilkunastomilionowe malwersacje” obarczył Grzegorza Okrzemka i jego żonę. „W tajemnicy przed ministrem i wszystkimi przełożonymi Okrzemkowie przez wiele miesięcy przygotowywali plan zagarnięcia pieniędzy z konta FBG. Wreszcie im się udało. Pieniądze ukryli na specjalnie w tym celu założonym koncie numerycznym. Chciwość tej pary była tak wielka, że wraz z podejrzanym finansistą Kravczikiem zakupili dla siebie samolot odrzutowy!” — oburzonym tonem piętnował Wrzaskliwiec „sprawców afery FBG”. Pisał o „przestępczej szajce, którą dowodził Okrzemek”, o tym, jak „poczynania kryminalistów stały się pretekstem do snucia nieprawdopodobnych teorii spiskowych i do walki politycznej”. „Afera FBG — kontynuował — stała się dla prawicy wytrychem, za pomocą którego atakowani byli i minister Szmałowicz, i inni

członkowie ekipy reformatorów. Mitologia FBG przypisuje ludziom z Funduszu winę za śmierć inspektora Grenzmana z Najwyższej Izby Kontroli, który pierwszy poinformował o nieprawidłowościach w FBG, oraz prezesa tej instytucji Waleriana Kańki. Śledztwa dowiodły jednak, że ani zawał serca Grenzmana, ani samochodowy wypadek Kańki nie miały żadnego związku ze śledztwem w sprawie FBG".

Bernard Wrzaskliwiec nie miał wątpliwości, wszelkie niejasności wyjaśniał bez cienia wahania. Naczelną tezą jego tekstu było wykazanie niedorzeczności teorii głoszących, że za aferę FBG odpowiadały wojskowe służby specjalne: „Pojawiło się wiele relacji wskazujących na niewiarygodny trop, jakoby za nieprawidłowościami w FBG stali oficerowie wojskowych służb specjalnych. Nigdy nie dowiodły tego wyniki śledztwa, trudno też za rozsądny przyjąć pogląd mówiący o tym, że wojskowi zawiadywali w PRL finansami. To tak, jakby drogowcom kazać wyliczać trajektorie lotów kosmicznych. Po prostu niemożliwe.” — wyrokował Wrzaskliwiec.

— No i po to właśnie, bratku, napisałeś ten tekst. Bronisz tych, którzy mają cię w ręku. Co za syf! — jęczał Andrzej.

Słyszały go jednak tylko gołębie, kołyszące się na parapecie za otwartym oknem i poplamione ściany.

Przez cały dzień snuł się po alejkach pobliskiego parku. Nie zadzwonił do redakcji, nie wyprawił nikomu wielkiej awantury. Zdał sobie sprawę z tego, jak był naiwny. Wiedział o nich tak wiele i tak łatwo pozwolił się wpuścić w ich sidła. Dał im przegląd tego, co wie, i jednocześnie umożliwił im reakcję. Szybkość, z jaką przygotowali swój ruch, była imponująca. Cała Polska poznała prawdę o Funduszu Budowy Gospodarki, całą prawdę Bernarda Wrzaskliwca.

Wieczorem spokojny usiadł przed klawiaturą laptopa. „Tak mnie nie załatwicie. Sami chcieliście! To teraz dopiero dostaniecie pigułę” — uśmiechnął się sam do siebie.

Pociągnął łyk mocnej kawy i zaczął pisać. Teraz już dokładnie wiedział, co robi.

*Krzysztof Grenzmann ciężko oparł się o parapet. Twarz zniekształcił mu bolesny skurcz. Chwilę później leżał zwinięty w kłębek na korytarzu. Lekarz, który zbadał go dziesięć minut później orzekł rozległy zawał serca. Grenzmann zmarł w karetce pogotowia, w drodze do szpitala. Żona inspektora nigdy nie pogodziła się z taką diagnozą. Podkreślała, że Krzysztof regu larnie biegał i niedawne badania kontrolne wykazały, że był okazem zdrowia. Serce miał jak dzwon. I nagle zawał, a wcześniej niejdziesiątki pogróżek i życzliwych rad, aby dał sobie spokój z kontrolą finansów FBG...*

Andrzej spędził dwa dni z wdową po Grenzmannie. Gotował z nią obiad, pił kawę i wino, spał na jej wersalce. Rozmawiali prawie dwadzieścia godzin bez przerwy.

Kiedy opuszczał jej dom, chwyciła go za ramię i szepnęła:

— Jesteś moją ostatnią nadzieją. Masz dobre oczy. Pokaż prawdę o Krzysiu.

Zapamiętał jej przedwcześnie postarzałą twarz, łagodne rysy i matowy, zgaszony głos, który ożywiał się jedynie w momentach, gdy opowiadała o swoim mężu.

Przeczytał pamiętnik Grenzmann, odszyfrował pełne liczb i skrótów notatki z kontroli w FBG. Te zapiski, połączone z dokumentami Okrzemkowej i Kravczika, pozwoliły Andrzejowi jeszcze dokładniej wyobrazić sobie gmach Funduszu Budowy Gospodarki.

Grenzmann, jako pierwszy Polak, skontaktował się z generałem Ogorzelskim. Przez adiutanta przekazał mu cztery precyzyjne pytania:

1. Czy słyszał Pan o planie noszącym kryptonim „III Rzeczpospolita”?

2. Czy to Pan wysłał Grzegorza Okrzemka do Luksemburga?

3. Czy słyszał Pan o argentyńskim przedsiębiorcy Steinerze?

4. Czy posiada Pan zarejestrowaną w Brazylii firmę,

*która nieoficjalnie zajmuje się handlem bronią?*

*Dwa ostatnie pytania były dla Grenzmanna wyrokiem śmierci...*

Andrzej oderwał się od pisania.

Steiner i Brazylia, tropy o których dotąd nie miał bladego pojęcia. Drugi cykl obiegu pieniędzy z FBG. Ten ślad pozwala zrozumieć, dlaczego w momencie, gdy wielkie korporacje kupowały polskie firmy, do zarządów polskich filii znanych zachodnioeuropejskich i amerykańskich koncernów wchodziłi sprawdzeni oficerowie lub agenci manewrowi wcześniej pracujący w strukturze II Zarządu Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego.

*Krzysztof Grenzmann zmarł na zawał serca, nagle, bez żadnych wcześniejszych symptomów choroby. Wdowa stanowczo doma gała się sekcji zwłok męża, nigdy tego nie zrobiono. Z mieszkania Grenzmannów zniknęły wszystkie notatki dotyczące Brazylia. Wdowa zapamiętała, że leżały w szufladzie biurka męża. Przypadkowo natknęła się na nie, szukając starych rachunków za telefon. Zapamiętała, że pisał w nich o powiązaniach jakiegoś generała wywiadu wojskowego z Palestyńczykami mieszkającymi w Brazylia. Grenzmann napisał tam też zdanie, które zapamiętała w całości: „Pistolety maszynowe «Glaube ryt» z Radomia, Steiner, Brazylia. Loco Jemen... ciotka”. Nic z tego nie rozumiała i być może dlatego zapamiętała to zdanie dokładnie, jak dziecko uczące się dorosłego wiersza na szkolną akademię.*

Andrzej się zastanowił. „Czy wywalić już teraz całe mięso na patelnię?”.

Zaraz jednak zdał sobie sprawę z faktu, że tym razem nie pisze tekstu do gazety.

— Nie chcieliście reportażu, to teraz dostaniecie książkę, a w niej wszystko — mruczał sam do siebie.

Teraz pisanie nabrało smaku rewanzu. Wiedział, że książka będzie mocniejsza niż sto artykułów.

Nazajutrz zadzwonił sekretarz redakcji „Rzeczywistości”.

— Czemu się nie odzywasz? — zapytał niepewnym głosem.

— Wiesz przecież — Andrzej niechętnie warknął do słuchawki.

— Chodzi o te twoje teksty o FBG?

— Po co głupkowato pytasz? Wiesz lepiej ode mnie.

Andrzej ze zdziwieniem stwierdził, że nie ma nawet ochoty wylądować na sekretarzu swojej złości.

Od momentu, gdy powziął zamiar napisania książki, sprawa „Rzeczywistości” wydała mu się płaska i banalna.

— Nie chcesz znać kulis wycofania twojego tekstu? — głos sekretarza nadal był niepewny.

— Nie, po co mi twoje kłamstwa? Prawdy przecież i tak mi nie powiesz, bo straciłbyś pracę, a trzymasz się jej jak pijak kieliszka. — Andrzej przypomniał sobie, że sekretarz już dwukrotnie był na leczeniu odwykowym.

— Andrzej, mnie w to nie mieszaj.

— W co?

— W ten burdel.

— A to jakiś burdel tam macie? — Postanowił nie litować się nad żalną, choć sympatyczną, postacią sekretarza.

— Chciałem cię, Andrzeju, przeprosić. To nie moja decyzja.

— Pogadamy, jak przyjadę, a na razie nie chce mi się z tobą gadać, bo czuję, jakby mnie pchły oblaży — Andrzej bezceremonialnie zakończył rozmowę.

Następnego dnia zadzwoniła Anna. Umówili się na kolację w „Hawelce”. Pamiętał, jak w czasach studenckich wielokrotnie przystawali pod „Hawelką” i czytali menu. Nie było ich wtedy stać nawet na zupę, ale obiecywali sobie, że kiedyś, w dorosłym życiu, urządzią sobie ucztę właśnie w „Hawelce”. Pamiętała.

Założył garnitur, wezwał taksówkę i chwilę później był już obok pięknej kobiety ubranej w czarną wieczorową suknię.

— Zawsze uwielbiałem cię całować. Twoje usta są jak dojrzałe brzoskwinie. Pełne radości, takie soczyste — wypalił przy stole.

— Zmizerniałeś ostatnio. Masz zmęczone oczy i taką ziemistą twarz. Coś cię martwi? — spytała z poważną miną.

Widać było, że naprawdę niepokoi się wyglądem Andrzeja.

Położyła dłoń na jego policzku.

— Jak to się stało, że jesteś sama? Przecież na studiach chłopcy szaleli na twoim punkcie. Nie mogłaś się opędnąć od wielbicieli, a teraz jesteś jeszcze piękniejsza — sprawiał wrażenie, jakby nad czymś głęboko się zastanawiał i nie słyszał jej pytania.

Spuściła wzrok. Przy stole zapadło niezręczne milczenie.

— Jeśli to jest dla ciebie przykre, to nie mów — powiedział zmieszany.

— Nie, to nie jest przykre. Po prostu każde z nas ma za sobą jakąś przeszłość. Po naszym rozstaniu szybko wyszłam za mąż. Kilka lat małżeństwa, chłód, kłótnie. Koniec. Potem miewałam różnych facetów, ale bałam się trwałego związku. Jak pamiętasz, wychowywała mnie tylko matka. Jako dziewczynka biegałam po moim osiedlu. Samotna, przestraszona. Bałam się wszystkiego. Mama ciężko pracowała, trudno nam było dociągnąć do pierwszego. Wtedy postanowiłam, że nie będę mieć dzieci. Nie chcę, żeby przeżywały to co ja. Małe dzieci bardzo cierpią. — Urwała i zaczęła nerwowo szukać czegoś w torebce.

— Brigitte.

Nie pozwoliła mu dokończyć. Dłonią pokazała, by milczał.

— Wiem, że pomyślisz o mnie jak o starej dziwaczce, ale jestem z tobą szczerą. Ufam ci. Jestem sama, bo boję się stałych związków i nie chcę mieć dzieci. Już niedługo biologia sama rozwiąże za mnie ten problem. Już niedługo nie będę mogła mieć dzieci. — Wyjęła z torebki chusteczkę i dyskretnie wytarła nos.

Nie miał pojęcia jak się zachować, co ma jej powiedzieć. Wstał i nie bacząc na innych gości podszedł do niej i mocno ją przytulił.

— To nasza wymarzona w młodości kolacja. O nic więcej nie będę już pytał. Najważniejsze, że jesteś ze mną. Czuję się z tobą wspaniale. Dawno tak się nie czułem w towarzystwie kobiety — mówił z takim przekonaniem, że uchwyciła jego



twarz w dłonie i pocałowała go w usta.

— Mój Jędrek. Ten sam. Mój Jędrek — szepnęła.

Tej nocy pierwszy raz odwiedziła Andrzeja w jego skromnym mieszkaniu. Jak w czasach studenckich, znów spali na wąskiej kanapie przykryci zbyt krótką kołdrą.

— No i wydymali pana koncertowo — głos Zdzisławy Okrzemek brzmiał matowo i beznamiętnie, jakby zwracała mu uwagę, że coś brudnego przyczepiło mu się do ubrania.

Miała na sobie tę samą szarą chustkę, w której zobaczył ją po raz pierwszy, gdy przyszła do redakcji. Zmieniła jedynie płaszcz, tym razem był niebieski z przetartymi miejscami w okolicach wypchanych kieszeni.

— A wydymali, ale nie bardzo z nimi walczyłem. Zmieniłem plan — odparł, zapalając wyjętego z paczki Okrzemkowej caro.

— Coś tam popytałam. Jak pan wysłał tekst do redakcji, to podobno telefony się grzały. Dostali wściekizny. Użyli ponoć nawet swojego najlepiej ulokowanego człowieka, jakiegoś nieznanego pułkownika. W każdym razie zablokowali, co? — bardziej stwierdziła, niż spytała. — Byłam u Grzeška i opowiadałam mu o panu. Powiedział, że to bez szans i musi pan na siebie uważać, bo to tchórze, a jak tchórze mają coś do stracenia, to zabijają. — Na jej twarzy nie było widać nawet cienia uśmiechu. — Mam tu dla pana list od niego. Ma pan przeczytać i zaraz potem mi oddać.

Podąła mu złożoną w ćwiartkę karteczkę z zeszytu. W środku znajdowało się kilka linijek tekstu wykaligrafowanych ładnym charakterem pisma.

*Szanowny Panie. Żona stwierdziła, że jest Pan porządnym człowiekiem, tylko trochę naiwnym (ona zawsze ma pięć kropeł goryczy przy sobie). Dam Panu kilka informacji. Nie wiem, czy będą one przydatne, ale może jakimś cudem uda się Panu to gdzieś opublikować. Postaram się pisać zwięźle i porządnie, jak żołnierz. A więc:*

*1. Proszę nie tropić polityków, to tylko pasione wieprze.*

*Ich losy niczego nie wyjaśnią.*

*2. Wiem, że nie lubi Pan SBków, ale tym razem niech im Pan da spokój.*

*3. Niech się Pan przyjrzy II Zarządowi Sztabu Generalnego LWP, Departamentowi Wojskowości MSZ oraz działalności Domu HandlowoAgenturalnego „Czarnecki”, który sprawił, że ci panowie rozkręcili interesy w Ameryce Południowej.*

*Dom „Czarnecki” był przedsiębiorstwem, przez które wojskowe służby specjalne załatwiały w latach 70. i 80. kontrakty sprzedaży broni dla palestyńskich terrorystów. Handlowali m.in. z niejakim Samirem Najmedinem, który miał swoje biuro w wieżowcu „Intraco” w Warszawie i był prawą ręką Abu Nidala, najbardziej krwawego terrorysty końca XX wieku. Nidalowi, za pośrednictwem Najmedina, sprzedawano broń, którą ten odsprzedawał później między innymi do Iraku. Z wyprodukowanych w Radomiu kałasznikowów zabijano też Żydów w Paryżu.*

*Abu Nidal na handlu polską bronią zarobił ponad 400 milio nów dolarów, a biorąc pod uwagę fakt, że prowizje w tej branży nie sięgają nawet 10 procent wartości kontraktów, śmiało można przyjąć, że Palestyńczyk sprzedał broń od Polaków za ponad 4 miliardy dolarów.*

*Dzięki znajomościom z okresu handlu bronią z Abu Nidalem jeden z generałów z II Zarządu Sztabu Generalnego trafił po*

*1989 roku do Brazylii i tam zawiązał spółkę z byłym wysoko postawionym nazistą.*

*Kiedy pojmie Pan mechanizm tego handlu, łatwiej Panu będzie zrozumieć powiązania ludzi wojskowych służb specjalnych z Ameryką Łacińską.*

*4. Proszę prześledzić karierę generała Ogorzelskiego, dużo to Panu wyjaśni. Niech Pan także odnajdzie pułkownika Bia leckiego i, co chyba będzie najłatwiejsze, niech Pan spróbuje przeniknąć sekret kariery redaktora Uchlanza. Oni wszyscy mają ze sobą coś wspólnego. Coś, co mnie zaprowadziło do pierdla i teraz nie daje mi mówić.*

5. *Rzecz z Pańskiego punktu widzenia najciekawsza — proszę poszukać informacji o niejaki Reinhardcie Steinerze i jego związkach z wojskowymi. Podpowiem: dużo pieniędzy z FBG popłynęło na rachunek firmy „Trust Agrocorp LLC” zarejestrowanej w Brazylii. Firma ta oficjalnie handluje traktorami John Deere, a w rzeczywistości sprzedaje haubice z Siemianowic Śląskich i broń strzelecką z Radomia. Handel idzie na całą Afrykę. Firmą w Brazylii zajmują się mieszkający tam Palestyńczycy. Przesiedlono ich tam w latach 70. w ramach akcji Mosadu. Wielu z nich wcześniej studiowało w Polsce i było agentami naszej „wojskówki”. W firmie „Trust Agrocorp LLC” zaparko wałem ponad 20 milionów dolarów z FBG. Byli tam nie tylko Ogorzelski i Uchlanz, ale także były generał Stasi, teraz, jak Gehlen, wysługujący się Amerykanom — niejaki Manfred Drecha.*

*Reinhardt Steiner to bardzo stary człowiek, ale umysł ma sprawny i chyba nie ma już złudzeń. Kiedyś opowiadał mi bardzo ciekawe rzeczy, ale to nie na papier.*

*Po przeczytaniu proszę to oddać Zdzisi, ona wie, co z tym zrobić.*

*I ostatnia rada, niech Pan nie wynosi śmieci do swojego kubła. Ostatnio tak Pan zrobił i oni już wiedzą, że obok Kravczika jednym z Pańskich informatorów jest kobieta. Na miłość Boską, niech Pan uważa!*

Pismo kończyło się zamaszystym podpisem Grzegorza Okrzemka.

Dziennikarz przez kilkanaście minut wpatrywał się w podaną mu przez Okrzemkową kartkę.

— Wystarczy! W tym wieku ma się jeszcze dobrą pamięć, więc co trzeba, to pewnie pan zapamiętał. Teraz grypsik wraca do mnie. — Wyciągnęła ku niemu dłoń i niecierpliwie pstryknęła palcami.

Posłusznie wręczył jej świstek. Okrzemkowa podarła go na kilka części i wsadziła do kieszeni wytartego płaszcza.

Uśmiechnęła się nerwowo, gdy napotkała pytające spojrzenie Andrzeja.

— Stara ruska szkoła. Tylko najprostsze zachowania

przynoszą dobry skutek. Jeden Amerykaniec wpadł w Moskwie, bo miał kredę w kieszeni. Po co normalnemu człowiekowi kreda? No po to, aby rysować znaki. A jak się rysuje znaki, to się nie jest normalnym człowiekiem, tylko szpiegiem, proste! Ruscy w takich samych sytuacjach stosowali aspirynę, też można coś nabazgrać, a w przypadku wsypy lekarstewko można przecież mieć. Teraz patrzy pan na mnie i zastanawia się: „Dlaczego ona nie spaliła tej karki w popielniczce?”.

— Fakt — Andrzej sapnął zaciekawiony.

— Bo po pierwsze wszyscy zwróciliby na nas uwagę i dobrze by nas zapamiętali. To jednak nie najgorsze, choć niepotrzebne. Z tym paleniem to na kilometr zajężdża filmową szmirą. Wszyscy, jak myślą o szpiegach, to zaraz widzą sympatyczny atrament, podsłuchy i palenie dokumentów w popielniczkach. Nie jestem zawodowcem, ale całe życie spędziłam w resorcie. Myślę.

— A co z tym śmietnikiem? — Andrzej miał minę kilkunastoletniego uczniaka.

— Nic, przegrzebali już pański kosz na śmieci i poczytali z niego jak z książki. Znaleźli chusteczkę higieniczną z moją szminką, niedopałek caro, a nie funkcjonuje już zbyt wielu wielbicieli tych papierosów. Jeszcze rachunek z „Rio” i kawałki pańskich notatek. Mało?! — Przeszyła go spojrzeniem nauczycielki.

— No nie — mruknął zrezygowany.

— Dlatego po raz ostatni spotykamy się w „Rio” i dlatego ja zaopiekuję się listem Grzesia. — Jej głos brzmiał już cieplej.

— Pomogę panu ustalić kontakt na Steinera i na Ogorzelskiego. Do następnego. — Machnęła mu ręką na pożegnanie i wyszła na skapaną w słońcu ulicę Świętego Jana.

Coś go tknęło. A jeśli ona gra na dwa fronty? Jeśli to właśnie ona jest ich wtyką?

Postanowił pójść za nią i sprawdzić, po co naprawdę przyjechała do Krakowa. Z kim teraz się zobaczy. Komu przekaże informacje o ich spotkaniu.

Szła skulona, męskim, zamaszystym krokiem, niedbale

stawiając stopy na nierównym bruku. Wyblakły płaszcz niezgrabnie falował unoszony podmuchami wiosennego wiatru. Nerwowo paliła papierosa. Zupełnie nie zwracała uwagi na otoczenie. Przeszła przez Rynek i ulicą Mikołajską skierowała się na Westerplatte.

— Nawet się nie kryje, leci prosto do Klubu Garnizonowego na Zyblikiewicza. Te trepy nie przypuszczają, że ktoś ich może śledzić, przecież od śledzenia i plucia do zupy to są właśnie oni. Wystawia mnie, kurwa przebrzydła — mamrotał wściekły.

Okrzemkowa przeszła jednak obok hotelu „Wyspiański”, nawet nie spojrzawszy w kierunku Klubu Garnizonowego, który minęła w odległości ponad stu metrów. Pędziła gdzieś dalej. „Może mają tam jakiś lokal konspiracyjny” — zastanawiał się.

Uparcie śledził ją nadal. W końcu doszła do niewielkiego budyneczku na ulicy Kopernika. Musiała tam być wiele razy, bo nawet nie przystanęła przy drzwiach.

Kiedy upewnił się, że go nie dojrzy, podszedł dość blisko, by przeczytać tabliczkę przy wejściu: „Hospicjum fundacji Anna Spes”.

„Kurwa, nie mają sumienia. Żeby w takich miejscach się umawiać. Gnoje” — zżymał się w myślach.

Naraz dojrzał twarz Okrzemkowej w oknie na pierwszym piętrze. Pokój, w którym przebywała, był na szczęście na tyle oddalony od ulicy, że mógł swobodnie wspiąć się na nasyp kolejowy naprzeciw budynku i dokładnie obserwować, komu w hospicjum Okrzemkowa sprzedaje tajemnice ich spotkania.

— Pewnie obiecali jej, że jak mnie sprzeda, to mężulka wcześniej wypuszczą z pierdła — sapał, wdrapując się na nasyp.

Był coraz bardziej poirytowany, do wizytowych butów na- sypało mu się sporo brudnej ziemi, która teraz uwierała go przy każdym kroku.

Umościł się wygodnie koło podkładu kolejowego i spojrzął w okno pokoju, do którego weszła Okrzemkowa.

Kobieta zdjęła płaszcz i zakasała rękawy zniszczonej bluzki.

Trzymała nad zlewem zniekształconą główkę nienaturalnie chudej dziewczynki, z której tchawicy sterczała przezroczysta rurka.

## Rozdział V

Pisał jak nakręcony. Od dwóch tygodni, po kilkanaście godzin na dobę.

Jedynie spotkania z Anną przerywały niekończący się maraton godzin spędzonych przed niewielkim ekranem laptopa. Klawiatura nosiła ślady wszystkich jego posiłków i nastrojów. Palce lepiły się do pozostałości po whisky, kawie i herbacie.

Wieczorami opowiadał Annie — „Brigitte” — o kolejnych ludziach i ich ciemnych sprawkach, o tajemnym nurcie życia, który na kartach jego książki niechętnie odsłaniał swoje mechanizmy. Zwierzał się jej ze swoich kłopotów. Opowiedział o tym, że od dwóch miesięcy żadna gazeta w Polsce nie opublikowała nawet skrawka jego tekstu.

„Brigitte” słuchała z uwagą, emocjonowała się jego przeżyciami. Czasem tylko bezradnie rozkładała ręce i przyznawała, że niewiele rozumie ze świata, o którym opowiada jej Andrzej.

— Przez wiele lat żyłam we Francji. Straciłam kontekst. Teraz tylko mogę sobie wyobrazić, co tu przeżywaliście — powiedziała pewnego wieczoru.

Wydała mu się wtedy taka krucha i dziecinna, pomimo swojego światowego szyku, doświadczeń i lat. Jak wtedy, gdy mieszkali razem w akademiku. Jak wtedy, gdy jako malutka dziewczynka przerażona błąkała się po ulicach wielkiego osiedla.

Czasem nachodziła go wątpliwość, czy tymi wszystkimi opowiadaniem nie robi jej krzywdy. Czy znów nie wkłada jej na szyję klucza, z którym będzie biegać po nieznanym sobie świecie?

Ale komu miał się zwierzyć? Przecież ściany jego mieszkania nie były już w stanie przyjąć więcej wynurzeń. Diabli zresztą wiedzieli, czy coś z tego potrafiły zrozumieć.

— Wyjedź ze mną do Szampanii, będziemy włączyć się po małych wioskach, jeść cudowne potrawy i marzyć. Tam się tak cudownie marzy. Przekonasz się. Jędrus, zostaw to na jakiś

czas, wyjedźmy, przecież tobie też się coś należy. Odkąd pamiętam, ciągle zajmowałaś się jakimiś ważnymi sprawami. Odłóż to i daj sobie trochę pomóc. — Gładziła go delikatnie po policzku. — Spalasz się i wglądasz jak kłębek nerwów. Musisz odpocząć i zatroszczyć się o siebie. Proszę cię! — pocałowała go.

Spotkania z „Brigitte” były dla niego jak łyk świeżego powietrza, oddech. Dzięki niej chciało mu się w ogóle wychodzić z mieszkania, ubierać się, golić. Podarowała mu marzenie o tym, że kiedyś razem zaszyją się w pięknym miejscu i będą żyć tylko własnym życiem. „Jeszcze tylko ta książka i odpuścę. Dam im ostatnią nauczkę i zniknę. Będziemy spokojnie się starzeć i kochać” — pomyślał.

Tej nocy znów kochali się w jego malutkim mieszkanku. „Brigitte” czuła się w nim dobrze, lepiej niż w swoim apartamencie w hotelu „Pod Różą”.

Okrzemkowa zadzwoniła kilka dni po swoim wyjeździe z Krakowa.

— Coś do pana przyjdzie, to ode mnie, sprawdzone. — Przerwała połączenie zanim zdołał spytać o szczegóły.

Tego samego dnia wieczorem do jego drzwi zapukał Maks Rozler.

— Nie! Tylko nie to! Moja wątroba po ostatnim razie napisała do mnie podanie, abym więcej nie wpuszczał cię za próg! — wykrzykiwał Andrzej, tonąc w niedźwiedziowatych ramionach przyjaciela.

— Jestem tu służbowo, a jak wiesz, na służbie nie piję. no, chyba że kapkę — mruknął Maks i wydobył z torby litrową butelkę grant’sa. — Tylko tak na smaczek i lulu — wyjaśnił.

Chwilę później siedzieli w kuchni i leniwie rozprawiali o polityce.

— Dobrze, a teraz daj mi to, co dostałeś od Okrzemkowej — wtrącił niespodziewanie Andrzej.

— Nic wielkiego, karteluszek. — Maks podał mu karteczkę podobną do tej, jaką przesłał wcześniej Grzegorz



Okrzemek.

Andrzej rozprostował papier i przeczytał napisane na komputerze zdanie: „Ogorzelski Consulting sp. z o.o., Legionowo, ulica Piękna 15”.

— Jeśli zapamiętałeś, to oddaj. — Maks bezceremonialnie wyjął mu z dłoni notatkę.

— Jesteście chorzy, ale trudno, muszę uczestniczyć w tej durnocie. — Andrzej machnął ręką i podszedł do kuchenki, aby zaparzyć herbatę. — Wir, świr. porąbańcy. Jak z takimi komuna mogła rządzić czterdziestoma milionami ludzi? Przecież to kwalifikowany psychiatryk.

— O, widzę, że dziś herbatka z murmuraniem. Muszę częściej wpadać do tej kantyny. Nie dość, że gorzała i herbatka, to jeszcze darmowy program rozrywkowy — wyzłośliwił się Rozler.

— Zaraz cię palnę — Andrzej rozsierdził się nie na żarty.

— Mam lepszy pomysł. Palnijmy „grantsika”, będzie przyjemniej. — Rozler wlał sobie do gardła pół szklanki whisky.

W kawiarni „Literackiej” czekał na niego krępy, zażywny mężczyzna wyglądający najwyżej na sześćdziesiąt lat. Dobry garnitur, okulary w dyskretnych złożonych oprawkach. Pachniał dobrą wodą o zdecydowanej, męskiej nucie. Na widok Andrzeja jego twarz rozjaśniła się sympatycznym uśmiechem. Miał równe, ładnie wybielone zęby. Szpakowaty, bez śladów łysiny.

— Dobrze, że się spotykamy — powitał Andrzeja miłym, ciepłym głosem. — Przecież w rezultacie i tak musiał pan do mnie trafić — wyjaśnił, widząc zaskoczone spojrzenie dziennikarza. — Ogorzelski. — Mocno uściśnił mu dłoń.

— Wiem — wyrwało się Andrzejowi.

— No, to dobrze wróży, obaj wiemy o sobie wystarczająco dużo.

— Pan dalej w służbach? — W głosie Andrzeja kryła się zaczepka.

— Skąd! Drogi panie, po wielu latach z przyjemnością

powiesiłem mundur w szafie. Jestem skromnym emerytem, ale jeszcze co nieco do mnie dociera.

— Co nieco? — Andrzej nieufnie zmrużył oczy.

— Proszę się nie obawiać. Wasze środowisko strasznie nas demonizuje. Gdybym choć w części miał takie możliwości, jakie sugerują wasi publicyści, to pewnie teraz miałbym pałac na Lazurowym Wybrzeżu, a nie skromny oficerski domek pod Warszawą.

— Panie generale, tośmy sobie pożartowali, ale ja umówiłem się z panem w bardzo konkretnej sprawie.

— Drogi panie, jak pan będzie w moim wieku, to doskonale pan zrozumie, że wszystko przychodzi w swoim czasie. Niczego nie należy przyspieszać, nasze emocje nie spowodują, że sprawy pobiegną szybciej.

Generał wlepił w Andrzeja spojrzenie swoich ciemnych oczu.

To spojrzenie mówiło: „Wszystko będzie tak, jak zechcę, i nie masz tu, robaczku, wiele do powiedzenia!”.

— Najpierw zjemy dobry obiadek, napijemy się koniaczku, a potem sobie porozmawiamy o sprawach starych Polaków. Niech mi pan wierzy, po dobrym jedzeniu lepiej się kojarzy i jaśniej widzi się sprawy świata. Proponuję udziec jagnięcy i znakomitą grzybową. Mają tu najlepszą grzybową, jaką jadłem.

Ogorzelski podał Andrzejowi papierosa.

— Nie wziął pan swoich, a widzę, że zaczyna pan węszyć za nikotyną. Znam to, sam hołduję temu nałogowi przez dwie trzecie mojego życia.

— Dlaczego? — wtrącił niegrzecznie Andrzej.

— Co dlaczego? — Ogorzelski zrobił minę świadcząca o nieograniczonej cierpliwości.

— Dlaczego zgodził się pan ze mną spotkać? Przecież wie pan, kim jestem i co robię!

— Właśnie dlatego. — Ogorzelski przerwał i nad czymś się zamyślił. — Dlatego, że wiem, kim pan jest — kontynuował.

— Nie chce mi się ciągle odpowiadać na te same nudne pytania, które zadają mi czasem coraz bardziej niedouczeni

dziennikarze. Pan to co innego, dużo pan czyta, spotyka się ze świadkami. Jak pan widzi, znam pańską metodę pracy i to mi odpowiada. Jest pan partnerem do poważnej rozmowy. Ona na pewno potrwa bardzo długo. No, chyba że się pan spieszy.

— Nie — Andrzej zaprzeczył machinalnie.

— Sam pan widzi. Jest pan inny. Dlatego się spotykamy.

Jedząc jagnięcinę, rozmawiali o kobietach, życiu i pogodzie. Andrzej odniósł wrażenie, jakby znał Ogorzelskiego od dawna. Czuł się swobodnie i bezpiecznie. Ogorzelski był wybornym kompanem. Sypał anegdotkami, opowiadał świeże, zabawne dowcipy.

Po godzinie obaj się zaśmiewali, opowiadając sobie o znanych ludziach, których kiedyś spotkali.

— Kazek. — Ogorzelski kordialnie wyciągnął ku dziennikarzowi dłoń. — Jestem starszy, a tak będzie nam prościej rozmawiać — wyjaśnił.

— Andrzej.

Generał dostrzegł w spojrzeniu Brennera ślad wahania.

— Spokojnie, przecież cię nie werbuje, raczej przeciwnie, to ty na tym stole rozdajesz karty. Być może nasze spotkanie zmieni ostatni etap mojego życia. A właśnie, czy ty uważasz, że jestem wcielonym diabłem? — Ogorzelski wbił ciemne spojrzenie w oczy Andrzeja.

— Ja nie jestem od uważania. Ja tylko odkrywam fakty i staram się być uczciwy. Dlatego przecież spotkałem się z tobą — słowo „tobą” przeszło przez usta Andrzeja z zauważalną trudnością.

— No dobra, przejdźmy do rzeczy. Zapraszam do mojego domu. — Ogorzelski delikatnie położył dłoń na ramieniu dziennikarza. — A co, myślałeś, że tu będziemy o tym gadać? Chodź, zobaczysz zdjęcia, dokumenty, spisane relacje.

Generał wstał od stołu i gestem pokazał Andrzejowi, aby podązał za nim. Nie przejmował się rachunkiem, ale też nikt o rachunek się nie upominał.

Wsiedli do luksusowego volvo. Ogorzelski włączył muzykę.

— Led Zeppelin. Wiem, że lubisz. — Uśmiechnął się pod

nosem.

Po pięciu minutach zatrzymali się przed niewielkim, wolno stojącym dworkiem, otoczonym wysokim płotem. Brama automatycznie się rozsunęła. Na spotkanie wyszedł im barczysty, siwy mężczyzna w garniturze.

— To pan Stasio, pracuje u mnie — przedstawił go Ogorzelski.

Weszli do urządzonego ze smakiem salonu. Na ścianach wisiały obrazy Malczewskiego i Boznańskiej. Generał już wcześniej zdradził, że sporo pieniędzy wydaje na polskie malarstwo. Wskazał Andrzejowi głęboki klubowy fotel, a sam otworzył barokowo inkrustowany barek.

— Grant's oczywiście także się znajdzie. Ja wolę prostsze trunki, ale gość ma u mnie wyjątkowe prawa. — Szeroki uśmiech nie schodził z twarzy gospodarza.

Kiedy usiedli swobodnie w fotelach i zapalili papierosy, generał pierwszy rozpoczął rozmowę o Funduszu Budowy Gospodarki:

— Wiem, że myślisz o mnie jak najgorzej. Relacje ludzi i dokumenty, które czytałeś, mówią o mnie jak o demiurgu, kimś, kto wymyślił i przeprowadził największy szwindel ostatnich lat. I masz rację. — Generał zawiesił głos i spojrzał na Andrzeja. Ciągle miał tę samą słabość — lubił, gdy jego słowa wywoływały poruszenie, które natychmiast odmalowywało się na twarzach słuchaczy. — Nie zamierzam bawić się w kotka i myszkę. Chcesz mnie przyszpilić, chcesz dowieść, że odkryłeś prawdziwego szefa mafii. Dziś zobaczyłeś mnie po raz pierwszy w życiu. I co, widzisz Ala Capone? — Twarz generała nadal wyrażała nieograniczoną życzliwość, a uśmiech nawet na moment nie zniknął z jego ust.

— To pan wysłał Okrzemka do Luksemburga, to pan kazał mu przekazywać pieniądze dla ludzi, którzy otwierali w Polsce przedstawicielstwa wielkich koncernów samochodowych, na przykład Opla, to pan nakazał gromadzić środki na założenie ogólnopolskiej, prywatnej telewizji. To pan, za pomocą FBG, kontrolował posunięcia pierwszych po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku

demokratycznych rządów.

— Stop, stop. bo się zaraz w tym pogubię. Nie zapamiętam wszystkich swoich grzechów. Proszę mieć wzgląd na moją starą głowę.

Ogorzelski wychylił swój kieliszek do końca. Sprawiał wrażenie, jakby nalewanie kolejnej porcji whisky całkowicie pochłonęło jego uwagę.

— A jeśli nawet zrobiłem to wszystko, o co mnie teraz oskarżasz, to, twoim zdaniem, zasługuję na medal czy szubienicę?

— Nie jestem od tego, aby oceniać. Rola dziennikarza polega na tym, aby zebrać części rozsypanej układanki i tak ułożyć te puzzle. no, żeby stanowiły fotografię rzeczywistości.

— Andrzej czuł, jak jego twarz oblewa się rumieńcem.

— Oceniasz, oceniasz. Czujesz się taki czysty. Oto odkryjesz prawdę przed swoimi rodakami. Czujesz już te fanfary i sławę.

— Nie! — przerwał mu Andrzej.

— Wiem, ty jesteś inny. Masz misję. Plujesz na nagrody i odznaczenia. Ty masz misję odkrycia prawdy. — Wwiercił w rozmówcę nieruchome spojrzenie zimnych oczu. — Tylko kto stoi za twoją misją? Zastanawiałeś się nad tym?. — przerwał i odpalił papierosa. — Nie przyszło ci do głowy, że ktoś sprytnie cię pasie? Prowadzi za rękę, podsypując coraz to nowe sensacje? Jaką masz gwarancję, że nie jesteś jedynie narzędziem? Pismakiem puszczonego na wypreparowany trop?

— Dużo wiem, myślę, czytam. — Twarz Andrzeja stężała.

— Nie bierz tego do siebie. Ja po prostu analizuję rzeczywistość. Czy myślisz, że do Kravczika trafiłeś przypadkiem? Uderzenie we mnie może się komuś opłacić. Nie pomyślałeś o tym? — Generał stuknął kieliszkiem w ramię Andrzeja.

— Spiskowa teoria. Jesteście w tym mistrzami. — Andrzej starał się, aby w jego głosie nie dało się wyczuć wahania.

— Widzisz moje czoło? — Generał wskazał na małe wgłębienie w skroni.

— I co? — Andrzej uśmiechnął się ironicznie.

— Nie oglądam telewizji. Bo inaczej ta dziura byłaby coraz większa. Kiedy jeszcze oglądałem dziennik telewizyjny, to ciągle pukałem się w czoło i ryczałem: „Kazek, zapomnij! Kazek, zapomnij!”. Tyle wiem o tych twarzach z pierwszych stron, że najpierw pękałem ze śmiechu, a potem chciało mi się tylko drwić. Ty mi mówisz o dziennikarstwie, a mnie śmiech pusty telepie. Jakie dziennikarstwo? Szczekanie szkolonych kundli za małe, za śmieszne pieniądze. Nie rozśmieszaj mnie. Co wydrukowali w „Rzeczywistości”?

— No. Wrzaskliwca. — mruknął Andrzej. — Tak, Wrzask-  
liwca.

— Nawet nie musiałem brudzić tym sobie ręk. Wrzaskliwiec będzie miał za to własny program telewizyjny. Zrobił to zresztą z ochotą, bo cię po prostu nie znosi. Na pewno jeszcze się zasłuży. A ty? Gdzie ty jesteś? — Ogorzelski uśmiechnął się do swoich myśli. — Ja ci powiem, gdzie. Nie obraż się, ale jesteś wśród oszołomów. Oszołomstwo nie polega na sfiksowaniu. Ty nie sfiksowałeś. Ty jesteś super logiczny. Oszołomstwo polega na niezauważaniu rzeczywistości, ale nie tej gazetowej, tylko tej obok nas. Teraz na przykład jesteś w domu nomenklaturowego, komunistycznego trepa. Trep, jak widzisz, zdycha z głodu.

Andrzej wstał i zaczął nerwowo chodzić po salonie.

— Nie denerwuj się. Jeszcze mi podziękujesz za tę rozmowę. Skąd czerpiesz przekonanie o własnej nieomyślności i prawie do osądzania innych? — Generał spokojnie wskazał mu miejsce w fotelu.

Dziennikarz      zmierzył      gospodarza      nieufnym  
spojrzeniem.

— Nie mam ochoty rozmawiać o swoich przekonaniach  
— mruknął.

— To nie przekonania, to fakty, bez których nie ruszymy  
dalej.

— Staram się być uczciwy w tym, co robię, a moja robota ma sens, bo ludziom należy się prawda. Jak byś z tego nie kpił, jak byś się nie wyzłośliwiał, to w głębi duszy sam czujesz, że

mam rację. Wy strasznie nie lubicie takich pojęć jak wiara, sumienie, prawda, uczciwość — nie lubicie ich, bo one codziennie mówią wam przed snem, że toniecie.

Andrzej sam był zaskoczony swoim wybuchem, ale postanowił niczego nie łagodzić. „Jeśli ta rozmowa ma mieć sens, to tak powinienem ją zacząć” — przemknęło mu przez myśl.

— Oj, oj, ale pojechałeś! Tekst jak z czytanki ojców jezuitów. Naprawdę wierzysz w to, że ludzie potrzebują tej twojej prawdy? Wierzysz, że dasz im prawdę, a nie wysterowaną bujdę? Sądzisz, że jesteś samodzielny, a może w rzeczywistości jesteś tylko narzędziem w rękach jeszcze większego skurwysyna niż ja. — Generał spokojnie zaciągnął się dymem. — Opowiem ci pewien bardzo niesmaczny kawał. Oto, wyobraź sobie, leci dwóch gejów, czy jak tam wolisz, pedałów, samolotem. Jeden z nich proponuje koledze: „Chodź, bzykniemy się teraz!”. Ten drugi puka się w głowę i stwierdza, że przecież wynikłaby z tego chryja. „Coś ty — odpowiada mu pierwszy — tu nikt na nic nie zwraca uwagi. Zaraz się przekonasz”. Wstał i podniósł w górę długopis: „Znalazłem długopis, czy ktoś z państwa go nie zgubił?”. Pomimo powtarzanego kilka razy komunikatu nikt nie zareagował. Tym przekonał towarzysza i ochoczo pofolgowali sobie. Po jakimś czasie wśród pasażerów przechodzi stewardessa i widzi obrzyganego po pas starca. „Dlaczego pan nie wołał którejs z nas, przecież z ochotą byśmy panu pomogły?” — pyta. „Droga pani — odpowiada cichutko starzec — ja wolę siedzieć spokojnie. Jeden tu spytał o długopis i natychmiast go wyruchali, to co oni by mi zrobili, jakbym powiedział głośno o rzyganiu?”.

Ogorzelski urwał i kątem oka obserwował, jak kąciki ust Andrzeja zadrgały w skrywanym uśmiechu. Ciągłe delektował się chwilami, gdy jego słowa poruszały słuchaczy. Zawsze, od czasów szkoły oficerskiej, sprawiało mu to dziecianną przyjemność.

— Widzisz, ludzie są tacy jak ten staruszek. Boją się i przede wszystkim chcą być bezpieczni. Ten, kto im da

poczucie bezpieczeństwa, będzie ich królem. Nie chcą prawdy, nie chcą wolności, chcą tylko żarcia i bezpieczeństwa. Dopóki tego nie zrozumiecie, dopóty będziecie dostawać od rzeczywistości gołą dupą w pysk.

— Widzisz tu jeszcze kogoś oprócz mnie? — W Andrzeju wzbierała złość.

— Wszyscy jesteście tacy sami. Chłopaczki ze stoczni, dzieciaki. Wam się wydaje, że życie to walka dobra ze złem. Walka z otwartą przyłbicą. Walka na prawdę i fałsz, zero-jeden. A ta kuchnia inaczej wygląda, tu toczy się cieniutka gierka, tak cieniutka, że czasem nie wiesz, czy właśnie pijesz szampana, czy też już jesteś artystycznie zrobiony w bambuko i zamarynowany w szczynach. Chodź, coś ci pokażę. — Generał wstał i delikatnie pociągnął Andrzeja za ramię.

Dębowymi szerokimi schodami weszli na piętro, gdzie znajdowało się pomieszczenie, które pewnie służyło generałowi jako gabinet. Foremne biurko wykonane z jakiegoś czarnego afrykańskiego drzewa. Laptop i ściany szczelnie obudowane regałami z książkami.

— Chodź, chodź, to będzie coś ciekawego. — Generał założył okulary i zanurzył się pod biurko. Wydobył stamtąd cieniutką teczkę. Wyjął z niej zdjęcie i podał je Andrzejowi. — Znasz go?

— Znałem, każdy go za komuny znał.

— I co?

— Jak to co? No przecież każdy wie, co mu się przytrafiło.

Generał wolno pokręcił głową.

— Pytam, co się mu stało.

— No, przecież został zamordowany, każdy o tym wie.

— Właśnie! — Generał znów napawał się zdezorientowanym spojrzeniem dziennikarza. — Mają wiedzieć, że został zamordowany, to wiedzą, że został zamordowany.

— A nie został? — Andrzej czuł, że rozmowa zaczyna się toczyć pod dyktando gospodarza.

— Nie został zamordowany.



— No więc?  
— Został zlikwidowany.  
— Na jedno wychodzi — odparł Andrzej.  
— Właśnie dlatego pokazuję ci tę teczkę, abys zrozumiał, że nie wychodzi na jedno. Poczytaj. — Generał wręczył Andrzejowi kilka kartek wyjętych z teczki. — Potrafisz czytać po rosyjsku?

— Potrafię, obowiązkowo mnie nauczyli.

— No to teraz ci się przyda.

— Co mi chcesz udowodnić?!

— Nic. Pokazuję ci lusterko. Jak masz olej w głowie, a sądzę, że masz, to zrozumiesz.

— Co, do cholery, mam zrozumieć? — Andrzej nie usiłował nawet ukryć rozdrażnienia.

— Po co się wkurwiasz? Pokazuję ci coś, co sprawi, że pogadamy jak partnerzy. Widzisz, jesteś fajnym facetem i nie chce cię okłamywać. Szczerość, rozumiesz?

— Z bezpieczniakiem szczerość? Dobrze.

— Nie obrazisz mnie.

— Nie mam ochoty.

— Jestem już zbyt stary, aby klócić się o te wasze paranoje. Proponuję uczciwą rozmowę. Skoro wybrałem cię do rozmowy, to szkoda mi czasu na ciuciubabkę.

— Ty mnie wybrałeś?!

— Dobra, ty mnie znalazłeś. Gadamy, czy chcesz dalej popierdalać o ideologii?

Andrzej czuł się urażony, jednak nie mógł ukryć, że korci go, aby przeczytać kwity Ogorzelskiego.

— Daj! — Wyciągnął rękę po teczkę.

Ogorzelski z kamienną miną podał mu dokumenty.

Andrzej usiadł za biurkiem i zagłębił się w lekturze.

Generał obserwował, jak w miarę czytania na twarz jego gościa wypełzał rumieniec. Nalał do kieliszków alkohol i niepostrzeżenie wyszedł z gabinetu.

Wrócił po kwadransie, dzierżąc pod pachą kilka pękatek teczek.

— To on był szpiegiem? — Andrzej nawet nie starał się

już ukryć swojego podniecenia.

— Nie on.

— Jak to?

— Nie on. Jego żona i młodszy syn.

— O co tu, cholera, chodzi?

— Proste jak pieprzenie. Stary znalazł pamiątki żony i kilka kwitów.

— I? — Andrzej wwiercił spojrzenie w twarz generała.

— Zrozumiał, że żył w burdelu.

— Ale to stare sprawy!

— Tak. I te starocie nie zrobiły mu krzywdy.

— No więc co?

— Był zbyt przenikliwy. Na podstawie strzępów informacji wypisał sobie listę aktywnych agentów. Gdyby jeszcze siedział cicho, ale nie, zaczął pisać wspomnienia. To był jego koniec. Ot i cała tajemnica.

— Po co go męczyli przed śmiercią?

— Bo, jak powiedziałem, był sprytny, zbyt sprytny. Dał teksty jakiemuś adwokatowi, mógł z tego wyniknąć niezły gnój. Wkrótce po tym, jak ukatrupili starego i jego żonę, pewien adwokat utopił się w Zalewie Zegrzyńskim. Koniec, kropka.

Generał podniósł do ust kieliszek.

— Za tych co na morzu, Andrzej.

— Żeby nie zapomnieli założyć kamizelek ratunkowych.

— Dziennikarz skrzywił się cierpko.

Generał uniósł do góry brwi.

— To już rozumiesz, po co rozmawiamy?

Andrzej milczał, wpatrując się w krępał postać Ogorzelskiego.

— Kamizelka ratunkowa, Andrzej. Kamizelka rzucona tym, którzy są już daleko od brzegu — głos generała był cichy i spokojny. — Jesteś na tyle inteligentny, że nie muszę mówić do ciebie dużymi literami. Dostałeś cukierka, ale jak pewnie wiesz, w wazie jest wiele cukierków. Twoja decyzja, czy zapieprzysz jednego i zwiejesz jak gówniarz, czy też złapiesz smak i najemy się obaj — odezwał się po chwili. — Z tym, że ja jem już tylko dla zabawy.

— Co ci, kurwa, daje prawo przemawiania do mnie jak do śmiecia?! — wybuchnął Andrzej. — Wydaje ci się, że jesteś tłustym kocurem, który każdego może przejechać. Nie jestem twoim trepem. Popierdoliły ci się epoki!

— Oj, pan redaktor się zdenerwował. — Kpiący uśmiech generała jeszcze bardziej rozjuszył Andrzeja.

— Wasz czas minął. Polska się zmieniła, a wy ciągle.

— Daj spokój, nie chciałem cię dotknąć. — Generał przerwał mu gestem dłoni. — Wybacz szczerowość, nie chcę trwonić twojego czasu i bawić się w dyplomację. Mówię prosto z mostu. Ja jestem już stary, nie zjem dwóch obiadów dziennie, jestem najedzony. Proponuję ci uczciwy układ.

— Wiesz, co robię, wiesz, jak myślę. Jaki układ może funkcjonować między nami? Jesteśmy z dwóch różnych brzegów! — Furia powoli mijała i Andrzej w myślach strofował się za to, że nie zapanował nad sobą, że dał się sprowokować.

— Z dwóch brzegów tej samej rzeki. — Generał demonstracyjnie puknął palcem w dwie teczki, które przyniósł ze sobą.

— Sięgasz do mnie, kurwa, jak do swojego. — Wypity alkohol buzował już w głowie Andrzeja. — Co ty, kurwa, do mnie masz? Jakie podejście twojej jebanej maci?!

Ogorzelski wolno odchylił się w fotelu. Na jego twarzy nie było już śladu niedawnej uprzejmości. Mierzył Andrzeja zimnym wzrokiem. Spojrzeniem jaszczurki.

— Twój stary — kapitan — strzelał. Mordował ludzi w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku w Poznaniu. Może się mylę? — wycedził z martwym wyrazem ust. — Czysty patriota. Chcesz licytacji wzruszeń? To naszczaj mu teraz na grób!

Urwał. Wstał i wyszedł z gabinetu. Po sekundzie drzwi uchyliły się znów.

— Jak zmądrzejesz, to jeszcze mnie odwiedź, a teraz spierdalaj, bo jestem zmęczony — syknął generał.

Andrzej pospiesznie zszedł do salonu na parterze. Starszy służący pożegnał go z zawodową uprzejmością.

— Taksówka czeka na pana za bramą — zakomunikował.

Andrzej był w hotelu godzinę później. Nie mógł zasnąć. Zadzwoił do „Brigitte”.

— Przepraszam, że dzwonię tak późno. Możesz rozmawiać?

— Z tobą, Jędruniu, zawsze. Nie spałam, kończyłam stary projekt. Dobrze, że zadzwoniłeś, bo mam już wszystkiego dość. Oczy mi wylatują z głowy. Dziesięć godzin przed komputerem. Sam wiesz, jak to jest. Masz taki smutny głos, coś się stało?

— Nie. Wszystko w porządku, bardzo chciałem cię usłyszeć. Bardzo chcę słyszeć cię codziennie, rano i wieczorem. W środku dnia. Chcę.

— Jędrak — przerwała mu. — Jędrak, chciałam. muszę ci powiedzieć, że tęsknię.

— Kochana. Kończę ostatnią sprawę i chcę być już tylko z tobą. — Ugryzł się w język.

Przestraszyło go to nagłe wyznanie.

Z bijącym sercem oczekiwał odpowiedzi, gotów obrócić wszystko w żart. Zachowywał się jak zakochany nastolatek i zasłużył na zimny prysznic. Czekał na reprimendę. Przecież ich odnowiona znajomość liczyła ledwie kilka tygodni. Na dobrą sprawę nic o sobie nie wiedzieli. Nie znali ostatnich kilkunastu lat swojego życia. Nic nie uprawniało go do takiego galopu. Powiedział szczerze, że jej pragnie. Po raz pierwszy wyznał to sam przed sobą, a na dodatek jego wyznanie usłyszała „Brigitte”. Każda sekunda milczenia po drugiej stronie słuchawki upewniała go w tym, że przesadził, wygłupił się i odkrył jak uczeń.

— Hm — usłyszał w końcu głośne westchnienie. — Andrzej.

— Tak? — szepnął niepewnie.

— Andrzejku. — Jej głos brzmiał miękko i delikatnie. — Kocham cię. Dobranoc. — Połączenie zostało przerwane.

Chwilę siedział oszołomiony, w końcu gorączkowo wystukał sms-a:

„Czy ja zwariowałem? Powiedziałeś, że mnie kochasz. a może tylko moje wielkie pragnienie powiedziało to za ciebie?”.

Po chwili telefon brzęknął na znak, że nadeszła odpowiedź. Odczekał chwilę i powoli wyświetlił tekst:

„Kocham Cię, Andrzeju i przez te wszystkie lata wiele razy tęskniłam za Tobą. To nasza ostatnia szansa i powinniśmy pieszo iść na pielgrzymkę do Santiago de Compostela za to, że mamy jeszcze taką szansę. Dobranoc Wariacie. Kochany”.

„Dobranoc, to najpiękniejsze słowa, jakie słyszałem. Dziękuję losowi, że jechałem wtedy pociągiem.”.

Telefon znów zamigotał:

„Szukałam Cię i prędzej czy później i tak byśmy się spotkali. Śpij już (jak możesz)”.

„Nie zasnę, oprę się na twoim oddechu i śpij, a ja będę dla Ciebie!”.

Odłożył telefon i zgasił światło w pokoju. Położył się na wznak i zapatrzył w ciemny sufit.

Skończył pisać kolejny rozdział. Na piętnastu stronach precyzyjnie, z przywołaniem dokumentów, opisał mechanizm powstania jednej z prywatnych telewizji. Miał przed sobą zeznania złożone przez Petera Weintalla, Niemca, właściciela niewielkiego studia filmów rysunkowych z siedzibą w Düsseldorfie. Weintall potwierdził fakt, że za pośrednictwem Kravczika otrzymał ponad sześćdziesiąt milionów dolarów z polskiego Funduszu Budowy Gospodarki. Pięćdziesiąt osiem milionów przekazał następnie polskiemu biznesmenowi o nazwisku Strawiński. Ten biznesmen był później jednym z założycieli prywatnej telewizji. Telewizja powstała za pieniądze z FBG. Do spółki ze Strawińskim generał Ogorzelski skierował zaufanego agenta manewrowego, pozostającego na usługach II Zarządu Sztabu Generalnego LWP. Agent, określony kryptonimem „Niebieski”, naprawdę nazywał się Wicherek i, udając biznesmena, spełniał swoje zadania na terenie Szkocji. Strawiński, Wicherek i szwajcarski bankier o

włoskim rodowodzie nazwiskiem Struvel razem stworzyli spółkę, która założyła w Polsce i w Bułgarii prywatne telewizje.

Pierwszy nabór do tych telewizji odbywał się według bardzo specyficznego klucza. Przyjmowano przede wszystkim dzieci oficerów i współpracujących z wojskiem dyplomatów. Młody narybek poddawany był intensywnym szkoleniom i dyskretnie sprawdzany. Pozostawali tylko najbardziej lojalni i szczerze nienawidzący wszystkiego, co odwoływało się do polskiego katolicyzmu, tradycji, co próbowało nawiązywać do etosu II Rzeczypospolitej. O czystość ideową środowiska tworzącego nowe telewizje dbał osobiście Remigiusz Strawiński do spółki ze swoim starym przyjacielem Józefem Uchlanzem. Biznesową stroną przedsięwzięcia zajmował się Wicherek, który jedyny w nowej firmie drobiazgowo znał powiązania telewizji z wojskowymi pieniędzmi.

Zeznania Weintalla w pełni potwierdziły dokumenty dos- tarczone przez Okrzymkówną.

Szczególnie cenne okazały się oryginały potwierdzeń przelewów dokonanych z konta FBG na rachunek Weintalla.

Czasem polecenia przelewu kilkudziesięciu milionów dolarów wypisywane były w hotelowej kawiarni na zwykłych serwetkach. Takie cuda działały się dotąd jedynie w krajach afrykańskich — Andrzej przypominał sobie fragment rozmowy z Kravczikiem.

Na końcu rozdziału Andrzej umieścił mięsistą scenę zakupu samolotu odrzutowego, który miał być do dyspozycji Kravczika. Odrzutowiec nabyto oczywiście za pieniądze Funduszu Budowy Gospodarki. Kosztował sto pięćdziesiąt milionów dolarów.

Andrzej dokładnie zapamiętał każde zdanie Kravczika. Nie potrzebował nawet sięgać do nagrań i notatek, które pozostały mu po nocy spędzonej w biurze finansisty.

*Drogi w Polsce były wtedy w oplakanym stanie, a ja ciągle musiałem przyjeżdżać z Düsseldorfu do Warszawy. Kiedyś żartem poskarżyłem się Okrzymkowi, że chyba będę musiał kupić helikopter, żeby należycie wywiązać się ze swojej misji. Wtedy on, zupełnie poważnie, zaproponował mi,*

*abym kupił sobie samolot, oczywiście na rachunek FBG. Początkowo myślałem o małej Wildze, w ostateczności o czeskim Zlinie, Okrze mek jednak nalegał, aby samolot był szybki i reprezentacyjny. W końcu przywiózł z Warszawy, od ministra finansów, zgodę na kupienie nowoczesnego, pasażerskiego odrzutowca. Jako polski dyplomata, miałem podróżować w godnych warunkach.*

Podczas pisania cały czas zmagaliśmy się z chęcią powrotu do nagle przerwanej rozmowy z Ogorzelskim. Czułem, że generał dojrzał do bezczelnej szczerości, do momentu, w którym nie obawiał się nikogo. Bezceremonialność, z jaką został potraktowany w czasie ostatniego spotkania w willi generała, dotknęła Andrzeja. Gdyby był zwykłym człowiekiem, pewnie odwróciłby się na pięcie i nigdy już do przerwanej rozmowy nie wrócił. Problem w tym, że nie był zwykłym człowiekiem, nie był prywatną osobą. Splot okoliczności, los (nie lubił tego słowa, niosło w sobie sugestię nieuchronności, pozbawiało poczucia wolności), wepchnął mu w ręce sprawę, która nadała jego życiu nową dynamikę, pozbawiła go egoistycznego napędu. Teraz ważne było rozwikłanie wątków, doprowadzenie ich do końca. Kurczowo trzymał się przekonania o misji, związanej z wyjaśnieniem historii i konsekwencji funkcjonowania Funduszu Budowy Gospodarki. Wypełnianie tej misji nadawało sens jego dosyć przypadkowo toczącemu się dotąd życiu.

Najgorsze było jednak obecne w głębi świadomości podejrzenie, że jego intencje nie są czyste, że misja wyjaśnienia zagadki FBG, przedstawienia opinii publicznej prawdy o „największym przekręcie w dwudziestowiecznej historii Polski”, jest pretekstem, mitycznym uzasadnieniem jego zagubienia i nieprzystosowania. Tłumaczeniem się z niezdolności do założenia porządnej rodziny, wybudowania domu z ogródkiem. Usprawiedliwieniem braku błogosławionej umiejętności zawierania drobnych kompromisów, narcystycznego przerostu poczucia własnej wartości. Być może w ten właśnie sposób rozpaczliwie szukał sensu, którego nie umiał odkryć w szarych chwilach codzienności. Potrzebował

fajerwerków, które utwierdziłyby go w poczuciu doniosłości tego, co robi.

Tak naprawdę gardził opinią zwykłych ludzi, oceną sąsiadów i coraz bardziej gorączkowo poszukiwał uzasadnienia dla takiej postawy. Potrzebował „wielkiej sprawy”, która rozlegnie się wielkim rykiem i pokaże wszystkim, że oto on, samotny jeździec, rewolwerowiec prawdy, oświetlił na moment zapchlą jaskinię postkomunistycznej Polski, a potem splunął jak Clint Eastwood i odwrócił się z pogardą.

Nie umiał przyznać się sam przed sobą do próżności, chorobliwie cienkiej skóry, nieumiejętności zniesienia i wybaczenia żadnej zniewagi. Poczucie misji było pewnie upragnionym lekarstwem na codzienne frustracje. Gdyby nie pojawiła się sprawa Funduszu Budowy Gospodarki, uganiałby się za aferami postkomunistycznego establishmentu, interesował drugim życiem bezpieczniackiej śmietanki.

Zniecierpliwiony machnął ręką, jakby odganiał uprzykrzoną muchę. Może w ogóle tak nie było.

— Cholera, od tego siedzenia w domu zaczynam świrować — mruknął sam do siebie. — Ktoś przecież musi deptać im po piętach, a kto robi to lepiej od ciebie, Andrzejku? — Uśmiechnął się pod nosem i odpałił kuchenny palnik.

Odezwała się leżąca na stole komórka. Zaciekawiony dojrzał na ekranie napis: „JebOgorzel”.

— Tak, panie generale? — starał się nadać swojemu głosowi jak najbardziej neutralne brzmienie.

— Przestałeś się dąsać?

— Ja się nie dąsam.

— Wiem, jesteś profesjonalistą. Mam doskonałego grant’sa prosto ze szkockiej destylarni. Przywieziony w beczulce.

— Mam mnóstwo pracy.

— No, wystarczy tego boczenia się. Przyjmij zaproszenie starszego znajomego i napij się ze mną dobrego trunku. Jak pozwolił, to zaraz wyślę po ciebie samochód.

— Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

— Wiem jeszcze kilka nikomu niepotrzebnych rzeczy.



— No dobrze. — Andrzej sam był zdziwiony łatwością, z jaką przystał na argumenty generała Ogorzelskiego.

— Cieszę się. Być może nie odniosłeś takiego wrażenia, ale ja naprawdę poczułem do ciebie sympatię.

— Dziękuję — Andrzej machinalnie wystękał grzecznościową formułkę.

— Gwarantuję, że dziś będzie jeszcze ciekawiej niż ostatnio.

Andrzej wyłączył telefon i zamyślony odłożył go na stół.

Właściwie generał Kazimierz Ogorzelski wybawił go od dylematu.

„Lepiej już wysłuchiwać tego starego kaboty na niż przetrawiać wyziewy własnej świadomości” — pomyślał.

Szczególnie spodobało mu się słówko „wyziewy”.

Jednego nie mógł się sam przed sobą wyprzeć — lubił siebie i miał o sobie dobre mniemanie.

Uśmiechnął się, zatraskując drzwi. „Może ten wewnętrzny dialog to już początek interesująco zapowiadającej się schizofrenii?”. Westchnął i zjechał po poręczy schodów.

Generał powitał go szerokim uśmiechem. Serdecznie uściskał i zaprosił do salonu.

— Ostatnio kiepsko nam się rozmawiało. Jak się ludzie nie znają, to podchodzą do siebie jak kot do jeża.

— Nadal mało się znamy, panie generale.

— Już trochę lepiej. Ja miałem czas, aby trochę pomyśleć, ty zdążyłeś ochłonąć i możemy znów wrócić do tematu. Pośpiech jest wskazany przy łapaniu pcheł, a twoja książka jest chyba więcej warta, prawda? — Generał spojrział uważnie na Andrzeja. — Zanim mi znowu nawtykasz, zobacz, jakie dostałem cudo.

Wydobył na stół niewielką drewnianą beczułkę. Sprawiała wrażenie starej i mocno sfatygowanej. Klepki były nieco odrapane i w kilku miejscach nosiły ślady zetknięcia z czymś twardym i ostrym.

— Prawdziwy szkocki grant's, jeszcze nawet nie rozlany. Nie próbowałem, czekałem z tym na ciebie. Nic nie sprawia większej frajdy niż drobne przyjemności sprawiane

sympatycznym znajomym. To jak, po maluszku?

— Czemu nie, bardzo dziękuję. — Andrzej starał się panować nad każdym wypowiedzianym słowem, jego odpowiedź była więc uprzedzająco grzeczna.

— Czasem poluję, jednak ta zdobycz naprawdę najbardziej mnie uradowała — mruknął generał, odszpuntowując beczkę. Ulał z niej pół litra złocistego płynu wprost do gustownej karafki. — No to usiądźmy, posmakujmy bożego daru i. pomyślmy, co też razem możemy zdziałać — zaproponował.

— Razem? — wyrwało się Andrzejowi.

— Tak, razem. Widzisz, ty masz zapał i przekonanie o słuszności, a ja trochę niezbędnego doświadczenia. Jak zauważyłeś, wcale nie odwodzę cię od pomysłu napisania tej książki. Przeciwnie, uważam nawet, że powinna powstać. Może właśnie nadszedł czas, aby oświetlić początki naszej kochanej Trzeciej Rzeczypospolitej. Ja, jeśli pozwolisz, postaram się, abyś uniknął raf, a jak pewnie wiesz, jest ich w tej historii wiele. — Generał umilkł i spojrzał na wielki portret oficera wiszący na ścianie za plecami Andrzeja. — Pewnie myślisz, że jestem ruskim pacholkiem? .Tak myślicie wy wszyscy.

— Tak bym tego nie ujął. — Andrzej odwrócił głowę, aby sprawdzić, co tak zaintrygowało gospodarza.

— Skracajmy niepotrzebne dyplomacje. Pewnie wyraziłbyś to bardziej oględnie, ale przecież tak w istocie myślisz. Ciągle jednak mało wiesz o tamtych czasach.

— Na pewno nie tyle co ty.

— Właśnie. Tamten świat był cholernie skomplikowany. To, co dziś wydaje się kręactwem i machloją, wówczas było jedyną drogą do przygotowania Polski.

— Do czego? Do nowej formy waszej władzy! — Andrzej natychmiast pożałował swojego wybuchu. Postanowił przecież, że nie będzie toczył z Ogorzelskim żadnych ideologicznych sporów. Wiedział, że w tym wypadku byłoby to kompletnie jałowe gęganie.

— Pierwsza pułapka. — Generał uśmiechnął się wyrozumiale. — Nigdy nie poznasz prawdy, jeśli będziesz na

fakty spoglądał przez okulary krótkowzrocznego antykomunisty. Jesteś jak przelana szklanka. Nic się do niej nie zmieści. Spróbuj zrobić tak. — Generał szybkim ruchem wylał whisky na podłogę i postawił przed Andrzejem pustą szklankę.

— To mój pierwszy warunek, zrób miejsce.

— O! To będą i kolejne.

— Nie bądź jak bohaterowie filmów, których chyba zbyt wiele się naoglądałeś.

Andrzej gładko przelknął protekcyjny ton gospodarza i spokojnie pokiwał głową.

— Okej, spróbuję.

— No to wypijmy za to. — Ogorzelski z powrotem napełnił swoje naczynie.

— Zdrowie — prychnął Andrzej.

— Wolę *bon appétit*, ale jak sobie zyczysz.

Alkohol przyjemnie rozlał się w żołądku, był smaczny, wytrawny, nastrojał optymistycznie.

— Co, twoim zdaniem, gwarantuje wolność?

— Świadomość — Andrzej odpowiedział bez zastanowienia.

— I tu się różnimy. Wolność to przede wszystkim pieniądze, takie pieniądze, które pozwalają mieć dystans do rzeczywistości i do jej ograniczeń. Poprzednim razem przyniosłem ci dwie teczki. Są w nich dokumenty pokazujące, jak pieniądze z Funduszu Budowy Gospodarki, nie całkiem legalnie, zostały użyte do napędzenia naszej gospodarki. Nasz wywiad kontrolował dzięki nim poczynania dużych koncernów w Polsce i, jak widzisz, całkiem się to opłaciło. Nie mamy dziś takich problemów jak Litwa, Łotwa i Estonia, zabezpieczyliśmy się przed wariantem białoruskim, nie jesteśmy tak uzależnieni od Rosji jak Słowacja, Węgry czy Czechy. Tam masz dowody na to, co mówię. Nasi oficerowie naprawdę wykonali świetną robotę dla Polski. Pewnie, że przy okazji trochę kradli, ale czy to się per saldo nie opłaciło? Czy myślisz, że reformy ministra Szmałowicza przebiegłyby bez rozruchów społecznych, gdyby nie resorowanie pieniędzmi z FBG? — Generał upił spory łyk ze szklanki. — Widzę po twojej minie, że mi nie wierzysz, ale czy

miałeś w rękach te dokumenty? — Położył przed Andrzejem te same dwie teczki, które miał ze sobą w swoim gabinecie podczas poprzedniego spotkania.

— Poczytaj, no chyba że boisz się zburzenia wspaniałego gmachu swojej teorii.

— Przeczytam.

— Widzisz, dotąd miałeś kwity tylko z jednego źródła. A czy wiesz, że Okrzemek i jego żona byli objęci rozpracowaniem „Gwiazda”?

— Co to takiego?

— Nasze wojsko, gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych, czyściło się z rosyjskich wpływów. Wtedy zostało przeprowadzone tajne rozpracowanie o kryptonimie „Gwiazda”, które pozwoliło wyodrębnić osoby podejrzane o związki z Rosją. Okrzemek nie poszedł siedzieć za malwersacje. On siedzi za transfer pieniędzy do Moskwy. Wiedziałeś o tym?!

Andrzej słuchał słów generała z rosnącym niedowierzaniem. Był przygotowany na kłótnię o mechanizmy malwersacji, ale nie miał pojęcia o agenturalnym wątku afery FBG.

— To przecież pan wysłał Okrzemka do Luksemburga, to pan uczynił go faktycznym szefem FBG!

— Tak, ale wtedy nie byliśmy w NATO, nie mieliśmy wiedzy o rozpracowaniach amerykańskich i izraelskich. Czy myślisz, że gdybym nie przeszedł amerykańskich sprawdzeń, to po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku nadal pełniłbym funkcję w polskim wywiadzie? Prawda jest pogubiona w ciemnych korytarzach, a ty wpadłeś na jeden z nich, włączyłeś latarkę i myślisz, że odkryłeś cały labirynt!

— Napijmy się. — Tym razem Andrzej uniósł do ust szklaneczkę ze złościście połyskującym trunkiem.

— Dam ci jeszcze więcej dokumentów, ale musisz przystać na mój drugi warunek. — Generał zawiesił głos.

— Słucham.

— Cokolwiek dalej napiszesz, dasz mi to do przeczytania.

— Jak to, dalej?

— No bo to, co już naskrobałeś, znam.

— Kurwa, blef! — wyrwało się Andrzejowi.

Generał podszedł do drewnianego sekretarzyka i przekreślił kluczyk. Wydobył z niego stosik białych kartek A4.

— To twoje dzieło?!

Przed Andrzejem leżały skserowane kartki jego tekstu, łącznie z tym, co napisał trzy dni przed wizytą u Ogorzelskiego.

— Nie, to już, kurwa, przesada! — jęknął.

— Chłopie, w tym przedszkolu to ja jestem nianią, nie obraż się.

— Kto, kurwa, grzebał w moim domu?

— Jak będziemy współpracować, to i tego się dowiesz.

— Jak to, współpracować? Przecież ty mnie szpiegujesz!

— Nie szpieguję, tylko mam życzliwe duchy, które dbają o porządek. Nic z tego nie wykorzystałem. Mogłem ci tego nie pokazywać i bawić się z tobą jak kot z myszą, ale ja gram w otwarte karty i proponuję ci uczciwy układ. Zróbmy to razem i naprawdę będzie z tego pożytek. Andrzej, jesteś inteligentnym i przenikliwym facetem, cenię twoje teksty o Kosowie, wiem że masz mocny charakter i zasady. Z gnojem bym nie rozmawiał, gnoje dostają polecenia. A ty jesteś z gatunku, który budzi szacunek, więc jestem szczery i chcę szczerości. Nie chcę, abyś zdradzał mi swoich informatorów, abyś pokazywał źródła, chcę jedynie, abyś docenił naszą dżentelmeńską umowę. Daj mi poczucie, że pracuję z profesjonalistą, a naprawdę niejedyn cukierek z tej wazy będzie twój. Będziesz pisał teksty, których nikt nie podważy. Będziesz miał wpływ na to, w jakim kierunku idą sprawy. To mało? Za jedną tylko rzecz, za twoją zgodę na nasze szczere konsultacje.

— To nie jest równy układ. Ty wiesz, co robię, a ja nie mogę się od ciebie niczego dowiedzieć — prychnął dziennikarz.

— Lustra, pamiętaj o lustrach. Widzimy to samo, ale tylko ja wiem, jak odróżnić odbicia od przedmiotów. Całe życie pracowałem w gabinecie luster.

Ogorzelski zapalił papierosa. Był skupiony. Na jego twarzy nie było już śladu jowialności.

— To jak, dobijamy targu?

— Dobijamy, jeśli odpowiesz na moje pytania dotyczące Funduszu Budowy Gospodarki.

— Uparty jesteś, ale dobrze. Odpowiem na wszystkie twoje pytania.

W ciszy wychylili po następnej szklaneczce whisky.

Generał mlasnął z ukontentowaniem. Drewniana kukułka wyskoczyła ze starego szwarcwaldzkiego zegara i wykukała północ.

Ogorzelski podszedł do sekretarzyka i wyjął z niego dużą fotografię. Przedstawiała dwóch mężczyzn splecionych w serdecznym uścisku.

— Wiesz, kim oni są? — Podał Andrzejowi fotografię.

— Jednego znam. Zaraz, przecież to. — Andrzej ugryzł się w język.

— Georg Kravczik — mruknął zadowolony Ogorzelski. — Georg Kravczik, tylko o wiele lat młodszy niż ten, którego ty poznałeś.

— A ten drugi? — niecierpliwił się Andrzej — To, hm. no dobra. To Wiktor Dzaluska vel Caluska. Nasz człowiek, który kiedyś kontrolował działania tzw. Polskiej Rady Biznesu na Zachodzie, był też tłumaczem polskich kardynałów w czasie rozmów z biskupami niemieckimi. Jego rodzice byli szanowanymi działaczami Stronnictwa Narodowego. Caluska kwate rował w Wiedniu, a jak się znudził akcjami na Zachodzie, to w Krośnie założył firmę „Corvatia”, która konfekcjonowała bakalie. a zresztą, co ja ci będę opowiadał. Masz, poczytaj sobie rozpracowanie — generał wyjął z cienkiej tekturowej teczki kilka stron maszynopisu.

*Dnia 14 sierpnia 1980 roku rozpocząłem rozpracowanie pod kryptonimem „Wiedeńskie rodzyнки”, było ono skierowane na wykrycie nieprawidłowości w działalności polonijnej firmy „Corvatia”. W krótkim czasie zdobyłem dowody mówiące o przestępczej działalności szefa tej firmy, niejakiego Wik tora Caluski. Obywatel ten, korzystając z naszych przepisów, przepakowywał duże partie rodzynek i bakalii, które dzięki zwolnieniom celnym tanio*

*sprowadzał z Wiednia, a następnie reeksportował je z wielkim zarobkiem na Zachód. Obliczyłem, że działalność kierowanej przez Caluskę firmy naraziła skarb państwa na straty większe niż wynosi obecny nawis inflacyjny. Caluska nie działa niestety sam, kryją go i wspierają ludzie, z którymi studiował na warszawskiej SGPiS, a w szczególności wysoki urzędnik Ministerstwa Finansów, którego nazwisko wyjawię jedynie w ustnej rozmowie z obywatelem naczelni kiem. Ze względu na wagę sprawy nie wymieniam tego nazwiska tu.*

*Proszę o możliwość podjęcia działań operacyjnych zmierzających do ostatecznego zakończenia tej sprawy i aresztowania całej siatki malwersantów gospodarczych.*

*Z poważaniem Major Adam Piwnica V Departament Mini sterstwa Spraw Wewnętrznych.*

— Spodobało ci się?

— Mamisz mnie kwitami. Są ciekawe, ale jaki związek mają z naszą aferą. — Andrzej starał się ukryć poruszenie.

— Chcę ci pokazać, że to, co ty uważasz za aferę, wcale nią nie jest. Nie patrz przez dziurkę od klucza. Pokazuję ci horyzont. Na tym horyzoncie FBG było działaniem, które ocaliło polskie pieniądze. Ten Caluska działał dla wywiadu wojskowego, ale przy okazji korumpował naszych oficerów. Jednemu z generałów zafundował garsonierę w centrum Warszawy, w której ten spotykał się z dziwkami. Dziwki są wszędzie, ale ja tak wybrałem ludzi do naszej operacji, że prawie nikt nie skrewił. Nikt! — podkreślił po chwili namysłu.

— Sam oskarżyłeś Okrzemka o to, że kradł! — Andrzej machnął ręką i zaczął nerwowo chodzić po salonie.

— To był doskonały umysł, tylko nie wytrzymał ciśnienia pieniędzy. To się zdarza, ale zobacz, ile dzięki FBG udało się dla Polski zrobić. To dziś ma, kurwa, kapitalne znaczenie! Myśl, człowieku! Pokażę ci ludzi, którzy dziś chodzą w glorii, a podejmowali się największych kurestw. Okrzemek został wyeliminowany jak zgniłe jabłko — generał urwał i podszedł do okna. — Czy ty myślisz, że ja się obłowilem? — ciągnął. — Zrobiłem swoje, a to, co teraz mam, to już inna historia. Pracowałem ciężko po odejściu ze służby. Byłem spóźniony o

dwadzieścia lat. Teraz jestem tu, gdzie jestem, i spokojnie się gołę. Wierz mi, że nie miewam złych snów. Bez strachu czekam na swój los. Jestem oficerem.

Zamilkł i podszedł do Andrzeja. Stał tak blisko, że dziennikarz czuł jego zalatujący alkoholem oddech.

— Chcę, abyś poszedł moimi tropami, abyś bez pardonu przeświecił wszystkie moje sprawy. Dam ci namiary na ludzi, dam ci dokumenty i dam ci spokój. spokój, którego nie będziesz miał w innym wypadku. Chcę, abyś sam to wszystko zobaczył i wtedy stanę przed tobą, tak jak teraz, i. wtedy, kurwa, powiesz mi w oczy, kim jestem!

— A jeśli okaże się, że powiem ci: złodzieju, draniu, zaprzedańcu?

Andrzej wytrzymał zimne spojrzenie generała. Czuł, jak powoli rośnie jego pewność siebie. Przestał uważać. Głębokie przekonanie, że skończy swoją książkę, że dotrze do sedna, rozlewało mu się w żyłach.

— Pamiętaj, ja tylko raz daję, tylko raz wybieram i tylko raz się rozczarowuję. Jeśli mnie zawiedziesz, jeśli dasz się zmanipulować, naszczuć, jeśli skrewisz. mnie już za twoimi plecami nie będzie. — Ostatnie zdanie generała zabrzmiało jak otwarta groźba.

— Jeśli powiem ci, że jesteś złodziejem, to będzie znaczyć, że skrewiłem?!

— Nie.

— Więc kiedy nie zasłużę na twoje zaufanie? — Andrzej z trudem panował nad ironią.

— Jeśli się zgubisz.

— To znaczy?

— Jeśli po przedstawieniach będziesz wnioskował o realnych kształtach.

— Więc nie pomożesz mi?

— Już ci pomogłem — nawet nie wiesz jak.

— I co mi wtedy zrobisz?

— Sam sobie to zrobisz.

— Co? — Andrzej zawiesił głos i bezczelnie spojrział wprost w oczy rozmówcy. — Krzywdę sobie zrobię? Tak to się u



was nazywa? To nie ty mnie upokorzysz, zgnoisz?. — Widział błyskawice w źrenicach Ogorzelskiego.

Generał odwrócił się i wolnym krokiem wrócił na swój fotel, po czym flegmatycznie dolał sobie whisky.

— Kogut z ciebie, Andrzeju, a tu nie ma potrzeby konfrontacji. Sam się przekonasz, że stoimy po tej samej stronie rzeki. — Jego głos był spokojny i brzmiał pojednawczo.

— Myślę, że powiedzieliśmy sobie dużo, emocje nie są potrzebne — dodał. — Napijmy się. Jestem już starym człowiekiem i polubiłem cię. Chcę tylko, abyś się ze mną od czasu do czasu spotkał i przegadał sprawy. Niczego ci nie zakażę, bo przecież nie mam takiej siły.

Tej nocy wypili jeszcze kilka kolejek.

## Rozdział VI

Leżał obok „Brigitte”. Kochali się mocno. Wyczerpany zapalił papierosa i przyglądał się jej nagiemu, spoconemu ciału. Słyszał jej przyspieszony oddech, wydawało mu się nawet, że słyszy jej serce, a może to tylko jego serce tłukło się tak głośno.

Dotknęła lekko jego ramienia.

— Andrzej.

— Tak?

— Mogę cię o coś prosić? Tylko raz, tylko teraz. pozwól.

— Proś. — Uśmiechnął się do niej i pocałował ją delikatnie w ucho.

— Zostaw to wszystko, zostaw Kraków. Wiem, że proszę cię o bardzo dużo, ale wybac mi. Chcę, żebyś wyjechał ze mną do Francji.

— Wyjadę, jeszcze tylko kilka spraw i wyjadę. Nic mnie tu nie trzyma. Nie wiem, czy Francja to dobre miejsce, ale pewnie z tobą wszędzie będzie dobrze. — Urwał, bo w tym momencie jego komórka zaczęła nerwowo podskakiwać na podłodze. Ekran wyświetlał nazwisko Okrzemek.

Nie miał ochoty odbierać. Naraz ogarnęła go wściekłość. „Właśnie teraz musi mnie męczyć, kurwa. czy ja nie mam życia?!” — pomyślał.

Nerwowo schylił się po telefon.

— Czy pani oszalała, wie pani, która jest godzina?! — warknął wściekły.

— Przepraszam, ale wydarzyło się coś bardzo ważnego, muszę pana natychmiast zobaczyć. Natychmiast! Rozumie pan?!

— Rano, do cholery, rano.

— Nie, teraz i to jak najszybciej — przerwała mu głosem, który wydał mu się bliski płaczu.

Spojrzał na zaskoczoną „Brigitte”. Chciał ją uspokoić gestem dłoni, ale ona bez emocji położyła mu dłoń na policzku.

— Chyba musisz — szepnęła.

Patrzył na nią z nadzieją, że go zatrzyma, że da mu pretekst do przerwania tej dziwnej, nocnej rozmowy.

— Czekam pod dworcem — powiedziała Okrzymkowa.

— Zaraz. to niech już pani znajdzie jakieś bardziej bezpieczne miejsce. Jakiś hotel.

— Dopiero przyjechałam, muszę się z tobą, z panem, zobaczyć — przerwała mu bezradnie.

— Będę za dziesięć minut — stęknął do telefonu.

Spojrzał z żalem na ciepłą, przyjazną kobietę leżącą obok. Nie chciał jej opuszczać tej nocy. Na zewnątrz było ciemno i zimno.

— Będę czekała. — „Brigitte” uśmiechnęła się, jakby czytała w jego myślach. — Idź.

Delikatnie pogłaskała go po głowie.

Zdzisława siedziała na ławce pod Teatrem Słowackiego. Kiedy się do niej zbliżył, dostrzegł, że ma rozbitą wargę. Jej włosy przypominały starą wystrzępioną miotłę, w kilku miejscach prześwitywała goła skóra głowy. Kobieta śmierdziała spalenizną.

Kiedy usiadł obok niej, nawet się nie poruszyła. Łagodnie dotknął dłonią jej ramienia.

Wzdrygnęła się.

— Okradł mnie, gnojek — fuknęła.

— Kto?

— Taki gnyp, chciał pożyczyć na papierosy i dupnął mi torebkę.

— Kiedy?

— Jak czekałam na pana. Trudno, to i tak nie ma znaczenia.

— Co się stało, pani Zdzisławo? — zapytał matowym, nieswoim głosem.

— No, mówię, obsmyczył mnie jakiś krakowski lump i jeszcze rozwalil mi głowę.

— Nie o to pytam.

— A. — Machnęła ręką. — Nie wiem, czy dobrze zrobiłam. — Sprawiała wrażenie nieobecnej. — Tak mnie tknęło, żeby tu przyjechać. nie miałam dokąd.

Andrzej zdjął marynarkę i okrył jej ramiona. Ujął ją pod łokcie i skłonił do powstania z ławki.

— Pójdziemy do „Europejskiego”. Zrobią nam kawy, prześpisz się, odpoczniesz. Już dobrze.

Nawet nie spostrzegł, jak znów zaczął mówić do niej na ty.

Pogładził ją po rozczochranych, tłustych włosach. Zrobił to tym samym gestem, którym pożegnała go „Brigitte”.

W przyćmionym świetle hotelowego hallu dostrzegł, że jej szary płaszcz jest pełen wypalonych dziur. Włosy miała poskręcane i osmalone. Zaspany portier omiół ich podejrzliwym spojrzeniem. Zawahał się, gdy Andrzej poprosił o wynajęcie pokoju. Dopiero opłacenie noclegu z góry nieco go uspokoiło.

Kobieta wyglądała na szaloną, sprawiała wrażenie, jakby dopiero co uciekła ze szpitala psychiatrycznego. Tylko towarzyszący jej facet dawał nikłą gwarancję, że nie wysadzi hotelu w powietrze.

Prawie wszystkie pokoje były jednak wolne, więc w końcu zdecydował się wydać im klucz. „Pewnie to jakaś jego chora krewna, może jutro zawiezie ją do szpitala. Jak to ludziska teraz świrują” — pomyślał. Odprowadził wzrokiem dziwną parę wchodzącą po schodach.

W pokoju Andrzej włączył czajnik i zaparzył kawę rozpuszczalną. Zdzisława siedziała bez ruchu na krześle. Nie zdjęła nawet złachmanionego płaszcza.

— Odsapnij, ogrzej się, jutro przyniosę ci nowe ubranie.

— Spalili mnie. — Okrzemkowa spojrzała w oczy Andrzeja, w jej wzroku nie odnalazł jednak śladu strachu. Był w nim tępy upór.

— Jak to się stało?

— Normalnie. Byłam w pracy, przychodzę do domu. Siedzę przed telewizorem i naraz czuję dym. Wyleciałam na korytarz, a tam kłęby dymu i ogień. Łałam na to wodę, nie miałam nic innego pod ręką. Ugasiłam, ale korytarz i ciuchy spalone. Durnie, myśleli, że trzymam w domu kwity.

— Przyjechałaś do mnie.

— Przyjechałam, abys zrozumiął, że polowanie się zaczęło. Podpalili mi mieszkanie i to jest sygnał nie dla mnie, bo ja już im nic nie mogę zrobić. Chcą tylko, abym zamknęła gębę.

— Przyjdę do ciebie rano, przyniosę ciuchy i zabiorę cię do siebie, bo wiesz, dziś tak wyszło, że nie mogę.

— Chce mi się spać, Andrzej, spać. Jutro sobie porozmawiamy.

Zmęczenie zaczęło ją powoli obezwładniać. Pocierała dłońmi twarz. Dopiero teraz zauważył, że nad lewym kącikiem jej ust zaczyna wyrastać wielki siniec.

— Dobranoc, Zdzisławo. — Nieoczekiwanie dla samego siebie pocałował ją w umazane sadzą czoło.

— Masz. — Podała mu małą kopertę, wyciągniętą z kieszeni płaszcza. — Przeczytaj i weź sobie do serca — mruknęła znużonym głosem.

Oczy same się jej zamykały i widział, że z trudem podnosi coraz cięższe powieki.

Delikatnie uściśnął jej dłoń i wyszedł z pokoju.

Kiedy wrócił do domu, „Brigitte” już smacznie spała. Spojrzał na jej ciągle piękne ciało, leżała na boku, odkryta. Miała piersi jak młoda dziewczyna, delikatnie zaokrąglone, uniesione ku górze. Łagodna linia pleców, okrągłe biodro. Jej widok sprawiał mu przyjemność i jednocześnie budził wspomnienia najlepszych chwil.

Cicho, na palcach wyszedł do kuchni. Wydobył z kieszeni list, szybko rozerwał kopertę i rozprostował mały świstek papieru. Był zapełniony równym, pedantycznym pismem.

*Panie Andrzej. Znam Pana z opowiadań mojej żony. Jak Pan wie, ona może mnie odwiedzać trzy razy w miesiącu. Zaufałem Panu, tak jak uczyniła to wcześniej Zdzisia. Dostał Pan ważne dokumenty. Wskażę Panu jeszcze trzech ludzi w Europie i dwóch w Stanach Zjednoczonych, którzy orientują się w przepływach finansowych Funduszu Budowy Gospo darki; orientują się w tym lepiej niż Kravczik. Ma Pan bardzo mało czasu. Ja już czuję, że ferment się zaczął. Nie*

*mogę zbyt wiele dla Pana zrobić, nie mogę Pana osłonić. Niech Pan wie, że atak zamknie Panu usta. Nie, oni Pana nie zabiją, nawet nie zastraszą, ale straci Pan wszystko. Niech Pan unika węża! Nie można być zbyt blisko. Oni lubią bawić się pionkiem, zanim jego życia nie przetnie wieża. Jak się zacznie, to niech pan ucieka, na miłość boską, jak najdalej! Dzisiaj wie, co ma robić.*

Andrzej odłożył napisany przez Grzegorza Okrzemka list. „W więzieniu czas płynie inaczej, facet chyba nie jest w dobrym stanie psychicznym. Pionki, wieże, wąż” — rozmyślał. „A może to szaleństwo, wyłącznie sprytna gra?”.

Zmiał kartkę i wyrzucił do kosza na śmieci. Po chwili wrócił z łazienki i wyjął z kosza papierową kulkę, którą stał się list Grzegorza Okrzemka. Uśmiechał się sam do siebie. Położył list w szklanej popielniczce i podpalił go zapalniczką. Chwilę wpatrywał się w żółtawy, migocący płomyk, po czym delikatnie wsunął się pod kołdrę obok „Brigitte”.

Ciepło kobiecego ciała go uspokoiło. „Pieprzony Hans Kloss” — sztydził w myślach z samego siebie.

Powoli odpłynął w sen, sen mocny i spokojny. Dawno nie spał tak zdrowo.

Cały następny dzień spędził z Okrzemkową. „Brigitte” wyjechała na Śląsk w interesach.

Kupił Okrzemkowej nowy płaszcz i szykowną damską torebkę. Boczyła się na niego przez cały ranek. Dopiero przy obiedzie zaczęła rozmawiać.

— Podpalili mnie. Ja znam te wypadki. Tak kiedyś spalili majora Deskiego, który został przewerbowany przez francuskie DST. Nasi nie wiedzieli, jak zatuszować sprawę przed Ruskimi, i po prostu spalili go razem z żoną. Na szczęście ich dzieci były wtedy za granicą. Już nie wróciły.

Urwała.

— Dalej jestem brudna? — spytała nagle.

— Nie. Jest już w porządku.

Nikły uśmiech przemknął przez jej zniszczoną twarz.

— Dlaczego nie pytasz, skąd wiem o tym podpaleniu?  
— Mamy czas — mruknął.  
— Zaczynasz się uczyć, cwaniaczku. No, może będą z ciebie ludzie — tym razem Okrzemkowa parsknęła głośnym śmiechem.

— Mata Hari się znalazła — bąknął urażony.

— Tu nie ma tajemnicy. Grzesiek zawsze był roztrzepany i kiedyś dał mi kwiaty owinięte w gazetę. To było chyba „W służbie narodu” i w tej gazecie zawieruszyły się kartki ze szkolenia oficerskiego w Kętrzynie. Tam sprawa majora Deskiego była drobiazgowo opowiadana. To taka ruska metoda, niech nasi oficerowie wiedzą, co ich czeka, jak zdradzą. Na kartkach, które zostawił w gazecie, było opisane dokładnie, jak spalili Deskiego. Stąd to wiem. Nigdy zresztą nie mówiłam o tym Grześkowi. Kiedy mnie podpalili, przypomniałam sobie to, co wtedy czytałam. Te chujki to potrafią. — Powoli zaciągnęła się papierosem i spojrzała na ulicę. Za brudną szybą restauracji kłębił się kolorowy tłum turystów. — Pojadę na jakiś czas do siostry. Tobie się nie przydam, a w Warszawie mam za dużo sprzątaniny. Nie chce mi się — powiedziała, chowając papierosy. — Mam do ciebie tylko jedną prośbę. — Przyjrzała mu się uważnie. — Mogę?

Skinął głową.

— Proszę.

— Nie wiem, czy dobrze robię, ale nie mam tu nikogo, a przez jakiś czas nie będę mogła tu zbyt często przyjeżdżać.

Uśmiechnął się.

— To przyjeżdżałaś nie tylko do mnie?

— Właśnie o tym chcę ci powiedzieć. Muszę cię poprosić o pewną przysługę, ale przyrzeknij, że jak będzie to dla ciebie za dużo, to się nie zgodzisz. Dobrze?!

— Masz moje słowo.

— Proszę cię, abyś odwiedzał Dorotkę. — szepnęła. Z jej twarzy zniknął zwykły, lekko kpiący wyraz. Spoglądała na niego jak małe cygańskie dziecko na ulicy.

— Kto to jest Dorotka? — spytał, choć przecież dobrze wie- działa.

— Chodź ze mną, po drodze wszystko ci opowiem. —  
Niespodziewanie silnym chwytem pociągnęła go za ramię.

— Chwilka! Tylko zapłacę rachunek! — zawołał w biegu.

Na szczęście kelner wyrósł przed nimi jak spod ziemi i cała procedura opłacenia rachunku, wraz z sowitym napiwkiem, nie zajęła Andrzejowi więcej niż minutę.

Szybkim krokiem przemierzyli ulicę Świętego Jana, Rynek, Planty i doszli do hospicjum na ulicy Kopernika.

Po drodze opowiedziała mu o Dorotce, kilkunastoletniej dziewczynce chorej na rozszczenie kręgosłupa i postępujący zanik mięśni, którą poznała w krakowskim hospicjum w czasach, gdy Okrzemek po raz pierwszy został aresztowany. Była tam na spotkaniu z siostrą, która w hospicjum na ulicy Kopernika przez wiele miesięcy żegnała się ze swoim odchodzącym mężem.

Poznała Dorotkę i rozmawiała z nią godzinami, choć Dorotka nigdy w życiu nie wypowiedziała jednego słowa.

— Dorota mówi spojrzeniem. Czasem patrzy i wiem, że się ze mną nie zgadza, innym razem jej spojrzenie mówi mi: „Pokochałam cię, Zdzicha, pomimo tego, że jesteś straszną babą”. Zależy mi na niej. — Okrzemkowa usiadła przy łóżku wygiętej nienaturalnie dziewczyny i bezradnie ścisnęła ramię Andrzeja.

W kieszeni Andrzeja kolejny raz wibrowała komórka. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. „Brigitte” była na sympozjum we Francji, a pozostali znajomi nie byli warci tego, aby przerywał pisanie w momencie, gdy myśli same prowa dziły go przez kolejne meandry historii Funduszu Budowy Gospodarki.

Wreszcie potrafił rozsypać skomplikowaną sieć zależności pomiędzy firmami założonymi przez agentów II Zarządu Sztabu Generalnego LWP i ponadnarodowymi korporacjami, które ochoczo korzystały z agentów „komunistycznej wojskówki”, otwierając swoje filie w krajach byłego imperium sowieckiego. Tak było wygodniej



i bezpieczniej, a korporacje potrafiły robić interesy z Idi Aminem i Bokassą, więc znający realia Zachodu oficerowie wojskowej bezpieki z dzikiej Polski jawili im się jako arystokracja trzeciego świata. A fakt, że służyli komunistom? Armand Hammer potrafił robić interesy nawet z samym Włodzimierzem Iljiczem.

*Wielką rolę w procesie otwierania filii zachodnich koncernów odegrali wojskowi „nielegalowie”. Oni od dawna funkcjonowali w zachodnich bankach i koncernach. Wielu z nich nigdy nie wykonało żadnego zadania dla Wschodu, byli uśpieni, aż do momentu upadku muru berlińskiego. Istniała przy tym zadziwiająca symbioza pomiędzy agenturą dawnej Stasi, na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych kontrolowaną przez najmłodszego z generałów, Manfreda Drechę, oraz siatką polskiej agentury wojskowej utrzymaną silną dłońią generała Kazimierza Ogorzelskiego.*

*W tamtym czasie zdarzyła się ciekawa historia. Zdekonspirowany przez szefa wschodnioniemieckiego wywiadu Markusa Wolfa oficer Stasi Henryk Raspwill został znaleziony martwy w swoim nowojorskim domu. Pożar strawił dom i... jego właściciela.*

*Amerykańskie FBI przestało tym samym ścigać wschodnio niemieckiego szpiega, który pracował w siedzibie CIA w Langley jako Ben Archer.*

*Kilka dni później w siedzibie firmy należącej do saudyjskiego biznesmena Adnana Kaschioggiego w Rio de Janeiro zjawili się dwóch niepozornych mężczyzn. Przyjechali zaproponować Saudyjczykowi kupno trzech tysięcy karabinków AKMS wyprodukowanych przez zakłady „Łucznik” w Radomiu.*

*Oferta była tak korzystna, że Kaschioggi natychmiast założył z przybyszami nową spółkę. Tak powstała, istniejąca do dziś, firma Dal LLS z siedzibą w Rio de Janeiro.*

*Obok Kaschioggiego założyli ją Kazimierz Ogorzelski i Henryk Raspwill.*

*Raspwill nigdy nie spłonął w swoim domu, w jego miej*

sce podłożono ciało bezdomnego, NN, którego wiek i postura z grubsza odpowiadały sylwetce Raspwilla. Palce i czaszka ofiary zostały tak spreparowane, aby nie można było pobrać z nich materiału genetycznego, reszty dokonano gruntowne, laboratoryjne spalenie ciała. O dziwo, przy zwłokach zachowały się kawałki dokumentów Bena Archera, a w tajnym sejfie, zamontowanym w piwnicy domu, amerykańscy śledczy znaleźli kilka fałszywych paszportów oraz legitymację MfS na nazwisko Henryka Raspwilla.

Upadła „żelazna kurtyna”, Berlin szalał, w Pradze na Hrad wprowadził się Vaclav Havel — nikomu w FBI nie chciało się drobiazgowo sprawdzać śladów z domu spalonego agenta nie istniejącej służby.

Teczka Raspwilla powędrowała do archiwum na półkę tra cącego na znaczeniu Departamentu Wschodniego.

Cichym udziałowcem nowej spółki został obywatel Argenty...

Komórka znów nieznośnie podrygiwała w kieszeni. Andrzej niechętnie oderwał wzrok od ekranu i spojrzał na wyświetlacz natrętnego telefonu.

Ogorzelski, siedem nieodebranych połączeń.

— Czyżby wybuchła jakaś wojna światowa? — mruknął niechętnie, wystukując numer generała.

— Taak, słucham — w telefonie odezwał się wystudiowany głos generała.

— Dzwonił pan do mnie.

— Aa, redaktor. Jak się masz, Andrzej?

— Dobrze. Coś się stało?

— Nic. Chcę tylko wiedzieć, jak brzmi twoja odpowiedź.

— Dziennikarz może konsultować swoje informacje, ale nie swoje teksty.

— Rozumiem. — Głos generała stał się bardziej oficjalny.

— Coś jeszcze? — Andrzej chciał jak najszybciej wrócić do przerwane go wątku.

— Nie, nic. Tak jak obiecałem, ktoś się z tobą skontaktuje. Dbaj o siebie. Cześć. — Buczenie w słuchawce świadczyło o tym, że generał zakończył rozmowę.

Andrzej uśmiechnął się pod nosem. Niezadowolenie starego lisa pochlebiało mu. Wierzył, że wszechwładza dawnej bezpieki bardziej polega na szeroko rozpowszechnionym przekonaniu, micie, niż na rzeczywistej sile.

„Każda publikacja, każdy ujawniony sekret odbiera wam moc. Pańska siła, panie generale, kryje się w mroku i diabelsko obawia się światła. Jesteście jak wampiry, jawność to osinowy kołek” — pomyślał. Humor wyraźnie mu się poprawił.

Był przekonany, że publikacja jego książki wydrze bezpiece spory kęs polskiego tortu, chociaż zdawał sobie sprawę z faktu, że sporo przesadza, że takimi myślami bardziej zaklina rzeczywistość i karmi własną próżność, niż opisuje realia.

Wrócił do benedyktyńskiego opisywania kolejnych historii, które wylaniały się z „Archiwum Kravczika” wspartego dokumentami, które przesłała mu Zdzisława Okrzemek.

Wieczorem odczytał sms-a: „Zgłosi się do Ciebie pułkownik Białecki, porozmawiaj z nim, opowie Ci o mechanizmie legalizowania pieniędzy z funduszu «O». Powodzenia. Kazek”.

Białecki zadzwonił następnego dnia. Umówili się na spotkanie w kawiarni na drugim piętrze „Złotych Tarasów” w Warszawie. Białecki, nienagannie ubrany mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat, czekał na Andrzeja, czytając Dzumę Camusa. Pewny siebie, uśmiechnięty.

— Stary powiedział mi, że robi pan bardzo ciekawe rzeczy. Myślę, że kilka cegiełek do tego murku potrafię panu dosta- wić.

Szeroko opowiedział Andrzejowi o metodach konstruowania wojskowego „Funduszu Operacyjnego”.

— My nie babraliśmy sobie rąk kryminalistami, nie siedzieliśmy w prochach. To wszystko robiły szmondaki z cywila. U nas były czyste strzały na kilkadziesiąt tysięcy dolarów, a często na więcej — powiedział mu wtedy.

Pierwsza rozmowa z Białeckim była nadspodziewanie łatwa. Szybko przełamali dystans. Białecki był dowcipny i konkretny. Andrzej poczuł do niego sympatię. Jego rozmówca

mówił tak kompromitujące dla wojskówki rzeczy, że chyba sam chciał, aby wokół finansów „wojska” wybuchła solidna afera. Andrzej doszedł do wniosku, że jego szczerłość była tak daleko posunięta, iż wykluczało to jakąkolwiek grę.

— Kurwa, strasznie mi nie na rękę ta komisja weryfikująca WSI — wypalił w pewnej chwili Białecki.

Andrzej przezornie ugryzł się w język.

Przez następny tydzień spotykali się jeszcze trzy razy. Temat WSI pojawił się znowu w czasie ich kolejnej rozmowy, tym razem w restauracji „Gar” przy ulicy Pięknej. Wypili po setce wódki i zjedli włoskie saltimbocca alla Romana.

— Mój szwagier ma kłopoty z tymi weryfikatorami. Służył w garnizonie krakowskim, a teraz chcą go wywalić za jakieś pierdoły.

— Po co mi to mówisz? — zachnął się Andrzej.

— Słyszałem, że masz w tej komisji znajomych.

— To nie ma nic do rzeczy!

— Wiem, tak sobie tylko powiedziałem.

W czasie następnych rozmów temat komisji weryfikującej ludzi z rozwiązanej WSI powracał jeszcze kilkakrotnie. W końcu Andrzej, już lekko wstawiony, obiecał Białeckiemu, że zapyta o los jego szwagra.

— Ale tylko wtedy, gdy przypadkiem spotkam kolegę z tej cholernej komisji, a on będzie mógł o tym ze mną gadać — zastrzegł.

— Pewnie, zresztą niech sobie sam radzi. Co mnie to, kurwa, obchodzi — Białecki zamknął rozmowę o kłopotach szwagra.

Spotkania z Białeckim nie przyniosły rewelacji. Jednak Andrzej zdawał sobie sprawę, że przy tym, co już wiedział, jedynie trzęsienie ziemi mogło go jeszcze zaskoczyć. Wyjaśnienie mechanizmu nielegalnego zdobywania funduszy na duże operacje było dla Andrzeja cenne. Każda rozmowa z byłym oficerem wojskowych służb specjalnych pozwalała mu pisać z przekonaniem, że zaczyna rozumieć wewnętrzną mechanikę tego środowiska. Jednocześnie potrafił sobie wyobrazić sposób myślenia oficerów biorących udział

w operacjach zaprojektowanych przez wojskową „dwójkę”.

Emerytowany pułkownik opowiedział też Andrzejowi o przejmowaniu żydowskich majątków w Krakowie, Łodzi i Lublinie. Mechanizm szwindli był bardzo prosty. Oficerowie z II Zarządu po 1982 roku wyszukiwali kamienice, których właściciele od czasów wojny nie dawali znaku życia i za pomocą zagranicznej agentury fabrykowali dokumenty. Po

1989 roku w urzędach gminnych zjawiali się „potomkowie” żydowskich właścicieli, najczęściej z Nowego Jorku, Sydney czy Rio de Janeiro, i na podstawie spreparowanych dokumentów w ciągu kilku miesięcy bez większych przeszkód przejmowali miejskie kamienice. Budynek były potem szybko, kilka razy, sprzedawane, tak że nawet w wypadku udowodnienia oszustwa, nie sposób było odebrać nieruchomości osobom, które nabyły je w dobrej wierze.

Dwa dni po ostatnim spotkaniu z pułkownikiem Białeckim zadzwonił generał Ogorzelski.

— I jak tam praca, drogi Andrzej? — zapytał bez wstępu.

— Dziękuję, powoli odsłaniam to, co przez ostatnie lata skrzętnie zasłanialiście.

— Czujesz się przez to szczęśliwszy?

— To kwestia prawdy, a nie szczęścia, generale.

— Prawda... ach prawda, wielokrotnie już o tym rozmawialiśmy. Zdecydowałeś się dać mi to przeczytać? Tylko dla konsultacji...

— Nie. — Andrzej powiedział to z pełnym przekonaniem.

— Szkoda.

— Czego ci szkoda? Przecież po ciebie nikt nie jest w stanie sięgnąć!

— Po mnie nie.

— Coś sugerujesz?

— Nie, nie przejmuj się, Andrzejku. Ot, stary oficer ma swoje dziwactwa.

— Aha.

— No to bywaj. Do zobaczenia.

— Do zobaczenia.

Andrzej wyczuł, że głos starego generała przybrał nową, suchą barwę.

Wzruszył ramionami, zapalił papierosa i powrócił na swoją dziennikarską szychcę.

Kolejne zdania popłynęły w wirtualną przestrzeń ekranu laptopa.

Następnego dnia Andrzej odwiedził w hospicjum Dorotkę. Ciągłe na jego widok groźnie marszczyła brwi. Delikatnie odgarnął spocone włosy z jej czoła. Utkwiła w nim nieruchome spojrzenie.

— Tak, tak, jeszcze dziś napiszę do Zdzisi. Opiszę jej wszystko, co się nam dziś przytrafiło — powiedział, spoglądając w twarz naburmuszonej dziewczynki.

Miał wrażenie, jakby mniej marszczyła brwi, gdy wychodził. A może po prostu chciał, aby tak było.

Po drodze zrobił skromne zakupy. Ręka zadrzała mu przy kupnie gazety. Od czasu, gdy przeczytał ostatnie teksty Bernarda Wrzaskliwca, nie miał już ochoty na świeże rewelacje rozsiewane przez kolegów po piórze. Coraz częściej łapał się na powątpiewaniu w moc dziennikarskiego posłannictwa.

Na początku lat dziewięćdziesiątych mocno wierzył w to, że dziennikarze są w stanie zmieniać świat. Uważał, że bezkompromisowe dążenie do prawdy musi odcisnąć piętno w umysłach milionów widzów, słuchaczy i czytelników. Z biegiem lat okazało się, że czytelników jest znacznie mniej niż mu się zdawało, tych którzy pojmują, co się do nich pisze, było jeszcze mniej, a prawda wcale nie jest najbardziej pożądaną w środowisku dziennikarskim kochanką.

Nie miał już złudzeń, że jego praca może cokolwiek zmienić. Znał polityków, znał ich zdolność do bezstresowego łgarstwa, znał gardzących politykami oficerów, znał w końcu swoich sąsiadów i wiedział, że prawda jest ostatnią rzeczą, jaka była im konieczna do życia. Pisał swoją książkę tak, jakby chciał pokazać im wszystkim wyciągnięty w górę środkowy palec. Miał już nawet plan zniknięcia. Wyda książkę

i przypadnie. Nigdy więcej nie wróci do dziennikarstwa, ale zostawi im coś, obok czego nie będą mogli przejść obojętnie, czego nie będzie można pracowicie zamilczeć.

Wieczorem zadzwoniła „Brigitte”. Pytała, czy wszystko u niego w porządku. Opowiedział jej o Dorotce. Oboje postanowili, że jak „Brigitte” wróci z Francji, to razem odwiedzą dziewczynkę.

— Wracam za tydzień i proszę, żadnych bab oprócz tej twojej popyrтанej Zdzisi i Dorotki, bo inaczej strzelę ci taką scenę balkonową, że ruski miesiąc popamiętasz — przekomarzała się z nim.

Powiedział jej, że ją kocha.

— Inaczej niż wtedy w akademiku. Wtedy to było świeże beaujolais, a teraz to już wytrawne, hm. — Nie znał się za dobrze na winach.

— No, niech będzie Merlot, słodziutki merlocik, taki najbardziej lubię — zaśmiała się do słuchawki. — Tylko pamiętaj, co mi obiecałeś. Kończysz to swoje pisanie i wyjeżdżamy. Mówię to bez żadnej metafory — fuknęła już poważniej.

— Słowo harcerza.

— Wolę twoje słowo.

— Słowo.

— No to dobrej nocy, kochanie — szepnęła.

W tle słyszał szczykanie sztuców i cichą klubową muzykę, była na kolacji biznesowej. Pomyślał o tym, że już niedługo będą się razem włóczyć po uroczych brasseries i będą mieli czas wyłącznie dla siebie. Wyjdą na Montmartre, posiedzą w słońcu, będą się kochać w jakimś tanim hoteliku, koniecznie w pierwszej dzielnicy. Będzie dobrze. Już nie miał ochoty walczyć, chciał jedynie skończyć swoją pracę i na nowo odkryć radość bycia z kobietą. Z taką kobietą, która cudem przysłała do niego wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebował.

Zasypiał i rozmyślał o tym, jak znajdzie nową pracę. Będzie zmywał naczynia, latał chodniki, będzie robił wszystko, aby tylko zostać tam razem z nią. Z czasem ktoś zaproponuje mu coś lepszego, może na powrót zajmie się fotografią, a może

po prostu wreszcie będzie miał czas, aby pisać. Choćby dla niewielkiego grona Polaków. Wreszcie zapanuje nad swoim czasem, językiem i myślami.

Jutro.



## Rozdział VII

Obudziło go walenie w drzwi.

— Proszę otworzyć, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego! — usłyszał.

Poderwał się z łóżka i w biegu naciągnął dżinsy.

— Juuuz! — wrzasnął.

Przez otwarte drzwi wpadło czterech ubranych po cywilnemu mężczyzn. Dwóch wyciągnęło legitymacje służbowe ze zdjęciami.

— Mogę wiedzieć, o co chodzi? — zapytał, siląc się na obojętność.

— Jest pan podejrzany o płatną protekcję. Mamy nakaz doprowadzić pana do prokuratury i przeszukać pańskie mieszkanie.

Wysoki blondyn, mniej więcej w wieku Andrzeja, miał nieruchome, wodniste oczy. Rutynowym gestem podsunął dziennikarzowi nakaz przeszukania podpisany przez prokuratora Hańberka.

Andrzej znał Hańberka, znał też jego ojca, profesora prawa karnego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Profesor Hańberek uchodził za najbardziej twardogłowego marksistę na UJ. Był w wiecznym konflikcie z legendarnym profesorem Mąciorem, ostatnim prawdziwym uczniem profesora Woltera. Syn Hańberka dał się poznać jako wyjątkowy tuman. Tylko dzięki znajomościom ojca ukończył studia prawnicze, a pod koniec PRL-u zdążył przeleźć przez aplikację prokuratorską. Ponoć jeszcze w 1989 roku wydawał esbekom nakazy przeszukania mieszkań in blanco. Tępotą i służalczością wobec każdej władzy, którą odznaczał się młody Hańberek, była przedmiotem szyderstw w całej krakowskiej prokuraturze i palestrze.

Andrzej miał teraz przed oczami nakaz wystawiony przez osławionego idiotę i musiał przyznać, że wobec takiego papieru był bezsilny.

Podpis Hańberka oznaczał, że ludzie z ABW mogą zrobić kipsisz w jego łazience. Dwóch już rozmontowywało

zlewozmywak, a trzeci grzebał pod wanną. „Kurwa, wpadają do nieznanego sobie mieszkania i zamiast iść do sypialni albo do pokoju, od razu ładują się do łazienki. To mi się chyba śni”. Andrzej uszczypnął się boleśnie w łydkę.

To nie był sen. Blondyn, najwidoczniej oficer, siedział naprzeciwko niego i uważnie obserwował każdy jego ruch. Obcy faceci hałasowali w jego łazience.

— O jaką cholerną protekcję? — zapytał Andrzej.

Sam był zdziwiony spokojem, z jakim znosi niespodziewane najście.

Był przekonany, że to prowokacja i agenci ABW wyjdą z jego mieszkania tak, jak weszli.

Nic przecież nie mogli tu znaleźć, nic co mogłoby świadczyć przeciwko niemu. A wtedy on da im popalić! I temu Hańberkowi też! Poruszy wszystkich znajomych, wszystkie media. Zapłacą za to tak, że odechce im się raz na zawsze nękać niewinnych ludzi. Myśli o bliskiej zemście zupełnie go uspokoiły.

— Proszę mnie jeszcze raz poinformować, jaki mam zarzut! — warknął do blondyna.

— Płatna protekcja. Więcej dowie się pan w Prokuraturze Apelacyjnej na ulicy Cystersów.

Na twarzy blondyna nie drgnął żaden mięsień.

Jego woskowata twarz i niewzruszona mina sprawiały wrażenie, jakby kompletnie nie obchodziło go, co robi i gdzie się znajduje. To nie była nawet zawodowa uprzejmość, raczej lodowata, szklana obojętność.

— Nooo. mamy! — dobiegł ich tryumfalny okrzyk.

Dwaj grzebiący w łazience funkcjonariusze weszli do pokoju. Jeden z nich uniósł w górę szarą papierową torbę i wysypał na stół kilkadziesiąt dokumentów z nagłówkami Komisji Likwidacyjnej Wojskowych Służb Informacyjnych.

— Ukrył tam cały aneks do raportu z likwidacji WSI, na tej podstawie wiedział, co komu grozi — raportował znalazca dokumentu.

Andrzejowi krew uderzyła do głowy. Po raz pierwszy widział na oczy papierową kopertę i ukryte w niej dokumenty.

Skąd to wszystko wzięło się w jego łazience?

— Jest pan zatrzymany do dyspozycji Prokuratury Apelacyjnej w Krakowie pod zarzutem działania zmierzającego do osiągnięcia korzyści materialnej w związku z posiadanymi znajomościami. Jest pan także oskarżony o bezprawne posiadanie dokumentów stanowiących tajemnicę państwową — beznamiętnie wyrecytował blondyn. Wyraźnie się odprężył. Wyglądał jak aktor deklamujący dobrze przygotowaną rolę.

Andrzej nie miał ochoty wdawać się w jakąkolwiek polemikę. W głowie czuł zamęt. Przecież nigdy nie czytał takiego dokumentu, nawet go nie widział.

— Podrzuciliście to, skurwysyny! — Czuł, że zaraz eksploduje.

— Lubię pana, czytam pańskie teksty. Proszę mnie nie obrażać. Być może to jakaś pomyłka, ale proszę nie sugerować, że mój zespół posługuje się brudnymi metodami. — Głos blondyna zabrzmiał cieplej i bardziej naturalnie.

Andrzej odniósł nawet wrażenie, że zabrzmiała w nim nutka współczucia.

— Proszę pójść z nami. Na pewno wszystko się wyjaśni. Proszę przy okazji zamknąć drzwi do mieszkania i wziąć ze sobą klucze. — Blondyn lekko dotknął ramienia Brennera.

Od momentu, gdy jego ludzie znaleźli w łazience „Raport”, jego zachowanie zmieniło się, wyglądał, jakby czymś wyraźnie się zaniepokoił.

— Kurwa, hydraulik! — Andrzej nagle uderzył się w czoło.

— Proszę? — Blondyn spojrzał na niego zdezorientowany.

— Nic, nic.

Andrzej nagle przypomniał sobie nieoczekiwaną wizytę hydraulika. Twierdził, że przysłała go administracja budynku, ale przecież on nigdy tego nie sprawdził. Tylko ten nieszczęsny hydraulik mógł wpakować trefny dokument do jego łazienki. Na pewno nie zrobił tego Maks Rozler ani Anka — „Brigitte”, a nikogo innego w jego mieszkaniu nie było. „Cholerny hydraulik! Pewnie wsadził mi jeszcze do domu jakieś

podśluchowe gówno" — myślał Brenner gorączkowo.

Spakował do torby ręcznik, zmianę bielizny i szczoteczkę do zębów. Czuł, że czeka go co najmniej kilka dni w odosobnieniu. Zanim wszystko się wyjaśni, potrzymają go w celi, do tego Hańberk na pewno dołoży starań, aby jak najmocniej mu dokuczyć.

Znali się od wielu lat i Andrzej niejednokrotnie szydził z durnowatego prokuratora. Teraz pojawiła się okazja, aby prokurator odegrał się na prześmiewcy. Znając małostkowość i złośliwy charakter Hańberka, Andrzej wiedział, czego może się teraz spodziewać.

Maks Rozler zamknął biuro. Od kilku miesięcy kierował małą firmą spedycyjną, która zajmowała się obchodzeniem restrykcji nałożonych na Polskę przez władze Federacji Rosyjskiej. Skupował mięso od rolników z okolic Lublina, a następnie sprawiał, że mięso zmieniało narodowość i jako produkt pochodzący z Białorusi bez przeszkód pokonywało granicę Rosji. Proceder, w który zaangażowanych było kilku oficerów białoruskiego KGB, kwitł w najlepsze, a firma Rozlera zarabiała pięć tysięcy dolarów na każdym dostarczonym do Rosji tirze.

Maks był w doskonałym humorze, informacje z granicy upewniły go, że spory strumyk dolarów płynący do jego firmy nie tylko nie wyschnie, ale najprawdopodobniej jeszcze przybierze na sile.

Kiedy zbiegał po schodach w jego kieszeni zabrzączał telefon.

— Taaak.

— Jak to się stało?!

— Psiakrew, dobra, już do was jadę.

Dobry nastrój prysnął. Wściekły wpadł do nowiutkiego audi A7. Samochód zakoleysał się i z impetem ruszył na- przód.

Spotkanie odbywało się w zamkniętej restauracji „CK

Kuchnia". Rozler zaparkował niedaleko Domów Centrum i podbiegł na Chmielną.

Warszawa szumiała tysiącem głosów na raz.

W salce na piętrze Maks ujrzał byłego zastępcę generała Sasina, szefa departamentu V w peerelowskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, dwóch oficerów z dawnej cywilnej „jedynki” i dwóch młodszych, nieznanym mu mężczyznom.

— Co się, kurwa, dzieje?! Przecież mówiłem wam, żebyście zostawili pismaka w spokoju?! — Rozler nie krępował się obecnością nieznanym.

— Właśnie o tym chcieliśmy, Maksiu, z tobą porozmawiać. Panowie są ze stowarzyszenia „SAWA”. — Był zastępca Sasina wskazał dłonią na siedzących w rogu długiego stołu mężczyznom.

— Powiem bez wstępów. Pana znajomy stał się niebezpieczny — odezwał się jeden z nieznanym Rozlerowi oficerów.

— Jaki tam niebezpieczny, coś tam sobie pisze i pewnie nikt mu tego nigdy nie wyda — bagatelizował Maks.

— W tym właśnie rzecz, że stał się szkodliwy. Może zepsuć nie tylko nastrój, ale też kilka dużych interesów. Nie tak się umawialiśmy. — Zastępca Sasina zrobił zbolalą minę. — Poza tym, Maksiu, stałeś się gadatliwy jak baba. „Wir” nie lubi krzyku i dobrze o tym wiesz. Tymczasem twój znajomy ma zamiar wsadzić nas w wściekłego konia.

— W dupie mam wasze sztuczki. Nie wpędzicie mnie w poczucie winy. To ja chcę wiedzieć, dlaczego abwera zamknęła Andrzejka! — odciął się Maks.

— Maks, chyba nie rozumiesz powagi sytuacji. Żądamy od ciebie wyjaśnień — odezwał się milczący dotąd były oficer peerelowskiego wywiadu. Maks wiedział, że przez wiele lat po odejściu ze służby prowadził w Szwajcarii założoną za pieniądze służb firmę handlową. W tym czasie ciągle pozostawał na niejawnym etacie w MSW.

— Nie muszę się wam spowiadać!

— Chyba jednak musisz! — Oficer natrętnie spojrzał mu w oczy.

— Booo?. — Maks powiódł spojrzeniem po twarzach siedzących za stołem oficerów.

— Bo. tak będzie dla ciebie lepiej — wycedził zastępca Sasina.

Maks usiadł i poprosił o kieliszek czystej wódki. W salce panowała taka cisza, że słyhać było, jak alkohol zagulgotał w gardle byłego esbeka.

— Upch! — prychnął. — Dobra wódka, co pijecie?

— Najlepsza. Ruski „Bajkał”, robiony na wodzie z jeziora

— odpowiedział mu były oficer wywiadu.

— Tak więc, panowie — Maks zawiesił głos — pierdolcie się.! — Zastukał palcami o zęby górnej szczęki.

Szurnał krzesłem i skierował się do wyjścia. Naraz przystanął i teatralnie puknął się w czoło.

— Aha, i jak nie zmienicie zdania, to mój miglanc w telewizji dostanie papiery o tym szwabie z Argentyny. Kurwa, „Wir” to pan Maks, Maks za was siedział w kryminale. Gdy wy grzaliście swoje zady w fotelach, Maks odwał mokrą robotę. Co, kurwa, panowie inteligenciki! Chcecie mieć większe jaja niż Wujek Samo Zło? Macie czas do jutra! — Wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Kiedy zostali sami, oficer wywiadu spojrział w oczy zastępcy generała Stasina i nie dojrzał w nich cienia protestu.

Maks wybiegł z restauracji. Chwilę stał przed wystawą z damską bielizną i głęboko oddychał. Musiał ochłonać. Zapalił papierosa i wolnym krokiem poszedł w kierunku Domów Centrum. Powoli zapadał zmierzch. Maks wyjął z bagażnika, ze schowka umieszczonego pod kołem zapasowym, małe kartonowe pudełko po wytwornych butach. W środku grzechotały taśmy magnetofonowe, rolki wywołanych filmów i kilkanaście kartek oryginałów dokumentów. Spojrział na narastający ze wszystkich stron samochodowy korek i zaklął. O tej porze dojazd na ulicę Woronicza zajmie mu ponad godzinę. Naraz przypomniał sobie, że z centrum Warszawy do siedziby TVP wiedzie linia metra. Tylko cztery przystanki. Tam i z

powrotem powinien być właśnie w godzinę. Zamknął samochód i zbiegł schodami do przejścia podziemnego. Był lekko rozbawiony, po raz pierwszy miał jechać warszawskim metrem.

— Następna stacja: Politechnika — usłyszał ładny męski głos płynący z głośnika.

O tej porze w wagonie metra było zaledwie kilka osób. Maks usiadł, ściskając pod pachą białe pudełko po butach, wypełnione zemstą Makska Rozlera.

Wiedział, że od tej pory inaczej będą z nim rozmawiać. Dziennikarza, który to puści w eter, starego agenta esbeckiej „dwójki”, nie będą w stanie przejąć. Maks miał w garści całą jego świetnie rozwijającą się karierę. Zrobi to, co każe mu Maks Rozler. Zrobi to wtedy, gdy Maks Rozler da mu znak.

„Posrają się, jak dojdzie do nich, że w każdej chwili może rozpętać się chryja, przy której niewydana książka Andrzeja może być jedynie preludium” — pomyślał z satysfakcją.

Przed nim usiadła śliczna blondynka, kształtna dwudziestokilkulatka. „Pewnie studentka” — uśmiechnął się sam do siebie.

Dziewczyna wstała i podeszła do niego. Była uśmiechnięta, o coś pytała, ale huk pędzącego po szynach wagoniku zagłuszał wszystko.

Odruchowo wstał i przybliżył ucho do jej ust.

Naraz coś chrupnęło mu w krtani, poczuł, że traci oddech i wzrok.

Ostatnia myśl nie zdążyła nawet błysnąć pod czaszką, a twarz zastygła mu w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia.

Dziewczyna spokojnie odepchnęła bezwładne ciało Makska na siedzenie. Wyglądał, jakby zasnął. Delikatnie roztarła lekko zsiniały kant dłoni i spokojnie wyszła z wagoniku na przystanku „Politechnika”. Pod pachą niosła pudełko z nowymi butami. Warszawska modnisia.

Ranek był wyjątkowo zimny i mokry. Andrzej z ociąganiem zwłókł się z twardej pryczy w aresztanckiej celi.

Znał to miejsce.

Adres: Mogilska 109. Podziemia krakowskiej Komendy Wojewódzkiej Policji. Ostatni raz siedział tu w 1987 roku, trzymali go wtedy czterdzieści osiem godzin za rozrzucanie ulotek podczas manifestacji pierwszomajowej.

Na Mogilskiej panował wtedy morderca górników, generał Gruba. Andrzej dostał w zęby za śpiewanie „Zielona wrona” w celi. Wyszedł z rozbitą gębą, ale szczęśliwy. W akademiku czekała go impreza na cześć aresztowanych.

Słowa „Wrony” napisał krakowski poeta-łazik Jacek Skrobotowicz, dziwak i wolny ptak, który przez całe życie, także w III Rzeczpospolitej, klepał biedę.

Andrzej lubił jego nietuzinkowy liryczny ton opowiadania o świecie. Zawsze gdy wpadali na siebie na którejś z krakowskich ulic, Andrzej stawiał mu herbatę i kanapkę. Tyle kosztowało wysłuchanie najnowszego wiersza Jacka.

„O ile lepiej siedziało się wtedy w kiciu” — pomyślał, rozcierając ścierpnięty bok.

Teraz wsadzili go jako kryminalnego, obrzydliwca, który chciał wykorzystać swoje znajomości tylko po to, aby się dorobić. Kto mu uwierzy? Jego słowo przeciwko tym, którzy go oskarżają. Nie znał jeszcze szczegółów sprawy. Do tej pory asesor prokuratury przeczytał mu jedynie listę zarzutów i dał do podpisania protokół z przeszukania jego mieszkania. Nie podpisał.

W ogóle niczego nie podpisał i nie miał zamiaru tego robić.

Siedział sam. Od kilkunastu godzin nic nie jadł. Dla rozgrzewki zaczął robić pompki. Cztery serie po pięćdziesiąt. Nawet się nie zasapał. Był w dobrej formie i to wprawiło go w lepszy nastrój. Przypomniała mu się scena z filmu Wejście smoka. Bruce Lee zostaje schwytyany w pułapkę i spokojnie siada przed ścianą, czekając na to, co się stanie. On też usiadł więc przed ścianą i, coraz spokojniejszy, czekał.

Do celi wszedł klawisz.

— No to teraz posiedzisz, cwaniaczku — mruknął z satysfakcją.



Odwrócony tyłem Andrzej nie poruszył się.

— Nie umiesz się zachować w anclu? — wrzasnął strażnik. — Chcesz dostać wpierdol?

— A może ty chcesz mieć wybite zęby? — Andrzej spokojnie wstał i podszedł do strażnika tak blisko, że czuł jego oddech.

— Grzeczniej! — Strażnik spuścił wzrok.

— Proszę bardzo. — Andrzej bezczelnie wpatrywał się w jego oczy.

— Masz tu, piszą o tobie, cwaniaczku. — Klawisz wyciągnął zza pazuchy pomiętą numer tygodnika „Śmieć” i rzucił go na pryczę.

Wyszedł, międląc w ustach przekleństwa.

Andrzej niechętnie sięgnął po wymiętą płachtę tygodnika. Już z pierwszej strony kłuła w oczy zapowiedź: „Bandyta udaje dziennikarza — raport specjalny Marty Potockiej”.

Z obrzydzeniem przewrócił kilka stron.

*Andrzej B., chcący uchodzić za dziennikarza śledczego, pozbawiony talentu pseudodziennikarz, to nie tylko chuligan bijący ludzi w restauracjach (pisaliśmy o tym dwa lata temu), ale także przestępca, który pod płaszczykiem ideowości i walki z przestępcami, zarabia pieniądze, wykorzystując do tego swoje kontakty i powiązania.*

*Mówi nasz informator, pułkownik B.: — Spotkałem się z Andrzejem B. Kilkakrotnie. Działo się to z inicjatywy tego dziennikarza. Dzwonił do mnie i nalegał na spotkanie. Dowodem na to mogą być nawet billingi z jego telefonu. Na pewno znajdują się w materiałach śledztwa, sprawdźcie. W czasie jednego ze spotkań Andrzej B. zaproponował załatwienie pozytywnej weryfikacji mojego szwagra, który niedługo ma stanąć przed komisją weryfikującą Wojskowe Służby Informacyjne. Andrzej B. miał to załatwić przez swoje znajomości w komisji weryfikującej WSI. Na dowód moich twierdzeń mam nagry, które przezornie zrobiłem, bo zrozumiałem, że składa mi propozycję korupcyjną. Chciał za to 250 tysięcy złotych.*

*Po raz pierwszy publikujemy fragment tego nagrania:*

— *Mój szwagier ma kłopoty z tymi weryfikatorami. Służył w garnizonie krakowskim, a teraz chcą go wywalić, za jakieś pierdoły.*

— *Słyszałem, że masz w tej komisji znajomych.*

— *To ma wiele do rzeczy!*

— *(...) Ale tylko wtedy, jak spotkam kolegę z tej choleralnej komisji, a on będzie mógł o tym ze mną gadać.*

— *Pewnie, zresztą niech sobie sam radzi.*

*Prokuratura już otrzymała to nagranie, są jeszcze zdjęcia i podsłuchane rozmowy, które bez wątpienia wskazują na przestępczą działalność Andrzeja B. Tak więc człowiek, który chce uchodzić za wiarygodnego dziennikarza, ma na sumieniu nie tylko pobicia, zastraszanie kobiet i usiłowanie malwersacji, ale także udowodnione przestępstwa poplecznictwa i korupcji. Ciekawe, czy uda się wykryć współników Andrzeja B. działających w Komisji Weryfikacyjnej. Dziś widzimy, że komisja stała się patologicznym organem, którego działalność służy korupcji i bogaceniu się grupy kolesiów. Tak pod hasłami walki o prawo i obietnicami likwidacji patologii usiłowano rozmontować polskie służby specjalne. Czy stały za tym pieniądze obcych wywiadów? O tym, mam nadzieję, przekonamy się już wkrótce.*

Andrzej z obrzydzeniem odrzucił gazetę.

— Skurwysyny, zmontowali moje nagrania — mruknął do siebie.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z faktu, że został sam. Sam z perfidnie skonstruowaną machiną, której jedynym celem było zmielenie go na proszek, odebranie mu prawa do publicznego istnienia. „Dobrze, że nie trzymałem dokumentów Funduszu Budowy Gospodarki w domu. Prędzej zjedzą zdechłego szczura, niż cokolwiek znajdą” — pomyślał.

Była to jedyna jaśniejsza myśl, jaka przyszła mu tego ranka do głowy.

Pierwsze przesłuchanie trwało ponad dwie godziny. Prokurator Hańberek niemal słowo w słowo powtórzył

argumenty ujawnione w tygodniku „Śmieć”. Nie potrafił odpowiedzieć, skąd dziennikarka Marta Potocka dokładnie wiedziała o treści zarzutów, które zostały sformułowane podczas przesłuchania. Nie patrząc Andrzejowi w oczy, poinformował, że dziennikarzowi grozi kara do trzech lat pozbawienia wolności.

Andrzej uparcie milczał, nie odpowiedział na żadne pytanie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że bierny opór nic mu nie przyniesie. Potrzebował jednak trochę czasu, aby spokojnie zastanowić się nad sytuacją, w której został nagle postawiony.

Kolejna noc w areszcie przyniosła zadziwiająco spokojny sen. Twarda prycza w niczym nie przeszkadzała, a śmierząca derka, którą się okrył, wydała mu się w sam raz. Każda chwila, którą spędzał w celi, niespodziewanie dodawała mu spokoju. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale jego psychika była najwyraźniej skonstruowana jak skórzany rzemień — miękła, gdy świeciło słońce i sukcesy same wpadały mu w dłonie, na wietrze i mrozie twardniała. Ze zdziwieniem spostrzegł, że zupełnie nie przejmuje się groźbami Hańberka. Właściwie to przestał czymkolwiek się przejmować.

W nocy miał intensywny, niezwykły sen. Zobaczył swój studencki pokój w akademiku. W tym pokoju na żelaznym łóżku siedział. Józef Stalin. Skrzyżował nogi jak dziecko i ćmił fajkę. Obok niego spoczywali dwaj czekieści w czarnych skórzanych płaszczach i usłużnie słuchali, jak im opowiadał o konieczności wymordowania wszystkich polskich kobiet.

Stalin uśmiechał się pogodnie i szczerząc poźółkłe zębiska błyskające spod wąsów, mówił: „Nie będą rodzic bękartów i po jednym pokoleniu będziemy mieli załatwiony problem Polaczków”.

Andrzej skamieniał, wiedział, że jeśli czegoś nie zrobi, to mały Gruzin zabije jego matkę i „Brigitte”. Zaniepokojony rozejrzał się po pokoju i nigdzie nie zobaczył swojej ukochanej.

„Ten gad gdzieś ją ukrył, uwięził” — myślał gorączkowo.

„Nie martw się, Andrzejku, masz tu pistolet, zrób to”. Odwrócił głowę i zobaczył Anię „Brigitte”. Była w letniej

sukience i w otwartej dłoni podawała mu pistolet.

Oboje stali na balkonie i choć na dole była ostra zima, to na balkonie świeciło słońce i zawiewał lekki fen.

Bez wahania ujął broń i zarepetował. Wskoczył do pokoju i wystrzelił cały magazynek w głowę Józefa Stalina. Odwrócił się, na balkonie panowała już noc. „Brigitte” gdzieś zniknęła. Czekiści zasypali go gradem kul, ale nie został nawet draśnięty. Wskoczył przez balkon i gnał przed siebie. Biegł przez kopny śnieg, później przez pachnące, dojrzałe żyto. Coraz bardziej się bał, zdał sobie sprawę, że bezprawnie zabił szatana. On, zwykły człowiek, zabił demiurga. Zrobił to, co było zarezerwowane dla bogów.

Ktoś szarpał go za ramię. Ujrzał nad sobą rozmazaną twarz klawisza.

— Zbieraj się, wychodzisz! — wrzeszczał strażnik.

W pokoju widzeń czekali na niego „Brigitte” i towarzyszący jej adwokat.

— Wpłaciliśmy za ciebie kaucję.

— Nie mam pieniędzy na adwokata — burknął zaskoczony.

— Nie martw się, o tym porozmawiamy później. Teraz najważniejsze jest to, że wychodzisz z tego koszmarnego budynku.

— Ile jestem ci winien? — Andrzej nie ustępował.

— Nie rozmawiajmy o tym przy tych panach, proszę — „Brigitte” wskazała wzrokiem na dwóch strażników, którzy stali przy drzwiach.

— Na razie musimy zastanowić się nad zarzutami i sporo porozmawiać — odezwał się adwokat. Był pulchny i rumiany. Andrzej nigdy dotąd go nie widział.

— Tu masz nowy garnitur, należy ci się — „Brigitte” podała mu przyniesiony z sobą pokrowiec z ubraniem.

Ochoczo wyskoczył z przepoconych ciuchów i nie bacząc na zdziwione miny strażników, przywdział białą koszulę i dobrze skrojony garnitur.

— Zapraszam do mojej kancelarii, tam będziemy mogli spokojnie omówić sytuację. — Twarz adwokata niezmiennie

wyrażała zadowolenie i pewność siebie.

Przed aresztem czekał szary mercedes prawnika. Kancelaria znajdowała się niedaleko Sądu Wojewódzkiego. Jasne, przestronne pokoje, pełne stylizowanych na antyki ciężkich mebli. Dyskretna sekretarka w nieokreślonym wieku. Pach nęca kawa. Szemrzący z ukrytych w ścianach głośników Vivaldi. Rzeczywiście, to miejsce nastrojało do poważnej rozmowy.

Adwokat, ciągle zawodowo uśmiechnięty, wskazał gościom miejsca w wygodnych fotelach. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął połączaną papierośnicę. Uprzejmie podał ją Andrzejowi.

— Wiem, że pani Ania nie używa tego świństwa, ale my mamy jej przyzwolenie — wyjaśnił.

Zapalili. Delikatne obłoczki niebieskawego dymu popłynęły pod ozdobiony imitacją renesansowych reliefów sufit.

— Sytuacja nie wygląda dobrze, ale właśnie w takich sytuacjach wkracza mecenas Druzgała. — Prawnik podał Andrzejowi śnieżnobiałą wizytówkę. — Zostałem postawiony na nogi przez panią Anię. Nie jestem tani, ale kwestie finansowe omówicie sobie państwo później. — Z szacunkiem skłonił głowę przed elegancką kobietą. — Jest pan oskarżony o wyjątkowo niemile przestępstwa, przedstawionym przez prokuraturę dowodom na pierwszy rzut oka trudno jest zaprzeczyć. Nie zdążyłem jeszcze dokładnie przejrzeć materiału dowodowego, jakim dysponuje prokurator, ale już wiem, że są świadkowie, nagrania, fotografie i nawet dokumenty. Na razie udało się pana wyciągnąć z aresztu. Zapłaciliśmy kaucję, ale codziennie musi się pan meldować na komendzie policji.

— Widzę, że już wszystko wymyśliliście i ja nie mam tu nic do powiedzenia. A tak w ogóle, to skąd ty, Anka, wzięłaś się w Polsce? Przecież miałaś wrócić dopiero w przyszłym tygodniu?! — Andrzej przerwał adwokatowi i nerwowym gestem wycelował wskazujący palec w „Brigitte”.

— Czy ty myślałeś, że ja tam wysiedzę? — zachnęła się.

— Ale skąd wiedziałaś? Przecież od mojego aresztowania

minęły dopiero dwa dni!

— Moja przyjaciółka jest rzecznikiem prasowym ABW w Łodzi. Zadzwoiła do mnie i powiedziała, że w „Śmieciu” jest artykuł o moim znajomym. Tak to powiedziała, że wiedziałam o kogo chodzi.

— To ona o nas wie? — gorączkował się Andrzej.

— Nie, ale wie o tym, co kiedyś było i jak nazywał się mój najładniejszy chłopak. Jak tylko wpadłam do Instytutu Polskiego w Paryżu, to od razu porwałam „Śmiecia” i wszystko już wiedziałam. Poprosiłam o przerwę w negocjacjach i wieczorem wyleciałam z lotniska Charles’a de Gaulle’a do Warszawy. Przed wyjazdem zadzwoniłam do pana mecenasa i uzgodniłam szczegóły. To wszystko — „Brigitte” posłała mi najpiękniejszy ze swoich uśmiechów, mówiący „Kocham cię, łobuzie”. — Aha. po drodze kupiłam ci nowy garnitur. Zawsze świetnie wyglądałeś w garniturach.

Mecenas Druzgała rozbawiony przyglądał się swoim klientom. Kiedy „Brigitte” uczyniła przerwę na nabranie oddechu, skorzystał z niej i w pomieszczeniu rozległ się jego niski, aksamitnie modulowany głos:

— Jeśli doszli już państwo do porozumienia, to proponuję, abyśmy wrócili do meritum i szczegółowo przeanalizowali naszą sytuację. Być może termin „naszą” wydaje się państwu w tej chwili mocno na wyrost, ale przekonacie się, że mecenas Druzgała, jeśli już w coś wchodzi, to nie ma zwyczaju wypuszczać z rąk najmniejszej nawet szansy na zwycięstwo — dodał, widząc pytające spojrzenie Andrzeja.

— Jeśli jest jakaś szansa, to myślę, że pan mecenas potrafi cię ochronić. — „Brigitte” dyskretnie kopnęła Andrzeja w kostkę, dając mu znak, aby nie zadawał pytań.

— Rozumiem, że nie ma pan przed panią Anną żadnych tajemnic, więc proszę mi odpowiedzieć na kilka niezbędnych pytań — ciągnął Druzgała.

— Jeśli chce pan wiedzieć, czy rzeczywiście chciałem od tego pułkownika jakieś pieniądze, to odpowiadam — nie! Zostałem w to wrobiony. Nigdy nie rozmawiałem z nikim

z Komisji Weryfikacyjnej WSI o sprawie jego szwagra. Nie znam jego szwagra. Nigdy nie było mowy o żadnych pieniądzech. — Podniesiony głos Andrzeja wywołał jedynie lekkie uniesienie brwi adwokata.

— Naturalnie, że jest pan niewinny. Nie miałem jeszcze klienta, który twierdziłby, że jest inaczej. Sęk w tym, że sędzia nie jest Panem Bogiem i nie wie dokładnie, jak było. Jego pogląd zostanie wyrobiony na podstawie materiału dowodowego, a ten w tym momencie nie jest dla nas zbyt korzystny. Szczerze mówiąc, to ja również, jako człowiek małej wiary, potrzebuję czegoś więcej niż tylko pańskie ogniste deklamacje.

Mecenas Druzgała zaczął budzić sympatię Andrzeja. Zasadniczy i sprawiający wrażenie sztywniaka, miał w spojrzeniu pewien łobuzerski ognek, który mówił: „Jestem skłonny do szaleństwa, ale musi być ono inteligentnie pomyślane”. Poza tym Druzgała wyglądał na uczciwego.

Przez następną godzinę Andrzej opowiadał adwokatowi historię swojego zaangażowania w wyjaśnianie tajemnic Funduszu Budowy Gospodarki. Nie ujawniał swoich informatorów, ale obszernie mówił o mechanizmie działania komunistycznych służb specjalnych i o swoich spotkaniach z generałem Ogorzelskim, pułkownikiem Białeckim i kilkoma innymi, mniej istotnymi, emerytowanymi oficerami.

— Chcą mnie nauczyć rozumu i dać mi po łapach. Czy teraz ta historia wygląda w pana oczach lepiej? — zakończył.

— Obawiam się, że o wiele gorzej — mruknął Druzgała i istotnie wyglądał na szczerze zafrasowanego.

„Brigitte”, która dotychczas historię ostatnich przygód Andrzeja знаła jedynie z jego oględnych opowieści, też sprawiała wrażenie poruszonej.

— Po co ci to wszystko, Jędrus? Czy ty nie umiesz spokojnie żyć? — jęknęła.

— Pani Anno, problem nawet nie leży w tym, że nasz podopieczny nie umie spokojnie żyć. Problemem jest pańska, panie Andrzeju, proszę wybaczyć brutalną szczerłość, nieokiełznana zarozumiałość.

— Zarozumiałość? — Andrzej poderwał się z fotela.

— Tak, zarozumiałość — ciągnął niezmierny Druzgała.

— Jak pan mógł przypuszczać, że potrafi pan ich przechytryć, wyprowadzić w pole? Myślał pan, że ludzie, którzy radzili sobie z partiami politycznymi, trzęśli państwami, teraz dadzą się ukarać jak potulne baranki! Jest pan religijny?

— Nie bardzo.

— Tym gorzej. Gdyby był pan religijny, wtedy potrafiłbym to zrozumieć. Ludziom religijnym Pan daje siłę, Duch zsyła moc mówienia językami, ale pan. pan nawet z wiary nie czerpie swojej misjonarskiej siły.

Druzgała urwał i spojrzął Andrzejowi w oczy.

— Biorę tę sprawę. Jest pan zbyt dużym oryginałem, aby pozwolić panu samemu nabić się na pal i wypatroszyć.

— Nie obawia się pan o swoją karierę? — Andrzej ponownie poderwał się i zaczął krążyć po salonie kancelarii.

— Obawiam, ale dawno już nie prowadziłem sprawy, która by mnie intrygowała. Pan opowiedział mi historię, która naprawdę mnie zafrapowała. Myślę więc tak: honorarium nienajgorsze, a jeszcze nazwisko można nagłośnić.

„Brigitte” spiorunowała go wzrokiem.

— Dobrze. Po prostu biorę tę sprawę, bo mi się podoba. Bez- nadziejna... w sam raz dla Druzgały. Czy tak lepiej, pani Anno?

— Mniej cynicznie.

— Prawnik ma wygrać, a czy jest Janem od Krzyża, czy też cynikiem Druzgałą, to już ma drugorzędne znaczenie.

Spotkanie z mecenasem Druzgałą nappełniło Andrzeja dziwnym rodzajem optymizmu. Dobrze wiedział, że mechanizm prasy, pod którą się znalazł, jest precyzyjny i że nieprędko znajdzie wyjście z tarapatów, jednocześnie był jednak przeświadczony, że w końcu takie rozwiązanie się znajdzie.

Miał ochotę sam z siebie pokpiwać. Stanąć z boku i drwić z pismaka, który z przyczyn niewyjaśnionych, sam lał pod pociąg, a potem ze zdziwieniem czuł jak twarde tender defasonuje mu tyłek. Gdyby ktoś opowiadał mu podobny



przypadek, niechybnie uznalby, że bohater tego opowiadania jest klinicznie chory na mania grandiosa i nie może pogodzić się z faktem, że historia beznamiętnie toczy się obok niego, a on może co najwyżej filozofować na temat woni dobywających się spod jej ogona. Tak, mania grandiosa, to było wyjaśnienie, a jednocześnie swoista nobilitacja.

— Nad czym tak myślisz? — gdzieś z zewnątrz kręgu jego rozważań dobiegło go pytanie wypowiedziane melodyjnym kobiecym głosem.

Na szczęście była z nim „Brigitte”. Kobieta, w której na powrót się zadurzył, a która, jak zdążył zauważyć, miała w sobie na tyle dużo poczucia realizmu i praktycznej oceny rzeczy, że skutecznie sytuowała go w materialnym świecie. Co więcej, nadawała temu światu głęboki sens.

— Staralem się poustawić figury we właściwych proporcjach.

— Jakie figury?

— Wiesz, Aniu, czasem czuję się tak, jakbym jednocześnie był na zewnątrz i wewnątrz, widzem i uczestnikiem. Łapię się nawet na tym, że potrafię przewidzieć bieg wypadków. I wiem, co zaraz nastąpi. Jednak ja, jako uczestnik, kompletnie niczego nie zmieniam. Z pełną świadomością przyjmuję to, o czym wiem, że mnie spotka.

— A mniej filozoficznie?

— Myślałem, że mówię psychiatrycznie.

— To też, ale pojawiła się jakaś myśl, którą, gdybyś wypowiedział ją prościej, na pewno bym złapała. — Uśmiech „Brigitte” był tak rozbijający, że nawet nie pomyślał o tym, aby się nadąsać.

— Mówiłem, że sam, na własną prośbę, znalazłem się w tej celi i w rękach tego Hańberka.

— Nooo. A ja z własnej woli znalazłam pana Druzgałę i mam nadzieję, że niedługo skończą się te dziwne zdarzenia, a wtedy obiecałeś.

— Tak, obiecałem i dotrzymam słowa. Pojedziemy, dokąd zechcesz.

Mocno wtuliła się w jego ramię.

Wieczorem Andrzej przyrządził kolację. Kurczak w sosie curry, sałatka grecka i półsłodkie wino francuskie. Trunek kosztował go tyle, że pewnie mógłby za te pieniądze kupić wszystkie książki z najlepszej półeczki zaprzyjaźnionego antykwariatu na ulicy Szpitalnej w Krakowie.

— Czy wreszcie powiesz mi, ile zapłaciłaś temu mecenasowi?

Wino odbijało ogniki dwóch zapalonych świec, kurczak pachniał i kusił.

„Brigitte” spojrzała na niego znad talerza. Spojrzała z wy-  
- rzutem.

— Czy naprawdę musisz do mnie strzelać w takiej chwili?

Policzki poczerwieniały jej z emocji. To nie był dobry moment, żeby wracać do tematu kryminalnych tarapatów Andrzeja.

— Mówienie o pieniądzach, gdy na stole stoi wino, jest nie *fair* — fuknęła.

— Ale ja mam poczucie winy. Wiem, że zepsułem ci interesy i na dodatek naraziłem cię na taki poważny wydatek. Przykro mi, a jednocześnie tak się cieszę.

— Z czego się cieszysz?

— Z tego, że za moimi plecami stoi ktoś niezawodny, ktoś, kogo mam szczęście kochać.

Pocałował ją tak, jakby nie czynił tego od wielu godzin.

Grzegorz Okrzemek niechętnie oderwał się od szachownicy. Od kilku dni imitował kolejną partię Bobby’ego Fischera. Starał się zrozumieć logikę młodego mistrza. Powoli wnikał w emocje, jakie mogły towarzyszyć odkrywaniu nowej drogi. Teraz już wiedział, że nie chodziło o zwycięstwo.

— Fischer im uciekał, znalazł drogę. Oni jeszcze nic o tym nie wiedzieli. Miał już otwarte drzwi. Spryciarz — mruknął, odstawiając czarnego konia.

— Przyszła twoja żona — sucho zakomunikował mu strażnik.

Zdzisława była w czapce. Miała na sobie wełniany sweter i męskie spodnie.

– Witaj, Dzida. Jakoś inaczej wyglądasz.

– Inaczej, bo inaczej jest w moim życiu. Sama żyję.

– Jeszcze chwilę.

– Jeszcze długą chwilę, Grzesiu.

Okrzemkowa zdjęła czapkę i pokazała mężowi, aby usiadł z nią przy małym stoliku w rogu sali widzeń. Była ostrzyżona na jeża.

– Był pożar w naszym mieszkaniu, spaliły mi się kłaki, no to musiałam zrobić z nimi porządek — wyjaśniła, widząc jego pytające spojrzenie.

– To przez tego dziennikarza. Z nimi nie ma zabawy — Grzegorz nie umiał powstrzymać emocji.

– Daj spokój. Jego właśnie wsadzili do mamra.

– Za co siedzi?

– A czy to ma jakieś znaczenie? Przecież ich znasz. Potrafią z faceta zrobić babę.

– Ważne jest, za co go wsadzili — nalegał.

– W prasie napisali, że za korupcję. Chciał łapówki za pozytywne zweryfikowanie kogoś tam.

– Nooo. Komisja Weryfikacyjna. — Okrzemek się zamyślił. — Na jednym ogniu upiekli dwie pieczenie. Dopieprzyli Komisji Weryfikacyjnej, ośmieszyli likwidację WSI i jednocześnie nie załatwili niewygodnego dziennikarza — dodał po chwili.

– Polubiłam go.

– Problem nie w tym, czy jest fajny, tylko w tym, czy można mu ufać. Ostrzegałem cię, żebyś nie była z nim zbyt otwarta. Taki facet może być wtyką.

– I dlatego teraz go wsadzili?! — Okrzemkowa nie dała mężowi dokończyć.

– To może być legenda.

– Kurde, Grzesiek, jaka legenda! Dlatego podpalili nam mieszkanie?

– Hm, z tym ogniem masz rację. To był już ostry numer. Wiedzieli, że uderzają w nas. To rzeczywiście

świadczyłoby o tym, że twój dziennikarz zrobił coś, co ich zabolalo. Ich z reguły bolą tylko pieniądze — Okrzemek głośno analizował sytuację. — Ale musiał być nieostrożny. Nie zachował higieny. Skąd wiedzieli, co ma?

— Nie wiem. On jest rozsądny i szybko się uczy.

— A jednak gdzieś ma słaby punkt. — Grzegorz złapał żonę za rękę. — Musisz odpuścić. Mają za dużo siły. To władza, a władza nie zna litości. Zmiotą nas, Zdzisiu. Poczekaj na mnie. Wyjdę i zaszyjemy się tak, że już nigdy ich nie zobaczymy.

— Nie przychodzę po to, abyś mi tu trząśł gaciami. Masz łeb nie od parady, więc wymyśl coś. Zrobimy tak, jak poradzisz, ale nie maź się, bo cię zaraz kopnę w dupę! — syknęła mu w twarz. — Będę walczyć i ty najlepiej wiesz, że ze mną nie ma żartów.

— Z nimi niestety też.

— Kto tu, do cholery, nosi spodnie?

— Jak chcesz. Wiesz, że w końcu i tak jest tak, jak chcesz.

— Więc co teraz robić?

— Nie można im dać czasu. Jak będziemy się bronić, to wygrają. Trzeba zaatakować na ich terytorium.

— No, wreszcie gadasz jak Grzesiek, którego lubię. Myśl, czacho, myśl!

— Ale to naprawdę nie doprowadzi do spokoju.

— A kto chce spokoju?

— Ja.

— To chyba masz go tutaj, aż do wyrzygania.

— Chcę prawdziwego spokoju.

— Prawdziwy spokój to spokój wygranych.

— Oni to dopiero muszą się bać, aby ktoś im nie zabrał tego, co zdobyli.

— Nie przysłałam na filozoficzne pogaduszki. Mam spalone włosy, ale nie mózg.

— No i co z tego wynika?

— Będziemy mieli spokój tylko wtedy, gdy oni znikną. Dobrze o tym wiesz.

— Trzeba było nie włączyć do tego wora. Teraz albo rozprujemy go do końca, albo oni nas w nim zamkną i wrzucą do jeziora.

— Grzesiek, myśl a nie filozofuj. Świeże powietrze dobrze nam wszystkim zrobi. Z nimi nigdy nie będzie świeżego powietrza i ty najlepiej o tym wiesz.

— Problem tylko w tym, czy świeże powietrze dziś jeszcze gdziekolwiek istnieje.

Zdzisława Okrzemek wstała i pocałowała Grzegorza prosto w usta.

Strażnik, który przyglądał się ich rozmowie, skrzywił się z niesmakiem. Kobieta w chłopięcej fryzurze i niedbałym ubraniu wyglądała wyjątkowo mało atrakcyjnie, a całowali się namiętnie jak nastolatki.

Strażnik odwrócił wzrok i nie widział, jak Zdzisława Okrzemek wsunęła do kieszeni męża miniaturowy magnetofon.

— Zanim wszystko obmyślisz, masz tu coś. Będziesz wiedział co z tym zrobić — szepnęła.

Grzegorzowi zaczęła świtać nowa myśl, pomyślał na rozegranie nowej partii. Tym razem jednak nie z wyimaginowanym Karpowem czy Fischerem, tylko z szachistą znacznie mniej wyrafinowanym, za to o niebo bardziej ofensywnym.

— Agresora gubi jego własna siła i impet — wymamrotał.

— Co? — Zdzisława uniosła brwi.

— Nic, cipuszko, nic. tylko małe zadanie logiczne wymyślone przez pewnego przebiegłego Chińczyka.

Roztargniony wyraz twarzy Grzegorza Okrzemka świadczył o tym, iż właśnie przestała go interesować rozmowa z własną żoną.

Zdzisława dobrze znała tę minę i wiedziała, że w takiej chwili nie pomogą najbardziej rynsztokowe groźby. Pozostało jej tylko się pożegnać.

— Mam nadzieję, że wymyślisz coś, łamago! — fuknęła.

— Już wymyśliłem. Może ten nasz młody lauferek wcale nie jest tak stracony, jak to z wierzchu wygląda.

Tym razem pocałunek był krótki, zdawkowy.

Pociąg ruszył i „Brigitte” ostatni raz pomachała mu z okna wagonu. Teraz musiał pójść zameldować się na komisariacie policji na ulicy Szerokiej. Konieczność codziennego meldowania się wydawała się Andrzejowi zabawna, kolejny rytuał. Kraków przecież kojarzył mu się z rytuałami — był królestwem rytuałów.

Zajął mu to nie dłużej niż kwadrans. Kiedy wychodził, zobaczył przed drzwiami komisariatu czającą się na niego młodą blondynkę. Mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Podbiegła do niego ozywiona.

— Pan Brenner, prawda? — zaszcebiotała.

— Tak — odpowiedział jej z uśmiechem.

— Może pan wyjaśnić, jak wszedł pan w posiadanie tajnego raportu z likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych?

Dopiero teraz spostrzegł wycelowany w siebie obiektyw kamery.

— W nic nie wszedłem, najwyżej w gówno — odpowiedział i uśmiechnął się, widząc jak twarz dziewczyny zastyga w zaskoczeniu.

— Ale pan jest oskarżony! — pisnęła.

— No. A pani bije staruszki.

— Ale wyrok.

— Na stonogi.

— Niech pan będzie poważny.

— Nie zarobisz na premię, panienko. — Machnął ręką i odszedł. Naraz przystanął. — Kto jest pani szefem?

— To nie ma nic do rzeczy! — Twarz dziewczyny była czerwona z oburzenia.

— Niech mu pani powie, że go pozdrawiam. Niech dalej będzie gorliwy, na pewno zrobi karierę, pani zresztą też. Tu ma pani na szczęście. — Rzucił za siebie pięciozłotową monetę i odszedł.

— Ale gnój. — Dziewczyna bezradnie spojrzała na operatora.

— Tak, tak. — Starszy mężczyzna z wyraźną ulgą zdjął z ramienia ciężką kamerę.

\*\*\*

Usiadł przy laptopie i otworzył nowy plik. Jedyłą rzeczą, którą mógł teraz zrobić, było dokończenie planu, dalsze pisanie. Tylko tak mógł się obronić przed przyznaniem im racji. Groziły mu trzy lata odsiadki. Mecenas Druzgała robił, co mógł, ale nawet jego zręczność niewiele mogła pomóc w sytuacji, gdy prokuratura dysponowała zeznaniami kilku świadków, nagraniami pochodzącymi z podsłuchanych rozmów telefonicznych i dokumentami potwierdzającymi jego kontakty z członkami komisji weryfikującej funkcjonariuszy likwidowanych Wojskowych Służb Informacyjnych. Na swoją obronę miał jedynie własne słowa. Miał świadomość tego, kto stoi na końcu tunelu. Wiedział, że już nie zadzwoni.

Perspektywa powędrowania za kratki nie napełniała go jednak przerażeniem. Myślał o tym z rosnącą wściekłością. Znał prawdę, znał mechanizm, dzięki któremu nabawił się kłopotów, nie mógł jednak uwierzyć, że wszystko tak właśnie się skończy. Liczył na nieoczekiwany zwrot akcji, na nowe rozdanie przygotowane przez los. W myślach strofował się za infantylną wiarę w to, że prawda sama wyjdzie na jaw.

„Brigitte” miała rację, mówiąc, że ciągle jest podszyty dzieckiem. Dzieci nie zajmują się jednak matactwami dorosłych złodziei. Pisanie historii Funduszu Budowy Gospodarki było dla niego czynnością na poły magiczną. Podświadomie ufał w sprawiedliwość losu. Miał przeczucie, że ukazanie się jego książki będzie jak wybuch bomby. Pozwoli inaczej spojrzeć na historię ostatnich lat, pozwoli zrozumieć działanie ukrytych do tej pory mechanizmów.

Rozłożył przed sobą dokumenty, które przyniósł ze skrytki. Opowiadały historię kolejnych kilkudziesięciu milionów dolarów, które zamiast na wykup polskiego długu trafiły w ręce wiedeńskich aferzystów.

*W kawiarni hotelu „Hilton” w Wiedniu Okrzemek spotkał się z Edwardem Lazurem. Miał specjalną instrukcję.*

*Gene rai Ogorzelski polecił mu, aby przekazał Lazurowi pięćdziesiąt milionów dolarów z konta FBG. Lazur w tym czasie był „nielegalnym” działającym dla polskiego wywiadu wojskowego w USA. Oficjalnie prowadził rozległe interesy w Europie Środkowej i Wschodniej. Dzięki takiej legendzie bardzo swobodnie poruszał się w kręgach amerykańskiego biznesu. Szef Funduszu Budowy Gospodarki znalazł go jeszcze z tajnego kursu oficerskiego w Kętrzynie.*

*Okrzemek wypisał na serwetce polecenie dla Georga Kravczika. To była najdroższa serwetka świata, warta pięćdziesiąt milionów dolarów. Lazur schował ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Okrzemek wspomina, że Lazur nie zapłacił nawet za kawę. Zachowywał się tak, jakby wyświadczał Okrzemkowi przysługę, że łaskawie zechciał przyjąć od niego pieniądze. Dwa dni później Lazur kazał braciom Wydrom przygotować projekt założenia pierwszej w Polsce sieci kantorów. Miały się nazywać „Marbud”. Wydromie dostali na to czterdzieści pięć milionów dolarów, które podjęli z konta w Banku Handlowym w Luksemburgu. Pięć milionów Lazur potraktował jako prowizję za kolejną misję wykonaną na zlecenie II Zarządu Sztabu Generalnego.*

*Andrzej zapalił papierosa. Zastanawiał się, jak sam by się zachował, gdyby naraz ktoś dał mu możliwość zarobienia pięciu milionów dolarów. Znał swój charakter, ale nie był w stanie wyobrazić sobie, jakie emocje wyzwoliłaby w nim taka góra pieniędzy. Być może też złapałby okazję i spełnił każde polecenie wojskowych.*

*Teraz odsłaniał kulisy wędrówki pieniędzy, jakich nie umiał nawet sobie wyobrazić. Siła oddziaływania takiego majątku musiała być nieprawdopodobna. Lekko się pisze o milionach dolarów, ale przecież takie pieniądze odebrałyby rozum każdemu.*

*Majątek, który dostarczył im Lazur, Wydromie umieścili w firmie „Bicartel”, zarejestrowanej w Panamie. Oficjalnie firma miała zajmować się handlem międzynarodowym, w rzeczy wistoci pieniądze z „Bicartelu” płynęły do kilkunastu przedsięwzięci, którzy kupowali*



*w Polsce państwowe firmy branży chemicznej i paliwowej. Kilka milionów dolarów powędrowało nawet na wykupienie osiedla mieszkaniowego w Tychach wraz z mieszkańcami. Dwa miliony dolarów przekazane zostały na utworzenie dużego przedsiębiorstwa branży mięsnej. Pozostałe środki poszły na utworzenie sieci „Marbud”.*

W czasie kolejnych kilku godzin Andrzej opisał, jak Okrzemek, tego samego dnia, w którym spotkał się z Lazurem, polecił Kravczikowi zakup sześćdziesięciu nowych samochodów opel, które następnie wysłał do Polski. W ten sposób powstały nad Wisłą pierwsze autoryzowane salony sprzedaży opła. Za pieniądze z FBG założył je Leon Kobierzycki wraz ze swoją konkubiną Ireną Zeeterhaus.

Przerwał pisanie i dokładnie obejrzał kartę rejestracji Kobierzyckiego jako agenta Wojskowej Służby Wewnętrznej. Teczka współpracy Kobierzyckiego była dość pokaźna, wynikało z niej, że biznesmen z reguły trudnił się machlojkami związanymi z handlem samochodami. Pieniądze z tych interesów wędrowały przeważnie na tajne konta funduszu operacyjnego wojskowych służb specjalnych. W teczce znajdowały się także opisy kilku oszukańczych transakcji, w których Kobierzyckiemu pomagała matka jednej z najgłośniejszych polskich gwiazd telewizyjnych. Tej operacji Andrzej poświęcił więcej miejsca. Pisał o niej ze złośliwą satysfakcją.

— Przy okazji zrozumiecie, jak się robi w Polsce telewizyjne kariery — mruknął sam do siebie.

Dokumenty FBG odkrywały więcej tajemnic polskiego rynku medialnego. Jedna z prywatnych telewizji niemal w całości zaludniona została dziećmi wysokich oficerów wojska i milicji. „Myśleliśmy, że komunistów wykończy biologia, ale oni byli sprytniejsi. Zostawili swoje przetrwalniki, ukształtowane przez siebie młode pokolenie” — pomyślał.

## Rozdział VIII

Porucznik Czarnecki zamknął sejf. Od tygodnia czytał akta „Zorzy II”. Tak w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego nazwano sprawę „domniemanej korupcji przy likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych”.

Czarnecki był zbyt doświadczonym oficerem, aby nie spostrzec, że sprawa jest mocno wątpliwa. Zeznania jednego oficera, nagranie rozmowy i kilka oświadczeń ludzi, którzy w przeszłości byli podejrzani o związki ze służbami specjalnymi ZSRR.

Dziennikarz Brenner nigdy nie budził jego sympatii, jednak zawodowe doświadczenie Czarneckiego podpowiadało mu, że „Zorza II” musi mieć inny powód niż ten, na który oficjalnie wskazywały leżące w jego sejfie dokumenty.

Czarnecki pracował wcześniej przy kontrwywiadowczym zabezpieczeniu PKN Orlen i zdążył poznać sekrety większości postaci, które na co dzień występowały w mediach jako niezależni eksperci i autorytety. Nie miał najmniejszych złudzeń, postanowił jednak, że zachowa minimum szacunku dla samego siebie. Sprawa Brennera na kilometr śmierdziała prowokacją. Komuś musiało bardzo zależeć, aby ubabrać tego zaciętrzewionego dziennikarza.

Porucznik w pierwszej chwili miał nawet złośliwą satysfakcję. „Podskakiwał, cwaniakował i się doigrał” — pomyślał.

Potem, gdy szef kazał mu rutynowo sprawdzić przebieg akcji w mieszkaniu Brennera, znalazł materiały ze sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Wirski”. Dowiedział się z nich, że dziennikarz od pięciu miesięcy miał założoną stałą obserwację. Ręcznie wpisywane na kolejnych meldunkach wnioski sugerowały „przyspieszenie realizacji”.

„Stała obserwacja, naciski, to trochę za dużo jak na zwykłego pismaka” — pomyślał.

I sprawdzał dalej. Z meldunków wywiadowców dowiedział się o kontaktach Brennera z byłym funkcjonariuszem SB Maksem Rozlerem. Te kontakty nagle się

urwały.

W Wydziale Dochodzeniowo-Śledczym Komendy Stołecznej Policji wyszperał obdukcję ciała Rozlera.

„Nagle zatrzymanie akcji serca i zapadnięcie się tchawicy. Śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych” — przeczytał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że opinia z obdukcji była nielogiczna i jedno zdanie nie pasowało do drugiego. Nie szukał kłopotów, ale nie lubił też, żeby ktoś robił z niego dumia.

Po co dali mu tę sprawę? Myśleli, że mają do czynienia z matolem? Całe życie pracował w dochodzeniówce i potrafił logicznie łączyć fakty. W sprawie Brennera, im głębiej w nią sięgał, tym więcej elementów przestawało do siebie pasować. Oczywiście było tylko jedno: sprawa była szyta, i to na czyjś zamówienie. Postanowił sprawdzić, dokąd prowadzą te luźno ze sobą sfastrygowane strzępy układanki.

Po tygodniu nie miał już żadnych wątpliwości — sprawa miała drugie dno, a Brennerowi procesowo niewiele da się udowodnić. Operacja była po amatorsku sfuszerowana, tak jakby ktoś, pewny własnej bezkarności, nie miał nawet ochoty dbać o pozory. I pewnie nie musiałby dbać, gdyby sprawy nie zlecono jemu — porucznikowi Czarneckiemu, staremu dochodzeniowcowi, którego przełożeni w ABW mieli tak samo w dupie, jak jego byli szefowie z Komendy Stołecznej.

Czarnecki napisał sążnisty raport na temat sprawy „Zozra II”.

Na oficerach odpowiedzialnych za jej przeprowadzenie nie pozostawił suchej nitki.

W końcowych wnioskach napisał:

*Moim zdaniem, aresztowanie Brennera było nieudolną prowokacją, zostało przeprowadzone z naruszeniem wszelkich procedur bezpieczeństwa. Postępowanie sądowe może podważyć legalność tej operacji i stać się podstawą do sprawy karnej, którą Brenner wytoczy Agencji. Z moich sprawdzeń wynika, że istnieje konieczność natychmiastowego uruchomienia śledztwa na temat okoliczności wszczęcia tej sprawy, działań jej towa rzyszących oraz osób, które,*

*wykorzystując naciski służbowe, wpłynęły na nadanie tej sprawie biegu i specjalnego priorytetu. Sprawa jest o tyle niebezpieczna, że w trakcie jej upublicznienia wyjdą na jaw tajniki stosowanych przez służby technik operacyjnych. Istnieje przy tym wielkie prawdopodobieństwo wybuchu afery, w której służby specjalne staną się obiektem publicznej niechęci.*

Następnego dnia Czarnecki otrzymał skierowanie na intensywny kurs języka angielskiego. Został wytypowany na szkolenie w Stanach Zjednoczonych, w Quantico. Wraz z delegacją nadszedł awans na kapitana i podwyżka.

Od tygodnia nie oglądał telewizji ani nie słuchał radia. Wszędzie młode, bezmózgie, ale żarłoczne gwiazdki próbowały się pożywić na jego ścierwie. Był uosobieniem moralnego upadku. Justyna Wiehciec ze stacji Strawińskiego i Wicherka przebijała go oskarżycielskim gestem palca. Bernard Wrzaskliwiec pisał za czterech, jego reportaże nie schodziły z czołówek najważniejszych gazet. Brylował w studiach telewizyjnych. Opisywał ich prywatną wojnę. Podkreślał, że pierwszy w środowisku dziennikarskim odkrył kryminogenną naturę osobowości Andrzeja Brennera.

Bohater tych opowieści nie oglądał ich, nie słuchał, nie czytał, a i tak poznawał całą ich treść. Dzwonili znajomi, a kiedy przestał odbierać komórkę, pisali sms-y.

W końcu wyłączył telefon. Wtedy jednak wpadł do niego rozwścieczony mecenas Druzgała.

— Czy pan zdaje sobie sprawę, że każdego dnia wydają na pana wyrok? Te wszystkie opowieści i pseudo-informacje piorą mózgi sędziom. Pańskie milczenie jest przyznaniem się do winy! — wykrzykiwał już od progu.

— A jak mam to wszystko prostować? Gdzie mam opowiadać swoją prawdę?

— Tam, gdzie oni!

— Niech pan nie będzie dziecinny. Przecież oni wszyscy już wszystko wiedzą! Jestem teraz jak lalka voodoo, w którą

wyznawcy kultu wojskowej prawdy mogą do woli wbijać swoje szpile.

— Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś był tak mocno szargany w mediach. To niesłychane! Przecież niedługo stwierdzą, że jest pan notorycznym pedofilem i ludzie uwierzą w to bez mrugnięcia powiek.

— Właśnie. Chodzi o to, aby publiczność nie miała nawet czasu na mruganie powiekami. Mają wchłonąć, a później rozpuścić w krwiobiegu. Wielki Brat nie ma czasu na tłumaczenie — głos Andrzeja był nieoczekiwanie spokojny.

— Czy pan ma nerwy ze stali?! Przecież ja na pana miejscu już bym się chyba powiesił — wybuchnął Druzgała. — Przepraszam, zapędziłem się. Nie jest wesoło — dodał, siadając przy stole w kuchni.

Nerwowym ruchem obgryzał oprawkę swoich okularów.

— Gdyby to o mnie chodziło, też bym już wisiał.

Druzgała zaskoczony upuścił okulary.

— To nie jest Andrzej Brenner, tylko Wujek Samo Zło, którego postanowili ukrzyżować w supermarkecie.

Andrzej zdawał sobie sprawę, że mówi sam do siebie.

Druzgała był zdolny jedynie tępo wgapiać się w jego usta, aby z ruchów warg odczytać znaczenie słów, które nagle przestał pojmować.

— To ja idę do kancelarii i spróbuję coś tam posklejać — wyszeptał.

Brenner spokojnie zamknął za nim drzwi.

W kuchni czekała na niego świeżo otworzona butelka grant'sa.

Popijał w samotności i trochę użalał się nad sobą. Z każdym łykiem był wobec siebie coraz bardziej czuły.

Tkliwym tonem przemawiał do powiększającej się we flaszcze pustki.

W momencie, gdy mógł jeszcze zdobyć się na trzeźwą uwagę, dojrzał zależność pomiędzy flaszką i swoją głową. Były jak naczynia odwrotnie połączone. Im większa była pustka w butelce, tym większy gwar rozlegał się w jego głowie. Gwar był jednak nie do odczytania — pusty. Przez chwilę nawet

zastanawiał się nad właściwym słowem. Pustka nie mogła wypełniać, być, istnieć. Psiakrew, rozleniwiony alkoholem nie był w stanie dokończyć tego rozważania. To rozleniwienie było jak wielka fala, na której odpłynął.

Nikt go nie zbudził, nikt nie prawił mu morałów. Po prostu leżał na zmiętym prześcieradle i bezwolnie patrzył w szare światło sączące się z brudnego okna. Było pochmurno.

Kac sprzyjał niewesołym myślom. Po raz pierwszy poczuł, że obawia się przyszłości.

Jako dziennikarz był praktycznie skończony. Nawet jeśli wylezie z tej cholernej afery z WSI, to i tak w każdej redakcji będą na niego patrzeć jak na typka, który był zamieszany w podejrzaną historię. Mógł udać się do któregoś z dawnych znajomych, aby znalazł mu jakąś cichą posiadłość, z dala od polityki i ludzkich oczu. Mógł to zrobić, ale wtedy straciłby to, co jeszcze mu pozostało — dobre mniemanie o samym sobie.

„Brigitte” weszła przez niedomknięte drzwi. W mieszkaniu panował półmrok. Wszędzie walały się pomięte gazety i puste butelki po alkoholu. Pachniało niewietrzonym pomieszczeniem i brudnymi ubraniami.

Andrzej drzemał na łóżku. Obudziła go szcęknięciem otwieranego okna.

Niechętnie otworzył podpuchnięte oczy. Bezradnie podrapał się po zbyt długich, zmierzwionych włosach.

— Nie wiedziałem, że dziś będziesz, nie wiedziałem, że w ogóle będziesz — mamrotał.

— Idę na zakupy, a ty w tym czasie doprowadź wszystko do porządku. — „Brigitte” mimowolnie się uśmiechnęła. Ten uśmiech mocno kontrastował z rzeczowym, oficerskim w swym brzmieniu, rozkazem.

Nie miał wyjścia. Musiał usunąć tygodniową warstwę tłustego kurzu, który zdążył wypełnić wszystkie zakątki jego niewielkiego mieszkania. Wysprzątał nawet pod wanną, w miejscu gdzie funkcjonariusze ABW znaleźli podrzucony tajny aneks do raportu z likwidacji WSI. To miejsce wytarł

szczególnie dokładnie.

„Brigitte” z uznaniem spozjrzała na uwolnione od patyny brudu mieszkanie.

— Zasłużyłeś na coś pysznego.

— Daj mi wódeczki. — Objął ją w pasie.

— Nie będzie wódeczki ani twojej whisky, ale jak dalej będziesz grzeczny, to przekonasz się, że i o tym nie zapomniałam.

Założyła nowy, przyniesiony ze sobą fartuszek i wygościła go z kuchni. Od tej chwili jedynie po smakowitych zapachach dochodzących zza zamkniętych drzwi mógł wnioskować, co znalazło się w garnkach. Jedno było pewne — jego kuchnia w całej swojej historii nie była świadkiem takiego kulinarnego koncertu.

Po godzinie, na jedynych dwóch półmiskach, jakie posiadał, wyjechały z kuchni składniki przygotowanej uczyty.

— Scaloppine al pepe verde — ogłosiła, podnosząc pokrywkę nieużywanego od dawna rondla.

— Czyli po ludzku? — Bezczelnie sięgnął wskazującym palcem do naczynia.

— Schabik w sosie śmietanowym z zielonego pieprzu. — Odgoniła go chochelką. — Do tego sałatka grecka i ciasto upieczone przez moją mamę.

— Uhm. — Uniósł ku górze spojrzenie.

— Nie wiem, czy twój pijacki smak będzie w stanie to wszystko docenić.

— Nie wiem — wyznał ze skruchą.

— Na koniec, jak udowodnisz mi, że potrafisz zgrabnie posługiwać się nożem i widelcem, będzie jeszcze najprawdziwsza grappa.

W ciągu kilku minut przystroiła stół w biały, kupiony w sklepie gospodarstwa domowego obrus i z gracją rozłożyła potrawy i sztuce.

— Dziś wyciągnę cię na śródziemnomorski spacer. Wszystkie te smaki rozpalą ci słońce w głowie — szepnęła, odwiązując fartuszek.

Jadł wykwintnie nałożone na talerz jedzenie. Nigdy

w tym mieszkaniu nie jadł domowego obiadu. Właściwie ostatnie domowe obiady jadał jeszcze w rodzinnym domu.

W miarę gdy opróżniał kolejne talerze, czuł jak przyjemne ciepło, które powoli rozlewało się po jego ciele, docierało do głowy.

— A co z tą włoską gorzalką? — sapnął, ocierając usta z resztek śmietanowego sosu.

— Hm. teraz chyba rzeczywiście mogę dać ci spróbować czegoś dobrego, choć nie wiem, czy takie pijackie podniebienie jak twoje jest w stanie docenić delikatny smak.

— Postaram się smakować, a nie chlać — przerwał jej.

Spocony siedział na krześle i czuł się jak niesforny dzieciak, który wyjadł za dużo pomadek z bombonierki. Stała obok i delikatnie położyła mu na ramieniu dłoń. Zaczynała być mu coraz bardziej potrzebna, niebezpiecznie potrzebna. Im bardziej czuł się zaszczuty, tym mocniej wczepiał się w „Brigitte”. Sprawiała, że kłopoty stawały się nierealne, oddalone. Świat to była jego Ania, jego „Brigitte”. Coraz mocniej dziwił się temu, jak mógł tak długo żyć bez niej.

Nie zdążyli nawet posprzątać ze stołu. Ekspresowo wypili butelkę grappy i wylądowali w kawalerskim łóżku Andrzeja. Kochali się mocno, gwałtownie. Szeptali najbardziej nieprzyzwoite słowa. Zasnęli spoceni, syci.

Rankiem „Brigitte” zrobiła mu jajecznicę na boczku i mocną kawę. Potem pobiegła na jakieś biznesowe spotkanie w centrum Krakowa.

Andrzej wykąpał się i ogolił. Nie miał już ochoty pić.

Generał Ogorzelski wziął solidny zamach i zarzucił wędkę. Spory ciężarek rozchlapał gładką taflę jeziora. Z zarośli zerwały się spłoszone ptaki. Po chwili wszystko ponownie zastygło w ciszy.

Pułkownik Białecki zapalił papierosa.

— Tyle razy mówiłem ci, żebyś nie palił na rybach. Ryby mają lepszy węch od ludzi. Robaki będą ci śmierdziały marchorką i guzik złapiesz.



Ogorzelski nie przepadał za aroganckim pułkownikiem. Uważał, że jego kariera w ostatnich latach PRL-u była wyłącznie wynikiem małżeństwa z córką rosyjskiego generała Pietrowa.

Nie dowierzał mu, zbyt dobrze wiedział, że wiele interesów Białecki załatwiał wprost z Ruskimi, omijając szczeble podległości służbowej. W przypadku Andrzeja Brennera nie miał jednak wyjścia, musiał wykorzystać Białeckiego. Tylko on nadawał się do szybkiej akcji. Tylko co do niego Ogorzelski miał pewność, że nie pęknie i spokojnie zniesie ciśnienie sprawy.

— Stare przyzwyczajenia. Jak tylko wyjdę na świeże powietrze, to zaraz chce mi się palić — mruknął Białecki.

Jakby na potwierdzenie słów Ogorzelskiego szczytówka jego wędki zaczęła nerwowo drgać. Generał podniósł się ze stołeczka i spokojnie zaciął rybę. Wędka wygięła się w kabłąk.

Generał gwizdnął.

— Uuu, niezła sztuka!

Białecki pobiegł po podbierak. W tym czasie Ogorzelski podholował już pod brzeg dużego, wyglądającego na dwa kilogramy leszcza.

— Dobrze to wszystko wyszło. — Ogorzelski zatarł błyszczące od rybiego śluzu dłonie.

— Nooo, leszczyk będzie miał ze dwa kilosy — mruknął przymilnie Białecki.

— Ja nie o tym. — Ogorzelski machnął ręką. — Mówię o sprawie z tym pismakiem — kontynuował, z satysfakcją wpatrując się w zdumione oblicze dawnego podwładnego.

— Tu chyba nie powinno być problemów. Mamy trzymanie w kilku miejscach naraz — Białecki odzyskał rezon.

— Wiem, wiem. — Generał Ogorzelski w zamyśleniu potarł czoło. — Może za mało było tych tekstów w gazetach, jakoś nie zaczął jeszcze pisać.

— Wystarczy, zapewniam. Niektóre zaczną dopiero działać — skwapliwie zapewnił Białecki.

Spokojnie wrzucili leszcza do siatki, w której pluskało się już kilku jego pokaźnych braci.

— Ten Brenner jest całkiem ciekawym facetem. Dobrze mi się z nim rozmawiało. W innych warunkach moglibyśmy z niego zrobić człowieka. W innych, cholera, warunkach.

Bialecki przysłuchiwał się tyradzie generała z nieprzeniknionym, uprzejmym uśmiechem.

— Nie lubię, jak się tak uśmiechasz. — Generał powoli zwinął wędkę i demonstracyjnie zapalił papierosa.

— Tak już mam. W szkole też się na mnie wkurzali. To nic nie znaczy.

— Właśnie! — Generał tryumfalnie skierował papierosa w stronę Bialeckiego. — Właśnie o to chodzi. O to, że wygląda, jakby coś znaczyło. Ale nie o tym chcę powiedzieć. Widzisz, gdyby ten chłopak wykazał odrobinę instynktu samozachowawczego, wyszedłby na ludzi.

— Jak ta wredna szkapa w okularach. — Białeckie nie znosił jednego z gwiazdorów prywatnej telewizji, który swoją karierę zawdzięczał wyłącznie gorliwemu spełnianiu życzeń generała Ogorzelskiego.

— O, tu cię boli. Hm, naprawdę ten program nie był planowany. On sam z siebie tak palnął. — Twarz Ogorzelskiego się rozpozodziła.

— Już w to wierzę. On nie pierdnie bez twojego polecenia. Na żywo, skurwysyn, wypomniał mi przejęcie tego portalu internetowego. Kawał gnoja. — Białeckie nerwowo zmiął pustą paczkę po marlboro.

Ogorzelski łaskawym gestem podał mu papierosa.

— Chcieliście przypomnieć, że nadal macie kontrolę, a czy ja was kiedykolwiek oszukałem?

— Nie oszukałeś, ale sam przyznaj, że miałeś skłonność do solówek. Zresztą nie ma do czego wracać.

— Jak ten chudy pracował dla ciebie w radiu, to wszystko było dobrze, prawda? Stał się niedobry, jak poszedł do Ogo- rzelskiego.

— Dobra.

— Dobra to taka wioska koło Limanowej.

— Dobra. Nie ma do czego wracać.

— Więc ten Andrzej, szkoda go.

— Na starość stajecie się, generale, sentymentalny. — Białecki wyszczerzył w uśmiechu nienagannie wybielone zęby.

— Wystawiliście mnie, więc teraz spokojnie czekam, aż ugasicie ogień — głos Białeckiego zmienił barwę, zabrzmiały w nim twardsze tony.

Ogorzelski powoli pakował wędki do futerałów. Naraz wyprostował się i spojrzał w twarz Białeckiego.

— Masz źle? — warknął.

— Nie.

— Więc o co ci chodzi? Sam na to wszystko zarobiłeś? Dzięki własnej wspaniałej inteligencji?

Białecki milczał.

— Więc czekaj spokojnie na rozwój wypadków. Okrzemek siedzi i nawet nie piśnie.

— Ale właśnie Okrzemka boję się najbardziej. — Białecki uciekł wzrokiem przed spojrzeniem dawnego zwierzchnika.

— Łap ryby, pij wódkę i nie martw się. Czy kiedykolwiek zostałeś sam?

— Nie, ale niech mi pan wyjaśni, jak ja teraz mam się zachowywać. Dalej mam uciekać przed pismakami?

— Przecież z tym twoim Uchlanzem pijesz ciągle wódkę. Nie powiedział ci, co masz robić?

— Mówił.

— No to słuchaj uważnie, bo on wie, co mówi. Zna to stado. — Generał urwał i nad czymś się zastanowił. — Bądź spokojny. Perły nie znajdziesz.

— Jakiej perły?

— W twojej muszli perły nie będzie.

— Muszli?

— W twoim kiblu, pułkowniku. I jeszcze jedno — głos generała naraz stał się nieprzyjemny — w chwili, gdy dojdiesz do wniosku, że nadszedł czas, abys zaczął sam myśleć, odwiedź w celi Okrzemka.

— To chyba będziemy wracać? — ton Białeckiego nie zdradzał już żadnych wątpliwości.

— Pojedziemy, razem z leszczykami pojedziemy — Ogorzelski nagle odzyskał dobry humor.

Dwaj starsi mężczyźni spakowali sprzęt i załadowali go do czarnego hummera. Amerykański samochód był dumą pułkownika Białeckiego. Znajomi złośliwie twierdzili, że kochał go bardziej niż swoją żonę.

Na ekranie laptopa Andrzeja wyświetliła się wiadomość od Okrzemkowej:

Po rozmowie Uchlanza ze Strawińskim w jednej z prywatnych telewizji powstaje film o tobie. Nie zostawię na tobie suchej nitki – Zdzicha.

Nie był zdziwiony. Wszystko, co w ostatnich dniach działo się wokół niego, było logiczne. Właściwie zaskoczyła go jedynie sprawa wmieszania go w aferę z Komisją Weryfikacyjną Wojskowych Służb Informacyjnych. Nie potrafił odnaleźć związku pomiędzy tym, co robił, a zarzutami łapówkarstwa, które mu postawiono. Ludzie, którzy go znali, mogli bez zdziwienia przyjąć wiadomość, że wdał się w nieprawdopodobne awantury miłosne, że wyjechał na jakąś abstrakcyjną wojnę i tam przeżył nieoczekiwane perypetie, że zaangażował się w działalność tajemniczej bojówki zrzeszającej wyrotowców. W to wszystko jego znajomi byliby skłonni uwierzyć, jednak oskarżenie go o usiłowanie wzięcia łapówki mogło wśród nich wywołać co najwyżej wzruszenie ramion.

Andrzej Brenner nigdy nie dbał o pieniądze, nigdy nie posiadał konta w banku.

Jego znajomi nie wierzyli więc w legendę o łapówce, ale znajomych Andrzej nie miał zbyt wielu.

Publiczność i zawistne środowisko dziennikarskie uwierzyli w to z ochotą.

Publiczność — bo lubiła tanie sensacje, środowisko — bo nie znosiło tych, którzy ośmielili się być niezależni. Niezależni nie byli w polskim dziennikarstwie potrzebni.

Andrzej jechał pociągiem do Zakopanego. Uzyskał zgodę prokuratury na codzienne meldowanie się w Komendzie Powiatowej Policji w Zakopanem, mieszczącej się przy ulicy Jagiel-łóńskiej.

Pociąg jechał już trzy godziny, co stwarzało Andrzejowi okazję do niewesołego rozmyślenia. Musiał przyznać, że nie znajdował się w dobrej sytuacji. Nie miał żadnych oszczędności, nie miał pracy, w perspektywie wisiała nad nim groźba więzienia. Po stronie zysków mógł odnotować jedynie „Brigitte” i przygotowywaną książkę.

Uczepił się tej książki, jak tonący drewnianej belki, uzasadniał nią sens swoich działań.

Był przekonany, że ujawnienie prawdy jest jego obowiązkiem, coraz bardziej umacniał się w tym przekonaniu. Obsesyjnie trzymał się wiary w swoją nadzwyczajną misję. Dzięki temu nie czuł się bankrutem. To, co robił, nadawało sens jego porażkom.

A może tylko chciał w to wierzyć.

Pociąg z Krakowa do Zakopanego ciągle potrzebował pięciu godzin, aby dotrzeć pod Tatry. Przed wojną „Luxtorpeda” pokonywała tę trasę w dwie godziny i osiemnaście minut, ale tej dawno już nie było.

Dojechał wieczorem. Na dworcu czekał na niego kuzyn

— Maciej Grabicki, zakopiańczyk, artysta, brydżysta i najbardziej roztrzepany człowiek, jakiego znał.

Nie odzywał się do niego trzy lata, ale gdy zadzwonił, Grabicki powitał go tak, jakby wczoraj się rozstali. Nic nie wiedział o kłopotach Andrzeja, a gdy o nich usłyszał, nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Sam zaproponował, aby Andrzej przyjechał do niego na kilka tygodni.

Grabicki był malarzem, skrzypkiem i kompozytorem. Nie zdążył się ożenić i teraz mieszkał samotnie w okazałej willi zbudowanej z wielkich drewnianych płazów. Dom stał tuż nad potokiem Bystry, co sprawiało, że był najlepszym w Polsce miejscem do spania.

Dziad Grabickiego został zamordowany w Katyniu, brat dziadka był natomiast jednym z najbardziej znanych przedwojennych księży. Wytyczył jedną z najtrudniejszych tras turystycznych w Tatrach — szlak na Orlą Perć.

— Jesteś wreszcie, bratku! Już mi szpilki w nogi weszły od tego czekania! — Andrzej jeszcze dobrze nie wysiadł

z pociągu, gdy tubalny głos kuzyna huknął mu nad uchem.

Grabicki miał prawie dwa metry wzrostu. Tykowaty, lekko zgarbiony, na tle grupki oczekujących na peronie osób wyróżniał się nienaganną marynarką w angielską kratę i stylowym kapeluszem typu stetson.

— Naprawdę nie sprawię ci kłopotu? — Andrzej uściśkał się z olbrzymim kuzynem.

— Przeciwnie, kochanieńki, przeciwnie. Już się cieszę na nasze wieczorne rozmowy. Opowiesz mi, co się dzieje w wielkim świecie, bo ja tu trochę spustelniczałem. — Grabicki omal nie zgniótł dłoni Andrzeja w swojej wielkiej jak patelnia ręce. — Chodź, chodź, tam zostawiłem pyrkawę — pociągnął go w stronę dziwnego wehikułu stojącego naprzeciwko dworca PKS.

„Pyrkawa” Grabickiego była kolejnym rekwizytem, dzięki któremu kuzyn Andrzeja był powszechnie znany w Zakopanem. Stara DKW union budziła powszechne zainteresowanie. Gdy stała na parkingu, czyniono zakłady, czy takie dziwo jest w ogóle zdolne do ruchu.

Samochód jazgotał miarowo, pnąc się ulicą Jagiellońską w kierunku Bulwarów Słowackiego.

— O tu, tu będę musiał meldować się codziennie. — Andrzej wskazał kuzynowi rozległy budynek komendy powiatowej obok kompleksu domów wypoczynkowych „Dafne” należących do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

— Oj, były tu już różne komendy, nie ma się czym przejmować — mruknął zmagający się z dźwignią zmiany biegów kuzyn. — A właściwie to musisz mi opowiedzieć, co ty tam nawyrabiałeś, ale to później — dodał.

Wjechali na wyłożone kamieniami podwórko. Wokół walały się różne narzędzia, Andrzej nie był w stanie odgadnąć przeznaczenia przynajmniej połowy z nich. Kute łańcuchy, stalowe obręcze, fantazyjnie powyginane metalowe konstrukcje. Najbardziej zaintrygowały go dwie stalowe bramy upstrzone ręcznie kutymi motywami roślinnymi.

— Sam je robiłem. — Grabicki posłał mu pełen dumy uśmiech. — Wiesz, palnik, kowadło, obcęgi i trochę innych

sprzętów. Mam tu małą kuźnię — wyjaśnił.

— Aha.

Andrzej starał się, aby jego mruknięcie było maksymalnie zniechęcające.

Nie miał ochoty natychmiast wpakować się do słynnej graciarni Grabickiego, która w rodzinnych przekazach obrosła już w makabryczne legendy.

Na szczęście silnik DKW zaniósł się podejrzanym kaszlem i umilkł, wobec czego cała uwaga gospodarza skierowała się pod maskę przedpotopowego monstrum. Korzystając z tego, Andrzej wśliznął się do domu kuzyna.

Drzwi wejściowe były oczywiście otwarte na oścież. Grabicki nie zawracał sobie głowy tak przyziemnymi sprawami, jak zamykanie drzwi swojego domostwa. Jego dom znajdował się jednak pod jakąś cudowną, nadprzyrodzoną opieką i nigdy stopa złodzieja nie naruszyła spokoju rodzinnego siedliska Grabickich.

Zakopiańczycy dobrze pamiętali historię sprzed dziesięciu lat. W nocy miejscowy rzeźmieszek najpierw skradł złoty kielich z tabernakulum drewnianego kościółka ojców Salwatorianów na Bulwarach Słowackiego, a potem usiłował włamać się do willi Grabickiego. Nieszczęśnik źle wymierzył skok przez płot i nadział swoje tłuste brzuszysko na ręcznie wykutą lilię ster- czącą z żelaznego ogrodzenia willi. Ponad godzinę trwała akcja zdejmowania z płotu niemiłosiernie wrzeszczącego złodziejaska. Od tej pory fama otaczająca ogrodzenie „Grabisiówki” działała na zakopiańskich opryszków skuteczniej niż

220 woltów najczystsze go prądu.

Ogromny i nieforemny właściciel willi cieszył się w okolicy wielką sympatią i to chyba dodatkowo zabezpieczało jego siedlisko.

Grabicki był kilkanaście lat starszy od Andrzeja i pochodził z arystokratycznej linii rodziny. Dopiero mezalians jego babki sprawił, że w rodzinie pojawiła się gałąź Brennerów, którzy traktowani byli przez resztę rodziny z odrobiną pobłażania należną osobom ździebko niżej urodzonym. Tymi

zagadnieniami zajmowały się jednak wiekowe ciotki, z którymi Andrzej miał okazję spotkać się kilka razy w życiu. Maciej Grabicki miał takie sprawy głęboko w nosie.

Wiele lat temu Andrzej poświęcił cały wieczór, aby wytłumaczyć mu istotę mezaliansu babki, a i tak, gdy nieco pijani udawali się do łóżek, Maciej zapytał:

— A tak ogólnie, to o co ci, kochanieńki, rozchodziło się z tą twoją zącą babuleńką?

Maciej w ogóle interesował się światem bardzo wybiórczo. Był w stanie godzinami opowiadać o swoich spotkaniach z Januszem Korwin-Mikkem, o wspólnych partiach brydża, trwających nieraz po kilka dni i nocy nieprzerwanie, o Komitecie Pa-ryskim, różnicach istoty poranków i zmierzchów w górach (naturalnie, absolutnie najpiękniejszych) i nad morzem (naturalnie, absolutnie najnudniejszych). Andrzej nie był jednak pewny, czy jego kuzyn wie, kto aktualnie sprawuje urząd premiera lub prezydenta. Grabicki po prostu nie zawracał sobie głowy tak nieistotnymi, z jego punktu widzenia, szcze-gółami.

— Polityka to coś, co sprawia, że chłopcy napinają mięśnie, jakby mieli wyjść na boisko, tylko, niestety, w polityce nie ma sędziów ani wyraźnych przepisów. Dlatego polityka nie jest grą dla dżentelmenów jak na przykład boks. — Maciej wypowiedział kiedyś to zdanie roztargnionym tonem, pomiędzy dwiema tyradami na temat zalet Mike'a Tysona i Jacka La Motta, Andrzej Brenner pamiętał je jednak do dziś.

Boks — to był temat, który łączył ich absolutnie. Obaj byli fanatycznymi kibicami zmagañ ringowych. Grabicki w młodości był nawet dobrze zapowiadającym się bokserem wagi półciężkiej, później jednak pociągnęła go sztuka i studia na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Nie pomogła rozpacz młodego wówczas trenera Wisły Kraków Teofila Kowalskiego, który twierdził, że znika mu z treningów „brylancik nieoszlifowany”.

Istotnie, fizycznie Grabicki nadawał się do boksowania jak mało kto. Wielki wzrost, małpio długie ręce i ogromne, nawet jak na gargantuiczne rozmiary jego ciała, dłonie. Do tego



ponoć całkiem dobra koordynacja. Los najwyraźniej jednak nie chciał, aby Grabicki stanął na drodze do sukcesu czterokrotnego mistrza Europy Zbigniewa Pietrzykowskiego z rywalizującego z Krakowem Bielska. Pietrzykowski był już w schyłku kariery, gdy młokos Grabicki na sparringu posłał go na deski. Zaskoczył mistrza tym, że bez mrugnięcia powieką przyjął na czubek szczęki słynny lewy sierp Pietrzykowskiego i odpowiedział prawym krzyżowym na szczękę. Mistrz po sparringu długo ścisnął dłoń Macieja i rozplątywał się nad sercem do walki, które bije w piersiach młodego zakopiańczyka.

Poza ringiem Grabicki był uosobieniem flegmatyzmu i łagodności. Nikt nie pamiętał, aby kogoś uderzył, nawet do własnego psa, pięcioletniego owczarka kaukaskiego, przemawiał tonem koncyliacyjnym i pełnym perswazji.

Owczarek Buran był jednak przeciwieństwem swojego pana. Wielki, włochaty i skłonny do każdej zwady ze swoimi pobratymcami był nieustannym źródłem zmartwień swojego właściciela. Grabicki musiał wyprowadzać go w kolczatce i na podwójnej smyczy. Na szczęście dłonie Macieja ciągle były obdarzone siłą, która potrafiła utrzymać w ryzach popędliwy charakter Burana. Pies miał także i to szczęście, że ogród należący do willi niepodzielnie należał do niego, a wysokie ogrodzenie uniemożliwiała mu samodzielne wycieczki na zewnątrz posiadłości. Krnąbrny i rozbuchany kaukaz potulniał natychmiast, gdy w polu jego widzenia pojawiała się zwalista sylwetka właściciela. Odczuwał niemal nabożny lęk przed Grabickim i na najmniejsze skrzywienie jego ust lub znaczące ściągnięcie brwi gotów był kłaść się na grzbiecie i potulnie odsłaniać kudłate gardło.

Kuzyn Andrzeja kupił go kiedyś od ukraińskiego oprycha, który niedaleko Nowego Targu usiłował utopić psa w Dunajcu. Grabicki zobaczył tę scenę z drogi i po krótkiej wymianie zdań kupił kudłatego szczeniaka, zupełnie nie mając pojęcia, w co się pakuje. Gdy z zabawnego kłębka puchu wyrosło buńczuczne ciele, było już za późno.

Dom kuzyna był urządzone zgodnie z międzywojennym

myśleniem o komforcie i wygodzie. Na dole znajdował się obszerny salon z kominkiem, szerokie drewniane schody wiodły do góry, gdzie czekały trzy wygodnie rozplanowane pokoje, każdy z własną łazienką. Zbudowanie łazienek było kompromisem, do którego gospodarz został zmuszony naciskiem lubiącej go odwiedzać bliższej i dalszej rodziny. Goście nie zjeżdżali się do „Grabisiówki” ze względu na towarzyską atrakcyjność gospodarza. Jak magnes przyciągała ich tu perspektywa darmowych noclegów w jednym z najpiękniejszych miejsc Zakopanego, tuż nad szumiącym górskim potokiem Bystry.

Brenner ostrożnie wśliznął się do salonu. Wokół unosił się delikatny zapach pieczystego. Gospodyni, pani Róża, wiedząc, że gospodarz powróci wraz z dawno niewidzianym gościem, przygotowała świeżą pieczeń z sarniny na miodzie.

Kuchnia, choć jej drzwi były szczelnie zamknięte, wabiła smakowitymi aromatami. Promieniowały z niej na salon niepowtarzalne wonie domowych specjałów.

Andrzej z rozrzwinięciem pomyślał o swoim dzieciństwie, które upływało wśród takich właśnie, niecodziennych i tajemniczych zapachów.

Grabiccy, i w konsekwencji także Brennerowie, byli typową ziemiańską rodziną z Kresów i nawet epoka komunizmu nie potrafiła nadać tej rodzinie szarego, chamskiego sznytu folwarczności, który niepostrzeżenie zdominował sposób bycia „salonów” Polski na początku dwudziestego pierwszego stulecia.

— Polska kuchnia, dobry napitek i ciekawa gawęda to, braciaszku, jedyne, co nam nasi hulaszcy przodkowie zostawili. To jednak i tak zbyt wiele dla gamoni, którzy teraz uczą ten dobroduszny naród elegancji, gracji i dobrych manier. Ja, widzisz, brateńku, nie patrzę w telewizor, ale jak raz byłem u naszej ciotki i widziałem, jak ta dziewczka gminna uczy jedzenia ciastek, no mało mnie nie rozpukeło, bratusiu. — Maciej Grabicki przysunął dwa głębokie klubowe fotele do wielkiego dębowego stołu, który, nakryty purpurowym sukniem, królował w salonie.

— Mówisz o naszej prezydentowej? — zachichotał Brenner.

— Twojej może tak, ale ja mam inne fascynacje — odciął się Grabicki.

Na stole pojawiła się domowa nalewka z orzechów, przyrządzana na bazie spirytusu, wytwarzanego także wedle domowej receptury.

— Bimber to pędzi chłopstwo i bolszewicy, a my, uważasz, bratuniu, wytwarzamy gorzałkę i nalewki, takie, jak nam smakują. I nie znajdziesz na świecie duszyczki, której napitek Grabickich w czymkolwiek by zaszkodził. — Maciej, polewając alkohol do małych, naparstkowych kieliszków, starał się, aby jego aromat zyskał właściwą oprawę w postaci odpowiednio podanej instrukcji spożywania.

Orzechówka była słodkavo-wytrawna i Andrzej musiał w duszy przyznać, że ten smak zawsze będzie mu się kojarzył z domem kuchni.

Właśnie tego szukał, gdy wpadł na pomysł odwiedzenia zakopiańskiej twierdzy Macieja Grabickiego.

Potrzebował kompletnego oderwania się od wydarzeń, które opadły go w ostatnich tygodniach. Wiedział, że jeśli tylko uda mu się złapać dystans do polityków, afer, pieniędzy i generałów, na pewno potrafi poradzić sobie z kolejną życiową rafą.

Na razie delektował się nalewką, oczekiwaniem na pachnące pieczyście i perspektywą wieczoru spędzonego z Maciejem Grabickim.

Kiedy przelykali ostatnie kęsy pieczeni, na stół wjechał domowy makowiec, obficie nasączony rumem.

— No, teraz, bratku, karcioszki i opowiadanko — zakomenderował Grabicki.

Andrzej szybko przegrał cztery partie w sześćdziesiąt sześć i kuzyn stracił ochotę do dalszego gromienia swojego gościa.

— Głowę masz zawróconą, żaden z ciebie dziś przeciwnik. Opowiadaj zatem, co tam się w świecie dzieje i dlaczego ścigają cię złe moce.

— Nie wiem, czy masz głowę do wysłuchiwania moich żali, tym bardziej, że będę sam sprowadziłem sobie na łeb.

— Głupiś, braciashku.

— Wiem.

— Ale głupi nie tak, jak myślisz. — Kuzyn nastroszył krzaczaste brwi. — Uważasz, że Grabicki nie nadaje się do rozumienia tych waszych wielkowiejskich warcabów?

— Nie.

— To powiadaj wreszcie, bo aż mnie korci, żeby dać ci klapsa, że tak późno przyjeżdżasz do kuzyna.

Przez następną godzinę Andrzej opowiadał o wydarzeniach, do których doszło podczas dwóch ostatnich miesięcy.

Pominał jedynie wątek „Brigitte”. Był przekonany, że akurat w tej materii kuzyn nie jest ekspertem.

Owszem, w rodzinnych opowieściach krążyły anegdoty o miłosnych wybrykach Macieja Grabickiego, jednak ostatni udokumentowany fakt z tej dziedziny zdążył już obrosnąć dziesięcioletnią patyną. Andrzej nie miał wątpliwości, że kuzyn należy do sekty zapiekłych starych kawalerów. Grabicki, jakkolwiek czuł na „niewieście powaby”, wolał jednak zadowalać się przelotnymi, niezobowiązującymi flirtami i rzadko przechodził do, jak to określał, *consumatum concretum*.

Grabicki, jak mógł, tak wspomagał opowiadanie kuzyna. Podlał je najprzedniejszą orzechówką i tarninówką.

Kiedy Andrzej skończył, znajdowali się na etapie cierpkiej piołunówki.

W salonie zapadła cisza.

— Cholera, naprawdę ten Fundusz Budowy Gospodarki to tak bajeczne pieniądze? — sapnął w końcu Grabicki.

— A nie pamiętasz?

— Pamiętam, ale jak był proces tego, hm, Okrzyymka.

— Okrzemka — poprawił go Andrzej.

— No właśnie, .emka, to nie było mowy o takich alladyńskich krocjach.

— Też nie zdawałem sobie sprawy z tego, że to taka

maszyna. — Piodunówka rozkosznie buzowała Andrzejowi w trzewiach. — Maciek, przecież ten generał Ogorzelski, zachowywał się czasem jak król Midas. Spotykał jakiegoś człowieka i, wiedziony kaprysem, czynił z niego bogacza. Był jednak jeden warunek: absolutne posłuszeństwo i dyskrecja.

— Cie choroba, patrz bratusiu, jak te bolszewiki się wycwanili... — Grabicki ponownie napełnił kieliszki. — Ale czy ty, kochanieńki, nie stajesz się takim tyczkowanym dżentelmenem z La Manczy? Kto ci uwierzy, że wszystkie zasady, w których ludzie od dwudziestu lat są tresowani, są jedynie fasadą, nieprawdą? Sam, jak tego teraz słucham, to zastanawiam się, czy po tych nalewkach nie porwało cię jakieś fiksum dyrdum.

— Wcale nie muszę ci tego opowiadać — zachnął się urażony Andrzej.

— No, nie zachowuj się jak młódka podłapana za rączkę w kinie! — Grabicki nie był w stanie stwierdzić, czy jego kuzyna bardziej udobruchał jego pojednawczy ton, czy też kolejny łyk wybornej nalewki.

— To słuchaj najpierw, potem pomędrkujesz. Opowiem ci o Kacprze Pieniężnym — zaczął Andrzej. — Młody chłopak, w latach osiemdziesiątych był działaczem opozycji. Wpadł z ulotkami i zgodził się na współpracę z Wojskową Służbą Wewnętrzną. Wykonywał dla nich różne mało ważne zadania. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku, na nartach w Zakopanem, spotkał generała Ogorzelskiego. Generał polubił go i polecił przekazać mu pieniądze na założenie hurtowni kosmetycznej. Po dwóch latach hurtownia rozrosła się do rozmiarów ogólnopolskiej firmy. Wtedy Ogorzelski jeszcze raz wezwał do siebie Pieniężnego i nakazał mu udział w sprywatyzowaniu kilku dużych firm. Nie muszę dodawać, że były to firmy strategiczne, które nieprzerwanie znajdowały się pod nadzorem kontrwywiadu wojskowego? Jedna firma produkowała kable, a druga silniki lotnicze. Obie posiadały spore grunty. Pieniężny obłowił się w łatwy sposób, sprzedając ziemię z kilkusetprocentowym przebicciem. W dwutysięcznym roku Ogorzelski zabrał go ze sobą do Brazylii. Pojechali tam

razem z kapitanem Lwowskim. Lwowski, w czasach PRL-u był specją listą od polskiej agentury w środowiskach arabskich. W dwutysięcznym roku obsługiwał firmy założone w Brazylii przez ludzi wywodzących się ze środowiska wojskowych służb specjalnych.

— Kurteczka. Lubię ciekawe szarady, ale teraz kompletnie już nie pojmuję, co łączy w kupę komunistów, wojskowych, Arabów i Brazylię.

Grabicki badawczo spojrzął w oczy Andrzeja.

W jego wzroku czaiło się podwójne pytanie: zasadnicze

— czy aby jego kuzyn, pod wpływem ostatnich przeżyć nie postradał zmysłów — i mniej istotne — czy nie rozpoczęło się już zgubne działanie wypitych tego wieczoru nalewek.

— Czasami chciałbym, Maćku, być szalony, ale to, o czym ci mówię, to najprawdziwsza w świecie historia. Na początku lat siedemdziesiątych izraelski Mosad doprowadził do przesiedlenia z Palestyny do Brazylii prawie sześćdziesięciu tysięcy Palestyńczyków. Wśród tej rzeszy osiedlonych w Ameryce Południowej Arabów było bardzo wielu współpracowników polskich komunistycznych służb specjalnych. Od tego czasu, właśnie w Ameryce Południowej, zaczęły rozkwitać wspólne polsko-arabskie interesy. Kiedy Ogorzelski w dwutysięcznym roku zjawił się tam z Lwowskim i młodym Pieniężnym, ten ostatni dostał zadanie zakupienia w Brazylii wielkich połaci ziemi. Dostał na to dolary, które do tej pory tkwiły, jako niewyprane, na tajnych kontach dawnego Funduszu Budowy Gospodarki. Tak rozwinął się brazylijski biznes słynnego dziś Pieniężnego.

— No tak. I jeszcze Izraelici. To już zakrawa na wieżę Babel — mruknął Grabicki. — Teraz jednak to wszystko zaczyna mieć pewien sens.

Butelka z piółonówką właśnie pokazała swoje dno. Kuzyn zniknął na moment w spiżarni, po czym pojawił się w salonie, dzierżąc w dłoniach omszałą flaszkę o dziwnym kształcie.

— To nalewka jarzębinowa zrobiona jeszcze przez moją babcię. Mam kilka takich w swoim arsenale, ale te pociski

wyciągam tylko wtedy, gdy mam szczególną okazję. Strzelimy sobie po kieliszeczku w intencji powodzenia twojego planu opublikowania tej *Księgi dżungli* czy raczej *Przewodnika po polskiej wieży Babel*. Już widzę miny różnych bubków, gdy czerwonymi literami będzie gryzła z witryn księgarni.

— Czerwonymi literami?

— Koniecznie. — Maciej Grabicki nalał po naparstku aromatycznej rubinowej nalewki, która przez lata przybrała konsystencję galaretki. — Tak, do cholery! — Niespodziewanie uderzył się w kolano.

— Cooo? — Andrzej podskoczył na fotelu.

— Tak, to ja zaprojektuje ci okładkę do tej książki. Jaki będzie miała tytuł?

— Jeszcze nie wiem. — Andrzej wyduł usta w grymasie bezradności.

— Hm. Książka bez tytułu to jak dom bez dachu. Ona musi mieć tytuł. Może. — Grabicki nagle zamilkł.

— Masz jakiś pomysł?

— Nie wypada.

— Co nie wypada? Przecież w końcu to ty jesteś artystą!

— Zobaczyłem tę twoją książkę.

— Gdzie? — Andrzej odruchowo obejrzał się za siebie.

Grabicki zachichotał.

— No przecież widzę, że coś ci chodzi po głowie. — Andrzej miał wyraźnie zdezorientowaną minę.

— Eee. nic mądrego.

— Ja nigdy nie miałem żadnego obrazu przed oczami, a piszę ją już od wielu tygodni.

— Jak można myśleć bez obrazów?

— No, raz miałem sen.

— No wreszcie. Opowiadaj.

— Ale on nie był ani mądry, ani znaczący.

— Sny nie są po to, aby być mądre, one mają meblować nasze drugie życie.

— Drugie życie?

— Później ci opowiem.

— Dobra, mów teraz, co widziałeś, jak pomyślałeś o

mojej książce.

— Widziałem wieżę.

— Wieżę?

— Tak, wielką, czerwoną wieżę wyłaniającą się z mgły.

— Wieżę czerwonych! — Andrzej palnął się w czoło. — Wieża czerwonych. Wieża, której cień kładzie się na cały kraj. Maciek, bardzo cię lubię! — Dopadł do olbrzyma i stając na palcach, siarczyście ucałował go w oba policzki.

— Ojoj, hm. na chłopskie czułości mu się zebrało, gamoniowi. — mamrotał Maciej.

Na jego oblicze wypełzły rumieńce jak u hożej dziewoi.

Nie dokończyli już kolejnej butelki. Andrzej przyrzekł kuzynowi, że następnego dnia szczegółowo opowie mu, jak trafił na trop generała Ogorzelskiego. Obiecał też, że za dwa dni spokojną dotąd „Grabisiówkę” odwiedzi ktoś niezwykły, ktoś, kto pozwolił Andrzejowi zrozumieć mechanizm działania Funduszu Budowy Gospodarki.

Kuzyn nie tylko nie miał nic przeciw temu, ale jeszcze entuzjastycznie zatarł ręce.

— Nie chciałem cię w to mieszać. Masz tu swoje spokojne życie — nieszczerość przebijała z głosu Andrzeja.

— Czas najwyższy, abym i ja w coś się zamieszał, bo jak na razie to starannie omijałem wszystko, co kojarzyło mi się z polityką. Teraz też w głębokim poważaniu mam te wasze polityczne gry, ale skoro kuzyn potrzebuje pomocy, no to na takie wyzwanie jeszcze żaden Grabicki nie skrewił — gospodarz przerwał nieporadny wywód Andrzeja i w sposób wykluczający wszelką dyskusję zakończył rozmowę.

— A teraz do spanka. Dostaniesz pokój, w którym kiedyś spał sam minister Pieracki. — Po twarzy Grabickiego nawet nie było widać, że obaj wypili tego wieczora prawie litr rozmaitych nalewek.

Andrzej też czuł się doskonale. Górskie powietrze zawsze sprawiało, że alkohol działał na niego o wiele łagodniej niż w mieście.

Pokój Pierackiego był schludnym i wygodnie urządzonej poddaszem. Pościel przygotowana przez panią



Rózię pachniała świeżością i wiatrem.

Zza okna słycać było kojący szum Bystrego.

Dobry, ożywczy sen nie trwał jednak do rana. Około trzeciej w nocy zadzwonił telefon komórkowy. Andrzej zapomniał wieczorem wyłączyć dźwięk dzwonka i teraz, nieprzytomny i wściekły, na oślep poszukiwał źródła niespodziewanej tortury.

— Co, do diabła? — warknął do słuchawki.

— To ja.

— Jaki. jaka ja?

— Zdzisława. smętna pizda.

— Rzeczywiście, coś jest na rzeczy.

— Muszę powiedzieć ci coś, co ci się nie spodoba.

— O trzeciej w nocy?

— Tak, to właśnie o trzeciej w nocy zabrzmiał najgłośniej.

— Słucham.

— Grzesiek dziś po kolacji został zrzucony ze schodów.

— Kurwa.

— Tak bym to też nazwała. Im dłużej to wszystko trwa, tym mniejsze są szanse powodzenia. Do rana masz jeszcze kilka godzin. Przemyśl, czy nie wywalić tego wszystkiego do Wisły. To już dawno przestały być żarty. Nawet jeśli początkowo tak o tym myślałeś.

— Nie myślałem.

— Pomyśl teraz. Ja od dawna mam bezsenne noce, więc potowarzyszę ci w ciszy, choć pewnie wzdrygnąłbyś się z obrzydzenia na taką nocną towarzyszkę.

— Zdzicha, piłaś?

— Odrobinę, ale dzwonię zupełnie trzeźwa. Przemyśl

to.

— Co mam przemyśleć?

— Wiesz.

— To nie jest pora na zagadki.

— Przemyśl odpuszczenie, póki nie jest jeszcze za późno.

— Opuścić to ja mogę winowajcom. I to z wielkim wysiłkiem, po spowiedzi.

— Mam wycucie do facetów. Zapłacisz za to.

— Dobranoc, Zdzicha. Trzymaj się.

Odkładając słuchawkę, uświadomił sobie, że nieoczekiwanie od rezultatów jego pracy zależy los coraz większej grupy ludzi.

Nie wyszło to tak, jak sobie wyobrażał. To nie był pojedynek samotnego rewolwerowca w pełnym słońcu.

Wszystko działo się we mgle. Strzały padały znikąd, a ofiarami stawały się osoby, które nie powinny nawet znaleźć się w jego grze.

Leżał na wznak, z rękami podłożonymi pod głowę i wpatrywał się w drewniane belki na suficie pokoju Pierackiego.

Rankiem, gdy zamierzał jeszcze pospać, Maciej brutalnie zerwał go z łóżka.

Musiał wraz z kuzynem przebiec obowiązkowe pięć kilometrów, a potem przez pół godziny tarczować, nastawiając dłonie w rękawicach wielkim łapskom Macieja, owiniętym jedynie w taśmy. Boksowanie z Grabickim sprawiło, że obie ręce Andrzeja upodobniły się do befsztyków. Pięści gospodarza nie potrzebowały rozpędu, aby walić w rękawice Andrzeja z siłą rozpędzonego wołu.

Dopiero po tych wszystkich torturach czekało ich przygotowane przez panią Rózię śniadanie. Jajecznica z prawdziwych tatrzańskich jaj okraszona była doskonałym, pachnącym na cały dom bekonem. Do tego jeszcze góra owczego wędzonego sera i bundzu.

To było najlepsze śniadanie od czasu, gdy „Brigitte”, swoimi pocałunkami, uświetniła jego poranek.

— Takie jedzenie sprawia, że zastanawiam się, co ja dotychczas robiłem w życiu?

— Jadłeś śmieci, jak większość naszych współplemieńców — Maciejowi dopisywały apetyt i humor.

— Jemy to, co można kupić w najbliższym sklepie.

— I w tym rzecz, ani to ewangeliczne, ani zdrowe. Karmią was śmieciami, których nie chcą jeść bezdomni

w Berlinie i Paryżu.

— Przesadzasz.

— Możemy się założyć.

— Jak?

— Po prostu za jakiś czas sprawdzimy przyczyny naszej śmierci. Ja pewnie umrę na serce albo na wylew, a ty na marskość wątroby, rozpadnięcie żołądka albo perforację jakiejś kichy.

— Jesteś najbardziej uroczym kuzynem, jakiego posiadam.

Grabicki uśmiechnął się z satysfakcją. Wyglądał komicznie. Duża twarz podstarzałego dzieciaka, kłująca nieogolonym siwym zarostem, i naiwnie błyszczące duże piwne oczy. Policzki oprószone resztkami sera i do tego zmierzwiona szopa niesforne poskręcanych, siwiejących włosów.

— Maciek, muszę ci się przyznać do tego, że uciekłem.

— Skąd?

— Ze świata, w którym dotąd przebywałem. Uciekłem tu i twój dom potraktowałem jak kryjówkę. Wybacz.

— Ale, bratuś, to bardzo dobrze się składa, bo ja ten dom też tak traktuję, od kilkudziesięciu lat.

Obaj wybuchli śmiechem.

Maciej podszedł do ciemnego ekspresu do kawy, stojącego na dużym blacie pod oknem.

— A teraz dostaniesz coś, czego nie uświadczysz w żadnej knajpie stąd do Wiednia.

— Kawka?

— Uhm, i to jaka!

Andrzej z przyjemnością wyciągnął nogi pod stołem. Dobra kawa i dużo czasu na rozmowę. Tego było mu teraz potrzeba.

— To jest kawa, do której dochodziłem całymi latami. Mieszanka, która przynosi ekscytację, ożywienie umysłu i pobudzenie fantazji. — Grabicki uśmiechał się tajemniczo.

Andrzej słuchał z przymkniętymi oczami. Doskonałe, proste jedzenie powoli przenikało do krwiobiegu.

— Mieszaną lekko podgrzaną w piekarniku ziarna „india

malabar" ze świeżymi, palonymi na czarno, ziarnami południowowłoskiej mieszanki „sicilia". I do tego szczypta wietnamskiej robusty. Razem drobno zmielone i zaparzone w eks- presie.

— Jesteś mistrzem, czekam na efekt.

— Uważaj, bo efekt jest taki, jakbyś dostał szprycę z prochów prawdy. Zaraz wszystko mi wyśpiewasz.

Po chwili ekspres trzeszczał już pełną parą, a po całej kuchni roznosił się przyjemny, lekko wschodni zapach świeżo zaparzonej kawy.

Jak przystało na smakoszy, wypili swoje filiżanki w ciszy, przerywanej jedynie dyskretnym siorbaniem i pełnym namysłu mlaskaniem. Tylko tak można było uczcić kawę, którą przyrządził Maciej Grabicki.

Picie starannie przygotowanego, mistrzowskiego napoju, w napełnionej podniecającym zapachem kuchni, było doznaniem, którego Andrzej potrzebował od dawna.

Właściwie dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo łaknął takiego domowego poranka, wypełnionego doskonałym kawowym rytuałem. Był już w wieku, gdy rytuały zaczynało się cenić.

Brzękła szyba, odłamki szkła z nieprzyjemnym chrzęstem posypały się na kuchenny blat. Do kuchni wpadł duży kamień owinięty w pobrudzoną białą kartkę.

Grabicki flegmatycznie odwrócił się w stronę ziejącego dziurą okna.

Andrzej zamrugał powiekami jak człowiek nagle przebudzony ze snu.

Grabicki powoli uniósł kamień z podłogi. W jego wielkich dłoniach nie wyglądał już tak złowrogo jak przed chwilą, w momencie, gdy z głuchym trzaskiem rozbił okno i uderzył o podłogę kuchni. Grabicki odwinął go z papieru i odłożył do kuchennego zlewu.

— Będzie na pamiętkę — mruknął sam do siebie. — „Wiem, że tu jesteś. Nie kombinuj. Na razie masz tylko nieduże problemy. Jak nie spasujesz, to twoja śliczna kochanka może nie być już taka śliczna. Nie wciągaj ludzi w kłopoty. Szkoda by

było, gdyby tak piękna chałupa poszła z dymem. Przynies wszystkie dokumenty i książkę do kościoła Salwatorianów i zostaw to pod figurą Jezusa w przedsionku. Wszystko jeszcze może ci się ułożyć, tylko przestań niezdrowo się bawić. Brigitte". — Grabicki zawiesił głos i spojrzał na kuzyna. — Tu jest jeszcze post scriptum. Mam przeczytać?

— Tak — szepnął Andrzej.

— „Gdybyś wpadł na pomysł, aby iść z tym na policję, to zapamiętaj, że drewniany dom twojego kuzyna nie jest w żaden sposób impregnowany i pójdzie z dymem w ciągu jednej nocy. Wiem o tobie zbyt wiele, abys mógł wykonać jakikolwiek ruch. Mój rozkoszny pseudonim chyba ostatecznie cię o tym przekonał. Miłego dnia. Aha, i przypomnij kuzynowi, że jego ostatni PIT naciągał skarbówkę na dziesięć tysięcy złotych. Nieładnie”.

— Skurwysyny. — Andrzej nie poznawał swojego głosu. Był pełen mściwej żądz rewanzu. Prawdopodobnie w tym momencie byłby zdolny zabić autora listu jednym uderzeniem pięści.

— Spokojnie, kochaneńki. Spokojnie. — Kuzyn położył ciężki bochen swojej dłoni na jego ramieniu. — Takiego liściku nie mógł wrzucić przez okno facet z tego brzegu Bystrego. Zbyt ryzykowne, ktoś mógłby go zobaczyć. To nadleciało z drugiej strony potoku, z lasku. Jeśli tak, to musieli kamień z czegoś wystrzelić. Nikt tak precyzyjnie nie rzuciłby na odległość ponad dwudziestu metrów. — Głos Grabickiego był spokojny, tak jakby rozważał kolejny interesujący go wariant brydżowej strategii.

— Maćku, przecież oni chcą ci spalić dom!

— Może i chcą.

— Wyjadę.

— Ciii. — Grabicki uciszył go stanowczym gestem dłoni.

— Wystrzelili to z lasku, czyli musieli tu wcześniej chodzić, aby wszystko przygotować. Andrzej, jest kławo!

Dziennikarz spojrzał na niego tak, jakby przyglądał się nieznanemu owadowi. Czyżby rodzinne opowieści o szaleństwie Grabickiego miały się teraz potwierdzić?

Kuzyn nic jednak nie robił sobie z podejrzliwych spojrzeń gościa. Chodził po kuchni strusim krokiem, odmierzając wielkie susy swoimi długimi nogami.

— Tak. jest bardzo klawo. Zaczyna mi się to coraz bardziej podobać.

— Jak klawo?! Chłopie, przecież chcą ci spalić chałupę!

— Chwileczkę. Czy ty nie rozumiesz? — Grabicki spojrział na niego zupełnie przytomnym wzrokiem.

— Co tu jest do rozumienia? Znaleźli mnie nawet tu, podpalał chałupę. Co tu, u diabła, jest do rozumienia?!

— Duraku! Przecież oni się ciebie bardziej boją niż ty ich! Dlaczego zwierzęta atakują ludzi? — ciągnął Grabicki.

Andrzej spoglądał na niego w milczeniu. Czuł jednak, że spokój kuzyna zaczął mu się udzielać.

— Bo się ich boją.

— No i co z tego? — mruknął Andrzej.

— Ano to, że w emocjach popełnia się błędy. Właśnie zrobili bardzo poważny błąd. Nawet dwa błędy.

Grabicki zatrzymał się przy ekspresie do kawy i spokojnie zabrał się za parzenie następnych dwóch filiżanek.

— Taaak, kawka. Nie ma nic lepszego niż dobra kawka. Po pierwsze, zostawili nam tę karteczkę. Niezbity dowód na to, że istnieją. A po drugie, musieli się tu kręcić i ktoś mógł ich zauważyć. Tak więc, nie chcąc tego, wskazali nam ścieżkę do siebie. Niteczkę, po której możemy do nich dotrzeć — usiadł naprzeciwko Andrzeja i ostrożnie podał mu filiżankę z aromatycznym naparem.

*Zdzisława Okrzemek, ateistka, chemik, osoba skryta, nie ujawniająca publicznie swoich opinii. Zimna, nie posiada większego grona znajomych. Bez większych dokonań zawodowych. Po aresztowaniu swojego męża Grzegorza agresywnie usposobiona do resortu, sfrustrowana i nielojalna wobec służb wojskowych. Ostatnio utrzymuje kontakty z dziennikarzem Andrzejem Brennerem. Podejrzewamy, że dostarcza mu tajne dokumenty dotyczące*

*Funduszu Budowy Gospodarki. Niewy kluczone, że to właśnie ona zainspirowała dziennikarza do pisania tzw. „książki” o FBG. Przewidujemy, że treść tej książki jest wysoce nieprzychylna wobec wysokich oficerów MON i nosi znamiona paszkwilu.*

*Proponujemy podjęcie działań obserwacyjnych, a w przy padku możliwego wycieku dokumentów „specjalnych” – podjęcie działań prewencyjnych.*

Generał Ogorzelski ze złością odłożył dokument na biurko.

– Czy te tępaki niczego nie potrafią sami zrobić? – mruknął wściekły.

Pułkownik Białecki z napięciem wpatrywał się w mimikę dawnego szefa.

– Kontrolujemy sytuację. Ten pismak ma już mocno pod górkę, a Okrzemkowa boi się własnego cienia – wtrącił przymilnie.

– Tak?! – warknął Ogorzelski. – A gdzie macie wypociny tego Brennera?

– Pracujemy nad tym.

– Pracujecie. Jak wam, kurwa, przykręcimy kurek z kasą, to zaraz zaczniecie pracować, a nie pierdolić głupoty i pisać bzdety. Co mnie obchodzi ta stara kurew?

– To tylko notatka.

– Gównno, nie notatka. Pieprzycie się z tym od dwóch miesięcy, a kasa ucieka. Nasi partnerzy mówią, że jak nie potrafimy mieć porządku na własnym podwórku, to jak mają tu pakować kasę! No jak, kurwa?! – Generał poczerwieniał. – Sam to muszę załatwiać? Sam, do jasnej cholery?! I jeszcze jedno – kto, kurwa, kazał walić kamieniem w szybę tego pierdolniętego kuzyna Brennera?

– Nooo, to był pomysł lokalny.

– Jaki, kurwa, lokalny! Co ty pieprzysz?

– Nooo, nasz chłopak w Zakopanem powiedział, że wie, jak u niego takie sprawy się załatwia.

– Dość! – Twarz generała spurpurowiała jeszcze bardziej. – Idiota, kompletny idiota. Jak, cholera, można tak

działać! Jebani harcerze.

Ogorzelski otworzył biurko, chwilę w nim pogrzebał i naraz rzucił w Białeckiego zmiętym w kulkę papierem.

— Czytaj! Bigos teraz mamy, a nie spokój!

Białcki rozprostował kartkę i przeczytał skserowany dokument z nagłówkiem Komendy Powiatowej Policji w Zakopanem. Była to notatka z czynności służbowych w willi Macieja Grabickiego.

— Ślad, rozumiesz? Cholerny ślad!

— Spokojnie, generale. Nic z tego nie będzie. Mamy swój atut, ten dziennikarz idzie już jak po sznurku, a niedługo dowiemy się, gdzie schował te swoje papiery. Jestem pewny.

— Głowa!

Białcki zamrugął.

— Odpowiadasz za to głową — powtórzył generał.

Białcki wstał.

— To chyba wszystko? — mruknął.

— Tak — odparł zimno Ogorzelski. — Pamiętaj, że zabawa się skończyła. Ten gówniarz może nas zbyt drogo kosztować. Nie mam zamiaru świecić za was oczami. Moja strata będzie przykra także dla twojej kieszeni.

— Nie jestem dzieckiem. — Białcki nawet nie spoglądał na generała. Miał go dość.

— Więc pamiętaj, że limit dziadostwa został wyczerpany.

— Dobranoc, szefie.

— Dobranoc. — Uścisk dłoni Ogorzelskiego był mocniejszy niż zwykle.

Białcki doskonale wiedział, że gospodarz nie żartuje. Ich wspólne interesy nie znosiły hałasu. Wyszedł na zewnątrz i postanowił się przespacerować.

Samochód z kierowcą, niemal bezszelestnie, ze zgaszonymi światłami sunął za nim.

Białcki ciągle nie mógł zrozumieć, dlaczego stara sprawa FBG ciągle wywołuje w Ogorzelskim takie emocje. Przecież żaden śledczy w tym kraju nie był w stanie powiązać generała z dawnymi operacjami Grzegorza Okrzemka. Dziś zresztą były to już mocno przedawnione ramoty. Nikt nie



chciałby o tym słuchać, a niewielu było w stanie cokolwiek z tego zrozumieć.

## Rozdział IX

Białecki, rozważający emocje swojego dawnego szefa, nie wiedział o jednym — generał Ogorzelski miał głęboko w nosie sprawę Funduszu Budowy Gospodarki.

Tamte pieniądze wielokrotnie zmieniły już swoich właścicieli. Zostały przeprane według najlepszych KGB-owskich metod i nawet najbardziej przenikliwy prokurator nie był w stanie znaleźć ułamka dowodu prowadzącego do dzisiejszych interesów Ogorzelskiego.

Generał wiedział jednak, że powiązanie trójkąta: Kravczik, Okrzemek i Manfred Drecha ani chybi doprowadzi do odkrycia południowoamerykańskich koneksji pewnego nazisty.

Dokumenty dotyczące czyszczenia teczek nazistów wpadły bowiem w ręce Kravczika zaraz po tym, jak 9 listopada

1989 roku upadł mur berliński.

Dokumenty Kravczika nie miały nic wspólnego z upadkiem muru, jednak gdy 15 stycznia 1990 roku „zrewoltowany” tłum berlińczyków wdarł się do siedziby Stasi przy Normannenstrasse, Kravczik był już we właściwym miejscu i płacił za dokumenty żywą zachodnioniemiecką gotówką. Na zlecenie Amerykanów skompletował wówczas okazały zbiór papierów opowiadających o „praniu” biografii nazistów dokonywanym za grube pieniądze przez podwładnych szefa enerdowskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Ericha Mielkego. Dokumenty te wywołały później cały łańcuch zabójstw.

W 1991 roku zamordowano Detleva Rohweddera, szefa urzędu zajmującego się restrukturyzacją byłej NRD. Oficjalnie była to jedna z ostatnich akcji osławionej Rote Armee Fraktion, w rzeczywistości zabójstwem kierowała Stasi i jej najbardziej obiecujący oficer. Manfred Drecha. Precyzyjny strzał snajpera rozerwał Rohwedderowi tchawicę, prezes „Urzędu Powierniczego” nie żył zanim upadł. Wyszkolony w specjalnym plutonie Stasi snajper oddał jeszcze dwa maskujące strzały.

Jeden trafił w półkę z książkami w gabinecie Rohweddera, drugi w łokieć żony urzędnika, która wbiegła do gabinetu zwabiona brzękiem szkła sypiącego się z rozbitego okna.

W ten sposób Drecha zamknął usta człowiekowi, który, trochę przypadkiem, natrafił na akta Steinera i jego południowoamerykańskich interesów. Za jednym zamachem zlikwidował też niebezpiecznego marzyciela, który chciał według naukowych planów przekształcać enerdowski przemysł.

Steiner, a raczej jego interesy, pewnego miłego popołudnia w enerdowskim jeszcze Dreźnie, na wiele lat połączyły generała Ogorzelskiego i najmłodszego generała Stasi — Manfreda Drechę.

— Dorotka ma do ciebie żal.

Zdzisława Okrzemek miała na sobie prosty sweter z owczej wełny i elastyczne spodnie. Takie spodnie, jakich w latach siedemdziesiątych używało się do jazdy na nartach.

Andrzej zawsze zachodził w głowę, skąd Okrzemkova wyciąga tak oryginalne ciuchy. Prawdopodobnie w jej szafie odłożyły się rzeczy z każdej minionej epoki.

— Ostatnio mówiłem jej, że nie będzie mnie przez jakiś czas.

Siedzieli w przytulnej izbie nowego „Poraja”, popularnej zakopiańskiej restauracji, która kilka lat temu przeniosła się z Krupówek w okolice Wielkiej Krokwi.

Zajadali słynne rydze smażone na maśle, prosto z patelni. Ćmili papierosy i Andrzej nie potrafił ukryć radości z faktu, że znowu widzi tę nieznośną i wiecznie spowitą chmurami tytoniowego dymu kobietę. Zdzisława wyglądała lepiej niż wtedy, gdy spotkał ją na krakowskich Plantach. Włosy trochę jej odrosły i mogła już uczesać się „na chłopczycę”. Nie była też taka zagubiona i zrezygnowana jak po pożarze w swoim mieszkaniu.

— Dorotka nie da się zbyć pustymi obietnicami. Pamiętaj, co mi obiecałeś. — Pogroziła mu palcem.

— Po pierwsze, to musisz odwiedzić mojego kuzyna

Maćka, po drugie, musisz tu zostać co najmniej przez tydzień, po trzecie, nie mam przed Maćkiem żadnych tajemnic.

Okrzemkowa zmierzyła Andrzeja badawczym spojrzeniem.

— Nie martw się, on jest jedynym facetem, któremu możemy zaufać. Zresztą nie mamy wyboru, sami wciągnęli go do naszego grona.

— Jak?

— Chcą mu spalić chałupę za to, że mnie gości.

— No, mnie już spalili. Piromani cholerni.

— A poza tym przy Maćku oduczysz się pić te siki, które ty nazywasz kawą.

— A ty ciągle na wolności?

— Jak widzisz. Całkowicie na wolności, a w Zakopanem to nawet bardziej. Co z twoim mężem?

— Ma złamaną nogę, ale bardzo dobrze.

— Dobrze?

— Dobrze, bo wreszcie się wkurwił, a jak on się wkurwi, to idzie jak nosorożec. Przegięli pałę, to ich pierwszy błąd.

— Drugi!

Zdzisława zamrugła zaskoczona.

— Drugi?

— Tak. Bo pierwszy popełnili, gdy wrzucili Maćkowi do kuchni list z pogrózkami.

— Pogróżki, pisemnie? No, no. wyżej ich oceniałam.

— Więc wkurwili i twojego męża, i Maćka.

Przez chwilę rozkoszowali się smakiem świeżych rydzów. Kapelusiki grzybów przyrumienione na maśle wprawiały kubki smakowe w stan czystej ekstazy.

Zdzisława gładziła się po brzuchu.

— Cholera, czasem tak mało potrzeba, aby świat wydał się miłszy.

Andrzej zdziwiony uniół brwi.

— Wystarczą rydze, na maselku, uczciwie zrobione i już jest przyjemniej. Zapomniałam, jak smakuje normalne życie. Jak można się najeść zapachem, widokiem i spokojem. Oj. — mruzczała, oblizując widelec z rydzowego masła.

— Taaak — westchnął Brenner.

Z ociąganiem zebrali się do wyjścia. Czekali ich krótki spacer do „Grabisiówki”.

— Jutro zjemy w „Poraju” mózdzek cielęcy. — Andrzej ob- lizał się jak kot węszący słoninę.

— Mózdzek, hm, jadłam to dawno temu w kasynie oficerskim w Kętrzynie, kiedy odwiedzałam Grzeška. Był niezły. Tyyy! — Wycelowała w Andrzeja swój długi, sękaty palec. — Ja nie mogę się tak bez zaproszenia wtrądzić do twojego kuzyna!

— Niestety, podejrzewam, że przypadniecie sobie do gustu.

— Hm?

— Typki tak już mają.

— Chciałeś coś przez to powiedzieć?

— Nie mam z wami szans.

— Z nami?

— Nic. Tak tylko głośno myślę. Maciek już wie o twoim przyjeździe i jest bardzo podniecony tym, że cię pozna. — Andrzej zrezygnowany machnął ręką. — Dziś na pewno bardzo późno pójdziemy spać.

Maciej Grabicki czekał na nich w salonie. Na stole stała pękata karafka „tarninówki”, a obok niej dwa duże półmiski, z których niósł się smakowity zapach domowych wędlin.

Okrzemkowa dygnęła jak pensjonarka po czym pełnym powagi tonem dokonała autoprezentacji:

— Zdzisława Okrzemek, chemik, żona oficera kryminalisty, współkryminalistka.

— Maciej Grabicki, pseudoartysta, element niepewny, kuzyn oskarżonego, uczestnik spisku.

Andrzej z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem, gdy spoglądał, jak jego olbrzymi kuzyn lekko poderwał się z fotela i z galanterią fireyka ucałował zniszczoną dłoń Okrzemkowej. Maciej wyglądał jak obudzony nagle struś, który robi wszystko, aby zaprezentować się jako zwinny sokół.

Widać było, że oboje natychmiast przypadli sobie do gustu. Grabicki nalał tarninówki i gorąco nalegał, aby dama nieco gołnęła.

— Na frasunki tylko owocki tarninki zetylizowane poradzają, a pani, jako fachowiec, najsamprzód wiedzieć to powinna.

I golnęli. Po czym z przyjemnością powtórzyli.

— Grześ. — Okrzemkowa z ukontentowaniem mlasnęła językiem. — Przepraszam, panie Macieju. — Spojrzała na Grabickiego. — Mój mąż ma pewien pomysł — dokoń- czyła.

— Najprzód wędlina, a potem rozmyślenia. Z pustym żołądkiem filozofują tylko bolszewicy. — Grabicki zakręcił się koło talerzy z wędlinami i podał im solidne porcje domowych specjalów.

Przez długą chwilę rozkoszowali się zapachem i smakiem szynki z dzika i domowej kiełbasy.

— No, to teraz porozmawiajmy o polowaniu — zaczął Grabicki.

— Polowanie, czyli szachy — wtrąciła Okrzemkowa.

Andrzej zdziwiony przyglądał się oryginalnej parze.

Grabicki i Okrzemkowa rozmawiali ze sobą, nie przerywając jedzenia.

— Polowała pani na lisa? — bełkotliwie, przysłaniając pełne mięsiami usta, zapytał Grabicki.

— Nie, ale widziałam, jak to robili. Kolega Grześka nawet hodował jamniki szorstkowłose. mmm. norowce, potrafią lisa wykurzyć nawet z najgłębszej nory.

— Mieliśmy rozmawiać o naszej sytuacji — wtrącił Andrzej.

— No, właśnie to robimy. — Okrzemkowa miała minę, jakby musiała opędać się od natrętnej muchy.

— Więc, pani kochana, lis to nader zmyślne stworzenie. A jakie podstępne. Ale tego pani pewnie nie wie.

— No, nie wiem, czy nie wiem. — Zdzisława udała, że robi obrażoną minę.

— Bo mało kto wie o tym, że lis, jak widzi, że mogą go dopaść, to udaje martwego.

— Cholera, o tym samym właśnie myślałam!

— Jeśli nie zaczniecie normalnie gadać, to ja natychmiast was tu zostawię i pójdę spać — rozeźlił się Andrzej.

Zdzisława sprawiała wrażenie, jakby w ogóle nie słyszała dziennikarza.

— Grzesiek też o tym myślał. Roszada. Wie pan, panie Macieju, jak to się robi?

— Oj, ciekawy pomysł.

— No, taki, jak z tym pańskim martwym lisem.

— Chce pani zamienić króla z wieżą?

— Chcę, aby dostali kociokwiku i tak naprawdę nie wiedzieli, za czym ganiają.

Andrzej powoli zaczął pojmować, że rozmowa w salonie wcale nie jest tak bezsensowna, jak do tej pory sądził.

— Dobry pomysł, ale tylko czysto teoretyczny. Prawdziwe ruchy wymagają prawdziwych ludzi, a ci nie są pionkami na szachownicy — wtrącił.

— Oj, no przecież mówię, że zrobimy rozsadę. — W głosie Okrzemkowej słychać było wyraźne zniecierpliwienie.

— Ta, pewnie, że da się zrobić, braciaszku. — Grabicki zaczął sadzić strusie kroki przez cały salon.

— Rozumiem. — Andrzej pokręcił głową i szybko wypił kieliszek nalewki. — To znaczy, nie rozumiem. — Prychnął, krztusząc się alkoholem.

— Oj, proste. Długa rozsada.

— No i co z tego?

— Wieża robi ruch, a król przeskakuje na jej miejsce i chowa się w cieniu — klarował Maciej Grabicki.

— No tak, ale co to znaczy w naszej sytuacji?

— To niech ci wytłumaczy nasza wspaniała dama.

Zdzisława Okrzemek wstała i podwinęła zbyt długie rękawy swojego męskiego swetra. Postawiła na stoliku, tuż przed nosem Andrzeja, dwa kieliszki. Jeden właśnie opróżnił, a drugi napełniony był świeżą porcją aromatycznej nalewki.

— To jesteś ty!

— Ja? Pusty kieliszek. dziękuję, Zdzisławo.

— To jest król, najważniejsza figura naszej gry. — Uśmiechnęła się, wyjmując z torebki nowiutką paczkę caro.

Maciej Grabicki zrobił zboląłą minę i dyskretnie odtworzył zaklejone dyktą okno.

— Ja jestem tym z pozoru pełniejszym kieliszkiem.

— Wieża — tym razem Andrzej nie potrafił nadać swoim słowom neutralnej barwy. Teoria dwojga dziwaków zaczynała go wciągać.

— No, widzę, że zaczynasz pojmować. Nie jest jeszcze tak źle z gwiazdami naszego dziennikarstwa. — Głos Grabickiego nie niósł w sobie nawet szczypty ironii. — Ty udasz martwego lisa, a ja wezmę na siebie ich zainteresowanie. Nic więcej nie mogą mi zrobić, a ty zyskasz na czasie i doprowadzisz książkę do końca.

— To jest niebezpieczne.

— Wierz mi, że bardziej dla ciebie niż dla mnie.

— Nie mogę się na to zgodzić.

— Przestań zachowywać się jak głupi uczeń. Ja nie jestem pensjonarką. To nasza wspólna sprawa. Pamiętaj, że to ja z tym do ciebie przyszedłam. Gdybym umiała dobrze pisać, to może sama bym to wydała. Więc oboje w tym tkwimy, a na dodatek wciągnęliśmy w to tego zacnego dżentelmena. — Okrzemkowa puściła oko do Grabickiego.

Do drugiej w nocy rozważali szczegóły nowego planu.

„Wieża” Okrzemkowa miała ściągnąć na siebie działania „wojskówki”, w tym czasie Andrzej miał wszem i wobec ogłosić swoje désintéressement wobec sprawy Funduszu Budowy Gospodarki, odciąć się od dotychczasowych informatorów i w ciszy, korzystając z pomocy Macieja Grabickiego, dokończyć pisanie swojej książki.

O wszystkim miał zostać powiadomiony Georg Kravczik, który powinien zająć się znalezieniem zachodniego wydawcy książki. Publikacja zostanie zatem wprowadzona na polski rynek za pośrednictwem zagranicznego wydawnictwa.

Okrzemkowa wymyśliła, że szczegóły nowego planu przekaże Georgowi Kravczikowi nieoceniony Maks Rozler.

\*\*\*

Od rana byli w entuzjastycznych nastrojach. Andrzej uwierzył, że wymyślony w nocy plan może być skuteczny.

Maciej Grabicki, podniecony całą sytuacją, wydawał się



w swoim żywiole. Wyprostował się, wypiął pierś — wyglądał tak, jakby nowy plan odkurzył go i odmłodził.

Okrzemkowa znalazła wreszcie swój sposób walki, poczuła się potrzebna. Teraz żywo krzątała się po kuchni, wywołując tym samym pełne niezadowolenia fuknięcia gosposi. Wspólnym wysiłkiem przygotowały śniadanie, na które złożyły się carpaccio z dziczej polędwicy, dzieło ciskającej gromy z oczu pani Rózi, i grzanki z gęsim smalcem, jedno z pierwszych kulinarnych dokonań Zdzisławy Okrzemek.

Gosposia nakryła stół nieskazitelnie białym obrusem, postawiła na nimi dwa kosze wypełnione leżącymi na lnianych serwetkach grzankami i twierdząc, że musi odwiedzić chorą siostrę, natychmiast wyszła. Jej mina zdradzała, że nie ma najwyższego mniemania o kulinarnych zdolnościach Okrzemkowej, a fakt wtargnięcia „obcej baby” do kuchennego sanktuarium „Grabisiówki” uznała za godne najwyższej pokuty świętokradztwo.

Jej mina zwiastowała ponadto, że osobliwe towarzystwo zgromadzone w salonie jej pryncypała może srogo się zawieść, licząc na smakowity obiad, a nawet, że tego dnia obiad może nie nastąpić w ogóle.

Rozbawieni rzucili się do dzikiego pałaszowania pyszniących się na białym obrusie specjalów. Ten obrus, jego perfekcyjna biel, także miał być zapewne nieustającym wyrzutem sumienia dla Macieja Grabickiego, na szczęście Okrzemkowa zaplamiła go już pierwszą filiżanką zaparzonej przez gospodarza kawy.

— Kurr. teczka, miałeś rację, ta kawa to brylant świecący wśród gnoju — wymamrotała po pierwszym łyku, ulewając przy okazji na stół sporą porcję hebanowego płynu.

Pierwsza plama znacznie rozluźniła atmosferę. Niebawem na stole ze wspomnieniem po kawie sąsiadowały gęsinowotłuste okruchy grzanek i kolejne krople uronionych z naczyń płynów. Biesiadnicy przekomarzali się i żartowali. Czuli się jak skazańcy, którym nagle odryglowano wszystkie drzwi. Nowy plan wydawał się tak prosty i zaskakujący, że musiał się powieść.

— A mówią, że istnieją sytuacje bez wyjścia. — Maciej Grabicki zatarł ręce.

Odezwał się bezczelnie głośny dzwonek telefonu komórkowego.

— Przepraszam. — Okrzemkowa dygnęła jak uczennica złapana na grzebaniu w dzienniku lekcyjnym. Podbiegła do torby, wyjęła z niej niezgrabnie wielką, przedpotopową komórkę i wybiegła z salonu.

— Bardzo ciekawa z niej niewiasta. — powiedział Grabicki bez choćby cienia kpiny.

— Dość oryginalna opinia, Macieju.

— Uważasz inaczej, braciszku?

— Nie.

— Tylko?!

Andrzej poczuł się zakłopotany.

— Bożeee kochany!

Okrzemkowa przytrzymała się framugi drzwi.

Jej twarz była biała jak papier.

Zdezorientowany Grabicki zdążył w ostatniej chwili złapać kobietę. Wyglądała jak bezwładny worek. Musiał ostrożnie ją przenieść na rozłożysty fotel.

Upadła na niego i ciężko dyszała.

Po chwili znów jęknęła:

— Jezuuu, czemu oni to robią?!

— Co się stało? — Andrzejowi pierwszemu wróciła mowa.

— Ki diabeł? — Grabicki miał minę człowieka, który właśnie zgubił zwycięski los na loterii.

— Maksio. — wyjęczała. — Maksio, biedny, pierdolnięty ubek. Kochany Maksio! .

— Co się stało? — wystękał Andrzej.

— Maks Rozler nie żyje.

Okrzemkowa powoli wracała do równowagi, wyprostowała się i sięgnęła do torebki po papierosa.

— Nie żyje. Właśnie dzwonił nasz, to znaczy Maksia i mój, wspólny znajomy. — Zapaliła papierosa i wydmuchnęła ogromny kłęb dymu. — Zmarł naturalnie, jakiś zator tchawicy

i udar mózgu, ale, kurwa, znaleźli go w warszawskim metrze! Siedział tam jak bezdomny, nie ruszał się, no to sprawdzili i okazało się, że jest sztywny.

— Gnoje! — wrzasnął Andrzej.

— Bezwzględne, czerwone gnoje!

— Kim jest Maks? — cicho zapytał Grabicki.

Oboje, jak na komendę, spojrzeli na gospodarza.

— Przepraszam, kim był Maks? — poprawił się.

— Powiedz mu, Zdzicha.

Andrzej spuścił głowę. Czuł, że łzy same napłynęły mu do oczu.

Niewiele słyszał z tego, co dalej działo się w salonie. Zapamiętał jedynie, że Okrzemkowa mówiła o jego wieloletniej przyjaźni z Rozlerem.

Nie wytrzymał, wyszedł z salonu i wrócił do swojego pokoju.

Musiał być sam. Musiał w ciszy oswoić się z wiadomością o śmierci faceta, którego nigdy nie doceniał. Rozler zawsze jednak był. był niezniszczalny. był jednym z niewielu ludzi, których Andrzej mógł nazwać bliskimi. „Jak to wszystko poukładać w świecie, w którym za plecami nie ma już Maksa?” — myślał.

Czuł jakiś nieokreślony żal do przyjaciela. Jak mógł tak nagle umrzeć, uciec?

Jak mógł tak skrewić, dać się podejść. Jak mógł tak po prostu odejść. Nikt, nigdy tak wspaniale nie pił wódki, tak wspaniale nie towarzyszył. Wiedział, że po Maksie pozostanie wielka, czarna dziura, nie do zasypiania. Wielka dziura w jego życiu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z faktu, że nigdy nie powiedział Maksowi o tym, jak był mu bliski. Nie zdążył. Teraz mógł się tylko za niego pomodlić, ale co to da? Maks przecież nie wierzył w Boga.

Do pokoju weszła Zdzisława. Usiadła cicho na brzegu jego łóżka.

— Andrzej. — Dotknęła jego dłoni.

Popatrzył na nią nieobecny spojrzeniem.

— Jeśli chcesz się wycofać, ja to zrozumieć. Zrób to,

nikt nie może płacić cudzych rachunków. Ja jestem w tym bagnie z własnej winy.

— Nie — odpowiedział jej niespodziewanie spokojnym głosem. — Teraz to oni będą płacić!

Pogładziła go po głowie.

— Zdzicha! — fuknął, odsuwając się.

— Wiem, stara wariatka. Starej złodziejce zebrało się na sentymenty.

— Daj mi fajkę i skończmy to, co zaczęliśmy.

Za oknami zapadał zmrok. Siedzieli w rogu „Europejskiej”, pili wino. Starali się nie mówić o Funduszu Budowy Gospodarki. Zdzisława miała na sobie sukienkę, którą razem z Maciejem kupili w butiku na Krupówkach. Andrzej ze zdziwieniem dostrzegł, że w nowej sukience, z ładnie wymodelowaną fryzurą i w makijażu, wygląda interesująco. Po raz pierwszy dostrzegł w niej kobietę.

Metamorfoza Okrzemkowej była zasługą Macieja Grabickiego, który porwał ją na cały dzień. Odwiedzili fryzjera, kosmetyczkę i kilka sklepów z ciuchami. Zmusił ją nawet do założenia modnych, czarnych szpilek.

Zdzisława przez długi czas tłumaczyła się Andrzejowi z tej nagłej przemiany.

— Kurcze, małpę ze mnie zrobił. Ja i sukienki, fryzjer! Do diabła, to tylko mógł wymyślić taki wariatuńcio jak twój kuzyn. Czuję się w tym jak drwal w smokingu.

Usprawiedliwiała się, ale w jej spojrzeniu dostrzegł kokieteryjny błysk. Widział, że spodobała się samej sobie.

Kilka razy podchodzili do ich stolika starsi mężczyźni i grzecznie zapraszali ją do tańca.

Pili wino i obojgu na moment wydało się, że żyją w normalnym świecie. Pomysł Macieja, aby zafundowali sobie „ludzki wieczór”, zadziałał. Andrzej poczuł, jak na chwilę spadło z niego napięcie ostatnich tygodni. Kilka razy wybuchali nawet śmiechem. Przyglądali się zabawnemu wodzirejowi. Podglądali inne bawiące się w „Europejskiej” pary.

Komentowali zachowania podstarzałych podrywaczy i wdzięczących się do nich starszych pań. Wymyślony przez kuzyna wypad na five party do „Europejskiej” okazał się skuteczny. Był doskonałym sposobem na zanurzenie się w „życiu normalnych ludzi”, jak zachwalał imprezę Maciej Grabicki.

— Coś podejrzanie wierzysz się, panie szarmancki. —  
Zdzisława zmierzyła Andrzeja badawczym spojrzeniem.

— Masz rację, chyba muszę iść do toalety.

— Uuu, jaki kulturalny džentelmen! Moi znajomi zwykle walili bez ogródek, że idą się odpryskać — zachichotała.

Andrzej wstał od stolika. Kilka pań spojrzało na niego z widocznym zainteresowaniem.

W garniturze Ermenegilda Zegna, który podarował mu Georg Kravczik, rzeczywiście wyglądał całkiem foremnie.

Wszedł do dużej, wykafelkowanej na biało toalety, która za czasów PRL-u uchodziła za szczyt luksusu.

Umył ręce i już miał wyjść na salę, gdy kątem oka dostrzegł dwóch młodych mężczyzn stojących przy drzwiach.

— Gdzie się ryjesz, wieśniaku? — usłyszał.

Zignorował zaczepkę i ruszył do wyjścia. Pierwszy cios spadł mu na czoło. Odskoczył. Starął się stanąć plecami do ściany, było już jednak za późno. Kopnięty w kolano stracił równowagę, upadł na posadzkę.

Poczuł pierwsze kopnięcia w głowę i w brzuch, odruchowo skulił się i powoli zaczął tracić przytomność.

— Niech pan jeszcze raz opowie, co się wydarzyło.

Leżał na kozetce w szpitalnym ambulatorium. Obok niego stała Zdzisława. Jej sukienka i szpilki wyglądały w tym otoczeniu groteskowo. Pod białą, metalową szafką z lekami stał Maciej Grabicki. Miał obandażowaną lewą dłoń i rozciętą wargę.

Młody lekarz z trzydniowym zarostem na twarzy cierpliwie powtarzał swoje pytanie.

— To ja już coś mówiłem? — Poczuł, jak język ześlizguje

mu się po dziurze między przednimi zębami. Zdał sobie sprawę, że nie ma jedyńki. Napuchnięte wargi sprawiały ból przy każdej próbie mówienia. Nie widział na lewe oko, przez brzuch przebiegał skurcz bólu.

— Spokojnie, niech pan sobie coś przypomni — przemawiał łagodnie lekarz.

— Czy straciłem oko? — wystękał.

— Nie, jest tylko mocno zapuchnięte.

Poczuł ogromną ulgę. Powoli opowiedział lekarzowi wszystko, co zapamiętał z toalety w „Europejskiej”.

— Dobrze, że ten pan przyszedł panu z pomocą. — Lekarz wskazał na Macieja Grabickiego.

Kuzyn nadal opierał się o szafkę i z cierpkim uśmiechem spoglądał na Andrzeja.

Grabicki przyjechał do „Europejskiej” po swoich gości. Za- parkował swój wehikuł niedaleko domu handlowego „Granit” i wszedł do restauracji w czasie, gdy Andrzej był w toalecie. Usiadł przy stoliku obok Zdzisławy, ale po chwili, tknięty przecuciem, poszedł do toalety i trafił na moment, gdy młodzi mężczyźni katowali leżącego na posadzce kuzyna.

Potem, jak to określił, „przetrzepał skórę gówniarzom”.

Według relacji lekarza, obaj napastnicy trafili do szpitala w tym samym czasie co Andrzej. Jeden miał złamaną szczękę, a drugi rozplaszczony nos i wybity bark. Obaj dopiero odzyskiwali przytomność.

— Coraz większy bałagan w tej twojej wieży, jak tak dalej pójdzie, to myszy zjedzą twój cenny rękopis. — Grabicki skrzywił się, jakby przelknął cytrynę.

Opuchnięta warga nie pozwalała Andrzejowi na śmielszy uśmiech.

— Nie rozumiem. — Młody lekarz zamrugnął zmęczony.

— O, to, panie doktorze, bardzo długa historia. — Grabicki urwał i spojrzał na swoją obandażowaną pięść. — Hm, nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka — dokończył.

— Maciek. — Tym razem Andrzej sprawiał wrażenie, jakby przestał cokolwiek rozumieć.

— Po prostu szklarz, jak przystało na szklarza, miał

szklaną szczękę — zachichotał kuzyn.

— Panowie, wystarczy już chyba tych wrażeń — ton lekarza był stanowczy. — Pan idzie na zastrzyk przeciwko tężcowi, a pan Andrzej na białą salę — zakomenderował.

— A ja? — pisnęła Okrzemkowa.

Dopiero teraz zdali sobie sprawę z tego, że gadatliwa zwykle kobieta od dłuższego czasu milczy.

— Pani.? — Lekarz zastanowił się przez chwilę.

— Madame poczeka na d'Artagnana i potem posłusznie pójdzie z nim do domu. Andrzejka możemy spokojnie tu zostawić. Ci, którzy usiłowali go poturbować, sami zostali bardziej poturbowani przez los — szepnął Maciej.

— Nie nazwałbym tego losem. — Lekarz z wyraźnym szacunkiem spojrzął na zabandażowaną dłoń Grabickiego. — Gdzie się pan tego nauczył?

— Jak każdy dżentelmen, nie zaniedbuję szlachetnej sztuki szermierki na pięści. Po prostu jestem staromodny i lubię lorda Byrona.

— Hm, a ja myślałem, że to było zwykle mordobicie.

— Muszę pana zmartwić, doktorze.

Lekarz pytająco uniósł brwi.

— Nasz najbardziej poturbowany przyjaciel to postać żywcem wyjęta z Cervantesa, brak mu tylko Dulcyniei.

— A ja tu składam kości i szyję prozaiczne rany. Nawet nie wiem, że mówię prozą.

— Oczytany konował, niemożliwe! — Zdzisława natychmiast, z nieukrywanym przestraczem, zakryła usta. — Przepraszam — wybąkała skruszona.

Wszyscy wybuchli śmiechem.

Kiedy cały oddział interny w zakopiańskim szpitalu pogrążył się we śnie i nawet z dyżurki pielęgniarek przestały dobiegać odgłosy telewizora, Andrzej ostrożnie przekradł się do pierwszej sali od wejścia z korytarza. Leżało tam dwóch mocno obandażowanych typów. Jeden z nich nie spał. Zmierzył Andrzeja przerażonym spojrzeniem. Był unieruchomiony.

Brenner podszedł do wolnego łóżka i uniósł z niego poduszkę. Powoli zbliżył się do przerażonego pacjenta i nakrył nią

jego twarz.



## Rozdział X

Generał Ogorzelski patrzył w sufit. Milczał, głucho bębnił palcami w blat biurka.

Trzej mężczyźni, którzy stali pod ścianą jego gabinetu, przezornie nie spoglądali nawet na swojego dawnego przełożonego. Wiedzieli, że jest taka granica wściekłości, poza którą generał jedynie milczy.

— Od tej chwili nie macie prawa nawet pomyśleć o tym dziennikarzu. — Jego głos był cichy. — Jeśli jeszcze raz o was usłyszę, to. — Zamilkł.

Byli podwładni spoglądali na niego z coraz większym respektem. Przez ostatnie lata się zmienił. Dawniej zrugałby ich potokiem najbardziej wulgarnych wyzwisk, dobrze znali jego legendarne „opierdole”, a teraz. spokój, zaciśnięte szczęki. Ten spokój był gorszy, zwiastował przykrości, których nie byli w stanie sobie wyobrazić. To był spokój niewypowiedzianej, ale realnej zemsty.

Dawno nie służyli już pod rozkazami Ogorzelskiego, żadnemu z nich nie przyszłoby jednak do głowy, aby nie wziąć sobie do serca tej milczącej groźby.

Generał nie umiał wybaczać.

Kiedy gabinet opustoszał, Ogorzelski przeciągnął się w fotelu i wziął głęboki oddech.

— Wejdz — warknął nieprzyjemnym, metalicznym głosem.

Boczne drzwi gabinetu lekko zaskrzypiały i ukazał się w nich pułkownik Białecki.

— Koniec z tymi głębami z Zakopanego. Raz na zawsze koniec. Rozumiesz?! — Generał z trudem panował nad sobą.

— To był ich pomysł — szepnął Białecki.

— Tym gorzej dla ciebie.

— Ja.

— W tym problem, że czego byś się ostatnio nie dotknął, to spieprzysz.

Białecki otworzył usta, ale widząc minę szefa, jedynie spuścił oczy.

— Teraz mamy w Zakopanem śledztwo w sprawie pobicia. Z Brennerem rozmawiają inni dziennikarze. W „Gazecie Polskiej” napisali, że jest ofiarą esbeckiego spisku. Jest o nim za głośno. Kurrwa! Rozumiesz?! Za głośno!!! — ostatnie słowa generała były niekontrolowanym wrzaskiem.

— To się da naprawić.

— Jaaak?! — Twarz Ogorzelskiego niebezpiecznie poczerwieniała.

— Ciągłe mam kontrolę nad Brennerem. — Białecki śmiało spojrział szefowi w oczy.

— Taaak? I masz kontrolę nad tym, co napisze i gdzie to rozgłosi?

— Jeszcze nie.

— No to jaką, kurwa, masz kontrolę?

— Mam.

— To się niedługo okaże, na razie postaraj się, aby ci kretyni nie dotykali już sprawy pismaka. Z drobnego kłopotu robi się coraz większa afera.

— Szefie, przecież wiesz, że sam zawsze robię wszystko po cichu.

— Dobrze, w takim razie wytłumacz mi, dlaczego korzystasz z „Wiru”!

— To, to ty o tym wiesz?

— Wiem i nie podoba mi się to. Cywile to jeszcze gorsi partacze.

— Oni nie.

— Pamiętaj, że jak narobisz bagna, to ono samo cię wciągnie. Mnie koło ciebie nie będzie.

— Wiem!

— No to szczęść Boże!

— Aż tak źle mi życzysz?

Generał brodą wskazał przybyszowi wyjście.

— I wtedy on się rozplakał, szlochał jak niemowlę. Zsikał się ze strachu. — Andrzej starał się zachować powagę, ale twarze jego słuchaczy całkowicie mu to uniemożliwiły.

Maciej przemierzał pokój swoimi nieskoordynowanymi, strusimi susami. Zdzisława zakrywała usta, aby powstrzymać wybuch śmiechu, jej trzęsące się ramiona zdradzały jednak wszystko. Oparty o łóżko Andrzeja lekarz otwarcie rechotał, trzymając się za brzuch.

— Rzeczywiście. He, he, he! Moje pielęgniarki zastrajkowały, bo złał się jak cielę, aż siennik przelał. He, he, he! — relacjonował.

— Coraz gorszy jest ten narybek, coraz bardziej mokry.

— Okrzemkowa śmiała się w głos, a Andrzej bezwiednie wpatrzył się w jej falujące od wesołości piersi. — Chyba już zdrowieje — westchnęła.

— Taaak? — Grabicki zatrzymał się i skierował na nią roztargnione spojrzenie.

— Już zaczyna się wgapiać babom w cycki, a to dobry objaw.

— Nooo, chyba tak.

— Diagnoza należy jednak do mnie i dlatego proszę nie męczyć naszego pacjenta — wtrącił się ciągle chichoczący lekarz.

Brenner czuł się już całkiem znośnie. Składał właśnie relację ze swojej nocnej przygody. Napastnik z „Europejskiej”, unieruchomiony przez Grabickiego, rzeczywiście wpadł w panikę, gdy ujrzał nad sobą opuchniętą twarz niedoszłej ofiary. Kiedy zobaczył nad swoją głową poduszkę, która za chwilę mogła go udusić, rozgadał się jak przekupka.

Opowiedział Andrzejowi o swojej czteroletniej służbie w delegaturze Wojskowych Służb Informacyjnych, mieszczącej się niedaleko słynnego aresztu na Montelupich w Krakowie. Przypomniał sobie, że to właśnie WSI załatwiło mu pracę intendenta w wojskowym ośrodku wypoczynkowym w Kościelisku, zwanym popularnie „Salamandrą”.

Opowiedział, jak miesiąc temu w ośrodku zjawiał się tajemniczy pułkownik Stefanko i zlecił mu podpalenie domu Macieja Grabickiego. Dokładnie opisał wygląd owego pułkownika.

Andrzej nagrał jego wyjaśnienia na dyktafon

zamontowany w telefonie komórkowym. Maciej Grabicki powielił je w kilku egzemplarzach, a oryginał przekazał do Komendy Powiatowej Policji w Zakopanem. Policjantów bardziej zainteresował powód, dla którego Andrzej Brenner przestał meldować się na komendzie, jednak, chcąc nie chcąc, musieli od Grabickiego przyjąć także zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa.

Obaj napastnicy, leżący teraz w zakopiańskim szpitalu, zostali nawet poddani próbie przesłuchania, ale ponoć stan ich zdrowia wykluczał na razie taką możliwość.

Policjanci, którzy na co dzień nie mieli do czynienia z działaniami byłych funkcjonariuszy WSI, nie pałali ochotą do mieszania się w porachunki tajnych służb.

Dotychczas w Zakopanem przestrzegano niepisanej zasady, że liczne sprawy wojskowych wybryków armia załatwiała sama, nie mieszając do tego policji. W ten sposób policja miała przyzwoite statystyki, a wojsko nie musiało dopuszczać do swoich tajemnic cywili. Jednak zarówno pobicie w toalecie kawiarni „Europejska”, jak i anonim, który wpadł przez rozbite okno willi Grabickiego, stanowiły zbyt poważne dowody na to, że w Zakopanem ktoś zaczął się niebezpiecznie bawić. Do tego doszło jeszcze intrygujące nagranie, które sporządził Andrzej Brenner.

Ulgę przyniosła zakopiańskim śledczym odpowiedź na ich pismo, która po kilku dniach nadeszła z Warszawy. Działy kadr kontrwywiadu i wywiadu wojskowego kategorycznie oświadczały, że w ich jednostkach nigdy nie pracował nikt o nazwisku Stefanko. A już na pewno nie funkcjonował tam żaden „pułkownik Stefanko”.

Pułkownik Białecki od rana nie miał dobrego humoru. Niedawno zadzwonił telefon i znajoma przekazała mu treść pisma z zakopiańskiej policji. „Co mnie, kurwa, podkusiło, żeby jechać do tego Zakopanego i zadawać się z tymi kretynami?!” — zżymał się w duchu.

Na szczęście był pewien, że po śladzie „pułkownika

Stefanko" policja nigdzie nie trafi. Gdyby jednak dowiedział się o tym Ogorzelski! Pułkownik wzdrygnął się na samo wyobrażenie reakcji szefa. Nienawidził go i jednocześnie zabobonnie się go obawiał. Czuł w Ogorzelskim twardego 1 bezwzględne- go drania. Pamiętał wiele sytuacji, gdy generał bez mrugnięcia powieką doszczętnie niszczył kariery ludzi, i to za mniejsze przewinienia.

Przypomniało mu się zdarzenie z początku lat dziewięćdziesiątych.

Siedzieli w krakowskiej delegaturze WSI i od rana pili wódkę. Przed nimi leżał raport porucznika Romana Zajązkowskiego. Z raportu wynikało, że dawny agent Wojskowej Służby Wewnętrznej spotkał się z agentem niemieckiego wywiadu BND i przekazał mu tajemnice polskich zakładów zbrojeniowych w Krupskim Młynie, Mielcu, Łabędach i Siemianowicach Śląskich.

*Marek Dregacz, prawnik, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego pozostawał w naszych zasobach kadrowych od 1988 roku, kiedy na przejściu granicznym w Chyżnem został ujęty z transportem maszyn poligraficznych dla podziemia. Już na pierwszym przesłuchaniu zgodził się na pełną współpracę. Został zarejestrowany jako tajny współpracownik o krypto imię „Swiss” i pozostawał w osobistej dyspozycji generała Ogorzelskiego. Na skutek informacji ze źródła operacyjnego „Bochen” podjęliśmy operacyjne rozpracowanie jego aktyw ności przy sporządzaniu raportu na temat restrukturyzacji polskiego przemysłu stalowego. Dysponujemy dokumentacją fotograficzną, nagraniem spotkania oraz informacjami ze źródła operacyjnego „Bochen”, mówiącymi o tym, że Dregacz podjął współpracę bezpośrednio z rosyjskim GRU i na polecenie Rosjan przekazał tajne opracowanie o polskich zakładach zbrojeniowych oficerowi BND posługującemu się nazwiskiem Schroedemann, przebywającemu w naszym kraju w charakterze dyplomaty. Dregacz podjął także kontakty z oficerem Mosadu Josefem Ravivem. Istnieje podejrzenie, że także jemu sprzedał tajemnice naszych zakładów*

*zbrojeniowych. Ze względu na bezpieczeństwo państwa wnoszę o podjęcie natychmiasto wych działań i zawiadomienie o sprawie Ministra Obrony Narodowej...*

Wraz z Zajączkowskim raport podpisał szef krakowskiej delegatury, major Zenon Purgacz.

— No i, kurwa, mamy burdel! — wrzasnął pijany Ogorzelski.

— Załatwimy to, Dregacza się zgarnie, sprawę zrealizuje, a papiery potem zlikwidujemy — mamrotał Białecki.

— Gównu zrealizujesz. Nie czujesz tu Ruskich?

— No, właśnie dlatego zrealizujemy, przecież teraz mamy nowych sojuszników.

— Wiedziałem, że pracuję z idiotami, ale że aż z takimi?! Durniu, ta sprawa nigdy nie może dotrzeć do polityków.

— To co? — Białecki zbaraniał.

— Ochrona dla Dregacza, a Zajączkowski i Purgacz idą do kibla. — Ogorzelski chwycił go za ramię. — Jak mi, kurwa, cokolwiek zmienisz, to razem z nimi pójdiesz do gówna!

W ciągu trzech następnych tygodni porucznik Zajączkowski stał się bohaterem afery przemytniczej. Grupa dwunastu osób pod jego kierownictwem przerzucała do Polski kokainę z Wiednia. Barwne opisy afery znalazły się na czołówkach najbardziej poczytnych gazet, a jeden z dziennikarzy, który opublikował o niej kilka reportaży, otrzymał najpoważniejsze dziennikarskie wyróżnienia.

Zajączkowski powiesił się w wojskowym areszcie.

Purgacz został wysłany na placówkę dyplomatyczną do Kazachstanu. Szybko odszedł ze służby i został współnikiem profesora Dzieciołowskiego, który założył w Warszawie największą polską uczelnię prywatną.

Białecki kilka lat później był świadkiem spotkania Ogorzelskiego z Purgaczem.

Kanclerz Purgacz zginał się w lansadach i w lot odgadywał życzenia generała, który traktował go jak psa. Ogorzelski od ręki załatwił trzy doktoraty prawa dla oficerów, którzy właśnie odchodzili ze służby.

Wizyta na uczelni zakończyła się całonocną pijatyką,

w czasie której kilka pięknych studentek spełniało wszelkie zachcianki „panów dyplomatów”. Białecki otrząsnął się ze wspomnień. „Tak, z tym chujem nie ma żartów”.

Po południu zadzwoniła „Brigitte”.

— Jestem w Krakowie. Zapraszam cię do „Fariny” na ulicy Świętego Marka na owoce morza. Dziś są świeżutki. Zjemy sobie mule po walońsku.

Zaskoczyła go. Nie miał ochoty na powrót do Krakowa. U kuzyna czuł się wyśmianie, a poza tym ślady pobicia na pewno zaniepokoją „Brigitte”. Nie chciał jej martwić.

Wyczuła jego wahanie.

— Andrzej.

— Słucham. — Starał się, aby jego głos zabrzmiał beztrąsko.

— Czy coś się stało?

Gorączkowo poszukiwał w myślach jakiejś wymówki.

— Musisz mi powiedzieć, proszę, nie możesz nic przede mną ukrywać!

— Neeee, nic takiego. — Czuł, że się wkopuje.

— Powiedz mi. — Jej głos wibrował ze zdenerwowania.

— Nooo, nic, fajtłapa ze mnie, potknąłem się na ścieżce i wywaliłem na twarz — kłamał.

— Coś ukrywasz, czuję to. Tak nie można, muszę wiedzieć.

— Naprawdę nic się nie stało, wywaliłem się i trochę poturbowałem, ale już wszystko w porządku. — Zaczął myśleć nad tym, jak wykręcić się ze szpitala i jednak pojechać na kolację.

— To oni?! — krzyknęła do słuchawki.

Czuł, że za chwilę wybuchnie płaczem. Znał ją, nigdy nie histeryzowała.

— Nic się nie stało, spokojnie. Po prostu mały wypadek.

— Dalej jesteś w Zakopanem?

— Tak, trochę wypoczywam.

— Jadę do ciebie! — zakończyła rozmowę.

Tym razem wpadł już w prawdziwy popłoch. Wiedział, że nie żartowała. Przyjedzie do Zakopanego i.

Nie mógł na to pozwolić. Miał dwie godziny, aby uciec ze szpitala, zamaskować ślady niedawnych przeżyć i uspokoić ukochaną kobietę.

Zadzwoił do Grabickiego.

Po kwadransie ekspedycja ratunkowa złożona z kuzyna i Zdzisławy Okrzemek była już w jego szpitalnym pokoju.

Okrzemkowa przyniosła ze sobą całą torbę kosmetyków.

— Skoro tak się rzeczy mają, to potrzeba ci prawdziwego cutmana. — Baryton Grabickiego brzmiał spokojnie i rzeczowo. — Zakupiliśmy tu, z tą czcigodną damą, cały zestaw cyrkowy. Za chwilę będziesz śliczny jak młody bóg, tylko trybiku to ci będzie brakowało aż do czasu wizyty u solidnego den-tysty.

— Tylko z tym szpitalem kicha — westchnął Andrzej.

— Spokojnie, nasz łapiduszek też jest człowiekiem, dał ci wychodne na wieczór. Jest tylko jeden warunek.

Zdzisława miała wesołą minę.

Ze zdumieniem dostrzegął, jak pobyt w Zakopanem wydobywa z niej zupełnie innego człowieka. Przestała się garbić, lekko podmalowywała oczy, żartowała.

— Wiedziałem, że nie ma nic za darmo.

— Niestety, nie ma. Tak więc będziesz musiał wrócić do szpitala przed rannym obchodem.

— Uj, nasz Romeo chyba tego nie zniesie — wtrącił się Grabicki.

— Maciek!

— No co? Przecież nie tylko, że nie utuli swojej Julii porządnie, to jeszcze będzie musiał ją splewić.

— No właśnie. — Głos Andrzeja był tak zbolący, że Zdzisława odruchowo pogładziła go po rozczochranych włosach.

— Skoro już tworzymy łajdacką paczkę, to chyba coś wymyśliłam. — Uśmiechnęła się. Zamilkła i przez chwilę delektowała się pełnymi napięcia spojrzeniami mężczyzn. — Czy twoja luba zna Macieja?



— Nie.

— To dobra nasza.

— Mówże wreszcie, jędo! — wypalił Grabicki.

Zdzisława skromnie spuściła oczy.

— Widzę, że jak zwykle los wielkich herosów w końcu zależy od konceptu słabej białogłowy.

— Patrz, jak cholera nas torturuje. — Grabicki sadził wielkimi susami przez całą szerokość szpitalnej salki.

— Nooo. Dobrze, ale żebyście potem nie gadali, że spotkaliście największą kłamczuchę Układu Warszawskiego.

— No nie! Zaraz ją zdekomunizuję! — Grabicki wymierzył w Zdzisławę swój długi, sękaty palec wskazujący.

— A ja ucałuję — zachichotał nerwowo Andrzej.

— No więc będzie tak: po romantycznej kolacji we dwoje zadzwoni twoja komórka, odbierzesz i powiesz swojej lady, że właśnie dzwoni twój kuzyn z Warszawy i wzywa cię do siebie.

— Słabe — mruknął rozczarowany Andrzej.

— Jeszcze nie skończyłam. Oddasz jej słuchawkę, a Maciej wytłumaczy jej, że właśnie otrzymał duży spadek i następnego dnia w Warszawie jest spotkanie u notariusza, na którym będą załatwiane sprawy majątkowe.

— Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

— No właśnie. Maciej opowie jej, że zwariowana ciotka bardzo cię lubiła i życzyła sobie, żebyś był obecny przy odczytaniu testamentu i przekazaniu spadku Maciejowi. Dlatego pytałam, czy ona zna Macieja. Jeśli nie wie, że on mieszka w Zakopanem, to przecież może mieszkać w Warszawie. Powiesz jej, że aby zdążyć do notariusza, musisz wcześniej rano wyjechać do Warszawy.

— A jeśli zechce ze mną pojechać?

— To już twoja w tym głowa, aby nie zechciała.

— Trudna sprawa, ale jakoś to trzyma się kupy. Tylko w czasie kolacji musisz jej trochę nakłamać o naszej rodzinie, aby jakoś była przygotowana do tego, co usłyszysz — mruknął Grabicki.

Andrzej podparł brodę dłonią. Już teraz czuł się winny z powodu całej mistyfikacji, którą miał odegrać przed

„Brigitte”. Nic lepszego jednak nie przychodziło mu do głowy, nie mógł wciągać jej w szczegóły pobicia.

Przez następną godzinę Okrzemkova na spółkę z Grabickim zajmowali się charakteryzowaniem twarzy Brennera.

Spore ilości fluidu, pudru i delikatne podmalowanie damskimi cieniami do powiek sprawiły, że Andrzej nie poznał sam siebie.

Kiedy spojrzął do lustra, zobaczył twarz nieco otyłego mężczyzny z nienaturalnie wybrzuszoną górną wargą i sporym guzem na czole. Podbite oczy uzyskały tajemniczy cień i wyglądały, jakby należały do zmęczonego południowca.

— No, jeśli wybierzesz niezbyt oświetlony lokal i siądziesz w cieniu, to nikt nie pozna, że niedawno traktor przejechał ci po facjacie — ocenił Grabicki.

Andrzej był pełen uznania dla efektu jaki osiągnęli spis-kowcy.

Zabrzącał telefon.

— To ona — szepnął spłoszony.

— Odbieraj — nakazała mu Okrzemkova.

Błyskawicznie nastawił telefon na tryb głośnomówiący.

— Jędrus, jestem już w Poroninie, gdzie się spotkamy?

Zawahał się i pytająco spojrzął na Grabickiego.

— Po-raj — szepnął kuzyn.

— Zapraszam cię na wspaniałe rydze z patelni do słynnego „Poraja”.

— Tego na Krupówkach?

— Nie, tam już dawno nie ma tej restauracji, teraz przenieśli ją w okolice Krokwi.

— Oj, nie znam za dobrze Zakopanego.

— Spotkajmy się przy dawnym barze „FIS” koło dworca

PKS.

— Dobrze, będę tam pewnie za pół godziny, czekaj.

— Podwieź go tam swoją pierdziawką — zakomenderowała Zdzisława.

— Już się robi, szefowo! — Grabicki stanął na baczność.

— No tak, ale jeszcze muszę się jakoś stąd wydostać

i odziać.

— Nie doceniasz swoich towarzyszy. — Grabicki chrząknął znacząco i Okrzemkowa rozpakowała przepastną siate, którą wyciągnęła spod szpitalnego łóżka.

— Masz ten swój tip-top garniaczek, buciki i koszulkę. Garniaczek odczyszczony i na szczęście nie podarł się, dobry materiał. Możesz się przy mnie przebierać, ostatnio jakoś mało jestem wrażliwa na męskie uroki. — Okrzemkowa demonstracyjnie odwróciła się tyłem do Andrzeja.

Błyskawicznie zdjął przeпоcony dres i z lekkim jękiem przepakował obolałe ciało w garnitur Ermenegildo Zegna, ten sam, w którym zobaczyła go „Brigitte” w pociągu jadącym z Düsseldorfu.

— No, teraz wyglądasz jak „07 zgłoś się”. lekko chory na lumbago — zawyrokował Grabicki.

Cicho przemknęli przez wyludniony korytarz szpitalny. Z pokoju pielęgniarek dobiegały odgłosy show „Mam talent”.

Podejrzanie szczęknęła winda, więc szybko zniknęli w damskiej toalecie.

Przez korytarz przetoczył się wózek ze szpitalną kolacją. Zaleciało gotowanymi rybami i marchewką.

Bez dalszych przeszkód wydostali się na szpitalny parking, gdzie rozkraczyła się należąca do Grabickiego DKW union.

— Uff, jesteśmy ocaleni — szepnęła Okrzemkowa. Była spocona i czerwona z emocji.

— Tylko pamiętaj, że przed porannym obchodem musisz być w łóżku. Nasz lekarzyk tylko tyle był w stanie zrobić — ostrzegł Grabicki, zapuszczając hałaśliwie krztuszący się motor samochodu.

„Brigitte” wyglądała na mocno zdenerwowaną. Po raz pierwszy widział ją w dzinsach i niedbale dopiętej koszuli.

— Przyjechałam tu najszybciej jak tylko się dało. Miałam przeczucie, że coś ci się stało i potem, jak powiedziałeś mi, że się wywróciłeś, to już nie mogłam usiedzieć.

— Zawaliłaś swoje obowiązki?

— Trochę, ale to teraz zupełnie nieważne. Pokaż mi swoją buzię!

W tym momencie błogosławił w myślach Okrzemkową i kuzyna za to, że doradzili mu zarezerwować stolik w słabo oświetlonej piwnicy „Poraja”.

Anna milczała, wyglądała na spłoszoną, kiedy zapalała papierosa, zauważył, że lekko drżą jej palce.

Miał coraz większe wyrzuty sumienia. Wyrzucał sobie w duchu, że zaplanował oszustwo i teraz myśli tylko o tym, jak wywinąć się od jej pytań.

Dziewczyna w góralskim gorsecie, który opinał jej wielkie piersi i przyciągał spojrzenia kilku osób pałaszujących o tej porze specjały z „Poraja”, wniosła skwierczące na maśle rydze. Pachniały świeżym, lekko winnym zapachem.

Rydze, jedyne na świecie grzyby, które tak potrafiły smakować, były ich wspólnym wspomnieniem z młodości. Luksusowym smakołykiem, który mogli sami sobie przyrządzić.

Andrzej przywoził grzyby z Zakopanego i potem smażyli je na maśle w akademikowej kuchni. Późną nocą, na pierwszym piętrze nieotynkowanego akademika „Bursa Jagiellońska”, we wspólnej kuchni, na powyginanej patelni odziedziczonej przez „Brigitte” po babci, skwierczały magiczne rydze.

Siedząc w „Poraju” obserwował jej ściągnięte rysy, dyskretny sposób jedzenia, czuł zapach jej stonowanych perfum.

— Kocham cię, dziewczyno.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Nie pozwolę, abyś znikła tak jak wtedy. To już ostatnia chwila, więc nie będę się zastanawiał. Zatrzymam cię siłą, podstępem, magią. Zatrzymam cię za cenę wszystkiego, co mam.

Słuchała go skupiona, w milczeniu, po jej policzku stoczyła się duża łza.

— To zrób to — wyszeptwała.

Po twarzy Anny pełgał ciepły odblask płomienia stojącej na stole świecy. Teraz, gdy była dojrzałą kobietą, była jeszcze piękniejsza niż w młodości. Na jej twarzy odcisnął się cień zagadkowego namysłu. Zmarszczki mimiczne i delikatne cienie pod oczami dodały jej charakteru, wyrazu nieodgadnionej tajemnicy.

„Życie rzeźbiło ją szlachetnym rylcem” — pomyślał.

— To zrób to! — powtórzyła z mocą.

— Jak? — wyrwało mu się.

— Zostaw tę książkę, zostaw te afery i wyjedź ze mną.

Uciekł spojrzeniem.

Ścisnęła mu dłoń.

— Daj mi jeszcze chwilę, to naprawdę ostatnia taka sprawa. Potem już nic nie będzie ważne — szepnęła.

W tym momencie zadzwonił jego telefon.

Odegrał przed nią spektakl rozmowy o nagłym spadku. Zrobił zboląłą minę i poinformował ją o pilnej potrzebie wyjazdu.

— Dobrze, Andrzeju, przecież ja nie chcę ci przeszkadzać, wpadłam tylko na chwilkę. Uspokoić się, nacieszyć. Dojedźmy spokojnie, a potem odprowadzisz mnie do samochodu i po- jadę sobie.

Pocałował ją w policzek.

— Cały pachniesz lekarstwami. — Wzdrygnęła się.

— W końcu trochę się wywalilem.

Kiedy wychodzili z „Poraja” złapała go za ramię i spojrzała mu w oczy.

— Po co ci to?

— Co?

— Ta diabelska książka!

— Zacząłem, to skończę.

— Czy myślisz, że ktoś na nią czeka?

— Nie wiem.

— To ja ci odpowiem. Ludzie nie chcą tej twojej prawdy. Ludzie chcą spokojnie żyć! To jest urojona wojna. Rozwalisz wszystko i co dalej?! Kto chce takiej wojny?! Zniszczysz siebie, zniszczysz nas! — wybuchła.

— Aniu.

— Daj mi spokój! — wyrwała się i podbiegła do samochodu.

— Aniu, przecież wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko. Mogę być nawet pomywaczem w tej twojej Szampanii.

— To wsiadaj do samochodu! Zabiorę cię, wyleczę i wywożę z tego cholernego kraju. — Przerwała i ze złością uderzyła pięścią w kierownicę samochodu.

— Tak, tak, wiem. Teraz nie mogę, Aniu, ale to jeszcze tylko kilka dni, potem zrobimy co chcesz.

— Ale ja chcę teraz! Ja chcę przestać się martwić! — przedrzeźniała jego sposób mówienia. — Po co to robisz?

— Dla siebie.

— Pieprzony egoista!

— Proszę. Musisz mnie zrozumieć. Przecież nie chciałabyś żyć z niewolnikiem, z kimś kto sam siebie nie szanuje.

— Ja chciałabym wreszcie z kimś żyć.

— I tak będzie.

— To chyba tylko w tej twojej przeklętej książce. bo nie w życiu! — Trzasnęła drzwiami i odjechała.

Naraz poczuł się obolały. Spoglądał na oddalający się samochód i w głębi duszy przyznawał „Brigitte” rację. Przecież tu nawet nie chodziło o poglądy i prawdę.

Ta książka stała się dla niego niewytłumaczalnym pojedykiem — ze wszystkimi, ze wszystkim, co nie pozwoliło mu dotychczas poczuć się spełnionym. Uchwycił się tej książki jak ostatniej fali. Sam siebie wpędził w matnię. Jeśli teraz odstąpi, to sam sobie pokaże, że jest nieudacznikiem, słomianym bohaterem, gęgaczem, który nie ma w sobie siły, aby spokojnie udowodnić swoje racje. Wiedział jednak, że jeśli będzie ciągnął dłużej ten swój pojedynek, straci kobietę.

Powoli powłókł się w stronę szpitala.

Dwa dni później uprosił sympatycznego lekarza, aby wypisał go ze szpitala i w tajemnicy przed mieszkańcami

„Grabisiówki" wślizgnął się do pokoju Pierackiego.

Na szczęście Maciej już spał, a z pokoju Zdzisławy sączyła się jedynie delikatna poświata.

„Pewnie jeszcze czyta" — pomyślał i na palcach wspiął się schodami do swojego pokoju.

Nazajutrz napisał krótki list do Macieja i Zdzisławy, spakował podróżny worek i wyjechał nocnym autobusem do Kra-kowa.

Następnego dnia rano zameldował się na komisariacie przy ulicy Szerokiej i powlókł się do swojego mieszkania. Pachniało stęchlizną i tłustym kurzem.

Od czasu rewizji nie lubił już tej małej dziupli przy ulicy Praskiej.

Dzień później odwiedził mecenasa Druzgałę, usłyszał, że sprawa nie wygląda zbyt różowo, ale mecenas ma jeszcze w zanadrzu kilka „druzgałowych chwytów".

Słońce paliło niemilosiernie, snuł się po Rynku w nadziei, że coś sensownego przyjdzie mu do głowy. Nie przyszło, nie spotkał też nikogo, z kim chciałby się napić.

„Brigitte" się nie odezwała. Nie miał pojęcia, gdzie teraz może być.

Nie zadzwonił.

Wpadł do klubu dziennikarzy „Pod Gruszką" i samotnie, siedząc pod żeliwnym popiersiem Ludwika Jerzego Kerna, wypił trzy setki. Potem odwiedził „Still Bar" na Gołębiej, wypił dwie setki krupniku. Myśli zwolniły, rozmazały się w leniwym zmęczeniu. Rozzalił się nad sobą.

W końcu wsiadł w tramwaj i wylądował na pętli w Łągowicach.

W budach tuż przy pętli paliło się jeszcze kilka świateł. Chciało mu się palić, a nie miał już papierosów. Pobiegł więc do rozjaśnionego kilkoma żarówkami bieda-baru w jednym z nielicznych ożywionych jeszcze o tej porze baraków.

— Cześć! — usłyszał przy wejściu.

Uniósł głowę.

W drzwiach stał potężny drab. Uśmiechał się do niego przyjaźnie. Znajoma gęba.

No tak, to przecież Tomek — znał go z czasów, gdy Cracovia grała jeszcze w trzeciej lidze.

Andrzej bywał wtedy na meczach, upajając się swojską atmosferą. Pili wódkę, smażyli kielbaski i pijani darli się wniebogłosy: „Cracovia, Cracovia ukochany klubie nasz.” i „Słuchaj Jezu jak cię błaga lud, wróć Cracovii mistrza Polski, wróć .

Pamiętał, jak razem z Tomkiem byli na meczu w Staszowie i zniecierpliwieni porażką wpadli na płytę pachnącego rżyskiem boiska. Policja użyła broni, z gładkolufowych strzelb poleciały gumowe kule. Tomek dostał w twarz, pocisk przebił mu policzek, wybił trzonowy ząb i wylądował na języku. Krew buchała przez rozerwaną zuchwę, a Tomek dzielnie stał na nogach i trzymał pasiastą flagę aż do momentu, gdy Andrzej wyjął mu ją ze słabnących rąk. Obok beczała koza, którą po drodze ukradli wieśniakowi z zagrody.

— Nie daj dupy — mamrotał wtedy mdlejący Tomek.

Nie dał. Przedał się przez otaczający stadion kordon i wywiózł zakrwawioną flagę do Krakowa. Dzień później spotkał Tomka w „Still Barze”. Opuchnięty, z zabandażowaną po oczy twarzą, siedział w najciemniejszym kącie speluny.

Andrzej rzucił flagę na stolik i natychmiast utonął w niedźwiedzim uścisku wielkiego chuligana.

— To jest Andrzej, człowiek boży — wystękał zza zasłony bandaży Tomek.

Po bandażach pociekły łzy. Był pijany w trzy dupy.

Pili dalej aż do rana.

— Inteligent w moich niskich progach! — wrzasnął Tomek i wielką łapą klepnął Andrzeja w plecy. — Chodź, zobaczysz moje łagiewnikowskie królestwo. — Bez ceregieli wepchnął go do ciemnego wnętrza baru.

Odrapane ściany, dwie lodówki z piwem i automat do gier hazardowych. W niewielkim, przesączonym tytoniowym dymem wnętrzu mieściło się tylko kilka sprzętów. W rogu stała wyszczerbiona i pokryta tłustymi plamami drewniana ława, wokół której siedziało nieznanne Andrzejowi towarzysztwo.

— Mój druh, inteligent! — ryknął Tomek



i zdecydowanym ruchem przesunął siedzącego na skraju draba.

— Miejsce dla kolegi — mruknął. — Moje towarzystwo. — Tomasz skłonił się z galanterią przed pijącą przy ławie kompanią. — Pan Sewek, były cinkciarz, pan Prot, kibic, i pani Bodzianna — przedstawił biesiadników. — A to pan Andrzej, dziennikarz!

Na ławie stały dwie napoczęte butelki gruszkówki i kilkanaście puszek piwa. Z popielniczki wysypywał się stos nie-dopałków.

Przed Andrzejem wyrósł plastikowy kubek, który Tomek do połowy napełnił wódką.

Dopiero teraz, w trupim świetle zwisającej z sufitu żarów-ki, Andrzej dostrzegł rozległą bliznę na policzku gospodarza. Ślad po wydarzeniach w Staszowie. Od czasu, gdy ostatni raz się widzieli, Tomek stracił jedynekę i zabawnie seplenił, wypowiadając bardziej skomplikowane wyrazy. Pod tym względem byli teraz braćmi.

Dziewczyna była ładna. Miała pełne, pomalowane na czerwono wargi, długie ciemne włosy i obcisły sweterek uwydatniający pokaźny biust.

— Ledwie tu dycham, ale muszę wytrzymać do listopada — usłyszał nad uchem.

Podniósł na Tomka pytające spojrzenie.

— Kurwa, gdyby nie ta maszyna, to zdechłbym z głodu, a tak wyrobię jakieś sto pięćdziesiąt dziennie i idzie wyżyć. Czekam tylko do listopada, bo wtedy kończą mi się zawiasy i będę mógł znów wyfrunąć.

Andrzej pamiętał, że kilka lat temu Tomasz był królem życia. Miał sporo pieniędzy i całe noce spędzał na pijatykach w krakowskich barach. Był wtedy znany z przemytu ukraińskich papierosów.

— Znów sobie pojedę do Lwowa, pokocham się z dziewczynami, oj, kurwa, tylko marzę, żeby znów wyfrunąć. Tam jest życie!

Wypili.

— Pan naprawdę jest dziennikarzem? — Bodzianna miała miły, melodyjnie brzmiący głos.

- Byłem.
- Już pan nie jest?
- Już nie.

Dziewczyna przysiadła się do niego. Wypili bruderszaft.

— Naprawdę mam na imię Bożena, ale Tomek lubi każdemu przekręcić, to mnie nazwał Bodzianną i teraz wszyscy tak na mnie mówią.

Wypili następną kolejkę gruszkówki. Tomek poczęstował Andrzeja mocnym papierosem, dym gryzł aż w żołądku.

— Jeszcze ze starych czasów — wymamrotał. Był już tak pijany, że ledwo opierał się o ławę.

— Ładna jesteś — Andrzej zdziwiony usłyszał swój własny głos.

Czuł, jak alkohol łagodnie rozmazuje mu kontury obskurnej meliny Tomka. Czuł też, że narasta w nim ochota na zapomnienie o kłopotach i o wszystkim, co zdarzyło mu się w ciągu ostatnich tygodni.

Delikatnie wsunął rękę pod bluzkę dziewczyny. Nie odsunęła się.

— Nie musimy tu siedzieć. — Dotknął wargami jej ucha.

— Nie musimy? — Odsłoniła szyję.

— Wypij, pójdziemy.

Wypili oboje. Nikt z obecnych nie zwracał na nich uwagi. Twarze odpływały w pijackiej mgle, podłoga zaczęła lekko się chybotać.

— Bodzianna.

— Uhm.

— Chodź.

Z trudem wydostali się na zewnątrz. Owionęło ich chłodne wieczorne powietrze.

Dopiero teraz poczuł, jak jest pijany. Dziewczyna szła obok i delikatnie podtrzymywała go za ramię.

Zatrzymała taksówkę.

— O, mąż chyba trochę nie teges? — usłyszał głos kierowcy.

— Dokąd mamy jechać? — spytała cicho.

Bełkotliwie podał taksówkarzowi swój adres.

— Chyba troszkę za dużo było, co?

— Niech pan pilnuje drogi, nie pańska sprawa — usłyszał stanowczą odpowiedź dziewczyny.

Ile ona może mieć lat? Skąd się wzięła? — pytania powoli zlewały się w jego głowie w ciąg nieartykułowanych gwizdów, błysków i sennego majaczenia.

Pod drzwiami swojego mieszkania czuł, jak go tarmosi, coś do niego mówiła. Wygrzebał klucze i trzask — wszystko ucichło, odpłynęło.

Obudziło go dokuczliwe światło. Podniósł powieki i nagle poczuł iskrzące uderzenie bólu. Głowa trzeszczała, jakby za chwilę miała eksplodować. Przy łóżku stała miednica.

Usłyszał brzęk dobiegający z kuchni i zerwał się na równe nogi.

Dziewczyna była naga, przepasana jedynie kąpielowym ręcznikiem. Stała tyłem i smażyła coś na patelni, właśnie wbiła do niej jajka.

— Jasny gwint! — wyrwało mu się.

Odskoczyła od kuchni i odwróciła się płoszona.

— Cześć — wymamrotał niepewnie.

— Cześć, już ożyłeś, żołnierzu?

— Żołnierzu?

— Wojowałeś wczoraj jak komandos.

Dopiero teraz spojrzął na nagie piersi dziewczyny i jej zaróżowione policzki.

— Kochaliśmy się? — starał się, aby jego głos zabrzmiał obojętnie.

— Żałujesz?

— Nieee.

— Nie bój się, nie jestem ani złodziejką, ani kurwą.

— To kim właściwie? — wypalił.

— Bożena, bezrobotna, niedokończona pielęgniarka, chwilowo bez przydziału.

— To co robiłaś tam, u Tomka?

— Nie mam nic do roboty, a przy Tomku nic mi się nie może stać.

— Jak zauważyłem, to mu się podobasz.

— Pewnie, że mu się podobam, bo jestem jego kuzynką.

— A nie wyglądasz — znów za późno ugryzł się w język.

— Coś mi się wydaje, że musisz zjeść solidne śniadanie, aby zacząć jarzyć.

— Przepraszam.

Na stół wjechały smakowicie pachnące sadzone jajka na kielbasie posypane świeżym szczypiorkiem.

— Szczypiorek? — Po raz pierwszy spojrzął w jej ładne, ciemne oczy.

— Jak już znudziło mnie zmienianie miednic i okładów na twojej głowie, to odwiedziłam sklep na osiedlu i kupiłam jarzynki.

„Przecież ona jest z dwadzieścia lat młodsza ode mnie”

— myślał spanikowany.

— Czy ja? ...

— Trochę się do mnie dobierałeś, ale niestety nie byłeś w stanie.

— Niestety?

— A tak, bo wczoraj miałam na ciebie ochotę. Spodobałeś mi się.

— No tak — mruknął zrezygnowany.

Była naprawdę atrakcyjną dziewczyną — seksowna, dobrze zbudowana. Podniecała go jej bliskość, młodość. Siedziała z bezwstydnie obnażonymi piersiami, a te aż prosiły się o pocałunki i pieszczoty.

Poczuł na sobie jej zaciekawione spojrzenie.

— Tak było przed tymi kilkoma pawiami, które musiałaś wynieść, i przed tym wszystkim, do czego zdolny jest stary facet.

— Ani nie stary, ani nie taki znów obleśny. Było całkiem fajnie. — Usiadła bliżej.

Teraz czuł bijące od niej ciepło. Przymknęła oczy i nieznacznie unosząc brodę, rozchyliła wargi.

Objął ją, pocałował, wpił się w jej młode usta, przywarł do niej całym ciałem. Oboje przeturlali się na kuchenną podłogę.

Kochał się z nią zachłannie, namiętnie. Był bezwstydnym, tak jak może być bezwstydnym czterdziestoletni facet, który ma w ramionach młodziankę, świeżą i emanującą seksem dziewczynę. Sycił się nią bez skrępowań, dochodził w niej i uczył ją wyrafinowanych pieszczot. Dopiero około południa spoceni legli obok siebie, ciężko dysząc.

— Zaspokoileś mnie, kochany — wyszeptała bez ogródek.

— Dobrze?

— Baaardzo, mmm, dawno tak mnie nikt nie wyobrażał.

— Przeciągnęła się jak leniwa kotka.

Sutki ciągle miała nabrzmiąle i twarde. Całował je i czuł, jak bije jej serce. Jednocześnie rosło w nim ogromne poczucie winy.

— Myślisz o tym, co nastąpi, kiedy sobie pójdę?

— Nie.

— Nie kłam. Zrobiłeś to, co chciałeś, więc po ci dalej ten kawałek baby?

— Nie bądź wulgarna.

— A ty zakłamany. — Zamknęła oczy.

— Przecież. — Zakryła mu usta dłonią.

Naraz poderwała się.

— Chodźmy jeszcze na obiad. Zjemy jak para zakochanych i potem Bodzianna zniknie. — Była wesoła, sprawiała wrażenie, jakby seks i późniejsza rozmowa nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

Poszła do łazienki i po chwili dobiegł stamtąd odgłos spadającej spod prysznicy wody.

Pospieszenie założył spodnie.

Z łazienki wyszła ubrana tak jak poprzedniego dnia wieczorem.

— Czy wyglądam tak, jakby przed chwilą przeleciał mnie obcy facet?

— Wyglądasz bardzo ładnie.

— No to chodźmy. Ciekawe co pomyślą sobie twoi sąsiedzi. — Guzik mnie to obchodzi.

— Pewnie pomyślą, że znów sprowadził sobie kurwę z miasta.

— Nie sprowadzam kurw z miasta.

— A ja?

Popatrzył jej prosto w oczy. Nie chciał kłamać, czuł, że dziewczyna zasłużyła na szczerłość.

W końcu bezradnie rozłożył ręce.

— No dobra, zgódźmy się, że takie półkurwie barowe. Okej? — Uśmiechnęła się tak, jakby rozmawiała z nim o pogodzie.

— Nie myślę tak.

— To co, chcesz to jakoś ładnie opakować?

— Opakować?

— No tak, zawinąć w ładny papierek, okleić folią i wrzucić gdzieś w pamięć, aby potem nie myśleć o sobie źle.

— Bożena! — mruknął bezsilnie.

— Ja chciałam.

— Ja też.

— To w czym problem?

— W tym.

— że nasze niezłe pieprzenie nie zamieni się w piękne uczucie? — przerwała mu spokojnym tonem.

— Chodź, zjemy razem obiad w jakiejś włoskiej knajpce — zaproponował.

Taksówka zawiozła ich do restauracji „Da Pietro” mieszczącej się u wylotu ulicy Wiślniej, tuż przy Plantach.

— Wiesz, ja to może nawet mogłabym się w tobie zakochać, robić ci jakieś kolacyjki, wierzyć ci w dziwne historyjki, gdy będziesz mnie zdradzał, czekać, słuchać cię, gdy będziesz chciał się wyzalić na durny świat.

— Przestań. — Zasłonił jej dłonią usta.

Siedzieli w przytulnej piwnicy, do której nie docierało światło słonecznego dnia.

Na stole paliła się świeczka. Oboje byli już mocno głodni i ze smakiem pałaszowali makaron penne alla Toscana.

— Przestań — powtórzył i łagodnym gestem otarł jej z kącików ust krople smakowitego sosu.

Z niepomalowanymi ustami wydawała mu się zupełnie niewinna. Ładne, pełne wargi, ciekawy błysk w oczach. Młoda.

— Poszłam z tobą. — Zawahała się przez chwilę. — Chyba czekam na takiego faceta — dokończyła, spoglądając mu już odważnie w oczy.

Musiał mieć głupią minę, bo w spojrzeniu dziewczyny zapaliły się wesołe iskierki.

— Spokojnie, zaraz stąd wyjdę i zniknę — parsknęła. — Właściwie już. — Wstała i pospiesznie odsunęła krzesło.

— Nie jesteś kurwą! — zdążył rzucić, patrząc na jej zgrabne ruchy na schodach.

— Wiem! — odchrząknęła wesoło. Nawet się nie odwróciła.

Świeca zaczęła skwierczeć, a on bezmyślnie grzebał widelcem w talerzu.

— Podać panu coś jeszcze? — usłyszał nad sobą natrętny głos kelnera.

— Tak.

— Służę uprzejmie.

— Niech mi pan poda przepis.

— Ooo, to nasza firmowa tajemnica. Zna go tylko nasz włoski kucharz.

— To jej tajemnica.

— Proszę?

— Nic, niech pan da już rachunek.

Wieczór spędził samotnie. Siedział nad Wisłą i tępo wpatrywał się w leniwie płynącą rzekę.

Nie czuł się dobrze sam ze sobą, ale w towarzystwie innych ludzi czułby się jeszcze gorzej.

W Zakopanem przeżył najbardziej gwałtowne momenty ostatnich tygodni, jednak właśnie u kuzyna w „Grabisiówce” było najbezpieczniej. Odkąd bywała tam też Zdzisława, czuł, że to najbardziej odpowiednie miejsce na dokończenie

książki.

Kiedy autobus mijał most w Poroninie, zawibrował telefon Andrzeja.

– Wiem, że jedzie pan teraz do Zakopanego.

– Z kim rozmawiam?

– Odpowiem standardowo. z przyjacielem.

– Nie mam ochoty na wasze sztuczki. Jak chcecie mnie przesłuchać, to przyslijcie oficjalne wezwanie. Na papierze.

– Niech pan posłucha.

– Nie, to pan niech posłucha. Papier, rozumie pan, papier, coś, czego bardzo nie lubicie. Dopóki nie dostanę papieru, w dupie mam wasze telefony! — Andrzej był coraz bardziej rozdrażniony.

– Nie mam czasu, kretynie! — Tym razem Andrzej zaniemówił, co pozwoliło nieznanemu przejąć inicjatywę.

Po skończonej rozmowie dziennikarz długo zastanawiał się, dlaczego nie przerwał połączenia. Kilka dni później błogosławił się w myślach za to, że mężnie zniósł zniewagę i pozwolił na dalszy ciąg rozmowy.

– Nie będę ci nic tłumaczył. Musisz mi zaufać. Dziś wieczorem pójdziesz na kolację do „Obrochtówki”.

– Po co?

– Zobaczmy, czy naprawdę masz jaja, czy też jesteś tylko egzaltowanym harcerzykiem.

– No, no. — Andrzej powoli odzyskiwał rezon, jednak męski głos po drugiej stronie był spokojny i zdecydowany.

– Przyjdź sam — rozmowa się urwała.

Spocony, prawie godzinę musiał odczekać, siedząc w autobusie, który ugrzązł w korku przy wjeździe do Zakopanego. Od Harendy aż do dworca PKS autobus włókł się niemilosiernie.

Liczący dobrze ponad cztery kilometry dystans z dworca do willi kuzyna Andrzej pokonał w dwadzieścia minut. Dopiero gdy dobiegł do kutego ogrodzenia „Grabisiówki”, poczuł, że nawet majtki ma kompletnie mokre od potu.

Był tak podniecony, że nie potrafił składnie opowiedzieć kuzynowi o przebiegu tajemniczej rozmowy.



— Maciek, czuję, że oni zaczynają pękać! Wiedzą, że przesadzili i pewnie teraz chcą umyć ręce! — wykrzykiwał.

— Jacy oni, braciaszku? Czy w tym Krakowie to już tak źle z powietrzem?

— Jakim, cholera, powietrzem! Mówię ci o przełomie, przetrzymaliśmy ich, rozumiesz? Przetrzymaliśmy!

— Kto my jesteśmy, to ja wiem, ale kogo łaskawie przetrzymaliśmy? Jak na razie to widzę, że twoja karoseria nieźle przetrzymała mordobicie w „Europejskiej”, ale silniczek chyba zaczął buksować.

— Maciuś, błagam cię, ty słuchaj!

— Przecież ja słucham, tak jak głupi, gdy trawa rośnie.

— Oj, durny ty! Tu nie ma czasu na żarty.

— Braciaszku, mam pomysł, poczekajmy do wieczora. Przyjedzie nasza madame Mendelejew, ona potrafi lepiej to wszystko zrozumieć.

— Wieczorem, to ja muszę być w tej pieprzonej „Obrochtówce”.

— No wiesz co, wiele rzeczy można pieprzyć, ale „Obrochtówki” bym o to nie posądził.

— Jesteś piekielną zmiją, pieprzony pacykarzu!

Andrzej wściekły wbiegł na schody i zaszył się w pokoju Pierackiego.

Maciej Grabicki usłyszał stamtąd głośnie zgrzytnięcie klucza w zamku i doszedł do wniosku, że tego popołudnia bezpieczniej będzie trzymać się z daleka od nabuzowanego emocjami kuzyna.

„Obrochtówka, agentura, pękają. Hm, tylko nasza madame Mendelejew potrafi to dokładnie poukładać na półkach”

— pomyślał, uśmiechając się sam do siebie.

Coraz bardziej lubił Zdzisławę Okrzemek i, jak twierdził, „wcale nie przeszkadzał mu fakt, że była «kobięcym wydaniem człowieka»”.

Zdzisława przyjechała przed siedemnastą. Jak zwykle wszystkie potrzebne w podróży rzeczy zmieściła w niewielkiej walizeczce. Zjedli doskonały rosół, ugotowany na „sabałowym kogucie” — tym mianem pani Różia określała kury hodowane

w ogródku przy willi Stanisławy Biegunówny, która stała w odległości nie większej niż sto metrów od słynnego pomnika Sabały. Żeliwnemu Sabale nie żyło się słodko, ktoś wiecznie kradł mu smyczek od gęśli.

Pokrzepiona Zdzisława postanowiła, że podejmie misję wyciągnięcia Andrzeja z pokojowego azylu.

— Andrzej! Czas przygotować plan na wieczorną kolację — starała się nadać swemu głosowi jak najbardziej wabiący ton, co poskutkowało melanżem chrypy i mutacyjnego tembru dorastającego chłopca.

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie i stanął w nich roześmiany od ucha do ucha Brenner.

— Wy mnie kiedyś wykończycie! — rechotał.

— My? — Zdzisława niewinnie wywróciła oczy.

— A wy. Syrena się znalazła.

— Jaki Odys, taka syrena! — odgryzła się naburmuszona i nie czekając na odpowiedź, lekko zbiegła po schodach do szykującego kawę Macieja.

Pół godziny później cała trójka zgodnie popijała kawę w salonie.

— Na moje wyczucie, to nie są oni — zawyrokował Maciej.

— No pewnie, że nie oni. — wtórowała mu Zdzisława.

— To ktoś z boku. Pójdiesz tam i przekonamy się.

— Jak to, przekonamy się?! — Andrzej gwałtownie przerwał Maciejowi i tym razem on zaczął nerwowo chodzić wokół stołu.

— On ma rację, przecież my cię tam samego nie puścimy. Wcześniej trochę rozmawialiśmy z Maciejem i uradziliśmy, że też tam pójdziemy.

— Gdzie?

— No do tej „Obrośkówki”.

— „Obrochtówki”! — Andrzej znów stał się rozdrażniony. — Przecież już wam mówiłem, że mam tam przyjść sam, rozumiecie? Sam!

— No i przyjdiesz, bratusiu, sam, a my, że się tak wyrażę, w charakterze tielochroniteli.

— Maciek! Ty i Dzik jako ochroniarze?

— Oj, a pamiętasz, co się stało w „Europejskiej”?

— Nooo, tak. — Andrzej odruchowo pomacał się po szczęce, w której nadal brakowało przedniego zęba.

— Więc słuchaj. Ty wejdiesz tam sam, a za jakiś czas my się tam zjawimy, będziemy udawać małżeństwo. No i weźmiesz ze sobą takie małe coś. — Grabicki wyjął ze stojącego na stole pudełeczka niewielki, wpinany na spinkę mikrofon. — Ty to sobie przypniesz do koszuli od spodu, a Zdzicha będzie miała w torebce odbiornik.

— Cholera. — Andrzej stanął i zdezorientowany zaczął przyglądać się swoim towarzyszom.

— No, już ci przecież mówiłam — jaki Odys.

Andrzej zrezygnowany machnął ręką i rozpiął koszulę.

— No to zakładaj te swoje sprzęty, pacykarzu!

— Moje to mogą być pędzle, a to cacuszko przywiozła nasza hrabina Skarbek.

— Skarbek? — Andrzej otworzył ze zdziwienia usta.

— Nie słyszałeś nigdy o polskim Bondzie w spódnicy? Hrabina Skarbek, najlepsza agentka Churchilla i angielskiego wywiadu w czasie drugiej wojny światowej. Baba urody nadnaturalnej, diabeł wcielony. Autor „Bonda” Fleming zakochał się w niej bez pamięci i to właśnie ona była prawdziwym pierwowzorem postaci superagenta. Jak przystało na prawdziwą heroinę, nie umarła we własnym łóżku. Zadźgał ją nożem nieszczęśliwie w niej zakochany arystokrata. Palce lizać kobita, ale ty oczywiście w tym swoim Krakówku o tym nie słyszałeś - dokończył sapiąc z zadowolenia.

Grabicki wyraźnie tryumfował, a pokraśniał jeszcze bardziej, gdy przyłapał pełne podziwu spojrzenie Zdzisławy Okrzemek.

W „Obrochtówce” było już sporo osób. W sali restauracyjnej jedynie dwa stoliki pozostały wolne, na obu rozłożono kartoniki z napisem „rezerwacja”.

Usiadł przy stoliku w rogu sali. Dyskretnie rozejrzał się

wokół: młode parki, świece, szmer ściszonych rozmów, wino — przedwakacyjny, luźny nastrój.

Zamówił herbatę i bezmyślnie bawił się sztuccami.

— Mam nadzieję, że długo nie musiałeś na mnie czekać?

Wzdrygnął się. Nad nim stał wysoki, barczysty mężczyzna o lekko siwiejących skroniach. Był w szarej koszuli wypuszczonej na eleganckie spodnie garniturowe.

Mocny uścisk dłoni.

— Pójdiesz teraz do restauracji „Wierchy”, tam ktoś na ciebie czeka. — Mężczyzna delikatnie dotknął jego ramienia i szybko wyszedł.

Andrzej zdawał sobie sprawę z tego, że ktoś może go obserwować, więc nawet nie rozejrzał się po restauracji. Nie wiedział, czy Maciej i Zdzisława rozsiedli się już w „Obrochtówce”.

Do „Wierchów” miał piętnaście minut spacerem.

Stary peerelowski lokal z upływem lat w ogóle się nie zmienił. W czasach Polski Ludowej był miejscem spotkań nocnej śmietanki Zakopanego, buzował głośną muzyką i krzykami. Cinkciarze załatwiali tu swoje najgrubsze interesy. Teraz też z wnętrza restauracji dobiegały pulsujący rytm modnego przeboju. Na parkiecie występowała mutacja znanego kiedyś w całej Polsce zespołu „Krywań”.

— Tędy. — Przy wejściu ktoś energicznie ujął go za ramię.

Wysoki, krępy czterdziestolatek zaprowadził go do najbardziej oddalonego od sceny stolika. Stała tam napoczęta już butelka finlandii, kawa i dwa kieliszki. Andrzej spokojnie usiadł naprzeciwko krępego blondyna.

— Wybacz te harcerskie gry terenowe, ale nie mam zamiaru napytać sobie biedy. — Blondyn się uśmiechnął. Był sympatyczny i sprawiał wrażenie szczerego. — Mów do mnie Jarek.

— Andrzej.

— Czytałem twoje akta. Wybacz, ale jesteś strasznym naiwniakiem.

Andrzej zrobił ruch, jakby natychmiast chciał się

poderwać od stolika.

— Nie chcę cię obrazić, właściwie to nic od ciebie nie chcę.

Blondyn miał spokojny głos. Zerkał na dziennikarza znad filizanki kawy, którą popijał małymi łyżkami. Andrzej wstał.

— Nie mam na imię Jarek, ale to jedyne kłamstwo, jakie dziś ode mnie usłyszysz. Nie chcę być następnym Maksym Rozlerem! — Blondyn nawet na milimetr nie zmienił swojej pozycji.

— Kim ty, do cholery, jesteś i czego chcesz ode mnie?! Skąd znasz Rozlera?!

Blondyn zbył jego pytanie miłym uśmiechem i po chwili odezwał się pojednawczym tonem:

— Chcę tylko chwilę porozmawiać.

— Skąd wiesz o Maksie?

— Już ci mówiłem, akta. Napij się i nie bądź taki nerwowy. Jak widzisz, to nie ja rozwalam ludzi w metrze.

— Tego jeszcze nie wiem.

— Więc daj sobie szansę.

W ciszy wypili po pięćdziesiątce.

„Jarosław” opowiedział Brennerowi o kulisach akcji przeszukiwania w jego mieszkaniu, a potem wtajemniczył go w wyniki swojego prywatnego, jak podkreślił, śledztwa w sprawie śmierci Rozlera.

— Po co to wszystko robisz?

— Nie wiem. Może kiedyś rodzice mnie skrzywdzili, kazali mi być przyzwoitym?

— Przyzwoity tajniak. — Brenner pogardliwie wyduł wargi.

— Tak można to ująć. Nie mam żadnych dowodów, musisz mi wierzyć na słowo. Mam jednak coś dla ciebie. — Andrzej poczuł delikatne kopnięcie pod stołem. — Tam masz kwity opowiadające o pewnej ciekawej sprawie. Wpleć ją do swojej książki, będą niezłe jaja.

— Ale.

— Wiem, tajniakom nie można wierzyć. Zdaje się

jednak, że ty nie masz wyboru. — Blondyn zaśmiał się rubasznie i ponownie napełnił kieliszki wódką. — Nie lubię was, wysłuchajcie się za parę groszy, piszecie durnoty, dajecie się szczuć jak stado skurwysynów.

— To po co rozmawiamy?

Andrzej nie mógł się zdecydować. Instynktownie czuł, że blondyn jest szczery, a jednocześnie nie lubił, gdy inicjatywa wymykała mu się z rąk.

— Możesz być narzędziem.

— Pieprzę te wasze gierki!

— Możesz być dobrym narzędziem. — Nieznajomy wypił bez skrzywienia. — Świetnie się nam rozmawia, prawda? — Zapalił papierosa.

— Nie sądzę — burknął Andrzej.

— No właśnie, nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni.

Naraz blondyn wstał i uklonił się z przesadną galanterią.

— Było bardzo miło, madame, ale na mnie już czas. Być może jeszcze kiedyś się odezwę.

Andrzej puścił zaczepkę mimo uszu i patrzył na niego z mieszaniną wściekłości i zainteresowania.

— Aha, i powiedz Zdzisławie, aby nie opierała się tak mocno o barierkę, bo narobi sobie odcisków. Wszystko zapłacone. — Blondyn powoli odsunął swoje krzesło i groteskowo zasalutował Andrzejowi. — Dryblas przy wejściu też zaczyna się już nudzić, no i randki nie udało się nagrać, brzęczykułka. — Wyjął na moment z kieszeni niewielkie urządzenie pulsujące zielonym światłem. — Cześć, Sherlocku. Uważnie poczytaj moje kwity, a potem podetrzyj nimi dupę albo. Ale co ja cię będę uczył. Bywaj!

Odszedł wolnym, lekko kołyszącym się krokiem.

Przy wejściu do „Wierchów” przyjaźnie uśmiechnął się do Macieja Grabickiego.

Kuzyn Andrzeja Brennera właśnie pilnie wiązał swój but numer 51.

— Takie to chyba trzeba robić na zamówienie — usłyszał od oddalającego się krępego blondyna.

Pod „Wierchy” podjechał granatowy Volkswagen passat,

z którego wynurzył się wysoki mężczyzna wszarej koszuli igarni- turowych spodniach — brat kapitana Jarosława Czarneckiego.

Razem znikli w samochodzie i po chwili skręcili w ulicę Makuszyńskiego.

Tymczasem Brenner zdezorientowany sięgnął po kolejny kieliszek. Zapiekło w gardle i zaraz potem poczuł znajome ciepło promieniujące z trzewi.

— On chyba nie był esbekiem.

Andrzej spojrzął na stół, z którego dobiegł go znajomy głos. Maciej Grabicki krytycznym okiem mierzył opróżnioną do połowy butelkę finlandii.

— Chemiczne dziadostwo. Tak to rektyfikują, że odwracają kierunek skrętu łańcucha polimerów.

— Polimerów? — Andrzej zgromił Grabickiego wzrokiem, co najwidoczniej nakłoniło kuzyna do bardziej dogłębnych wyjaśnień.

— Taki sztucznie odwrócony łańcuch sprawia, że nie ma się później kaca, ale cholera wie, czy tym sposobem i myśli nie zostają odwrócone.

— To tajemnica handlowa dwóch skandynawskich firm, ale gdyby ktoś poprosił mnie o wyrysowanie przebiegu takiego procesu, to jest bardzo proste. — Zdzisława zjawiała się niemal bezszelestnie i natychmiast zaczęła rysować łańcuch wiązań atomowych węglowodorów aromatycznych obecnych w skandynawskim alkoholu.

— Pierdzielę! — Andrzej nerwowo zerwał się zza stołu.

— Taaak? — Grabicki był wyraźnie zawiedziony.

— Tak! Pierdzielę takie towarzystwo. Agenci ochrony od siedmiu boleści.

— A kto ci kazał pić te fińskie siki — mruknęła urażona Zdzisława Okrzemek. — Czy ty myślisz, że to takie zabawne godzinami przyglądać się dwóm nieciekawym facetom, gdy robią najnudniejszą rzecz na świecie, piją wódkę? — gderiała.

— On od początku was wykrył. Jakby chciał mi ukrećić łeb, uczyniłby to bez najmniejszej przeszkody. Nawet nie zdążylibyście gwizdnąć.

— Fiu, fiu! Nasz Andrzejek naprawdę wkroczył w wyższe sfery. Idziemy, Zdzisławo, chyba nic tu po nas. Chodź, mam u siebie nową naleweczkę.

— Idę, misja ochrony tego człowieka wyczerpała już wszelkie pokłady mojego altruizmu.

— Przestańcie!

Oboje zamilkli jak na komendę.

— To chyba sprzymierzeniec.

— Opowiadaj wreszcie — sapnął zniecierpliwiony Maciej.

— To jest człowiek ze służb.

— Dawaj nagranie!

Zdzisława podskoczyła, jakby nagle przypomniała sobie o czymś ważnym. Wyjęła z torebki miniaturowy rekorder, na który nagrywał się dźwięk z mikrofonu Andrzeja.

— Nic z tego nie będzie!

— Dlaczego?

— Sprawdźcie.

Maciej i Zdzisława nachylili się nad głośnikiem.

— Psiakrew! — zaklął Grabicki.

— Skąd wiedziałeś, że nic się nie nagrało? — Zdzisława schowała rekorder do torebki i nałała sobie wódki do kieliszka, który pozostawił blondyn.

— Miał ze sobą takie specjalistyczne urządzenie, pokazał mi je.

— Saboter — mruknęła Okrzemkowa. — Grzesio kiedyś przyniósł coś takiego do domu. Jak się to włączy, to w promieniu paru metrów nie działają żadne urządzenia, nawet ko-mórki.

Mężczyźni spojrzeli na Zdzisławę z niekłamanym podziwem.

— Podobno to bardzo niezdrowe na te rzeczy. no, wiecie, męskie podroby. Emituje silne pole magnetyczne.

Obaj z podziwu wypili resztę wódki, która została w butelce. Brenner z kieliszka, a jego kuzyn wprost z flaszki. Obaj też wstrząsnęli się z obrzydzenia.

— Kurde, zapomniałem. — Andrzej klepnął się w czoło.



— Prawda, że paskudztwo? — Skrzywiony Grabicki podniósł pustą butelkę i przyglądał się jej pod światło rzucone przez wiszący nad stolikiem reflektor.

— Pod stolikiem jest torba, zostawił w niej coś bombowego. Po to w ogóle tu przyszedł — wymamrotał Andrzej i zanurkował pod obrusem.

Wynurzył się, trzymając w dłoniach skórzaną aktówkę.

— Czas na odwrót — zawyrokował Maciej Grabicki.

Wszyscy jak na komendę zerwali się od stołu. Po ostatnich wydarzeniach nikomu z tej trójki nie trzeba było tłumaczyć, że z chwilą, gdy pojawiają się dokumenty, bezpowrotnie mija czas na żarty.

Bez słowa opuścili „Wierchy” i załadowali się do przedpotopowego wehikułu Macieja. Andrzej ścisnął pod pachą skórzaną teczkę, taką jakiej zagonieni urzędnicy używali zwykle do przenoszenia ważnych dokumentów.

Tej nocy światła w „Grabisiówce” paliły się prawie do świtu.

Andrzej lekko zbiegł po schodach i rzucił na stół plik ciepłych jeszcze kartek. Właśnie wyjął je z drukarki, do której podpiął swój sfatygowany laptop.

— Wydrukowałem w dwóch egzemplarzach, więc możecie czytać jednocześnie.

Zdzisława i Maciej zagłębili się w lekturze nowego rozdziału książki, a on sięgnął po świeży napar doskonałej kolumbijskiej kawy. W salonie słychać było jedynie tykanie zegara i ciche siorbanie Andrzeja. To właśnie Maciej Grabicki nauczył go tej techniki picia kawy.

„Dopiero pociągając delikatnymi siorbnięciami bardzo gorący napar kawy, można w pełni kontentować się jego aromatem i doskonałością” — wytłumaczył mu kuzyn.

— To jest dziadostwo. Głupie hieny! — warknęła Zdzisława.

Filiżanka, którą Andrzej unosił do ust, zamarała w połowie drogi. Czyżby facet z „Wierchów” był podstawiony?

Jak ona to wykryła? Myśli z szybkością elektrycznych impulsów rozbiegły się we wszystkich kierunkach. Odkąd przeczytał przekazane przez nieznanego kwity, był w stanie uwierzyć we wszystko.

— Teraz nikt nas z tego nie wyciągnie. Albo sami wyleziemy, albo już niedługo wszystkim nam odetną powietrze. Maciek, posłuchaj!

Kobieta zmrużyła oczy i zaczęła czytać ściszym głosem:

*Tego dnia Wielki Adiutant pił od samego rana. Opieprzał war towników, ryczał na kucharkę. Wszyscy schodzili mu z drogi. Każdy w „Białym Domu” wiedział, że jak Wielki ma alkohu lową chandrę, to najbardziej rozsądnym rozwiązaniem jest zniknięcie mu z oczu.*

*Wieczorem Wielki wezwał „Kudłatego” z UOP. Wlazł do jacuzzi i czekał. Po pół godzinie do „Białego Domu” wpadł zdyszany „Kudłaty”. Na schodach otarł mokre czoło, po czym niezdecydowany zatrzymał się przed drzwiami łazienki. Popa trzymał błagalnie w oczy przechodzącego korytarzem księdza Owoca. Nie znalazł w nich wsparcia. Zrezygnowany nacisnął ciężką żeliwną klamkę. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem.*

— *Wlaaazł! — ze środka dobiegł wściekły ryk Wielkiego.*

*Przez dwie godziny wertowali teczki personalne ludzi z „Wie deńskiego Kręgu”.*

— *Masz skończyć z tym chujostwem! — wrzeszczał na wpół trzeźwy Wielki. — To jest, kurwa, gruba przesada! Oni mnie chcą wykołegować?! Masz ich wjechać tak, żeby się nie wyka raskali!*

*„Kudłaty” pokornie usiadł na brzegu wanny i pilnie notował: „Wyjechać, wykończyć, zakopać, przepędzić...”.*

— *Nie będzie mi komuna fikała! — darł się Wielki. — Lejce im się pojebały! Oni mnie chcą wykołegować, mnie?! To od jutra rozpoczynamy sezon polowania na wiedeńskie padalce.*

*Co tak rozwścieczyło Wielkiego?*

Rankiem tego dnia złożył mu wizytę wiceadmirał Wrzecionko. Wypili pół litra Smirnoffa i Wrzecionko poinformował go, że najprawdopodobniej nici wyjdą z koncesji telewizyjnej dla Gabulliniego – Neapolitańczyka, któremu Wielki obiecał wsparcie.

Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji miała innego fawo ryta. Według Wrzecionki, sprężyną przyznania nowej koncesji telewizyjnej byli bracia Wydrowie z Wiednia, którzy wspólnie ze znaczącymi oficerami byłyej Służby Bezpieczeństwa, przy wsparciu wielu oficerów z wojskówki, zapewnili przyznanie koncesji konkurentowi Włocha.

„Kudłaty” przyniósł teczkę głównych konkurentów Gabul liniego i przez kilka godzin razem z Wielkim szukali haków, które pozwoliłyby odwrócić ukartowany bez ich wiedzy bieg wypadków.

W końcu Wielki zażądał, aby natychmiast zamknąć w areszcie jednego z głównych biznesmenów, którzy stali za wnioskiem o przyznanie konkurencyjnej wobec Gabulliniego koncesji.

Godzinę później „Kudłaty” spotkał się na Krakowskim Przedmieściu z posłem Radomskim. Radomski był w tym czasie członkiem Sejmowej Komisji do spraw Służb Specjalnych i posłem Porozumienia Centrum. W trakcie rozmowy Radomski wylał sobie na spodnie filiżankę kawy. Był roztrzęsiony. Jeszcze tego samego dnia zadzwonił do Stanisława Września z Gdyni. Rozmowa została nagrana przez Urząd Ochrony Państwa.

Radomski mówił otwartym tekstem. Prosił Września o me diację, groził wielką wojną, która pochłonie kasyna, wodę, fajki i elektronikę. „Skończą się walone marlboro z Hamburga, skończy się robienie golden starów, skończy się życie, rozumiesz Stachu?! Skończy się życie!” – histeryzował do słuchawki.

Następnego dnia już o dwunastej w warszawskim mieszkaniu Września spotkali się generał policji K., Wrzesień, poseł Radomski, wiceminister gospodarki B. oraz reżyser P. Wódka lała się obfitym strumieniem. W końcu

postanowiono, że za wszelką cenę należy doprowadzić do rozjemstwa pomiędzy Wiedniem a ludźmi Wielkiego. W tym czasie telewizyjny biznesmen ukryje się na Śląsku, a poseł Radomski będzie pracował nad Wielkim, aby zakończyć vendettę. Wszystkie koszty planowanej operacji wziął na siebie Stanisław Wrzesień.

W końcu to właśnie Wrzesień najwięcej zarabiał na prze mycie elektroniki i fałszowanych marlboro.

Następnego dnia wiceminister gospodarki B., już o czwartej nad ranem, zaparkował swoje volvo pod domem zagrożonego biznesmena. W bagażniku wywiózł go do pensjonatu „Diament” w Siemianowicach Śląskich. Przez następne dwa tygodnie poseł Radomski pił wódkę z Wielkim. W tym czasie trwały gorączkowe narady w mieszkaniu Września. Po dwóch tygodniach B. przywiózł do Siemianowic długo oczekiwaną wiadomość — jest pokój. Nikt nikogo nie aresztuje.

Zdzisława odsapnęła. Starannie ułożyła kartki i z nabożeństwem położyła je na stole obok parujących filiżanek z kawą.

— To jest gwóźdź do trumny, Andrzej. Mówię to zupełnie poważnie.

— Kłamstwo? — Andrzej był gotów pobiec na górę do swojego pokoju i przynieść jej oryginały dokumentów, które poprzedniego wieczora wręczył mu nieznajomy.

— Nie. To cholerna prawda, dokładnie, krok po kroku opowiedziane zdarzenia.

— Przepraszam, a ty, Dzidzianno, skąd o tym możesz wiedzieć? — Maciej Grabicki od kilku minut krążył już swoimi strusimi susami po salonie.

— Trochę przez przypadek, ale wiem.

Obaj mężczyźni skierowali na nią błagalne spojrzenia. Mówiły one, że jeśli nie zaczną mówić w sposób bardziej zrozumiały, to zanim pomyśli o ucieczce, zostanie rozerwana przez dwie pary męskich dłoni.

W salonie zapadła cisza, w której słyhać było jedynie ptasie trele dobiegające zza okna oraz wyczekujące, nerwowe

tykanie ogromnego zegara.

— Grzesiek też był wtedy w mieszkaniu Września!

— Kiedy?

— Jak pili. Wrócił strasznie podenerwowany. On bardzo rzadko przeklina, a wtedy sam do siebie kłął. Kazał dać sobie pół litra i na cały wieczór zamknął się w naszej kuchni. Na piętnastu stronach napisał raport dla generała Ogorzelskiego. Potem kazał mi go przeczytać i poprawić. Ja mam pamięć wzrokową i nigdy nie robię ortografów, a Grześkowi się zdarza.

— Wiedziałaś o takich rzeczach i nic nie mówiłaś! — Andrzej spojrzał na nią z nieklamany wyrzutem.

— To nie miało nic wspólnego z twoim pisaniem.

— Jak to nie?

— Inaczej musiałabym ci opowiadać wszystko od Adama i Ewy, a ty zamiast pisać rozwiązywałbyś kolejne rebusy. Potem całkiem byś oszalał i nikt nic z tego nie byłby w stanie zrozumieć. W waszym fachu to się chyba nazywa czyszczeniem wątku — dodała, skromnie spuszczać powieki.

— Ta kobita to bomba, nie ma co! — Grabicki niepewnie podrapał się w czubek rozczochranej głowy.

— Dupę mam wielką, ale żeby od razu bombastyczną?. Andrzej, opisałeś dokładnie jedną z wielu historii. Ten facet dał ci dobrą monetę, ale ta moneta może nas drogo kosztować. To jest znaczona moneta, a ten, który ci ją dał, albo jest wielkim spryciarzem, albo samobójcą.

— A co mnie to obchodzi? Moja książka musi doprowadzić do jakiegoś wybuchu. Musi rozwalić to szambo. To musi być oczyszczenie atmosfery. Jak wybrniemy z tego bagna, to przecież wszystkim będzie łatwiej.

— Chcesz przejść do historii?

— Tak, Zdzicha! Chcę zmienić historię tego kraju, mojego kraju!

— Fiu, fiu! — Okrzemkowa gwizdnęła przeciągle. — Myślałam, że mam do czynienia z zawodowcem, a tu narodził się prorok, nieskalany bojownik, gotów spalić wszystko wokół. Prometeusz, kurwa mać! — Kobieta wstała i energicznie podeszła do Grabickiego. — Pieprznij go w ten łeb, tak

pieprznij, jak tych w „Europejskiej”. Może zacznie kojarzyć i zejdzie na ziemię.

Grabicki sprawiał wrażenie zaambarasowanego. Machnął dłonią, jakby oganiał się od uciążliwego owada.

— Wiesz, braciashku, ona chyba ma rację.

— Jaką rację, do cholery! To po co to wszystko zaczynała? Sfiksovana jędz!a!

— Ona ma rację. — Ton Grabickiego stał się bardziej zdecydowany i twardy.

— Z rodziną rzeczywiście najlepiej wychodzi się na zdjęciu. Żegnam — Andrzej wstał i zgarnął ze stołu swoje zapiski. — Nie ma to jak niezawodni sprzymierzeńcy. Z wrogami poradzę sobie sam! — wrzasnął z góry i zatrzasnął za sobą drzwi.

## Rozdział XI

Anna Halicka spokojnie dopiła kawę. Była znudzona towarzystwem nachalnie nadskakującego jej mężczyzny, musiała jednak zachować pozory. Xavier był zbyt ważnym klientem, aby mogła bezceremonialnie go spławić.

Przez cały wieczór prawił jej komplementy i wodził za nią spojrzeniem rozmarzonego spaniela. Wysoki, starannie maskował swoją nadmierną tuszę. Opalenizna i rozpięta na piersiach koszula nadawały mu wygląd miękkiego biurokraty, który za wszelką cenę chce podkreślić swoją męskość. Właściwie to budził w niej obrzydzenie — cechy bogatego tchórza i konformisty odziane na siłę w narcystyczne insygnia macho. Nienagannie skrojony garnitur, kwadratowy złoty rolex na przegubie i ta mina. mina, która doprowadzała ją do pasji. Mówiła, że każda kobieta powinna na jego widok dostawać orgazmu.

Anna pomyślała sobie, że gdyby teraz do „Wierzyńka” wpadli terroryści i zaczęli strzelać, Xavier najpewniej ukryłby się za jej plecami i trzęsącą się rączką wystawił swojego rolexa jako propozycję okupu.

Uśmiechnęła się. Wyobrażony widok roztrzęsionej francuskiej galarety, błagającej o darowanie swojego marnego żywota, był komicznym kontrastem wobec tego, co Xavier właśnie przed nią odgrywał.

Drogi obiad, władcze gesty wobec kelnerów, demonstracyjnie wręczane sute napiwki i modulowany głos Jamesa Bonda.

— Wiedziałem, że rozbawi cię ten dowcip. Hm, zobacz, nawet poczucie humoru mamy podobne — zagulgotał.

Nawet nie słyszała, o czym mówił.

— Tak, Xavier, to było zabawne — odpowiedziała spokojnie.

— Hm, to może przeniesiemy nasze spotkanie w bardziej kameralne warunki? — zagulgotał ponownie.

Ugryzła się w język. Już miała zapytać, jak miewa się gruba żonka po pięciu operacjach plastycznych i trójka równie

trudnych do zapamiętania bachorów.

— Obawiam się, że dziś będzie to niemożliwe, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia — skłamała.

— Mmm. — Spojrzał na nią zamglonymi oczami. — Nie ma takich spraw, których nie można byłoby odłożyć na jutro, a dziś.

„Pewnie, zesrańcu, gdyby tu zadzwonił twój prezes, to stałbyś na baczność i pytał, jak masz się ubrać” — pomyślała.

Zamiast tego wyrecytowała jednak swoją nienaganną francuszczyznę:

— Jesteś uroczy, Xavier, ale ja naprawdę dziś nie mogę.

„Dziś? Nigdy nie mogłabym nawet cię dotknąć, ty obmierzły łachu” — wściekała się w myślach.

— Szkoda, piękna damo. Myślałem, że tak pomyślny dla ciebie obrót wypadków warto byłoby specjalnie uczcić.

„Ooo, zaczynamy troszkę szantażować? Ty gnoju! Najchętniej wstałabym teraz i tak kopnęła cię w twoje spróchniałe jaja, że kwiczałbyś jak prosię, francuski eunuchu!”. Bardzo się starała, aby tych myśli nie dało się odczytać z jej twarzy. Ten cholerny Francuz był zbyt ważny, aby potraktować go tak, jak na to zasługiwał.

— Mam nadzieję, że jeszcze będziemy mieli okazję rozmawiać i święcić następne sukcesy — powiedziała uprzejmie i ujęła pod pachę swoją gustowną torebkę. Miesiąc temu zapłaciła za nią w Londynie pięćset euro.

Twarz Xaviera wyrażała ledwie maskowane rozczarowanie.

„Teraz znajdź sobie jakąś wyperfumowaną prostytutkę i każ jej objąć się pejczem” — pomyślała ze złośliwą satysfakcją.

Pożegnał ją z zimną rezerwą, a ona sadystycznie posłała mu najbardziej powłóczyście spojrzenie, na jakie było stać jej piękne oczy.

Xavier wypłacił jej premię w wysokości ośmiu tysięcy euro, ten męczący wieczór kończył się więc całkiem przyjemnie. Osiem tysięcy na koncie stanowiło wystarczającą rekompensatę.



To był ostatni akord jej zaangażowania w prywatyzację wielkiej polskiej firmy telekomunikacyjnej.

Od kilku lat pomagała Francuzom opanować to przedsiębiorstwo i obronną ręką wyjść z konfliktów ze związkowcami. Ostatnie negocjacje z kilkoma działaczami, poparte solidnymi propozycjami finansowymi, przyniosły doskonały efekt.

To właśnie dzięki jej urokowi i przebiegłości związkowcy, stosunkowo niewielkim kosztem, zostali całkowicie wyeliminowani z gry. Ich następcy na pewno nie będą już tak uciążliwi.

Wsiadła do taksówki i pojechała do hotelu. Była zmęczona i marzyła o jak najszybszym prysznicu, zmyciu z siebie „reprezentacyjnej tapety”, jak nazywała swój biznesowy makijaż. Chciała wskoczyć w hotelowy szlafrok i bambosze, włączyć telewizor i tak zasnąć.

W hotelu dopadły ją jednak myśli o Andrzeju, tym razem w postaci intensywnego zmartwienia. Właściwie przez cały dzień Andrzej tkwił gdzieś z tyłu jej głowy. Natrętnie wpadał w tok każdej myśli. Teraz, kiedy już pozbyła się francuskiego monstrum, został tylko on.

Przez chwilę mocowała się nawet z impulsem, aby natychmiast do niego zadzwonić, zapytać, jak się czuje, usłyszeć jego niski, kojący głos.

Na wszelki wypadek wyłączyła komórkę. Nie mogła teraz dzwonić, nie mogła mu we wszystkim ustępować.

Właśnie zapłaciła mecenasowi Druzgałę za kolejny miesiąc jego pracy.

Sprawa wyglądała coraz lepiej, prokuratura dysponowała bardzo słabym materiałem dowodowym. Zdaniem Druzgały liczyli na to, że po medialnej nawale Brenner załamie się i palnie coś, co całkowicie go pogrzyży. Brenner jednak wytrzymał, publicznie nie przejawiał żadnych oznak słabości.

Druzgała twierdził, że z każdym tygodniem zyskują kilka procent prawdopodobieństwa wygrania sprawy przed sądem i to już w pierwszej instancji. Stary lis gromadził potknięcia

prokuratury i zapowiadał, że sprawa może nawet stać się precedensem, dzięki któremu utrże się nosa służbom.

To ją trochę uspokoiło, ciągle jednak martwiła się o stan umysłu Andrzeja. W czasie ich ostatniego spotkania wydał jej się obcy i fanatyczny. Nie chciała uczestniczyć w jego „polskich wojnach”. Już dawno zrozumiała, że Polska jest tylko miejscem na mapie i ktokolwiek uczyni z niej swoją ideę, swój sztandar, nieuchronnie wyląduje na śmietniku.

Świat nie potrzebował Polski — ani takiej, ani innej. Świat chciał jedynie, aby na tej równinie, na której najlepiej przeprowadzało się wielkie manewry wojenne, panował spokój. Świat nie ufał Polakom i najchętniej oddałby ich pod kuratelę Rosjan albo Niemców.

Świat to były pieniądze, to były wymagania, jakie pieniądze stawiają swoim wyznawcom.

Pieniądze nie mają narodowości, pieniądze nie wiedzą, co to jest przelewanie krwi, szlachectwo, historia — pieniądze wymagają spokoju i ciszy.

Czasem łapała się na myśli, że gdy spogląda na współczesny świat, to nie jest pewna, czy to ludzie posiadają pieniądze, czy też one posiadają ludzi, narody, idee i filozofię.

Niekiedy sama zrywała się na siebie za takie myśli. Besztala za cynizm i bezideowość, ale czy kiedykolwiek byłaby tu, gdzie jest teraz, gdyby wiele lat temu myślała tak, jak Andrzej Brenner, gdyby pisała wiersze i chłonęła romantyczne wieczory?

Z drugiej strony ciągle nie mogła zrozumieć, co ją tak w Andrzeju fascynuje, co sprawia, że w ostatnim czasie tak do niego przylgnęła, skąd się bierze jej słabość do Brennera.

Rozsądek, na którym nigdy się nie zawiodła, podpowiadał, że Brenner jest tylko kolejnym skazanym na porażkę mitomanem. Kim byłby jednak jej Andrzej bez tych swoich rojeń, bez tego drażniącego poczucia misji, bez tej miny bohatera, za którą kryje się przecież tylko rosnąca gorycz porażki?

Przecież tacy jak on nigdy nie wygrywają! Tyle razy chciała mu to powiedzieć, wytłumaczyć.

Czuła się za niego odpowiedzialna.

— Andrzeju, Andrzeju, naucz się wreszcie żyć. Ja cię nau- czę — mamrotała, leżąc na wznak w hotelowym łóżku, ubrana jedynie w cienki szlafrok. Jej spojrzenie wbiło się w chropowaty sufit i czuła, jak powoli sen bierze ją w swoje władanie.

Piękna kobieta zasnęła przy włączonym telewizorze, w którym minister finansów spierał się ze znanym profesorem. Mówili o rosnącym długu publicznym, ale ona już tego nie słyszała.

\*\*\*

— Mamy bigosik, ale, dalibóg, sam go nie będziesz pałaszował, bo się udławisz. Chodź do nas, stary dureń coś jednak wymyślił. — W polu widzenia Andrzeja pojawiło się roześmia- ne oblicze kuzyna.

Zerwał się i włączył komórkę, aby sprawdzić godzinę.

— Dwunasta?! — zawył przeciągle.

— No cóż. Jakaś się wczoraj obraził, to konsylium uznało, że pacjent musi przespać chorobę. Nie budziliśmy delikwenta — mruczał kuzyn, podając mu świeżą koszulę i skar- petki.

— A ty co!

— Ja? Kuzyn, artysta. nie poznajesz?

— Pytam, czy zaczęłaś robić za moją niańkę?!

— Nie, tylko Dzidzia bardzo się o ciebie martwi, tam na dole.

— Jędza!

— Ale całkiem łebska jędza. Chodź, to sam się przekonasz.

Maciej pozostawił otwarte drzwi i zbiegł po schodach.

Kwadrans później wymyty i ogolony Brenner zjawił się w pachnącym kawą salonie. Powitał go widok trzech filiżanek świeżo zaparzonej kawy oraz dwóch wpatrzonych w niego postaci.

Zdzisława po raz pierwszy założyła dzinsy i wyglądała w nich zaskakująco zgrabnie. Męska flanelowa koszula, którą

najpewniej pożyczyla z szafy gospodarza, upodobniała ją do bohaterek amerykańskich filmów o traperach, które masowo produkowano w Hollywood w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Maciej Grabicki miętosił w wielkich dłoniach duży bieszczadzki kapelus, jakie często noszą jeźdźcy nad Soliną, i zdradzał zamiar podarowania go Zdzisławie. Najwidoczniej uznał, że wraz z koszulą tworzą nierozdzielny komplet.

W porównaniu z minionym wieczorem salon zmienił nieco swój wygląd. Prawdopodobnie rankiem interweniowała w nim nieoceniona pani Różia, która oblekła stół w śnieżnobiały obrus z wyhaftowanymi na rogach parzenicami i starannie wyszorowała drewnianą podłogę.

Rozalia Stachoń, gospodyni Macieja Grabickiego była osobą niecierpiącą najmniejszych przejawów chaosu.

Zakopiańska legenda głosiła, że jej matka miała burzliwy romans z Witkacym, który poświęcił jej całą serię swoich psychologicznych portretów.

Narkotyki były nieuchronną konsekwencją tego uczucia. Matka Rozalii nigdy nie zapanowała nad zamieszaniem, jakie wniósł w jej życie nawiedzony artysta. Nie prowadziła domu, nie wychowywała córek i nie robiła niczego, co w tradycyjnej góralskiej rodzinie przypisane było kobietom. Słysła z niepospolitej urody i ciętego języka, do końca życia zmieniała kochanków jak rękawiczki.

Rozalia, najmłodsza z jej córek, od najwcześniejszego dzieciństwa musiała sama radzić sobie w życiu. W końcu zamieszkała na Głodówce i tam wraz z córką prowadziła niewielki, ale słynny na całą Polskę, pensjonacik. Od kilkudziesięciu lat pracowała także w domu Grabickich. Kiedy w willi pozostał jedynie roztargniony Maciej, Rozalia za misję życia uznała „wykierowanie tego trutnia na ludzi”. Za śmiesznie małe wynagrodzenie — od dwudziestu lat nie godziła się na żadną podwyżkę, twierdząc, że im jest starsza, tym mniej je, a pensjonat przynosi jej nadmiar pieniędzy, z którymi i tak nie ma co robić — prowadziła Grabickiemu dom i czyniła to ze sprawnością i zaangażowaniem większym niż najbardziej

oddana współczesna żona.

— Kiedy ja się biorę za porządkę, to zajmuje mi to tydzień, a gdy Różia dotyka tego domu swoimi świętymi rączkami, to w ciągu godziny dzieje się prawdziwy cud. — Grabicki, kiedy mówił o Rozalii, przybierał najbardziej oficjalną pozę i opowiadał o niej jak o kimś nierzeczywistym, kimś, kto wyraźnie przekraczał granice jego wyobraźni.

Bo też Rozalia Stachoń nie była zwykłą osobą. Szalone geny matki sprawiły, że we wszystkim, co robiła, czuło się nutę niepowtarzalnego artyzmu. Kiedy piekła chleb, to był to jedyny na świecie chleb, który tak smakował. „Chleb Stachońki” — zakopiańscy wypowiadali tę nazwę z przymkniętymi oczami i roztkliwieniem właściwym opisowi najbardziej niezwykłych zjawisk. Rozalia wielokrotnie była kuszona przez piekarzy, aby sprzedać im swój przepis, a kiedy nie ulegała żadnym namowom, składano jej intratne propozycje wypieku większej ilości pieczywa. Pozostawała jednak nieubłagana i piekła jedynie na potrzeby głodówczańskiego pensjonaciku i „Grabisiówki”, ani bochenka więcej, bo też, jak mawiała, Pan Bóg każdemu dał w rękach jego miarę, a jej dał tylko tyle, ile robi.

Rozalia Stachoń malowała na szkle i to tak, że znana góralska poetka Wanda Czubernatowa o każdym z jej „malunków” pisała wiersz. Nikt jednak nie mógł kupić szklanych rysunków Rozalii, dawała je jedynie w prezencie, a żeby taki prezent dostać, trzeba było mocno jej „za serce zaleźć”.

*Jesce moc nie truchleje a juz  
Święty Pon Bócek naguški zaziro  
na przyzbe popatruje  
a tam łocy niebieskie dziecioków  
hań w niebo  
w niego piknie zamyśłone.*

Tak Czubernatowa napisała o obrazku Rozalii, który wisiał przy wejściu do salonu „Grabisiówki”. Obraz tonął w powodzi różnych tonów czerni, błękitu i czerwieni, a przedstawiał Zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa z uniesioną

w górę dło-

nią, której palce ułożone były w literę „V”. Jezus przez szerokie okno zaglądał do góralskiej izby, z której sączyło się światło. Całą izbę wypełniały trzy okrągłe dziecięce buzie, które ogromnymi błękitnymi oczami wpatrywały się w twarz Jezusa. W rogu obrazka, obok niedbałego podpisu Rozalii, widniała data

13 grudnia 1981 roku.

Duch Rozalii zdawał się unosić nad „Grabisiówką”, strzegł jej i nadawał domostwu Macieja niepowtarzalny urok. Wiele lat temu, gdy Andrzej po raz pierwszy odwiedził kuzyna, zrozumiał, że Maciej Grabicki i Rozalia Stachoń to niepowtarzalny fenomen, związek dusz absolutnie platoniczny, który nie potrzebował żadnych słów, aby zgodnie cichutko egzystować. Prawdopodobnie nie byłoby dzisiejszego Macieja Grabickiego, jego niepokojących obrazów i osobnego, pełnego wyrozumiałego dystansu, sposobu patrzenia na świat, gdyby nie wpływ Rozalii Stachoń.

Na dodatek nikt, łącznie z jej córką, nie był w stanie dociec, ile Rozalia ma lat. Uparta góralka nigdy nie obchodziła urodzin, a swoje dokumenty trzymała ukryte tak głęboko, że nikt nie potrafił do nich dotrzeć.

„Pon Bócek jeno wie, ile mi wiosen zostało, a te, które były, są jak chlopy, kiedyś krzepkie, a dziś krzyżami przykryte, żadnego pożytku” — mawiała.

Szalona matka Rozalii zmarła „razem z komuną” (słowa córki) w 1989 roku i ponoć miała prawie sto lat, ale tego też Rozalia nie dała nikomu sprawdzić, bo, jak to określała, „dokumenty familijne trzyma się blisko przy orderach, bo co komu do tego, który listek gdzie i jak spadnie, ino Pon Bócek się w tym rachuje i ino jemu to jest potrzebne”.

Czysty jak naukowe laboratorium salon, przemieniona Zdzisława Okrzemek i niepokojąco egzotyczny zapach kolejnego kawowego cudu, który wyszedł spod dłoni Macieja Grabickiego sprawiły, że w Andrzeju gniew wzbudzony poprzedniego wieczoru całkowicie wystygł. Uśmiechnięty zbiegł po drewnianych schodach i po raz pierwszy, odkąd znał

Okrzemkową, szarmancko ucałował jej dłoń.

— Książę dziś łaskaw maluczkiem! — usłyszał za sobą rozbawiony głos Macieja.

Wyprostował się i teatralnym gestem omiół spojrzeniem salon.

— Ktoś widział tu arystokratów?

— Pewien duński mruk właśnie spłynął ku nam. — sapnął Grabicki i głęboko skłonił się przed Andrzejem.

— A kopnął cię ktoś kiedyś w zad?! — Andrzej rozstawił stopy gotowy najwidoczniej wykonać swoją zapowiedź.

Gruchnęli zdrowym śmiechem.

Salon wypełnił swojski dźwięk siorbania kawy. Trzy postaci nachyliły się ku sobie. Razem studiowali mapę Polski i omawiali szczegóły kolejnego planu, który Maciej nazwał „wilczą rozszadą”.

— Do tej pory Andrzej, a w końcu i my wszyscy, tylko uciekaliśmy. Chowaliśmy się jak lisy przed sforą jamników. Jeśli tak dalej pójdzie, to w końcu kryjówki i fortele się skończą, a oni wykurzą nas z nory, choćbyśmy zbudowali w niej dziesięć podziemnych wyjść. To myśliwy wie, kiedy, gdzie i jak odda pierwszy strzał. To myśliwy ma w dłoniach wszystkie nitki historii. Co trzeba zrobić, aby zwierzynę zamienić w myśliwego? — Maciej spojrział na Zdzisławę, chcąc zapewne, aby teraz ona przejęła od niego wywód.

Widać było, że oboje starannie to przemyśleli i zaplanowali.

W nocnej naradzie uczestniczył jeszcze ktoś. Na razie jednak Andrzej Brenner nie miał najmniejszego pojęcia o tym, że do tajemnego sprzysiężenia przystąpiła. Rozalia Stachoń.

Ogorzelski spokojnie spacerował nad brzegiem Bałtyku. Lubił przyjeżdżać do Ośrodka Przygotowań Olimpijskich w Cetniewie i przechadzać się szeroką plażą we Władysławowie w czasie, gdy jeszcze nie było tu turystów. Oddychał powietrzem nasyconym jodem, wpatrywał się w zimne morze i rozkoszował się spokojem, jaki przyniosła mu polska

demokracja.

Wynajmował obszerny pokój, pływał w basenie olimpijskim i nikt mu nie przeszkadzał.

Właśnie miał zamiar zejść do portu i kupić od rybaków świeżego dorsza, gdy w kieszeni zabrzączał mu telefon.

— Słucham.

— Jaka wiadomość? Ja teraz nie jestem usposobiony do żadnych wiadomości.

— Pocałujcie mnie w dupę.

Schował telefon, ale beztroski nastrój spaceru ulotnił się bezpowrotnie. Zawsze uważał, że piętą achillesową każdej struktury są ludzie. Tym razem zawiódł rozpity do granic możliwości major, który nie potrafił zadbać o spokój „osadzonego Grzegorza Okrzemka”. Czy jest to jednak powód, aby zakłócać mu niespieszną kontemplację morza?

Jedynym zmartwieniem, które nieustannie go prześladowało, była myśl, że w momencie, gdy zbyt zaufa swoim współpracownikom, wszystko rozlezie się jak stare skarpety.

„Czynnik ludzki” — najbardziej zawodne ogniwo „nowej maszyny ustrojowej”. Z tego ostatniego określenia Ogorzelski był najbardziej dumny. Oddawało całą skomplikowaną naturę polskich przekształceń ustrojowych po 1989 roku. Używał go tylko w gronie najbardziej zaufanych współpracowników.

„Okrzemek był najlepiej wybranym typem, nigdy nie sprawiał najmniejszych kłopotów, dlaczego teraz miało się to zmienić? Przecież on dobrze wiedział, jaka jest cena i spokojnie się na nią zgodził. Wiedział także, że o nim nie zapomną, mógł być tego pewien. Może to sprawka jego sfiksowanej żony?” — rozmawiał sam ze sobą Ogorzelski.

Zimny piasek, w którym brnęły jego nagie stopy, przynosił mu przyjemne rozluźnienie.

„Ci panikarze potrafią z igły zrobić widły. Wszystko będzie jak zwykle, czyli pod kontrolą”. Uśmiechnął się i przyjaźnie pomachał przechodzącej obok starszej kobiecie.



Coś jednak psuło się w starannie kontrolowanym świecie generała Ogorzelskiego.

Kilka minut po obiedzie dostał koszmarne ataku zgagi, żołądek zacisnął się jak pożerana bólem obręcz. Nie pomogły hurtowo zjadane tabletki Rennie, konieczna była interwencja lekarza dyżurującego w Ośrodku Przygotowań Olimpijskich, kilka zastrzyków i obrzydliwa papka do wypicia. Wraz z ostatnimi promieniami słońca przyszło ukojenie i znów Władysławowo wydało się generałowi przytulną i rozkosznie spokojną miejscinką.

Nie na długo.

Przy kolacji znów zadzwonił telefon. Tym razem dobijał się pułkownik Białecki. Ogorzelski niechętnie wyszedł z sali restauracyjnej.

Białecki nie miał wesołych wieści. Alarmował, że Okrzemek stał się niespokojny i po raz pierwszy, odkąd poszedł siedzieć, przesłał przez współpracującego z wojskiem strażnika bardzo poważną informację.

— Kurwa, musimy się szybko spotkać. — Ogorzelski z wściekłością uderzył telefonem w balustradę schodów.

Na szczęście w pobliżu nie było nikogo.

Komórka przestała jednak działać. Nerwowe próby wskrzeszenia jej nie przynosiły żadnego efektu.

Ogorzelski zastukał do kuchni i zaproponował młodemu kucharzowi, że zapłaci mu sto złotych, jeśli ten pożyczycy mu na moment swój telefon i umożliwi przeprowadzenie jednej rozmowy.

Generał miał twarz tak czerwona, że młody chłopak zaproponował, aby usiadł i chwilę spokojnie pooddychał. Na dodatek znowu odezwał się żołądek.

„Chyba czas się wycofać, nie dam rady dłużej tego wszystkiego kontrolować, jak się nie włączy żaden z tych trutni opojów, to ja wysiadam” — użalał się nad sobą w myślach Ogorzelski. Przezornie wyszedł do toalety i wybrał numer Białeckiego.

— Słuchaj, jestem we Władysławowie, jak się możemy jutro przeciąć?

— Będę jechał z Torunia. Hm.

— Kur. — Ogorzelski zmiętosił w ustach przekleństwo.

Tracił zimną krew, tracił cierpliwość, to były znaki, że czas zwolnić tempo i przestać się przejmować. Miał jednak poczucie bycia wyjątkowym. Nigdy nie grzeszył skromnością i pokorą, przeciwnie zawsze uważał się za bardziej inteligentnego od swoich kolegów.

Życie wielokrotnie potwierdzało jego dobre samopoczucie. W czasie, gdy inni generałowie powoli umierali na beczynność, fiksowali i zapijali resztki godności, on był ciągle w siodle, ciągle trzymał dłoń na głównym pulsie wydarzeń. Nie był przyzwyczajony do porażek i w sprawie Funduszu Budowy Gospodarki także nie zamierzał przegrać, na pewno nie przez takiego pajaca jak Okrzemek. Nie! Na to nie może pozwolić!

— Białecki! — szczerknął do słuchawki. — Zdaje się, że jutro zapragnąłeś być w Pucku. To wspaniałe piastowskie miasto, które kochasz.

— Szefie, uj. ja z Torunia. — dobiegł jęk z drugiej strony słuchawki.

— No więc widzisz, jak ci idę na rękę. Twój szpanerski humor nawet się nie rozgrzeje na takim kawaleczku trasy. Puck. Nie musisz jechać nad Bałtyk, wystarczy, że dotrzesz nad zatokę. Aha, mam zepsuty telefon komórkowy, więc niech mi chłopak na rano dostarczy nowy. Też cię uwielbiam. Czołem!

Ogorzelskiemu znacznie poprawił się nastrój i żołądek też przestał się buntować. Zawsze gdy sprowadzał Białeckiego i jemu podobnych do pionu, czuł się podniesiony na duchu.

„Puck, Puck” — w myślach tłukły mu się miłe wspomnienia.

Był wtedy młodym oficerem i właśnie w Pucku „tajnie i operacyjnie” spotkał się z ówczesnym szefem kontrwywiadu Marynarki Wojennej. Polubili się, nadawali na tych samych falach, byli podobnie sceptycznie nastawieni do marksizmu i nie mieli złudzeń co do przeszłości.

Ogorzelski zapamiętał tę rozmowę na zawsze. Szef „kontrwywiadowczej wachty na Bałtyku”, jak sam określał swoje zajęcie, był intrygującym facetem. Ogorzelski czuł, że to

jeden z nielicznych, przed którymi musi mieć się na baczności, a jednocześnie odczuwał do tego człowieka wielki szacunek. Puckie spotkanie było jednym z ważniejszych w karierze Ogorzelskiego.

Gdy „szef bałtyckiej wachty” został „szefem szefów”, Ogorzelski rósł wraz z nim.

Nazwisko Czesława Kiszczaka zawsze już potem kojarzyło się Ogorzelskiemu z Puckiem.

Kiszczak opowiadał mu wtedy o Błękitnej Armii generała Hallera i zaślubinach Polski z morzem, które odbyły się właśnie w Pucku.

Młodemu oficerowi Wojskowych Służb Wewnętrznych zaimponowała wiedza i cyniczny, w pełni zawodowy stosunek do rzeczywistości, jaki prezentował Kiszczak.

Później razem rozwiązywali tzw. „afery porucznika Gerschiny”, najlepszego agenta werbunkowego Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie Zachodnim, którego w ostatniej chwili ewakuowali kutrem przez Hamburg do Ustki. W ostatniej chwili, gdy sieć francuskich służb była nad nim już tak mocno rozpięta, że godziny dzieliły go od wpadki i propozycji przewerbowania.

Ogorzelski szedł korytarzem i uśmiechał się do swoich wspomnień.

Kiszczak, w chwilach gdy nie pojawiał się w mundurze, zdradzał zamiłowanie do bardzo szczególnego rodzaju cywilnej elegancji. Ogorzelski zapamiętał, że na jednym z tajnych kursów w Kętrzynie pojawił się w ciemnych garniturowych spodniach w delikatne białe prążki, kraciastej marynarce, wyglądającej tak, jakby żywcem zdarł ją z ulicznego grajka na warszawskiej Pradze, i kapeluszu z niewielkim rondem a la Alfonso Capone. Kiszczak bywał uroczy, szarmancki wobec kobiet. Zawsze wiódł prym w towarzystwie, nigdy dwa razy nie powtarzał tej samej anegdoty.

„Afera Gerschiny.” Ogorzelski otworzył swój pokój.

Na balkonie właśnie zawiesiły się ostatnie promienie zachodzącego słońca. Otworzył barek i nalał sobie lampkę koniaku. Wyciągnął się na balkonowym leżaku, powąchał trunek

i przymknął powieki. „Gerschina, diabeł nie oficer” — wspominał.

Przypomniawszy sobie, jak wbrew zakazowi Kiszczaka Gerschina rozpoczął brawurową karierę naukową. Omotał członka Komitetu Centralnego, który z ramienia partii zajmował się sprawami nauki, i ten na plenum KC potrafił podnieść „sprawę porucznika Gerschiny”. Kiszczak zgrzytał zębami, musiał jednak zgodzić się na napisanie przez przebiegłego porucznika doktoratu z socjologii.

Później często wspominał historię Gerschiny, zaśmiewając się w kulak.

— Ten diabeł najpierw miał ponad dziewięćdziesiąt procent zwerbowań w Berlinie, potem cudem uciekł spod francuskiej gilotyny. A potem bezczelnie opowiedział mi, jak omotał tego towarzysza z KC. Najpierw przez tydzień obserwował go, potem kupił sobie takiego samego psa, z jakim spacerował ten z KC. Oczywiście, jako zapaleni psiarze zgadali się i wtedy Gerschina wyznał mi, jak bardzo nasz resort hamuje jego naukowe aspiracje. Mało tego, kiedyś leciałem z Jaruzelskim, chyba do Bułgarii, w pewnym momencie Jaruzelski przysuwa się do mnie i mówi, że dobry ze mnie żołnierz, ale na ludziach to ja się kompletnie nie znam. Kiedy zrobiłem zaskoczoną minę, ten mi wypalił, że nie doceniłem towarzysza Gerschiny! — opowiadał Ogorzelskiemu.

Przykład Gerschiny był jednym z niewielu, które pokazywały, jak można przechytrzyć Czesława Kiszczaka.

Ogorzelski przez wiele lat czuł się mocno związany z wszechwładnym szefem peerelowskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Po 1990 roku często miał mu za złe, że tak dyskretnie zniknął z oficjalnej sceny politycznej. Ciągłe jednak czuł wielki respekt dla jowialnego na pozór Kiszczaka i potrafił docenić jego zawodową smykałkę do operacji, których efekty trwały do dziś.

„A Gerschina?”. Ogorzelski rozbawiony pstryknął w kieliszek. „Nazywano go «człowiekiem, który w czasie deszczu potrafi chodzić pomiędzy kroplami». Hm, wylądował w Wiedniu”. Zamyślony dopił resztkę koniaku.

Kiedy ostatnio potrzebował jego wiedzy, odnalazł go w Do- mu Pracy Twórczej w jednej z podwarszawskich miejscowości. Gerschina narzekał na zdrowie, zasłaniał się złym stanem pamięci, ale odpowiednio zmotywowany znakomicie pomógł w ustawieniu pewnego bardzo brzemiennego w skutki „wiedeńskiego obiadu”.

— Ile tego już się w tej głowie naskładało. Dużo, za dużo, pora zacząć zapominać — mruknął, odstawiając pusty kieliszek.

Rankiem młody kapral zostawił mu na portierni ośrodku nowy telefon Nokia.

Cierpliwie czekał na Ogorzelskiego w nowym opłu vectra.

O dziewiatej wyruszyli w stronę Pucka. Nie musieli się spieszyć, mieli przed sobą niecałe dwadzieścia kilometrów. Ogorzelski zawsze uważał, że droga z Władysławowa do Pucka jest jedną z najbardziej malowniczych w Polsce. Płaski brzeg zatoki, niewielkie domki, kolejka — swojsko, przyjemnie, bajkowo.

Zaparkowali na ulicy Gdańskiej. Generał zajrzał do niewielkiego sklepu wędkarskiego, poszperał wśród pikerów na dorsza, potem pospacerował rozkopanym Placem Wolności, który w Pucku pełnił rolę ryneczku. Cisza, spokój, ludzie zajęci swoim skromnym, małym życiem.

Lubił ciszę małych miasteczek, często z lubością podsłuchiwał rozmowy w takich miejscach. Od dzieciństwa miał nawyk zaglądania wieczorem do okien, słuchania, o czym mówią normalni ludzie. Nie wynikało to ani z patologicznej wścibskości, ani też z jakiegoś zamiłowania do inwigilacji bliźnich. Wszystkie podsłuchane sekrety zachowywał wyłącznie dla siebie, w ogóle był człowiekiem z natury dyskretnym i powściągliwym. Tajemne przyglądanie się życiu zwykłych ludzi było raczej sposobem na relaks, na perwersyjne wcielanie się w skórę innych, w ich biografie.

Być może ten szczególny rodzaj empatii był podyktowany oddaleniem od zwykłych doświadczeń. Być może w ten właśnie sposób nadrabiał brak, który uczeni psycholodzy nazwaliby „deprywacją emocjonalną”. Generał nie potrafił

przeżywać uczuć wyższych, tak przynajmniej sam o sobie sądził. Obce mu były wzruszenia związane z małżeństwem, z narodzinami dzieci, z chorobami w rodzinie. Wszystkie te sprawy załatwiał z rozsądkiem i sprawnością najlepszego biurokraty, nie przeżywał jednak z tego powodu ani radości, ani nadmiernego strachu.

Uważał się za człowieka racjonalnego do szpiku kości. Nie wierzył w istnienie Boga, wiarę uważał za przejaw słabości natury ludzkiej, za próbę magicznego wyjaśnienia tego, co jest niedostępne, nieprzeniknione. Nigdy nie był marksistą, jednak był przekonany, że wytłumaczenie każdego zjawiska, także pytania o początek (czemu akurat nie poświęcał zbyt wielkiej uwagi), jest tylko kwestią formacji intelektualnej człowieka, która rozwija się wraz z historią. Nie wierzył także w istnienie immanentnego, czystego w swej formie dobra i zła. Potrafił na poczekaniu cytować paradoksy udowadniające, że coś powszechnie uznane za dobre w ściśle określonym kontekście, może być postrzegane jako złe w kontekście odmiennym.

Często twierdził, że nawet odwaga żołnierza na polu walki musi mieć swoje racjonalne uzasadnienie, odwaga jako sztuka dla sztuki była, jego zdaniem, szkodliwym przesądem wpajającym młodym ludziom ku ich nieuchronnej zgubie. W tym kontekście postrzegał wszystkie polskie powstania — bezzasadne trwonienie wartościowej substancji, jak to czasem teoretycznie ujmował. Najbardziej irytowało go powstanie warszawskie. Co ciekawe, wbrew powszechnym w jego środowisku opiniom, uważał je za potrzebne — często twierdził, że bez powstania nie byłoby żadnej formy istnienia Polski po Jałcie — ale krańcowo spartaczone. „Dopuszczono do wymordowania elity narodu” — utyskiwał.

Teraz spacerował po kameralnym puckim rynku i przysłuchiwał się starszym kobietom, które rozparły się pod odno wioną siedzibą straży miejskiej i z wielkim ożywieniem rozprawiły na temat ostatniego kazania w puckiej farze.

— No umarł, ale żeby od razu stawiać go do równości z innymi?! Pani, przecie on jeszcze dwa dni przed śmiercią poszczany leżał w parku przy kapitanacie — oburzała się

zażywna blondyna.

— Jo, i jesce piątke mi ukrod ze sklepu — wtórowała jej farbowana brunetka z wyraźnymi odrostami na czubku głowy.

Ogorzelski poczuł się jak kocur wpuszczony między tłuste myszy.

Musiał zachować się niedyskretnie, bo wszystkie kobiety zawiesiły naraz swoje trajkotanie i solidarnie zgromiły go spojrzzeniami.

Skulony, chichocząc w kułak, spiesznie oddalił się w kierunku okazałej kawiarni „Neptun” pyszniącej się u południowego krańca rynku.

Taras „Neptuna” górował trzy stopnie nad puckim ryneczkiem. Kawiarnia niczym nie wyróżniała się spośród setek podobnych lokali w podobnie sennych miasteczkach, gdzie czas zupełnie zapomniał o swoich powinnościach.

Ogorzelski usiadł na tarasie. Od stolika rozciągał się widok na wszystko, co działo się w centrum Pucka, a w tej chwili nie działo się akurat nic. Stare kobiety skończyły swoją poranną recenzję kazania, zgarbiony staruszek w poplamionym dresie sprawdzał zawartość kilku koszy na śmieci.

„Ten pewnie najwięcej wie o szacownych puckich mieszczanach, śmieci niosą brutalną prawdę, opowiadają o grzechach i słabościach każdego” — pomyślał generał, pijąc lurowatą kawę.

Dobrze wiedział, jakie będą konsekwencje raczenia się czymś tak obrzydliwie kwaśnym i pozbawionym aromatu. Na szczęście w kieszonce marynarki spoczywała świeża porcja Rennie.

Obecność Białeckiego bardziej wyczuł, niż zauważył. Przez kilka minut czuł na plecach czyjś uporczywy wzrok. Pułkownik siedział we wnętrzu „Neptuna” i popijał tę samą lurę. Ogorzelski nie odwrócił nawet głowy. Dyskretnym gestem palca wskazującego prawej dłoni przywołał swojego współpracownika.

— Czołem — mruknął cierpko Białeckie. — Nie mogłeś znaleźć bardziej abstrakcyjnego miejsca na nasze spotkanie?

— Oj, kochany, od razu widać, że siedzisz w tej

Warszawce jak w Mekce i nosa poza roгатki nie wystawiasz. Dla ciebie kaź- de miejsce poza Puławską czy Świętokrzyską jest abstrakcyjne.

— Jeśli chciałeś pokazać mi grobowiec rodzinny od wewnątrz, to trafiłeś w dziesiątkę. Gratuluję — nie dawał za wygraną Białecki.

— Dobra, do rzeczy. — Nikły uśmieszek zniknął z twarzy Ogorzelskiego. — Pokaż mi to!

Białecki bez słowa sięgnął do wewnętrznej kieszeni wełnianej marynarki. Wyjął z niej złożony w kwadrat liścik.

— To pierwszy gryps od Okrzemka, chyba się rozkrochmała.

— Czytałeś?! — W głosie Ogorzelskiego zabrzmiała nowa, metaliczna nuta.

— Nie! Ale posłaniec powiedział mi, że Grzegorz potrzebuje pilnej rozmowy. Dotąd siedział cicho, a teraz chce rozmawiać.

— Dobra. Zaraz sam to przeczytasz.

Ogorzelski założył okulary i powoli wstał od stolika.

Wszedł za róg budynku i stanął tuż przed wejściem do najslynniejszej kaszubskiej smażalni ryb, „Budziszowej Checzy”.

List napisany był równym, starannie wykaligrafowanym pismem, zajmował całą stronę.

*Czas mija, a ja mam tego czasu więcej niż Pan General. Czas pokazuje mi zatem rzeczy takie, jak nigdy ich jeszcze nie widziałem, jak nigdy nie miałem czasu ich widzieć.*

*Nie zamierzam się skarżyć, dzieje się ze mną dokładnie to, co mogłem sobie wyobrazić, podejmując się pierwszych działań w naszej sprawie. Jestem człowiekiem dorosłym i w życiu nie zajmowałem się pomocą matce Teresie z Kalkuty ani kaznodziejstwem. Byłem zdyscyplinowanym i lojalnym żołnierzem. Piszę to wszystko w jednym tylko celu, aby Pan General nie podejrzewał mnie o tani sentymentalizm, jaki czasem wkrada się w dusze więźniów. Nie jestem żadnym Edmudem Dantesem (choć, jak mi Bóg miły, czasem chciałbym nim być), nie jestem esteta ani egzaltowaną panienką z zakonnej*



szkoły...

„Nudzisz, stary, nudzisz, pisz wreszcie, o co ci chodzi!”. Zniecierpliwiony Ogorzelski oparł się o ceglany mur otaczający pucką farę pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła i odruchowo wyglądził więzienny list od Okrzemka.

„Jak on powiedział? Gryps? Całkiem mu się, kurwa, po-przestawiało. To znaczy, że my jesteśmy jakimiś kryminalistami? Zaraz go opierdołę”. Humor generała pogarszał się z każdą linijką czytanego tekstu. Autor listu chwilowo pozostawał poza zasięgiem złości generała i Ogorzelski nie mógł teraz wbić go w podłogę bukietem soczystego „opierdolu”, więc czarne chmury zaciągały się nad głową dopijającego resztki puckiej lury pułkownika Białeckiego.

*...Jestem jednak trzeźwym (w pudle nie mają wyszynku) i rozsądnym człowiekiem, który na domiar złego wkroczył mocno w „smugę cienia”...*

„Zawsze był dziwakiem, ale na tej Rakowickiej całkiem się rozlał. Żołnierz od siedmiu boleści”. Ogorzelski skrzywił się, jakby naraz przełknął żywą muchę.

*...Mam coraz większe wrażenie, że pieniądze, które wygo spodarowałem dla Sprawy, służą teraz niskim interesikom i bogaceniem się wybranych przedstawicieli kadry. Taki obrót sprawy czyni ze mnie pospolitego przestępcę, złodziejzka, który ograbił państwowy skarbiec.*

*Jak Pan General wie, nie jestem żaden zaszczytów i odzna czeń, jak diabeł święconej wody boję się mediów i publicznych wypowiedzi, muszę jednak spoglądać na siebie przez pryzmat prawdy i nie zniosę momentu, gdy sam o sobie powiem – zło dziej, członek złodziejskiej szajki!*

*Panie Generale, Pan wiele może, proszę zatem o osobiste spotkanie. Wiem, że jest Pan w stanie bez problemu to zała twić. Brak takiej rozmowy sprawi, że poczuję się jak zwykły przestępca, ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu.*

*Z żołnierskim pozdrowieniem, major Grzegorz Okrzemek (chwilowo bez służbowego przydziału).*

„Wsadź sobie w dupę swoje żołnierskie pozdrowienia”.

Ogorzelski starannie złożył list i wolnym krokiem wrócił na taras kawiarni. Brzydka, agresywnie ufarbowana na czarno kelnerka przyniosła właśnie dwie porcje lodów waniliowych otulone w wielki kozuch syntetycznej śmietany w aero- zolu.

— Masz, czytaj. — Kwaśna mina Ogorzelskiego stanowiła dla Białeckiego ostrzeżenie, że treść listu nie będzie przyjemna. — A tak jeszcze dla wyjaśnienia, to za kogo ty siebie i mnie uważasz? Za jakiś skurwiony Pruszków, za jebanych rzezimieszków z Pragi, a może za ruską mafię? Kurwa, porąbało ci się całkowicie w tym ciasnym łbie. — Syk Ogorzelskiego stał się tak jadowity, że litery momentalnie rozbiegły się przed oczami pułkownika.

— Ale. — jęknął roztrzęsiony Białecki. Wybuch generała kompletnie go zaskoczył.

— Ale, ale. Ty mi tu grypsy będziesz przekazywał! To co ja jestem? Jakiś w dupę szarpany mafiozo?

— A, to. Przepraszam, przejęczyłem się.

— To się, kurwa najjaśniejsza, więcej tak nie przejęczysz, bo się, cholera, odkrywasz.

Furia generała powoli wygasiała. Ogorzelski umilkł i rozejrzał się wokół. Na szczęście na tarasie „Neptuna” byli sami, a na rynku poza śmieciowym dziadkiem nie było już żywej duszy. Nagła cisza ośmieliła Białeckiego do ponownego zanurzenia się w treści listu od Okrzemka.

— Mamy problem, panie generale.

— Tyle to i ja wiem.

— Można by go uciszyć, jego stara.

— Durniu! — syknął Ogorzelski. — Każdego można uciszyć, ale taka cisza nie trwa wiecznie. Ktoś kiedyś zacznie grzebać i po sprawie. My nie gramy już o dziś, nie gramy nawet o swoje pogrzeby, bo te i tak odbędą się z fanfarami, poduszkami pełnymi medali i kompanią reprezentacyjną.

— Nie rozumiem. — Białecki całkowicie zbity z tropu otarł dłonią spocone czoło.

— To właśnie jest mój problem. Wy wszyscy macie taki obraz świata, jaki tępyimi zakreślicie oczy.

— Hm?. — Białecki zaczął niespokojnie wiercić się na

stołku.

— Z czytaniem też nie było najlepiej, co? Tylko klasyka ze szkółki?

Pułkownik zrezygnowany wyprostował się i spojrzał w oczy zwierzchnika. W jego wzroku była już tylko bezwarunkowa kapitulacja.

— Tu nie chodzi o domki z ogródkiem, dobrą gorzałę, dziwki i grilla. Tu nie chodzi nawet o bachory na londyńskich uczelniach. Tu idzie o pamięć. O to, czy zapamiętają nas jako patriotów, rozsądną elitę, która przeprowadziła ten kraj do nowoczesności, czy też po kilkudziesięciu latach jakiś pryszczaty gówniarz dogrzebie się w archiwach do dziwnych dokumentów i wywałą nas z podręczników, splują nasze groby. O to idzie, panie pułkowniku.

— No tak, ale co nam z tego?

— Nic, wam, jak widać, nic.

— Nam też zależy na honorze, jeśli o to idzie — Białecki powoli odzyskiwał rezon.

— To jest historia, a ona trwa i ja chcę mieć w niej ładny obrazek, choćby taki, jak książkę Pepi. — Na twarz Ogorzelskiego wypelzł nikły uśmiech.

— Historia jest bez Boga i bez dzisiejszych wyobrażeń. Ona ma swoją logikę, drogi generale. Akurat na nią nie mamy haka.

Ogorzelski delikatnie klepnął Białeckiego w ramię.

— Proszę cię, nie rznij więcej przede mną głupka. Jak jest problem, to go po prostu rozwiązujemy.

— Tak jest! — Białecki dyskretnie zasalutował do swojego wysokiego czoła.

— Okrzemek jest jednym z nas, świrniętym, ale jednym z nas.

— Nie ulega kwestii.

— Nie możemy go traktować jak pierwszego lepszego wszarza.

Białecki siorbnął przez rurkę roztopioną breję złożoną z lodów i syntetycznej śmietany. Ogorzelski ze wstrętem odstawił swój pucharek.

— Po maluchu? — Pułkownik gestem przywołał leniwie ruszającą się kelnerkę. — Po małym koniaczku — zaordynował.

— Pod rybkę! — mruknął Ogorzelski i sekundę później prychnął czymś, co w założeniu miało być czterogwiazdkowym martellem.

— Chodźmy stąd. — Pociągnął za ramię Białeckiego, który w biegu regulował słony rachunek za puckie specjały.

Wolnym krokiem ruszyli w kierunku „Budziszowej Checzy”. Słońce delikatnie odbijało się od świeżego puckiego bruku. Farbowana kelnerka stanęła na rogu tarasu i przykładając dłoń do czoła, spoglądała na dwóch mężczyzn w średnim wieku, którzy niespiesznie zmierzali do kaszubskiej smażalni.

— Ani biznesmeni, ani miejscowi, ani turyści. — pomyślała na głos.

Gdy tylko wyszli z „Neptuna”, Ogorzelski energicznie pociągnął Białeckiego w kierunku trzynastowiecznej fary sióstr cysterek.

— To nie jest zwykle miejsce — mruknął i chyba uznał, że tak wyczerpujące wyjaśnienie powinno Białeckiemu wystarczyć.

Powoli zanurzyli się w ciszę doskonale odnowionego kościoła. Białeckie urzeczony wlepił spojrzenie w krzyżowe sklepienia romańskiej bazyliki. Ołtarz zawierający olejną scenę tryumfu zmartwychwstałego Chrystusa przyprawił go o niemądre rozdziawienie ust.

Miał za sobą dwa lata historii sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim i potrafił docenić klasę osiemnastowiecznego malowidła.

— Nie wiedziałem, że jesteś religijny — szepnął do siedzącego obok Ogorzelskiego.

Szept zabrzmiał zwielokrotniony przez wszystkie ściany i wykusze fary.

Pułkownik się wzdrygnął. Z tak doskonałą akustyką nie spotkał się od dawna. Głos w farze brzmiał krystalicznie czysto,

a szept niósł się jak tajemnicze pomruki nierzeczywistych stworzeń.

— Bo nie jestem!

— W takim miejscu, to nawet ja mogę uwierzyć w trójcę.

— Ten kościół jest dla mnie ważny. — Wyraz twarzy Ogorzelskiego daleki był od kpiny.

Białecki, lekko zdezorientowany, ukradkiem przyglądał się swojemu szefowi.

Doceniał klasę świątyni. Był zaskoczony faktem, że w tak ospałym i nieciekawym miasteczku można znaleźć coś tak niepowtarzalnego. Przypomniała mu się bazylika Bożogrobców w Miechowie, która ukryła się przed światem niemal równie doskonale jak pucka fara. Znajdowała się w niej jedyna na świecie siedemnastowieczna drewniana replika Grobu Pańskiego z Jerozolimy. Po spaleniu się oryginału, miechowska kopia pozostawała najstarszą pamiątką po ukrzyżowaniu Jezusa Chrystusa.

W nawie bocznej fary Białecki zachwycił się Ukrzyżowaniem namalowanym przez Hermana Hana w 1623 roku — pamiętał je z albumu opowiadającego o najcenniejszych zabytkach sakralnych siedemnastowiecznych Niemiec.

I jeszcze ta niesamowita, niepowtarzalna akustyka — rzeczywiście, to nie był zwykły kościół, nigdy jednak nie podejrzewał generała Ogorzelskiego o emocjonalny stosunek do zabytków, a do katolickich świątyń w szczególności.

Tymczasem generał pogrążony był w jakiejś dziwnej medytacji.

Na szczęście o tak wczesnej porze byli jedynymi ludźmi w farze.

— Ten kościół mnie stworzył — usłyszał po chwili Białecki. Wyraz jego oczu mimowolnie skłonił generała do uśmiechu. — Nie, nie byłem nigdy katabasem, nigdy nawet nie służyłem do mszy. — Generał zachichotał.

— To co? — wyszeptał zbaraniały pułkownik.

— Tu spotkałem jednego z najważniejszych ludzi w moim życiu.

— Księdza?

Ogorzelski znów zachichotał, rozmowa z podwładnym coraz mocniej go bawiła.

Siedzieli w surowych, drewnianych ławach. Nad ich głowami pyszniła się bogato rzeźbiona barokowa kazalnica, a Białecki nabożnym szeptem zwracał się do niego jak do biskupa.

— Nie, nie był to ksiądz — odpowiedział spokojnie.

Twarz Białeckiego wyrażała już tylko bezgraniczne skołowanie. Znał generała od wielu lat, znał także jego niechęć do wszelkich religii i pamiętał trudno skrywaną irytację, gdy rozmowy wkraczały na temat kościoła, księży i polskiego katolicyzmu, a tu nagle fara, medytacja, szept.

— Tym człowiekiem był Czesław Kiszczak.

— Kiszczak? Tu w farze?

— Tak, właśnie tu wezwał pewnego młodego oficerka i powierzył mu skomplikowane zadanie. I ten młody poruczniczyna z zadania wywiązał się przyzwoicie. Tak się zaczęła kariera niejakiego Ogorzelskiego.

— Ale dlaczego w farze?

— Kiszczak miał jakiś szczególny sentyment do armii generała Hallera, a w tej właśnie farze każdego dziesiątego lutego obchodzona jest rocznica pierwszych zaślubin z Bałtykiem, zaślubin dokonanych przez generała Hallera.

— To. perwersyjne — wykrztusił wreszcie Białecki.

— Normalne.

— Dlatego mnie tu ściągnąłś?

— Uhm.

— I co?

— Tu zadecydujemy o losie Grzegorza Okrzemka.

Rozalia Stachoń została uroczyście wprowadzona we wszelkie tajemnice historii Andrzeja Brennera.

Najdłużej trwało tłumaczenie jej, dlaczego ludzi odpowiedzialnych za funkcjonowanie Funduszu Budowy Gospodarki nie da się po prostu zamknąć do więzienia.

— Przecież gdybym ja złapała złodzieja, to już by się nie

wywinął, chodziłabym do wszystkich świętych, do tego ich najwyższego komendanta milicji też, i w końcu, nawet dla świętego spokoju, zamknęliby go — powtarzała.

— W tym właśnie problem, droga Rozalciu, że tych wielkich nikt nigdy nie zamyka, bo za nimi stoją jeszcze większe pieniądze i wpływy — tłumaczył jej Maciej Grabicki.

Do późnej nocy Andrzej, jego kuzyn, Zdzisława Okrzemek i Rozalia analizowali rozwój wydarzeń.

Teraz, kiedy z własnej inicjatywy wprawili w ruch tajemną maszynę służb, musieli być wyjątkowo ostrożni i rozważni.

— Jak się zastawia w lesie pułapkę, to trzeba być na tyle cierpliwym, aby jej ciągle nie sprawdzać. Wszystko ma swój czas- i nic nie da się przyspieszyć — zawyrokowała Rozalia.

— To wszystko zbyt proste. Ogorzelski nigdy nie złapie się na tak prostacki numer.

Andrzej od momentu, gdy poznał szczegóły planu autorstwa Grabickiego i Okrzemkowej, odgrywał rolę adwokata diabła. Nie musiał się zresztą do niej szczególnie przymuszać, szczerze wątpił w jakiegokolwiek szanse powodzenia „wilczej roszydy”.

Plan niespodziewanie zyskał jednak żarliwego obrońcę w osobie Rozalii Stachoń.

— Jędrus, ty jesteś za bardzo zamotany. Zobacz, że wszystko w życiu tak naprawdę jest bardzo proste. Wszystko zależy od intencji. Jak masz czyste intencje, to kochasz wtedy, kiedy czujesz miłość, jesz, jak jesteś głodny, bijesz się, jak uważasz, że warto. Nie kłamiesz, to nie komplikujesz życia. Ludzie komplikują proste sprawy, krążą, wymyślają zamienne słowa, ukrywają swoje intencje. Ja uważam, że tylko proste drogi wiodą do celu i tylko proste plany przynoszą powodzenie. To, co wymyślił ten witkacunio niedoszły, musi się udać. Jak chcesz złapać lisa, to musisz go wykurzyć z nory, bo w swojej norze on ma nad tobą przewagę.

— Z tym witkacuniem to mogłaś sobie darować, ja maluję w zupełnie innym stylu. Ostatnio nawet idę w stronę realizmu symbolicznego — zachnął się Grabicki.

— Że też moja cała familia musi być skarana tymi pacykarzami!

— Tak nie będziemy rozmawiać. — Grabicki poczuł się dotknięty do żywego i demonstracyjnie opuścił salon.

— Oj, głupi ten Maciek jak but z lewej nogi. Powiem wam, że on naprawdę mógł zrobić karierę. Dwa lata temu nie odstępowala go pewna Niemra. Miała jedną z największych galerii w Wiedniu, przy placu Graben. Chciała mu robić wystawy, a ten gdzie tam. uciekł od niej. Baba czuła do niego miętę, a ten nic. jak słup — Rozalia uznała, że korzystając z nieobecności gospodarza, musi wtajemniczyć spiskowców w tajemnice artystycznej biografii Grabickiego. — Potem zjawił się u niego taki bardzo dystyngowany pan z Krakowa. Nazywał się Józef Grabski, też miał dużą galerię w Wiedniu, wydawał jakieś bardzo znane pismo artystyczne. Też namawiał naszego witkacunia do współpracy i, jak się domyślicie, przed nim także dał dyla. — Z politowaniem spojrziała na drzwi, które kilka chwil wcześniej zamknęły się za Maciejem Grabickim. — Powiem wam jeszcze, że kilka razy sama spotkałam się z tym panem Grabskim. On był największym doradcą do spraw sztuki tej wielkiej polskiej milionerki z Ameryki. oj, zapomniałam jej godności. — Urwała zmieszana.

— Barbara Piasecka-Johnson — mruknął Andrzej. — Ale jak ty jesteś taka rozsądna, to wyjaśnij mi, dlaczego nigdy nie sprzedawałaś swojego obrazka?

— Ja to inna inszość. — Spuściła głowę.

— Nie inna. Ten obrazek nad drzwiami jest niepowtarzalny.

— Ja to nie to, co Maciej, ja jestem samouk.

— Kokietka.

— Kiedyś może i byłam, ale teraz już nic nie muszę.

— Dobrze mi się was słucha, ale co to ma wspólnego z naszym planem? — wtrąciła milcząca dotąd Zdzisława Okrzemek.

— Konie już poszły i niczego się nie da cofnąć.

Andrzej wstał zza stołu i pobiegł udobruchać kuzyna.

Po kwadransie wrócili uśmiechnięci. Czwórka



spiskowców znów pochyliła się nad arkuszem papieru, na którym Grabicki rozrysował kolejne fazy „wilczej roszady” — planu, który miał ostatecznie odwrócić bieg wydarzeń związanych ze zdemaskowaniem kulis funkcjonowania Funduszu Budowy Gospodarki.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że igrają z ogniem. W lawinie wydarzeń, którą nieświadomie wywołał Andrzej Brenner, wszystko przebiegało boleśnie realnie. „Gra”, jak początkowo określał swoje pisanie Andrzej, przyniosła już jedną śmierć. Na jednym z jej zakrętów zginął Maks Rozler.

## Rozdział XII

Grzegorz Okrzemek rzeczywiście miał dużo czasu. Unieruchomiona noga uniemożliwiała mu dłuższe pobyty na spacerniaku. Czytał więc, starał się nawet pisać wspomnienia. Zapisywał każdy mijający za kratami dzień, potem czytał zapiski i stwierdzał, że w jego życiu panuje doskonały bezruch: te same powtarzalne czynności, te same widoki, ci sami ludzie.

Długo zastanawiał się, jaki sens miała jego dotychczasowa egzystencja. Czuł się oszukany, nie wiedział jeszcze, czy przez los, przez swoje fałszywe wyobrażenia czy też przez strukturę, której dobrze nie rozpoznał. Najgorszą odpowiedzią był wniosek, że stał się kozłem ofiarnym formacji, którą dotąd uważał za swoje środowisko życia. Bał się, że pewnego dnia obudzi się i nie będzie już miał żadnych wątpliwości, że zobaczy siebie jako głupkowatego małego frajera, który został bezlitośnie wykorzystany, a potem bez sentymentów sprzedany. Nie chciał takiej odpowiedzi, więc rozważał ją jako ostatnią i na razie przebijał się przez próbę zrozumienia natury losu i roli zwykłego przypadku w życiu człowieka.

„Przecież gdy spada meteor i trafia kogoś w głowę, to jest to jeden przypadek na sześć miliardów ludzkich istnień. Ten człowiek nie był frajerem, nikt go nie wrobił w spotkanie z pozaziemską materią, a jednak ta materia zmiażdżyła mu głowę” — pocieszał się.

Gdzieś jednak, głęboko, być może jeszcze poza kontrolą świadomości, rosło w nim poczucie skrzywdzenia. Czuł się ofiarą, nie rozstrzygnął jednak jeszcze czy własnej chciwości, splotu niekontrolowanych okoliczności, czy też spisku ludzi, którzy rzeczywiście kierowali jego strukturą.

W momencie, gdy odwiedziła go żona, stropiony nie potrafił jej wyjaśnić, dlaczego jako jedyny oficer ze ścisłego grona, które zaplanowało i rozegrało grę strategiczną pod tytułem Fundusz Budowy Gospodarki, znalazł się przed sądem i w wię- zieniu.

Zdzicha jak zwykle miała na wszystko odpowiedź, dla

niej nie ulegało wątpliwości, że był „żałosnym kozłem ofiarnym”.

Kiedy poprosiła go, aby napisał list do Ogorzelskiego, nie znalazł w sobie siły, by protestować. Widział, że żonie bardzo na tym zależy.

W ogóle zauważył w niej wiele zmian, korzystnych zmian. Wyglądała, jakby nagle ubyło jej dziesięć lat, mówiła łagodniejszym niż zwykle tonem, kilka razy zdobyła się nawet na coś w rodzaju czułości, co wcześniej nigdy się jej nie zdarzało.

Ona, urodzona fatalistka i kostyczna diablica, powiedziała mu na koniec widzenia:

— Grześ, tylko mi tu nie skapcaniej, bo w domu czeka na ciebie wymagająca kobieta. Jedz, ćwicz i o nic się nie martw, kotku.

Zaskoczyło go szczególnie to „kotku”. Prosił ją, aby trzy razy powtórzyła nowe określenie starego męża.

— Nie przesłyszałeś się, kotku — zakończyła.

Miała starannie uczesane włosy i pomalowane paznokcie! Przez kilkadziesiąt lat małżeństwa nie miał do czynienia z takim wydaniem Zdzisławy, z taką eksplozją kobiecości w jego suchej i sarkastycznej połowicy.

Gdyby opowiedział o swoich wrażeniach koledze z celi, pewnie usłyszałby ostrzeżenie, że małżonka znalazła sobie młodszego adoratora. On jednak zbyt dobrze znał Zdzisławę.

Była jak łabędzica, chronicznie monogamiczna, tylko raz związała się z facetem.

Coś innego ją napędzało i dodawało jej wigoru. W pokoju widzeń nie było warunków do wynurzeń, obiecała mu jednak, że jak tylko pójdą na pierwszą kawę na wolności, opowie mu niezwykłą historię i pozna go z niezwykłymi ludźmi.

To było szokujące widzenie — na sam koniec Zdzisława zażądała, aby na następny raz wystarczył się o „mokrą celę”, bo „zaczyna mieć na niego ochotę”.

Wieczorem dokładnie obejrzał się w lusterku. Otyły, mocno łyśa głowa, tylko w dole otoczona wianuszkami cherylawych, mnisich włosów, mokra twarz, wory pod oczami —

był zbyt stary nawet jak na swoją metrykę. Źle wyglądał, pomimo, że od ponad roku nie wziął do ust nawet grama alkoholu. Na do- miar złego gdy sikał, w żaden sposób nie był w stanie zobaczyć swojego penisa, miękki brzuch swobodnie przelewał się ponad paskiem od spodni.

Ze smutkiem zdał sobie także sprawę z faktu, że od bardzo dawna nie miał ochoty na seks.

„Mokra cela!”. To zaczęło budzić w nim przerażenie, choć z drugiej strony.

Postanowił, że od następnego poranka zacznie regularnie ćwiczyć fizycznie.

Młoda, elegancka kobieta biegła przez mokry od deszczu krakowski Rynek. W pewnej chwili potknęła się i złamała obcas zwykownego czarnego pantofelka.

Kilku mężczyzn natychmiast zaoferowało jej swoją pomoc, ale odskoczyli jak oparzeni, gdy fuknęła na nich rozsierdzona. Nie miała ochoty na żadne nowe znajomości.

Utykając, dotarła na ulicę Szczepańską i ostrożnie wdrapała się po stromych drewnianych schodach do Klubu Dziennikarzy „Pod Gruszką”.

Pod oknem, na tradycyjnym miejscu, tuż obok historycznego stolika, przy którym ongiś zasiadał Ludwik Jerzy Kern z kompanami, siedział Andrzej Brenner.

— Przepraszam za spóźnienie, ale parking, tłumy i jeszcze na dodatek złamałam ten cholerny obcas. Stęskniłam się!

— „Brigitte”, to ja. — Nie dokończył, bo Anna, nie zważając na obecność kilku innych osób na sali, zamknęła mu usta długim, namiętym pocałunkiem.

— Wreszcie jesteś — szepnęła, z trudem łapiąc oddech.

— Dużo się zmienia, ale ja musiałem choć na dwa dni wpaść do Krakowa. Wiedziałem, że znów tu jesteś.

— Kochany. Ja też mam dla ciebie dużo nowych informacji. Chyba najgorsze jest już za nami.

Siedzieli objęci jak nastolatki. Z ich okna roztaczał się

naj- lepszy w Krakowie widok na Rynek, teraz mokry i wyludniony.

— Mecenas Druzgała nie próżnuje, znalazł mnóstwo wątpliwości. Twierdzi, że prokuratura może nawet próbować wycofać akt oskarżenia przeciwko tobie i że możliwy jest układ pomiędzy tobą a nimi.

— Nie! — przerwał jej. — Nie będzie żadnego układu. Chcieli mnie ugotować na całą Polskę, to teraz będą musieli odszczekać też na całą Polskę!

— Jędrus — pogładziła go po twarzy — spokojnie, musisz teraz być bardzo rozważny. Nie rozumiem tych twoich historii, ale z doświadczenia wiem, że najpierw trzeba wysłuchać przeciwnika do końca, a potem zrobić swoje. Nie podpalaj się, bardzo cię proszę.

— Przepraszam. Przyrzekam, że wszystkie koszty adwokata ci zwrócę. Potrzebuję tylko trochę czasu. To na pewno są spore wydatki. Głupio mi.

— Przestań, pieniądze przychodzą i odchodzą, a ty jesteś tylko jeden taki na całym świecie. Bardzo cię przepraszam za to, że tam w Zakopanem tak na ciebie nawrzeszczałam.

— Miałaś rację.

— Nie, nie miałam. Jak się chce być z kimś, to trzeba godzić się na to, że jest inny, nie wolno go naginać do siebie, a ja właśnie to chciałam wtedy zrobić. Teraz już wiem, że nie mogę cię zmieniać. i nie chcę.

Ujął jej głowę w obie dłonie i pocałował w usta. Rozpierało go poczucie szczęścia, banalnego szczęścia, jakie spotyka zakochanych, wyjątkowego, niepowtarzalnego, o którym nikomu nie umiałby opowiedzieć.

Całą noc na przemian kochał się z nią i opowiadał o tym, co działo się przez wszystkie dni, gdy się nie widzieli.

Kiedy nad ranem zasnął, „Brigitte” przykryła go kołdrą i usiadła w rogu łóżka, tak że mogła przyglądać się pierwszym, płochliwym smugom światła wpływającym przez zakurzone okno i miękko układającym się na twarzy śpiącego.

Podkurczyła nogi, opuściła głowę i oparła ją o kolana. Jej policzki były mokre od łez.

Lobby bar hotelu „Marriott” huczał od dziesiątków krzyżujących się w powietrzu głosów.

Dwunasta w południe, najlepszy czas na spotkanie, w takiej ludzkiej ciżbie nawet najbardziej wprawny obserwator nie był w stanie od razu wyłowić konkretnych postaci.

Ogorzelski zniecierpliwiony bębnił palcami w szklanę heinekena. Nie znosił braku punktualności, bezwzględnie wymagał jej od swoich współpracowników, tym razem jednak nie miał żadnego wpływu na rozwój sytuacji.

Wyglądało na to, że tym razem to on był petentem.

W końcu pojawił się Ważny Rozmówca. Nie był sam.

Ogorzelski znał tylko jednego z towarzyszących mu mężczyzn. Poderwał się od stolika i po chwili tonął w niedźwiedzim uścisku wysokiego, łysiejącego mężczyzny.

— Manfred! Właśnie o tobie myślałem.

— Nic się nie starzejesz, stary lisie — śmiał się Manfred Drecha.

Wyglądał imponująco. Znakomity, szyty na miarę garnitur, śnieżnobiały uśmiech, młode, inteligentne oczy.

Ogorzelski dopiero teraz przypomniał sobie, że obok jego stolika wciąż stoi Ważny Rozmówca i towarzyszący mu niewysoki, dobrze ubrany mężczyzna o szpakowatych skroniach i ujmującym uśmiechu.

— Przepraszam za spóźnienie — niechętnie wymamrotał Ważny Rozmówca.

— Nic się nie stało. — Ogorzelski z trudem hamował niechęć do gościa.

— Wie pan, w normalnym państwie generałowie są generałami dlatego, że potrafią na nas czekać. — Ważny Rozmówca rozparł się za stołem i z łaskawym uśmiechem, rogiem własnej marynarki, zaczął czyścić zaparowane okulary.

— Ach, prawda. Panowie jeszcze się nie znają. — Ważny Rozmówca wskazał palcem na wciąż stojącego szpakowatego mężczyznę. — Pan Ted ze Spectrum State Corporation; pracują w uzbrojeniu.

Ogorzelski wyciągnął dłoń i poczuł krótki, silny uścisk.

— Pan generał nie miał chyba ostatnio najlepszej passy. Uznałem, że trzeba pogadać — odezwał się Ważny Rozmówca.

— Pan chyba też trochę nieswój — odciął się Ogorzelski.

Kipiał z wściekłości. Miał w swoim gabinecie dokumenty mówiące o tym, jak wojsko pomagało w interesach Ważnemu Rozmówcy. Miał relacje oficerów raportujących jego związki z Rosjanami. Miał w końcu opisy wspólnych pijackich orgii, na których Ważny Rozmówca strzelał ze sztucera do wiszących na ścianach poroży. Orgie na Białorusi, pijaństwa z oficerami SWR na Syberii, wizyty w Monte Carlo — cały pitawał.

Ten facet nie znał żadnej miary. Ogorzelski miał ochotę zmiażdżyć go jednym zdaniem. I wiedział, że nie może tego uczynić. Ważny Rozmówca właśnie szedł w górę.

— Jakies kłopoty, Kaziu? — Drecha dotknął ramienia Ogorzelskiego.

— Nie, normalka — Przywołany do rzeczywistości generał wzdygnął się

— Normalka, czyli ryją? U nas też nie ma spokoju.

— Trochę ryją, jak zawsze, ale mam na to lekarstwa.

— Pan generał się starzeje, nie nadąża za najnowszymi trendami, często musimy sami łątać dziury — protekcyjnalny ton Ważnego Rozmówcy sprawił, że Ogorzelskiemu krew uderzyła do głowy.

— Pan, zdaje się, zapomniał, że siedzimy w towarzystwie dżentelmenów. Przepraszam, muszę na chwilę wyjść do toalety

— warknął Ogorzelski.

W drodze do WC usłyszał jak Ważny Rozmówca, zupełnie niezrażony jego ripostą, klaruje swoim towarzyszom:

— Bo, widzicie, generałowie nie są od polityki i nie muszą być przy wszystkich rozmowach. Skończyły się czasy, kiedy wszyscy za nimi biegali, teraz niech oni nauczą się joggingu — perorze Ważnego Rozmówcy towarzyszył kipiący samozadowoleniem śmiech.

Na szczęście Ważny Rozmówca nie posługiwał się żadnym obcym językiem i Drecha, chcąc nie chcąc, był zmuszony tłumaczyć słowa Ważnego na angielski, tak aby Ted mógł

cokolwiek z tej tyrazy zrozumieć. Chropawy polski Drechy, jego dobre wychowanie i wrodzony takt sprawiły, że tłumaczenie przypominało najlepsze skecze kabaretu „Dudek”.

Mister Ted musiał odnieść wrażenie, że Europa jest egzotycznym kontynentem, a Europa Wschodnia to już inna planeta, której nie należy nawet próbować rozumieć, bo może to nadwerężyć władze umysłowe rozsądnej jednostki.

Ogorzelski stał przed lustrem i głęboko oddychał. Po chwili poczuł, jak trzęsąca nim emocja wolno rozplywa się w krwiobiegu. Przemył twarz zimną wodą, skrupulatnie wytarł papierowym ręcznikiem i naraz grzotnął pięścią w ścianę. Zabolalo, pomogło.

Po sekundzie wywołał na twarzy sztuczny uśmiech i wolnym krokiem powrócił do stolika, przy którym siedział Ważny Rozmówca.

„Jeszcze kiedyś wpadniesz mi w łapy i będziesz szczał pod siebie, tak jak kiedyś!” — pomyślał mściwie.

Z megalomańskiej opowieści Ważnego wynikało, że „pan Ted” jest w dziesięciu procentach Polakiem, reprezentuje ważną grupę lobbingową działającą na waszyngtońskim Kapi- tolu i zajmuje się załatwianiem kontraktów zbrojeniowych.

— Panowie, ja już nie mam czasu, resztę szczegółów omówicie sobie sami. Pamiętajcie, że nasz generał jest człowiekiem zaufanym i rozmawiajcie z nim tak, jakbyście rozmawiali ze mną. Pan generał jest moim człowiekiem. — Ważny Rozmówca wstał i niedbale pożegnał się ze swoimi towarzyszami.

Ogorzelski długo spoglądał na zwałistą, kluchowatą postać, która przeciskała się do wyjścia.

„Mój człowiek, ty stuku! Mój człowiek! Kurwa, już ja ci zrobię koło pióra, niech tylko pośliznie ci się ta koślawa noga”. Ponownie dygotał z wściekłości.

— Kaziu! — Drecha żartobliwie machnął mu dłonią przed oczami. — Coś nie tak?

— Nie. wszystko w porządku, zamyśliłem się. — Na usta Ogorzelskiego wypełził zawodowy uśmiech.

— Kazimierz, Ted ma bardzo poważną propozycję



związaną z programem „Ropa za żywność”. To może być nadzwyczaj interesujący kontrakt. Aby to wszystko zapiąć, potrzeba nam dobrych rakiet, które potrafią dać sobie radę z ruskimi systemami lotniczymi.

— Mamy. — Ogorzelski powoli odzyskiwał spokój.

— Wiem, że macie. Rozmawiałem z byłym szefem koncernu produkującego „Gromy”. To one są powodem naszej rozmowy. Problem w tym, czy jesteście w stanie niezauważalnie sprzedać dwieście sztuk.

— Na kiedy?

— Termin dwóch miesięcy.

— End-user?

— Powiedzmy, pewna raczkująca demokracja, którą musimy wesprzeć.

— Manfred, znasz mnie już trochę, nie bierz mnie na plewy.

— To może ja przetłumaczę treść naszej rozmowy panu Tedowi?

Rozmawiali po niemiecku, więc tym razem Drecha miał znacznie łatwiejsze zadanie i przełożył treść rozmowy, opuszczając jedynie ich przekomarzania.

— Przejdźmy na angielski — zaproponował przybysz zza oceanu. — To właściwie mój pierwszy rekonesans w Polsce, ale z panem Drechą i panem Steinerem zrealizowaliśmy już kilka ciekawych koncepcji.

— Steinerem?! — Ogorzelski zaskoczony uniósł brwi.

Siedzący naprzeciw niego Drecha natychmiast zgromił go krótkim błyskiem w oczach.

— Kilka razy próbowaliśmy coś zrobić z wami, Polakami, także po to, abyście jako sojusznicy mieli coś z tej wojny. Hm.

— Ted wyraźnie się zasępił.

— Tak? — Ogorzelski uprzejmie nalał mu piwa.

— Mam wymieniać?

Drecha i Ogorzelski wlepili w niego wyczekujące spojrzenia.

— Inżynier z wrocławskiej „Jedynki” — wpadka waszych służb wojskowych. „Ostrowski Arms” — wpadka, skandal,

zamieszanie. Konsorcjum „Victoria” — dno. Właściwie tylko wasi chłopcy w „Blackwater” się sprawdzili, ale oni byli tam prywatnie. Przecież wy nie macie żadnych służb!

— Ale „Blackwater” też jakby troszkę przereklamowane. Świętej pamięci „Blackwater”. — Uśmiech Ogorzelskiego był tak wystudiowany, że trudno było się w nim doszukać odrobiny złośliwości.

— Czy do jutra jest pan w stanie przygotować się do poważnej rozmowy? — kontynuował niezrażony Ted.

— Na pewno — wypalił Drecha.

— Na pewno? — Amerykanin spojrzał w oczy Ogorzelskiego.

— Tak. — Generał wytrzymał spojrzenie.

— Dziękuję. To na dzisiaj chyba skończymy — ton Teda nie zmienił się nawet przez moment, ciągle był wobec Ogorzelskiego tak samo oficjalnie uprzejmy, jak w momencie zawarcia znajomości.

— Panie Manfredzie, my jeszcze mamy kilka spraw.

Ogorzelski zaskoczony spojrzał na Drechę, który poderwał się razem z Amerykaninem i pospiesznie wyciągnął do niego dłoń.

— Jutro rano „Banja Luca” na Puławskiej, wprowadzę cię w sytuację — zdążył konspiracyjnie mruknąć mu na ucho. — O dziesiątej — dodał.

Generał długo jeszcze siedział przy stoliku i przeżuwał rozmowę.

Jedno nazwisko nie powinno w niej paść, a jednak padło. Stary Steiner ma już dziewięćdziesiąt lat, poza tym Drecha nie powinien być tak nieostrożny.

— Kurwa, jeszcze mi Żydów na plecach potrzeba — mruknął sam do siebie.

Następnego dnia już kwadrans przed dziesiątą Ogorzelski siedział w rozległym ogródku restauracji „Banja Luka”. Był chyba pierwszym klientem, zamówił podwójne espresso z kropelką mleka.

Drecha zjawił się punktualnie. Wypoczęty, w lnianym garniturze i kapelusiku, promieniał dobrym nastrojem.

— Kaziu, czemu jesteś taki spięty? Świat dopiero odkrywa przed nami swoje uroki.

— Przed jednymi odkrywa, a inni muszą na to ciężko zapierdalać. — Ogorzelski był rozdrażniony, a pierwsze dawki kofeiny dopiero docierały do jego mózgu.

— Coś nie tak? — Drecha zmierzył go badawczym spojrzeniem.

— I tak, i nie.

— Jak na oficera jesteś niezwykle precyzyjny.

— Bo sytuacja jest nieprecyzyjna.

— Chodzi o rząd?

— Nie, z nimi akurat nie ma problemu, odkąd Kaczory zostały odcięte od żłobu, nie mamy większych kłopotów.

— To co cię trapi, kochany generale?

— Historia.

Drecha zamrugał powiekami.

— Możesz powtórzyć? Wiesz, mój polski ciągle jeszcze jest ułomny.

— Historia! Historia mnie trapi, Manfredzie. Wy co ważniejsze kwity sprzedaliście Amerykanom, resztę macie w tym waszym Gaucku. Skolonizowali was Wessi i nie ma problemu. Możesz spokojnie robić interesy i nikt cię nie ściga. Masz tam swój szwabski raj.

— O, przepraszam, ja jestem Prusakiem, dawniej Czerwonym, a teraz Europejskim — Drecha ciągle usiłował nadać ich rozmowie żartobliwy ton.

— Wasze Wielkie Niemcy działają rozsądnie. Panią kanclerz macie waszą, Schroeder w Nord Streamie, Warning w Nord Streamie. Jakoś nikt nie wywleka im przeszłości, nikt nie wkłada brudnego palucha w nie swoje sprawy.

— A ty na co znów tak narzekasz? Przecież żyjesz jak pączek w maśle.

— Wywlekają mi Fundusz Budowy Gospodarki.

— Stare dzieje.

— Stare, ale trwają, mogą namieszać w życiu porządnym

ludzi.

— Koloryzujesz, ja też mam nielekkko, ciągle siedzi mi na plecach taki austriacki pismak.

— I mnie wlaź na plecy pismak.

— Ten sam?

— Nie, taki sam.

— Za mną lata niejaki Jürgen Roth, ponoć chce pisać o mnie książkę. Tylko tego mi trzeba, zwłaszcza teraz, kiedy Ted toruje mi ścieżki w Nowym Świecie. Ale nie marudźmy, Kaziu, jak stare dziady. Muszę ci opowiedzieć o najnowszych sprawach.

Ogorzelski gestem przywołał kelnera i zamówił talerz bałkańskich mięs z grilla.

— Wydaje mi się, że coś powinienes mi wyjaśnić.

— Steinera?

— Bingo.

— Jak pamiętasz, od czasu, gdy wspólnie delikatnie zoperowaliśmy przeszłość pana Reinhardta Steinera, ma on wobec nas pewien dług wdzięczności i nie raz udawało nam się robić wspólnie udane interesy. Z tego, co wiem, to dzięki niemu za-łożyłeś sobie nawet miłą firemkę w Brazylii.

— Manfred, zanim zaczniesz wypominać mi moje firmy, zwróć ci uwagę na pewien mądry fragment twojej wypowiedzi. Powiedziałeś: wspólnie! A czy to, że dopiero od jakiegoś amerykańskiego bubka dowiaduję się, że robicie nowy, bajeczny deal ze Steinerem, jest w porządku?

— To melodia ostatnich dni. Właśnie miałem cię w to wprowadzić, tylko Ted się pospieszył.

— Okej. Założmy, że ci wierzę. Słucham twojej propozycji. Aha, nie zapominaj, że dziwnym trafem wpadły mi w ręce twoje listy do jednego z byłych prezydentów mojego kraju i mam dokumenty pewnej fundacji, która oficjalnie rozprawadzała wśród Murzynków Bambo leki, ale potem te leki okazały się nadzwyczaj ciężkostrawne, ołowica w Rwandzie, na pewno coś ci to mówi, przyjacielu!

— Kaziu, starzy przyjaciele nie powinni się na siebie gniewać. Długo żyjemy i dużo wiemy, szkoda czasu na licytacje.

Ogorzelski cmoknął z zadowoleniem, żeberka były wysmienite, a z koniakami smakowały bardzo oryginalnie.

W trakcie spotkania dowiedział się, że stary Steiner ostatecznie abdykował, wszystkie interesy przejął po nim jego syn Richard i to właśnie on miał być partnerem przy dużym kontrakcie, który dopinał małomówny Amerykanin z hotelu „Marriott”.

Dwaj starsi panowie spędzili w „Banja Luce” prawie trzy godziny. Kiedy wychodzili wyglądali na mocno zaprzyjaźnionych.

Ogorzelski nadrabiał miną, wiedział bowiem, że jeżeli nie zdoła okiełznać Grzegorza Okrzemka, to kłopoty dopadną go szybciej niż pieniądze z nowego kontraktu.

Do tej pory bawił się mało znaczącym pismakiem, który na dodatek niewiele rozumiał, teraz musiał zapobiec pierwszemu poważnemu wyciekowi z tamy, który może doprowadzić do katastrofy.

Idąc do swojego samochodu, postanowił, że przyjmie warunki Okrzemka i spotka się z nim w restauracji hotelu „Chopin” w Krakowie, kilkaset metrów od siedziby krakowskiej Prokuratury Apelacyjnej.

Prokuratorzy zrobią po prostu nieformalną przerwę w przesłuchaniach i Okrzemek wyparuje na kilkadziesiąt minut.

Taka operacja nie była dla Ogorzelskiego pierwszą, wielokrotnie wykorzystywał swoje układy w prokuraturze. Na szczęście nawet najbardziej prolustracyjnie usposobieni prokuratorzy mieli swoje „białe plamy” w życiorysach. Jeden w przeszłości pił z esbekami i wystawiał im nakazy in blanco, inny brał pieniądze, jeszcze inny donosił.

„Każdy, kto żył w PRL-u, ma swoją podszewkę, a prokuratorzy, prawnicy, oj, to już sam miodek” — Ogorzelskiemu wyraźnie poprawił się humor.

Dziarsko odpalił samochód i fantazyjnie zakręcił kołami po żwirze.

— „Chopin”, „Chopin”, nigdy tam nie byłem, jak to wygląda? — Maciej Grabicki krążył po salonie jak pobudzony struś.

— Spokojnie, znam to pomieszczenie. Toaleta jest koło baru.

— Andrzej, ale przecież ty nie możesz się tam pokazać!

— Ani ja, ani Zdzisława, ani prawdopodobnie też ty.

— Ja?

— A co ty myślisz, że trepy są takie tępe? Że nie oglądały zdjęcia faceta, który porozbijał pyski ich dwóm pieskom?

— No tak. — Grabicki wydał z siebie sapnięcie, które podniosło firanki.

— Więc kto? Nie mamy już nikogo, a płacenie obcemu to już na kilometr pachnie wtopą.

Spiskowcy w napięciu wpatrywali się wzajemnie w swoje twarze. Zdzisława zagryzła wargi, Andrzej rozczołował się do stanu, w którym jako żywo przypominał Edwarda Nożycorękiego, a Grabicki starał się pobić rekord świata w długości susów, które z coraz większą nerwowością odmierzał od ściany do ściany salonu.

Naraz drzwi salonu lekko się uchyliły i oczom rozgorączkowanych uczestników narady ukazała się skromna postać z bańką świeżego mleka pod pachą.

— Jasne! — wykrzyknęli niemal jednocześnie.

— Wy już rano pijani! — Rozalia Stachon postawiła bańkę na podłodze i dziarsko ujęła się pod boki, gotowa do zwady.

— Nie, Róziu, tylko z nieba nam spadłaś — zaśmiał się Grabicki.

— Nie z nieba, ino od Dzierżęgowej, mleka żem wzięła, aby państwo mieli do tych swoich rogalików.

— Pani Róziu, nie ma co się ciskać, pasuje pani jak ulał, jest pani naszą tajną bronią. — Zdzisława ujęła Stachoniową pod pachę i pomogła jej postawić ciężką bańkę z jeszcze ciepłym mlekiem na kuchenny blat.

W kilku słowach opowiedzieli Rozalii o nowych wieściach z więzienia.

Doszli do wniosku, że Grzegorz Okrzemek musi pojawić się na spotkaniu bez żadnych urzędzeń nagrywających, bo pewnie zostanie dokładnie sprawdzony przez generała Ogorzelskiego. Rozmowa musi jednak zostać zarejestrowana, bo na tym właśnie polegała istota nowego planu. Ktoś zatem musi dostarczyć sprzęt nagrywający do toalety kawiarni hotelu „Chopin”. Tam Okrzemek, którego wcześniej Ogorzelski sprawdzi, założy na siebie mikrofon i udokumentuje przebieg najważniejszych momentów rozmowy z generałem.

W hotelu nie mógł się pojawić nikt, kto dotychczas zamieszłał się w sprawę książki Andrzeja — do najważniejszej misji została więc wydelegowana Rozalia.

Miała przykleić cyfrowy minidisc do tylnej części sedesu w pierwszej kabinie męskiej toalety. Cały problem polegał jedynie na tym, aby Rozalia, nie budząc podejrzeń, dostała się na chwilę do męskiej toalety, do której wchodziło się wprost z hotelowej kawiarni.

— Oj, to nie jest żadna sztuka, poradzę. Gorzej, że muszę do tego diabelskiego Krakowa jechać. To jest największa boleść — marudziła Rozalia.

Plan był prosty. Grzegorz Okrzemek podczas spotkania z generałem Ogorzelskim tak miał pokierować rozmową, aby powstało z tego nagranie, które natychmiast trafi do rąk Andrzeja i jego przyjaciół.

— Kiedy wiozą cię do Krakowa?

— Przesłuchanie wyznaczyli na dwudziestego czerwca, dzień wcześniej mają mnie przewieźć na Montelupich.

— Grzesiu, nie rób tego dla mnie. Jeśli nie czujesz się w tej sytuacji dobrze, to zawsze mogę im powiedzieć, że nici z operacji. Oni to rozumieją.

— Zdzicha, przecież mnie znasz, ja tylko raz podejmuję decyzję. Może nie jestem Einsteinem, ale nie zasłużyłem na rolę palanta, a tak to w tej chwili wygląda. To oni mnie zawiedli, a nie ja ich. Ja swoje zrobiłem, byłem szczelny i lojalny do absurdu, aż do momentu, gdy zrozumiałem, że będąc w gangu,

nie można być człowiekiem idei.

— Nie przypalaj się.

— Spokojnie, klawisz dostał pięćdziesiątka i pali spokojnie papierosa. Nic nie słyszy, bo tak mu wygodniej, a nagrywanie ostatnio wymieniali i coś popieprzyli, nie działa.

— Grzesiu, wiesz, że to może się bardzo źle skończyć.

— Dzidziu, a czy ty zamierzasz dociągnąć do setki i dać sobie założyć do cipki dren, abyś nie moczyła za często pieluch?

— Durny!

— No to, jak zawsze, moja piczusi, się rozumiemy.

— Czyżbyś miał na mnie ochotę?

— Pamiętam o obietnicy „mokrej celi”, z tego się nie wywiniesz, dotknij, jakie mam pancerne mięśnie.

Grzegorz Okrzemek nachylił się ku swojej żonie i dał jej sprawdzić napięty biceps.

— Mmm, jakieś sterydy wam tu dają zamiast bromu?

— Oj, głuptas z tej mojej baby. Bromu nie dają już od dwudziestu lat, a to.— wzrokiem wskazał na swoje ramię — to wynik trzydziestu pompek dziennie i dźwigania taboretu, rzecz jasna — wyszeptał konfidencjonalnie.

— Jak zaczniesz pić martini wstrząśnięte i niemieszane, to chyba cię natychmiast zgwałcę.

— Dzidziu, teraz poważnie. Ja zrobię wszystko, jak zaplanowaliśmy, tylko czy ty naprawdę ufasz tej swojej kompanii?

— Tak. Jedziemy na jednym wózku. Poza tym oni wszyscy są w pewien sposób podobni do ciebie.

— Do mnie?

— Tak, są na swój sposób dziecinnie głupi i naiwni.

— To źle. — Grzegorz Okrzemek skrzyżował dłonie na pier- siach i wyraźnie się zasepił. — To cholernie niedobrze.

— Grzesiu, jak myślisz, kto może pokonać silnego, silniejszego od wszystkich?

— Silniejszy.

— I ty uważasz się za szachistę?!

— Największym wrogiem szachisty jest ostrożność i zbyt



pełna głowa — dodał pospiesznie.

Wyglądał w tym momencie na mocno zbitego z tropu. Szukał w oczach żony natychmiastowego wyjaśnienia. Nie był nawet pewien, czy ona nie żartuje.

— Grzesiu. — mruknęła ostrzegawczo.

— Hm?.

— Wiercisz się na krześle jak uczeń przed klasówką.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, sondując się spojrzeniami. Gdyby ktoś przyglądał się w tym momencie dziwnej parze, odniósłby wrażenie, że jest świadkiem randki dwojga zagubionych w życiu ludzi, których fascynuje to, co odkrywają w sobie nawzajem.

Nikt się jednak nie przyglądał, a znudzony opasły strażnik dłużył bezmyślnie metalowym kluczem w spróchniałej jedynce.

— Chcesz mi powiedzieć, że jest to siła nieświadomości, siła napędzana brakiem wiedzy?

— No, to byłoby smutne i żałosne.

— Więc?

— To siła wyższa.

— Kurwa! — zaklął osadzony Okrzemek. — Rozczarowałaś mnie. Wiem, że mózg z biegiem lat gubi swoje właściwości, ale żeby rdzewiał także zdrowy rozsądek!

— Oj, głupi ten mój mężuś, głupi. Czytasz jakieś niedobre rzeczy. A może od tych pompek i wzwodów krew zamiast do mózgu płynie ci do wacka?

Nieoczekiwanie dla samych siebie niemal jednocześnie wybuchli śmiechem.

— Widzisz, Grzegorz, mój nieszczęsny areztancie-dyletancie, istnieje coś takiego jak siła celu. Ona wyzwala potencje, których na pierwszy rzut oka nikt nie zobaczy.

— Oj, muszę to natychmiast zanotować. Ty powinnaś zab- rać się za pisanie książek.

— Jeden taki już pisze.

— No tak — mruknął zgaszony.

Strażnik wymownie stuknął w szkiełko rosyjskiego zegarka wostok. Prawdopodobnie nosił go od czasów

komunijnych.

— Rózia, kibel, gotowanko. Nie nawalisz?

— Nie nawalę!

Pocałowali się jak para filmowych kochanków. Długo i nieoczekiwanie namiętnie.

— Stare zboczone erotofany. Dobrze, że ten głupek siedzi zamknięty — mruknął do siebie zde gustowany strażnik.

Szczęknęły zakratowane drzwi i Zdzisława Okrzemek opuściła salę widzeń.

19 czerwca słońce prażyło od samego rana. Na niebie nie widać było nawet najbardziej ażurowej chmurki. Brak jakiegokolwiek podmuchu wiatru potęgował wzbierający od poranka żar.

Podróż blaszaną więźniarką była dla Grzegorza Okrzemka prawdziwą torturą.

Czuł się jak w rozgrzanej do czerwoności saunie. Pocili się także konwojenci i kierowca.

Co kilkadziesiąt kilometrów musieli przystawać, aby połać się wodą mineralną.

Tuż za Kielcami stanęli na łące, gdzie starsza kobieta pasła chudą krowę. Zaciekawiona podeszła do więźniarki, usiadła obok dyszącego z gorąca Okrzemka i delikatnie pogłaskała go po twarzy.

— Już cię, bidoku, kibitką wiozą. — Powoli odwinęła brudną szmatkę i małą dłońią, w którą werznęły się czarne linie niezliczonych zmarszczek, podała mu grudkę pachnącego łąką, białego sera.

— Nie wolno rozmawiać z więźniem — rutynowo mruknął jeden ze strażników.

— A co ty, synku, wiesz o więzieniu?

— Idźcie stąd! Regulamin nie zezwala.

Staruszka porwała się na równe nogi i uniosła do góry spory kijek, którego używała do zaganiania krowy.

— A ten twój regulamin ważniejszy od Pana Jezusa?

— A co ma do tego Jezus? Odejdźcie. — Głos strażnika

zdradzał coraz większe wahanie.

— Usiądź, synusiu, spokojnie. Dam wam mleka i sera, a o Jezusie poczytaj sobie w domu, albo zapytaj mamy.

— Moja mama nie żyje.

— No widzisz.

— Co?

— To i sirota, i zesłaniec w tej waszej kibitce.

W milczeniu napili się ciepłego, świeżego mleka, wprost z poobijanej w czarne łąty blaszanej bańki.

Kiedy już mieli zbierać się z powrotem, Grzegorz Okrzemek delikatnie ujął cieniutką jak gałązka dłoń kobiety i pocałował ją.

Ruszyli w drogę.

Do Krakowa nie zamienili ze sobą ani jednego słowa.

## Rozdział XIII

Rozalia Stachoń wysiadła z autobusu. Zawsze, gdy przyjeżdżała PKS-em do Krakowa, musiała zajść na Rynek. Miała jeszcze całe dwie godziny, postanowiła zatem nie zmieniać swoich zwyczajów.

Uwielbiała tradycyjne krakowskie bajgle. Musiały być prawdziwe, skręcane z wodnego ciasta. Zawsze kupowała jeden z makiem, a drugi z solą. Od kilku lat było jej jednak coraz trudniej znaleźć prawdziwego bajgla. Nie tolerowała podróbek, właściwie w żadnej dziedzinie życia nie uznawała udawania, podrabiania. Wielkim łukiem omijała więc wózki, które wypełniała masa bezwartościowych, niekrakowskich precli nafukanych, jak to określała, chemikalia- mi. Takie „bajgle” budziły w niej pogardę podobną do tej, jaką odczuwała wobec „krówskich” oscypków maczanych dla niepoznaki w kawie, które królowały w „góralskiej gastronomii”.

Jedyny wózek, który oferował prawdziwe bajgle, wtulił się w róg Rynku u wylotu ulicy Sławkowskiej. Starsza, niewysoka kobiecina stała prawie bez ruchu i spoglądała przed siebie, sprawiając wrażenie, jakby nie widziała tłumu ludzi przewalających się o tej porze przez krakowski Rynek.

Rozalia kupiła dwa precle i ostrożnie spróbowała tego z solą. Był wyśmienity, dokładnie taki, jak oczekiwała. Wiedziona nagłym impulsem usiłowała wcisnąć kobiecie dodatkowe trzy złote. Ta jednak nadspodziewanie energicznie odepchnęła jej dłoń z pieniędzmi.

— To moje bajgle, sprzedaję je po uczciwej cenie, a jak pani smakują, to Bóg zapłać.

Rozalia, początkowo gotująca się do zwady, uśmiechnęła się i przyjaźnie machnęła sprzedawczyni dłonią.

— A pewnie, że Bóg zapłać za takie pyszne bajgle. Coraz mniej takich prawdziwych w tym waszym Krakowie.

— Coraz mniej Krakowa w Krakowie — spokojnie szepnęła sprzedawczyni i powróciła do wpatrywania się w coś, co najwidoczniej ukryło się przed wzrokiem innych ludzi.

Rozalia, pałaszując ze smakiem swojego bajgla,

skierowała się w stronę Plant.

Miała zamiar wsiąść w tramwaj i podjechać na rondo Mogiłskie a stamtąd spacerkiem udać się do hotelu „Chopin”. Odruchowo sprawdziła, czy ma w torebce dziwaczne urządzenie, które przekazała jej Zdzisława Okrzemek. Było. Niewielki czarny minidisc z włożoną do środka płytką i długim kablem zakończonym okrągłą główką mikrofonu tkwił na swoim miejscu.

Starsza pani w skupieniu przypominała sobie całą instrukcję obsługi, której nauczyli ją Andrzej, Grabicki i Okrzemkowa. Chciała być na miejscu wcześniej, aby dokładnie obmyślić plan całej akcji. Trochę się niepokoiła, czy rozpozna Grzegorza Okrzemka, dotychczas znała go jedynie z opisów i kilku zdjęć, które pokazali jej spiskowcy.

Przesłuchanie w krakowskiej Prokuraturze Apelacyjnej trwało już godzinę, gdy naraz na biurku prokuratora Dęckiego zabrzęczała komórka.

— Tak, dobrze, zaraz będę panie naczelniku. Wszystko w porządku, tak, oczywiście. — Dęcki zakończył rozmowę i roztargnionym wzrokiem spojrzął na Grzegorza Okrzemka.

Okrzemek machinalnie powtarzał: „Nie wiem, nie pamiętam, na tym się nie znam.”, a młody, niezbyt roztargnięty prokurator zdawał się w ogóle nie słyszeć jego głosu. Tylko w pierwszej chwili widok zagipsowanej nogi Okrzemka wywołał na moment nikły przebłysk jego zainteresowania.

— Bolało? — zapytał.

— Nie, rozkosznie lechtało — odpowiedział bezczelnie Grzegorz, wpatrując się w wodniste oczy prokuratora.

— Zaraz wracam — bąknął prokurator i na jego wąskich ustach po raz pierwszy odmalowało się coś na kształt uśmiechu.

Wrócił po kwadransie.

— Niestety, musimy zrobić sobie przerwę — wymamrotał, spuszczać oczy.

— Hm, nie radzi pan sobie z szefem, prawda? Zwłaszcza, jak nagle zleca panu przeprowadzenie przesłuchania dotyczącego dziedziny, na której zupełnie się pan nie zna.

Grzegorz Okrzemek nie potrafił sobie odmówić szczypty złośliwości, trochę napawał się sytuacją, którą sam znakomicie pojmował, a co do której młody prokurator mógł jedynie żywić podejrzenia, o ile miał odwagę w ogóle o tym myśleć.

— To nie należy do sprawy. — Policzki prokuratora spłonęły czerwonym rumieńcem.

— Należy, bo teraz ja pojedę na pewne spotkanie, a panu nawet nie przyjdzie do głowy, aby sporządzić o tym notatkę.

— Pan mnie źle ocenia.

— Właściwie, kochany prokuratorze, właściwie. — Odpowiedź Okrzemka sprawiła, że prokurator jeszcze bardziej skurczył się za wypełniającymi jego biurko stertami akt.

— Proszę natychmiast wyjść! — wrzasnęła nagle. Był rozdygotany. — Niech pan nie wykorzystuje sytuacji — dodał ostrzegawczo.

— Nie miałem zamiaru. To sytuacja wykorzystuje nas obu, o ile wie Pan, o czym mówię.

Odpowiedziało mu wymowne milczenie. Spojrzenie prokuratora stało się łagodniejsze. Taksował Okrzemka wodnistymi oczami, w których błysnęła odrobina sympatii.

— Proszę wrócić w miarę możliwości szybko, mamy do odwalenia.

— .kawał nikomu niepotrzebnej roboty — nie dał mu dokończyć Okrzemek. Delikatnie skłonił się i pokuśtykał do windy.

Przy wejściu do prokuratury czekał niebieski fiat tempra.

Okrzemek powoli wgramolił się na tylne siedzenie samochodu.

— Wieź mnie do szefa — mruknął do kierowcy, ten pozostał jednak nieporuszony.

— Chorąży Zajac, czy ty straciłeś słuch?!

Na twarzy kierowcy odmalował się przestach.

— Znamy się? — miauknął niepewnie i włączył silnik.

— Pewnie chciałbyś, abym odpowiedział, że nie. Niestety, mam dobrą pamięć i pamiętam kilka twoich sprawek, a więc bardzo proszę, nie przedłużaj naszego kontaktu i rób to, co ci kazano.

— Ale generał. — Kierowca z trudem ukrywał zdenerwowanie.

— Generał chce mnie widzieć — przerwał mu Okrzemek.

W ciszy zajechali przed hotel „Chopin”. Na parkingu stał znakomicie utrzymany hummer.

## Rozdział XIV

Okrzemek ciężko wygramolił się z fiata. Pożegnało go po- sępne spojrzenie ubranego w szary garnitur kierowcy.

Tuż przed oczami Okrzemka pysznił się nowy gmach Sądu Apelacyjnego w Krakowie. Zbudowano go wedle najnowszych, modernistycznych założeń. Wiele takich budynków rozpleniło się w biznesowych dzielnicach Berlina, Lizbony czy Sztokholmu.

Różnica polegała jedynie na tym, że zachodnioeuropejskie budynki podobnie prezentowały się z daleka i z bliska, tymczasem krakowski gmach przy bliższym poznaniu zdecydowanie tracił. Widać było, że w ostatniej chwili ktoś wybrał tańsze materiały budowlane, imitujące to, co można było oglądać w innych stolicach starego kontynentu. Budowa gmachu kosztowała zapewne więcej niż wzniesienie porównywalnych „szaraków” w innych miastach, wykonany był jednak z podróbek i wykończony jak wszystko, co publiczne w Polsce — byle jak.

„Chyba tylko jeszcze Grecy potrafią tak horrendalnie kraść publiczne pieniądze” — pomyślał i mocno pchnął ciężkie obrotowe drzwi.

W hotelu panował idealny bezruch, nawet jaskrawo odziana sprzątaczką zastygła nad swoim odkurzaczem w pozie woskowej figury wpatrzonyj w bezkres malujący się pewnie za pomarańczową ścianą. Lekko zdeptany czerwony dywan, niewielka recepcja.

Skręcił w lewo i za załomem ściany odnalazł niewielką kawiarenkę wypełnioną wpadającym przez ogromną szybę światłem. Wraz z nim do kawiarni sączył się także widok przysadzistej bryły Sądu Apelacyjnego, od którego najwidoczniej Okrzemek nie miał się tego dnia uwolnić. Puste ministoliki otoczone ciężkimi, obitymi dermą fotelami, nijakie tapety, cicho, sennie.

Nie do końca jednak — ze stolika tuż przy fioletowym, obitym welurem barze uśmiechała się do niego znajoma twarz.

Generał Kazimierz Ogorzelski powstał i zamasyście



wyciągnął w kierunku przybysza dłoń.

— Grześ! Wyglądasz jak młody Bóg.

— Więzienie konserwuje, szefie.

— No, ale te bary, brzuch ci zmałał i oczy masz wypoczęte.

— Dziękuję, gdyby nie noga, rzeczywiście byłbym zadowolony.

Ogorzelski uprzejmie przesunął ciężki fotel i wskazał Okrzemkowi miejsce. Gestem dłoni przywołał niewidocznego kelnera. Młody chłopak w schludnym garniturze zjawił się bezszelestnie.

— Dwa koniaczki i żeby przez godzinę nikt nam nie przeszkadzał!

— Zrobione. — Kelner skłonił się uprzejmie i zniknął.

— Pan generał wypije dwa koniaki.

Ogorzelski spojrział zdziwiony na rozmówcę.

— Ja nie piję, przynajmniej teraz nie piję. jak można, to poproszę kawkę.

— Jak chcesz.

Generał zamilkł i nad czymś intensywnie rozmyślał.

— Poprosiłeś o rozmowę, więc jestem — odezwał się po chwili. W jego głosie nie było już miękkiego tonu uprzejmości. Zmarszczył brwi i jego spojrzenie powędrowało na brzuch Okrzemka. — Zmieniłeś się. Ćwiczysz — bardziej stwierdził niż spytał.

— Trochę ćwiczę, zacząłem nawet robić „szóstkę Weidera”.

— Właśnie — zimno przerwał mu generał. — Zmieniłeś się — powtórzył.

Okrzemek zamilkł i spojrział za okno. Nie miał ochoty zwierzać się swojemu dawnemu szefowi.

— Dlatego poproszę cię o pewną przysługę — dobiegł go rzeczowy ton generała.

— Tak?

— Odepnij dyskretnie koszulę.

— Po co?

— Pokaż mi muskulaturę, może i ja wezmę się za hantle

— prychnął Ogorzelski.

— Przecież nie jest pan gejem.

— Kurwa, Grzegorz! Pokazuj! — warknął Ogorzelski.

— Chodzi o to, czy nie mam na sobie jakiegoś podsłuchu?

— Zmieniłeś się!

— Myśli pan, że byłbym zdolny do czegoś takiego?

— Nie myślę. Dzierżyński mówił: wierz i sprawdzaj!

Grzegorz Okrzemek wolno odpiął guziki nieświeżej koszuli i wstał, prezentując generałowi swoje, ciągle jeszcze otyle, ociekające potem ciało.

— Przepraszam — bąknął Ogorzelski. — Musisz mnie jednak zrozumieć, nie graliśmy o paczkę gwoździ.

— My? — W to krótkie słowo Okrzemek włożył całe swoje rozczarowanie i wściekłość.

— My — powtórzył Ogorzelski. — My, oficerowie.

— My to statystycznie ciekawa kategoria. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że ja siedzę w więzieniu, a pan generał w swojej willi, to statystycznie wcale nie jesteśmy bardziej wolni niż przeciętny obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

— Przepraszam cię za ten striptiz, ale to niestety było konieczne. Twoja żona nie zachowuje się lojalnie, a jak wiadomo, bliższa koszula ciału.

— Moja jest spocona i śmierdzi pierdłem, za to pańska odprasowana i — Okrzemek pociągnął znacząco nosem — pachnie Thierry Muglerem.

— Do rzeczy. Po co chciałeś rozmawiać? — uciął Ogorzelski.

— Zanim przejdziemy do rzeczy, chciałem o coś zapytać. Ogorzelski wyczekująco zamilkł.

— Jechałem tu przez kilka godzin, noc na Monte, potem przesłuchanie, ujmę to regulaminowo. — Okrzemek skończył zapinanie koszuli i uśmiechnął się złośliwie. — Panie generale, major Grzegorz Okrzemek prosi o pozwolenie na wyjście do toalety celem oddania moczu.

Twarz Ogorzelskiego się rozpozodziła.

— Zezwalam!

— A obiecanej belki nigdy już nie było.

— Jakiej belki, Grzegorzu?

— Niech pan sobie przypomni naszą rozmowę w Warszawie, wtedy, gdy kaptował mnie pan na misję do Luksemburga. — Okrzemek wstał i pokuśtykał w kierunku hallu.

Już wchodząc do hotelu, zauważył, że rozeznanie przygotowane przez spiskowców było sfuszerowane.

W kawiarni nie było żadnej toalety, a jedyną, która znajdowała się na parterze hotelu, zlokalizowano na lewo od wahadłowych drzwi. Tam mieściło się zejście po schodkach do toalet w piwnicy. Jak zauważył, były to jedyne toalety dostępne dla gości z zewnątrz.

Gorączkowo zastanawiał się, czy dalsza część planu okaże się aktualna. Kątem oka sprawdził, czy nikt go nie obserwuje. W tym momencie niemal błogosławił swoją zagipsowaną nogę. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi.

Wolno stoczył się po stromych schodkach i stanął naprzeciw wejścia do męskiej toalety.

W różowo pomalowanej piwnicy nie było żywego ducha. Drzwi wejściowe do toalety były lekko uchylone. W środku pusto, żadnego dźwięku.

Grzegorz Okrzemek obrócił się w kierunku pierwszej kabiny. Była otwarta, sedes wystawał bezpośrednio ze ściany, nie było żadnej możliwości, aby cokolwiek przytwierdzić z tyłu porcelitowego urządzenia.

Poczuł, jak krople potu spływają mu po czole.

Doszedł już tak daleko i teraz wszystko mieli nagle wziąć diabli? Nie znał współpracujących z żoną spiskowców, wiedział jednak, że fuszerka absolutnie nie była w stylu Zdzisławy.

No tak, ale przecież przekazany mu opis kawiarni w hotelu „Chopin” zupełnie nie pasował do stanu faktycznego.

Przysiadł na umywalce i jeszcze raz powtórzył w myślach słowa Zdzisławy: „Minidisc wraz z instrukcją działania przytwierdzony z tyłu muszli w pierwszej od wejścia kabinnie toalety męskiej”.

Nabrał głęboko powietrza i jeszcze raz otworzył drzwi do pierwszej kabiny.

Urządzenia nigdzie nie było. Zdenerwowany zamknąłabinę, uklęknął i delikatnie zaczął omacywać korpus porcelitowej muszli.

— Nie ma! — mruknął, czując, jak po plecach ściekają mu strugi potu.

Zrezygnowany wyprostował się i otarł czoło.

Cholera, sfuszerowali, cała jego jazda do Krakowa na nic!

Wściekły kopnął zdrową nogą w sedes.

— Zaraz, zaraz! — Poczul, jak but ześlizgnął się po czymś miękkim.

Dopiero teraz zauważył wybrzuszenie po lewej stronie muszli klozetowej. Ostrożnie schylił się i namacał białą taśmę przyklejoną do porcelitu. Jej kolor był idealnie dobrany do barwy urządzenia.

— Choroba, a więc jednak mają olej w głowie — sapnął uśmiechnięty.

Delikatnie odwinął z taśmy zapakowane w foliowy woreczek urządzenie. Przyklepił je w miejscu, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę. Cienki kabelek poprowadził do rękawa podlepiając go pod pachą i na łokciu. Mikrofon znalazł się w ciasno zapiętym mankiecie koszuli. Uruchomił nagrywanie i otworzył drzwi kabiny.

Przed nim stał generał Kazimierz Ogorzelski.

Rozalia podjechała do hotelu „Chopin” od strony głębokiej dolinki wykopanej na rondzie Mogilskim. Wysiadła z tramwaju tuż przy starannie zakonserwowanym fragmencie starych murów obronnych. Z tego miejsca widziała jedynie wypisaną zamaszystymi literami nazwę hotelu.

W swoim życiu bywała już w wielu dużych miastach. Jej starsza córka mieszkała na stałe w Amsterdamie, pracowała tam jako wzięta autorka plakatów i zdjęć. Dla Rozalii miasto nie było jednak naturalnym środowiskiem życia. Wielkomiejski

gwar zbijał ją z tropu, budził chęć ucieczki. Nie potrafiła zrozumieć, jak można żyć w miejscu, gdzie nie ma leśnych zagajników, wolnego horyzontu i swobodnego powietrza. Miasto budziło w niej lęk, rodzaj klaustrofobii, jakiej ulegają w takich miejscach ludzie, którzy przez wiele lat żyją na nieograniczonej przestrzeni.

Przystanęła, była lekko spanikowana.

„Jak ja się wydostanę z tego rowu? Przecież nie pójde na przełaj przez te bariery i szosy”. Spojrzała na płataninę kilku pasów ruchu, po których we wszystkie strony poruszały się mechaniczne pojazdy.

Za sobą miała ohydnie wyglądający budynek krakowskiej opery, stanowiący skrzyżowanie enerdowskiego blockhausu z wytworem wybujałej fantazji gminnego artysty, a przed sobą budzący nadzieję neon hotelu „Chopin” wyrastający nad labiryntem arterii komunikacyjnych Krakowa.

— Coś się pani stało? — usłyszała z boku.

Młoda dziewczyna o jasnym wejrzeniu błękitnych oczu przystanęła obok niej i zaniepokojona wpatrywała się w twarz Rozalii.

— A miasto mi się stało, kochana.

— Miasto? — Duże oczy dziewczyny wyrażały naiwne zdziwienie.

— Oj, ja nie jestem nawykła do tego motorowego wrzasku. Ludzie są tu jakby tylko dodatkiem do tego, co samo żyje.

— A gdzie pani chce dojść?

— A o, do tego „Chopina” i nie wiem jak z tego dołu wyleźć.

— To ruiny austriackiego fortu.

— A pies z tym fortem.

— Szczerze mówiąc, to ja też wolę do „Chopina”.

Dziewczyna gestem dłoni pokazała Rozalii, aby poszła za nią. Kiedy stanęły pod barem „Mecenas” vis-a-vis hotelu, Rozalia przystanęła niezdecydowana.

— Teraz już pani trafi — wesoło rzuciła dziewczyna i obróciła się na pięcie, aby pobiec w swoją stronę.

— Masz ładne oczy, dziewczynko, szkoda ich dla miasta

— westchnęła Rozalia.

— Dlaczego? — Dziewczyna odwróciła się i zmierzyła Rozalię badawczym spojrzeniem.

— Dużo by opowiadać, a ja teraz mam ważną sprawę.

— Zostawię pani adres, może kiedyś mi pani powie.

Rozalia schowała do torebki małą karteczkę, na której dziewczyna napisała swoje namiary.

— Helenka?

— Tak mi mama na chrzcie dała! — odkrzyknęła oddalająca się dziewczyna.

Rozalia stała jeszcze chwilę i wpatrywała się w jej plecy. Mówiła coś do siebie i delikatnie potrząsała głową.

W hotelu nikt nie zwrócił uwagi na starszą kobietę ubraną w szarą sukienkę do kostek. Spokojnie weszła do pustej kawiarni i rozejrzała się z trudno ukrywanym niepokojem.

Na szczęście nawet miejsce za barem było o tej porze puste.

Lekko zdezorientowana wróciła do hallu i niewiele myśląc, podeszła do znudzonej sprzątaczkii.

— Gdzie tu jest klozet? — spytała uprzejmie.

Sprzątaczką nawet nie zmieniła pozycji, ruchem brody wskazała schody tuż przy wejściu.

Chwilę później Rozalia spokojnie uchyliła drzwi do męskiej toalety. Wokół nadal nie było żywego ducha. Powoli otworzyła torebkę i z nabożną ostrożnością wydobyła z niej niewielkie urządzenie opakowane w foliowy woreczek. Z drugiej przegródki torebki wyjęła białą taśmę typu scotch i zawiniętą w folię instrukcję obsługi urządzenia. Działała dokładnie tak, jak poinstruowała ją Zdzisława Okrzemek.

Wszystko, co robiła, starała się zawsze wykonywać dokładnie. Także teraz z dużą starannością przyklepiła oba woreczki do porcelitowej nogi muszli. Uczyniła to powoli i spokojnie, dbając o to, aby na taśmie nie powstała nawet najmniejsza fałdka.

Spokojnie oceniła wynik swojej pracy i bez pośpiechu opuściła hotel. Nikt nawet nie spojrział w jej kierunku.

Teraz nareszcie mogła bez przeszkód zapisać w pamięci każdy szczegół oczu niedawno poznanej dziewczyny. W jej głowie już powstał obrazek pod tytułem Helena patrzy na miasto, pozostało jej tylko wiernie przelać go na szkło. Najwięcej czasu zajmowało jej nie zapamiętywanie kształtów, bo te natychmiast wdrukowywały się w jej wyobraźnię, ale przechowanie w głowie wiernego odcienia każdego koloru. Oczy Helenki były tak wyjątkowe, że Rozalia postanowiła zatrzymać je dla siebie w postaci obrazu na szkle. „Będzie wisiał przy wejściu do «Bigosówki»” — postanowiła.

— Pozbyłeś się? — głos Ogorzelskiego dobiegał do niego jakby z zaświatów.

Czuł w skroniach zwielokrotnione pulsowanie krwi. Jego serce podniosło się niemal do przełyku.

„Skąd wiedzieli? Skąd, do cholery, wiedzieli?!” — tłukło mu się w głowie.

— Hej, dobrze się czujesz? — Ogorzelski delikatnie ujął go za przegub prawej dłoni.

— W. w. porządku — wyjąkał.

— Ależ ty się pocisz! — Generał z obrzydzeniem otarł dłoni o spodnie. — Idźże już na górę, bo też muszę się odpryskać — dodał wesoło i zamknął za sobą drzwi kabiny.

Okrzemek oparł się o ścianę i głęboko nabrał w płuca powietrza.

Po kilku sekundach powlókł się w kierunku schodów. Jego koszula ociekała potem.

Wykończony opadł na fotel i odruchowo poprawił przymocowany do lewego przegubu mikrofon. Musiał skupić wszystkie siły, maksymalnie się skoncentrować, przed nim ciągle był najtrudniejszy fragment spotkania z Ogorzelskim.

„Jeśli mnie zaraz nie ukatrupią, to dobra nasza, reszta powinna pójść jak z płatka” — ta myśl niespodziewanie dodała mu otuchy.

Chwilę później zjawił się odprężony generał. Jego dłonie z daleka pachniały mydłem toaletowym, na idealnie

wyprasowanej koszuli nie było śladu skutków wysokiej temperatury, z jakimi właśnie zmagał się Grzegorz Okrzemek.

— Cóż więc takiego ważnego chciałeś mi przekazać, Grzegorzu? — zaczął Ogorzelski.

— Jestem jedynym, który siedzi w więzieniu, reszta spokojnie korzysta ze środków FBG. — Głos Okrzemka był cichy i spokojny, generał czuł jednak, że jego dawny podwładny coś chowa w zanadrzu.

— Przejdź do rzeczy, chyba nie myślisz, że prokurator będzie na ciebie czekał przez cały dzień. — Generał zamilkł, jakby coś nagle przyszło mu do głowy. — A poza tym siedzisz z powodu pazerności własnej żony.

Ogorzelski z satysfakcją obserwował, jak po ostatnim jego zdaniu Okrzemek skurczył się, jakby ktoś nagle smagnął go batem.

— A więc karty na stół, generale. To na pana osobisty rozkaz znalazłem się w Luksemburgu i właśnie realizując pana osobiste polecenia, dokonywałem przelewów z kont Funduszu Budowy Gospodarki na wybrane przez pana, prywatne konta.

— Ty i ja wiemy, że tak było. Szkopuł w tym, że nie ma na to żadnego dokumentu, żadnego dowodu, żadnego świadka. Można więc dojść do wniosku, że po prostu zwariowałaś. Nawet więc, kurwa, nie próbuj mnie szantażować. Do usranej śmierci nie wyjdiesz wtedy z pierdła — wycedził Ogorzelski.

— Więc co mam robić? — Okrzemek spuścił z tonu.

— Siedź cicho, za miesiąc załatwimy ci dwutygodniową przepustkę, a najdalej za pół roku wyjdiesz na warunkowe. Wtedy dostaniesz trochę pieniędzy i damy ci szansę wejścia w intratny biznes.

— Tak intratny, że będę mógł kupić hummera jak Białecki?

— Jakiego hummera? — Ogorzelski się skrzywił.

— No, takiego, jaki stoi przed wejściem do tego hotelu.

— Białeckiego zostaw w spokoju.

— Nie taka była umowa, generale.

— Warunki dyktuje historia.

— Ale nasza historia jeszcze się nie skończyła,



przynajmniej dla mnie.

— Straszysz, Grzesiu? — Ogorzelski cedził słowa przez zęby.

— Musi pan przyznać, że dziś nasze pozycje są zgoła różne. Moja historia jeszcze się nie zaczęła i gdyby nie mój list, to pewnie gnąłbym dalej w celi, podczas gdy panowie oficerowie pływaliby w szampanie.

— Wiesz dobrze, że gdyby nie nasza operacja i twój w niej udział, Polska wyglądałaby dziś inaczej. Byłeś jednym z najważniejszych inżynierów, to była wielka gra. — Ton generała stawał się coraz bardziej pojednawczy.

— Tylko że ja chcę mieć do siebie szacunek, a teraz nie dość, że wiem za dużo o FBG i jego złodziejskiej mocy, to jeszcze spoglądam na świat przez kraty jak frajer. Więc nie dość, że znam istotę przekrętu, to jeszcze mam świadomość, że chyba jako jedyny widziałem w nim wyższe cele. No i wydymaliście mnie.

— To było niezbędne. Gdyby nie my, Polska byłaby dziś doszczętnie ograbiona.

— A nie jest?

— Nie.

Ogorzelski zamilkł i przez chwilę wpatrywał się w lekko wylupiaste oczy Okrzemka.

— Czego ty właściwie chcesz?

— Szacunku.

— Czego? — Generał sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego tym, co usłyszał.

— Szacunku do samego siebie.

— A kogo ty szanujesz?

— Szanowałem papieża Jana Pawła II.

— Przecież ty nie wierzysz w Boga.

— Nie mam też w sobie wiary w to, że Boga nie ma.

— Wojtyła już nie żyje, lecz bardziej pouczające jest to, co stało się z jego poprzednikiem. — Generał zobaczył w oczach Okrzemka błysk zainteresowania. — Arcybiskup Wenecji, kardynał Albino Luciani, syn prostych rolników, nawykły do ciężkiej pracy, skromny, rządził Watykanem tylko przez

trzydzieści trzy dni, a wiesz dlaczego?

— Szybko umarł. — Okrzemek nie starał się nawet ukrywać, że generał trafił w czuły punkt.

— Bo co? Bo był chorowity?

— A nie?

— Nie. To był krzepki człowiek, przyzwyczajony do spartańskiego trybu życia, stosunkowo młody i zahartowany.

— Więc?

— Zginął, bo wystąpił przeciwko jedynej prawdziwej religii, jaką wyznaje ten świat. Myślał, że odbuduje kościół swojego Jezusa Chrystusa, ubogi i prawdziwy, i wystąpił przeciwko religii pieniądza. Chrystus go nie ocalił, w Watykanie wygrali bankierzy. Następny papież był już bardziej ostrożny. — Generał urwał i dopił resztkę swojego koniaku.

— Skąd pan wie, że właśnie tak było?

— Bo inaczej być nie mogło.

— To także kwestia wiary, a ja nie wierzę, że wszystko na świecie jest takie proste, tak zredukowane do jednego mechanizmu.

— Dlatego siedzisz w pierdlu, a ja popijam dobre wino w swoim wygodnym domu, Grzegorz Okrzemek. Po raz drugi sprawiasz wielkie kłopoty.

— A kiedy był pierwszy raz, bo jakoś mi to umknęło?

— Dowcipasek! A kto znalazł Georga Kravczika? Kto zapewniał o jego nieskończonej lojalności?

— Nieskończonej niemieckiej lojalności, tak to wtedy sformułowałem.

— Grześ, umówmy się co do jednego, trzymasz nerwy na wodzy i mordę w kubek, a nie tylko nie złamiesz już żadnej nogi, ale jeszcze wyjdiesz z tego i znajdziesz na koncie solidne zabezpieczenie na starość.

— Ile?

— Co ile?

— Ile dostanę za milczenie?

— Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów będziesz miał zaparkowane na koncie.

— Jaką mam gwarancję, że dotrzymacie słowa?

— Moje słowo.

— Trochę mało.

— Tu masz numer telefonu do Petera Fragelta. Jak wyjdiesz na przepustkę, zadzwonisz do niego i podasz mu swoje nazwisko. On prześle ci wyciąg z twojego konta w Szwajcarii.

— Zaraz, zaraz, Fragelt to przecież ten chłopaczek, którego operowaliśmy w Białoleńcu.

— Ten sam.

— No, ale wtedy nazywał się Frapczyński.

Okrzemek dobrze pamiętał tę historię. Piotr Frapczyński był synem działającego w Danii peerelowskiego dyplomaty, długoletniego ukadrowionego agenta II Zarządu Sztabu Generalnego. Młody Frapczyński już w wieku siedemnastu lat trafił do więzienia za wyjątkowo bestialskie morderstwo. Okrzemek zapamiętał każdy szczegół wydarzeń sprzed prawie dwudziestu pięciu lat. Przygotowując się do operacji powołania Funduszu Budowy Gospodarki, musiał przewertować akta najważniejszych współpracowników służb wojskowych, których wojskowy wywiad rozmieścił w sferach finansowych Europy Zachodniej. Czytając niewiele różniące się od siebie biografie — ot, dobrze zapowiadająca się kariera na uczelni, zwerbowanie, wyjazd na zagraniczne stypendium i duże zasługi w legendowaniu środków operacyjnych „wojskówki”, przy okazji ścisła współpraca z towarzyszami radzieckimi — natrafił na teczkę, z której mroźnie powiało dostojewszczyzną.

Piotr Frapczyński, rozbisurmaniony „bananowy młodzieniec”, kiedy brakło mu pieniędzy na kolejną wystawną bibkę, poszedł do ciotki (handlowała na czarnym rynku tureckimi tekstyliami) i poprosił ją o pożyczkę. Dostał milion złotych, nie spłacił, ale zaczął traktować nadzianą ciotkę jak podręczną skarbonkę.

Pewnego wieczoru, gdy, jak zwykle pijany, przyszedł poprosić o kolejną sumę, kobieta stanowczo odmówiła. Niewiele myśląc, porwał siekierę leżącą na pieńku przed wejściem do domu ciotki i jednym ciosem rozplątał jej głowę.

Na zimno okradł nieboszczkę z wszelkich pieniędzy, które znalazł, i wychodząc, podpalił dom. Liczył na to, że ogień ukryje ślady zbrodni, stało się jednak inaczej. Spadł deszcz i w na wpół zwęglonym domu milicja znalazła dobrze zachowane zwłoki zamordowanej kobiety. Krótkie śledztwo niechybnie zaprowadziło do młodego Frapczyńskiego. Dostał wyrok dożywocia i poszedł siedzieć do Białoleki. Jego ojciec nie zrezygnował jednak z prób przywrócenia wolności jedynemu synowi. Dotarł do pułkownika Mielejczyka zwanego „Dużym Budyniem” i ten uruchomił sprężynę.

Młodemu Frapczyńskiemu przygotowano fałszywą tożsamość i papiery, potem spowodowano, że z przyczyn zdrowotnych wyszedł na przerwę w odbywaniu kary. Wtedy spotkał się z „Budyniem” i nielegalnie wyjechał do Francji. Stamtąd przeniósł się do Szwajcarii i rychło znalazł sobie dobrą posadę w Coutts Banku.

Nowy człowiek — Peter Fragelt rychło stał się postacią znaną i rozpoznawalną w szwajcarskim świecie finansowym. Specjalizował się w inwestowaniu pieniędzy napływających z Europy Wschodniej. Operował kilkudziesięcioma kontami numerycznymi, na których generałowie LWP oraz wybrani oficerowie cywilnej „jedyńki” zdeponowali swoje „uczciwe zabezpieczenia na starość”.

Utalentowany Peter Fragelt stał się tak pożyteczny i niezastąpiony, że — już w czasach Trzeciej Rzeczypospolitej — generał Ogorzelski załatwił mu prezydenckie ułaskawienie. Morderstwo popełnione przez Frapczyńskiego nie mogło wszak obciążać konta Petera Fragelta brylującego na biznesowych salonach niepodległej Polski.

Znali go bywalcy gal Business Centre Clubu, uczestnicy elitarnego „Klubu Błękitnej Whisky”, snobistycznego towarzystwa skupionego wokół prezesa PKN Orlen, oraz ministrowie do spraw gospodarki z kilku kolejno po sobie następujących rządów.

Okrzemek poznał go kiedyś osobiście w kawiarni „Nowy Świat” i od tego czasu regularnie, jako szef FBG, zlecał mu do wykonania różne zadania. Wiele z nich miało tak delikatną

naturę, że nie wiedział o nich nawet Georg Kravczik.

Teraz Peter Fragelt znów miał stanąć na jego drodze.

— Zaskoczony, co? — Generał Ogorzelski miał w tym momencie minę upalonego kota.

— A. tak, zaskoczony to nawet mało powiedziane.

— Więc widzisz, że nie zamierzamy cię okantować.

— Tak, teraz widzę. On dba też o twoje pieniądze?

— Jak wszyscy to wszyscy, babcia też. Gdybyś był bardziej szczelny, gdybyś nie zostawił nam na głowach tego Kravczika i wreszcie gdyby twoja stara nie latała z jeźorem po mieście, na zabezpieczonym przez Czarnego Piotrusia koncie miałbyś okrągły milion. Ale dwieście pięćdziesiąt to ciągle jeszcze pokaźna sumka — mówił generał głosem takim jak dawniej, jak w czasach, gdy prowadził swoje tajne narady. Ogorzelski był spokojny i pełen przekonania o własnej sile. — Czy uspokoilem twoje sumienie, Grzegorzu?

— Tak. — Głos Okrzemka brzmiał matowo, z trudem rozpoznawał własne słowa.

— Więc to chyba byłoby wszystko. — Generał powoli powstał z obitego dermą fotela, zostawiając na oparciu plamę potu.

„A więc jednak też się pocisz, draniu” — przemknęło Okrzemkowi przez głowę.

— Steiner! — Ton głosu nie zmienił się Grzegorzowi nawet odrobinę.

— Czego?! — warknął Ogorzelski. Kwadratową szczękę zaczepnie wysunął do przodu. — Czego, kurwa, jeszcze chcesz?!

— Pięćset, szefie.

— Cholerny straganiarz! Od kiedy to stałeś się taki drobiazgowy w kwestiach materialnych? — Twarz Ogorzelskiego nagle odzyskała spokój i rozpogodziła się.

— Wiesz szefie, ja mam żonę.

— Wiem. i to chyba twoje nieszczęście.

— Szczęście, dozgonne szczęście, ale za pięćset jakoś tak bardziej możliwe.

— Dobrze. — Generał wysunął dłoń gestem handlarza dobijającego zgody na targu koni.

— Dobrze. — Okrzemek zerwał się i klasnął otwartą dłonią w dłoń Ogorzelskiego.

— No, to wracaj na przesłuchanie, bo nasz prokuratorzek zapije się na amen. Cześć! — rzucił generał.

— Cześć — cicho powtórzył Okrzemek i w skupieniu spojrzał na swoją zaczerwienioną dłoń. Czuł, że nawet majtki ma mokre od potu.

## Rozdział XV

*Szczęście, dozgonne szczęście, ale za pięćset jakoś tak bar dziej możliwe.*

*Dobrze.*

*Dobrze.*

*No, to wracaj na przesłuchanie, bo nasz prokuratorzek za pije się na amen. Cześć!*

Cztery postaci jak na komendę odsunęły się od miniaturowego urządzenia.

— Wszystko się, Róziu, nagrało, idealnie się nagrało. Jesteś prawdziwą Matą Hari. — Maciej Grabicki dopadł spracowanej dłoni Rozalii Stachoń i złożył na niej siarczysty pocałunek.

— Matą. — Na ogorzałych policzkach Rozalii nie widać było nagłego rumieńca, ale jej spojrzenie mówiło więcej niż mogłoby wyrazić zapłonione lico. — Aa. mata, co chceta. — Machnęła ręką i popędziła do kuchni.

— To jest gwózdź! — szepnęła Zdzisława Okrzemek.

— I nie żal ci pół miliona dolarów? — Andrzej wbił w nią badawcze spojrzenie.

— Żal, cholernie żal.

— Więc? Masz jeszcze czas. Teraz wy oboje możecie stracić najwięcej.

— Grzesiek zdecydował. Nigdy nie widziałam takiej masy pieniędzy. To musi być jak magnes, kusi, strasznie musi kusić.

— A kto wam powiedział, że nie będziemy mieli tych pieniędzy? — Maciej Grabicki oparł się o framugę okna.

Światło układało się na jego twarzy tak dziwacznie, że wi- dać było tylko oczy i usta.

Przez całe popołudnie dyskutowali nad szczegółami planu, który niespodziewanie przyszedł do głowy kuzynowi Andrzeja. Postanowili, że to będą ich wspólne pieniądze i żadne nie wyda ani dolara bez uchwały całego klubu.

Tak powstał klub. Właściwie tak zawiązał się formalnie, praktycznie bowiem istniał już od kilku tygodni.

Nazwę wymyślił nieoceniony Grabicki. No, może nie do końca tak było. nazwa powstała bowiem w pewnej szczególnej chwili, a jej przypadkową akuszerką była Rozalia Stachoń.

To ona nakłoniła wszystkich, aby o zmierzchu udali się do pracowni Macieja Grabickiego. Gospodarz długo się wzbierał przed otwarciem swojej tajemnej „świątyni”, jednak argumenty dwóch kobiet sprzężone z realną groźbą odejścia Rozalii wywarły spodziewane wrażenie. Grabicki nieśmiało uchylił ciężkie dębowe drzwi wiodące do przeszklonej oranżerii. Uderzył ich zapach terpentyny i jedyna w swoim rodzaju woń farb i rozpuszczalników.

Na środku, w snopie księżycowego światła, które padało przez ogromne okno w dachu, stały sztalugi i obleczone w sztywną lnianą szmatę płótno.

— To jeszcze nie dojrzało, może lepiej, abyście jeszcze nie patrzyli — mamrotał niepewnie Grabicki.

Widać było, że jest bardzo zdenerwowany. W dłoniach miał ogromny klucz, którym otworzył pracownię. Przygryzł dolną wargę i niepewnie przestępował z nogi na nogę.

— Może dajmy jej jeszcze trochę czasu. — szeptał.

Rozalia była jednak nieubłagana.

— Ja to kiedyś zobaczyłam, jak tu odkurzałam.

— Widziałaś?! — Ton głosu Grabickiego ocierał się o przerażenie. Malarz sprawiał wrażenie, jakby gotował się do natychmiastowej ucieczki.

— Widziałam i dlatego chcę, aby oni też to zobaczyli.

— Może jeszcze nie teraz. Proszę!

— Teraz! Jak sprawy doszły już tak daleko, że jesteśmy w tajnym klubie, to wszyscy muszą znać twój obraz.

W pracowni panował ciężki półmrok i tylko snop światła skierowany na sztalugi rozbijał duszną atmosferę utworzoną przez chemiczne wyziewy, tłusty mrok i niewyraźne zarysy nieznanymi sprzętów wylaniające się spod ścian.

Była pełnia. Następnego dnia powinien zacząć wiać halny.

Zimny snop jasnego księżycowego światła padał



dokładnie na spowity w zasłonę obraz i tworzył wokół niego świetlisty krąg, zupełnie tak, jakby ktoś wprost z góry zapalił nad sztalugami teatralny punktowy reflektor. Zdzisława głós no westchnęła, w takim świetle toczyła się finałowa partia solowa jedyne go widowiska baletowego, na jakim była wraz z Grzegorzem.

To było wiele lat temu w Moskwie.

Piękna, filigranowa tancerka w śnieżnobiałym stroju naraz wychynęła z mroku. Padł na nią snop światła imitującego księżycowy blask. Dziewczynka, zwinięta w kulkę na środku sceny, nagle eksplodowała strzelistym wyskokiem w górę, delikatnie, miękko oddzielała się od sceny, frunęła ze śmiało rozpostartymi dłońmi, była jak płatek niereeczywistości — lekki, subtelny.

Zdzisława nie pamiętała nawet, jak nazywało się przedstawienie. Pamiętała jedynie kruchą dziewczynkę o ruchach łabędzia. W wyobraźni nazwała ją Dorotką i kiedy po raz pierwszy ujrzała w krakowskim hospicjum Dorotkę, rozpoznała w niej kruchą śnieżynkę z moskiewskiego baletu.

Po twarzy Zdzisławy stoczyła się wielka łza.

— Cholerne chemikalia, mam na nie alergię. Chemiczka-alerbiczka. — Pociągnęła nosem.

Na szczęście w tym momencie nikt nie wpatrywał się w jej policzki. Grabicki, wiercąc się, przestępując z nogi na nogę, tańczył dziwną choreografię „trenu zawstydzonego artysty”, jak później nazwał to Andrzej, Rozalia, z dłońmi wpartymi pod boki, szykowała się do nowego ataku na gospodarza, a sam Andrzej żałował, że nie potrafi rysować, bowiem scena w pracowni była tak niepowtarzalna, że można ją było przedstawić jedynie niemym rysunkiem lub doskonałym, czarno-białym zdjęciem.

— Zobaczcie. — Rozalia pewnym krokiem weszła na księżycową scenę i jednym ruchem zdjęła zasłonę z tajemniczego płótna.

W niepewnym i pełnym cieni świetle ukazał się sporych rozmiarów obraz przedstawiający potężną wieżę o nieregularnych kształtach, zwężającą się ku górze.

Na pierwszy rzut oka kształtem przypominała barcelońską Sagrada Familia, kiedy jednak oko zaczynało rozpoznawać mniejsze detale, widać było, że spowita jest rojem uwijających się w niej i na niej ludzi-robaków.

Ludzie, malowani breughlowską manierą, oplatali wieżę, przeciskali się, walczyli ze sobą, przenosili ciężary, kochali się i mordowali. Setki, tysiące ludzkich niewielkich ruchów, energii, postaci. Wieża — kopiec termitów, wieża — kłębowisko gadów, wieża — przestrzeń krzyżujących się szeptów i pragnień, brudnych czynów i wzniosłych aktów — wszystkie te skojarzenia przychodziły do głowy pierwszym widzom, którym obraz Macieja Grabickiego objawił swoje tajemnice, teraz spowite w niewyraźne księżycowe światło.

Wieża przebijała chmury swym nieregularnym, poszarpanym kształtem. Drapała niebo i pozostawiała w nim jedną wielką niezamkniętą ranę. Z tła napływały nieokreślone pomruki wulkanicznej czerwieni.

— Jejku! — wyrwało się Andrzejowi.

— A nie mówiłam! — tryumfowała oparta o sztalugi Rozalia.

— Klub pod Wieżą. — Po twarzy Zdzisławy błąkał się cie- pły uśmiech.

Grabicki nerwowo oblizywał spierzchnięte wargi. Nagle poczuł, jak czyjaś dłoń dotyka jego pleców. Odwrócił się i napotkał błyszczące spojrzenie Andrzeja.

— Nawet jeśli ta książka nigdy nie ujrzy światła dziennego, to warto było — szepnęła Brenner.

Było zbyt ciemno, aby dojrzeć, jak na twarz Macieja Grabickiego wypęzł wielki rumieniec.

— Powiedz mi, braciszku, kto ma klucze do tej wieży?

— Nie wiem.

— Może Bóg — cicho wtrąciła Rozalia.

\*\*\*

Ogorzelski obudził się zlany potem. Zwykle jego najbardziej koszmarne sny, które regularnie nawracały, opowiadały o tym, jak nagle wyłysiał. Męczył się wtedy

widokiem faceta, którego twarz przypominała jego własną, ale była żałośnie, groteskowo naga.

Tym razem jednak sen był bardziej toksyczny. Przez całą noc generał zmagał się z potwornym wyobrażeniem Ważnego Rozmówcy, któremu wyrosły kły drapieżnika i groteskowo wystawały spod sołtysich wąsów.

Ważny Rozmówca gonił go przez jakąś łąkę, która okazała się pofałdowanym polem pełnym małych stawków i cholernie porządnie przystrzyżonych trawników. Gonił go z kijem golfowym. Coś chciał mu powiedzieć, ale generał, widząc okrwawione kły spowite idiotycznym wąsem, zawczasu wziął nogi za pas. Ważny Rozmówca chciał go wysssać, przegryźć mu tętnicę, zabrać oddech. Generał tak zmęczył się nocną ucieczką, że gdy wreszcie otworzył oczy, poczuł, że drżą mu uda i łydki.

„Trzeba skończyć z tymi wieczornymi koniackami” — pomyślał i pobiegł do łazienki. Miał nadzieję, że strumień zimnej wody z kranu przyniesie mu ukojenie.

W lustrze czekała na niego zmięta, nieogolona twarz z podkrążonymi oczami poprzecinanymi siatką krwawych żyłek.

— Cholera — mruknął sam do siebie.

Naraz poczuł się stary i zmęczony. W całym dużym domu nie było nikogo, kto mógłby go teraz przytulić czy choćby szczerze powiedzieć mu dobre słowo.

Ogorzelski rzadko roztkliwiał się nad sobą, ten poranek należał jednak do tych nielicznych chwil w jego życiu, kiedy potrzebował kogoś bliskiego.

W jego świecie nie było jednak miejsca dla bliskiej osoby. Żona odeszła już kilka lat temu, dobrze zabezpieczył ją materialnie. Nie uczynił tego z pobudek moralnych, po prostu wiedział, że w przeciwnym razie spadnie na niego mnóstwo kłopotów i niepotrzebnych rozmów. Był zbyt wygodny, aby wieść z byłą połowicą długoletnie spory. Teraz żona nie chciała go widzieć, dzieci też pourządzały się w świecie za jego pieniądze.

Służący, emerytowany trep, nadawał się do wszystkiego,

tylko nie do szczerzej rozmowy.

Z sypialni dobiegł go terkot komórki. Nie miał ochoty odbierać, w ogóle nie miał ochoty na żadne kontakty, nie zamierzał nawet wychodzić z domu. Bo niby dokąd miał iść?

Do kolegów? Do burdelu? Do drogiej restauracji?

To wszystko, gdyby tylko chciał, mógł mieć zaraz w domu.

Ogolony wrócił do sypialni, spojrzął na wyświetlacz komórki i ze zdziwieniem uniośł brwi.

— Brenner?! A czegoż on, u licha, może jeszcze chcieć? Przez chwilę walczył z pokusą natychmiastowego oddzwonienia. Nawet wybrał numer dziennikarza i niepewnie stał przy oknie z palcem uniesionym nad klawiaturą swojej nowoczesnej nokii.

Po chwili namysłu odłożył jednak aparat. Nigdy nie był zwolennikiem działania w afekcie, a w tym momencie trudno było mu powstrzymać odruch zaciekawienia.

Postanowił poczekać, zastanowić się nad potencjalnym powodem, dla którego upierdliwy pismak jeszcze chciał z nim rozmawiać.

„Czyżby znowu ktoś coś spaprał? No, ale ten Brenner nie należy przecież do takich, co skarżą się swoim przeciwnikom”

— rozmyślał.

Po raz pierwszy nazwał Brennera swoim „przeciwnikiem”. Nobilitował go w swoich myślach, awansował. Sam był zaskoczony taką konstatacją.

„Głupi sen i człowiek zaczyna mięknąć” — próbował uciąć niemiłe wnioski.

Musiał jednak sam przed sobą przyznać, że krakowski dziennikarz towarzyszył mu w myślach od wielu tygodni. W ciągu tych tygodni wydarzyło się także kilka rzeczy, których nie przewidział, ot, jak choćby ta dziwna rozmowa z Okrzemkiem. Na pozór był zadowolony z jej rezultatu, a jednak intuicja podpowiadała mu, że nie wszystko poszło tak, jak zakładał.

Po pierwsze, nie powinien osobiście rozmawiać z Grzegorzem, w ogóle nie powinno go być w tej historii, jednak

tym razem uznał, że jeśli sam tego nie załatwi, to konsekwencje buntu Okrzemka mogą być trudne do oszacowania.

„Okrzemek był sprawdzany w więzieniu, sprawdzili go w prokuraturze, sam go sprawdziłem. Nie ma możliwości, aby grał znaczonymi kartami. Pięć stów powinno załatwić problem, zawsze mamy w odwodzie jego starą, bo chyba na niej bardziej mu zależy niż na sobie” — kalkulował.

Wszystko miał, jak dawniej, pod kontrolą, a jednak złośliwe przeczucie podpowiadało mu, że gdzieś popełnił błąd.

„Cholerny sen, takie coś potrafi spieprzyć cały dzień”. Podrapał się po zarośniętej piersi i podszedł do barku. Zasłużył na pierwszy tego dnia kieliszek.

Całe popołudnie jeździł na kosiarce po ogrodzie, wykosił nawet najmniejsze kępki obrastające pnie jego ulubionych czereśni.

To były jedyne owoce, jakie zapamiętał z dzieciństwa. Dwie wielkie czereśnie rosły u sąsiada, Franciszka Kamyka, urzędnika z gazowni. Ich potężne gałęzie przewalały się przez wąły parkan, który oddzielał biedamorgi jego ojca od posiadłości trochę bogatszego sąsiada.

W czerwcu wraz z bratem opychali się tymi czereśniami, które miały dodatkowy smak „kradzonego”. Tak nie smakowały nawet podkradane u sołtysa papierówki.

Czereśnie były dla niego drzewami świętymi. Opiekował się nimi z nabożnym skupieniem. Rozwiesił sobie pomiędzy nimi rozłożysty hamak i czasem, w letnie dni, sypiał tam, rozkoszując się smakiem życia, które sam sobie stworzył.

Od wielu lat nic już nie musiał, za niczym się nie uganiał, to do niego przychodzili ci, którzy jeszcze chcieli się ścigać, którzy w ogóle jeszcze czegoś chcieli.

Warkot motorku i narkotyczny zapach świeżo skoszonej trawy wreszcie go uspokoiły.

Poczuł, jak wraca mu energia, był pewien, że podoła niewielkim przeciwnościom, jakie gdzieś tam zamajaczyły na horyzoncie.

Wieczorem, po przeszło dwugodzinnej drzemce w hamaku, już był gotów oddzwonić do Andrzeja Brennera.

Musiał tylko poczekać, aż wygaśnie w nim ochota na natychmiastowe zaspokojenie ciekawości. Rozmowie z dziennikarzem nie mogła towarzyszyć żadna, najmniejsza nawet namiętność.

Kolacja była przyjemna, zjadł specjalnie zamówione mule w sosie kaparowym z masłem i truflami, świeżutkie i soczyste, wypił do tego dwa kieliszki wytrawnego białego wina.

Zupełnie nie przeszkadzało mu to, że jadł sam.

Kiedy miał ochotę na towarzystwo, podnosił słuchawkę telefonu, kiedy chciał pomyśleć, sięgał po kolejną książkę Czechowa.

Uwielbiał Czechowa, a *Wiśniowy sad* uważał za niedościgłe arcydzieło. Zawsze gdy dochodził do momentu, w którym z sadu niosły się uderzenia topora i jęk drzewa, był wzruszony. Tak, wycinanie drzew wiśniowych budziło w nim najżywsze emocje.

Sam miał sad polski, czereśniowy, ale tuż przy betonowym murze oznaczającym kres jego posiadłości rosły cztery rozłożyste, kwitnące białym śniegiem wiśnie.

To był kącik poświęcony Czechowowi. Gdyby pewnego dnia do jego drzwi zapukała wdowa Raniewska, z wielką atencją powiódłby ją do swojego wiśniowego zakątka. Był także pewien, że chama Łopachina kazałby wybatożyć, do ostatniego chamskiego tchu.

W swoim ogrodzie miał też niewielką sadzawkę, w której pluskały się japońskie czerwone karpiki — to była „sadzawka Vladimira Volkoffa”. Lubił tego autora i uważał go za ważniejszego od Johna le Carré. *Montaż* i *Werbunek* Volkoffa zalecał swoim uczniom w czasach, gdy „dla sportu” dyskretnie wykładał w szkole wywiadu w Kiejkutach.

Często zastanawiał się nad Volkoffem i był przekonany, że gdyby Bóg dał mu odrobinę więcej talentu, to ten spiskowy Francuz z DST dorównałby Josephowi Conradowi.

Ogorzelski był miłośnikiem swojej własnej teorii „odrobiny talentu”. To ona właśnie, jego zdaniem, oddzielała zawodowców od geniuszy.

Sam chciał być geniuszem, kiedy jednak zdał sobie sprawę, że już nigdy nie odnajdzie w sobie tej mistycznej iskry, postanowił, że nikomu nie pozwoli dowiedzieć się o swoim odkryciu, swojej tajemnej ułomności.

To była jego największa tajemnica — nie był geniuszem, ale przynajmniej zdawał sobie z tego sprawę.

Nie był także człowiekiem rodzinnym, najbliżsi oddychali swobodniej, gdy go opuszczali. Musiał mieć kontrolę nad wszystkim. Uświadamiał sobie, że potrafi być katem dla żony i dzieci, ale nie potrafił tego zmienić. Wiedział, że jest zbyt samolubny i pyszny, aby dla kogokolwiek zrezygnować choć z części swojego władztwa, ze swojej apodyktycznej natury. Należał do tej nielicznej kategorii ludzi, którzy doskonale zdają sobie sprawę z własnych wad. Przez całe życie starał się je zrozumieć i przewidzieć ich konsekwencje.

W końcu polubił swoje wady i tak ułożył sobie życie, aby nie utrudniały mu osiągnięcia celów. Jedno o sobie mógł powiedzieć z całą pewnością — był człowiekiem konsekwentnym i skutecznym. W odróżnieniu od większości ludzi, z którymi się stykał, rzadko się zniechęcał i potrafił poświęcić wiele energii na to, aby nie zawieść samego siebie.

Właściwie od czasów, gdy osłabły jego kontakty z Czesławem Kiszczakiem, sam dla siebie stał się punktem odniesienia. Z wiekiem rosła też jego pycha i drażliwość, rosły jednak w sposób kontrolowany, ujawniał je tylko wtedy, gdy nie szkodziło to jego interesom.

W interesach starał się być cierpliwym lisem, powściągał gniew, blokował emocje i za jego nieprzeniknionym uśmiechem nikt nie mógł odczytać tego, co działo się w głębi jego duszy.

Kiedy jednak rzeka cierpliwości, nad którą zasiadał co ranka, niosła trupy jego wrogów, topił je z całą bezwzględnością swojej twardej natury. Czynił to jednak bez mściwej satysfakcji, która zwykle towarzyszy zemście, miał do tego sanitarny — tak to określał — stosunek. Higienicznie dobijał swoich wrogów i ludzi nielojalnych, tylko po to, aby — jak mówił — z próchna nie wyłaziły gnilne robale.

Nie wierzył przy tym w nagłe nawrócenia i olśnienia. Kto raz zyskał u niego miano zdrajcy lub „człeka chwiejnego”, nigdy już swojej etykiety nie tracił.

Gdy dopijał ostatniego wieczornego drinka, telefon zadzwonił ponownie. Na wyświetlaczu znów ukazało się nazwisko Andrzeja Brennera. Po chwili nadszedł sms.

Ogorzelski założył okulary.

„Koniecznymy musimy się zobaczyć, bardziej w twoim niż w moim interesie. Andrzej B.”

— To się jeszcze okaże — mruknął.

Postanowił, że następnego dnia przed południem zadzwoni do natrętnego dziennikarza.

— Cześć, tu Kazek. Czego dusza pragnie?

— Powinniśmy się zobaczyć, mam coś dla ciebie.

— Wiesz, gdzie mieszkam.

— Będę dziś wieczorem, muszę dojechać.

— Zgoda. Nie zgub drogi.

— Pan generał, jak słyszę, w wybornym humorze.

— Świat nie daje mi powodów do zmartwień.

— A więc, do zobaczenia.

Andrzej popatrzył na Okrzemkową. Uniosła do góry kciuk.

— No to wsiadaj w ekspres i jedź. My z Maćkiem prześpimy się u ciebie w mieszkaniu. Jeśli, oczywiście, pozwolisz.

Andrzej bez słowa rzucił jej klucze do swojego mikroskopijnego mieszkanca na ulicy Praskiej w Krakowie.

Za dwadzieścia minut odjeżdżał najbliższy ekspres do Warszawy.

Przez całą drogę myślał o tym, jak potoczy się czekająca go rozmowa. Wiedział, że była najważniejsza i jej przebieg mógł zdecydować o losie kilkorga najbliższych mu w tej chwili osób.

Do tej pory nigdy nikogo nie szantażował, teraz też za wszelką cenę uciekał od tego słowa, zdawał sobie jednak sprawę, że „transakcja”, którą chce zawrzeć z Ogorzelskim, jest



klasycznym szantażem. Usprawiedliwiał się przed samym sobą, że jest to jedynie obrona konieczna, zejście do poziomu i metod stosowanych przez przeciwnika, nic jednak nie mogło zmienić logicznej kwalifikacji czynu, którego właśnie zamierzał się dopuścić.

Nawet kiedy, minąwszy Włoszczową, zapadł w płytką drzemkę, jego idealistycznie usposobione alter ego sęczyło mu do głowy naiwne z pozoru zarzuty.

„Czy, aby osiągnąć swój cel w kontakcie z łajdakiem, należy grać jego kartami?”

Czy grając łajdackimi kartami, samemu nie staje się łajdakiem?

Czy sprowadzenie normalnego człowieka do łajdackiego poziomu nie jest największym sukcesem łajdaka?

Czy łajdactwa można się pozbyć jak brudnego kombinezonu?”

W przedziale, naprzeciwko Andrzeja, siedziała gruba kobieta o jasnych tlenionych włosach.

Z wypiekami na różowej twarzy czytała najnowsze wydanie tygodnika „Śmieć”. *Sekta czcicieli prostackiego wikarego z Niegowici* — krzychał tytuł na pierwszej stronie.

— Że też ktoś czyta takie paskudztwa, to gorsze od łajna — odezwał się starszy mężczyzna siedzący obok Andrzeja.

Blondyna wolno opuściła gazetę i wbiła w niego wściekle spojrzenie.

— Czy ktoś pana pytał o zdanie? — wycodziła.

— Nie, ale mogę mówić, co mi się żywnie podoba — zaperzył się mężczyzna.

Andrzej porzucił na chwilę myśli o czekającej go rozmowie z Ogorzelskim i z ciekawością czekał na rozwój sytuacji. W przedziale siedziała jeszcze starsza zakonnica, która nadal udawała, że drzemie, i młody pryszczaty chłopak.

— Gdybyśmy żyli w kraju muzułmańskim to ten pani Uchlanz miałby obcięty łeb, a jego redakcja byłaby spalona.

— I za tym pan w tej chwili tęskni? — Spojrzenie blondynki zabarwiło się ironią.

— No nie, ale. — Mężczyzna urwał i odruchowo spojrział

na zakonnicę, chcąc zapewne zyskać wsparcie.

Ta jednak uparcie drzemiała, choć jej drgające powieki zdradzały, że już od dłuższej chwili słucha dyskusji.

— Coś panu powiem. — Głos blondynki niespodziewanie zabrzmiał zupełnie spokojnie. — Mnie nie przeszkadza sytuacja, gdy otaczają mnie katolicy, nie przeszkadza mi także fakt, że z mętnej i słabej twórczości literackiej pana Wojtyły robi się w Polsce świętość. Trochę przeszkadzają mi ohydne posągi pana Wojtyły, którymi upstrzono każdy placyk najmniejszej nawet pipidówki, w tym wypadku nie wadzi mi jednak postać, tylko estetyczny horror jakiemu zostaje poddana przez mało zdolnych pseudoartystów.

— No wie pani! — zachnął się mężczyzna.

— Tak. Niech pan wskaże mi ładny kościół, który ostatnio w Polsce wybudowano. Sporo jeżdżę po kraju i widzę jedynie skrzyżowania wodopojów dla bydła z jakimiś tureckimi hamanami. Ohydne te kościoły i ich paskudne otoczenie są odbiciem tego, co my Polacy-katolicy mamy w duszy. Odbiciem obłudy, zakłamania, hipokryzji i płycizny umysłowej.

— Pani wybaczy! — Andrzej nie wytrzymał. Kątem oka dojrzał, jak strapiiony mężczyzna posyła mu pełne wdzięczności spojrzeenie.

— Wybaczam.

— Czy pani nie przesadza? Przecież pani w tej chwili nas po prostu obraża. — Czuł, że zaczynają go ponosić emocje.

— Was? Logicznie traktuję was jak pogański odłam judaizmu, sektę która ukradła Żydom Boga i ubóstwiła człowieka. Bóg ojciec, syn i gołębica, czy nie widzicie, jakie to w gruncie rzeczy infantylne i pogańskie?

— Nie będę z panią toczył teologicznych dyskusji, chcę tylko zaznaczyć, że pani słowa obrażają moje uczucia religijne

— słuchał własnego głosu i nie wierzył uszom. On obrońcą wiary chrześcijańskiej?! Jeszcze kilka godzin temu uznałby to za niesmaczny dowcip.

— Nie mam zamiaru was obrażać, ale jak już podejmiecie dyskusję, to bądźcie konsekwentni.

— Tu jest osoba zakonna! — wypalił naraz starszy

mężczyzna.

Siostra nie mogła już dłużej udawać smacznej drzemki, poprawiła na nosie okulary i spojrzała na starszego mężczyznę.

— Ano jestem, ale zupełnie nie wiem, o co wam się rozchodzi — sapnęła.

— Ten pan raczył skrytykować tygodnik, który czytam, a ja wyraziłam swój stosunek do jego poglądów — blondynka uprzejmym tonem podsumowała przedziałową dyskusję.

— A pani w co wierzy? — Rumiana siostra poprawiła się na fotelu i nachyliła swą korpulentną postać ku blondynce, tak jakby spodziewała się bardzo intymnego wyznania.

— W logikę świata i skończony czas ludzkiego życia, które niczego nie zmienia w urzędzeniu wszechświata — spokojnie wyłuszczyła blondynka.

Sprawiała wrażenie, jakby fakt, że ma przeciwko sobie trzech dyskutantów, a sądząc z nerwowego wiercenia się pryszczatego młodzieńca, także i czwartego pasażera, zupełnie nie robił na niej wrażenia.

— Ładnie pani mówi. — Zakonnica niespodziewanie ciepło się uśmiechnęła.

— Co z tego, że ładnie? — zaciętrzewił się starszy pan. — Ale to, co mówi, nie jest ładne, a już to, co czyta ta pani, jest zupełnie ohydne.

— Wolę szczerego cynika niż świętego hipokrytę — blondynka najwidoczniej bawiła się zdenerwowaniem swojego rozmówcy.

— Dostojewski. — zaczął Andrzej, ale blondynka nie dała mu dokończyć.

— Tak, tak, albo Wolter, gdyby Boga nie było, to należałoby go wymyślić. I ja się z tym zgadzam, jeśli społeczeństwu potrzebna jest magia po to, aby się ludzie nie mordowali, nie grabili i nie gwałcili, to ja się z tym zgadzam. Wygodniej żyć pomiędzy ludźmi, którzy czegoś się boją, niż pomiędzy jaskiniowcami.

— Ale pozwala pani na to, żeby obok pani żyli ludzie, którzy Jezusa Chrystusa uznają za swojego mistrza? — spytała zakonnica.

— Pewnie.

— No więc nie ma problemu. Pozwólcie mi trochę pospać.

Młodzieniec zaśmiał się nerwowo, a Andrzej i starszy mężczyzna wymienili zdezorientowane spojrzenia.

Na twarz blondynki wypełził lekki uśmiech, spokojnie wróciła do przerwanej lektury.

Kiedy Brenner wysiadał na Dworcu Centralnym, blondynka demonstracyjnie odłożyła „Śmiecia” na półkę.

— Może ktoś jeszcze zechce to przeczytać — mruknęła.

Nagle odwróciła się w stronę Andrzeja.

— Co mi się pan tak badawczo przypatruje?

Pasażerowie w pośpiechu usiłowali opuścić wagon, wyjście zostało jednak zablokowane przez potok ludzi kołyszających się pod ciężarem walizek i toreb.

Andrzej, chcąc nie chcąc, musiał jeszcze przez chwilę przebywać w towarzystwie blondynki.

— Pańskie spojrzenie mówi mi, że nie chciałby pan nigdy mieć takiej znajomej jak ja — zaczęła.

— Coś w tym rodzaju — odburknął.

— Grzeczny katolicki chłopiec?

— Pudło.

— A więc?

— Nie lubię ostentacji, a pani z ostentacją pognębiła tamtego człowieka. Jest pani z siebie dumna?

— Nie.

— Czegoś zatem nie rozumiem.

Tłum wysiadających zaczął się przersedzać.

— Jest pan taki sam jak mój ojciec, on też udawał, że nic nie rozumie.

— Droga pani!.

— Był hutnikiem, całe życie pracował w socjalistycznej Hucie imienia Lenina i biegał do kościoła. Kiedy kilka lat temu przyszli Hindusi i zaczęły się redukcje, załapał się na zwolnienia grupowe. Dostał sto dwadzieścia tysięcy na czysto i przez dwa lata nie mógł podejmować żadnej pracy.

— Kupa forsy — gwizdnął Andrzej, kobieta zaczynała go

intrygować.

— No kupa, tylko że on nigdy nie miał pieniędzy, więc co zrobił?

Andrzej obojętnie wzruszył ramionami.

— Przepuścił to w dziewięć miesięcy i to tak, że potem pożyczał ode mnie na jedzenie.

— Nic sobie nie kupił?

— Nic. Nawet używanej lodówki czy telewizora. Przepuścił na taksówki, knajpy, drogą gorzałę i prostytutki. A wie pan, co potem mi powiedział? Gdy już przepuścił całą tę forszę?

— Nie mam pojęcia.

— „Teraz, córusiu, dopiero mi ulżyło”. Tak powiedział! . że mu ulżyło i że znów może chodzić do kościoła. To już lepiej, cholera, aby klechom zaniósł na ofiarę. Pieprzony polski katolicyzm.

— Kawa?

Blondynka zdumiona zamrugła świńskimi oczkami.

— Pójdzie pani ze mną na kawę?

— Po co?

— Pogadać.

Do przedziału zajrzały dwie starsze kobiety. Miały ze sobą wielki wór na śmieci i lateksowe rękawiczki na dłoniach.

Blondynka kiwnęła głową. Andrzej ze zdziwieniem spostrzegł, że nie jest w stanie zapamiętać rysów jej twarzy. Była idealnie nijaka — nijakie ubranie, nijaki wiek i nijaka, zupełnie nie zapadająca w pamięć sylwetka.

Spokojnie ujął w dłonie dwie należące do niej walizki i wolno wpełzł na peron.

Wylądowali na drugim piętrze „Złotych Tarasów”. Andrzej w czasie swoich nieczęstych pobytów w stolicy upodobał sobie nietypową knajpkę ukrytą na zapleczu sklepu „Almi Decor”, w którym piętrzyły się luksusowe elementy wyposażenia wnętrza.

Dopiero po przejściu kilku sklepowych ekspozycji można było zanurzyć się w owianej kawowym aromatem restauracji. Nikt z zewnątrz nie mógł nawet podejrzewać

istnienia lokalu na zapleczu sklepu, nie informował o tym najmniejszy sztyd.

— Danka. — Szeroka dłoń blondynki wysunęła się do powitalnego pocałunku.

— Czym pani, czym. hm. zajmujesz się na co dzień?

— Prowadzę sekcję bokserską Górnika Wieliczka.

— Co? — Andrzej zakrzuszył się kawą.

— Trzy lata temu przejęłam sekcję i mam pierwsze sukcesy. Z naszej sekcji wywodzi się Artur Szpilka, który za kilka lat będzie zawodowym mistrzem świata w wadze ciężkiej

— klarowała z niezmaconym spokojem blondynka. — Jestem po krakowskim AWF-ie, trochę pracowałam na Zachodzie, uściubiłam grosza i wróciłam. Do niedawna byłam kochanką pewnego znanego biskupa, a teraz niestety jestem bez przydziału.

— To znaczy, że nie masz stałego partnera? — Andrzej zdawał sobie sprawę z idiotyczności swoich pytań, jednak w tym momencie czuł się jak znokautowany przeciwnik Artura Szpilki.

Blondynka okazała się zbyt ekscentryczna nawet jak na jego liberalne przyzwyczajenia.

— Nie mam i diabli mnie biorą. Oj, żeby chłopcy mnie lubi- ły tak jak ja ich, to nie potrzeba by było żadnych fantazji. No, ale cóż. — Zrobiła zbolalą minę. — Nie jestem zbyt wy- ściowa.

Andrzej taktownie spuścił oczy i milczał.

— Muszę już iść.

— Jak wszyscy.

— Nie tak, jak myślisz. — Uśmiechnął się. — Daj mi, Danuto, swoje zamiary, bardzo chętnie zacznę ćwiczyć w twoim klubie.

Blondynka sięgnęła pulchną dłonią do jednej ze swoich przepastnych walizek i dobyła z niej wizytówkę wydrukowaną na posrebrzonym papierze: „Danuta Bielewicz, doktor habilitowany, trener I stopnia, Górnik Wieliczka, prezes sekcji bokserskiej”.

— Miło mi, Danuto, i na pewno się odezwę. — Andrzej

wytwornie ucałował podaną sobie dłoń i pozostawił przy stoliku kobietę pogrążoną w niewesołych rozmyślaniach.

Wybiegł na zewnątrz i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

Szybko podał adres generała Kazimierza Ogorzelskiego i myślami wrócił do czekającej go rozmowy.

Ogorzelski był sam. Przezornie dał służącemu dzień wolny. Już z daleka dostrzegł światła nadjeżdżającego samochodu. Powoli zszedł do salonu i wyciągnął przygotowaną wcześniej płytkę DVD.

Naszykował tacę z anchois i krewetkami. Według jego wyliczeń właśnie w tym momencie powinien odezwać się dzwonek u bramy.

I rzeczywiście, ciszę przeciął nagrany na taśmie głos atakującego jastrzębia. Generał wyrzwał przez okno i tuż przed bramką dostrzegł szczupłą sylwetkę dziennikarza.

— Tym razem to ty masz do mnie sprawę, więc ciesz się podwójnie — zaczął.

— A możemy tak bez kpin? — Głos Brennera wyraźnie kontrastował z uprzejmym tonem Ogorzelskiego.

— Ja z ludzi nie kpię, oni najwyżej sami to sobie robią. — Ogorzelski nie zmienił kordialnego tonu.

— Chciałbym to szybko i raz na zawsze z tobą załatwić.

— Brenner ciągle spoglądał na generała spode łba.

— Poczekaj, zdążymy. Najpierw rozgość się, odsapnij.

Spoczęli w wygodnych klubowych fotelach. Generał poczęstował gościa papierosem.

— Coś ci pokażę. Mam tu coś bardzo rozrywkowego. — Gospodarz włożył płytkę do odtwarzacza.

Po kilku sekundach ukazał się czarno-biały obraz z telewizji przemysłowej.

Późna pora, dworzec kolejowy. Andrzej po chwili rozpoznał, że to dworzec w Krakowie. Rosły włóczęga zaczepia jakieś kobiety, a potem, mamrocząc coś pod nosem, układa się na peronowej ławce. Nagle na peronie pojawia się młody

mężczyzna w garniturze, włóczęga podchodzi do niego, nie słyhać ich dialogu, ale w pewnym momencie mężczyzna szybkim ciosem obala włóczęgę na peron.

W tym momencie Andrzej skojarzył tę scenę. Doskonale znał jej dalszy przebieg.

— Mam powiększyć twarze? — niewinnie spytał Ogorzelski.

— Nie potrzeba.

— Widzisz, przyniósł mi to jakiś dobry człowiek i powiedział, że gdyby to trafiło do gazety z informacją, że napastnikiem jest znany i mający się za jedyne go sprawiedliwego dziennikarz, to pewnie nikt już takiemu dziennikarzowi potem by nie uwierzył. Na szczęście trafiło to do mnie.

— Kaziu, ja właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

— No to świetnie się składa, jestem w nastroju. — Ogorzelski uśmiechnął się szeroko i Andrzej z zazdrością spojrział na rząd równych, białutkich zębów oficera.

— Widzisz, ja już znam wasze metody, znam je z autopsji, ty jednak nie znasz mnie jeszcze na tyle dobrze, aby wiedzieć, co ciebie spotka.

— Robi się interesująco. Nie krępuj się, Andrzeju, proszę.

— Nie chcę rozmawiać o ostatnich wypadkach, bo obaj je doskonale znamy, tylko obserwowaliśmy je z różnych pozycji.

— Mówisz zagadkami.

— Cierpliwości, zaraz zrobi się bardziej konkretnie. Te obrazki z dworca nie robią na mnie wrażenia. Mam tu dla ciebie coś ciekawszego, za chwilę przyznasz, że to kawał niezłego dokumentu.

— Dawaj! — Z twarzy Ogorzelskiego nawet na moment nie zniknął uprzejmy uśmiech.

— Mogę skorzystać z twojego urzędnika?

— Nie krępuj się, w końcu jesteś w bezpiecznym miejscu.

Brenner wyjął z kieszeni płytkę z nagrany dźwiękiem



i wrzucił ją do odtwarzacza.

*Pozbyłeś się? Hej, dobrze się czujesz?*

*W... w... porządku.*

*Ależ ty się pocisz!*

— Znasz to? — Andrzej spojrzał w oczy generała.

Na twarzy Ogorzelskiego nie drgnął nawet najmniejszy mięsień. Nadal uśmiechał się uprzejmie i spokojnie palił papierosa.

— Tak, znam, to całkiem niedawna rozmowa z Grzesiem Okrzemkiem. Masz ją całą?

— Tak.

Myśli Ogorzelskiego krążyły teraz z szybkością iskier. „A więc jednak na to poszedł!”.

Generał odchylił głowę i głęboko zaciągnął się dymem.

— Co zamierzasz z tym zrobić, Andrzeju?

— Wydaje mi się, że to dobra polisa na zdrowie.

— Dla kogo?

— Dla tego, kto napisze i wyda Wieżę komunistów.

— Buuu, pretensjonalne, podejrzewałem cię o większą finezję.

— Sądzę, że twoi partnerzy w biznesie. Drecha a może nawet i Steiner, z zainteresowaniem tego wysłuchają, a pewnie znajdzie się kilka gazet lub nawet telewizji, które to upublicznią.

— Do tego szantaż. A fe, tego się po tobie nie spodziewałem.

— W sytuacji, gdy trafiłem do aresztu, mam poważne zarzuty, Maks Rozler nie żyje, ktoś bawi się ogniem, ktoś inny roz- bija mi głowę w kibelu, ty mówisz o stylu i elegancji?

— Ty bawisz się ogniem, dawno już ostrzegałem cię, że do takiej zabawy potrzeba dobrego strażaka. Gdybyś dał mi do przeczytania twoje dzieło, być może potrafiłbym ci doradzić, jak ustrzec się pułapek życia, ale przecież ty odrzuciłeś moją skromną ofertę.

— Teraz ja ci złożę ofertę!

— Słucham, choć, prawdę powiedziawszy, czuję się rozczarowany. Ty chcesz mi zaszkodzić, podczas gdy ja cały

czas staram się tobie pomóc.

— Powiem to wprost. Jeśli chcesz mieć spokój w interesach i miłe życie bez kłopotów, to oczekuję od ciebie, że nie tylko nie będziesz przeszkadzał, ale sprawisz, że moje życie stanie się prostsze. Mam jeszcze rozmówki więzienne Okrzemka, które nagrywał od kilku miesięcy. Są tam także rozmowy z ludźmi, którzy się na ciebie powołują lub mówią wprost, że przychodzą od ciebie. Mam nagranie faceta, który mnie pobił, mam też dokumenty dotyczące czyszczenia papierów Steinera i późniejszych interesów, które z nim robiłeś. I trochę jeszcze ciekawszych kwitów.

— Rozumiem. Czego zatem oczekujesz?

— Spokoju dla siebie i dla ludzi, którzy ze mną współpracują. Jeśli komukolwiek coś się stanie, ja natychmiast wkładam te sprawy do książki, a wcześniej publikuję wiele z nich jako materiały promocyjne mojej nowej powieści.

— Andrzej, teraz proponuję odrobinę koniaku, bo chyba się dogadaliśmy.

— To już nie jest żadna gra, generale. Przykręciłeś mi margines, więc ja już nie mam poczucia humoru. Na dodatek wiele mnie nauczyłeś. Jak się pewnie spodziewasz, moje materiały są skopiowane w kilku kompletach i precyzyjnie zabezpieczone. Jeśli nagle spotka mnie jakaś zła przygoda, jeśli coś złego stanie się któremuś z moich przyjaciół, to istnieje mechanizm, zgodnie z którym wszystkie moje sensacje trafią do mediów, i to nie tylko w Polsce.

— Mówisz mi o abecadle. Daj spokój, rozumiem i postaram się tak ci pomóc, abyś był z tego zadowolony. Tak mogło być już wcześniej, ale nie chciałeś mi dać nic do czytania.

— Teraz też nic ci nie dam, ale jak już książkę wydam, to pierwszy dostaniesz autorski egzemplarz z bardzo osobistą dedykacją.

— No to zdrowie! — Generał wstał i napełnił koniakiem dwa kieliszki.

Jego ruchy były spokojne i precyzyjne.

— To bardzo szczerzy toast, od dziś moje dobre zdrowie,

to także twoje świetne samopoczucie.

Andrzej czuł, że generał nie ma nic więcej w zanadrzu. Zdawał sobie sprawę, że Ogorzelski nadal będzie niebezpieczny, ale zyskał trochę czasu. Błąd generała sprawił, że teraz będzie musiał działać o wiele ostrożniej. Brennera niepokoił jedynie przebieg rozmowy, spodziewał się większych emocji, mocnych słów, może nawet pogróżek, a tu nic, tylko ten uprzejmy uśmiech i serdeczny ton.

— Andrzej, chciałbym ci coś podarować.

Generał wstał i otworzył szafkę, w której znajdowały się sterty pożółkłych dokumentów. Wyjął jeden z nich. Sprawiał przy tym wrażenie, jakby dokładnie wiedział, czego szukać w beładnie piętrzącym się stosie. Brenner trzymał teraz w dłoniach starą kopertę ze starannie wykaligrafowanym nazwiskiem swego ojca.

— To teczka służby twojego ojca, oryginał. Weź to na pamiątkę i w momentach, gdy coś wyda ci się bardzo jednoznaczne, gdy będziesz chciał kogoś ocenić, potępić, zajrzyj do środka. To. — Generał przerwał i w skupieniu szukał właściwego słowa. — Jesteś katolikiem? — spytał nagle.

— Tak.

— To wiesz, że od wydawania wyroków jest tylko wasz Najwyższy.

— Nie przyszedłem tu na dyskusje o etyce.

— Ja też nie jestem w tym specjalistą, ale naprawdę cię polubiłem.

— Dlatego poszedłem siedzieć i dostałem wpierdol?!

— Nie.

Andrzej odwrócił twarz, czuł, że wzbiera w nim niekontrolowany gniew, miał ochotę nawymyślać Ogorzelskiemu, trzasnąć drzwiami i nigdy więcej już o nim nie myśleć.

Zerknął do koperty. Z pożółkłego zdjęcia uśmiechał się do niego młody, postawny mężczyzna w mundurze kapi- tana.

— Spotkały cię rzeczy, które zwykle spotykają wędrowców nieprzygotowanych do drogi. Czy możesz mieć pretensje do rzeki, że chce cię utopić, do ognia, że chce cię

spalić czy do dżungli, że nie chce cię wypuścić ze swojego brzucha?

— Kazek, zacznij może pisać książki.

— Myślałem o tym, ale chyba lepszy jestem w gadaniu niż w pisaniu. Może razem napiszemy książkę?

— O czym? O tym jak niszczysz ludzi, jakim jesteś hipokrytą, jak okradałeś Polskę?

— O, właśnie! Ile w tym ekspresji, talentu, czystych wzruszeń. Czuję, że razem napisalibyśmy nie lada powieść, współczesnego Piaseckiego. Ja mam wspomnienia, a ty napęd i umiejętność pisania.

— Generale! Na razie chciałbym upewnić się, że dobrze mnie rozumiałeś.

— Dobrze. Chcesz mieć spokój i ochronę w zamian za utrzymanie w tajemnicy kilku niezręcznych nagrań i dokumentów.

— Dokładnie tak! Nic więcej od ciebie nie chcę.

— A szkoda, już ci kiedyś mówiłem o gówniarzu, który siada przed wagą pełną smakowitych cukierków i kradnie tylko jednego. Spieprza i już nigdy w życiu przed taką wagą nie siądzie.

— Chcę tylko spokoju, nawet za cenę wojny z tobą.

— Wojny nie będzie, ale mam wrażenie, że jeszcze kiedyś do mnie zadzwonisz i poprosisz o spotkanie.

— Dziękuję. — Brenner demonstracyjnie odstawił kieliszek. — Panie generale, wydaje mi się, że audyencja została zakończona.

— Skoro tak twierdzisz.

— Dobranoc. — Dziennikarz odwrócił się i pośpiesznie wyszedł do przedpokoju. Pragnął jak najszybciej wyjść na świeże powietrze, nie chciał też, aby na pożegnanie Ogorzelski wyciągnął do niego dłoń.

Ogorzelski nie ruszył się jednak z fotela.

— Dobranoc, znasz drogę do wyjścia.

Na zewnątrz siąpił drobny deszcz. Mokra szosa błyszczała w niemrawym świetle zamglonego księżyca. Andrzej czuł, jakby nagle z ramion spadł mu dokuczliwy ciężar. Szedł

bez celu, byle dalej od domu generała. Postanowił, że kiedy już całkiem przemoknie, zadzwoni po taksówkę i wróci do hotelu „Polonia”, gdzie zarezerwował dla siebie pokój.

Teraz jednak chciał się zmęczyć i zgubić całą złą energię, którą napełnił go kontakt z generałem Kazimierzem Ogorzelskim.

## Rozdział XVI

Leżeli na rozgrzanej skale. Cały dzień na kocu, cały dzień razem. Wokół słyhać było wrzaski kąpiących się ludzi, ale ich miejsce było odosobnione, byli tam tylko we dwoje, na skalnej półce trzy metry poniżej ścieżki wiodącej zboczem wapiennego wzgórza. Dostali się tam dzięki ekwilibrystycznym zdolnościom Andrzeja. Opuścił się po skale, korzystając tylko z siły dłoni, a potem zeskoczył wprost na skalną półkę. „Brigitte” zrzuciła mu koszyk z winem, serami i wędliną, a potem sama zeskoczyła wprost w jego ramiona. Biorąc pod uwagę, że skalna półka na krakowskim Zakrzówku miała wszystkiego nieco ponad trzy metry szerokości, „Brigitte” ryzykowała upadek z wysokości kilkunastu metrów wprost do jeziora najeżonego w tym miejscu ostrymi skałami.

Gdyby jej Andrzej nie złapał albo złapał niezgrabnie. oboje mogli skończyć jako roztrzaskane ciała barwiące na czerwono nagrzane słońcem białe wapienie.

Teraz jednak, rozleniwieni słonecznym ciepłem, całowali się i szepotali sobie wprost do uszu czule słowa. Wcześniej kochali się, nie bacząc na to, że ktoś wyposażony w lornetkę mógłby dojrzeć z przeciwległego brzegu każdy szczegół ich miłosnych uniesień. Zupełnie ich to nie interesowało. Teraz leżeli nadzy, nasyceni szczęśliwym dniem, rozmarzeni, w jedynym ustronnym miejscu całego Zakrzówka. Z góry zasłaniały ich potargane wiechcie zarośli wczepionych w płytkie kępy naniesionej na kamienie ziemi, od dołu osłaniała skała, a przeciwległy brzeg znajdował się w odległości co najmniej stu metrów.

— Zrobię coś, czego nie robiłem od kilkunastu lat.

„Brigitte” odwróciła się do niego zaciekawiona i delikatnie pocałowała go w spierzchnięte od wcześniejszych pocałunków usta.

— Skoczę do wody z tamtej skarpy, pamiętasz?.

Pamiętała — pewnej majowej nocy, tuż po wybuchu reaktora w Czarnobyli, pokłócili się. Zagroziła, że z nim zerwie i przeniesie się na studia na KUL do Lublina, a wtedy on złapał

ją za rękę i wyciągnął z „Bursy Jagiellońskiej” nad Zakrzówką.

— Jeśli wyjedziesz, to ja rzucę się z tej skały — wymamrotał wtedy teatralnie, po czym skoczył w piętnastometrową otchłań do jeziora.

Potem okazało się, że doskonale znał to miejsce i skakał tam już wielokrotnie, ale tamtego wieczoru jeszcze o tym nie wiedziała i podniosła taki wrzask, że milicja zjawiała się już po piętnastu minutach. Kiedy splakana do ostatniej łzy zjawiała się w ich wspólnym pokoju, zastała go śpiącego w najlepsze w ich wspólnym łóżku. Sprąła go wtedy parasolką. Potem musiał stawić się przed Kolegium do spraw Wykroczeń dla dzielnicy Podgórze i poddać się karze „społecznej resocjalizacji” w postaci tygodnia „prac na użytek społeczny”.

Przez tydzień, stając się pośmiewiskiem dla większości mieszkańców „Bursy”, musiał sadzić przed akademikiem drzewka.

— Nie wariuj. — Uśmiechnęła się na wspomnienie zdarzenia sprzed lat.

— Zaczekaj — sapnął i założywszy krótkie spodenki zaczął wspinać się ku ścieżce.

Pozostało jej tylko bezradne przyglądanie się szczupłemu facetowi, który zręcznie wspinał się w górę i pobiegł w kierunku charakterystycznego skalnego uskoku.

Pod nim zieleniła się ponad trzydziestometrowa głębia.

Andrzej wziął długi rozbieg i mocno odbił się od brzegu. Zamknęła oczy — raz, dwa, trzy, cztery — plusk. Kilka metrów od brzegu wykwitła spieniona fontanna.

Chwilę później spokojną już tafłę wody przebiła głowa Andrzeja.

— Umh! — prychnął. — To dla ciebie, kochana „Brigitte”, to dla ciebie! — wrzeszczał.

Serce waliło jej jak młotem. Czuła się wspaniale, dobrze jej było z tym mężczyzną-chłopakiem, chciała zapamiętać każdą sekundę tego dnia. Tak wiele by dała, aby cofnąć czas, aby nie mieli za sobą tych wszystkich doświadczeń dorosłego życia, historii, która czaiła się za ich plecami.

Wyszedł na brzeg i otrząsnął się z wody jak zmoczony

pies. Żuła źdźbło trawy i patrzyła na niego. Szczupły, dobrze zbudowany, bez śladu brzuszka. Gdyby nie lekko szpakowate skronie i zmarszczki wokół oczu, byłby tym samym Andrzejem, którego kochała na studiach. Popołudniowe słońce igrało na jego mokrym ciele, przylepione do ud spodenki sprawiały, że wyglądał jak jeden z kąpiących się wokół chłopców. Sprężysty, pewny w swoich ruchach, musiał się podobać kobietom.

Pionowa zmarszczka coraz mocniej żłobiła jej czoło, w oczach na moment przestało odbijać się słońce.

— Mój Andrzej — westchnęła.

Wstała i niespiesznie założyła stanik na swoje pełne, kuszące piersi. Ubrała się i pedantycznie wytrzeпаła koc. Miała wrażenie, jakby tym gestem pozbywała się wspomnień po rozkosznym, wyuzdanym seksie na skale, w pełnym słońcu, w środku dnia.

Chwilę później pojawiła się nad nią jego chłopięco roześmiana twarz.

— To był mój ostatni skok, pożegnanie — zamilkł i popatrzył z góry w jej oczy — i powitanie — dokończył.

Zwinnie złapał się krzaków i podał jej rękę. Podciągnęła się metr wyżej i pewnie oparła stopy o wystającą ze zbocza krawędź. Chwilę później, korzystając z siły jego ramienia, lekko wskoczyła na ścieżkę. Była zaróżowiona z wysiłku.

Długo stali i całowali się na wąskiej dróżce, aż ktoś dyskretnie chrząknął. Nie zauważyli, że zablokowali przejście.

Spłoszeni spuścili głowy i pobiegli w kierunku dziury w ogrodzeniu.

Andrzej przyłożył dłoń do czoła i popatrzył w niebo.

— Dziś będzie pełnia księżyca — zawyrokował.

— Skąd wiesz?

— Hm, znam się na ruchach wiatrów i chmur.

— Fiu, fiu — zagwizdała z podziwem.

— No, nie mogę cię oszukiwać.

— A zrobiłeś to?

— Tak. O pełni słyszałem w radiowej prognozie pogody.

— No, to nie zmienia faktu, że będzie pełnia.

— A jak będzie pełnia, to przyjdziemy tu o północy



i najpierw nago wykąpiemy się w Zakrzówku, a potem będziemy się kochać.

– Dobrze, chcę.

– Jak będzie pełnia, to dziś pocznie się nasze dziecko – szepnął, patrząc jej prosto w oczy.

Nic nie odpowiedziała. Spuściła głowę i delikatnie wtuliła się w jego ramię. Drżała.

Rano przyszła decyzja o przeniesieniu Grzegorza Okrzemka do Zakładu Karnego w Nowym Sączu. Jak się dowiedział od zaznajomionego strażnika, miał trafić do jednej celi z osławionym „Profesorem”, Ryszardem Jakończykiem, ojcem polskiej produkcji extasy i amfetaminy, twórcą największego nielegalnego laboratorium w Bliżynie pod Kielcami.

Jakończyk wyróżniał się nie tylko nieprzeciętnymi umiejętnościami zawodowymi, był także zapalonym szachistą.

Wieczorem Okrzemek leżał już na pryczy czteroosobowej celi ZK Nowy Sącz. Obok Jakończyka w celi zakwaterowano także byłego prezesa jednej z rafinerii leżących na południu Polski, który dostał trzy lata za umożliwienie wydawania oleju opałowego „blendziarzom” za pomocą wapna przetwarzającym go w olej napędowy. Ostatnim pensjonariuszem celi Okrzemka był Robert Kornisz, prezes Małopolskiego Trustu Kapitałowego, który odpowiadał za zdefraudowanie ponad stu milionów złotych z koncernu zbrojeniowego.

Kornisz był tak wystraszony, że w ciągu dwóch miesięcy wspólnej odsiadki zamienił z Jakończykiem najwyżej kilkanaście zdań. Ze swoich źródeł Jakończyk wiedział, że Kornisz legalizował środki z funduszu operacyjnego Wojskowych Służb Informacyjnych. Jego aktywność ograniczała się do podpisywania fikcyjnych faktur i obracania rachunkami pomiędzy całym łańcuszkiem firm należących do tzw. „Konsorcjum Faktoria”.

Sam Kornisz, w jednorazowym przypiływie szczerości,

zdradził Jakończykowi, że na zlecenie pewnego kontradmirała i znanego generała kierował akcją przewiezienia do Egiptu dziesięciu walizek pełnych funtów egipskich podrobionych przez współpracowników WSI.

Wcześniej Kornisz zamieszany był w aferę warszawskiego biura maklerskiego „Sur 4 Net”, które wyprowadziło z małopolskiej rafinerii i z państwowego konsorcjum chemicznego sumę ponad piętnastu milionów dolarów. Pieniądze te zostały natychmiast przesłane do Erste Banku w Wiedniu, a następnie trafiły do biura „Tradeology” na Florydzie i ślad po nich bezpowrotnie zaginął.

W tej sprawie aż roilo się od dawnych współpracowników II Zarządu Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego, przejętych później na stan WSI.

Prokuratorka prowadząca śledztwo w sprawie nagłego zniknięcia piętnastu milionów dolarów, należących do państwowych firm, została tak przezornie wybrana, że nie odróżniała karty bankomatowej od książeczki czekowej, dzięki czemu śledztwo w tej sprawie szczęśliwie uległo przedawnieniu.

Nie przeszkodziło to jednak w awansie pani prokurator do Prokuratury Krajowej.

Okrzemek szybko pojął, że znalazł się w celi specjalistów, którzy jedynie przewencyjnie odsiadawali swoje wyroki, natomiast przyszłość mieli zapewnioną dzięki okazałym funduszom sprytnie ulokowanym poza granicami Polski. Zwykle były to konta numeryczne, co sprawiało, że do końca swoich wyroków musieli milczeć, bowiem każda nielojalność mogła skutkować natychmiastowym wyschnięciem przyszłościowego źródła.

Wkrótce szachowa namiętność zbliżyła majora Grzegorza Okrzemka i doktora chemii „Profesora” Ryszarda Jakończyka.

Jakończyk opowiadał Okrzemkowi o fabrykach amfetaminy w Rumunii, które za pieniądze operacyjne wojskowych służb specjalnych zakładał wraz ze znanym aferzystą z Wiednia Wojciechem Papiną.

— Graliśmy w kasynie w Monte Carlo i naraz Papina zupełnie się splukał, a miał jeszcze ochotę na dalszą grę. Złapał wtedy za telefon i zadzwonił do „PersHINGA”. Powiedział: „Natychmiast załatw mi sto tysięcy dolarów”, a gdy tamten się ociągał, wykręcił inny numer, tym razem oficera prowadzącego kiedyś gangstera, i w ciągu dwóch godzin pieniądze w torbie trafiły do rąk Papiny. To były piękne czasy — wspominał Jakończyk.

Przez kilka dni zdążyli rozegrać dziesięć partii szachowych. Siedem z nich wygrał Okrzemek.

Trzeciego dnia Jakończyk stwierdził, że nigdy już nie wróci do produkcji narkotyków.

— Nie mówię tego dlatego, że uważam cię za kapusia. Po prostu mam dość historii, przez które nie mogę spać. Kiedyś namówiłem kolegę, profesora z politechniki w Radomiu, aby dorabiał u mnie w Bliżynie. Pewnego dnia w laboratorium był wybuch, oderwało facetowi kawałek czaszki, ale żył jeszcze. Zawiozłem go, zawiniętego w koc, do jego żony w Radomiu. Ona była Rosjanką i niczego nie rozumiała, a ja byłem tak zestrany, że ich zostawiłem. To wszystko teraz mi się śni. Nie ma czystej roboty dla tych skurwysynów, oni popaprają cię samym swoim wyglądem.

— Wiem coś o tym — wyszeptał Okrzemek.

— Nie mów nic więcej, tylko wal tego mata i wstydu waszmość mi oszczędź. Dotychczas myślałem, że potrafię grać w szachy — mruknął Jakończyk. Przez całą noc planował otwarcie nowej rozgrywki i po śniadaniu przez pięć pierwszych posunięć miał inicjatywę, potem jednak nastąpiła rozszada, której nie przewidział i w czterech kolejnych ruchach dostał soczystego mata.

Po jedenastej strażnik zawołał Okrzemka na widzenie. Czekala na niego Zdzisława.

Włosy ładnie układały się jej na karku, miała zalotną grzywkę i prawdziwą letnią sukienkę.

— Nawet nogi wygoliała! — przywitał ją.

— Po raz ostatni tak wyszukane komplementy słyszałam w powszechniaku, gdy Jaś Śmietanka chciał mi zajrzeć pod

spódnicę.

— Ja też chcę.

— Jak twoje ćwiczenia?

— Pompuję, kuciapko, aż miło, a jak wreszcie zdejmą mi gips, to zacznę robić przysiady na jednej nodze.

— Chyba nie na tej?

— Daj spokój, ponoć jeden ze strażników to jeszcze prawiczek. Dobry, Dzidziu, mamy humorek, co?

— A mamy, bo wreszcie wszystko zaczyna wyglądać po ludzku. Dzięki tobie, mój śliczny główczu.

— No, z tym główczem to już przesadziłaś. Owszem, mam okazałą czaszkę, ale przecież gdzieś ten niespotykany intelekt musi się pomieścić, i tak ostatnio co rano narzeka na brak przestrzeni do dalszego rozwoju.

— Ty się już lepiej dalej nie rozwijaj, przynajmniej nie w tym rejonie. Myślisz, że jak zmieniłeś pierdel, to ja zapomniałam o „mokrej celi”?

— Dobra, chyba wzięli nas za starych erotomanów i przestali słuchać. Gadaj szybko, co się dzieje!

— Andrzej spokojnie kończy pisać książkę, jest bombowa, podczytuję od czasu do czasu. Nikt nikogo nie tłucze ani nie podpala. Sprawa sądowa ugrzęzła, bo sąd zwrócił akt oskarżenia do prokuratury. Muszą coś tam pouzupełniać. I w ogóle jest lepsza atmosfera. Andrzej ma nawet zamówienie na artykuł do takiego nowego tygodnika.

— O czym ma napisać?

— O tym szwajcarskim bankierze.

— Peterze Fragelcie?

— Chyba tak.

— Niech tego nie robi. Mam lepszy pomysł.

— Znów zaczynasz?

— Zaufaj mi. Zamiast pisać artykuł, który oni wyśmieją, niech przekaże materiały z dobrym opisem do pewnego mojego znajomego w ministerstwie sprawiedliwości. On będzie wiedział, co z tym zrobić.

— Jesteś pewien?

— Tak. To mój stary znajomy, monstrualnie cięty na

tych skurwysynów i do tego patologicznie uczciwy i pedantyczny.

– Dobra. Ten młody chyba znowu słucha.

– No to daj mi buziaczka słodkiego, moja Nefretete.

– Z tą Nefre.

Okrzemek przerwał jej nagłym pocałunkiem. Zrobił to tak, jak Gérard Philipe w ulubionej scenie Grzegorza z filmu Fanfan Tulipan.

– .tete, to jednak przesadziłeś, kotuniu.

– Stare zboki — mruknął pod nosem młody strażnik i nerwowo pokazał na zegarek. Czas widzenia się skończył.

Spotkali się w małej włoskiej restauracji na tyłach Ministerstwa Sprawiedliwości. Starszy, kostyczny mężczyzna w staromodnie skrojonym trzyczęściowym garniturze już na niego czekał. Miał niespodziewanie silny uścisk dłoni, który kontrastował z jego wychudłą i lekko zgarbioną posturą.

Nieznajomy słuchał z bardzo sceptyczną miną, wwiercając w Brennera spojrzenie wyblakłych, wodnistych oczu.

Po dwudziestu minutach Andrzej był przekonany, że pomysł Grzegorza Okrzemka okazał się żalonym niewypałem. Facet nie wierzy w ani jedno jego słowo, nie ma nawet potrzeby wyciągać przygotowanych dokumentów i opisu afery Petera Fragelta.

– Znam pańską historię, panie Brenner.

Andrzej drgnął.

– Wiem też, że rozmawiał pan z żoną Grenzmanna.

– Chyba nasze spotkanie jest skończone, prawda? — Andrzej nie krył rozczarowania.

– Wręcz przeciwnie! — odparł kostyczny urzędnik. — Pracowałem razem z Grenzmannem, potem dotarłem do naszego wspólnego znajomego, chciałem go zamknąć, ale nie miałem na to siły. Wie pan, o co mi chodzi?

Andrzej skinął głową.

– I teraz on mnie do pana przysyła. Paradoks.

— Nie, nie paradoks, po prostu zwykła odraza.  
— Nasz wspólny znajomy nie jest zwykłym trefem.  
— Co pan sądzi o historii Fragelta?  
— Znam ją.  
— I co?  
— I nic. Nigdy nie miałem w ręku porządnego dowodu.  
— No to tu — Andrzej wskazał na leżącą na stoliku teczkę — ma pan cały komplet, dotyczący kilku ostatnich afer. Między innymi kwity na to, jak przez Fragelta usiłowano sprywatyzować potentata telekomunikacji, a ostatnio rafinerię „Gdańsk”.

— Może pan mieć pewność, że to się nie zmarnuje.  
Nieznajomy podał dziennikarzowi rękę i rozplątał się w tłumie ludzi przechodzących przez ulicę Wilczą.

Andrzej miał wrażenie, jakby go w ogóle nie było. Tylko wspomnienie pożegnalnego uścisku dłoni przekonywało go, że oto wyprowadził pierwszy poważny cios, prosto na szczękę goniącego go dotąd myśliwego.

Ktoś w wielkim gmachu ministerstwa puścił w ruch maszynę. Brenner czuł, że rozpruł poduszkę i teraz tylko od siły i kierunku wiatru zależy, dokąd uniesie się pierze.

Z głośnika radiowego popłynął najnowszy serwis:

*Dziś rano funkcjonariusze Centralnego Biura Śledczego zatrzymali Petera F., obywatela szwajcarskiego, podejrza nego o przestępstwa gospodarcze i kryminalne. Peter F. został zatrzymany w związku ze śledztwem w sprawie podejrzenia gigantycznej korupcji w trakcie przygotowań do prywatyzacji rafinerii „Gdańsk”. Kazimierz Kucza, adwokat Petera F., zapo wiedział protest ambasady szwajcarskiej. Stwierdził także, że aresztowanie jego klienta jest rezultatem walki o władzę na najwyższych piętrach polskiej polityki. Dziś także w sprawie Petera F. zeznawać będzie generał Kazimierz O.*

Znów wszyscy siedzieli w salonie Macieja Grabickiego w Zakopanem.

Zjechali się jak na komendę. Kilka dni, podczas których się nie widzieli, wydawały się im wiekiem. Przywykli do siebie i czuli się ze sobą tak, jakby razem dorastali: Zdzisława, Maciej, Andrzej Brenner i dyskretna, uciekająca zwykle do kuchni Rozalia.

Każde z nich miało własny udział w tej historii i w książce, w której Brenner postawił właśnie ostatnią kropkę.

Pierwsi czytelnicy wycalowali Andrzeja po policzkach.

— To jest bomba. Prawdziwa, piękna bomba — piała swoim chropawym głosem Zdzisława.

— Niekiepsko, niekiepsko, całkiem nawet porządnie, braciaszku — wtórował jej Maciej Grabicki.

Jedynie Rozalia kręciła sceptycznie głową, mrużąc, że to „samoproszenie się o baty”.

— Świata to nie zmieni, drani nie nawróci, a jedynie dobrych ludzi pognębi. Czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym, że jak opisujesz zło i pokazujesz jego siłę, to już w tym momencie oddajesz hołd Złemu?! — atakowała.

— Prawda wyzwala, prawda pozwala człowiekowi świadomie wybierać, dodaje mu godności. — Wypieki na twarzy Andrzeja świadczyły, że całkiem poważnie przyjął zastrzeżenia starej góralki.

— Zło nie ma kształtu, zło jest jak napój, który szuka naczynia, i ty, opisując je, dajesz mu to naczynie, kształt. Oddajesz cześć złu.

— Ja z nim walczę.

— Ty poświęcasz mu czas, oddajesz swoje życie w służbie ścigania Złego, potem zaczynasz z nim żyć. Nadejdzie czas, że zacznie cię fascynować, przyciągać. Jakiś filozof powiedział, że gdy długo wpatrujesz się w otchłań, otchłań zaczyna patrzeć na ciebie.

— Nietzsche — wtrącił Maciej.

Siedział przy stole, sączył kawę i uważnie przysłuchiwał się rozmowie.

— Nie nicze, tylko nic! — zdenerwowała się Rozalia.

— Nietzsche to był taki niemiecki filozof, to on właśnie powiedział o tej ciemności — wyjaśnił pospiesznie Maciej.

— Przecież wiem — Rozalia niespodziewanie się roześmiała.

— Klub pod Wieżą. Tylko nie założmy tu jakiejś tajnej loży masońskiej.

— Masz trochę racji — wtrąciła zamyślona Zdzisława Okrzemek.

— *Wieża komunistów* jeszcze nie nabrała swoich kształtów w głowie Andrzeja, a już zmieniła nasze życie. Potem rzucała nami i wirowała, jak chciała. Andrzej Brenner wywołał demona i nikt już nad nim nie zapanuje, nawet ci, którzy go kiedyś stworzyli.

— Zdzisława Okrzemek, polska poetka fatalistka — zachichotał Grabicki.

— Ja tylko boje się, że za wcześnie świętujecie — mruknęła, nagle znów markotna, Rozalia.

— Ale co ja w tej chwili mogę zrobić? Wyrzucić wszystko do potoku Bystry? — Andrzej wpatrywał się w zawieszony nad wejściem obrazek na szkle.

— Nie, teraz możesz już tylko opublikować swoją książkę i czekać na to, co się stanie.

— Będzie dobrze — podsumowała Zdzisława. — Macieju, gospodarzu kochaniutki, a dajże nam trochę jednej z tych twoich magicznych nalewek — zakomenderowała. — Bo widzicie, jest tak: Grzesiek siedzi w Sączu, ma tam lepsze powietrze i chyba jest bezpieczniejszy. Niedługo dostanie przepustkę, a jak dobrze pójdzie, to za kilka miesięcy jego sprawa stanie na wokandzie i może trochę skrócą mu wyrok. Proces Andrzeja jeszcze się nie zaczął, ale wszystko wskazuje na to, że oni będą to chcieli załatwić po cichu, żeby na światło dzienne nie wyszły ich matactwa, więc może procesu w ogóle nie będzie i prokuratura umorzy postępowanie. Ogorzelski chyba pogodził się z tym, że tym razem nie będzie wszystkiego miał w łapach. Andrzej wyda książkę i może zarobi parę groszy, a jak nawet nie zarobi, to i tak jest zakochany po uszy, więc jakoś to będzie. Ty, Maciuś, trochę się rozruszałeś i namalowałeś cholernie niezwykły obraz.

— Jeszcze nie skończony — przerwał jej Grabicki



czerwony jak burak.

— Chyba wreszcie coś się udało, i to nam się udało. Zagraliśmy ich kartami i chyba wygramy — niezrażona ciągnęła dalej. — Teraz, Andrzeju, najgorsze mamy za sobą. Ta książka jest naszą tarczą. Już nic nie da się ukryć. Kiedy wszyscy wiedzą, wiadomości nie są już trucizną, nie ma powodu nikogo bić — była uśmiechnięta, wypoczęta i umalowana.

— Tylko Maks Rozler, cholerny ubecki pies, tego już nie dożył — szepnął Brenner.

Rozalia wyszła na chwilę z salonu i gdy ponownie otworzyły się drzwi, weszła z wielką karafką z rżniętego kryształu.

— To jest nalewka z głogu, zrobiona jednak nie na spirytusie, tylko na koniaku — wyjaśniła, rozlewając ciemnobrązowy trunek do maleńkich kieliszków.

— To ta nalewka. Jej, zapomniałem! — parsknął Maciej Grabicki.

— Tę nalewkę zrobił świętej pamięci tatuś Macieja, jak on miał pięć lat. Zapowiedział wtedy, że pierwszy kieliszek wypijemy, jak Maciej zda maturę. No i tak się stało. Tatuś Macieja był bardzo stanowczy — wyjaśniła Rozalia.

— Mniam — głośno mlasnęła Zdzisława.

— Rzeczywiście wyborne, tatulo miał rękę — przyznał Maciej.

— A tak swoją drogą, to gdzie ma wyjść to twoje dzieło kuzynku?

— „Brigitte” znalazła bardzo fajne wydawnictwo. To właściwie własność dużego niemieckiego koncernu.

— No, ale jak się nazywa? — przerwała mu Zdzisława.

— „E tutti quanti”.

— Aaa, to ci, co wydali pierwszą książkę o agentach bezpieczeństwa w kościele?

— Tak. Oni też pierwsi wydali listę agentów bezpieczeństwa wśród polskich adwokatów.

— Hm, to dobre wydawnictwo i wydaje się, że nie boją się polskich układów. Jak ci się udało tam dostać?

— „Brigitte” zna prezesa tej firmy. Rozmawiałem z nim.

Bardzo zrównoważony i pewny siebie facet, nie wygląda na takiego, co narobi pod siebie, jak mu pogrożą.

— Ta „Brigitte” to jakiś skarb. Kurczę, trochę jej jednak zazdroszczę, ma fajnego faceta.

— Oj, bo zaraz się rozplyniecie w tym lukrze — mruknęła Rozalia i zabrała ze stołu karafkę. Żegnały ją zawiedzione spojrzenia członków „Klubu pod Wieżą”.

Pod wieczór było im już trochę markotnie. Zdawali sobie sprawę, że to ostatnia taka narada. Teraz wszyscy wrócą do swoich codziennych spraw i może już nigdy nie spotkają się w takim gronie, a było im ze sobą dobrze.

— Napisałem dla ciebie wierszyk.

— Uuu! — Popatrzyła na niego zaskoczona. — To tak jak kiedyś, w „Nawojce”. — Roześmiała się gwałtownie, nie mogła się powstrzymać, tym bardziej że Andrzej patrzył na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami.

Przypomniła sobie, jak pewnego wieczora w damskim akademiku „Nawojka” pojawiły się ręcznie malowane plakaty zapowiadające, że wieczorem odbędzie się spotkanie z młodymi poetami podziemnymi. Był to czas, gdy wszystko co podziemne wywoływało niekontrolowane drżenie dziewczęcych łydek.

Dziewczyny spodziewały się nie lada wydarzenia. Podziemni poeci, romantyczni, zbuntowani. „Brigitte” też się wybierała. Wiedziała, że jednym z tych poetów będzie Andrzej.

Wcześniej, wraz z grupą swoich kolegów, wydał podziemny almanach *Budzenie*, który cieszył się dużą popularnością wśród studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Na poetycki wieczór do auli klubu studenckiego przybyło ponad sto dziewcząt. Żeński tłumek pachniał świeżo krochmalonymi kołnierzykami, na widowni słodkie letnie sukienki mieszały się z żabotowymi bluzeczkami. W stronę poetów skierowane były romantycznie przymgłone spojrzenia i dziesiątki par delikatnych dłoni, które na tę okazję zużyły ostatnie zapasy lakieru do paznokci. Pomalowane młode wargi w ciszy czekały, aż spłyną na nie pierwsze strofy zakazanych,

gniewnych wierszy.

Zapadł mrok, nad sceną rozblysnął reflektor. Wyłuskał z mroku drewniany stolik i dwa krzesła. Na scenę weszło dwóch młodych mężczyzn w rozciągniętych swetrach.

Rozległy się pierwsze brawa.

Andrzej gestem dłoni uciszył publiczność i wyjął z zza pazuchy dwie butelki żytniej.

— „Strulem się. rzeczonym mułem” — wydeklamował z emfazą.

Brawa. Wiadomo, aluzja do gnijącego systemu późnego Jaruzelskiego.

— „I kolejna anomalia” — ryknął jego kolega — „pokazuję genitalia.”.

Brawa, nieco mniej entuzjastyczne, ale przecież chwyciły, o co chodzi — reżim jest nagi, nic już za nim nie stoi.

— „Nosił wilk razy kilka. zrobili debilka.” — wyrecytowali obaj, po czym zabrali się za picie wódki wprost z butelek.

Dziewczęta wytrzymały do końca, aż mocno już wstawieni poeci ukłonili się i niepewnym krokiem zanurzyli w kulisy.

W „Nawojce” i kilku innych akademikach długo trwały potem spekulacje, czy był to czysty wygłup, czy też może bardzo awangardowe wyrażenie sprzeciwu wobec dławiącego wolność reżimu. O dziwo, niemal wszystkie obecne na „wieczorku” dziewczęta z ogniem w oczach broniły młodych poetów i nie dopuszczały do siebie myśli, że padły ofiarą szczeniackiego żartu.

Brenner nigdy nie wytłumaczył „Brigitte”, o co mu wtedy chodziło, ale gdy dowiedziała się, że towarzysz Andrzeja pozostała część wieczoru spacerował po korytarzach żeńskiej „Nawojki” i kazał sobie wyciągać chusteczkę do nosa z kieszeni, w której miał ogromną dziurę, nie miała już wątp liwości, że „poeci” byli zwykłymi „jajcarzami”. Zaśmiewała się na wspomnienie wyrazu twarzy koleżanek, które z samarytańskimi minami — bowiem młodzian zabandażował sobie prawą rękę — wyciągały chusteczkę ze spodni „poety”,

który nie nosił majtek.

— Nie, nie tak jak w „Nawojce”! — Andrzej był wyraźnie dotknięty. — I nie przeczytam ci go!

Zrobiło jej się głupio. Spojrzała na Andrzeja spojrzeniem ukaranej kotki, która wyjadła ze spiżarni łakocie.

— Przepraszam. — Pocałowała go w ucho. — Wtedy w „Nawojce” to było jednak zabawne i jakoś na zawsze skojarzyło mi się z twoimi wierszami.

— A ja tyle wtedy pisałem o śmierci, o wolności, o tobie jako wielkiej podróży.

— Masz jeszcze jakiś wiersz z tamtego czasu?

— Nie — przyznał zaskoczony.

— A wiesz dlaczego?

— Wiem. Moje wiersze nie były nikomu potrzebne, nawet mnie. I pewnie fakt, że je zniszczyłem, ocalił mnie od wstydu. Dziś sam z siebie drwiłbym niemiłosiernie.

— Zacytuję ci to, co dla mnie napisałeś na ścianie.

— Nie, błagam!

— To było nieco powyżej rysunku łysej głowy Jaruzelskiego wyrastającej ze zdjęcia Kremla — przypomniała mu rzeczowym tonem.

— Oszczędź, proszę. — W jego oczach widać było nieklamany popłoch.

Ona jednak rozbrajająco się uśmiechnęła i z miną małej dziewczynki, która wynosi chłopcom zakazane zabawki, zaczęła:

— „W drodze do serca twego, co jest jak kamień tajemne, zwiedziłem zimne posadzki buddyjskich świątyń Bangkoku.”

— Dość. — Energicznie zakrył jej usta.

— Skąd wzięły się te posadzki Bangkoku? — zachichotała.

— Dobrze, sama tego chciałaś! — Wyciągnął ku niej wzniesiony w karzącym geście palec. — Posłuchasz, aż poezja zmrozi cię do szpiku mózgu — zapowiedział.

— Proszę, tylko niech to nie będzie liryka w stylu: „Tylko jedna chwila, którą przegapiłem, tłucze się w źrenicy, jak

w klatce."

— To z mojego listu.

— Ostatniego, jaki dostałam.

— Teraz już bym tak nie napisał.

— Bo chwila wróciła. — Pocałowała go w szyję, jej usta odnalazły jego jeszcze zagniewane wargi, obudziły je, ogrzały i otworzyły.

Całowali się, jakby nic innego w życiu już ich nie interesowało. Ich ciała karmiły się tym pocałunkiem, zamieniły go w kaskadę dotyków, pieśczoł, zatopiły się w czymś, czego nie musieli nazywać. Kochali się długo i delikatnie.

— Przeczytaj mi ten wiersz — wydyszała, leżąc na wznak.

— Nazwiemy go „wierszem pomilosnym”.

Uniósł się na łokciu, sięgnął po swoją torbę i wydobyl z niej pomięty szesnastokartkowy zeszyt.

*Przestałem pisać wiersze  
i zacząłem się im przyglądać  
jak obcy człowiek z siatką na motyle  
Kilka z nich zmiętkło i zaczęło pertraktować  
jak by zmienić siatkę na obiektyw aparatu marki*

*Nikon*

*Od tego czasu czekam z ręką na zimnym spuszcie  
zamrażam je w statycznych wyważonych kadrach  
i wykładam teorię pisania na oswojonym lodzie  
kiedy wiersze przestają oddychać.*

Spojrzała na niego zdziwiona. Nie miała śmiałości nic powiedzieć, nie wiedziała nawet, czy wiersz się jej podobał. Czowała tylko ból, jakby ktoś wsadzał jej w żołądek lodowaty pręt.

— Przepraszam — szepnęła nienaturalnie zmienionym głosem.

Odsunęła jego ramię i naga wyszła do łazienki.

Wymiotowała długo i gwałtownie, z oczu ciekły jej piekące, gorące jak roztopione żelazo łzy.

Grzegorz Okrzemek skończył kolejną partię z „piekielnym profesorem”, jak w myślach nazywał swojego

towarzysza z celi. Znów wygrał, ale tym razem było trudniej. Widocznie doktor Jakończyk nie pogodził się z rolą chłopca do bicia i intensywnie poszukiwał drogi do skuteczniejszej gry. Grzegorz górował nad nim doświadczeniem, odczytaniem w szachowej literaturze i setkami godzin spędzonych na powtarzaniu najsłynniejszych partii, czuł jednak, że rywal niedługo go doścignie.

Przyczyna była jak zwykle prozaiczna. Grzegorz wolniej liczył, nie był w stanie nadążyć za rozbuchaną inteligencją Jakończyka. Wiedział, że jeszcze kilkadziesiąt partii i zacznie się cofać. Siła gry chemika nieustannie wzrastała, podczas gdy dynamika gry Okrzemka była zgoła odwrotna.

Na razie jednak zadawał Jakończykowi kolejne klęski i czerpał z tego chłopięce zadowolenie.

Wieczorami zaczął pisać. Trudno było mu określić rodzaj tych zapisków, więc myślał o nich jak o codziennym myciu zębów. Nie traktował ich z przesadną powagą, jednak gdy nie zastosował się do codziennego rytuału zapisywania myśli i wrażeń, miał poczucie, że nie zamknął dnia.

Po skończonej partii podał dłoń Jakończykowi i wdrapał się na swoją pryczę. Znajdowała się na górze, więc miał z niej widok na niewielkie zakratowane okno, a przez okno dostrzegał zachodzące słońce, bawiące się jego światłem chmury, czasami nawet obserwował, jak wiatr ryje swoim dłutem niespodziewane kształty w chmurzastym tworzywie. To tworzywo bywało lekkie jak morska piana, a w inne dni zaciągało niebo ołowianą materią. Gdy nadchodziła letnia burza w materii chmur pojawiały się najpierw niemal niewidoczne granitowe żyłki, które pulsowały, toczyły swoją energię do krwiobiegu burzy i potem wybuchały jaskrawym ogniem.

Grzegorz ze zdumieniem odkrywał mechanizmy nieba. Czasem wydawało mu się, że potrafi je już czytać. Jak niewiele dotąd wiedział o świecie, o takim świecie, którego nie dotykał stopami.

Przez ostatnie dni, kiedy toczył szachowe pojedynki, wysłuchiwał niesamowitych opowieści Jakończyka i uczył się

mechaniki nieba, był szczęśliwy.

Być może sprawiała to też perspektywa przepustki, może rozprawy, na której mogło dojść do zmniejszenia kary. Był szczęśliwy z powodu upałów i burz, z powodu pisania, z powodu Zdzisławy. Czuł się tak, jakby wreszcie zrzucił z siebie ogromny, gniotący go ciężar.

Opowieść o Funduszu Budowy Gospodarki należała się Polsce, nawet gdyby w tej Polsce tylko kilka osób ją zrozumiało i uznało za prawdziwą.

Nie chciał już być strażnikiem pieczęci, tym bardziej że jeszcze na Rakowieckiej rozumiał, że pieczęć jest fałszywa.

W swoim notatniku napisał:

*12 lipca. To jeden z tych dni, które pozwalają mi zrozumieć, jak mało żyłem, jak mało smakowałem świat. Wreszcie mam prawdziwe pragnienia. Chciałbym kochać się z moją żoną, jeść świeże jagody, wciągać powietrze przesycone zapachem czerem chy. Mam tak wielki apetyt na życie, że każdy poranek jest dla mnie darem. Tu, za murami, oddycham pełną piersią. Marzę i czuję w ustach smak tych marzeń. Teraz dopiero wiem, że nawet w więzieniu można być wolnym i uczyć się tej wolności. Przepętnia mnie młodzieńcza jaskrawość, której nigdy w sobie nie miałem. Gdybym wierzył w Boga, modliłbym się. Modliłbym się jednak inaczej niż ludzie zwykle to czynią. O nic bym nie prosił, modliłbym się dziękczynnie, wysławiając tę nieznaną mi potęgę za świat taki, jak jest. Zbliżam się do jakiejś wiary, jeszcze nic nie wiem, ale to na pewno nie są złudzenia ani też nie egzaltacja narażonych na przymusową depriwację zmyśłów. To kielkujące, bardzo radosne przeczucie, że na dzień tej otchłani, którą miałem w sobie przez całe życie, jednak lśni czyste światło. Nie umiem uwierzyć w Jezusa Chrystusa, nie rozumiem opowieści o monecie, którą Piotr znalazł w pysku ryby, nie pojmuję wizji Jezusa uciszającego jezioro i umieraającego na krzyżu, aby po trzech dniach zmartwychwstać. Nie umiem zaufać Bogu Żydów i 613 przykazaniom, ale wiem, że Mojżesz był natchniony i najlepszym dziełem, którego dokonał, było niewpuszczenie własnego pokolenia do Ziemi*

*Obiecanej. Może najbliżej mi do Mahometa i jego wielkiej ucieczki. Jest przed czym uciekać, na pustynię, ale potem trzeba wracać. Ja wracam i mój świat ma sens.*

Grzegorz Okrzemek zamknął swój notatnik, zgasił żarówkę i przechylił głowę w dół.

– Dobranoc, Ryśku. Dziękuję.

– Dobranoc, majorze. Jutro stoczymy kolejną wielką bitwę.

Na korytarzu powoli cichły szczęki przesuwanych sprzętów, kończyły się rurowe telegramy i codzienne nawijki. Gdzieś za murami zawyła syrena, ktoś ostro hamował na wirażu.

Noc powoli uspokajała rytm życia Nowego Sącza.

Zdzisława stała w przymierzalni. Wybierała kolejną letnią sukienkę, tym razem z intensywnym wzorem w ogromne krwistoczerwone maki. Kupiła już zgrabne czółenka i cienkie pończoszki. Z szuflad w mieszkaniu wyrzuciła wszystkie stare majtki i biustonosze. Ze wstydem stwierdziła, że większość z nich nie miała już ani kształtu, ani koloru.

Za każdym razem, gdy odwiedzała Grzegorza, widziała w jego oczach ożywienie, może nawet podniecenie. Myśl o tym, że jej pożądał, że po tylu latach znów zaczęli na siebie spoglądać jak mężczyzna i kobieta, wprawiała ją w euforię. Zdała sobie sprawę, że zawsze go kochała, zamyślonego, dziwnego, niechlujnego. Po prostu był jej mężem, właściwym człowiekiem.

Od kiedy poznała Macieja Grabickiego wiedziała, że mężczyzna może być też fascynujący. Grabicki ją fascynował, ale właśnie dzięki temu czuła, jak bardzo kocha Grzegorza. Nigdy przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby go zdradzić. Maciej był kimś, z kim chciałyby się przyjaźnić, kogo chciałyby prosić o radę i komu ufała.

Często wyobrażała sobie, jak będą we trójkę, razem z Grzegorzem, spacerować po górach i rozmawiać. Czuła, że będą to niezwykle, niepowtarzalne rozmowy i na samą myśl o



tym, że może się to niedługo zdarzyć, podskakiwała z emocji. Bardzo chciała, aby Grzegorz poznał Macieja Grabickiego. Była pewna, że staną się nierozłącznymi towarzyszami. Na swój sposób przygłęła też do Andrzeja Brennera, często myślała o nim tak, jakby był dla niej bliską rodziną. Wiedziała jednak, że Andrzej prędzej czy później gdzieś zniknie, wyfrunie uniesiony kolejną historią. Nie wierzyła w jego zapewnienia, że definitywnie zrywa z dziennikarstwem, on był na dziennikarstwo skazany. Miała tylko nadzieję, że legendarna „Brigitte”, którą знаła jedynie z jego opowiadań, da mu na tyle wolności i wsparcia, że będzie przy niej szczęśliwy. Jeśli „Brigitte” kocha Andrzeja i chce być z nim szczęśliwa, musi dać mu wiele wolności, aby wyfrował od niej i wracał, aby mógł jej opowiadać swoje przygody.

Zdzisława musiała przyznać, że nikt nie potrafił tak opowiadać jak Andrzej Brenner.

Nawet jeśli czasem koloryzował i upiększał rzeczywistość, był niezrównany. Szczególnie gdy miał już trochę w czubie, jego opowieści nabierały jeszcze większej werwy, były krwiste, fascynowały barwami, emocjami.

„Gdyby on tak potrafił pisać, jak opowiada, byłby jedyny w swoim rodzaju” — pomyślała.

Uważała, że teksty Andrzeja są zbyt surowe, reporterskie. Miał szczególne zamiłowanie do dokumentowania każdej sytuacji, obiektywizowania. Wszystko to odbierało jego tekstom wdzięk, którym uwodził swoich słuchaczy.

Nikt też tak jak Brenner nie potrafił śpiewać — jego góralskie ballady wzruszały, a bałkańskie piosenki o miłości i wojnie sprawiały, że gdyby chciał uwieść jakąś dziewczynę, to już po odśpiewaniu przez niego serbskiego kolo nieszczęsna byłaby w jego mocy.

Kilka razy, gdy w salonie Macieja Grabickiego przelała się kolejna butelka nalewki, Andrzej zaczynał opowieść o Bałkanach. Nigdy jej jednak nie kończył.

Zawsze zatrzymywał się na wspomnieniu dziewczyny o imieniu Vesna. Wtedy przestawał mówić i wbijał szklisty wzrok

w wiszący nad wejściem obrazek Rozalii.

Nigdy nie kończył i nikt nie śmiał go do tego namawiać. Czuli, że tam na Bałkanach stało się coś, co zmieniło jego życie na wiele lat. Bo przecież Andrzej był przystojnym, jeszcze młodym facetem i był sam. Gdyby nie to, że spotkał „Brigitte”, pewnie dalej żyłby jak odludek.

„A niech im szczęście sprzyja. On zasługuje na to” — pomyślała Zdzisława

Była jeszcze powściągliwa i mądra Rozalia, osoba, o której napisałaby pewnie książkę, gdyby umiała pisać. Rozalia była niepowtarzalna, była gatunkiem endemicznym — Zdzisława roześmiała się sama do siebie, gdy przyszło jej do głowy to określenie — który w Tatrach powinien być chroniony na równi z rysiem i kozicami.

No i była jeszcze Dorotka. Ostatnio odwiedzała ją co kilka dni. Kąpała ją, przewijała, karmiła, ale przede wszystkim z nią rozmawiała. Nauczyła się tajemnego języka dziewczynki i teraz doskonale wiedziała, co znaczy każdy najlżejszy ruch jej głowy, co wyrażają spojrzenia. Dorotka była jedyną znaną jej osobą, która potrafiła wszystko wypowiedzieć spojrzeniem. Precyzyjnie, często emocjonalnie, opowiadała jej w ten sposób o swoich myślach i zdarzeniach wokół.

Dorotka bardzo zainteresowała się Andrzejem. Gdy chciała zapytać o niego, jej spojrzenie stawało się mocniejsze, lekko marszczyła brwi i nagle spoglądała Zdzisławie prosto w oczy. To oznaczało: „A gdzie jest Andrzej? Ten Andrzej, który był tu z tobą, a potem przychodził, gdy ciebie nie było”. Często o niego pytała. Zdzisława musiała jej wtedy opowiadać o wszystkich przygodach związanych z jego książką i o tym, jak w końcu wygrali. Jak „żli” musieli odejść.

Dorotka nie dawała się jednak zbywać powierzchownymi opisami. Zdzisława musiała dokładnie opowiadać, co kto powiedział, jak wyglądał. Dorotka, słuchając tego wszystkiego, delikatnie przytulała się do jej ręki i lizała ją koniuszkiem języka, co oznaczało: „Zdzisiu, przysięgnij mi, że nigdy mnie nie zostawisz i zawsze będziesz opowiadała mi takie przygody. Przysięgnij mi też, że niedługo przyjdzie tu z tobą

Andrzej".

Okrzemkowa musiała jej także opowiedzieć wszystko na temat dziewczyny Andrzeja. Wzrok Dorotki przesłaniała wtedy ledwie zauważalna mgielka. Dorotka była trochę za- zdrosna, ale zaraz potem tłumaczyła Zdzisławie, że godzi się z posiadaniem przez Andrzeja narzeczonej, byleby tylko odwiedzał ją i opowiadał jej o swojej miłości.

Gdy niema rozmowa pomiędzy Zdzisławą i Dorotką wkraczała na tematy miłości, dziewczynka stawała się śmiertelnie poważna. Zdzisława bardzo dbała o to, aby w tonie nie dało się wyczuć ani odrobiny pobłażania. W takim wypadku Dorotka obrażała się bowiem śmiertelnie.

Zdzisława już dawno postanowiła, że jak tylko Grzegorz wyjdzie z więzienia, to adoptują Dorotkę i dziewczynka zamieszka w ich skromnym mieszkanku.

Myśl o adopcji olśniła ją nagle, gdy wychodziła z ostatniego widzenia z Grzegorzem. Żyjąca w ich domu Dorotka, z którą będzie mogła rozmawiać przez cały dzień, to był pomysł, który naraz nadał sens wszystkiemu, co mogła powiedzieć i pomyśleć o przeszłości.

Teraz przymierzała nową sukienkę. Chciała ją kupić specjalnie dla Grzegorza, wiedziała, że lubi czerwone sukienki. Odkąd przestał pić, pachniał tak ładnie, używał jakiejś wody, ale nie chciał jej zdradzić, jakiej. Często chodziła po perfumeriach i wąchała różne męskie zapachy, ale jeszcze nigdy nie trafiła na „grzegorzowy”.

Spojrzała w lustro — sukienka bardzo ładnie układała się na jej biuście, trochę nawet maskowała zbyt dużą pupę i rozłożyste biodra.

— Stara kokota, zachciało się seksapilu durnej babie — mruzczała, ale łagodny wyraz jej twarzy wyraźnie przeczył treści tych pomruków.

Była zadowolona z widoku w lustrze. Nigdy, nawet w czasach panieńskich, nie podejrzewała, że może podobać się mężczyznom, a teraz jej własny mąż mówił do niej tak, jakby chciał ją uwieść.

Wyszła ze sklepu i zapaliła caro. Przyglądała się

przechodzącym obok ludziom — młode pary, urzędnicy, ubrani w jaskrawe uniformy robotnicy komunalni, jakiś pijany obwieś. Czuła, że jest częstką tego pozornego chaosu, czuła się nieważną mrówką pośród tysięcy innych zapracowanych mrówek. Jedyne, czego w tej chwili chciała, to właśnie szarej anonimowości, zgubienia się w tłumie. Chciała, aby w azylu tej właśnie szarej anonimowości odbudowali z Grzegorzem swoje życie.

Żałowała, że nie istnieje pralnia wspomnień, do której mogłaby zanieść swoją znoszoną, niemodną i poplamioną pamięć. Z taką wypraną, jak świeżutki obrus, łatwiej byłoby zaczynać od nowa.

Ruszyła w kierunku Dworca Centralnego. Za godzinę odjeżdżał ekspres do Krakowa.

Musiała natychmiast opowiedzieć Dorotce o swoich planach.

Po południu zjawiała się przy łóżku dziewczynki. Dorotka była cała obsikana, widocznie nikt nie miał głowy, aby tego dnia zmienić jej pieluchę. Wstydziła się, jej spojrzenie mówiło, że bardzo chciałaby w ogóle nie sikać, ale to niemożliwe.

— Nie martw się, jak już będziesz u mnie, to nie będziemy z tym mieli najmniejszego problemu — powiedziała Zdzisława, sprawnie odwijając dziewczynkę z pieluchy. Pupa była odparzona i Dorotka musiała z tego powodu cierpieć już od kilku godzin.

Okrzemkowa wyjęła z torby oliwkę, krem przeciwko odparzeniom i talk. Z wprawą zawodowej pielęgniarki opatrzyła odparzenia i delikatnie owinęła Dorotkę nową pieluszką.

— No, już po krzyku. — Uśmiechnęła się. — Co to, nie znam tego spojrzenia? Co się, Dorota, stało?

Dziewczynka zacisnęła usta i zamknęła powieki.

— Ach, gapa, powiedziałam „u mnie” i nie wytłumaczyłam ci, o co chodzi. Dorota, jeśli zechcesz, to wystąpię o przeniesienie cię do mojego domu, możesz ze mną mieszkać, jak tylko zechcesz.

— Aaaaakhhh — miauknęła dziewczynka i z jej oczu

poczęły lecieć ogromne łzy. — Akkkkkhhhhhhh.

— Kotusiu! Czemu ty nigdy nie powiedziałaś mi, że tak się boisz być sama. Ja zupełnie o tym nie wiedziałam.

Okrzemkowa nigdy siebie nie podejrzewała o to, że może wypowiadać takie pieśzcotliwe słowa. Zupełnie nie poznawała swojego głosu i czuła, że za moment zwyczajnie, po babsku się rozbeczy.

Szybko wstała i odwróciła się do okna.

— Dorota, to bardzo ważna decyzja, namyśl się porządnie.

— Aaaaaakkkhhhhhuuu.

— Żebyś potem nie żałowała, dobrze wiesz, jaka jestem cholera.

— Aaaaaaaa.

— Dobra, więc do dzieła, nie ma co się mazać.

Pocałowała dziewczynkę w błyszczące od śliny, wykrzywione w nienaturalnym grymasie usta. Tylko Zdzisława wiedziała, że ten grymas oznacza wszystkie czułe słowa, jakie mogą przyjść człowiekowi do głowy.

— Dzzziiii — usłyszała, kiedy była przy drzwiach.

Miała wrażenie, że się przesłyszała, ale po sekundzie Dorotka znowu wypowiedziała jej imię.

— Dzziiii.

Stanęła jak wryta i po chwili niepewnie odwróciła się do Dorotki.

Wzrok dziewczynki mówił: „Widzisz, ja dziś też przygotowałam dla ciebie niespodziankę”.

## Rozdział XVII

Zdzisława siedziała na mikroskopijnym balkoniku i czytała *Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy* Sergiusza Piaseckiego. Kiedyś, jeszcze w czasach PRL-u, przeczytała emigracyjne wydanie tej książki. Zapamiętała ogromne wrażenie, jakie wywarł na niej bohater. Teraz kupiła sobie luksusowe wydanie, z dużymi czcionkami, i starała się nie czytać więcej niż piętnaście stron dziennie, tak aby starczyło na dłużej. Krytycy uważali, że to powieść dla mężczyzn, ale Okrzemkowa była zakochana w świecie przedwojennych urków i przemysłowików.

Nagle poczuła, jak w kieszeni jej dresowych spodni wibruje komórka.

— Słucham.

Dłonie bezradnie wczepiły się w balustradę balkonu.

Książka w kartonowych okładkach ześliznęła się w dół i po dwóch sekundach roztrzaskała na brudnym asfalcie pod blokiem.

Andrzej pomógł „Brigitte” wygramolić się z taksówki. Odprowadził ją do hali odlotów.

Na dwa dni wylatywała do Londynu, a potem znów będzie miała tydzień wolnego i będą się włóczyć po Kazimierzu, pić wino, kochać się i planować nadchodzące lata.

Niewielki bagaż „Brigitte” zaniósł do stanowiska odpraw, pocałował ją w policzek i długo stał, patrząc jak walizka ląduje na taśmie załadowniczej, a jego kobieta, posyłając mu promienny uśmiech, zmierza do strefy kontroli.

Wyglądała najwyżej na trzydzieści lat, wysoka, szczupła, zgrabna, z wydatnym biustem i modelowym wcięciem w tali. Piękna, doskonale ubrana kobieta, świadoma swojej wartości i wiedząca, o co jej w życiu chodzi.

Był pewien, że los specjalnie oderwał ją od niego na wiele lat tylko po to, aby ją oszlifować i oddać mu jako drogocenny, jedyny w swoim rodzaju brylant.

Odkąd ponownie zjawiała się w jego życiu przestał w ogóle zauważać inne kobiety. Gdyby nie dziwna przygoda z Bodzian- ną, miałby doskonale poczucie pełnej czystości i uczciwości. Teraz jednak czuł, jakby w jego życiu zawsze istniała tylko Anna.

A przecież tak nie było. Miewał kochanki, czasami kilka w jednym czasie, zdarzało mu się łądować w łóżku z dwiema kobietami naraz.

Wszystko to jednak wyblakło, odeszło w cień, zmyte falą uczucia do Anny Halickiej, do jego cudownie odzyskanej „Brigitte”.

Z zamyślenia wyrwał go cichy terkot komórki. Odebrał.

— Co?!

— Gdzie?!

— Jak to?!

— Wsiadam w najbliższy autobus i będę u ciebie tak szybko- ko, jak to tylko możliwe!

Twarz mu stężała. Roztrącając ludzi, wybiegł z hali odlotów. Miał nadzieję, że przy wejściu stoi jeszcze taksówka, która przywiozła ich na lotnisko w podkrakowskich Bali- cach.

Kiedy z dworca PKS odjeżdżał autobus do Zakopanego, kilka osób zwróciło uwagę na bladą twarz mężczyzny przylepioną do tylnej szyby.

„Narkoman, ciężko chory albo mocno pijany” — pomyśleli.

Nie pamiętał drogi, ani tego, co mówiła do niego otyła kobieta siedząca obok i nieznośnie grzejąca go swoim tłustym ciałem. Po drodze zgubił gdzieś komórkę.

W „Grabisiówce” powitał go kuzyn. Był w malarskim ferszalunku pstrokato popapranym wszelkimi odcieniami farb i lakierów, nawet we włosach błyskały mu krople tempery.

Bez słowa wpuścił go do salonu.

— Co?! — nie wytrzymał Andrzej.

— Źle, Andrzej, źle jak cholera — odpowiedział Maciej.

— Dziś twój pokój jest zajęty — dodał cichym głosem. Opadł za stół, jakby nagle opuściły go siły.

— Kurwa! Nie męcz mnie, powiedz, co wiesz! — ryknął Andrzej.

— Kiedy ja niewiele wiem. Ona nie nadaje się do gadania. Przywieźli ją z dworca PKP, była pijana w sztok, porzygana i tylko bełkotała, że musi się do mnie dostać. Na szczęście trafiła na znajomego policjanta i zamiast na wytrzeźwiałkę przywieźli ją do mnie.

— Ale przecież coś musiała powiedzieć!

— Tak, powtarzała w kółko: śmierć, śmierć otacza.

— Jezuuuu! — Andrzej zaczął dygotać.

— Tak. — Maciej położył swoją wielką dłoń na jego ramieniu.

— Zabiliśmy go, zabiłem go, zabiłem! — Andrzej opadł na kolana i ukrył w dłoniach twarz.

— Ty, ja, my wszyscy, nic nie możemy na to poradzić. — Maciej Grabicki usiadł naprzeciw Andrzeja i podkurczył kolana pod brodę. Wyglądał jak zwinięte płótno abstrakcyjnego malarza, z którego sterczały fantastycznie pokręcone włosy.

Doktor Ryszard Jakończyk poczuł, że coś kapie mu na twarz.

Zerwał się z pryczy jak oparzony. Kapało z materaca Grzegorza Okrzemka.

— Czyś ty, Grzesiek, zwariował? — ryknął.

Błyskawicznie wspiął się po metalowym rusztowaniu. Chciał dojrzeć, co dzieje się na górnej pryczy. Zobaczył nienaturalnie siną twarz i wybałuszone, martwe oczy Okrzemka. Z jego ust wystawał sztywny język.

— Choleraaaa!!! — Jakończyk zaczął szarpać sztywne ciało.

Dopiero teraz zauważył, że jego towarzysz z celi ma na szyi zaciągniętą pętlę. Sznur przywiązany był do kraty w oknie.

— Alarm, alarm, ratunku!!! — wrzeszczał Jakończyk.

Do celi wpadło dwóch zdyszanych strażników.



— Co się dzieje? — groźnie zapytał starszy z nich. Jego dłoń odruchowo powędrowała na rękojeść długiej pałki.

— Okrzemek, powieszony. nie żyje. skąd tu się wziął sznur? — mamrotał Jakończyk.

— Jaki wisielec?

— Tu, na łóżku.

— Jebany, rzeczywiście, sztywny, migiem po lekarza i od- działowego! — zakomenderował starszy strażnik. — Wszyscy baczność i niczego mi tu nie dotykać! — wrzeszczał.

Na korytarzu rozpętało się piekło. Funkcjonariusze biegali w różne strony. Po więzieniu lotem błyskawicy rozniosła się wieść o śmierci więźnia i z wielu cel zaczął wydobywać się odgłos tłuczenia blaszanymi naczyniami w drzwi.

Jakończyk zachwiał się i w ostatniej chwili wsparł o szafkę na naczynia.

— Coś ci się dzieje? — zaniepokoił się strażnik.

— Chyba serce.

— Kurwa, jeszcze tego brakowało. Usiądź i napij się wody, zaraz będzie tu lekarz.

Do celi wparował wreszcie starszy, otyły mężczyzna w po- plamionym białym kitlu.

— Co tu się stało, kto znalazł denata? — zapytał zmęczonym głosem.

— Ten, ale chyba zaraz sam też kojfnie, jak się pan nim nie zajmie.

Lekarz dopiero teraz dostrzegł siedzącego na taborecie bladego jak ściana Jakończyka.

— Ma pan kłopoty z sercem?

— Tak.

— Proszę to wziąć i wsadzić pod język. — Podał Jakończykowi niewielką tabletkę.

— Ja nie wiem.

— Czego pan nie wie? — mruknął zniecierpliwiony lekarz.

— Nie wiem, czy to jest denat.

Lekarz bez słowa przystawił drabinkę do piętrowej pryczy. Wspiął się na nią przy akompaniamencie coraz

potężniejszych sapnięć.

— Exitus — westchnął, tak jakby był to już kolejny trup tego poranka. — Sądząc po stężeniu ciała, nie żyje już od kilku godzin. Samobójstwo.

— Jakie samobójstwo, kurcze, przecież tu nie było żadnej liny! — Jakończyk chciał wstać, ale tylko zatoczył się i ponownie opadł na taboret.

— Spokojnie, bo żyłka panu pęknie. — Tłuscioch w kitlu nawet na moment nie zmienił tonu głosu. Coś zapisał w note sie i wyszedł. — Trzeba wezwać ekipę kryminalistyczną i niech porobią zdjęcia, do tej pory niech nikt niczego nie dotyka — rzucił, zamykając za sobą drzwi.

Kilka godzin później rzeczniczka Centralnego Zarządu Więziennictwa opublikowała lakoniczny komunikat, który natychmiast podchwyciły wszystkie media:

*Rankiem dzisiejszego dnia w celi Zakładu Karnego w Nowym Sączu znaleziono martwego Grzegorza O. Według wstępnych ekspertyz Grzegorz O. popełnił samobójstwo przez powieszenie się na ramie własnego łóżka. Oględziny miejsca tragedii, jak też pierwsze badania kryminalistyczne, wykluczają udział w tej sprawie osób trzecich.*

Godzinę później we wszystkich telewizjach i stacjach radiowych zaczęli wypowiadać się eksperci. Mówili, że Grzegorz Okrzemek cierpiał ostatnio na zaburzenia nastroju, a postępująca depresja mogła stać się przyczyną samobójstwa. Tylko w jednej stacji przypominano, że Okrzemek wcześniej był oficerem wojskowych służb specjalnych i jednym z głównych oskarżonych o defraudację państwowych pieniędzy z kont należących do Funduszu Budowy Gospodarki.

Dziennikarze wszystkich redakcji jak jeden mąż podkreślali, że wiele miesięcy spędzonych w więziennej celi mocno podkopało zdrowie psychiczne osadzonego.

Teoria samobójstwa została uznana za pewnik, a żaden komentator nie śmiał nawet rozważać innego powodu śmierci osadzonego.

Doktor Ryszard Jakończyk został natychmiast przeniesiony z Nowego Sącza do więzienia w Sztumie, gdzie

pierwszej nocy został brutalnie pobity przez współwięźnia.

Samobójstwo głównego winowajcy dawnej afery Funduszu Budowy Gospodarki przez tydzień nie schodziło z czołówek gazet.

Przypominano, że Grzegorz Okrzemek wszystko powiedział w czasie procesu i nie mogło być żadnych innych przyczyn jego śmierci, jak tylko nagle załamanie się i postępująca depresja.

W parlamencie poseł Wyrzałek, którego wylano z klubu PSL za ostentacyjne odcinanie się od partyjnych ustaleń, zgłosił zapytanie poselskie. Stwierdzał w nim, że sprawą śmierci Grzegorza Okrzemka powinna zająć się specjalna sejmowa komisja śledcza, natychmiast został jednak wyśmiany i wytupany przez innych posłów koalicji.

Zdzisława przez trzy dni nie wychodziła z pokoju Pierackiego, wpuszczała tam tylko Rozalię, która donosiła jej skromne racje żywnościowe. Czwartego dnia musiała wyjść, bowiem tego właśnie dnia w Warszawie odbywał się pogrzeb Grzegorza.

Była spokojna, jej oczy nie wyrażały żadnych uczuć, mówiła opanowanym głosem.

— Maciek, czy mógłbyś ze mną pojechać?

— Nie.

— Szkoda.

— Nie wolno ci jechać beze mnie! — krzyknął Andrzej.

Okrzemkova wbiła w niego spojrzenie.

— Ty nie ruszaj się z Zakopanego. Różia obiecała, że cię przypilnuje.

— Też chciałem.

— Nie, tylko tego brakuje, żeby jeszcze tobie łeb urwali.

Miała sine worki pod oczami, jej wargi niewiele odróżniały się swoją barwą od bladej twarzy. Zmrużyła oczy.

— Andrzeju, ja wiem, że ty jesteś chojrakiem, ale ja już nie chcę widzieć martwych chojraków. Proszę cię. — Zamilkła i tępo wpatrzyła się w okno. — Dorotka. — szepnęła.

— Co mówisz?

Pokręciła przecząco głową.

— Maciek, zrób mi kawę, ale taką wiesz, jądrową.

Grabicki bez słowa zajął się komponowaniem odpowiedniej mieszanki ziaren, mieleniem i parzeniem jej w ekspresie ciśnieniowym.

Zdzisława położyła rękę na ramieniu Andrzeja.

— Nie użalaj się nade mną ani nad sobą. Jesteśmy wystarczająco świadomi, aby rozumieć, co się wokół nas dzieje. Błąd polegał na tym, że nie doceniliśmy głębokości tego bagna. Tego nie przewidział nikt z nas, nawet Grzesiek. — Zamilkła i nie cofając swojej zimnej dłoni, zamknęła oczy. — Byliśmy dobrą parą, a ostatnio było zbyt fajnie, zbyt fajnie. że też nie zadzwonił mi w głowie alarm!

Naraz spojrzała uważnie na Brennera.

— Uważaj, przyrzeknij mi, że będziesz uważał, i ta twoja piękna dziewczyna też!

Andrzej bez słowa objął ją i delikatnie pocałował w policzek.

— Nic się nie stanie, przyrzekam ci, Dzida. Za rok o tej porze znów będziemy pić kawę u Maćka.

— Jesteśmy więc umówieni.

Wypila szatański napar i powoli wstała od stołu.

— Żałoba minęła, zabieramy się do życia, chłopaki. — Jej głos był spokojny, a na twarzy ukazał się nawet nikły uśmiech.

Grabicki także zaczął gotować się do podróży. Spakował ciemny garnitur, koszulę i czarne skórzane lakierki, które pamiętały jeszcze czasy Władysława Gomułki. Po godzinie w „Grabisiówce” pozostał tylko Andrzej Brenner i zajęta przygotowaniami do obiadu Rozalia Stachoń.

Następnego dnia Rozalia przyniosła mu do śniadania świeżą gazetę. Położyła ją na stole w taki sposób, aby natychmiast natknął się na niepozorny nekrolog wydrukowany na dole trzeciej strony:

*Z żalem żegnamy naszego kolegę i przyjaciela Grzegorza Okrzemka, oficera, specjalistę od finansów i wielkiego patriotę. Żonie zmarłego składamy wyrazy*

*szczerego współczucia i zapewniamy, że pozostanie ona w naszej szczerzej pamięci. Żegnaj, nasz towarzyszu. Konwersatorium Wierność i Rozsądek.*

— Cholerni bandyci! — Andrzej ze złością cisnął gazetą o podłogę.

— Co się stało? — Rozalia patrzyła na niego z niekłamaną troską w oczach.

— Przeczytaj.

— Czytałam.

— Przecież oni wyraźnie dają nam ultimatum!

— Jacy oni, Jędrus?

— „Wir”.

— Dobrze się czujesz?

Andrzej energicznie nakazał jej, aby usiadła, po czym opowiedział jej historię tajnej organizacji, grupującej ludzi z peerelowskich służb specjalnych. Kobieta nie zadawała zbyt wielu pytań.

— Następną książkę napiszę o „Wirze”, dotrę do ludzi i dokumentów, ujawnię dowódców, niech ludzie wreszcie dowiedzą się, w jakim kraju żyją — zapalił się.

— Przecież obiecałeś, że ta książka będzie ostatnia, a potem wyjedziesz.

— Tak, ale wtedy nie wiedziałem, że oni to zrobią. — Umilkł i wyraźnie ważył słowa. — Oni zabili majora Okrzemka i jeszcze się pod tym podpisali. Nie mogą pozostać bezkarni.

— Jeśli nawet masz rację, to przecież im właśnie o to chodzi, abyś zagrał ich kartami. Prowokuj cię.

— Trudno.

— Im będzie tylko łatwiej.

— A więc nie odradzasz mi już pisania nowej książki?

— Nie. Tylko skoro już chcesz być takim egoistą, to najpierw uporządkuj swoje życie. Spraw, żeby nikt inny nie ucier- piał.

Trafiła go, nie miał argumentów, aby jej odpowiedzieć.

— Jędrus, ja boję się takich ludzi jak ty.

— Jakich?

— Ludzi, którzy mają takie oczy jak ty. Oczy nie

oszukują.

— Uważasz, że jestem zły.

— To byłyby najprostsza odpowiedź, ale ludzie nie dzielą się tylko na dobrych i złych. Takich czystych złych i czystych dobrych nie ma. Z ludzi ucieka życie, to śmiertelna choroba.

— Chłopska filozofia — mruknął zniecierpliwiony.

— To ja pójdę dać jedzenie psu. — Rozalia poderwała się do wyjścia.

— Nie chciałem cię obrazić.

— Wiem.

— Dokończ to, co mówiłaś o ludziach, proszę.

Niezdecydowanie przestąpiła z nogi na nogę.

— Proszę — szepnął.

— Tylko oczy mówią prawdę, ale nie mówią przecież o intencjach i planach, wtedy byłoby to za proste.

— No to co mówią?

— Pokazują, ile w nich jeszcze jest życia, a ile już śmierci.

Spojrzała na niego uważnie.

— Ty masz bardzo zgaszone oczy. Ktoś, kto na to nie zwraca uwagi, powiedziałby, że są smutne, ale to jest coś innego.

— Co? — Poczul jak przez plecy przeleciało mu mrowienie.

— Ty masz w oczach popiół!\*\*\*

Kazimierz Ogorzelski stał pod schodami wiodącymi na chór. Cmentarna kaplica rozbrzmiewała uroczystym głosem tłustego księdza, który właśnie wygłaszał kazanie.

Ogorzelski ubrany był w biały lniany garnitur, czarną koszulę i czarne sznurowane buty typu oxford. Czarna chusteczka w butonierce dopełniała obrazu wytwornego mężczyzny w sile wieku.

— Grzegorz znosił na tym świecie wiele burz, starał się zachować w tym burzowym czasie dobry kierunek — grzmiały głośniki. — Kiedy odszedł, ziemia stała się jednak uboższa.

Chrystus w Ewangelii mówi nam o faryzeuszach, którzy dokładnie myją swoje naczynia od zewnątrz, nie dbają jednak o to, czy ich wnętrza są wystarczająco czyste. Tam przecież nikt oprócz nich nie zagląda. Niepokoją się z powodu muchy w czymś napitku, a sami nie zauważają, gdy wypijają wielbłąda. Trudno jest oceniać ludzi takich jak zmarły Grzegorz i trudno jest odgadywać plany, jakie Bóg z nimi związał.

— Oj, katabasku! — westchnął Ogorzelski.

Doskonale znał przyczynę, dla której ksiądz zgodził się odprawić mszę za więźnia, samobójcę i ateistę Grzegorza Okrzemka. Kilka dni wcześniej sam wręczył mu piętnaście tysięcy złotych i nakazał, aby trzymał buzię na kłódkę.

Nikt, ani Okrzemkowi, ani władze nowosądeckiego więzienia, nie mógł się dowiedzieć, kto stał za urządzeniem uroczystego pogrzebu Grzegorza Okrzemka.

Oficjalna wersja głosiła, że tłusty kapłan jest szkolnym kolegą Okrzemka i czyni wszystko wiedziony jedynie samarytańskim odruchem.

Ogorzelski dawno nie był na mszy świętej. Najbarwniejsze wspomnienia zachowały mu się z czasów dzieciństwa, gdy w Krośnie obowiązkowo chodził na msze odprawiane przez starego proboszcza. Bóg wydawał mu się wtedy wielki i niedosiężny, otoczony wonnymi dymami kadzidel i pięknym, wschodnim śpiewem tłumów wiernych, którzy każdej niedzieli szczerze wypełniali parafialny kościół.

Potem próbował układać się z Bogiem, sprawdzał Jego skuteczność, aż w końcu doszedł do wniosku, że Bóg, o ile w ogóle istnieje, nie ma nic wspólnego z jego krośnieńskim parafialnym dziaduniem. Uznał, że najlepszym Bogiem jest człowiek, i to najlepiej sam dla siebie. Co najważniejsze, taka właśnie teoria sprawdzała mu się przez całe życie.

Nigdy nie wierzył w marksizm ani cały parareligijny sztafaż, jaki oficerom zaprzyjaźnionych armii fundowała KPZR (poznał go dobrze, gdy studiował w słynnym MGIMO w Moskwie). Tym bardziej nie ufał smętnej kopii rosyjskiej wielkiej siostry — peerelowskiej PZPR.

Ogorzelski wierzył jedynie w moc instynktu. To właśnie

instynkt często wyciągał go z tarapatów i jeszcze częściej naprowadzał na doskonałe pomysły. Z nikim o tym nie rozmawiał, ale był przekonany, że „goły” rozum niewiele jest w stanie zdziałać, dlatego z biegiem lat nauczył się bezbłędnie odczytywać komunikaty napływające do świadomości właśnie od starego druha — instynktu.

Tym razem natychmiast po tym, jak zadzwonił telefon i lekko ochrypli głos zawiadomił go, że „rura w letnim domu już nie przecieka”, poczuł, że osobiście — w najgłębszej tajemnicy przed wszystkimi — musi zająć się przygotowaniami do pochówku Grzegorza Okrzemka. Musiał to uczynić w taki sposób, aby wdowa i jej przyjaciele byli przekonani, że to oni właśnie załatwiali formalności pogrzebowe. Jedyne, co mogło wzbudzić ich podejrzenia, to fakt, że szło im jak z płatka. Instynkt nakazał Ogorzelskiemu podłożyć pod głowę martwego Grzegorza poduszkę, oddać mu honory.

Ukryty w cieniu kaplicznych schodów z uwagą przyglądał się żałobnikom, którzy zjawili się, aby oddać ostatnią posługę Okrzemkowi.

Szybko dostrzegł Okrzemkową i towarzyszącego jej dryblasza (przypominał znanego mu ze zdjęcia kuzyna Andrzeja Brennera — Macieja Grabickiego), ze zdziwieniem zauważył też brak samego Brennera.

Tuż przy wejściu, w przyciasnej marynarce opinającej wielki brzuch, stał „Duży Budyń”.

„Ależ on zdziadział, stary, rozpity wrak” — pomyślał generał. Obok „Budynia” stało dwóch innych oficerów z dawnej sekcji „Y”, kilku cieniasów z cywilnej „jedyńki” — wojskowi zawsze spoglądali z góry na cywilnych funkcjonariuszy MSW.

„Łasili się do Grzeška o pieniądze w czasach Funduszu Budowy Gospodarki” — przypomniał sobie.

W pierwszych ławkach siedziało kilku szacownych biznesmenów, którym Białecki kazał zjawić się na pogrzebie, w drugim rzędzie sam Białecki. Szpanerski garnitur od Armaniego, platynowy sygnet na palcu, buty za kilka tysięcy złotych — generał z politowaniem taksował Białeckiego wzrokiem. „Z tego durnia nigdy już wiocha nie wyparuje,



nigdy" — pomyślał.

Tuż przy wejściu kłębił się mały tłumek dziennikarzy. Podnieceni, głośno rozmawiali, co chwila rozlegały się ledwo tłumione wybuchy śmiechu.

— Gdy kończy się ludzkie życie, ci, którzy pozostają, patrzą na trumnę i przez chwilę odrywają się od codziennych trosk, patrzą na siebie, a w ich głowach brzmi ciągle to samo pytanie — co dalej? Jak dalej urządzony jest wszechświat? Czy ma też obiecany wymiar duchowy? Czy prawdą jest, że istnieje piekło? Przez chwilę myślimy wtedy poważnie o Bogu, On staje obok nas, a my potrafimy Go usłyszeć. Tak jest tylko przez chwilę, bo potem ze zdwojonym zapalem biegniemy ścigać mirażę, które szatan roztaczał przed Jezusem na pustyni. Więc ja wam dziś mówię, tam w trumnie nie leży Grzegorz Okrzemek, tam w trumnie leżysz ty, bracie i siostró, tam leży twoje życie! Tylko, że ty masz jeszcze szansę coś zmienić.

W kaplicy zapanowała względna cisza, tylko z miejsca, gdzie stali dziennikarze, napływały wciąż nowe piski i śmiechy.

— Złożmy wyznanie wiary. — Ton głosu spoczonego, tłustego kapłana był już zdecydowanie inny niż chwilę wcześniej.

„Ładnie to wykombinowałeś. Szkoda tylko, że za kasę. No, ale taka przemowa warta była tych pieniędzy" — pomyślał Ogorzelski i uśmiechnął się krzywo, jakby nagle rozbolały go wszystkie trzonowe zęby.

Wyszedł na zewnątrz. Upał stawał się już nie do zniesienia, słońce prażyło jak w Afryce. Odruchowo skrył się w cieniu wielkiego kasztana. Zapalił papierosa, ale natychmiast wdeptał go w trawnik. W taki upał papieros smakował wysuszonym trupem.

— Smutna historia. — Generał wzdrygnął się, gdy usłyszał za plecami mocny męski głos.

Obok niego stanął wysoki blondyn wyglądający na nie więcej niż czterdzieści lat.

— A pan w jakim charakterze? — wybąkał zaskoczony Ogorzelski. Miał pamięć do twarzy, ale ta z niczym mu się nie kojarzyła

— Dobrym. A pan generał? — W oczach nieznajomego za- paliły się ironiczne ogniki.

— Przyszedłem na pogrzeb, potrzebuję spokoju. — Generał powoli odzyskiwał równowagę.

— Nie będę zatem przeszkadzał, panie generale.

— Zaraz.

— Tak? — Nieznajomy przystanął. Z jego twarzy nie zniknął ledwo zauważalny kpiący uśmiech.

— A skąd pan wie, że jestem generałem?! — Ogorzelski zaczepnie wysunął dolną szczękę i wwiерcił w nieznajomego badawcze spojrzenie.

— Oficerowie niżsi szarżę powinni znać generałów. Jak widać, w drugą stronę to jest niekonieczne.

— Dobra. Co pan tu robi i kim pan jest?

— Oszczędzę panu generałowi trudu sprawdzania. Major Jarosław Czarnecki, praktycznie nikt, a tu jestem na pogrzebie. Nie będę już panu generałowi przeszkadzał.

Ogorzelski chciał coś jeszcze powiedzieć, ale widząc, że mężczyzna szybko oddala się w kierunku kaplicy, zrezygnowany machnął ręką.

„Bezczelni robią się ci gówniarze. Czarnecki, Czarnecki, będę musiał zapamiętać” — pomyślał.

Jednak zapalił, papieros dawał mu wytchnienie, pozwalał zebrać myśli. Kątem oka wypatrywał pułkownika Białeckiego, najwidoczniej przydługa msza i jego także już znużyła.

Nie zdążył do niego podejść, bo z kaplicy zaczęli się wysypywać pierwsi żałobnicy.

Prostą dębową trumnę wpakowano na przykrytego czarną kapą meleksa.

— „Niech aniołowie zawiodą cię do raju” — zaintonował lekko schrypnięty baryton.

— „A pieśń zbawionych niech cię zaprowadzi, aż przed oblicze Boga Najwyższego” — jęczały starsze kobiety wyglądające na koneserki pogrzebów.

„Nie ma ani zbawionych, ani żadnej pieśni, która kogokolwiek, dokądkolwiek poprowadzi. Swoją drogą to

ciekawe, że ludzie zawsze muszą podążać za jakąś pieśnią. Czerwoni brandzlowali się przy *Międzynarodówce*, kościelni przy *Bogurodzicy* i ostatnio *Barce*, żabojady przy *Marsyliance*, a lokatorzy parku sztywnych przy tych smętach o aniołach i niebie" — pomyślał.

Krótki kondukt dotarł nad wykopany dół i spocony ksiądz błyskawicznie odprawił podstawowe obrzędy. W tym momencie do mikrofonu podeszła Zdzisława Okrzemek. Mało dyskretnie wyrzuciła papierosa i odezwała się niskim, spokojnym głosem:

— Być może jest tu kilka osób, które przyszły, aby pożegnać mojego Grześka, będę zatem mówiła wyłącznie do nich. Pozostali mogą uznać pogrzeb za zakończony. Mam w dłoni grudkę ziemi, którą zaraz rzucę na głowę mojego męża. Grzesio był cholernym trepem. Jak każdy trep, widział tylko tyle świata, ile pokazywały mu jego dorożkarskie klapki. Ostatnio jednak zaczął rozumieć, można powiedzieć, że dojrzywał z wiekiem.

Umilkła i w tym właśnie momencie dostrzegła Ogorzelskiego. Był jedynym mężczyzną ubranym w jasny garnitur. Twarz kobiety poczerwieniała.

— Z wiekiem trumny! — syknęła, patrząc Ogorzelskiemu prosto w oczy. — Major Grzegorz Okrzemek kazał mi na śmietnik wyrzucić wszystkie swoje ordery i medale, kazał mi oddać do ciucharni swoje mundury — kontynuowała po chwili.

— Sądzę, że gdzieś tam nas teraz słucha, a skoro tak, to na koniec puszcę mu jego ulubioną piosenkę. Jak tylko skończy się ta piosenka, pogrzeb też się skończy. — Stojący tuż za nią wysoki mężczyzna podał jej odtwarzacz i do mikrofonu popłynęły dźwięki *Ballady gruzińskiej* Bułata Okudźawy.

W czasie gdy silny, męski głos opowiadał po rosyjsku, że tylko w gronie przyjaciół „warto na ziemi tej żyć”, Zdzisława beznamietnie cisnęła na trumnę garść ziemi. Chwilę później słychać było jednostajny chrzęst ziemi i kamieni upadających na drewniane wieko trumny Okrzemka.

Zdzisława pewnym krokiem zbliżyła się do Ogorzelskiego. Spokojnie wytrzymał jej natarczywe spojrzenie

i uprzejmie wyciągnął do niej rękę. Przez chwilę widział, jak się waha, w końcu podała mu sztywną i zimną dłoń, dużą, prawie męską, poprzecinaną bliznami.

Chciał zapytać, czy mogą chwilę porozmawiać, ale zanim to zrobił, zobaczył, jak twierdząco kiwa głową.

Oderwali się od kilkunastoosobowej cizby kłębiącej się ciągle nad trumną Grzegorza Okrzemka i powoli wyszli poza cmentarne ogrodzenie.

Stanęli pod rozłożystym grabem, który ukrył ich w swoim cieniu przed oczami wścibskich dziennikarzy i przypadkowych przechodniów. Ogorzelski kątem oka zauważył, że towarzyszący Okrzemkowej dryblas taktownie pozostał na cmentarzu.

Generał przezornie czekał, był gotów przyjąć impet jej historycznego ataku. Wiedział, że nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi. Wyciągnął papierosy i gestem zaproponował jej, aby wzięła jednego. Milcząco odmówiła, sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę caro.

Palili, patrząc na siebie. Ona spoglądała łagodnie. Zagryzła wargi i tylko w kącikach jej ust zauważył niezdecydowane drżenie.

Oparła się o potężny pień drzewa. Sprawiała wrażenie, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół jego wyglądu, każdą zmarszczkę jego twarzy. Stali bardzo blisko siebie, tak blisko, że czuł jej coraz spokojniejszy oddech. Skoncentrował się na jej oczach, były zmęczone, ze śladami niewyspania, ale nie malowało się w nich żadne gwałtowne uczucie. Sprawiała wrażenie, jakby jego obecność wpływała na nią kojąco.

Zgniotła butem papierosa.

— A więc tak to wygląda na końcu — szepnęła.

— Przepraszam? Nie zrozumiałem. — Był zadowolony z tego tonu: idealnie neutralny, uprzejmy, z nutą pewności siebie, zdawał się zaprzeczać treści pytania, na które przecież w ogóle nie oczekiwał odpowiedzi.

— Ja też długo czekałam, aż w końcu zrozumiałam. — Uśmiechnęła się. — Miło się z panem rozmawiało. — Podała mu dłoń, tym razem o wiele cieplejszą niż w czasie powitania.

Stał nieruchomo, wpatrując się w jej plecy.

Odchodziła wyprostowana, wolnym, spokojnym krokiem. Przy bramie dołączył do niej dryblas, którego twarz wydała się skądś generałowi znajoma. Razem wsiedli do przedpotopowo wyglądającego samochodu. Ogorzelski od młodości był pasjonatem motoryzacji, bez trudu zatem rozpoznał jeden z najwcześniejszych typów DKW union.

„Sfiksowała. Nigdy nie była zbyt normalna, ale teraz to już całkiem sfiksowała. Tym lepiej” — pomyślał, wzruszając ramionami. Uczynił to tak, jakby strącał z pleców jakiś bardzo dokuczliwy ciężar.

Okrzemkowa odchodziła z poczuciem załatwienia bardzo ważnej sprawy. Z przyjemnością wsłuchiwała się w swoje myśli. Nie czuła nawet cienia nienawiści. To było niezwykle i spłynęło na nią nagle, tuż przed spotkaniem oko w oko z Ogorzelskim.

Doskonały spokój, jaki daje tylko zrozumienie bardzo ważnej rzeczy. Miała poczucie, że w jej życiu najważniejszej.

Nie czuła do Ogorzelskiego nienawiści, nie czuła do niego nawet złości, nie chciała z nim walczyć. Zrozumiała, że wychodząc z cienia tego potężnego grabu, wyszła z cienia generała Kazimierza Ogorzelskiego.

Ogorzelski nic już nie mógł jej zrobić, ani jej, ani Grześkowi, ani ich Dorotce.

Przed oczami przesuwają się wszystkie chwile, kiedy Grzesiek był jej bliski. W ciągu kilkudziesięciu lat nazbierała się tego cała góra. Nieszczęśliwe dzieci rozpitego piłkarza, Grzesiek chyłkiem wynoszący dla nich śniadania, ciuchy. Jego samotne wieczory z butelką, gdy zadawał jej najbardziej nieoczekiwane pytania. Zapisywała je, schowała ten zeszyt wśród swoich najcenniejszych pamiątek. Nigdy nie winił jej za to, że namówiła go do defraudacji pieniędzy. Mówił do niej: „kuciapko”, „cipeczko”, „Dzidziu”, tylko on tak do niej mógł mówić. Grzesiek, roztrzepany, uczciwy, i jego kartonowa, lakierowana walizka.

Grabicki przekreślił rozrusznik i silnik DKW zaterkotał tak przeraźliwie, że nieliczni uczestnicy pogrzebu, którzy jeszcze stali przy cmentarnym ogrodzeniu, zaskoczeni zwrócili twarze w kierunku niecodziennego pojazdu.

— Masz ochotę na jednego? — Obrazy się rozplynęły, a przed sobą dojrzała zmartwioną twarz Macieja Grabickiego. — Zostaniemy w Sodomie i napijemy się porządnego grzdyla.

— W Sodomie?

— Myślałem, że zapytasz mnie o grzdyla.

— Gdzie będziemy spać?

— Nie będziemy spać, do rana będziemy się włóczyć po klubach jazzowych, a potem krótka kimka w dekawce i powolutku na południe.

— Dobra, ale pod warunkiem, że nie będziesz robił takiej zbolalej miny.

Chwilę jechali w milczeniu. Grabicki jednak co chwila zerkał w lusterko, aby zobaczyć twarz Zdzisławy.

— Nie bój się. Nie odbiło mi. Po prostu coś zrozumiałam.

— Ale ja nie rozumiem.

— Czego nie rozumiesz? Tego, że nie płaczę, że nie rwę włosów z głowy?

— Nooo — stęknął udręczonym głosem Grabicki.

— Widzisz tę knajpę? O!.

Grabicki popatrzył w kierunku, który wskazywał jej wyciąg nięty palec.

— Tę spelunę?

— Tak.

— Ale czemu? — Głos Macieja miał taką barwę, że równie dobrze mógł się wydobywać z dopiero co zasypanej trumny Grzegorza Okrzemka.

— Bo odpowiednio się nazywa, a poza tym to ty jesteś ka- tolikiem, a nie ja.

— Pa-ra-di-so — powoli sylabizował wypisaną zamasytymi kulfonami nazwę.

— Albo tu zostajemy, albo jedziemy prosto do Zakopanego. Postanowiłam sobie, że jeszcze przez dziesięć dni

nie będę wchodziła do mojego mieszkania, to ostatni czas, żeby Grzesiek pozalał tam wszystko, czego jeszcze nie skończył.

— Ty jednak jesteś kopnięta — wyrwało się Grabickiemu, natychmiast jednak pospieszył złagodzić wymowę zbyt szczerze, jak sądził, wypowiedzianej opinii. — Nie, no nie w tym sensie, nie żebym ubliżał wdowie.

— Maciej! — Spojrzała na niego spode łba. — Jak się nie zamkniesz, to żadne boksterskie sztuczki ci nie pomogą. Chciałeś grzdyla, to idziemy na grzdyla, w nowobogackich spelunach podają drinki i wódkę w kieliszkach, a chyba nie to miałaś na myśli.

Już przy wejściu uderzył ich w nozdrza kwaśny zapach cienkiego piwa, dymu z tanich papierosów i niemytych ciał. Nad niewielką salką, w której drzemało kilku mężczyzn zmorzonych upałem i alkoholem, dominował potężny, obity blachą bar — prawdziwy przedwojenny szynkwias.

— Nooo. Czegoś takiego od dzieciństwa nie widziałam — westchnęła Zdzisława.

— Zapytaj, czy wódkę sprzedają na garnce — mruknął Maciej.

Czujnie rozglądał się po sali, jakby był przekonany, że zaraz opadnie ich wataha bandytów.

— Jeśli mają śledzie z beczki i prawdziwe kiszone ogóry, to rzeczywiście jesteśmy w rajku.

Grabicki zamrugnął zdziwiony.

— Czy ty czarujesz, czy my naprawdę przenieśliśmy się w czasie?

— Ani jedno, ani drugie, tylko właśnie zaczęliśmy Grześkową stypę, a on uwielbiał takie lokale.

— Tylko mi się nie upij tak jak ostatnio.

Skrzywiła się, jakby właśnie złamała ząb, ale jego błagalny wzrok natychmiast odegnał wspomnienie, którego nie chciała przechowywać.

— Nie, nie upiję się tak jak ostatnio, bo po pierwsze jest z nami Grześ, a po drugie ty pijesz ze mną.

— Piję, a potem będę prowadził samochód!

— Będziesz.

Usiedli pod klejącym się od brudu oknem. Z tego miejsca doskonale widzieli oblepione muchami plastry zwisające z sufitu tuż przy wejściu do kuchni.

Gruba kobieta o twarzy pozbawionej wieku machnęła ku nim potężnym kułakiem.

— Chyba tu jest samoobsługa. — Zdzisława trąciła w ramię siedzącego tyłem do paradysowego ołtarzyka Macieja.

— Co sobie życzysz, kotuniu? — Barmanka miała melodyjny, głęboki głos, wydobywający się gdzieś z czeluści jej dorodnych i wspaniale wyeksponowanych piersi.

— Dwie pięćdziesiątki, dwa śledzie prawdziwe i ogórki.

— Dobra, dostaniesz po setce, bo po co masz tyle gonić, śledziki będziesz miał z beczki z kapeczką śmietanki. — Tu wymownie puściła do niego oko. — A ogórasa zaraz przyniesie od Tusi, bo nam wyszli, a ona przytargała dziś do sklepu całą bekę. Pasuje?

— Pasuje, królowo.

— Wice.

— Co wice?

— Wicekrólowo Indochin i Klepackiej.

— Klepackiej?

— Indochiny wyzwolone, a Klepacka to ulica tu. — Z gracją potoczyła dłonią po horyzoncie malującym się za zapaćkanym oknem.

— No, ale czemu wice, do diabła?

— Rwiesz mnie, kotuniu?

Maciej żarliwie pokręcił głową.

— Wiem, wiem, masz swoją lalunię. A wice jestem, bo Tuśka ma dziesięć sezonów mniej i cycki jej stoją jak świeczki w oczach po spirycie, a wy to lubicie, gałgany.

— Dziękuję. — Grabicki zmieszany odwrócił się do Zdzisławy.

— Z Bogiem, kocie, zaraz dostaniecie wyroby.

Wódka była zimna i dobra, pożywiała ich wyobraźnię. Mało ze sobą rozmawiali, pili i każde z nich zanurzało się w swoim świecie.

Jej pełen był fizycznej obecności Grzegorza. Żałowała, że



nie spotkali się w tej „mokrej celi”, o której tyle ze sobą mówili, że nie zerznął jej mocno, dziko i bezwstydnie, tak jak jej obiecał. Żałowała, że nie mogła wpić się w jego nowe bicepsy, że nie zapamiętała ostatniego orgazmu, jaki by jej pewnie dał. Tak dawno nie robiła tego z żadnym facetem. Czasem pomagała sobie sama, ale to przecież nie to samo.

Myślała o zapachu Grzegorza, o tym, jak wyzbył się swądu przetrawionej wody. Cały czas towarzyszyła jej też najważniejsza myśl o tym, że Grzegorz zmarł w najlepszym momencie swojego życia, w lecie. Był już w jesieni i naraz wrócił do lata, to najlepsza pora do umierania, właśnie takiego, niespodziewanego. Tak o tym myślała.

Nie upiła się, upiły się tylko jej nogi. Maciej musiał się mocno wyteńczyć, aby wtaszczyć ją do swojego samochodu. Czuł w głowie przyjemny, delikatny szum. Wokół była już późna noc, powietrze pachniało odchodzącym upałem.

Barmanka zamknęła „Paradiso” dopiero wtedy, gdy niezdarnie zebrali się do wyjścia, byli ostatnimi gośćmi osłanianego przez jej gigantyczny biust raję. Odruchowo starła blaszany szynkwias i po raz ostatni spojrzała na dziwną parkę.

„On całkiem-całkiem, pewnie garus, a ona trochę dla niego za stara, ale może dobra. Daj im Boże zdrowie” — pomyślała i wyjęła z głębi stanika klucz do krat.

## Rozdział XVIII

Przyrzekam ci, „Brigitte”, że jak tylko wydam Wieżę, to zajmę się wyłącznie pisaniem wierszy. Przez rok nie obejrzę telewizyjnych wiadomości, a w gazetach będę czytał tylko rubryki sportowe.

„Brigitte” patrzyła na niego uważnie, tak jakby badała, czy jego mimika zgadza się z treścią uroczystego komunikatu. To, że będzie on uroczysty, czuła już od dłuższej chwili.

Spoglądał na nią jak wierny pies na swego pana. Wiedziała, że mówi prawdę, wiedziała, że w tym momencie właśnie tego pragnie.

Znała go jednak dobrze i miała świadomość, że nigdy nie mogłaby wyegzekwować tej przysięgi. To tak, jakby wyjęła rybę z wody i pokazała jej najpiękniejsze obrazy impresjonistów przedstawiające morze. Andrzej był ulepiony z tych wszystkich swoich „wielkich spraw”. Sprawy się zmieniały, ale nigdy nie zmieniało się jego zaangażowanie. Zawsze mówił o nich nieco pogardliwie i zawsze wciągały go bez reszty. To one właśnie były jej największymi rywalkami.

— Pojedziemy razem do najpiękniejszego miasta.

— Dokąd? — wtrąciła lekko rozkojarzona.

— Do Kotoru.

— A. — Znała jego opowieści o tym, jak jeszcze w trakcie wojny chorwacko-serbskiej jeździł tam razem ze swoim przyjacielem, Albańczykiem z Kosowa, Enverem. Rejestrowali tam podejrzane samochody, które Enver sprowadzał nie wiadomo skąd.

Dawno temu zakochał się w Czarnogórze, a kiedy mówił o Kotorze, oczy zachodziły mu mgłą i zaczynał marzyć. Precyzyjnie opisywał jej „najbardziej niezwykłą kaplicę na świecie”, znajdującą się na mikroskopijnej wysepce na samym środku Koterskiej Boki — kaplicę „Matki Boskiej od Skrpjela”. Właściwie nie mogła spodziewać się innej odpowiedzi.

— Wydam Wieżę i wszystko, co miałem zrobić w dziennikarstwie, będzie już poza mną.

Uciekła wzrokiem w stronę okna. Bardzo polubiła jego

ascetycznie małe mieszkanie na ulicy Praskiej, w jednym z pierwszych zbudowanych w Krakowie bloków, na przedwojennym Osiedlu Robotniczym.

To mieszkanie było nim samym, nieporządnym, roztrzepanym, często chłopięco nieodpowiedzialnym Andrzejem Brennerem, naiwnym Andrzejem Brennerem...

— Aniu! — dobiegł ją jego głos. Rzadko tak do niej mówił.

— Tak? — Popatrzyła na niego lekko spłoszona.

— Chcesz?

— Tak! — odparła bez namysłu. Jakie to miało teraz znaczenie?

Porwał ją w ramiona i całował dotąd, aż oczy jej zasły mgłą i poczuła, że jedyne, na co ma w tej chwili ochotę, to mocny, wyczerpujący seks z nim. Taki seks, po którym rozboli ją każdy, najmniejszy nawet mięsień.

Uwielbiała, jak ją pieprzył, robił to lepiej niż wszyscy inni faceci, z którymi bywała służbowo lub prywatnie, a może po prostu najbardziej lubiła jego ciało, jego smak i zapach?

Może właśnie ciało tego mężczyzny było jej pisane?

Nie chciała o tym myśleć.

\*\*\*

Wyjechała, tym razem na trzy dni do Warszawy. Miał przed sobą cały wieczór, z którym nie wiedział, co począć. Nie chciał znów trafić na Borek Fałęcki, nie chciał spotkać Bodzianny.

Od dłuższej chwili siedł za nim młody łysego mężczyzna. Andrzej nie był jednak w stanie tego zauważyć, zbyt pochłaniały go rozmyślenia o przyszłości z „Brigitte”.

Przyspieszył i tradycyjnie wbiegł na pięterko lecarskiej kamienicy przy Rynku Głównym. Restauracja „Pod Gruszką” wydała mu się najbardziej odpowiednim miejscem na spędzenie kilku wieczornych godzin. Zamówił podwójne espresso i do tego setkę czystej wódki. Naraz do restauracji wparowało trzech ogolonych na łyso osiłków, na bycze karki mieli zarzucone szaliki Wisły Kraków.

Jednym z nich był tajemniczy obserwator, o którym jednak Brenner nie miał najmniejszego pojęcia.

Przybysze usiedli przy stoliku obok Andrzeja, zamówili butelkę wódki i hałaśliwie zachwalali uroki „Białej Gwiazdy”. W pewnym momencie jeden z nich zaszedł Andrzeja od tyłu i położył mu ciężką dłoń na szyi.

— A ty za kim kibicujesz, kutafonie? — szczechnął.

Andrzej był jeszcze na tyle trzeźwy aby, pomny niedawnych przygód, puścić zaczepkę mimo uszu.

Intruz powtórzył jednak swoje pytanie i mocno zacisnął Andrzejowi dłoń na karku.

I tym razem nie usłyszał odpowiedzi. Odwrócił się więc do swoich kompanów i ochryplym dyszkantem, który zupełnie nie pasował do jego zwalistej postaci, ryknął:

— Patrzcie, chyba nam się jakiś niemowa trafił.

— A może zagranicznik? — odpowiedział mu głos od stolika.

— Nie, to chyba kibic „Żydów” — wtrącił ten, który obserwował Andrzeja wcześniej.

— A nie mylisz się, kolego, kibicuję Cracovii i jestem z tego dumny. — Brenner hałaśliwie odsunął stolik i spojrzał wprost w oczy najpotężniejszego kibica.

Przestraszone kelnerki wycofały się na zaplecze.

Ogolony na лыso dryblas powoli wstał i wyprostował się. Przewyższał Andrzeja o głowę. Dziennikarz miał świadomość, że mniejszy osilek ciągle stoi za jego plecami. Trzeci z kibiców, ten, który przyprowadził „Pod Gruszkę” swoich kolegów, ciągle sączył wódkę i bacznie przyglądał się całej scenie.

Andrzej zdawał sobie sprawę, ku czemu zmierza nieoczekiwana sprzeczka, wiedział też, że w konfrontacji z trzema osilkami nie ma żadnych szans.

Nerwowo poszukiwał więc wyjścia z sytuacji. Postąpił krok ku stolikowi kibiców i tym sposobem uwolnił się spod opieki stojącego za nim grubasa.

„Muszę zyskać na czasie” — myślał gorączkowo. „Kelnerki na pewno wezwą policję, potrzebuję kilkunastu minut”.

Dobrze wiedział, że sala barowa restauracji „Pod Gruszką”, w której można było palić papierosy, jest pułapką bez wyjścia. Przy jedynej drodze ucieczki stał stolik agresywnych kibiców „Białej Gwiazdy”, a kibice najwyraźniej mieli ochotę go sprać.

— Gównu mnie obchodzą wasze groźne miny, chcę spokojnie wypić swoją wódkę — wystrzelił, nachylając się nad siedzącym jeszcze przy stoliku łysolem.

— Dawno nie dostałeś wpierdolu — prychnął najmniejszy „wiślak”.

— A ty?

Grubas zamachnął się zza jego pleców, lecz Brenner zdążył zgrabnie uskoczyć i kulak czerwonego z wściekłości kibola wylądował na łysym czole siedzącego przy stoliku kolegi. Impet był tak duży, że mniejszy agresor poleciał na szklany stolik, rozbijając go na miazgę, a jego kolega runął wraz ze złamanym krzesłem na podłogę.

Trzeci, największy z nich, wyglądający na kulturystę, szeroko zamachnął się, chcąc pewnie urwać Andrzejowi głowę, ale ten zszedł unikiem w „lewoskos” (tak to kiedyś nazywał jego trener) i pięść kulturysty z całym rozmachem trzasnęła w żeliwne popiersie Ludwika Jerzego Kerna. Siła uderzenia była tak duża, że umięśniony „wiślak” musiał sobie złamać co najmniej dwa palce, a wprawione w ruch popiersie majestatycznie uderzyło w okno, z głośnym chrzęstem wypadło na ulicę i wbiło się w dach nowiutkiego bmw parkującego tuż pod „gruszkowym” oknem, na ulicy Sławkowskiej.

Wielkolud odruchowo złapał się za potrzaskaną dłoń. Tego tylko trzeba było Andrzejowi. Niewiele się zastanawiając, roztrzaskał mu na głowie stare krzesło, które pewnie pamiętało czasy oberubeka Władysława Machejka i jego „Życia Literackiego”.

Duży padł z hukiem na wyłożoną parkietem podłogę.

Andrzej nie był w stanie tego zobaczyć, niewiele w ogóle był w stanie dostrzec, mniejszy chuligan trafił go bowiem rozmachowym cepem w tył głowy i spowodował, że Brenner osunął się na kolana.

„Znów mnie skopią, cholerne żebra” — pomyślał i nakrył rękami głowę.

Następne ciosy jednak nie nadleciały, na salę wpadło natomiast pięciu policjantów w ciemnych uniformach. Byli tak podkręceni, że rozpoczęli od pałowania baru i antycznych mebli. Widok, który ukazał się ich oczom zaiste był niecodzienny. Tuż pod wychodzącym na rynek oknem leżał rozciągnięty w całej swojej okazałości kulturysta z szalikiem Wisły Kraków na szyi. W materiał wsiąkała strużka krwi sącząca się z lewego ucha powalonego. Tuż obok jego rozbitych ust leżała okazała jedynka, której najwyraźniej pozbył się przy spotkaniu swej głowy ze starym solidnym meblem. Prawa dłoń wielkoluda napuchła do rozmiarów sporej bani.

Mniejszy łysol niepewnie gramolił się zza stołu, ciągle jeszcze był zamroczony ciosem, jaki otrzymał od kolegi. Trzeci z „szalikowców” właśnie gotował się do kopania kłęczącego i chwiejącego się na wszystkie strony mężczyzny, który coś do siebie niewyraźnie mruczał. „Kibica” odciągnięto od niedobitego rywala, a kłęczącemu profilaktycznie wlepiono kilka zamaszystych „pał”, tak że upadł i zwinął się w kłębek.

— Tylko nie w żebra, błagam, tylko nie w żebra, dopiero się zrosły, znów chujowo będzie spać — mamrotał żałośnie.

Od strony ulicy Szczepańskiej zajechała suka na sygnale. O dziwo, został do niej wpakowany tylko jeden chuligan — szczupły, żyłasty facet, marudzący nieprzerwanie o swoich żebrach.

Karetka pogotowia zabrała ciągle nieprzytomnego kulturystę, a pozostali dwaj uczestnicy Rumble in the jungle „Pod Gruszką” (tak kilka miesięcy później napisał o tym zdarzeniu jeden z felietonistów „Dziennika Polskiego”) rozplnęli się w ogólnym zamieszaniu.

Na placu boju pozostał poplamiony krwią szalik „wiślaka”, potrzaskane stołki, rozbity stół i żałośnie pusty cokół, na którym jeszcze niedawno spoczywało dostojne popiersie Ludwika Jerzego Kerna.

— Dobrze, że nie dorwali halabardy — szepnęła któraś z kelnerek, patrząc na wiszącą nad jednym z okien zabytkową

broń, którą właściciel restauracji przywiózł z Rumunii.

Areszt na ulicy Mogiłskiej nie zrobił na Andrzeju wrażenia. Ostatnio bywał tam często, więc tym razem jedynie wypalił papierosa i zaraz zapadł w głęboki sen. Twarde deski przymusowego legowiska nie przeszkadzały w doskonałym wypoczynku.

Obudził się rześki i wesoły. Szczęknięty drzwi i do celi wolno wkroczył strażnik, którego oblicze już gdzieś widział.

— Posiedziałbyś tu dłużej, ale masz dobrych znajomych. Wyłaż! Ktoś na ciebie czeka — mruknął.

„Kochana «Brigitte», co ja bym bez niej zrobił?” — przemknęło Andrzejowi przez głowę.

Tym razem jednak w rozległej sali widzeń nie było żadnej kobiety. Rozejrzał się zawiedziony. W kącie siedział potężnie zbudowany, starszy mężczyzna.

Siwe skronie, lekko spłaszczony nos, elegancki garnitur — gdzieś już go widział.

— Jest, panie konsulu. — Strażnik uśmiechnął się przymilnie.

— Ko. konsulu? — wybełkotał Andrzej, spoglądając na przybysza. Poznał go, jednak nowa informacja spowodowała jeszcze większy zamęt w jego obitej głowie. Powoli przysiadł na drewnianej ławce i patrząc na przybysza mamrotał: — Ko. konsul, konsul, dyplomata?

Pułkownik Białecki bawił się kosmatym breloczkiem przytwierdzonym do kluczyków jego umiłowanego hummera.

Ogorzelski spokojnie ćmił papierosa, a Uchlanz kraciastą chusteczką ocierał spocone czoło.

— Do końca mieliśmy go w garści! — chełpił się Białecki.  
— Niepotrzebne były twoje nerwy.

— Tak. — Ogorzelski zaczął bębnić palcami w dębowy blat ogromnego stołu.

— Napijmy się! — powiedział pojedynczym głosem

Uchlanz. — Co zrobimy z jego książką? Całkiem porządnie to napisał.

Ogorzelski spojrział na Uchlanza z trudno maskowanym obrzydzeniem. Wyglądał tak, jakby zjadł coś mocno nieświeżego.

— Masz jakiś pomysł?

— Mam. — Uchlanz uśmiechnął się tajemniczo i gestem dłoni przywołał kelnera.

— Trzy setki!

— Ja nie piję, jestem samochodem — mruknął Ogorzelski.

— Ja też — skwapliwie dorzucił Białecki.

— A czy ja powiedziałem, że to będzie dla was? — Uchlanz zrobił obrażoną minę.

— Dobrze, naprawdę mnie zaciekawileś. — Ogorzelski miał zamiar załagodzić sytuację, ale nie zdążył. Uchlanz przerwał mu w pół słowa.

— Panowie delikatesiki, macie o sobie cholera wie jakie pojęcie, a w końcu i tak trafiacie do starego zboka, gnoja. czy jak tam jeszcze mnie między sobą nazywacie.

— Nieee — wtrącił pospiesznie Białecki, ale zabrzmiało to tak nieszczerze, że natychmiast zamilkł zdeprymowany.

— Więc bydlę Uchlanz nie tylko, że oczyści za panów szambo, to jeszcze na tym porządnie zarobi.

Spojrzeli na niego zaintrygowani. Uchlanz wyraźnie jednak bawił się sytuacją i nie miał ochoty przedwcześnie wykladać swoich kart na stół. Popuszył się więc i powoli, z miną smakosza wypił duszkiem setkę wódki.

— Panowie oficerowie nie grzebią w gównie, a jak już grzebią, to w takim kondomie jak Uchlanz — parsknął.

Ogorzelski spokojnie nachylił się w kierunku napuchniętej twarzy redaktora naczelnego tygodnika „Śmieć”.

— Józku — szepnął konfidencjonalnie.

Uchlanz, zaintrygowany, odruchowo nachylił się ku niemu.

Ogorzelski mocno chwycił go dwoma palcami za nos. Uchlanz wydał z siebie pisk podobny do ostatniej skargi



zarzycanego prosięcia.

— Jak cię lubię, Józku. Mów, kurwa, bo zaraz będziesz miał z kinola fontannę!

— Dobra — zachnął się obrażony naczelny. Ostrożnie roztarł swój purchawkowaty nos. — Książka ukaże się na rynku.

— Jak?! — wyskandowali obaj oficerowie.

Widać było, że pięść Ogorzelskiego znowu chce wymierzyć Uchlanzowi klapsa.

— Spokojnie. — Redaktor uniósł do góry dłoń, tak jakby chciał powiedzieć: „Panowie, nie jesteśmy w piaskownicy”. — Książkę podpisze znany prawicowy dziennikarz, wcześniej moi ludzie dokonają w niej koniecznych zmian.

— Jakich?

— Trochę się wykreśli, trochę dopisze, doda się mnóstwo nieprawdziwych szczegółów, a wszystko zanurzymy w sosie świetnie napisanej sensacji. Wyda to specjalnie do tego celu powołane wydawnictwo, a przed wydaniem książki będziemy intensywnie rozpuszczać informację, że jest to najbardziej zniechęcona przez komunę książka, jaka ukazała się w Polsce po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Oczywiście nadamy jej cechy książki drugoobiegowej, prześladowanej przez mainstream. Wydawnictwo tak zakamuflujemy, że nikt nie dotrze do tego, skąd poszły pieniądze.

— A co z Brennerem? — Ogorzelski był wyraźnie poruszony przedstawionym przez Uchlanza pomysłem.

— Może pojedzie na rybki i zje go wielki okoń? — Uchlanz najwyraźniej bawił się sytuacją.

— Odpada — mruknął Ogorzelski.

— No to nacpamy go i sfotografujemy w damskiej kiece, jak się zabawia z chłopaczkami, znam się na tym. — Ton Uchlanza przywodził teraz na myśl umizgi alfonsa polecającego klientowi swoją najbardziej wyuzdaną kurtyzanę.

— Coś ci, Józku, powiem. — Ogorzelski nabrał powietrza, jakby szykował się do dłuższej tyrady. — Nie mam ochoty zgnoić tego faceta. Jeśli z kimś gram, choćby tak dla

wprawy, to nie mogę pozwolić na to, aby tego kogoś unurzano w gnoju. Rozumiesz?

— Ooo, pan generał taki bardziej wyrafinowany, wierzysz w symetrię, rozumiem.

— Symetria daje ci możliwość uniknięcia wiecznych zawrotów głowy. Nie chcę tego faceta zgnoić. Chcę, żeby był w stanie wykonać jakiś ruch, ale jednocześnie muszę trzymać go za zamkniętą bramką, żeby nawet przez przypadek nie był w stanie ugryźć zbyt mocno.

— Dobrze — odezwał się Białecki. — Wydamy prawicową książkę, która pogłębi oszołomskie teorie, ale nam w niczym nie zagrozi. Zarobi na tym Józek, to rozumiem, ale dalej to już, Kaziu, wybacz, mętna filozofia. Zgnieśmy chwasta i będzie po kłopotcie!

Ogorzelski wstał od stołu.

— Zostańcie tu, obaj zaczynacie mnie wkurwiać, więc idę się trochę przejść, a jak wrócę i ten wieprz będzie jeszcze cokolwiek kojarzył, dokończymy naszą rozmowę.

Uchlanz obojętnie wzruszył ramionami i wypił kolejną setkę.

Dalsza część wieczoru upłynęła tradycyjnie, kolejne kieliszki, coraz mniej konkretne rozmowy i na koniec cisza przerywana coraz słabiej artykułowanymi okrzykami. Późnym wieczorem kierowca Uchlanza wywlókł z restauracji pijane zwłoki swego pryncypała.

Ogorzelski, który wypił jedynie dwa kieliszki koniaku, chłodno pożegnał się z pułkownikiem Białeckim.

Problem książki Brennera przestał istnieć. Teraz zastanawiał się nad samym Brennerem. Wiedział, że dziennikarz mocno przeżyje zakończenie tej sprawy.

Znał takich ludzi, przez kilka miesięcy będzie lizał rany, a potem ze zdwojoną energią ruszy przeciwko ludziom z Funduszu Budowy Gospodarki.

Nienawiść doda mu siły, ale cóż, także go zaślepi i wtedy on, Ogorzelski, znów wykona swoje mistrzowskie pchnięcie — precyzyjny cios w najslabiej chronione miejsce. Uśmiechnął się do swoich myśli. Zdawał sobie sprawę, że potrzebuje walki

i odpowiedniego przeciwnika. Walka trzymała go w odpowiednim napięciu, konserwowała go. Gdyby nie ten subtelny fechtunek, pewnie zdzia działaby podobnie jak jego starzy towarzysze.

A on nie chciał zdzia dzieć, za bardzo lubił życie w pierwszym gatunku, życie kategorii VIP.

„Tak bić, żeby nie zabić. Zabijanie to jednorazowa przyjemność” — przypomniał sobie dawną rozmowę z generałem Witalijem Pawłowem.

Po kilku głębszych Pawłow opowiedział mu o losach kilku znanych polskich biskupów. Ogorzelski słuchał tego z otwartymi ustami.

— „Akta nie płoną” — czy, jak to ujmowali nasi starsi bracia z Rzymu, scripta manent — mruczał rozweselony Pawłow.

— I nic z tym nie robicie? — gorączkował się Ogorzelski.

— Zabić można tylko raz, a groźba śmierci może sterować całym życiem, życie jest cenniejsze od śmierci. Mówię ci to ja, materialista, który nie wierzy w żadnego Boga — usłyszał w odpowiedzi.

Andrzej stał jak wryty i tępo wpatrywał się w zwalistego mężczyznę o siwiejących skroniach. Z wolna przypominał sobie Stascha, ochroniarza Georga Kravczika - zagadkowego Polaka, który towarzyszył niemieckiemu finansistcie, gdy ten odnalazł Brennera w cuchnącej potem salce klubu bokserkiego w Düsseldorfie. To był ten sam człowiek, który wtedy tajemniczo się uśmiechał i mówił mu o „krajnie podwójnych luster”. Twarz Stascha przypominała mu początek zmagają z Funduszem Budowy Gospodarki.

— Skąd się tu wzięłeś? — wyjąkał.

— Wiesz skąd.

— Ale ten klawisz powiedział mi, że czeka na mnie dyplomata.

— I miał rację.

— Jaka, do cholery, rację! Przecież ty.

— Jestem plecami Georga Kravczika.  
— I starym ubekiem.  
— Mało precyzyjne, ale na pogaduszki będziemy mieli czas za chwilę, na razie musimy opuścić ten uroczy gmach.  
— Dyplomata?  
— Też.  
— Chyba trzeba mnie zawieźć do czubków.  
— Na to też znajdziemy czas. — Stasch położył ciężką dłoń na ramieniu Andrzeja. — Chodźmy.

Gdy wyszli z aresztu i wsiedli do stalowoszarego audi, Stasch powiedział:

— Nie jedziemy do twojego mieszkania. Nie bylibyśmy tam sami. Komórkę też możesz wyrzucić przez okno — wyjaśnił, widząc zdziwione spojrzenie dziennikarza.

— Muszę zawiadomić „Brig”. Ankę muszę zawiadomić.

— Nie musisz. — Stasch spokojnie manewrował pomiędzy trąbiącymi samochodami i tramwajem.

Ulica Warszawska kipiała właśnie narastającym korkiem.

— Jak to nie muszę. Proszę, nie mów mi, co muszę.

— Mogę nie mówić. Za to nikt mi nie płaci.

— Dobra. Mam kilka spraw do załatwienia.

— Mówisz o swojej książce.

— Tak.

— Gównno.

— Jesteś, kurwa, krytykiem literackim czy co?! — Andrzej przestawał panować nad sobą.

— Gównno wydasz, a nie książkę.

— Zatrzymaj się, kurwa, wysiadam!

— Proszę bardzo.

Stasch gwałtownie zahamował. Z tyłu poczuli lekkie stuknięcie zderzaka jadącego tuż za nimi jeepa. Z terenówki wyskoczył młody, mocno zbudowany mężczyzna w obcisłej marynarce.

— Furmankę sobie, dziadek, kup! — wrzeszczał.

Andrzej z zaciekawieniem zaczął się przyglądać nieoczekiwanej awanturze.

Stasch spokojnie wygramolił się z samochodu i podszedł do zdenerwowanego kierowcy tak blisko, że prawie stykali się nosami. Był wyższy od rozmówcy.

— Dziadek! Masz jeszcze jakieś wąty?! — nacierał kierowca jeepa.

— Nie. Ile mam panu zapłacić? — odpowiedział Stasch, ani na moment nie spuszczać spojrzeń z twarzy awanturnika.

— Jeździć się naucz!

Stasch wyjął z portfela trzysta euro i wsadził do przedniej kieszeni marynarki młodzieńca.

— Ale!. — warknął tamten.

— Ja też się cieszę, że tak szybko doszliśmy do porozumienia. — Stasch uśmiechał się uprzejmie, a jego prawa dłoń ścisnęła rękę przeciwnika. Andrzej nieomal słyszał chrzęst miażdżonych kości. Twarz kierowcy wyrażała już tylko bezgraniczne przerażenie. — Do widzenia panu. Dziękuję za miłą pogawędkę, ale wie pan, obowiązki wzywają, nie mogę już dłużej. — Uśmiech na twarzy Stascha znakomicie komponował się z jedwabistym tonem jego głosu.

— No to co, wysiadasz? — Stasch popatrzył w tylne lustro.

— Nie.

— To teraz pomilcz chwilę, bo widzisz, co się dzieje, jak za dużo gadasz.

Zajechali pod niewielki pensjonat „Delfin” w Opatkowicach.

— No, tu możemy sobie pogadać — wyjaśnił Stasch.

— Jesteś pewny?

— Tak. To własność pewnego pana, który na Rynku Głównym handlował walutą. Bardzo nam kiedyś pomógł.

Na powitanie wyszedł do nich postawny siwy mężczyzna z niewielkim wąsikiem.

— Witaj, przyjacielu! — Kordialnie rozłożył ramiona.

— Witaj! Jak się masz?

— Dobrze, choć ostatnio miałem przygody z żydowską wycieczką.

— Coś poważnego?

— Nie, ale nalali mi do telewizorów coca-coli i nasrali na pościel.

— Bywa.

— Owszem, ale teraz to wolę przyjmować Arabusów, srają co prawda na stojąco, ale są grzeczniejsi.

— Świat się zmienia, Janku. Poznaj mojego przyjaciela, Andrzeja.

— No, przyjaciele pana majora są moimi przyjaciółmi, zapraszam na mały podwieczorek, mam doskonałą marynowaną sarninę.

Kiedy napchani świetnym poczęstunkiem trafili do przestronnego pokoju z dwoma łózkami i balkonem, Andrzej nie wytrzymał:

— Jakim ty, do cholery, jesteś dyplomatą? Co tu robisz? Co się dzieje? — wyrzucił z siebie.

— Pozwól, że odpowiem po kolei. — Stasch przybrał zboląłą minę i tępo wpatrzył się w zgaszony telewizor.

Zapadła cisza. Andrzej zaczął nerwowo spacerować od ściany do ściany.

— Jestem konsulem honorowym Liberii. Spójrz. — Stasch podał mu dyplomatyczny paszport ze swoim zdjęciem.

— Liberii? — wyjąkał Andrzej.

— Oczywiście nigdy tam nie byłem. — Stasch bezradnie roz- łożył ramiona, jednak w kącikach jego oczu Andrzej dostrzegł rozpalające się ogniki kpiny. — To stara historia, kiedyś byłem znajomym sowieckiego tłumacza w Mozambiku, potem tłu- macz przestał być tłumaczem i zajął się czymś bardziej zys- kownym.

— Ja znam przecież tę historię. — Andrzej nie potrafił ukryć podniecenia.

— Spodziewam się, że znasz. Czytałem twoje teksty, które pisałeś z jakimś amerykańskim pismakiem.

— Douglasem Farahem, żadnym pismakiem, tylko jednym z najlepszych dziennikarzy śledczych na świecie — przerwał mu Andrzej.

— No właśnie. Czytałem, trochę poprzekręcaliście fakty,

ale i tak całkiem to było zgrabne.

— Ale co to, u diabła, ma wspólnego z paszportem dyplo- matycznym?!

— Mój znajomy.

— Wiktor But!

— No, jakoś tak. miał kumpla, który rządził Liberią i chyba nawet rządzi tam do dziś.

— Charles Taylor.

— No. więc mój znajomy załatwił wszystkim swoim przyjaciółom takie prezenciki.

— Czy wy z Kravczikiem handlujecie bronią?!

— Pan Kravczik robi interesy, ja odpowiadam za jego bezpieczeństwo, a ten Rosjanin.

— But.

— Ten Rosjanin tkwi w jakimś amerykańskim pierdlu.

Andrzej siedział na tapczanie i z niedowierzaniem potrzasał głową.

— Czy te wszystkie historie nigdy nie mają dna? Zawsze jest jakaś zapadka i leci się niżej?

— Nie wiem, panie Brenner. To pan jest literatem.

— Ale to wy układacie te jebane klocki.

— No, z klockami to my na pewno nie mamy nic wspólnego, ale są pewni Duńczycy.

— Przestań, proszę. Nie rób sobie ze mnie jaj.

— No tak. — Stasch się zamyślił. Po chwili wstał i pokazał palcem za okno. — Tam już nie masz po co wracać.

Andrzej odruchowo popatrzył za jego palcem. Wskazywał na rozjarzającą się właśnie delikatnymi światłami Wieżę Mariacką.

— Jesteś obgotowanym kurczakiem, tylko sięść i odkrawać mięsko — mruknął Stasch.

Andrzej milczał.

— Po pierwsze, nie ma już twojej książki.

— Jak to nie ma, co ty wygadujesz?!

— Wydawnictwo „E tutti quanti”, czy tak?

— Tak.

— Już nie istnieje.

— Nie szkodzi, dam do innego.  
— Nie dasz.  
— Jak to nie dam?  
— Nie dasz, bo nie masz tekstu.  
— O nie. Mam go, kurwa, w laptopie, na pendrivie, leży zamknięty w kasie pancерnej u mecenasa i wydrukowany u „Bri”. Anki.

— Laptop właśnie pływa w twojej wannie. Pendrive’a, jak to nazywasz, na pewno nie ma już w twojej kieszeni, a mecenas nigdy z tobą nie będzie chciał gadać.

— Zobaczymy!  
— Chcesz sprawdzić?  
— Tak. Jedziemy do mecenasa Druzgały.  
— Strata czasu, ale jeśli bardzo chcesz.  
— Tak, jedźmy!

Andrzej rzucił się do swojej kurtki, aby sprawdzić, czy pendrive dalej spoczywa w wewnętrznej kieszeni.

Była pusta.

Nagle pociemniało mu przed oczami. Nie wierzył Staschowi, to, co mówił, wydawało mu się zbyt prostackie i chore, a jednak kieszeń jego kurtki była pusta.

— Kurwa, to nie może być prawda!  
— Pewnie, że nie może.  
— Co ty gadasz?  
— Życie na ziemi nie mogło powstać, a jest.  
— Jebany filozof.  
— To co, jedziemy?  
— Tak.

W oknie kancelarii mecenasa Druzgały jeszcze paliło się światło.

Przeskakując po trzy stopnie, wpadł do sekretariatu kancelarii.

— Jest mecenas?! — wydyszał.

Młoda, elegancka sekretarka, która pamiętała go z licznych wizyt w towarzystwie „Brigitte” zmarszczyła brwi, jakby nad czymś intensywnie się zastanawiała.

— A kogo mam panu mecenasowi zaanonsować?



— Andrzej Brenner, przecież bywałem tu, pamięta pani?

Sekretarka zanurzyła się w doskonale Andrzejowi znanym gabinecie Druzgały. Brenner czuł, że pocą mu się nawet koniuszki palców. Wstrzymał oddech z obawy, że najmniejszy nawet ruch może przyspieszyć coś nieuchronnego, coś, co wisiało w powietrzu od chwili, gdy w sali widzeń aresztu dostrzegł sylwetkę Stascha.

Po chwili sekretarka wyszła z gabinetu. Była zmieszana i nawet nie starała się tego ukryć.

— Pana mecenasa nie ma w tej chwili. — Stanęła przed drzwiami gabinetu, tak jakby chciała zatrzymać Andrzeja w momencie, gdy ten postanowi siłą sforsować ciężkie zabytkowe drzwi.

— A kiedy będzie? Może umówi mnie pani na jutro? — paplał, czując niedorzeczność swoich wysiłków.

— Pan mecenas zadzwoni do pana. — Dziewczyna spuściła oczy.

Rozmowa była skończona.

Stasch cicho otworzył drzwi samochodu. Jego twarz niewiele wyrażała, jedynie znużone spojrzenie zdawało się mówić: „Jeśli sądziłeś, że żartuję, to właśnie przekonałeś się, że jestem już na to za stary”.

W milczeniu zajechali pod halę targową na Grzegórkach.

Błaszana nyska zajęła już swoje miejsce i obok dymiącego grilla, na którym piekły się kiełbaski, zaczęła się ustawiać kolejka złożona z nocnych lokatorów krakowskich ulic.

— Ciągle smażą — mruknął Stasch.

Wysiedli i zamówili po dwie pokaźne laski smażonej kiełbasy, na papierowe tacki wylali sporo musztardy i zaczęli zajadać.

Obok kilku studentów zaczepiało starą prostytutkę.

— Ile chcesz za francuza? — piszczał chudy chłopak o po-dziobanej krostami twarzy.

— Jestem tu inkoguto, więc spierdalaj! — odpaliła mu wyglądająca na pięćdziesiąt lat farbowana blondynka, ze

ślądami dawnej urody na twarzy.

— Dam ci pięćdziesiąt, jak mi zrobisz tu przy kielbaskach. Co ci zależy, jeszcze jedna gorąca kielbasa! — darł się podchmielony gówniarz.

Kumple zarykiwali się ze śmiechu i otwarcie zagrzewali go do składania kobiecie kolejnych propozycji.

— Chyba ci mówię, łamasie kutany, że teraz nie obsługuję! — warknęła blondyna.

— Nie podobam ci się, zdziro! — Dziobaty młodzieniec wyraźnie poczuł się dotknięty i mierzył kobietę bezlitosnym spojrzeniem.

— Za brandzłowaty jesteś, synku, mydełko w rozporze.

— Kobieta nic sobie nie robiła z groźnego spojrzenia studenta.

Towarzyszący młodemu agresorowi kompani pokładali się ze śmiechu.

Chłopak zacisnął pięści, postąpił kilka kroków ku tlenionej blondynce, która nadal w najlepsze pałaszowała pieczoną kielbasę, i zamachnął się. W tym samym momencie rozległo się głośne chłaśnięcie, ogromna dłoń trzasnęła w policzek młodziana. Ten zachwiał się i powoli padł bezwładnie na plecy. Pięć palców wyraźnie odbiło się na jego twarzy.

— Ale mu zawałił z plaskacza — pisnął jeden z jego kompanów, żaden z nich nie miał jednak ochoty stanąć w obronie nieprzytomnego kolegi.

Z nabożną czcią spoglądali na zajętego dojadaniem kielbasy Stascha. Wymierzony przez niego policzek był tak naturalny, jakby pacnął uciążliwą muchę latającą mu wokół głowy.

Cmokając, oblizał palce.

— Posprzątajcie tu i do domu! — mruknął, patrząc na zdrętwiałych studentów.

Rzucili się do cucenia leżącego obok kolegi, w końcu jeden z nich założył go sobie na barana i powoli powlekli się na drugą stronę ulicy Grzegórzeckiej.

Kiedy byli już w bezpiecznej odległości, jeden z nich odwrócił się i demonstracyjnie zgiął w ramieniu rękę,

pokazując Staschowi „wał”.

— Stary chuj, stary pojebany chuj! — wrzeszczał histerycznie.

— Gites faceci jesteście — mruknęła blondynka i kokieteryjnie puściła oko do Andrzeja. — Jak chcecie, to wam dam w promocji. — Uśmiechnęła się zalotnie.

Nie była brzydka, miała oryginalną twarz o dużych, ostro podmalowanych oczach i subtelnym ustach, których wyrazu nie zdołała zatrzeć grubo nałożona jaskrawoczerwona szminka.

— Nie obraż się, ale dziś nie jesteśmy w dupczącym nastroju — szepnął jej Andrzej.

— Nie ma sprawy, kotusiu, jak tylko cię kuśka zaswędzi, to znajdziesz mnie koło Teatru Słowackiego. Pytaj o „Landri”.

— Spoko. Dziękuję.

— Pani wybaczy, ale nie lubię, jak mi coś psuje smak kielbasy — wtrącił się do rozmowy Stasch.

— Okej, szikago, jesteś laska cukiereczek, ale chyba nie z Kraka, co?

— Nie.

— Ale z plaskacza walisz jak chłopaki ze Stawów.

— Urodziłem się przy placu Na Stawach. — Stasch z galanterią ucałował pulchną dłoń blondynki.

Kiedy zostali sami, Stasch delikatnie dotknął ramienia Andrzeja.

— Wiesz czym to wszystko pachnie?

— Nie, nie chcę nawet o tym myśleć!

## Rozdział XIX

Brigitte!

— Tak?

— Musimy bardzo pilnie się zobaczyć, najlepiej natychmiast!

— Coś się stało?

— Nie, ale muszę cię widzieć, bo oszaleję!

— Jestem w Paryżu.

— Przyjedź, to sprawa. — Zawahał się, nerwowo szukał słowa, które najlepiej pasowałoby do sytuacji. — To sprawa naszej przyszłości.

— Kocham cię, Jędrus.

— Ja ciebie też. Kiedy będziesz?

— Jutro wieczorem na Balicach. Mam lądowanie około dziesiątej wieczorem.

— Będę tam na ciebie czekał.

— Pamiętaj, że cię kocham. Pamiętaj! — powtórzyła z na- ciskiem.

Skończył rozmowę i wyczerpany usiadł na ławce. „Brigitte” brzmiała tak, jakby widzieli się godzinę wcześniej. Miała taki niepowtarzalny tembr głosu — bezbronność i niewinność. Topiła go tym głosem, sprawiała, że miękł i nigdy nie był w stanie nawet podnieść na nią głosu.

Kiedy o niej myślał, robiło mu się gorąco, trząsał się.

Musiał odczekać, w tym stanie nie mógł wrócić na Kazimierz, gdzie czekał na niego Stasch. Miał przepecone ciuchy, brak mu było solidnej kapieli, szczoteczki do zębów i odrobiny relaksu. Wydarzenia z ostatnich godzin powoli, ale trwale, usuwały mu grunt spod nóg.

— Pan Kravczik proponuje ci przyjazd do Düsseldorfu, załatwi ci tam stypendium i będziesz mógł coś tam pisać. Nie są to wielkie pieniądze, ale na przetrwanie wystarczą. — Głos Stascha był ciepły i przyjazny.

— Mam swoje plany — odparł wymijająco.

- Jak widzisz, większość z nich jest już nieaktualna.
- Nieprawda!
- Okej. Mamy czas.

Następnego dnia przyjechał na lotnisko w Balicach już o ósmej wieczorem.

Snuł się po kawiarniach, przesiadywał na ławkach. W pewnej chwili dwóch funkcjonariuszy Straży Granicznej grzecznie go wylegitymowało. Pytali o cel przyjazdu na lotnisko. Jego wyjaśnienia musiały być na tyle przekonujące, że spokojnie oddali mu dokumenty i odeszli.

Dziesięć minut po dwudziestej drugiej przyleciał samolot z Paryża. Brenner stał tuż przy pasie oddzielającym oczekujących od pasażerów wychodzących po kontroli paszportowej. Kilkakrotnie miał wrażenie, że widzi „Brigitte”. Podskakiwał, machał ręką i darł się wniebogłosy. W efekcie po dwudziestu minutach ostatni ludzie witający swoich znajomych w Krakowie popatrywali na niego jak na regularnego wariata.

Czekał do północy. Usiadł na ławce, ukrył twarz w dłoniach i czekał.

Nawet nie poczuł, kiedy po policzkach zaczęły spływać mu łzy.

- Źle się pan czuje?

Wstrząsnął się jak ktoś nagle obudzony ze snu. Podniósł głowę, nad nim stała ładna funkcjonariuszka Straży Granicznej. Szybkim ruchem otarł policzki. Zawstydził się.

— Mogę w czymś panu pomóc? — Funkcjonariuszka była wyraźnie poruszona.

— Nie, bardzo przepraszam, ale nie. — Pocałował ją w dłoń i szybko wybiegł z sali przylotów.

Na ławce został jego ulubiony sweter, ale nie miał ochoty po niego wracać.

Do gabinetu pułkownika Białeckiego weszła piękna, doskonale ubrana kobieta. Wokół niej unosił się zapach drogich

perfum.

— Witaj, Anno. — Białecki zerwał się z za biurka.

Podawała mu dłoń.

— Chyba będę miał dla ciebie nową pracę w Szwajcarii. Wiesz, ten nasz Peter Fragelt przestaje być szczery, trzeba by sprawdzić, co kombinuje na boku.

— Nie jestem gotowa.

— Nie rozumiem. — Białecki uprzejmie wskazał jej krzesło przy antycznym stoliku tuż pod autoportretem Olgi Boznańskiej.

— Ostatnio miałam zbyt dużo przeżyć na raz.

— Pani Anno, my to przecież doceniamy. Specjalna premia trafiła właśnie na pani konto.

— Wiem. — Machnęła ręką.

Pułkownik dopiero teraz dostrzegł, że pod warstwą makijażu pod jej oczami malują się rozległe cienie.

— Muszę odpocząć. — Jej uśmiech sprawił, że Białeckiemu ciarki przeszły po plecach.

Była piękną kobietą, mógłby się w niej zakochać. Każdy zresztą mógłby się w niej zakochać.

Znał ją już kilkanaście lat i ciągle nie mógł wyjść z podziwu dla jej opanowania i aktorskiego kunsztu. Potrafiła być tak ciepła i dziewczęca, że mogłaby złamać serce nawet kamiennym robotnikom-kolosom podtrzymującym filary Pałacu Kultury i Nauki.

Nigdy nie myślał o niej jak o prostytutce, bo też prostytutką ani call girl nie była. Nigdy nie brała pieniędzy za uwodzenie mężczyzn. Po prostu załatwiała sprawy i znikwała.

Białecki nie wiedział nawet, gdzie mieszka. Wystarczył jednak jeden telefon i zjawiała się w każdym miejscu globu. Stary Steiner był w niej tak zakochany, że na siłę chciał ją wyswatać ze swoim synem — bez skutku.

Nigdy nie pozwoliła też nikomu z nich na złamanie bariery oficjalności, pomimo długoletniej znajomości nadal zwracał się do niej per „pani”.

Miała sporo pieniędzy, nie gardziła jednak żadną propozycją, która mogłaby jej tych pieniędzy znacząco

przysporzyć. Tym razem jej pomoc kosztowała ich potrójną stawkę, ale jak zwykle okazała się skuteczna i bezbłędna.

— Proszę do mnie nie dzwonić przez najbliższy miesiąc, potem będę znów do dyspozycji — powiedziała z ciepłym uśmiechem.

— Bardzo dziękuję.

— Nie ma za co, w końcu solidnie za to zapłaciliście.

— Do widzenia, pani Anno. Mówiłem już pani, że jest pani wyjątkowa?

— Tak.

— Więc powtarzam.

— Dziękuję. — Podała mu dłoń i po chwili w jego gabinecie unosił się już tylko obłoczek delikatnego zapachu jej perfum.

Nie potrafił jej nienawidzić. Wręcz przeciwnie, kiedy tylko wspominał jej ciało, głos, zapach, marzył jedynie o tym, aby znów ją zobaczyć.

Pożegnał Stascha, obiecując, że niedługo da odpowiedź na propozycję Kravczika.

Nie wrócił do swojego mieszkania. Wyjechał do Zakopanego.

Przez tydzień leżał w łóżku, prawie nic nie jadł. Nikt nie był w stanie namówić go na rozmowę, nie ustępował nawet Rózi.

W końcu zwlókł się do salonu. Był blady, wychudły i rozczochrany, jedynie jego oczy paliły się dziwnym, gorączkowym blaskiem.

Nikt z przyjaciół nie śmiał się do niego odezwać. Przypominali zebranie kombatantów jakiejś mocno przegranej wojny. Krótko ostrzyżona Zdzisława niedbale żuła w ustach zapałkę. Wypaprany farbami Maciej czytał w kącie książkę. Nad wszystkim starała się zapanować Rozalia Stachoń. Donosiła kawę, zapełniła stół smacznymi przekąskami i wyczekująco milczała.

— Masz doła? — Zdzisława zmrużyła oczy, jakby

spodziewała się, że za chwilę spadną na nią gromy.

— Wręcz przeciwnie! — Głos Andrzeja był zaskakująco spokojny, brzmiała w nim nawet nuta entuzjazmu.

— Wyjeżdżasz? — Maciej zdjął wielkie rogowe okulary i odłożył książkę.

— Tak. — Andrzej usiadł przy stole i z wielkim apetytem zaczął pochłaniać stosy wędliny i koreczków przygotowanych przez Rozalię.

— Zdzicha — mruknął z pełnymi ustami.

Popatrzyła na niego zaskoczona.

— Daj mi „karusia” i posłuchaj.

Okrzemkowa posłusznie wyciągnęła świeżo napoczętą paczkę papierosów i podała ją Brennerowi.

— To może my wyjdziemy? — Maciej Grabicki znacząco spojrział na Rozalię.

— Nie. Powiem to Zdzisi, ale chcę, abyście wszyscy to usłyszeli.

Zapalił papierosa i przepaszającym gestem skinął w kierunku Rozalii. Machnęła lekceważąco ręką.

— Przy takich okazjach to i ja bym puściła dymka — westchnęła.

Zdzisława podeszła do niej i z gracją zapaliła góralce papierosa. Rozalia natychmiast zaniósła się kaszlem, z oczu pociekły jej łzy, ale dzielnie zaciągnęła się następny raz.

— Te twoje caro, Zdzisiu, są jak fajka pokoju — wykrztusiła z bladym uśmiechem.

Maciej Grabicki wyciągnął rękę w kierunku Okrzemkowej.

— No proszę, nawet pan sportowiec nie pogardzi. Jak tak dalej pójdzie, to moje życiowe zapasy fajek pójdą z dymem.

— Dzidka. — Andrzej gestem dłoni poprosił, aby usiadła obok niego.

Wyglądali jak postaci ze starych wojennych zdjęć. On wychudzony, z sinymi cieniami pod oczami i ona z głową ogoloną na zapałkę, blada, bez makijażu, w męskiej koszuli.

— Ja ją kocham dalej — odezwał się niespodziewanie. — Co- kolwiek by zrobiła, kocham ją i nie potrafię myśleć o niej



inaczej.

— Nikt nie ma prawa ci nic powiedzieć — wtrąciła.

— Ciągłe myślę o tym, że w miłości nie ma żadnej sprawiedliwości.

— Ani równowagi — dodała.

— Właśnie, prawdziwe zakochanie następuje chyba właśnie wtedy, gdy wszystko zaczyna zmieniać swoje położenie, gdy tracisz równowagę i wcale nie masz ochoty, aby ją ponownie łapać. — Zaciągnął się głęboko. — Dlatego wyjeżdżam.

— Gdzie? Do tego Kravczika? — Grabicki nie mógł opanować przymusu chodzenia. Zerwał się z krzesła i zaczął sadić strusie susy z jednego krańca salonu na drugi.

— Nie!

Trzy oblicza, na których malowało się bezbrzeżne zdumienie zwróciły się naraz w kierunku Andrzeja.

— Jadę do Prisztiny.

— Cie choroba! — Grabicki aż sapnął ze zdziwienia.

— Cóż cię tam wlecze, Jędrus? Znów chcesz przepaść bez wieści i zostawić nas tu w niepokoju? — Zmartwiona Rozalia ułożyła dłonie na podolku swojego fartuszka.

— Enver jest teraz doradcą premiera Thaqiego, ma dużą firmę spedycyjną. Jadę zarobić kasę.

Enver Krasniqi był jednym z najbliższych bałkańskich przyjaciół Andrzeja Brennera. Razem spędzili w Kosowie wiele miesięcy w czasie wojny NATO z Serbią. Enver był świadkiem największej tragedii w życiu Andrzeja. Był z nim, gdy ten spalił ciało martwej dziewczyny.

Na Bałkanach pozostał też drugi z przyjaciół dziennikarza, chorwacki najemnik Kemal, muzułmanin ze Splitu.

I Zdzisława, i Maciej dobrze znali historię włóczęgi Andrzeja po Bośni, Czarnogórze, Albanii i Kosowie. Kiedy razem pili alkohol i nie zajmowali się Funduszem Budowy Gospodarki, opowiadał im o drugim dnie bałkańskich wojen. Pamiątkę po każdej z nich nosił na swojej skórze. Wiedzieli, że na Bałkanach czuje się jak w domu i, paradoksalnie, tam będzie

bezpieczniejszy niż w Polsce.

— Wydadzą za tobą list gończy. — Zdzisława po raz kolejny podała Andrzejowi swoje papierosy.

— Wydadzą.

— I co?

— Nic.

— Ogłoszą cię bandziorem, wszystko co napiszesz, będzie wyśmiane. — Grabicki sprawiał wrażenie zmartwionego.

— To wszystko wyjdzie mi tylko na zdrowie. Zobaczycie.

Dwa dni po rozmowie w Zakopanem Andrzej Brenner odebrał przekazany mu przez Stascha paszport na nazwisko Franciszek Giewont.

Jako mechanik, pomocnik kierowcy, przejechał granicę w Chyżnem i bez przygód dotarł do Sofii. W ciągu dwóch następnych dni był już w stolicy Kosowa — Prisztinie.

Wynajął taksówkę i zjechał na niewielkie wzgórze, gdzie wciąż jeszcze działała niewielka myjnia samochodowa. Wielki szyld „Auto Pranje” nie zmienił się od czasu, gdy Brenner po raz ostatni stał na prisztińskim wzgórzu.

Na powitanie wyszedł mu smagły, szczupły mężczyzna. Słońce świeciło mu prosto w oczy, więc musiał przytknąć do czoła dłoń, aby rozpoznać przybysza.

— Arnoś! — zawołał Brenner.

Chwilę później obaj padli sobie w ramiona.

— Pan Enver czeka na ciebie od kilku dni, ale będzie szczęśliwy! — Arnoś poklepał go po plecach.

W domu Envera czekało wielkie przyjęcie. Krasniqi był teraz jednym z najlepiej prosperujących przedsiębiorców w Prisztinie.

Polska prokuratura wydała za Brennerem list gończy, postawiono mu zarzut poplecznictwa i korupcji związanych z weryfikacją byłych Wojskowych Służb Informacyjnych. Przez wiele miesięcy sąd nie przyjmował gotowego aktu oskarżenia, a gdy w końcu sformułowano znacznie złagodzone zarzuty, proces zawieszono w powodu nieobecności głównego

oskarżonego.

\*\*\*

Pewnego dnia pod koniec października na ulicy Dunajska Cesta 5 w Lublanie zjawilo się dwóch świetnie ubranych mężczyzn. Odwiedzili dyrektora jednej z największych słoweńskich drukarni — Delo Tiskarni D.D.

Dyrektor był bardzo zadowolony, mężczyźni zamówili druk dwudziestu tysięcy egzemplarzy polskiej książki nieznanego autora. Na lakierowanej okładce powieści miał się znaleźć niepokojący obraz przedstawiający olbrzymią wieżę, której cieniutki wierzchołek niknie w chmurach. Wieżę zapępniały tysiące mikroskopijnych sylwetek, które przypominały czerwone mrówki.

— Dziwny obraz. — Josip Stanić, dyrektor marketingu Delo Tiskarni D.D. wzruszył ramionami. W końcu niewiele interesowały go książki — grunt, że tajemniczy biznesmeni w ramach zaliczki opłacili z góry pięćdziesiąt procent wartości zlecenia. Tekst książki przysłał Georg Kravczik, nigdy nie zdradził, jak wszedł w jego posiadanie.

Przesyłce towarzyszył niewielki liścik:

*Czasami trudno poznać ludzi już na pierwszy spotkaniu. Uparty Polaku, moja propozycja jest ciągle aktualna. G.K.*

Dwaj eleganccy biznesmeni wrócili do Prisztiny przez Chorwację i Czarnogórę.

## Epilog

Dorotka uśmiechała się delikatnie. Promienie jesiennego słońca powoli wpełzały na jej pościel. Zdzisława właśnie zakończyła poranną toaletę dziewczynki. Teraz siedziała przy łóżeczku i czytała jej list od Franciszka Giewonta.

— „Dzida, brakuje mi tu twoich cierpkich uwag. Wszystko idzie aż za dobrze. Jeszcze trochę i przyjadę z takim szmałem, że do końca życia go nie przepijemy. Ucałuj Dorotkę, nie masz pojęcia jak się cieszę, że wszystko tak dobrze się ułożyło. Pewnie już zmęźniała i miałbym kłopoty, aby ją poznać.”

Zdzisława spojrzała na dziewczynkę — ta, zarumieniona, miała minę, jakby ktoś zrobił jej największą w życiu przyjemność.

— Lubisz Andrzeja?

Oczy Dorotki powiedziały, że Brenner jest jednym z najfajniejszych facetów, jakich widziała. Nie wiadomo właściwie, dlaczego tak przepadała za Andrzejem.

— Dziś odwiedzi nas ktoś ważny, nasza rodzina.

Dorotka znowu się uśmiechnęła. Była najedzona, miała sucho i obok krzątała się Zdzisława. Dziewczynka nie wiedziała o tym, że jej pobyt w mieszkaniu Okrzemków poprzedziła kilkumiesięczna walka z urzędami, setki pism, przeszkody, przy których prawie każdy by odpuścił. Prawie każdy, ale nie Zdzisława. Była wszędzie, załazła za skórę wysokim urzędnikom w kilku ministerstwach, wydeptała kilometry biurowych korytarzy, zdobyła niemożliwe do zdobycia zaświadczenia. Wyrzucana drzwiami, wracała oknem. Postawiła na swoim, adoptowała Dorotkę.

Każdej nocy wstawiała kilka razy, aby sprawdzić, czy dziewczynka dobrze śpi, przewijała ją, a raniem przygotowywała wymyślne śniadania, których skład rzadko się powtarzał. Zdzisława dobrze wiedziała, że jedynym zmysłem, który bez zarzutu funkcjonował w ciele Dorotki był właśnie smak.

Codziennie rano do śniadania przynosiła świeże gazety

i po uprzątnięciu resztek jedzenia i umyciu twarzy Dorotki, przez godzinę czytała dziewczynce najnowsze wieści. Dorotka szczególnie lubiła długie reportaże.

Raz przeczytała jej reportaż autorstwa Franciszka Giewonta. Pisał o dzieciach serbskich uchodźców z Kosowa. Opisywał sierociniec w miasteczku Nowy Pazar. Tekst był smutny, ale Dorotka przez cały dzień potem uśmiechała się i kilkakrotnie prosiła jeszcze o czytanie tekstu na nowo.

Teraz obie były odświętnie ubrane i wyperfumowane. Czekwały na ważnych gości.

Zdzisława powróciła do czytania listu.

— „I jeszcze jedna istotna rzecz. Tajna, ale wiem, że i tak wszystko wypapłasz Dorotce, więc ona może o tym wiedzieć.”

— Dziii — zagulgała Dorotka.

— Wiem, wiem, że najbardziej lubisz tajemnice — uśmiechnęła się Zdzisława.

„Chciałbym wiedzieć, co dzieje się z «Brigitte», nie docierają do mnie żadne informacje o niej, niepokoję się, czy nie stała się jej jakaś krzywda.”

Przerwała i spojrzała na poważną twarz dziewczynki.

— Ktoś widział ją w Warszawie, wyjechała i tyle — mruknęła do siebie. — Głupi ten nasz Andrzej.

Tym razem Dorotka zamknęła ze złości oczy.

— No, patrzcie ją, obrończyni latającego Holendra się znalazła — fuknęła Zdzisława.

Dorotka demonstracyjnie odwróciła głowę.

— No dobra, popytam, może dowiem się czegoś nowego.

Uśmiech dziewczynki świadczył o tym, że sprzeczka się skończyła.

— „Czuję, że niedługo wrócę. Dochodzą mnie słuchy, że moja sprawa w sądzie skończy się umorzeniem. Ciekawe, co się stanie, jak spadnie deszcz”.

Zdzisława dobrze wiedziała, co oznacza „spadnie deszcz”.

„A więc jednak”. Uśmiechnęła się pod nosem. „Co się stanie? Będą z ciebie pasy drzeć, Andrzejku, ale kamień wpadnie w breję, poruszy ją i nikt już nie będzie miał śmiałości

mówić, że nie śmierdzi".

— „Pozdrów ode mnie Kraków, wiesz jak wszędzie brakuje mi tego miasta. Psioczę na nie i krytykuję, ale jak długo mnie tam nie ma, to za nim tęsknię. Chcąc nie chcąc, stałem się takim samym krakusem jak ci, którzy zawsze doprowadzali mnie do pasji.

Tu nic wielkiego się nie dzieje. Codziennie odprawiamy z Enverem do Europy kilka tirów z tureckimi ładunkami. Wszystko jest legalne, żadnych narkotyków ani broni. Są z tego całkiem dobre pieniądze. Pisuję trochę do szuflady, nie wiem, czy to jest coś warte, ot tak, z nudów i tęsknoty. Jak przyjadę, to wszystko wam opowiem. Uściskaj ode mnie Macieja i Różię. Całuję, Franciszek.

PS Dorotka, której na pewno to teraz czytasz, niech nie myśli, że jej się upiecze. Mam coś specjalnego dla niej i jak przyjadę, to będzie musiała posiedzieć ze mną sporo czasu i posłuchać o wszystkich moich nowych znajomych. Nie wywinie się. Bywajcie".

Zdzisława odłożyła list i z czułością poklepała Dorotkę po dłoni. ^

— Świat nam się sam układa, Dorciu, sam się układa.

W przedpokoju rozległ się natarczywy głos dzwonnka do drzwi.

Dorotka zamruczała radośnie.

Zdzisława Okrzemek odruchowo przetarła stojące na szafce, oprawione w skromną ramkę zdjęcie. Tęgi mężczyzna w mundurze lekko się uśmiechał.

— Tylko znów nie wywiń mi jakiegoś numeru! — mruknęła.

— Rączki całuję dostojnym damom! — rozległ się chwilę później w przedpokoju tubalny głos Macieja Grabickiego.

W nowej, urządzonej z przepychem galerii „Spectator”, tuż przy wiedeńskim placu Graben, zawisł wielki ekspresyjny obraz. Przebijająca chmury wieża, w której zakamarkach kipiał tłum tysięcy malutkich ludzkich postaci. Dziwny, przerażający

a jednocześnie przykuwający uwagę. Sprawiał, że dziesiątki modnie ubranych gości galerii przystawały właśnie przed nim. Widzowie ulegali jego niewytłumaczalnej magii, wciągał — sprawiał, że w miarę wpatrywania się w wieżę, widzowie okrywali kolejne jej kręgi, niewidoczne na pierwszy rzut oka znaczenia i symbole.

W katalogu wystawy Józef Grabski, światowej sławy znawca malarstwa włoskiego renesansu, napisał:

*Ten obraz współczesnego polskiego artysty poraża swoją szczerością, odwagą i mnogością znaczeń, niepokoi swoją nie dokończoną formą. Sprawia, że każdy z widzów mimowolnie wkracza w świat artysty i sam stara się dokończyć zaproponowaną przez niego opowieść. Wieża Macieja Grabickiego jest, tu odważę się na śmiałe porównanie, jak Sagrada Família — pro pozycja formy, która nigdy nie znajdzie swojego zwieńczenia, a jednocześnie fabularna, komiksowa niemal (w swojej nie oczekiwanej ekspresji) opowieść, której puenta rodzi się dopiero w umyśle odbiorcy. Polecam, sam zaskoczony nieoczekiwaną formą i świeżością dzieła.*

Do katalogu dołączona została, tłumaczona na język niemiecki, książka nieznanego polskiego autora. Na jej okładce widniał obraz Macieja Grabickiego i tytuł Wieża komunistów.

Wysoki, krępy blondyn z tajemniczym uśmiechem stał przed obrazem Grabickiego. Coś mruzczał do siebie pod nosem. Kiedy zbliżył się do niego szczupły, śniady mężczyzna o szpakowatych skroniach, usłyszał jedynie fragment wypowiedzianego po polsku zdania:

— Brenner, ty cholerny, uparty sukinsynu.

Nic nie zrozumiał.

— Gabriel Aron. — Wyciągnął dłoń w kierunku blondyna.

— Jarosław Czarnecki.

— Dłaczego wybrał pan to miejsce?

— To tylko sentymenty, proszę mi wybaczyć, wiem, że w naszej profesji nie powinny nic znaczyć.

— Ależ przeciwnie. Właśnie dlatego tu jestem.

Czarnecki spojrział na niego zdziwiony.

— Sześćdziesiąt sześć lat po wojnie nikt już nie ściga duchów.

— Nikt oprócz was — wtrącił Czarnecki.

Wolno wyszli z galerii. Gdyby ktoś przyglądał się dwóm eleganckim mężczyznom spacerującym po placu Graben, zapewne dostrzegłby wyraźną różnicę pomiędzy nimi. Niższy, szczupły południowiec żywo gestykulował, jego rozmówca — mężczyzna w typie nordyckim, jedynie uśmiechał się dyskretnie, coś opowiadając. Obaj szli sprężystym krokiem, tak jakby niedawno wojskowe mundury zamienili na eleganckie garnitury.

Pół godziny później razem jedli obiad w rozległej restauracji hotelu „Radisson”.

— To wszystko, Gabrielu.

— Jednego jeszcze nie rozumiem — wtrącił Gabriel Aron, przelękając kęs krwistego befsztyka.

— Tak? — Czarnecki uniósł brwi.

— Po co to robisz?

— Powiedzmy, że to stare porachunki, Gabrielu, stare, niedokończone porachunki.

— Możesz liczyć na naszą wdzięczność.

— Wolałbym, abyście o mnie po prostu zapomnieli.

— Przyjaciół nie zapominamy.

— I tego właśnie obawiam się najbardziej.

— Być może się mylisz, może kiedyś przyda ci się pomocna dłoń sayana.

— Płacisz za obiad. — Czarnecki wstał i mocno uściśnął dłoń Arona. — Steiner jest wasz.

— Mylisz się, on tylko dołączy do. — Aron zawahał się, szukając właściwego słowa.

— Grona zimnych czaszek — parsknął Czarnecki.

Tym razem Gabriel Aron zrobił minę zaskoczonego ptaka.

— Nie rozumiem — wymamrotał.

— Bo nie jesteś Polakiem. Bywaj! — Krępy blondyn zniknął za wahadłowymi drzwiami.



Gabriel Aron wykreślił numer antykwariusza z Buenos Aires.

— Dalila musi iść do fryzjera — szepnął do słuchawki.

— Dobrze, przed weselem rzeczywiście mamy dużo pracy. Zaraz rezerwuję fryzjera — usłyszał w odpowiedzi.

Zadowolony dokończył befsztyk i zapalił papierosa.

Znów źle spał, śniła mu się była żona. Bezszelestnie zbliżała się do jego łóżka, w dłoni miała ukryty chirurgiczny lancet.

Obudził się zlany potem. Spojrzał na zegarek — dochodziła dziewiąta. Odruchowo poszukał ukrytej pod poduszką komórki. Miał piętnaście nieodebranych połączeń. Białecki wydzwaniał jak oszalały.

Zaparzył kawę i w szlafroku wyszedł na taras. Zapowiadał się kolejny słoneczny dzień.

Popijając kawę, wolno przyłożył do ucha telefon.

— Jak to! — Zerwał się, przewracając filiżankę. Na jego jedwabnym szlafroku wyrosła brunatna plama. — Jak to, kurwa, zniknął! Czy ty wiesz, co to znaczy?!

Ciężko dysząc, złapał się za brzuch. Żołądek piekł, jakby rozpalono w nim ognisko. Na czole generała wykwitły wielkie krople potu.

— Jeśli oni dorwali Steinera, to wszystko szlag trafi. Do kurwy ostatecznej! Czy ty to rozumiesz?! — wrzeszczał. — Biegiem do mnie! — Przerwał połączenie i z rozmachem rzucił telefonem o ścianę domu.

Generał Kazimierz Ogorzelski stał na tarasie i tępo wpatrywał się w poranną gazetę, która powoli nasiąkała rozlaną kawą.

## Od autora

Fakty i osoby przedstawione w książce są wyłącznie two-rem mojej wyobraźni. Nawet jeśli znajdziecie w nich odbicie realnych zdarzeń - pamiętajcie, że to tylko powieść.

Nie wiem, czy generał Czesław Kiszczak bywał w puckiej farze. Rozmawiałem z nim wielokrotnie, ale nigdy nie zapytałem o generała Hallera i jego „Błękitną Armię”.

Nigdy nie istnieli ludzie, których opisuję na kartach Wieży komunistów - generał Ogorzelski, pułkownik Bialecki, redaktor Uchlanz, małżeństwo Okrzemków, w końcu i sam Andrzej Brenner i jego przyjaciele. Tego, że nie istniał Brenner, najbardziej żałuję.

Właśnie przeczytaliście powieść uciekiniera - uciekiniera z krainy dziennikarstwa śledczego, który tak długo śledził spiskową praktykę dziejów, że być może uwierzył nawet w teorię. Autorowi powieści sensacyjnych wolno jednak o wiele więcej niż reporterowi.

W czasie moich reporterskich działań poznałem wielu in-trygujących ludzi.

Wiele godzin spędziłem w Nowym Jorku z jedynym polskim świadkiem koronnym wykorzystywanym przez amerykańską agencję DEA do tropienia największych grup przemytu narkotyków.

Rozmawiałem z oficerami wywiadu i kontrwywiadu zajmującymi się przemytem broni, poznałem „ojca polskiej am-fetaminy”.

Nagrywałem rozmowy z ludźmi z najbliższego kręgu rosyjskiego mafioza Siemiona Mogilewicza, podnosiłem spod stołu pijanych oficerów WSI.

*Zjeździłem wiele miast w Europie i Afryce, tropiłem ślady terrorystów i mafiozów.*

*Opisywałem największe polskie afery gospodarcze, przeprowadziłem w Düsseldorfie długą rozmowę z pewnym niemieckim finansistą.*

*To wszystko prawda.*

*Ślady tych zdarzeń zapewne odcisnęły się w mojej wyob- raźni i miały wpływ na mój sposób postrzegania dzisiejszej Polski. Na ile wpłynęły na treść powieści, musicie ocenić sami. Nie zapominajcie jednak, że Wieża komunistów jest fikcją, być może dla mnie nawet bardziej bolesną niż dla was.*

*Dziękuję moim najbliższym, że wytrzymali trudny czas, gdy książka powstawała.*

*Po co ją napisałem?*


*Chciałbym, aby moi synowie - Franciszek i Jan - żyli w lepszej Polsce. Mam nadzieję, że kiedy będą dorośli, potraktują powieść ojca jak nieszkodliwą ramotę, nad którą, co najwyżej, sceptycznie się uśmiechną.*

*Kraków, 5 października 2011 roku*

Andrzej Brenner to ambitny dziennikarz śledczy, który jest przekonany, że właśnie znalazł temat życia. Oto wpadł na trop największej afery w postkomunistycznej Polsce - defraudacji pieniędzy pochodzących z Funduszu Budowy Gospodarki. Nie zdając sobie sprawy z ryzyka, postanawia wszcząć prywatne dochodzenie. Z początku wszystko wydaje się zmierzać w pomyślnym kierunku - udaje mu się nawiązać kontakt z żoną głównego skazanego, Grzegorza Okrzemka, dociera również do informatorów zaangażowanych w nielegalny proceder. Niebawem jednak budzą się siły, które zaczynają zagrażać śledztwu. Osoby zrazu przychylnie dziennikarzowi, wkrótce zauważają jego niechęć do współpracy i postanawiają zniweczyć plan ukazania światu kulis afery gospodarczej.

Witolda Gadowskiego znaleźliśmy dotąd głównie jako jednego z niewielu w III RP dziennikarzy śledczych, którzy w pełni zasługują na ten tytuł. To dzięki jego reportażom dowiadaliśmy się o kulisach polskiego (i nie tylko) rynku gazowego albo związkach PRL-owskich służb specjalnych ze światowym terroryzmem. Powieść Wieża komunistów to podobno fikcja, a przecież odbija się w niej ukryta strona historii III RP. W trzymającej w napięciu, sensacyjnej fabule, śledząc dziwnie znajome postaci, odkrywamy podszewkę znanych nam wydarzeń, których w inny sposób nie można byłoby dziś pokazać...`.

prezentacja

 Rebelja PL



ISBN 978-83-7440-000-0